PRZEGLĄD

POWSZECHNY.

Błogosławiony lud, którego Panem
Bóg jego. *Ps. 143.*

ROK DRUGI. — TOM VI.

KWIECIEŃ, MAJ, CZERWIEC.

1885.

KRAKÓW.
Druk Wł. L. Anczyca i spółki,
pod zarządem Jana Gadowskiego.
1885.

HARTMANN I KWESTYA NARODOWOŚCI.

Ich habe die rücksichtslose Germanisirung... empfohlen. E. v. Hartmann.

(Der Rückgang des Deutschthums, von Eduard v. Hartmann. *Die Gegenwart.* 1885. Nr. 1, 2. — Nochmals der Rückgang des Deutschthums, ibid. N. 6).

Wielka kwestya narodowości rozgrywa się od przeszło pół wieku w sferze czynu; czas jej znaleść wyraz w sferze filozoficznej myśli. Otóż wśród namiętnych głosów publicystów i mężów stanu, odezwał się głos filozofa. Powierzchowni tylko ludzie uważać mogą to zjawisko za podrzędne. Historya świadczy, że prądy czynów zaczynają się od prądów myśli, a te biorą początek w doktrynie filozofa. Teorya filozofa najczęściej oderwana, mglista, nieprzystępna dla „gminnego myślenia", nie rozbrzmiewa się dalej, jak po aulach wszechnic i w naukowem piśmiennictwie, i tam rzadko kto uchwyci całą jej syntezę, ale duch jej i praktyczne zasady oddziaływają na kształcenie się umysłów warstw kierowniczych: urzędników, publicystów, literatów, nauczycieli, a przez nich w ostatnich konsekwencyach dostają się do mas narodu. Od Jana Jakóba Rousseau zaczyna się rewolucya francuska, od Hegla, nastrój pruskiego państwa. Kiedy więc po Heglu przychodzi Hartmann i poruszając piekącą dziś kwestyę narodowości, wypowiada pogląd na zadanie szczepu niemieckiego, warto się nad tem zastanowić.

Przypomnijmy sobie, z jakimto zapałem dziadowie nasi przyjęli kontrakt społeczny Russa, jak się rozczytywali w jego rozmaitych komentatorach i ufali, że ich to „filozoficzne, jak wów-

czas mówiono, pojęcie społeczności" zbawi. Niebawem ta filozofia państwa przeniosła się z Genewy do Królewca, a stamtąd do Jeny. Pod ręką Kanta zwlokła ona swą młodzieńczą uczuciowość i rewolucyjne podrywy, by się przybrać w togę myślącego formalizmu; w głowie zaś Hegla przyszła do dojrzałości, poczuła swą siłę, zaafirmowała się jako absolut, wreszcie wypowiedziała wyraźnie swe ostatnie słowo: *Der Staat ist der wirkliche Gott*[1]. Otóż ojcowie nasi wyciągali dłonie do Hegla, tak samo, jak ich ojcowie do Russa. Filozofowie polscy Hegla tylko przerabiali, młodzież tylko o Heglu marzyła, Hegla było u nas pełno. Zdawało nam się, że Hegel stworzy porządek w świecie, że nam da jakiś pierwiastek siły i życia, którego śmy już nie umieli szukać w starej nauce ewangelii. Była to wielka naiwność. Nie dopatrzyliśmy rdzenia racyonalistycznego panteizmu; nie zrozumieliśmy, że ten rozum absolutny, a nie Boży, w rzeczywistości musi być rozumem ludzkim, dla którego *stat pro ratione voluntas;* że ta wola absolutna, w praktyce jest wolą mocniejszego; że ta wszechjedność idealna, bezwzględna, konieczna, w świecie realnym nie inaczej się wyłania, jak tylko w państwowym absolucie, który może świat przerazić, ale nie uszczęśliwić. Dopiero gdy z pączka myśli wykluł się czyn, gdy w kraju karmionym tą doktryną poczęło się wytwarzać państwo bezwzględne w swym pochodzie, gruchocące, nie z chwilowego nadużycia, ale z zasady, z wnętrznej konieczności swego ustroju, wszelkie prawa nie od niego pochodzące, państwo tłumaczące czynnie, co znaczy formuła: *Der Staat ist der wirkliche Gott,* dopiero wtedy otrzeźwieliśmy po części, i odczytując Hegla z glossą wypadków, powiedzieliśmy sobie: prawda! to wszystko w Heglu się zawiera.

Nie wszyscyśmy jednak jeszcze zrozumieli. Ponieważ filozofia przez usta Hegla przemawiała abstrakcyjnie, można było przeoczyć jej związek z czynami jej wyznawców; ponieważ te czyny w pierwszej fazie dosięgały głównie religii i Kościoła, można było o nie niedbać. A tymczasem wzrastające bożyszcze wzbudzało podziwienie, serce chrześcijańskie ganiło jego podstawy, ale płytki rozum, w sekrecie przed sercem, uwielbiał jego majestatyczny ogrom. Je-

[1] „Państwo jest rzeczywistym Bogiem". *Philosophie des Rechts,* wydanie zbiorowe dzieł Hegla z r. 1840. t. VIII. str. 320.

dnego nam jeszcze brakowało: żeby ta filozofia wprost przeciwko nam się zwróciła, ugodziła w strunę, która w nas wszystkich, bez różnicy przekonań religijnych odezwać się musi, skazała na zagładę naszą narodowość. Otóż tę lekcyę daje ona nam dzisiaj przez usta Hartmanna. Może choć teraz rozczarowanie nastąpi.

P. Kazimierz Jarochowski, w swej odpowiedzi na artykuł Hartmanna, argumentuje *ad ignominiam*: dziwi się, iż „po takich ludziach, jak Kant i Fichte, a nawet takich jak Hegel, Schelling i Schoppenhauer, mógł wystąpić filozof, stawiający za wzór cywilizacyjnej akcyi, tępienie sąsiedniego narodu"; i wierzyć nie może, „żeby to miało być ostatnim wyrazem niemieckiej filozofii". Trafnie jednak odpowiedziały *Kraj* i *Przegląd katolicki*, że p. Jarochowski niesłusznie się temu dziwi i argumentem swoim chybia celu: bo właśnie po Heglu i jego poprzednikach konsekwentnie przychodzi Hartmann, a *Rückgang des Deutschthums* jest logiczną dedukcyą Heglowskiej *Staatsomnipotenzlehre*. Nie o to idzie, czy Hegel pochwaliłby wszystko, co Hartmann napisał, ani czyby Kant uznał wszystkie wyniki Hegla — wiemy przecież, że Kant przeczył najlogiczniejszym dedukcyom, jakie Fichte z jego zasad wyprowadzał — ale o to tylko idzie, czy ten szereg systemów, aż do obecnego wyskoku Hartmanna włącznie, jest rodzimym rozwojem tej samej myśli, dalszem udzielaniem się tego samego duchowego ruchu. A to jest rzeczą niezaprzeczalną. Indziej wykazałem, jak krytycyzm Kanta pchnął filozofię niemiecką w idealistyczny panteizm i jak ten panteizm rozwijał się logicznie krok za krokiem u Fichtego, Schellinga, Hegla, a później w zmienionej tylko formie u Schoppenhauera i Hartmanna[1]. Panteizm ten rozmaicie może się przedstawiać w obec szkolnej spekulacyi: Fichte powie, że absolut jest jaźnią, Hegel powie, że ideą, Schoppenhauer i Hartmann, że wolą; ale w stosunku do życia przedstawia on się jednakowo: i Fichte i Hegel i Schoppenhauer i Hartmann powiedzą, że absolut dopiero w człowieku do świadomości przychodzi — a więc że ten rozum, którym myślimy ma godność i prawa absolutu; że państwo jest najwyższym tegoż absolutu objawem — a więc, że interes państwa jest najwyższym interesem, któremu wszystko na świecie podlegać winno; że wola państwa

[1] Filozofia i jej zadanie. Rozdz. III. i VII.

jest źródłem prawa — a więc nieograniczoną i wszechwładną; że wszystko co się dzieje, dzieje się koniecznie i rozumnie — a więc że fakt dokonany stoi na równi z prawem. Dwaj ostatni, jako pessymiści z natury, dołożą jeszcze, że prawo cierpienia i wzajemnego wyjadania się wszech istot, jest zasadniczem prawem wszechświata. Gdy więc w obec filozofa tej szkoły staje kwestya starcia dwóch granicznych narodowości, gdy zwłaszcza po jednej stronie stoi organizm państwowy zbliżający się coraz więcej do ideału jego filozofii, po drugiej coś, co w jego filozofii nie ma jeszcze imienia — nie dziwię mu się bynajmniej, że wydaje wyrok: tępić bezwzględnie! *(rücksichtlos germanisiren)*. Owszem, gdyby inaczej zawyrokował, powiedziećby trzeba, że się odezwała w nim *anima naturaliter christiana*, a nie jego filozofia, nie znająca nic nad siłą i interesem państwa.

Tendencya więc artykułu Hartmanna jest logicznie związana z zasadami filozofii, której on jest synem. Ale stąd nie wynika, żeby sam wywód jego rzeczy był logiczny. Broniąc złej sprawy, trudno inną bronią szermować, jak sofizmem i podniecaniem namiętności.

Szczep niemiecki, mówi filozof nieświadomości, który przez tysiąc lat przewagą swej „siły narodowej“ sąsiednie plemiona wypierał, dziś odwrotnie, traci grunt pod nogami, ustępuje: miasta, które do niedawna nosiły wybitne niemieckie piętno, jak Tryest, Praga i t. p., dziś już przybrały słowiański charakter. Tylko zachodnia granica Niemiec, przez odzyskanie Alzacyi i Lotaryngii i wyparcie sztucznego napływu francuszczyzny, została jako tako zabezpieczoną; lecz od wschodu i południa słowiański żywioł coraz dalej się posuwa a niemiecki się cofa. Cóż to ma znaczyć? Czy może już naród germański się przeżył i chyli się ku upadkowi? Zanim się z tą myślą zgodzimy, mówi Hartmann, patrzmy, jakie być mogą lokalne i czasowe powody tego zjawiska. Są zaś mianowicie trzy: wzmagająca się kultura Słowian, indyfferentyzm narodowościowy Niemców i Kościół katolicki. Pierwszy z tych czynników, uzasadnia Hartmann doskonale: nazywa wprawdzie literaturę ludów słowiańskich i Węgrów sztuczną, przypisuje rozbudzenie się narodowego poczucia agitacyom kilku przewódców — można mu wybaczyć, że z Berlina nie widzi, co się u Słowian dzieje i nie wie, co się

działo — lecz ostatecznie przychodzi do wniosku ze wszechmiar prawdziwego: że dawniej w pomienionych krajach żywioł niemiecki, choć w mniejszości będąc, rej wodził, bo w ogóle wyższą posiadał kulturę i „przy pomocy żydów mówiących po niemiecku“ zastępował stan średni, którego tym narodom brakowało; dziś zaś kultura w wyższych sferach tych narodów stanęła na równi z niemiecką i wyrobił się rodzimy stan średni, zdolny i potężny; skąd wynikło naturalnem następstwem, że słowiański żywioł począł się domagać równych praw, a zdobywszy je i będąc większością, uzyskał przewagę“.

Póty filozof rozumuje logicznie. Lecz odtąd zaczyna się sofistyka: pomieniony stan rzeczy tłumaczy, zdaniem Hartmanna, czemu żywioł niemiecki nie idzie już naprzód, ale jeszcze nie tłumaczy, czemu cofa się wstecz. Gdyby Niemcy tak samo bronili swych stanowisk, jak Słowianie i Madziary je zdobywają, musiałaby powstać równowaga, zbrojne *status quo;* musi więc być po stronie Niemców niedołęstwo a po stronie przeciwnej jakiś tajny sprzymierzeniec, t. j., jak się poniżej pokaże, Kościół katolicki. Dopiero powiedział Hartmann, że mniejszość niemiecka w słowiańskich krajach dzierżyła hegemonię, z powodu braku kultury i braku średniego stanu u Słowian, powiedział także, że te braki już ustały, że Słowianie dorównywują Niemcom: cóż stąd miało wyniknąć? Czy nienaturalną jest rzeczą, że mniejszość zstąpiła na stanowisko mniejszości a większość zajęła miejsce większości? jakaż logika pozwala wnosić, że usunięcie podstaw anormalnego stanowiska Niemców miało to stanowisko *in statu quo* utrzymać i tylko dalszym zapobiedz zdobyczom? Gdyby Hartmann badał objektywnie, jako filozof, powody tego zjawiska, które chciał nazwać *Rückgang des Deutschthums,* niezawodnie uznałby powyższą przyczynę za dostateczną; ale on tu występuje jako *Kulturträger,* a jako taki ma inną logikę: przyczyny, które dawały przewagę mniejszości niemieckiej, między Słowianami, ustały, to prawda; ale jednak dla tłumaczenia schyłku tej przewagi, trzeba jeszcze innych powodów: trzeba wyrzucić Niemcom niedbanie o swą narodowość, trzeba wystawić Kościół katolicki jako wroga niemieckiego szczepu: to bowiem prowadzi do skorszego germanizowania Słowian i zwalczania Kościoła. W tego rodzaju logice nie mieści się racya wniosku w premisach, lecz odwrotnie racya premis w zamierzonym wniosku, i w ten sposób rozumowanie jest zupełnie zrozumiałe.

Ale przystąpmy do szczegółów. „Podczas gdy inne narodowości, mówi Hartmann, występują zwykle zaczepnie i wojowniczo, Niemcy idą krok za krokiem, z wygody, z lenistwa, z chęci pokoju i obojętności, i to wszystko abstrakcyjnym idealizmem kosmopolitycznej sprawiedliwości i ludzkości wymawiać umieją“. Rozumiemy bez komentarza, co znaczy takie wyzywanie Niemców. Wyżej Hartmann powiedział, że w walce o przodowanie narodowości im twardziej, bezwzględniej, niesumienniej, fanatyczniej się postępuje, tem większe się ma widoki zwycięstwa, skąd wyprowadził wniosek, „że same cnoty niemieckiemu ludowi właściwe, jak poczucie sprawiedliwości i miłość pokoju w walce z brutalnymi wojowniczymi przeciwnikami, obracają się na jego niekorzyść. Nie chcę żadnej cnoty odmówić narodowi, który się do niej poczuwa; zamykam dla świętej zgody historyę pogranicza obu szczepów, od średnich wieków aż do pierwszej połowy naszego stulecia; robię tylko uwagę, że Hartmann temi słowy sam sobie zaprzecza: aspiracye bowiem, jakie w dalszym ciągu tego artykułu objawia, rady, które rządowi i narodowi daje, nie są nacechowane, „poczuciem sprawiedliwości i ludzkości“, ale „twardością, bezwzględnością, niesumiennością i fanatyzmem“. Czytelnik niebawem osądzi.

Lecz idźmy za porządkiem myśli Hartmanna. Trzecią przyczyną cofania się żywiołu niemieckiego ma być Kościół katolicki. Skądże to oskarżenie? cóż Kościół ma przeciwko Niemcom? Otóż Kościół katolicki, mówi Hartmann, idąc w obecnym wieku naprzód, usiłując odzyskać panowanie duchowe w świecie, jakie mu reformacya odjęła, spotyka się z jedną tylko potęgą, która mu się na wszystkich polach przeciwstawia, wszędzie łamie jego zapędy, a tą jest duch germański, duch w całej swej kulturze i we wszystkich produkcyach na wskróś protestancki. „Kościół zatem, tak mówi dosłownie Hart„mann, nietylko nienawidzi państwo niemieckie, bo jest cesarstwem „niemieckiem nienoszącem wędzidła Rzymu, ale też nienawidzi Niem„ców jako takich, bo wszyscy, o ile się narodową kulturą przejęli, „namaszczeni są duchem protestantyzmu, chociażby się jeszcze kato„likami nazywali... Niemiecki duch protestantyzmu sięga tak daleko, „jak kultura w Niemczech, a po za sferą panowania tego ducha kul„tury już nie ma“.

Nie w czas odzywać się z tą potwarzą na Niemcy. Hartmann jest o pół wieku w historyi zacofany i nie wie widać, ile życia ka-

tolickiego wre naokoło niego. Powtarza on to zdanie na pamięć za Stahlem i Rankiem, nie spostrzegając się, że od dawna wypadki zadały kłam temu poglądowi. Przed pół wiekiem w istocie życie katolickie w Niemczech, zdawało się marazmem porażone. Jakżeż mogło być inaczej? w największej części niemieckich państw protestantyzm dzierżył *absolutum dominium*, monopol uniwersytetów posiadał, każdy objaw katolickiego ruchu tłumił; w cesarstwie austryackiem władał jeszcze jozefinizm z towarzyszącemi herezyami febronianizmu; w katolickiej Bawaryi grasował illuminizm. Ziarno katolickiej nauki w jednych uczelniach i krajach siłą tępione, w drugich sztucznie zatruwane, nie mogło nawet nigdzie korzeni zapuścić, jakżeż miało wydawać owoce? Ale Duch, który wieje gdzie chce, roztopił te lody. Już w początkach wieku podnieśli sztandar nauki katolickiej Stolberg, Adam Müller, dwaj Schleglowie, Filips, Jarke, dwaj Görresowie. Pod ich tchnieniem powstały takie pierwszorzędne pisma, jak *Historisch-politische Blätter*, i takie świetne szkoły, jak teologów monachijskich i moguckich, liczące imiona jak Windischmann, Lassaux, Ringeis, Liebermann, Weiss, Räss i t. d. — Hartmann zna tylko takich przedstawicieli nauki katolickiej w Niemczech, jak: „Baader, Schelling, Günter, Balzer, Michelis". Ale Baader, to teozof gnostyk, Schelling z wyznania protestant; tamci trzej racyonaliści czystej wody, i o tyle w istocie protestantyzmowi pokrewni. Jakoż wyparła się ich nietylko Stolica św., jak mówi Hartmann, lecz i nauka katolicka Niemiec: stanęła przeciwko nim cała szkoła apologetów, chluba Kościoła w XIX. w.: Kleutgen i Möhler na czele, za nimi Kown, Daumer, Schrader, Binterim, Schneemann, Dieringer, Martin, Berlage, Tosi, Meyer, Heinrich, Muffang, Haffner, Drey, Trint, Ketteler, Hettinger, Greith. Pomijam już dogmatystów, patrologów, historyków Kościoła; wspominam tylko, że i świecka historya w Niemczech liczy katolickie imiona, jak Holzwarth, Weiss, Gefrörer, Jansen — i nauka społeczna, jak Ketteler, Bougratz, Albert, Jäger — i filozofia, jak Hagemann, Hertling, Gutberlet, Schneid, Pesch, Stöckel, Beissel, Lorinzer — i poezya, jak Eichendorf, Brentano, Purker, Schenk, Gedeon v. der Heide, W. Molitor, Weber, Joh. v. Geissel — i malarstwo, jak Gärtner, Peter v. Cornelius, Schwanthaler, bracia Veit, Schadow, Türich, Owerbeck, Achtermann — i muzyka, jak Weber i Lischt — i architektura, jak Langer, Voigtel, Ferstel, i t. d.

A po nad tem wszystkiem, punkt kulminacyjny umysłowości ludzkiej, polityka, szczyci się takim gronem, jak berlińskie centrum, jedną z najpiękniejszych rzeczy naszego wieku. Jakżeż w obec tych wszystkich objawów wygląda twierdzenie Hartmanna: *Die Bildung hört auf, wo das Herrschaftsgebiet des protestantischen Geistes aufhört?* Owszem jest to dowód, że duch narodu niemieckiego zachował głęboko swe pierwotne namaszczenie katolickie, skoro po trzywiekowej tyranii protestantyzmu, mimo braku uniwersytetów i szkół katolickich, mimo systematycznego ucisku rządów, w części wrogich, w części nieroztropnych, dziś tak bujne życie katolickie na wszystkich polach myśli i czynu samorodnie się rozwija.

Tak to Kościół, panie Hartman, zwalcza tego ducha niemieckiego, którego protestanckim nazywasz: nawraca go na katolicyzm; i dziś Niemcy bliżej są katolicyzmu, niż kiedykolwiek od reformacyi. Nie prowadzi zaś Kościół skrytej wojny przeciw Niemcom, jak potwarczo zarzucasz, nie ważąc się nawet jednym faktem poprzeć tej potwarzy; nie sprzysięga się z innemi narodowościami przeciwko niemieckiej; jeśli kiedy przemawia za niemi, to wiesz dobrze, że tylko w obronie pokrzywdzonych. Niema Kościół skrytych dróg, ale idzie naprzód otwarcie, wstępnym bojem, a w obec jego zwycięskiego pochodu cofa się, nie duch narodowy niemiecki, lecz to co z nim mylnie identyfikujesz, duch protestancki. Jeśli przez *Deutschthum* rozumiesz protestantyzm, toś za mało powiedział, że się cofa, bo jest w pełnym rozkładzie.

Ale przejdźmy już od motywów do praktycznych wniosków filozofa. Rozumując objektywnie i sumiennie, trzebaby powiedzieć, że skoro racyą przewagi żywiołu niemieckiego w miastach i prowincyach, w większości słowiańskich, była wyższość cywilizacyi Niemców nad Słowianami, a dziś ta racya ustała, to należy uznać odzyskanie przewagi przez Słowian w tych krajach za rzecz konieczną i sprawiedliwą. Rozumując przynajmniej logicznie, na podstawie trzech przesłanek, jakie Hartmann postawił, należałoby wywnioskować, że dla obrony zdobytego przez Niemców stanowiska, trzebaby przeszkadzać cywilizowaniu się Słowian, podniecać uczucia narodowe Niemców i zwalczać Kościół katolicki. Otóż Hartmann ani pierwszego — co łatwo pojąć — ani też drugiego rozumowania nie przeprowadza. Co powiedział o obojętności Niemców dla swej na-

rodowości, wystarcza, by wmówić kulturtregerom, że jeszcze za mało, za opieszale germanizują. Co narzucił o antagonizmie między Kościołem a narodowością niemiecką, wystarcza dla usprawiedliwienia imieniem filozofii i podsycenia kulturkampfu. O praktycznych wnioskach w tych kierunkach Hartmann milczy, rachuje widać na pojętnych czytelników. Jedyny wniosek, jaki stawia, jest: germanizować bezwzględnie w Księstwie Poznańskiem, na Szląsku i w Prusach zachodnich. Jakimże sposobem, jakim zakrętem logiki, z takich szerokich poglądów przyszło się do tak ciasnego wniosku? Otóż zakręt jest następujący.

W Austryi i Węgrzech, mówi Hartmann, stanowisko Niemców jest już nieodzownie stracone; poparcie moralne lub materyalne, jakiebyśmy im użyczyli, może tylko przedłużyć konanie; Austrya musi prędzej czy później zostać państwem słowiańskiem. Niebyłoby zaś w interesie cesarstwa niemieckiego dążyć do rozbioru Austryi, lub do oderwania od niej prowincyj niemieckich, bo część nierównie większa tej monarchii przeszłaby pod panowanie rosyjskie; a przez to Niemcy znalazłyby się w obec spotęgowanego wroga, bez naturalnego sprzymierzeńca. Więc, wnosi Hartmann, opłakujmy, ale znośmy, jako fatalność polityczną, ucisk Niemców przez Słowian austryackich.

Podobnież dajmy za wygraną sprawę niemieckości w prowincyach Nadbałtyckich Rosyi. Niemiecki żywioł posiada tam tylko miasta i stanowi arystokracyę ziemiańską; ale rząd go prześladuje, wskrzesza „sztucznie“ przeciw niemu patryotyzm ludu łotyskiego i fińskiego; większość tego żywiołu jest tak przeważna, że choćby państwo niemieckie posiadało te prowincye, nie uratowałoby ono mniejszości niemieckiej od niechybnej zagłady. Prowincye nadwiślańskie więcejby nam się zdały, jako wchodzące w sferę naszego handlu i naszej wojskowości. Atoli pókiśmy się nie uporali z germanizowaniem Księstwa Poznańskiego, nie możemy myśleć o zagarnieniu nowych prowincyj polskich, gdyż toby do reszty uniemożebniło parlamentarne rządy. Więc nic innego nam nie pozostaje, jak germanizować bezwzględnie prowincye polskie w skład niemieckiego państwa wchodzące. Będzie to odwet za rugowanie żywiołu germańskiego w krajach słowiańskich!

Tak Hartmann trafił do swej konkluzyi. Streścić można cały

ten wywód w dwóch słowach: tymczasem germanizujmy, co mamy w ręku. To „tymczasem“ dosyć wyraźnie przeziera, bo mimo pokojowych oświadczeń względem Rosyi, nie tai się apetyt do prowincyj nadwiślańskich, a jedyna przeszkoda do annekcyi wskazana w tem, że dotąd nie uporano się jeszcze z germanizacyą Poznańskiego. Pokojowe zaś oświadczenia względem Austryi ulegają znacznej modyfikacyi w dodatkowym liście, w Nrze 6 *Gegenwart*, gdzie wyraźnie czytamy: że Austrya mogłaby utracić Tyrol z milionem czysto niemieckiej ludności, bez uszkodzenia swego politycznego stanowiska: *avis au lecteur.*

Ostatni tego wywodu ustęp, to nawoływanie do odwetu, jest krwawą ironią, tem więcej oburzającą, że wygląda na pretensyę usprawiedliwienia proponowanych niegodziwości: tam Czesi lub Słoweńcy wypierają Niemców, za to tu karać Szlązaków i Poznańczyków! tam przez samo zrównanie praw i stosunków, żywioł niemiecki traci przewagę, którą wprzódy anormalnym zawdzięczał warunkom — sam Hartmann to uznaje — za to tu mniejszość napływowa ma na zabój rugować *(rücksichtslos ausrotten)* ludność rodzimą, w ogromnej większości kraj zalegającą, „póki choćby piędź ziemi „w całem państwie niemieckiem zostaje, coby nie służyła za dźwi„gnię narodowo-niemieckiej kultury“! I do tej krucyaty nowego rodzaju nawołuje Hartman gwałtownie. Spieszcie się, mówi, żeby się uporać z robotą, zanim Austrya przeobrazi się na państwo słowiańskie, bo wówczas (jak się to zgadza z politycznym poglądem na wstępie rozwiniętym?) stracimy nieodzownie te prowincye. Nie żałujcie niczego: „żadna ofiara pieniężna, choćby szła w miliardy, nie „powinna być dla nas za wielką, gdy chodzi o taki cel“. Nie krępujcie się żadnymi względami: „kto pojmuje jasno o co chodzi, „i o ile chodzi, ten sentymentalnym względom nie daje się powo„dować w obec politycznej konieczności“. Środki macie na podorędziu: „expropryacya wszystkich dóbr polskich — przerobienie ich „na wsie niemieckie — za pomocą premii rządowych zwrócić prąd „emigracyjny Niemców do posiadłości polskich — opróżniać te po„siadłości z polskiego ludu, wywabiając go premiami do naszych „kolonii — wszystkie posady administracyjne, wysokie i niskie, aż „do ostatniego żandarma i woźnego, obsadzać ludźmi wolnymi od „wpływu katolickiego, inaczej wykonanie ustaw i rozporządzeń, prze-

„ciw polskości i katolicyzmowi wymierzonych, w połowie pozostanie „komedyą — wreszcie, nadewszystko każdy Niemiec rozumieć po„winien, że właściwym nieprzejednanym wrogiem Niemców, jest Ko„ściół katolicki — że zatem żaden patryota niemiecki z Kościołem „tym paktować nie może, ale raczej aż do ostatniego tchu siły na„rodowej z nim walczyć powinien. Temu wszystkiemu podoła rząd, „byle mu towarzyszył w tej pracy entuzyazm opinii publicznej".

Nie ja wyciągam te praktyczne wnioski z poglądu Hartmanna, on sam je wyciąga; ja wypisuję dosłownie — wypisuję, niedowierzając oczom, żeby takie etyczne *monstra* wylęgały się z pod pióra myśliciela, piszącego z zimną krwią w gabinecie umysłowej pracy, a igrającego ze łzami milionów i urągającego sprawiedliwości, sumieniu, ludzkości. W końcu, darmo się dziwić i oburzać: kto postawił państwo za absolut, ten ma wszelkie prawo palić dla niego ofiary.

Do czegoż idziemy? Czy Niemcy przejmą się Hartmanizmem i czy go uskutecznią? To dwa odrębne pytania. Rząd byle jaki może się taką myślą przejąć, bo duch całego rządu mieszka nieraz w kilku, często w jednym człowieku. Ale naród na gruncie chrześcijańskim ucywilizowany nie może sobie takiej myśli przywłaszczyć. Niemcy mogli pójść *en masse* za Heglem, za Hartmannem już tak nie pójdą: bo tu już filozofia absolutu przebrała miarę *des Menschlichen*, a najgłębsze uczucia ludzkie muszą przeciwko tym wnioskom powstawać. Silny rząd, co prawda, może sam przez się ciężkie i boleśne wymierzać ciosy, komu chce; ale tylko wtedy działanie rządu bywa przemożne i tylko wtedy trwałe, kiedy ma za sobą ogół narodu. Rozumie to sam Hartmann i dlatego tak gorąco przemawia do opinii publicznej; żąda nawet od niej entuzyazmu dla tej idei. Jednak nie wątpić o tem, że napróżno nawołuje. Powiedziałem na wstępie, że idea filozoficzna początkuje zwykle wielkie prądy życiowe. Wszelako ta idea nie ma warunków potemu. Jeśli ona w pamięci ludzkiej zostanie, to chyba na hańbę ducha, z którego się wylęgła.

W końcu, przypuściwszy nawet, że całe społeczeństwo niemieckie przejęłoby się tą myślą zagłady, są jednak rzeczy na świecie, których żadna siła ludzka zniszczyć nie może. Czy taką rzeczą jest naród? Dosyć rzucić okiem na historyę, by zauważyć, że od czasów chrześcijańskich

narody posiadają jakąś siłę żywotną, broniącą je od zagłady, której starożytność nie znała; ale czy ta siła jest niespożytą? czy prawdziwem jest zdanie, już nieraz powtórzone: że narody chrześcijańskie są nieśmiertelne? Na pozór, wiele ludów ochrzczonych roztopiło się, zlało się z innemi, znikło z historyi. Ale to były dopiero materyały bezkształtne do utworzenia narodów. Narodem chrześcijańskim, w pełnem znaczeniu, jest lud, który na chrześcijańskim gruncie w dziejach wyrósł, wykształcił się i z właściwą sobie cechą ucywilizował. Byt polityczny, odrębny, służy zwykle do zaczęcia tej osobowości narodu, literatura doprowadza ją do samowiedzy, wspólny język i pochodzenie jednolite ułatwiają i potęgują jej spójność, wolność polityczna, czyli pewien udział narodu w kierowaniu swemi losami, potęguje znacznie jej świadomość i miłość w łonie narodu; ale właściwą jej twórczynią jest historya — a wyżej patrząc, Opatrzność Boża historyą kierująca. Bez któregokolwiek w szczególności z powyższych warunków mogą się pewne narody obejść — i obchodzą się — bez historyi, tj. bez historycznego rozwoju nie ma narodu. Chrystyanizm oczywiście nie jest narodowym, jak były religie pogańskie, ale on uświęca nierównie skuteczniej wszystkie czynniki narodowe: rodzinę i ojczyznę, prawa i obyczaje. Kiedy więc ten rozwój dziejowy odbywa się pod jego wpływem, przy pomocy instytucyi z jego ducha wynikłych, wówczas narodowość, ta głęboka, duchowa cecha i spójnia, jaka się w tym rozwoju wytwarza, nierównie głębsze w duszy zapuszcza korzenie; i z tego powodu byt polityczny, który w normalnych warunkach z takiej indywidualności narodowej wykwita, bywa nierównie trwalszy, niż w ogóle były państwa starożytne. Gdy zaś ten byt z jakichkolwiek powodów ginie, zostaje narodowość, o tyle jeszcze trwalsza od bytu politycznego, o ile istota duchowa trwalsza od ciała, które zewnętrznym podlega warunkom. Narodowość ta oczywiście tylko w wyższej, oświeceńszej warstwie tego społeczeństwa jest świadomą siebie; ale i w najniższej warstwie, w wiejskim ludzie, ma ona głęboką podstawę, osadzoną w jego tradycyach, zwyczajach, języku, w religii nawet, która acz powszechna, przybrała u niego właściwą mu zewnętrzną szatę.

Już wytępienie narodowości samowiednej w wyższej społecznej warstwie jest niełatwą rzeczą. Trzebaby na to albo zagłady tej całej warstwy, albo jej absorbcyi przez inną napływową narodowość.

Mamy w historyi przykłady i jednego i drugiego procesu. Ale taka zagłada nie jest możebną, jak tylko w stosunkach barbarzyńskich; absorbcya zaś suponuje taką różnicę między stopniami cywilizacyi obu narodów, jaka w dzisiejszej Europie nie istnieje. Wszelako, chociażby nawet ta wyższa warstwa jakiego narodu w całości zniszczoną, wypartą, lub jakimkolwiek sposobem przeistoczoną została, jeszczeby narodowość pozostała w nieświadomym stanie, w warstwie niższej, w ludzie, gdzie już niema sposobu jej wyrugować, a skąd prędzej czy później do świadomego życia powrócić musi. W istocie póki taki lud zostaje w ciemnocie, póty z niezrównanym konserwatyzmem zachowuje swą mowę, swe zwyczaje i podania; narodowość w nim, choćby wiekami, drzemie bezwiedna. Jednostki, które z takiego ludu wydobywają się ku wyższym sferom, zajętym przez obcy naród, przyjmują odrazu jego cechę i mowę; lecz i lud, z którego wyszli, ma ich za obcych. Skoro zaś taki lud wychodzi z ciemnoty, uczy się, zdobywa gęsto miejsca w wyższych sferach społecznych, wówczas niechybnie odnajduje narodową literaturę, otwiera tę arkę, w której przez wieki zamknięte były skarby myśli i uczuć jego przodków, wskrzesza swą dawną historyę, odczuwa czyny, chwały i bole zasypanych prochem pokoleń, zrasta się z nimi duchowo; nowa literatura nawiązuje się do urwanej przędzy... Nie potrzebuję wymieniać przykładów. Nasz wiek, w którym oświata do ludu dociera, dosyć nam nastręcza okazów takich wskrzeszonych, a właściwie obudzonych narodowości [1]. Darmo zaś szukam w historyi przykładu narodowości na chrześcijańskim gruncie wyrosłej, któraby do szczętu zaginęła. Przykładu takiego nie znajduję. Stoję więc przy wniosku na racyach i na faktach opartym, że narodowości chrześcijańskie są nie do zniszczenia.

Jakiż więc może mieć skutek gnębienie narodowości? Aspiracye

[1] Hartmannowi to zjawisko wydaje się sztucznie wywołanem; ale zapomina on, że sam na początku wskazał naturalną jego przyczynę: mianowicie, że w tym wieku oświata do niższych warstw ludu dociera, a tem samem drzemiące w nim ziarno do życia powołuje. Odezwanie się idei narodowej w ludzie nie jest nigdy sztucznem, jeśli ten lud był narodem, tj. jeśli miał historyę, bo taka narodowość nigdy w istocie nie zamarła; wypadki polityczne lub zabiegi pojedyńczych ludzi mogły co najwięcej przyspieszyć chwilę ocknienia, która z natury rzeczy nastąpić musiała. Sztucznem jest tylko wykrzesywanie narodowości z ludu, który nie był nigdy narodem.

narodowości mogą być rozmaite. Niektóre są tylko zachciankami narodowej dumy, ani z naturą, ani ze sprawiedliwością niezgodnemi: jak n. p. pretensya do hegemonii, gdzie się jest w znacznej mniejszości. Inne bywają sprawiedliwe, ale nie wynikają koniecznie z natury rzeczy: taką bywa n. p. aspiracya do samoistności politycznej u narodu, któremu takową niesłusznie odebrano, zostawiając mu przytem swobodny rozwój narodowego życia; taki naród nie ma wszystkiego, do czego ma prawo, ale ma wszystko, czego potrzebuje; może on nawet w takim stanie znaleść warunki korzystniejsze niż w samoistności, a wówczas z czasem zgodzi się nań stanowczo. Wreszcie są aspiracye narodowości naturalne i konieczne, których ona się domaga instynktowo, jak roślina domaga się powietrza, światła, przestrzeni do rozwoju jej naturalnego kształtu potrzebnej: takiemi są aspiracye do mówienia własną mową, do rozwoju własnej kultury umysłowej i własnych interesów materyalnych, do wytworzenia instytucyj społecznych, tym dwom celom odpowiednich, do użycia na korzyść narodu i stosownego umieszczenia zdolności, które każde jego pokolenie wydaje. Nie wspominam o aspiracyach religijnych, bo te są *hors ligne*, najistotniejsze i najsprawiedliwsze.

Otóż gnębienie tych ostatnich, wrodzonych narodowościom aspiracyi, nie może mieć oczywiście innego skutku, tylko wieczny ból, wieczne jątrzenie, szkodliwe narodowi gnębionemu, bo go demoralizuje, ale niemniej szkodliwe państwu gnębiącemu, bo go toczy jak rak i prędzej czy później mści się na nim srodze. W chwili kiedy Hartmann puszczał w świat swą odezwę, wzywającą Niemców do gnębnienia narodowości słowiańskich, wybuchy dynamitowe w londyńskiej Tower i Westminsterskim pałacu odpowiadały: co znaczy gnębić narodowość. W Irlandyi użyte zostały wszystkie nam znajome sposoby: ucisk religijny, kontrybucye pieniężne, rugowanie języka irlandzkiego, zamykanie szkół, nasyłanie i utrzymywanie kosztem ludu, protestanckiego duchowieństwa, prawa wyjątkowe skierowane umyślnie do ekonomicznego zrujnowania kraju, zniszczenie wyższej klasy, wykupywanie ziemi przez obcych za pomocą rządu, zalewanie kraju chmarą obcych urzędników a wypieranie krajowych ludzi z wszelkich stanowisk. I nie brakło Anglikom w tej robocie ani energii, ani konsekwencyi. Świadczą o tem: sala parlamentu, gdzie uradzano niegodziwe prawa, i wieża Tower, gdzie konały ofiary tych praw.

I cóż za rezultat? od r. 1796 Irlandya już nie zrobiła powstania, ale nie przestała być narodem odrębnym i wrogim. Udało się język irlandzki całkowicie wyrugować, ale mówiące po angielsku usta niemniej złorzeczą Anglii; i dziś powstają znów uczelnie i pisma, koła literackie, wznawiające stary język Erynu: żywa narodowość wskrzesza swój zamarły już język. Udało się kraj zubożyć, większą własność ziemską przeprowadzić w ręce angielskie, ale stworzono straszny pauperyzm i kwestyę agraryjną, z której dziś Anglia radaby choć miliardami się wykupić. Udało się wyprzeć z ojczyzny całe tłumy synów Irlandyi; ale ta emigracya uniosła za morza niezatartą pamięć doznanych krzywd i solidarność z ojczyzną, a pokazując w Ameryce, czego zdolny jej szczep wśród wolnej atmosfery, stała się potęgą groźną dla Anglii: dziś składa pieniądze na agitacye w Irlandyi, jutro może uchwyci ster rządu w Ameryce, a wtedy biada Anglii. Prześladowaniem religijnem nie udało się wprowadzić anglikanizmu, ale udało aż nadto zwichnąć katolickie uczucia i sumienia, zaszczepić na nich śmiertelną nienawiść, zdemoralizować ludność, otworzyć wrota pijaństwu, kradzieży i wszelkim występkom — i to w tym kraju, który się nazywał wyspą świętych!

Anglia od przeszło pół wieku uznała swój błąd, zniosła gnębiące prawa, wycofała narzuconą hierarchię. Ale zapóźno: zło, które trzywiekowy ucisk narodowości sprawił: zdemoralizowanie, pauperyzm, nienawiść rasowa, to zło zostało. I dziś, kiedy Anglia, mając do walczenia na wielu polach orężem i dyplomacyą, potrzebuje się skupić na tę ciężką przeprawę, okazać się jednolitą i silną — oto Irlandya przyklaskuje w swej prasie każdemu jej niepowodzeniu, podaje rękę jej wrogom, agituje w Ameryce; nietylko nie pomnaża siły państwa, którego jest ogromnym członem, ale samą obecnością swoją zaszachowuje jej szersze plany i hamuje silniejsze zamachy. Na domiar nieszczęścia, wszystkie najgorsze wydzieliny, po rozkładowym procesie prześladowań angielskich pozostałe: nienawiść, demoralizacya, pauperyzm, rozjątrzony patryotyzm, szał religijny zwichnięty — wszystkie się zlały w ten potężny spisek antysocyalny, którego okrzyk jest: śmierć Anglikom! a bronią, dynamit.

Anglicy przerażeni zarzucają stronnictwu narodowemu w Irlandyi, Parnelistom, że oni budząc ideę narodową, wywołali zbrodnicze zamachy Fenianów. Lecz Parneliści słusznie odpierają, że

idea narodowa nigdy w Irlandyi nie zamarła, a że dziś wyrodził się z niej taki potwór, to winni temu ci, co ją uciskali i uciskiem wywołali nienawiść, graniczącą z szałem i zdemoralizowanie, dochodzące do nieodróżniania zbrodni od poświęcenia.

Złą radę doprawdy daje Hartmann swemu rządowi. Każda narodowość, według jego planu prześladowana, zamiast zginąć, jak onby chciał, wytworzy w końcu coś potwornego, na nieszczęście państwa, które ją prześladuje. Każdy lud, gdy mu się odbierze lub uszczupli duchowną pomoc Sakramentów i kapłanów, gdy mu się zohydzi obcym językiem naukę w szkole i sprawiedliwość w sądzie, gdy mu się naszle ryczałtem obcych mową i wiarą posiadaczów ziemi i chlebodawców, gdy wychodzącej z jego łona młodzieży szkolnej zamknie się publiczną służbę i na tułactwo ją skaże, gdy wreszcie sama władza, to najwyższe uosobienie prawa, będzie mu wciąż dawać przykład bezprawia i gwałtu: to narodowości swej i tak on nie wyzuje, ale nasyci ją antysocyalnym jadem. I nasz lud, jakkolwiek moralnie najzdrowszy, prawy, spokojny, najsilniej dotąd pokuszenia socyalizmu odpierający, nie wytrzyma jednak bez końca ogniowej próby Hartmanowskiego systemu. I z naszego kraju w końcu — nie daj tego Boże! — zrobi się feniańską Irlandyę.

Z początku tego wieku — około r. 1835 — Gustaw de Beaumont, zbadawszy stosunki irlandzkie, przepowiedział w głośnem dziele *L'Irlande,* wszystko, co się obecnie w tym nieszczęśliwym kraju dzieje; zapowiedział nawet — co się dziś również naocznie spełnia — że i w Anglii przez reakcyę Irlandya zaszczepi radykalizm i urzędowy kościół anglikański podkopie. Dzieło Beaumonta zwróciło w swoim czasie powszechną uwagę, gruntownością swych wywodów; ale jakżeżby dumny Albion, na obu półkulach panujący, mógł uwierzyć, że mu w domu ostatnie grozi niebezpieczeństwo? Dziś, gdy do mocy wywodów historya dołożyła pieczęć faktów, może ci, do których Hartmann przemawia, będą roztropniejsi.

X. Maryan Morawski.

PRAWDZIWY UCZONY.[1]

Śmiejemy się dzisiaj z naiwności tych czasów, kiedy przypuszczano i wierzono powszechnie, że z mięszaniny podlejszych kruszców, lub innych rozmaitych ingredyencyj, essencyj, kwintessencyj, dodawszy do nich pewną dozę inkantacyj z całym tajemniczym procederem tradycyjnej alchemii, można otrzymać złoto, szczere złoto! szczyt ludzkich marzeń, synonim szczęścia ziemskiego żywota... A gdy dzisiaj wielka część uczonych, a z nimi liczny zastęp czytających i dzieła ich podziwiających, święcie w to wierzy, iż odpowiednia mięszanina kilku pierwiastków chemicznych materyi, że połączenia węgla z azotem, tlenem, wodem i siarką, ta nowożytną nauką stwierdzona materyalna kwintessencya ciał organicznych, z odpowiednią przymieszką nieorganicznych zasad i kwasów, wody i metali, wystarcza, żeby przy szczęśliwym zbiegu okoliczności samo z siebie wydała — nie złoto, ale rzecz stokroć cudowniejszą, bo żywą istotę... to cóż o tem sądzić? co powiedzą na to przyszłe wieki? Co więcej! gdy dzisiaj mamy całą szkołę uczonych, którzy wbrew wszystkim faktom i coraz nowym doświadczeniom, mając je wszystkie przeciw sobie, twierdzą śmiało, że pierwotne żyjątka na ziemi, monery czy protozoy powstały kiedyś samorodnie na dnie morza, nie inaczej jak krzyształy solne powstają z konieczności w rozczynie soli przy odpowiednich warunkach; że dalej z tych samych monerów czy protozoów z tą samą konieczno-

[1] Chociaż w dalszym ciągu tego poszytu Przeglądu znajduje się artykuł podobnej naukowej treści, o Darwinizmie, jednak zamieszczamy tu niniejszą pracę dla uwydatnienia antytezy między „prawdziwą uczonością“ Pasteur'a, a sztuczną sławą Darwina. *(Przyp. Redakcyi).*

ścią zapomocą onto — i filogenezy i późniejszych ewolucyj, descendencyi, dziedziczności i naturalnej selekcyi, jakoteż różnych adaptacyj i transformacyj z przymieszką nieodzownej walki o byt, przyszły na świat i rozrodziły się w kolei milionów wieków wszystkie najrozmaitsze rodzaje i gatunki ziemskiej fauny i flory nie wyjmując oczywiście także i człowieka — czyż to wszystko mniej naiwne od marzeń średniowiecznych alchemików?! owszem, obłęd to większy i stokroć dziwniejszy, boć łatwiej przecie było w średnich wiekach, przy ówczesnym poziomie nauk o przyrodzie przypuścić możliwość transformizmu pewnych substancyj w złoto, pewnej materyi w inną materyę, zwłaszcza gdy się nie wiedziało, że złoto jest jednym z pierwiastków, aniżeli przy dzisiejszym rozwoju nauk, chemii, fizyologii etc. uwierzyć w naturalną ewolucyę martwoty w życie, albo w transformizm monery w polipa, ryby w ptaka i t. d. To też kto wie, czy u potomności wiek nasz, a przynajmniej pewna szkoła naszych uczonych i myślicieli nie będzie wzbudzała kiedyś podobnego uśmiechu, z jakim my dziś wspominamy średniowieczną alchemię, lub czytamy metamorfozy Owidyusza.

To nas jednakże ratuje, że obłęd dziś nie jest powszechny — wiek nasz tem się odznacza, że umie w sobie pomieścić i najsprzeczniejsze opinie, a pomimo wszystkich awanturniczych hipotez, marzeń i zachcianek, obok nich prawdziwa nauka, umiejętność we wielkim stylu, kroczy poważnie naprzód nie oglądając się na żadne zwodnicze teorye, zdobywa sobie coraz to nowe skarby wiedzy wraz z praktycznem ich zastosowaniem, zaiste cenniejszem bez granic od wymarzonego złota alchemików. Marzeniom utopistów przeciwstawia się coraz gruntowniej, coraz poważniej prawdziwa umiejętność, oparta na samej rzeczywistości, kochająca tylko rzeczywistość, ale rzeczywistość całą i zupełną, odsłaniając nam ją, swą mrówczą pracą i cierpliwością, coraz lepiej, coraz wyraźniej, z mgły spostrzeżeń niepewnych, wniosków dorywczych i przedwczesnych systemów, a potęgując temsamem naszą nad przyrodą władzę. Jednym z bohaterów tak pojętej nauki, może dziś najdzielniejszym jest właśnie Ludwik Pasteur, z którym się tu nieco bliżej zaznajomić chcemy z pomocą książki o nim: *Histoire d'un savant par un ignorant.* Wydał ją niedawno bezimiennie bliski przyjaciel Pasteur'a, prac jego, pomysłów i odkryć nieodstępny świadek i powiernik, chcąc by i szersza

publiczność wglądnęła jak on bliżej, sympatycznem spojrzeniem, w całą działalność naukową znakomitego męża nauki i obywatela. Książka ta wywołała w *Révue des Deux Mondes* (z 15 grudnia 1884) obszerny artykuł p. Denys Cochin, uwzględniający jednakże przeważnie tylko praktyczną doniosłość odkryć p. Pasteur'a, chociaż sam p. Cochin przyznaje im także niezmierną ważność, odnośnie do teoryi ewolucyi życia na ziemi (str. 843). Otóż my właśnie z tej strony chcielibyśmy nieco bliżej dać poznać dzieło życia Pasteur'a naszej publiczności, w stosunku do głośnych dziś teoryj wysnutych z dzieł Darwina.

Ale jakiż może być związek między Darwinem a Pasteur'em, który jak wiadomo na innem pracuje polu? Fermenty wina, piwa, octu, etc, zaraza jedwabników, bydlęcy karbunkuł, cholera kurza, wreszcie wścieklizna i filoxera, to szerokie i ważne pole badań i odkryć, ale cóż to wszystko dotyczyć może teoryi Darwina? Rzeczywiście, Pasteur nawet nie jest fizyologiem z profesyi, ani zoologiem, ani też medykiem, nie zajmował się też nigdy w swoich pracach bezpośrednio tem, co darwinistów najwięcej zajmuje, nie pisał nic ani o pochodzeniu gatunków, ani o doborze płciowym, nadewszystko zaś nie polemizował nigdy z darwinizmem. Jest on poprostu mistrzem na dwóch cudownych dzisiaj instrumentach, jakiemi są retorta i mikroskop; im zawdzięcza on całą swoją sławę, a raczej tej niezrównanej sztuce, z jaką grać na nich i prawdę z nich wydobyć umie. Ale już zaraz pierwsze odkrycia Pasteur'a i cała późniejsza działalność jego naukowa, są tego rodzaju, że jeśli się ich znaczenie i wartość dobrze zrozumie, widzi się jasno, jak jak one teoryom kursującym dzisiaj pod nazwą Darwinizmu śmiertelny cios zadają, chociaż w nie wprost, umyślnie wcale nie godzą.

Na ten uderzający fakt chcąc u nas zwrócić uwagę, podjąłem niniejszą rozprawę.

I.

„Zacząłeś pan badanie od właściwego początku", powiedział słusznie *Renan* do Pasteur'a witając go przed dwoma laty jako nowego członka akademii paryskiej. Układ drobinowy materyi organicznej i nieorganicznej, różnice tegoż układu, czyli we-

wnętrznej struktury ciał t. z. mineralnych z martwej natury wziętych, a substancyi wyjętych z ciał niegdyś do żywych istot należących, te różnice subtelne, w krystalizacyi tak jednych jak drugich substancyj na zewnątrz się objawiające, a potem cały świat żyjątek mikroskopowych, ich początek i rola w naturze, oto sprawy leżące dla nas najgłębiej, rzec można na dnie dostrzegalnej natury. One też przedewszystkiem zajęły badawczy umysł Pasteur'a. I rzeczywiście, aby módz w obec natury, jako całości, zająć stanowisko prawdziwie naukowego badania, stanowisko niepoprzestające na najwyższym dogmacie Stworzenia, lecz usiłujące wglądnąć w najbliższe przyczyny zjawisk, a nie zgubić się przytem w dowolnych hipotezach, trzeba przedewszystkiem rozprawić się z tą naczelną i zasadniczą kwestyą: czy różnica między światem żyjącym a nieżywotnym jest tyko pozorną, jak chce dzisiaj wielu, utrzymując razem z Haecklem, że wszelka żywizna na ziemi tak samorodnie powstała jak krzyształy w swej macierzy, czy też przeciwnie ta różnica jest właśnie rdzenną, i przyrodę całą na dwie odrębne połowy dzieli, tak że nie masz i nie może być żadnej filiacyi między t. zw. martwą czy mineralną naturą, a życiem istot żyjących, choćby najniższych na ziemi.

Jeśli więc nauki przyrodnicze w obec dzisiejszego zamięszania pojęć metafizycznych mają na nowo zyskać grunt prawdziwy, właściwy dla siebie początek, z któregoby się dalej jako całość o wielu gałęziach normalnie mogły rozwijać, nie tracąc czasu na próżne dochodzenia i naciągania faktów w kierunku osobistych zachcianek i teoryj niektórych przyrodników, to przedewszystkiem zaczynać muszą od wyświecenia wedle możności tej sprawy dziś najbardziej piekącej: czy i o ile postać i zachowanie się materyi w t. z. martwej naturze, materyi jak ją znamy z fizyki, mechaniki i chemii, jednakową jest lub różną od postaci i zachowania się tejże samej materyi w ciałach istot żywych znanych nam z histochemii, histologii i z fizyologicznych doświadczeń.

Wszystkie powyższe nauki wykazują nam dzisiaj rzeczywiście jakby na wyścigi mnóstwo wspólnych cech i własności ciał istot żywych z ciałami życia wcale nieobjawiającemi. Chemiczna, pierwiastkowa identyczność tak jednych jako drugich jest stwierdzona; nie ma żadnego pierwiastku chemicznego w ciałach organicznych, któryby

nie znajdował się także i w otaczającym nas świecie ciał nieorganicznych; prócz tego jedne jak drugie ciała podlegają bezsprzecznie tym samym prawom fizycznym i mechanicznym, warunkując się wzajemnie we wszystkich swoich objawach. Stąd też wielka pokusa dla wielu umysłów, żeby w nauce między niemi żadnej nie robić różnicy, żeby jednakowo je traktować i organiczną, ustrojową postać ciał istot żywych upozorować jako zjawisko jednej kategoryi z krystalizacyą, a życie sprowadzić do praw czystego mechanizmu.

Jednakowoż kto tylko w badaniach i dochodzeniach swoich idzie do gruntu rzeczy i o tajniki natury zapytuje samąż naturę własnemi eksperymentami, a gotów jest przyjąć za prawdę to tylko, co mu natura sama opowiada i wskazuje, bez względu na barwę osobistych uprzedzeń i usposobień, ten pomimo wszystkich cech wspólnych martwego i żywego świata, prędzej czy później trafi także i na to, czem się oba te światy od siebie zasadniczo różnią, o nieprzepartą ich granicę jakby głową o mur uderzy. Mnóstwo na dowód tego możnaby przytoczyć przykładów; dosyć wglądnąć w rozwój prac naukowych najznakomitszych fizyologów naszego wieku, jak Virchow i Claude Bernard.... ale przejdźmy już do Pasteur'a. Jego dzieła, to nie książki łatwo poczytne, ale czyny, tysiączne próby, dochodzenia i doświadczenia w laboratoryach, w małej stosunkowo części już wprost do odkryć i zdobyczy prowadzące, w rocznikach Akademii zapisane. Odkrycia te nie tyle praw ogólnych ile faktów powszechnych dotyczące, dają się streścić w kilku zdaniach, lecz droga do nich była tak mozolna, tyle wymagała trudu i cierpliwości, że tomy spisaćby trzeba, by dać o niej niejakie wyobrażenie, nie mówiąc już o genialności, jaka do samego podjęcia tych prac i należytego ujęcia każdej kwestyi tak, żeby decydującą otrzymać odpowiedź, koniecznie tu była potrzebną. Praktyczna zaś doniosłość i wartość odkryć Pasteur'a zaledwie może pracą kilku następnych pokoleń wyczerpaną i na pożytek ludzkości należycie wyzyskaną będzie.

Zacząłeś pan badać naturę od prawdziwego początku, mówił Renan, pytałeś naprzód krzyształów o sekret ich pozornych kaprysów, mianowicie co do łamania światła i co do subtelnych różnic w ich postaciowości. Kiedy Pasteur był jeszcze profesorem fizyki w szkole normalnej w Paryżu jako 20-to kilkuletni młodzieniec, drobna no-

tatka sławnego mineraloga niemieckiego Mitscherlicha nadesłana Akademii paryskiej, zbudziła jego umysł badawczy do pierwszego odkrycia. Mitscherlich utrzymywał, że niektóre kwasy i sole, tartraty i paratartraty o zupełnie identycznym składzie chemicznym, jakoteż układzie molekularnym i o jednakich, jak sądził krystalicznych postaciach, tem się jedynie od siebie różnią, że inaczej zachowują się w obec światła: bo jedne całkiem są obojętne, inne odwracają plan polaryzacyi w prawo lub w lewo. Uczniowie Biot'a, Dumas'a i Delafosse'a wnikających jak najgłębiej we wnętrzną strukturę drobinową ciał stałych i płynnych, nie mogło się to pomieścić w głowie, żeby ciała zupełnie odrębnie zachowujące się w obec światła, mogły być zresztą pod wszystkiemi innemi względami zupełnie identyczne. Począł więc robić z temi rzekomo równokształconemi substancyami przeróżne eksperymenta, których nie będę opowiadał, wymagają bowiem szczegółowych wiadomości z chemii, optyki i krystallografii. Dosyć, że po kilkoletnich najrozmaitszych zestawieniach, próbach, porównaniach i obserwacyach, przekonał się wreszcie, i złożył tego niezbite dowody przed areopagiem uczonych, że substancye łamiące światło ze zboczeniem planu polaryzacyi na prawo lub na lewo, także i pod względem postaci krzyształów z nich otrzymanych nie są wcale i d e n t y c z n e, jak utrzymywał Mitscherlich, ze substancyami podobnemi, a obojętnie zachowującemi się w obec światła; te ostatnie bowiem dają nam krzyształy zupełnie s y m e t r y c z n e, tamtych zaś krzyształy są n i e s y m e t r y c z n e w rozkładzie swych kątów i osi, są niejako prawe i lewe, tj. mają się do siebie tak jak nasze ręce prawa i lewa, niby zupełnie jednakowe a przecież tak różne, że rękawiczki z ręki prawej żadną miarą nie można włożyć na lewą i że odbicie w zwierciadle ręki prawej daje nam obraz ręki lewej i na odwrót. Tego rodzaju krzyształy prawe i lewe, a więc w sobie i względem siebie nawzajem asymetryczne, jakoteż nieodłączność tego zjawiska asymetryi krystalicznej od tych właśnie substancyj, które objawiają zboczenia w planach polaryzacyi światła na prawo lub na lewo, Pasteur pierwszy odkrył, sprawdził i unaocznił, a stary Biot, który przez całe życie wskazywał uczniom swoim na ważność zjawiska polaryzacyi światła w substancyach chemicznych jako na klucz do zrozumienia wewnętrznego ustro,u materyi, przyjął to

odkrycie z bijącem sercem [1]. Rozumiemy to bardzo dobrze że już samo stwierdzenie faktu dotąd nieznanego mogło do głębi poruszyć fachowego przyrodnika, lecz nam dopiero wtedy serce mocniej bić zaczyna, gdy idąc dalej za doświadczeniami Pasteur'a, dowiadujemy się, jakie to ważne, całej natury dotyczące prawo poza tym prostym faktem się kryje. Dowiódł bowiem Pasteur mnogiemi experymentami, że tylko substancye wyjęte z ciał istot żyjących, a mianowicie t. z. substancye tkankorodne, organoplastyczne, te które przy wytwarzaniu się żywych organizmów najczynniejszą grają rolę, polaryzują ze zboczeniem planu polaryzacyi na prawo lub na lewo, jakoteż dają nam krzyształy niesymetryczne, tj. niepodzielne żadnym przekrojem na dwie połowy zupełnie do siebie przystające, ani też przystające do swych obrazów w zwierciadle, jednem słowem *non superposables;* wszystkie zaś inne substancye chemiczne, bądź wprost z martwej, mineralnej natury wzięte, bądź sztucznie z pierwiastków chemicznych w laboratoryach złożone, nie przedstawiają nigdy same z siebie zjawiska zboczeń w polaryzacyi i krystalizują zawsze symetrycznie, tj. w zwykłych stereometrycznych równoległobokach, których lewa i prawa strona od osi zupełnie są do siebie przystające, i których obrazy w zwierciadle nakrywają się, są *superposables,* z rzeczywistością.

Mamy tu więc nową, niezbicie przez Pasteur'a ustaloną, linię demarkacyjną między światem materyi organicznej, przez życie istot żywych upostaciowanej, a światem materyi mineralnej czyli nieorganicznej, li tylko mechanicznym prawom podlegającej.

„A więc jestto już dzisiaj ugruntowaną prawdą, mówi słusznie biograf Pasteur'a, że wszystkie płody natury mineralnej i wszystkie ludzkie sztuczne fabrykaty nie mają dyssymetryi w swoim molekularnym układzie, przeciwnie zaś substancye organiczne biorące udział w objawach życia roślinnego lub zwierzęcego, obecne i czynne już w ziarnku lub w jajku obdarzonem cudowną mocą rozwoju w roślinę, lub zwierzę, posiadają wnętrzną dyssymetryę molekularną. Czyż można wskazać głębszą i bardziej namacalną różnicę między

[1] Mon cher enfant, j'ai tant aimé les sciences dans ma vie que cela m'a fait battre le coeur — zawołał Biot, gdy mu Pasteur przedłożył swoje krzyształy prawe i lewe.

światem ciał jestestw żyjących, a nieżywotnym tworem natury, wraz z tysiącznemi wyrobami syntezy chemicznej w różnych laboratoryach, których liczba z każdym dniem się wzmaga"? A więc, idąc dalej, wiemy teraz, że siły molekularne w materyi anorganicznej w grze będące, z natury swojej działają symetrycznie, skoro drobiny tejże materyi w swych połączeniach chemicznych zwierają się same z siebie, według praw swoich w symetryczne aglomeraty. Przeciwnie zaś siła obecna w każdem ziarnku kiełkującem, w każdym rozwijającym się zarodku zwierzęcym i t. d. widocznie z natury swojej działa dyssymetrycznie, układając drobiny materyi w postacie objawiające wnętrzną molekularną asymetryę w swej polaryzacyi i krystalizacyi w kształtach prawych i lewych, t. j. do siebie wprost nie przystających tak, jak rękawiczka z lewej ręki nie przystaje do prawej. I właśnie ta, że się tak wyrażę: p r a w o ś ć i l e w o ś ć w upostaciowaniu ciał organicznych, odsłonięta nam przez Pasteur'a w tychże ciałach jako ich najgłębsza, specyficzna właściwość, w przeciwieństwie do materyi anorganicznej, stwierdzona jako niezatarte znamię, jako widome piętno, wyciśnięte li tylko na tej materyi, która służyła życiu jestestw żyjących i nawet śmiercią z niej niezmazana, — stanowi zasadniczy przedział, głęboką różnicę między światem bez życia, a żywą naturą.

Ale jakżeż wytłómaczyć sobie to zjawisko dyssymetryi w układzie molekularnym ciał istot żywych? Pasteur z początku nie wahał się twierdzić, że musi to być wynikiem jakichś wielkich fenomenów kosmicznych. „Wszechświat, mówił on raz w Akademii paryskiej, musi być całością dyssymetryczną, myślę więc, że życie na ziemi, musi być funkcyą powszechnej dyssymetryi świata, albo też następstwem, jakie ta dyssymetrya świata za sobą pociąga"... „Świat jest dyssymetryczny, mówił dalej; gdyby nasz system słoneczny, w jego właściwych mu obrotach można zobaczyć w źwierciadle, przedstawiłby on nam obraz nieprzystający do jego rzeczywistości (non superposable à la réalité), tak jak ręka prawa w źwierciadle daje obraz lewej. Ruch światła słonecznego jest dyssymetryczny, nigdy promień słoneczny nie pada w prostej linii na liście rośliny wytwarzającej materyę organiczną. Magnetyzm ziemski, przeciwieństwo między biegunami północnym i południowym, jakoteż elektryczność ujemna i dodatnia, wszystko są to wyniki działań dyssymetrycznych"... We

wyobraźni Pasteura, porwanej tą hipotezą, zabłysła nawet na chwilę nadzieja, że gdyby człowiek stał się panem tychże działań dyssymetrycznych wszechświata, tak jak poniekąd panuje już nad symetrycznym układem drobin chemicznych połączeń, mogąc je dowolnie nietylko rozkładać, lecz także je składać, kierować i posługiwać się niemi według upodobania, natenczas mógłby człowiek stać się wielkim, stać się panem życia, jak dotąd jest na ziemi tylko panem śmierci, bo może zabić, nie może choćby najmniejszej istoty żywej, z martwej materyi do życia powołać... „Gdyby tedy przez stosowne nakierowanie asymetrycznych działań kosmicznych, na początek przynajmniej tyle dokazać można, żeby krzyształy lewe dowoli przemieniać na prawe i na odwrót, albo gdyby można w roślinach odwracać molekularny wir ich materyi pośród życia, nadając mu przeciwny kierunek... byłoby już wiele, sukces na tej drodze mógłby dać człowiekowi moc wytwarzania substancyi organicznych całkiem odrębnych od tych, jakie są dzisiaj, a kto wie, czy z czasem na tej drodze nie możnaby dojść do przekształcenia istniejących gatunków roślinnych i źwierzęcych po swej myśli na zupełnie nowe, dotąd niebywałe... Gdybym tak zdołał, myślał Pasteur, w żywych komórkach ich cellulozę, ich białko i t. d. zastępować powoli cellulozą, substancyą białkowatą, odwróconą, sztucznie w mem laboratoryum wytworzoną... jakże dalekie odsłoniłyby mi się horyzonty!“... I tak Pasteur, który nie cofał się przed żadnem doświadczeniem, przed żadną swoją, jak to zwykł nazywać, *idée préconçue*, póki eksperyment nie powiedział mu, co ona warta, wymyślał różne przyrządy, potężnym magnesem działał na proces krystalizacyi, próbując tym sposobem symetryczny układ molekularny materyi zmienić w dyssymetryczny, a tem samem materyę mineralną zmienić w organiczną, heliostatem, sztucznemi źwierciadłami odwracał działanie promieni słonecznych, na pewne rośliny od początku ich kiełkowania, usiłując tym manewrem przemienić kierunek procesu ich wegetacyi na przeciwny... Zaiste śmiałe porywy ludzkiego geniuszu! Ale im więcej Pasteur robił podobnych doświadczeń, a robił ich niemało przez lat kilka, przy swojej zmyślności i cierpliwości bez granic, tembardziej utwierdzał się w przekonaniu, że już w samym zarodku organicznym tkwi coś, jakaś wnętrzna, dyssymetrycznie działająca potęga, która nie daje się zbałamucić

żadnym zewnętrznym wpływem, której działanie można stłumić zabijając zarodek, ale pokierować niem, wbrew jego własnym przyrodzonym tendencyom zapomocą zewnętrznych machinacyj — nie można. Tem mniej więc można myśleć o tem, żeby wprost z materyi mineralnej, symetrycznej, przez skierowanie na nią działań kosmicznych (światła, magnetyzmu, elektryczności i t. d.), choćby, jak sądził Pasteur, asymetrycznych, otrzymać sztucznie substancye molekularnie asymetryczne, czyli organiczne. „Ach gdyby samorodztwo było prawdą! gdyby było faktem rzeczywistym, wołał Pasteur w duszy swojej, gdyby istotnie można stwierdzić, że w naturze żywe istoty, choćby najmniejsze, mogą w odpowiednich warunkach powstawać same z siebie, wprost z materyi nieżywej, i gdyby było to w mocy człowieka postawić martwą materyę w takich warunkach, żeby musiała wytwarzać żyjątka — wtedy co innego! wtedy człowiek mógłby zapanować nad życiem, mając je w swej mocy od pierwszego początku". I tak poznał Pasteur, że kroku naprzód postąpić nie może; że granic mocy ludzkiej nad przyrodą nie zbada, póki nie rozprawi się z kwestyą samorodztwa *(generatio spontanea)*, w niej bowiem ujrzał klucz zagadki świata dla człowieka. A chociaż mu z wielu stron odradzano, żeby nie będąc fizyologiem, dał temu pokój i nie puszczał się na bystrą wodę kwestyi życia, nie zważał na to, i wziął się z całym zapałem do zbadania sprawy samorodztwa.

II.

Trafnie powiedział Claude Bernard, że nauki fizyologiczne, nauki o tajemnicach życia są wspaniałym salonem, do którego jednakże niemasz innego wejścia, jak przez kuchnię obrzydliwą. To też i do zbadania subtelnej i zawiłej kwestyi samorodztwa *(de generatione spontanea)* nie było dla Pasteur'a innej drogi, jak przez odrażające dla nas zwykłych śmiertelników studya nad zgnilizną i fermentacyą.

Jest to powszechnie wiadomą rzeczą, że gnijące trupy toczy robactwo, że, jak mówi poeta: „robak się lęgnie i w bujnym kwiecie". Od czasu mikroskopów nie mniej i to jest powszechnie wiadomem, że przy fermentacyach octu, piwa, wina, ciasta, sera i t. d., pojawiają się drobniuchne żyjątka we fermentujących płynach lub masach.

Zdawałoby się rzeczą najprostszą na pierwszy rzut oka, że w niczem innem, jak właśnie w tych żyjątkach nauka szukać musi powodu procesu, który nazywamy gniciem lub fermentacyą. Tymczasem chemia, od wielkiego Liebiga począwszy, inną ustaliła teoryę gnicia i fermentowania, teoryę, która powszechnem w nauce cieszyła się wzięciem. Ponieważ nic nie gnije ani nie fermentuje bez zetknięcia sie z powietrzem, a więc oczywiście powietrze, a mianowicie tlen powietrza, łącząc się z azotem wystawionych na powietrze ciał białkowatych i innych organicznych substancyj, powoduje w nich rozkład. „Tlen powietrza jest *primum movens* i dostateczną przyczyną tłumaczącą nam zjawiska fermentacyi", twierdził Liebig, a liczne eksperymenta, dawniejsze Gay-Lussac'a i późniejsze Apperta, wykazujące, że brak przystępu powietrza konserwuje substancye organiczne od zepsucia na długie lata, zdawały się nie pozostawiać cienia wątpliwości co do teoryi Liebiga. Wprawdzie w Niemczech Schwann a we Francyi Cagnard-Latour, później zaś chemik Dumas i inni zwracali niejednokrotnie uwagę na to, że kto wie, czyli dostrzegalne przy różnych fermentacyach bujne życie organiczne mikroskopijnych żyjątek nie stanowi właściwej istoty i przyczyny fermentu; Liebig jednakże z wielką wzgardą występował przeciw takim hipotezom, mówiąc, że ci, co zjawisko fermentacyi przypisują działaniu żyjątek mikroskopowych, wydają mu się równie naiwnymi jak dziecko, które prąd wody Renu z Moguncyi ku Bingen tłumaczy sobie licznych kół młyńskich obrotem, pędzącym wodę w tym kierunku, bo wiele młynów widać w Moguncyi nad rzeką". A ponieważ nie przy każdej fermentacyi zdołano dostrzedz istnienie wibrionów, więc rzeczywiście mógł dalej utrzymywać Liebig z całą powagą, że jest to tylko zjawisko akcesoryczne, które raczej przeszkadza niż dopomaga procesowi fermentacyi. Z tem samem lekceważeniem, ufny w nieomylność swej teoryi, traktował także Liebig i Pasteur'a, gdy tenże przeniesiony z Paryża do Lille na dziekana fakultetu nauk ścisłych (w r. 1854) w rozpoczętych tamże studyach nad fermentacyą, do innych wcale niż Liebig dochodził rezultatów. Ale uczeń Dumasa nie dał się zbić z toru swoich badań, a kilkuletnie coraz nowe eksperymenta z piwem, winem, octem, mlekiem i t. d., pośród ciągłych walk za każdym krokiem z pierwszemi powagami naukowemi Niemiec i Francyi, przekonały wreszcie świat

cały, że wszelki ferment jako też i gnicie jest dziełem, nie powietrza, nie tlenu, lecz mikroskopowych żyjątek czyli mikrobów, i to dwóch odrębnych kategoryi, t. z. aerobów i anaerobów, z których pierwsze jak my oddechają powietrzem, podczas gdy dla drugich samo zetknięcie się z powietrzem jest zabijające. „Mniejsza o to, mówił Pasteur, czy późniejsza nauka policzy anaeroby do rzędu zwierząt czy roślin, dość, że są to istoty żyjące bez powietrza i są fermentem".

Pasteur odkrył więc nowy świat, trzecie królestwo istot żyjących bez powietrza i wykazał w tysiącznych doświadczeniach, jak właśnie najmniejszym żyjątkom, tak aerobom jak anaerobom, zawdzięczamy wielkie zjawiska fermentacyi, jako też rozkład zupełny wszystkich ciał organicznych, pozbawionych życia na powierzchni naszej ziemi, która bez olbrzymiej pracy tych maluczkich grabarzy, a raczej bez tych konsumentów zwłok wszelkiej żywizny, pożerających też i siebie nawzajem, już dawno stałaby się była cmentarzyskiem zarzuconym trupami nigdy niegnijącemi, niezdolnym do dźwigania swej pięknej flory i fauny i ludzkiego rodzaju.

Po takiem odkryciu, niejeden byłby poprzestał na samem stwierdzeniu faktów, jak to dzisiaj jest modą. Ale dla Pasteura nie dosyć było odsłonić nam ten świat nowy, przez najlepsze mikroskopy za ledwie dostrzegalny, w jego czynnej a tak ważnej roli na naszym globie, pomocnej nam prócz tego i w naszych codziennych potrzebach, gdyż najzwyklejsze pokarmy i napoje właśnie pracy tych malców, t. j. fermentom zawdzięczamy. Pozostawała zawsze jeszcze do rozstrzygnięcia wielka kwestya, zkąd się te żyjątka biorą? jak powstają te maluczkie organizmy, rozradzające się w danych korzystnych warunkach z fenomenalną szybkością na miliony i miliardy w przeciągu dnia jednego? jak powstają te mikroby w substancyach gnijących i fermentujących? czy wprost z tychże substancyi wskutek samorodztwa? czyli też ze zarodków, jak wszystko co żyje na ziemi? a jeśli ze zarodków, zkąd się biorą zarodki? Oto pytania, które przy studyach nad fermentacyą nieustannie dręczyły Pasteur'a, gdyż jako głębszy badacz nie zadowalniał on się nigdy samem stwierdzeniem faktów, lecz szukał także w zwartym szeregu zjawisk przyrody i sprawczej, najbliższej przyczyny tego, co odkrywał.

W r. 1857 powołany został Pasteur z Lille napowrót do Paryża, na profesora do tej samej szkoły normalnej, w której był uczniem i asystentem i gdzie pierwsze robił odbrycia. Skąpe naówczas za drugiego cesarstwa ministeryum oświaty w udzielaniu funduszów na naukowe cele, nie dostarczyło mu ich na urządzenie odpowiedniego laboratoryum. Pomimo tego jednakże, własnemi środkami sobie pomagając, zabrał się właśnie wtedy do ostatecznego rozprawienia się z kwestyą samorodztwa.

Czasy wiary w samorodztwo rozmaitych zwierząt na ziemi, wiary utrzymującej się od Arystotelesa przez całe średnie i późniejsze wieki, aż do Buffona włącznie — bo i on wierzył jeszcze w samorodztwo — były już dawno minęły, lecz wyłącznie co do żyjątek mikroskopowych górowało jeszcze wówczas przekonanie, że powstają w odpowiednich warunkach w skutek samorodztwa. Myliła się nauka, myślano sobie, wierząc przez czas długi w samorodztwo żab, pijawek, ślimaków, myszy, jakoteż różnych owadów, lecz co do mikrobów, jakżeż wytłumaczyć sobie ich obecność we wszystkich gnijących ciałach zwierzęcych i roślinnych, jeżeli nie przez samorodztwo? Wprawdzie spostrzeżenia włoskich badaczy jak *Redi* i *Spallanzani* i późniejsze eksperymenta Ehrenberga wskazywały, że i te żyjątka nie są wyjątkami z pod ogólnego prawa: *omne vivum ex ovo*. Lecz najnowsze wówczas doświadczenia panów Pouchet i Joly zdawały się zrazu stanowczo przemawiać za samorodztwem mikrobów. Tak stała kwestya, gdy Pasteur zabierał się do bliższego jej zbadania według swej metody. Gdy stary Biot, przyjaciel i powiernik Pasteur'a dowiedział się o tem, odradzał mu, żeby nie puszczał się na tak niebezpieczną drogę. „Nie wyjdziesz z tego cało, mówił mu, stracisz czas niepotrzebnie na awanturniczem przedsięwzięciu". Także i Dumas, choć bardziej skłonny do podobnych dociekań, radził, żeby za długo w tym przedmiocie się nie pogrążał. Senarmont jedyny z kolegów i przyjaciół Pasteur'a, mówił do Biot'a: „Dajcie mu pokój, bądźcie o niego spokojni, jeśli nie znajdzie nic na tej drodze, nie zabawi się na niej długo; ale, dodał, dziwiłbym się, gdyby Pasteur nie odkrył i tu czegoś nowego". Że rzecz była na czasie, najlepszym dowodem tego konkurs akademii paryskiej, rozpisany właśnie w r. 1860, zalecający, „aby przez trafne eksperymenta rzucić nowe światło na

kwestyę samorodztwa". I wnet rozpoczął się turniej uczonych o rodowód najmniejszych żyjątek na ziemi.

„Przeciwnicy samorodztwa, mówił Pouchet, największy samorodztwa zwolennik, sądzą, że powietrze przepełnione jest zarodkami mikrobów, powietrze unosi je, roznosi i rozsiewa, a gdy padną na grunt sobie odpowiedni, rosną i rozmnażają się jako na urodzajnej glebie roślinne nasiona. Dobrze! ale cóż powiedzą na to przeciwnicy samorodztwa, jeśli ja powietrze atmosferyczne zastąpię powietrzem sztucznie złożonem w mojem laboratoryum, i jeśli pokażę, że nawet w zetknięciu li tylko z takiem powietrzem, które wcale zarodków mieć w sobie nie może, substancye organiczne zarojà się życiem mikroskopowych wibrionów?" Żeby tego dowieść, Pouchet napełnił flaszkę wrzącą wodą, zakorkował ją hermetycznie i zanurzył otworem na dół w naczynie żywem srebrem napełnione. Gdy się woda oziębiła, odkorkował flaszkę bardzo ostrożnie, nie wyjmując jej z rtęci i wpuścił do niej pół litra gazu tlenu czystego. Mając w naczyniu li tylko czystą wodę przegotowaną i tlen, wprowadził doń następnie małą wiązeczkę siana ogrzanego pierwej od 100 do 300 stopni Celsyusza. Po ośmiu dniach siano okryło się pleśnią, świeżą wegetacyą! zkądże się ona wzięła? cóż przyniosło zarodki tego nowego życia, jeśli mówią, że litylko ze zarodków życie powstać może? przecież nie były one w tlenie, ani we wodzie tak przegotowanej, że wszelki w niej zarodek zniszczeniu uledz musiał, ani w sianie przez tak wysoką temperaturę z wszelkiego życia oczyszczonem. Pleśń więc nie mogła tu inaczej powstać, jak przez samorodztwo wywołane samem zetknięciem się ze sobą powyższych we flaszce zawartych substancyj.

Tryumf Poucheta zdawał się być oczywistym. Ale Pasteur pobił go własną jego bronią, rozpoczynając badania swoje od tegoż samego zmyślnego eksperymentu. I była to uroczysta chwila, gdy po wielu próbach mógł wreszcie Pasteur w pamiętnej prelekcyi swojej w Sorbonie w r. 1864 w obec świetnej publiczności z uczonych, filozofów, księży, literatów i dam wielkiego świata złożonej, podzielić się z całym światem wynikami prac swoich. „Tak jest, mówił z zapałem w kulminacyjnem miejscu swojej lekcyi, eksperyment p. Pouchet wydaje się bez zarzutu, a jednak pokażę, że jest w nim błąd, którego nie dostrzegł p. Pouchet, jak nie dostrzegł go również

nikt przedemną, a ten błąd robi zeń eksperyment tak zwodniczy, takiej wartości, jak niegdyś ów garnczek Van Helmonta zatkany brudną szmatą, z której w nim samorodnie miały powstać myszy. Pokażę państwu zaraz, którędy tu myszy wlazły“... I skinąwszy, żeby zamknięto okiennice, zostawiając w jednej tylko małą szparę, wskazał na wiązkę promieni światła wpadającą do sali pośród ogólnej ciemności i przepełnioną rojącą się i połyskującą kurzawą. „Pan Pouchet, mówił dalej Pasteur, o wszystkiem pamiętał, zapomniał tylko o tym kurzu, który unosząc się w powietrzu, na wszystkiem się osadza, a więc i na rtęci, której używał do swoich doświadczeń, być musiał. Zniszczył on zarodki we wodzie, w sianie, ale nie zniszczył ich w tej rtęci, która tu niby naczynie od atmosfery izolować miała, a w rzeczy samej przez nią dostały się zarodki do siana, zasiały się w niem i wyrosły w pleśń zieloną“.

Pasteur stwierdził to mnóstwem jak najściślejszych experymentów, że kurz, który bawi nas nieraz, gdy patrzymy na jego wiry i tańce w smudze jasnych promieni słonecznych od okna bijących, a który Demokryta naprowadził na teoryę atomistyczną, nie jest wszystek tylko martwą kurzawą bez życia. Gdy weźmiemy go pod mikroskop, znajdujemy w nim obok strzępków i różnych odpadków, błyszczące krzyształki mineralne, a prócz tego wiele, trudnych do rozpoznania, a jednakże niezawodnych ziarnek i zarodków gotowych do życia i mnożenia się, gdy tylko padną na odpowiednią im glebę, jaką w najwyższym stopniu są wszystkie ciała jestestw organicznych pozbawionych życia. W nich też zasiewają się one i wywołują nowe bujne życie, składające się na to, co my nazywamy fermentacyą lub gniciem. Nie powietrze więc, nie tlen, nie ozon, ani żadne gazy, nie elektryczność, ani magnetyzm, nie żadna materya ani żadna z tajemniczych sił przyrody wytwarza zarodki i żyjątka mikroskopowe świata, nie powstają one samorodnie wprost z materyi, choćby nawet organicznej, lecz są już gotowe w naturze, a pochodzą zawsze li tylko od podobnych sobie rodzicielskich organizmów. „Nie! kończył Pasteur swoją lekcyę, niema już dziś żadnej podstawy do twierdzenia, że żyjątka mikroskopowe powstają samorodnie, bez zarodków, bez rodziców im podobnych. Ci, którzy to jeszcze utrzymują, są igraszką złudzeń opartych na własnych, lub cudzych niezręcznych eksperymentach. Samorodztwo jest chimerą!“

W zadanej więc przez akademię kwestyi, co do samorodztwa, Pasteur wyszedł zwycięzko, a zadokumentował to *Flourens*, podówczas sekretarz akademii, gdy wyrzekł na jednem z posiedzeń: „Eksperymenta Pasteura są decydujące. Aby powstały żyjątka samorodnie, mówiono, trzeba tylko powietrza i płynów podlegających łatwemu zepsuciu. Pasteur zestawia te czynniki razem, a nic nowego nie powstaje, nic się nie rodzi, jeśli tylko rzeczywiście usunięte są z nich mikroskopowe zarodki; a przeciwnie, gdy to się nie stało należycie, wszystko poczyna roić się nowem życiem. W obec takich faktów, mówić jeszcze o samorodztwie, znaczy zupełnie nierozumieć kwestyi".

A więc i w mikroskopowym świecie panuje powszechne prawo: *omne vivum ex ovo*, a raczej ściślej mówiąc: *omne vivum ex vivo* bo każde *ovum* w naturze *praesupponit vivum*. Tylko życie, żywe istoty zdolne są rodzić nowe życie, a niemasz ewolucyi z martwej materyi, choćby nawet organicznej, wprost do nowego życia; tylko wyłącznie i jedynie za pośrednictwem gotowych już, zdolnych do życia zarodków, owoców poprzedniego życia. Nie masz nawet i w tym małym świecie innego łącznika między martwotą a życiem, jak tylko przez gotowe już w naturze zawiązki do nowego życia, przez zarodki porywające materyę organiczną ze zwłok jestestw śmiercią dotkniętych we wir właściwej sobie ewolucyi życia. Życie całe na naszym globie w przeciwieństwie do tego co wcale życia nie ma, toczy się w zamkniętych w sobie rodzajowych kołach, w które martwa materya li tylko jako potrzebny, ślepy materyał się wplata.

W obec tak jasnych, nowemi odkryciami Pasteura tak niezbicie stwierdzonych faktów i pewników naukowych... gdzież miejsce dla mglistych teoryj samorodnej ewolucyi, mającej wytwarzać z materyi mineralnej monery, a z moner wszelkie istoty żyjące, aż do... słonia, małpy, człowieka? (Dok. nast.)

Dr. Ignacy Skrochowski.

CHRYSTUS UKRZYŻOWANY

W SZTUCE WSPÓŁCZESNEJ

z powodu najnowszego obrazu Munkaczego.

Kiedy dawne ogniska artystycznego natchnienia, takie jak Włochy, Hiszpania lub kraje flamandzkie, jakby wygasły dla sztuki chrześcijańskiej, rzecz godna uwagi, że narodom austryackiej monarchii przypadło w udziale wydać dzieła malarstwa religijnego pono najlepsze w naszej epoce. Znaleźli się tutaj mistrzowie, którzy, jakby się zdawało, bez tradycyi miejscowej i pośród zupełnie obojętnych żywiołów pokusili się odrazu o to, co zawsze było i będzie najszczytniejszego i najtrudniejszego w dziedzinie malarstwa. Przedstawić Boga-Człowieka na płótnie, lub w kamieniu, jest zaiste wysokiem i trudnem zadaniem chrześcijańskiego mistrza, ale najtrudniej pono przedstawić go na krzyżu, gdzie obok natury boskiej i natury ludzkiej przychodzą cierpienia śmierci, będące zarazem zwiastowaniem zmartwychwstania i zwycięstwa. Gabryel Max i Michał Munkaczy, malarze Austryi i Węgier, pracowali nad tem zadaniem i należy przyznać, że dzieła, które wyszły z pod ich pędzla, zyskały rozgłos bardzo zasłużony w chrześcijaństwie. Gdy to, co ci mężowie wykonali, może podnieść i pocieszyć każde serce chrześcijańskie, niech nam wolno będzie bliżej się nad tem zastanowić.

Gabryel Max, rodem z czeskiej Pragi, ale należący do narodowości niemieckiej, jest malarzem zasłużonym sztuce religijnej. Nie lękamy się, żeby nas posądzono o przesadę, gdy powiemy, że jego kolosalny Chrystus na krzyżu wzbudził zdumienie powszechne. Jest on bowiem płodem natchnionej wiary i miłości, obok wysokich przymiotów umiejętności malarskiej. Pragnąłbym dać czytelnikowi choć

słabe wyobrażenie tego arcydzieła, którego działanie na duszę moją było wstrząsające i długotrwałe.

Obraz Chrystusa ukrzyżowanego, o którym tu jest mowa, znany jest pod imieniem *Consummatum est.* Jest to chwila, kiedy Syn Boży, podniósłszy gasnące źrenice do nieba, woła: „Spełniło się", skłania głowę na piersi i umiera. Słońce, jaśniejące dopiero co blaskiem zwyczajnym, powleka się krwawą oponą, pogrążając świat jakby w brzaskach późnego wieczora. Niebo przybiera wyraz ponury i groźny; zrywa się gwałtowna burza i pędzi chmury po niebie złowrogim łukiem; opoki pękają, głuche łoskoty zwiastują zbliżające się trzęsienie ziemi; widzimy i czujemy w naturze obecność elementarnej katastrofy, która wstrząsa posadami ziemi. W dali, w niepewnym brzasku zaćmienia słonecznego, leży miasto święte Jeruzalem, jakby odrętwiałe uczuciem winy i przerażenia. W tej walce żywiołów, postać Chrystusa jaśnieje pokojem śmierci, ale zarazem dobrocią i miłością bóstwa. On sam wielki i potężny, wypełniający swoją postacią całą naturę, zawisł między niebem i ziemią jako znak wiekuistego przymierza. Pokój i światło płynie zeń w ciemność i zamęt żywiołów. Nikogo nie ma przy umierającym na krzyżu Chrystusie, ani Matki, ani Magdaleny, ani Jana, tylko u stóp krzyża widzimy jakby równiankę rąk wyrastających z ziemi, i wyciągniętych błagalnie do Odkupiciela. Właśnie dla uniknięcia niedogodności kompozycyjnych, malarz uwidocznił tylko tę część krzyża, na której zawisły członki Chrystusowe; niższa część, otoczona od przyjaciół i ludu ukryta pod poziomem obrazu i tylko te ręce wskazują tam na obecność ludzką. Przez ten pomysł osobliwy umiał artysta nadać swemu obrazowi pewien wyraz fantastyczny i tajemniczy, a co najważniejsza, nie pozbawiając Chrystusa miłości ludzkiej, otoczył go uroczystą samotnością i milczeniem, które tak imponuje i wstrząsa.

Czytelnik będzie może sądził, że nie wszystkie wyliczone tu żywioły mogą znaleść swój wyraz w malowidle, albowiem wiele z nich może być przedmiotem muzyki lub głosu, nie zaś farby. Wicher, grzmot, huk nie dadzą się namalować. A jednak mogę upewnić, że wszystko to znalazłem u Maxa. Inni recenzenci, którzy oceniali ten obraz, a było ich tylu, opisują swoje wrażenia w ten sam co i ja sposób. W samej rzeczy wysoki nastrój i zapał poe-

tycki mistrza zdołał uzmysłowić za pomocą rysunku i farby krzyki tłumu, poruszenie powietrza i huczenie burzy.

Jak to już nadmieniłem, dla szerokiej publiczności, dla znawców wystaw europejskich ten Chrystus, Gabryela Maxa, był zjawiskiem nagłem, powstającem bez uprzednich danych, bez historycznych przesłanek. Był to pewien rodzaj artystycznego cudu. Ale podobne sądy są oczywiście błędnemi. Max doszedł do swojego Chrystusa drogą wewnętrznego udoskonalenia. Długie rozmyślanie nad samym sobą, wewnętrzne walki i cierpienia, długi pobyt u grobu apostołów Piotra i Pawła i w katakumbach Rzymu, wreszcie praktyka i ćwiczenia chrześcijańskiego życia, wszystko to zaprowadziło go na te wyżyny, na których danem mu było zrozumieć piękności Odkupiciela. *Lux tua et veritas tua ipsa me deduxerunt in montem sanctum tuum*, mógł on powiedzieć o sobie, gdy malował obraz Chrystusa ukrzyżowanego. I zaiste nie inna, tylko ta droga stoi otworem dla każdego chrześcijańskiego artysty, co czuje się powołanym dać zakosztować ludziom na ziemi przedsmak wiekuistej szczęśliwości.

Nie będzie, zdaje mi się, od rzeczy przytoczyć tutaj niektóre dane z historyi tego znakomitego mistrza, aby uwydatnić jego chrześcijański charakter. Oddawna ulubionym tematem jego pędzla były przedmioty z życia pierwszych chrześcijan, sceny z katakumb rzymskich, głowy i popiersia świętych niewiast i męczenniczek, jak Cecylii, Julii, Katarzyny i Tekli, głowy pełne niewysłowionego uroku i słodyczy, wreszcie ewangeliczne opowiadania cudów i działań Chrystusowych. Przyczem można zauważyć jako osobliwość, że pędzel Maxa z równą gorliwością odtwarzał postacie i nieprzyjaciół Chrystusowych. Jego Judasz Iskariot i żyd wieczny tułacz, należą do bardzo ciekawych obrazów. A z pomiędzy tych wszystkich większych lub mniejszych kompozycyj wyszczególnić należy dwie wysokiej wartości. Jest to najprzód głowa Chrystusowa na chuście Weroniki, głowa znana powszechnie, albowiem ma ona tę właściwość, że gdy patrzymy na nią, oczy Zbawiciela raz są pochylone ku ziemi, to znowu z miłością wpatrują się w widza. Ludzie poważnie sądzący mają to za złe malarzowi, bo powiadają nie bez słuszności, że takie łamane sztuki pędzla ujmują czci takiemu przedmiotowi należnej. Drugim obrazem, zasługującym na naszą szczególną uwagę, jest po-

piersie Chrystusa ukrzyżowanego, pełne uczucia wiary i pobożności. Popiersie to poprzedziło wielki obraz, o którym mówiliśmy wyżej, ale znacznie później pokazało się na wystawach publicznych i uważane z początku było jako dzieło późniejsze. Jest to idealny typ głowy Chrystusowej, do którego Max doszedł był w swym czasie jako do najwyższego wyrazu, ale z którego następnie nie był zadowolony. Mamy tu zatem wskazówkę stopniowego podnoszenia się artysty do coraz wyższego pojmowania osoby Zbawiciela, póki nie stanął na wysokościach intuicyi, która odpowiadała potrzebom jego serca.

Oprócz powyższych, bez wątpienia bardzo wysokich zalet, co jeszcze nas pociąga i jedna, co w nas budzi osobliwą wdzięczność, jest to ten przymiot nieoceniony, że ukrzyżowany Chrystus, jak Go pojął i wykonał Max, odpowiada w zupełności wyobrażeniom i tradycyom chrześcijańskim. Jest on zatem dziełem nietylko religijnem, ale, co nierównie wyższą jest rzeczą, dziełem kościelnem. Przeznaczeniem jego nie salon, nie wystawa, lecz świątynia chrześcijańska, dom modlitwy, gdzie postawiony na ołtarzach pańskich, świecić będzie ludowi pięknością tajemnicy Odkupienia i pociągać go do skruchy i wiekuistego dobra!

Typ Chrystusa na krzyżu przychodzi do nas z pierwszych czasów starożytności chrześcijańskiej i nie godzi się go lekkomyślnie nadwerężać. Jakkolwiek Kościół nigdy nie krępował fantazyi mistrzów chrześcijańskich, niemniej jednak faktem jest, że typ ten co do swojego istotnego charakteru zawsze pozostał jeden i ten sam. Dopiero w ostatnich czasach realizmu archeologia i mędrkowanie, powołując się na anatomię i nie wiem, na jakie tam „wyniki naukowe“, zdołała obudzić, przynajmniej w pewnych kołach, niejakie wątpliwości co do sposobu ukrzyżowania i kształtu krzyża. Zatem poszły w malarstwie, ma się rozumieć w malarstwie, w którem zaginęło poczucie chrześcijańskie, pewne próby i nowatorstwa, nieraz niesmaczne i wstrętne, najczęściej oburzające i grzeszne. Żeby dać czytelnikowi dotykalne wyjaśnienie tej rzeczy, przytaczam jako uderzający przykład obraz wrzekomo Chrystusa ukrzyżowanego, który w r. 1883 wystawił w salonie paryskim malarz Morat.

Mamy przed sobą dwie kłody drzewa nieociosanego, pokrytego korą; jedna z nich stoi pionowo, druga powalona na nią u góry

i przymocowana w sposób bardzo pierwotny. Krzyż ten jest bez górnego przedłużenia, czyli nadgłówka i dokładnie przedstawia literę T. Na tem narzędziu śmierci widzimy umierającego młodego człowieka. Zawieszono go na tych klocach w sposób okrutnie niedbały, pospieszny i barbarzyński. Tułów jego przykrępowano w pasie powrozami do kłody pionowej; ręce zarzucone u góry na kloc poprzeczny przywiązano powrozami i przybito długiemi wystającemi gwoździami nie w dłoniach, lecz w różnych miejscach ramienia dowolnie i bez symetryi; równie każdą nogę przykrępowano oddzielnie i przybito żelaznemi gwoździami powyżej kostek. Tak tedy cały ciężar ukrzyżowanego ciała opiera się na powrozach, nie na gwoździach, które są tutaj zbytkowem tylko dodatkiem męczarni. U spodu pod stopami wyciosano niewielką płaszczyznę, na której w trzech językach wyryty znany napis krzyża. Zapytać można „uczonego“ malarza, gdzie, w jakich dokumentach wyczytał on, że w taki a nie inny sposób Chrystus był ukrzyżowany? Jestże to jego domysł czy wybryk? Pewnie powiedział on sobie, że w starożytności przy krzyżowaniu, które było formą tracenia niewolników, nie zadawano sobie pracy ciosania drzewa, ani myślano o symetrycznej postawie umęczonego. Robiono szybko, niedbale, bezmyślnie, z tygrysiem okrucieństwem i kamienną nieczułością. Ale w tym razie, pozostawiając już na stronie powagę ewangelii, myli on się pod względem czysto starożytniczym. Egzekucye, nakazywane w starożytności przez władze publiczne, wykonywane były z największą ścisłością wedle ustalonej normy obyczajowej, znajdowały się bowiem pod opieką bóstw zemsty, znanych w Helladzie pod imieniem Eumenid, które karały okropnie każde, choćby tylko formalne uchybienie. Zresztą nie jest moją myślą pouczać pana Morot i jemu podobnych, bo wiem, że to napróżno. Chciałem jedynie wskazać ludziom dobrej woli na niebezpieczeństwa, jakie zagrażają ze strony samych artystów najszczytniejszym ideałom chrześcijaństwa.

Od obrazu Gabryela Maxa przechodząc do obrazu Michała Munkaczego, zaraz należy zrobić uwagę, że dwa te malowidła różnią się radykalnie pod względem stylu i kompozycyi, jakkolwiek należą do najznakomitszych dzieł sztuki religijnej. Kiedy bowiem utwór Maxa staje przed nami w najwyższej prostocie układu, przedstawiając jedną tylko osobę Chrystusa, ale osobę, jakeśmy to widzieli,

transcendentalnej wielkości i siły: to obraz Munkaczego jest nader bogatą i obszerną kompozycyą, złożoną z mnóstwa figur i pełną dramatycznego życia i porywającego efektu. Zatem tam dzieło czystego kościelnego stylu, tu historyczno-religijny obraz o cechach realistycznych.

Munkaczy wykonał dwa obrazy, mające za przedmiot dzieje Odkupienia, oba kolosalnych rozmiarów, które składając się w znacznej części z tych samych postaci, są właściwie połowami jednej olbrzymiej kompozycyi. Jeden z nich to Chrystus przed Piłatem, drugi, Chrystus na Golgocie. Obadwa znajdowały się niedawno na wystawie w Wiedniu i można je porównywać między sobą pod wszystkiemi względami. Między jednym a drugim leży przedział lat czterech, a czas ten w dziejach utalentowanych artystów wystarcza nieraz, aby sprowadzić w kierunku lub treści ich utworów różnice stanowcze. Taki właśnie przypadek należy zaznaczyć u Munkaczego. Jego Chrystus na Golgocie jest istotnie tak pod względem treści jak formy wyższym od Chrystusa przed Piłatem, co jeszcze w niniejszej pracy wypadnie nam podnieść. Zacznijmy od Golgoty.

Obraz przedstawia wierzchołek Kalwaryi, pusty, bez drzew i wszelkiej roślinności. Nie ma słońca; zmrok pada na ziemię; na niebie przeciągają czarne, złowrogie chmury. Pochyłość góry obsadzona oddziałem rzymskich żołnierzy, a u spodu, na równinie, widnieje w niepewnych zarysach Jerozolima. Wielkie to malowidło nie ma centralnego układu, ten rozpada się na dwie połowy, równoważące się symetrycznie pod względem mas artystycznych. Na prawo od widza Chrystus, na lewo lud. Jednym z najszczęśliwszych pomysłów węgierskiego mistrza jest ten, że trzy krzyże nie stoją w linii prostej, lecz zakreślają półkole. Tym sposobem krzyż Chrystusowy zajmuje miejsce nietylko środkowe, lecz przodujące, swobodne, nie zacieśnione i nie zaniepokojone bezpośredniem sąsiedztwem dwóch łotrów. Ciała tych ostatnich, bezwładnie obwisłe na krzyżach, dają poznać, że dopiero co uleciało z nich życie w strasznych krzyżowych mękach.

Jest to najświętsza chwila w dziejach człowieczeństwa. Spełnia się dzieło Odkupienia! Chrystus podniosłszy oczy do nieba, poleca swojego ducha Ojcu. Choć ciemność panuje do koła, wszystko

występuje wyraźnie przed naszym wzrokiem, a to tak dalece, że można czytać myśli i uczucia ludzkie. I jakże to być może? Oto z postaci Chrystusowej tryskają promienie światła, światła materyalnego, ale zarazem i duchowego, które oświetla i przekształca. Efekt osiągnięty tu przez malarza jest zdumiewającym. Chrystus przed Piłatem, to świat stary, świat nienawiści, zatwardziałości; tutaj na Kalwaryi widzimy i czujemy działanie łaski, płynącej z ran Odkupiciela.

Cała postać Chrystusa jaśnieje nadziemską pięknością i harmonią, rozlewając dokoła balsam dziewiczości, który kruszy najtwardsze serca. Jego cierpienia fizyczne, ulegając działaniu wielkiego ducha, nie wywierają rozkładającego, szpecącego wpływu na członki obumierające. Właśnie, zdaniem naszem, zachowana tutaj miara i granica, której tylko znakomitsze talenta umieją nie przekraczać. Co do twarzy, to nie podobna nie widzieć, że szlachetniejszą jest ona, świętszą i bardziej boską niż twarz Chrystusa przed Piłatem, ale brakuje jej jak i tamtej rysów idealnych i klasycznych, jak tego domaga się odwieczna tradycya chrześcijańska.

Nie możemy ukrywać przed czytelnikiem całego uczucia, jakie wywołuje w nas osobistość Chrystusa w obrazach Munkaczego. Zdawałoby się, że malarz nie wytworzył, nie wykołysał tych rysów w tajnikach swej duszy, lecz, że przyszedł do nich drogą empirycznego doświadczenia. Przed czteru laty, gdy Chrystus przed Piłatem wywarł tak ogromne wrażenie na publiczność, Munkaczy uznał za stosowne wystawić w Wiedniu także studya i szkice służące do tego obrazu. Między innemi bardzo ciekawemi rzeczami na największą uwagę zasługiwała kollekcya głów Chrystusowych, gdzie, jak to łatwo każdy mógł dostrzedz, zamiast stałej zasady panuje eklektyzm i chwianie się między tradycyą kościelną a realistycznym prądem teraźniejszości. Nie mogło wypaść inaczej: malarz zdecydował się w realistycznym kierunku. To też Chrystus przed Piłatem, jakkolwiek jest osobą godną uwielbienia, nie ma w sobie nic boskiego, jest człowiekiem i to w dodatku człowiekiem naszej epoki. Nierównie wyższym jest Chrystus na Golgocie, co przypisać potrzeba, jakeśmy to już gdzieindziej wspomnieli, usiłowaniom lat czterech, które dla Munkaczego pozostać nie mogły bez śladu. Prawda, że natury Bożej nie przedstawi geniusz człowieka, i dlatego, porównawszy tego Chry-

stusa z najwznioślejszemi pomysłami takich mistrzów jak Leonardo de Vinci, Rafael lub Dürer, możebyśmy zgodzili się wreszcie uznać w nim wyraz zbliżający się do chrześcijańskiego ideału, gdyby on, jak w ogóle wszystkie postacie kompozycyi, nie raził nas zbyteczną dzisiejszością. To trudno, uczucie moje sprzeciwia się uznaniu Zbawiciela w rysach Węgra lub Francuza, którego każdej chwili spotkać mogę na ulicy. Typ Boga-Człowieka, tak pod względem duchowego zjawiska jak i zewnętrznej postaci, otrzymaliśmy od Hellady i Romy i faktem jest, że pomimo nieskończonej oryginalności myśli i wykonania, zawsze artyści chrześcijańscy hołdowali w tej mierze pojęciom klasycznego stylu, osobliwie ci, których Kościół błogosławił i życzliwością swoją publicznie zaszczycał.

Dla względów estetycznych, które się zawsze sprzeciwiały tradycyjnej wysokości krzyża, ma ten ostatni u Munkaczego taką miarę, że święte niewiasty, trzy Marye, klęcząc w postawie kornej, wylewają łzy boleści u stóp Chrystusowych obejmując je ramionami, a Jan dosięga głową do jego pasa. Mistrz węgierski jest głębokim znawcą ludzkiego serca i dla tego święte niewiasty przedstawiają w sobie różne rodzaje i nader subtelne stopniowanie boleści. Najświętsza Panna, w wieku już podeszłym, nie płacze, nie narzeka, bo źródło łez przytłumione nadmiarem żalu, bo serce jej bić przestało, duch uleciał i śmiertelna bladość pokrywa jej oblicze. Choć mała tylko cząstka tej twarzy widzialną jest dla nas, a jednak dobrze spostrzegamy, co się dzieje w tej anielskiej duszy. Jak ów wielki mistrz starożytności, co ukrył twarz Agamemnona, płaczącego nad córką zabitą bogom w ofierze, tak i Munkaczy nie odważył się nam pokazać całego ogromu macierzyńskiej boleści na Golgocie. Nie byłże w stanie jej przedstawić, lub może lękał się zbyt silnej ekspresyi? Także Magdalena, ta młoda, naiwna dzieweczka o złotych włosach nadzwyczajnej obfitości, ukryła twarz swoją w dłoniach, ale tego ukryć nie mogła i nie chciała, że łzy jej płyną jak potok wezbrany i nie ma na ziemi pociechy, któraby je zatamować mogła. Trzecia Marya podnosi wzrok zalany łzami i załamane dłonie do umierającego na krzyżu Chrystusa, ale boleść ta, choć prawdziwa, serdeczna, głęboka, czemże jest w porównaniu z boleścią Matki i Magdaleny? Jak delikatne stopniowania i cieniowania ma na swoje zawołanie

wyższy talent człowieka, tego przykład znajdujemy w tych bolejących niewiastach u stóp krzyża.

Zdaniem powszechnem, najpiękniejszą postacią całego obrazu jest Jan święty, najmilszy uczeń Chrystusowy. Ten młodzieniec z zaledwie wysypującym się zarostem, ale już wielkiej powagi umysłu i serca, stoi pod krzyżem prosty, skromny i blady, mając na twarzy, w postawie i w ruchach ślady strasznego cierpienia. Płaszcz fałdzisty szkarłatny nadobnie przyodziewa młodziana, podnosi i uwydatnia jego kształty w tej rodzącej się społeczności chrześcijan. Wszystkie prawie osoby obrazu mają zwrócone oczy na Chrystusa, Jan jednak spogląda na ziemię. A dla czego? Wprawdzie boleje on nad męką boskiego Mistrza, ale nie mniej niepokoić się musi losem i opuszczeniem świętych niewiast, powierzonych jego opiece. Ta właśnie troska o bezpieczeństwo i honor niewieści w tem zbiegowisku ludowem, jest właśnie cechą charakterystyczną wielkiego apostoła-ewangelisty.

Naprzeciwko Chrystusa, w pewnej od krzyża odległości, zgromadziła się tłuszcza żydowska, trzymana na wodzy przez rzymskiego żołnierza. Jeśli grupa Chrystusa, którąśmy teraz rozważali, zasługuje na zdumienie; to w tej drugiej połowie kompozycyi natrafiamy na zjawiska prawdziwie fenomenalnego znaczenia. Munkaczy jest pono największym mistrzem świata w malowaniu duszy żydowskiej. Tylko że żydzi, co otaczają Chrystusa przed Piłatem, są prawdziwsi i doskonalsi od żydów na Golgocie. Tam w sali sądowej złość ich, zapamiętałość, arrogancya, występują z niewidzianą siłą i prawdą. Jedni obwiniają ofiarę swej zemsty, drudzy przysłuchują się z lubością wywodom oskarżycieli, ci pastwią się nad bezbronnym, tamci karmią się jego boleścią. Na całym obrazie nie ma ani jednej osoby, coby miała choć trochę serca dla Tego, co ma być niewinnie potępionym, a którego łagodna i szlachetna postać budzić powinna współczucie i litość. Zapewne z punktu historycznego zbywa tej sytuacyi na prawdzie, albowiem około Syna Bożego w jakimkolwiek znajdował się On położeniu, zawsze były serca oddane i miłujące; ale jako pomysł czysto artystyczny, takie ustawienie postaci pełnych fanatyzmu, zarozumiałości i nienawiści, obok żywotnej prawdy i największej rozmaitości, zasługuje na podziw i uznanie.

Znakomitymi są także i żydzi na Kalwaryi, ale mistrz uwydatnił tutaj pewne łagodniejsze strony, bardziej wymarzone, niż rze-

czywiste. Chwila dokonania Odkupienia, chwila Chrystusowego zgonu uderza obfitością łaski jak grom w te serca twarde i srogie i dlatego nie prześladowców już tutaj mamy przed sobą, ale na pół lub całkiem nawróconych chrześcijan. Ci starcy pokryci siwizną, których przekonanie złamane, widzimy, jak się uginają pod ciężarem nieznanych uczuć. Ich oczy, utkwione w jaśniejące świętością oblicze Odkupiciela, spostrzegają po raz pierwszy promienie wiekuistej piękności. Zamiast słów złorzeczenia, wyrywają się z ich piersi słowa podziwu i żalu. Bardzo mało tutaj jest takich, co obojętnie, a mniej, co nieprzyjaźnie się jeszcze zachowują. Ten pomysł malarza jest bezwątpienia pięknym i rzewnym, ale niestety nie odpowiada on znowu prawdzie historycznej. Wiadomo bowiem i małym dzieciom, co się uczą katechizmu, że nadzwyczajne zjawiska natury i cuda łaski, zdziałane na Golgocie śmiercią Chrystusa Pana, zamiast nawrócić, bardziej jeszcze utwierdziły faryzejstwo żydowskie w uczuciach złości i nienawiści. Nie nagłe nawrócenie mas ludowych, nie cudowne przekształcenie całych narodów w uczniów i naśladowców Chrystusowych, ale naturalne, powolne wzrastanie nowej społeczności, leżało, jak się zdaje, w planach Opatrzności.

Pomiędzy grupą ukrzyżowanego Chrystusa a tem ua pół nawróconem żydowstwem umieścił Munkaczy, jakby dla wzmocnienia psychicznego efektu, nader charakterystyczną postać kata. Po skończeniu nieludzkiej pracy, która jest jego codziennem zarobkowaniem, zarzuca on drabinę na ramię, bierze topór do ręki i myśli oddalić się do domu. Na twarzy i całej jego postawie maluje się tępość umysłu i zakamieniałość serca. Nie ma boleści, nie ma męki, któraby tego człowieka poruszyć mogła; owszem, te rozdzierające krzyki i jęki przybijanych gwoździami do krzyża, te męczarnie umierających, te przerażające sceny krzyżowania, stały się dlań jakby rozrywką i niejako potrzebą życia. Dawni malarze chrześcijańscy, wierni wykonawcy opowiadania ewangielicznego, zwykli byli otaczać umierającego Odkupiciela mnóstwem dręczycieli i oprawców, pomiędzy którymi znajdowali się i żołnierze, grający w kości o szaty Chrystusowe. Dosyć przytoczyć owe wielkie kompozycye Rubensa lub Rembrandta, które przedstawiają dramat ukrzyżowania, żeby dać pojęcie o dawnych przekonaniach i zamiłowaniach. Kościół katolicki nie stawiał przeszkody tego rodzaju przedstawieniom, we

wszystkich bowiem szczegółach męki Chrystusowej widział i widzi uświęcającą siłę. Munkaczy stawia pod krzyżem jednego tylko oprawcę, jakby symbol i wskazówkę tego, co tutaj przed chwilą zaszło. Pomiędzy ludem widzimy wprawdzie rozproszonych żołnierzy rzymskich, ale ci nie grają w kości, ani biorą udziału w męce Zbawiciela. Ich przeznaczeniem jest służyć za materyał do uharmonizowania i urównoważenia efektów kompozycyjnych, do czego oczywiście pierwiastek żołnierski podaje się z łatwością.

Jakkolwiek wszystkie części i żywioły tego obrazu, będąc obmyślane i wykonane tak po mistrzowsku, noszą na sobie znamię genialnej myśli, nie mniej przecie zaprzeczyć się nie da, że żydowstwo i lud, obecny śmierci Zbawiciela, przewyższa grupę chrześcijańską pod względem duchowego i dramatycznego życia. Żydzi Munkaczego, jak to zauważyłem już, przedstawiają typy najwyższej doskonałości, tak że nawet w przyszłości nie łatwo pomyśleć coś lepszego; tymczasem gdy chrześcijanie, z wyjątkiem jednego św. Jana, już pono dla swej niewielkiej liczby odznaczają się stosunkowem ubóstwem charakterów i jednostronnością duchowych pobudek. A jednak czego innego wymagaliśmy od takiego obrazu. Historya sztuki chrześcijańskiej daje wprost przeciwne wskazówki. To też, zdaniem naszem, malarz węgierski popełnił błąd estetyczny i filozoficzny, wyposażając figury żydowskie taką pełnią życia w obec postaci chrześcijańskich traktowanych z nierównie mniejszą siłą zapału i przekonania.

W skutek powyższych danych wypada mi powtórzyć o Chrystusie na Kalwaryi to, co gdzieindziej wyrzekłem o Chrystusie przed Piłatem, a mianowicie, że postawiony na ołtarzach pańskich nie wywierałby, o tem ani wątpić, religijnego wpływu w stosunku do swojej estetycznej i materyalnej wartości. Obawiać by się można, że nie tyle Chrystus byłby w tym razie przedmiotem rozpamiętywania ze strony pobożnego ludu, ile postacie żydowskie i inne szczegóły podrzędne, coby sprowadzało raczej roztargnienie niż działanie budujące i uświęcające. Zatem miejscem stosownem dla tego obrazu będzie pono nie kościół, nie ołtarz pański, ale wielkie muzeum lub galerya publiczna, gdzie przedewszystkiem chodzi o wrażenia czysto artystyczne nie tyle w celu podniesienia serca ile dla wykształcenia

ludowego smaku. Nie omylę się bardzo, utrzymując, że tak a nie inaczej pojmuje i Munkaczy swój stosunek do publiczności.

Powyższe uwagi, jak to czytelnik osądzi, nie zawierają żadnej nagany dla dzieła, które gdziekolwiek się pojawiło, wszędzie doznało najlepszego, najserdeczniejszego przyjęcia. Że Munkaczy w taki a nie inny sposób pojmuje Chrystusa, przyczyna tego leży nie tyle w nim samym, ile w epoce, której jest dzieckiem. Pomimo to jednak nikt zaprzeczać nie będzie, że ten Chrystus jest zjawiskiem nadzwyczajnem, które wywiera na nas wrażenie potężne i głębokie. Jesteśmy zdumieni i prawie nie dowierzamy naszym oczom, że rzecz tak dziwnie piękna, tak szlachetna, tak wysoce chrześcijańska (choć nie w znaczeniu kościelnem) mogła powstać w czasach, kiedyśmy wszyscy mniej lub więcej zwątpili o naszej chrześcijańskiej i nawet ludzkiej godności. Stąd uczucie wdzięczności, jakiej doznajemy w obec tego obrazu dla jego twórcy jest istotnie szczere. Pokazuje się tutaj dotykalnie, że jeżeli, czego nas uczy moralność chrześcijańska, nie godzi się nigdy wątpić o pojedynczym człowieku, to cóż dopiero o całej epoce, która jest przecie nie czem innem jak kolosalnym zbiornikiem sił i dążeń ludzkich. Po wszystkie czasy społeczność chrześcijańska wydawała ze swego łona charaktery prawe, dusze czyste, osobistości święte, które ze wspólnego skarbca zasług Chrystusowych umiały czerpać zbawienne pożytki dla siebie i dla współbraci. Do liczby dusz tak uprzywilejowanych należą bez wątpienia Michał Munkaczy i Gabryel Max. Szczęść im Boże dalej.

F. Lutrzykowski.

POJĘCIE O BOGU

w chrześcijaństwie i u filozofów.

(Ciąg dalszy).

Wyniki z zasad ogólnych monizmu. — Etyka moniczno-materyalistyczna. — Brak wiedzy u Haekla. — Nazwa „monizmu“. — Monizm tożsamościowy.

Tak zdrowy rozum uważa podwaliny monizmu za niedojrzałe twory i nie zaszczyca ich nawet mianem hypotez, bo właśnie wyjaśnić nie zdołają nic: podobny też budynek wniosków, dalsze zazady tej filozofii. Znajdziemy w następnej rozprawie sposobność przekonania się o tem. Jak długo ci panowie mają w ręku lupę albo nóż, jak długo rozbierają czynniki chemiczne, doświadczają, ważą i mierzą, to można spuścić się na ich dokładność; lecz kiedy ponad to wznieść się starają, to ich opuszcza logika nad brzegiem przepaści.

Ale nietylko zasady rozumu wzdrygają się przed przyjęciem zdań monicznych: podstawy obyczajności runęłyby za wprowadzeniem w życie tej nauki. Co słowo u nich, to sprzeczność z pojęciem obyczajności; ale tu dość podnieść jedno naczelne zdanie. Co wynika dla człowieka stąd, że nie ma nic na świecie, oprócz samej mechaniki drobin? Co za wniosek dla każdego stąd, że nic niema swojego przeznaczenia i że wszystko przypadkiem działa a umyślny dobór środków do wykonania zamiaru jest zupełnie obcy przyrodzie? To jedno wynika, że czemś niemożliwem jest nasza obyczajność, która zwraca umysł ludzki do wysokiego przeznaczenia i okazuje, że co z niem zgodne, to dobre, cnotliwe, słowem, obyczajne, a co z niem sprzeczne, to złe, występne, słowem, nieobyczajne. To wszystko niedorzeczne u materyalisty, u którego nic nie ma celu

ni przeznaczenia; wszystko jest koniecznym skutkiem martwych praw ruchu — człowiek idzie, gdzie go popchną żywioły w ruchu, z których powstał — złodziej tak dobrze działa z konieczności, jaką go prze mechanika jego ustroju, jak dobrze czyni miłosierny, co rozdaje jałmużny, w skutek takiegoż koniecznego popędu. Co zawinia zbójca, gdy łupi i zarzyna, a działa tylko pod wpływem związków chemicznych, które go stanowią?[1] Gdzie mechanika drobin jedynym jest czynnikiem, co znaczy tam prawo i obowiązek? Wszystko niknie pod gruzami. Obyczajność to ład społeczny; monizm, społeczny zamęt.

Cóż na to radzą moniści? Czy mają jakie znaczenie wycieczki heklowskie o rozumnem zasadzeniu zakonu obyczajności na podstawie stałego zakonu przyrody? Haeckel[2] uczy obyczajności i podstawą jej nazywa miłość. Obłuda to, żeby bezmyślnemu światu oczy zamydlić. Na nieszczęście, ta miłość, która stanowi cnoty monistyczne, to według ich własnych określeń, miłość własna. Jakże zapobiegają moniści zawichrzeniom, które sprawić może w tłumach ich nauka? Wyznają, że szałem wolności tchnące zasady monizmu sprowadzą czasy wywrotu w społeczeństwie, ale nie uspokoją się wściekłe żywioły, póki sam motłoch roznamiętniony nie doświadczy, że każdy musi, dla bezpieczeństwa własnego ustąpić w niejednem temu, z kim nie mógłby inaczej znaleźć miłego spokoju. Po tem doświadczeniu, świat wpaść może nawet w bezwzględną karność i wydać dla siebie księgę praw jak najsurowszych, żeby wygodnie spędzać życie[3]. Więc, zamiast cnoty, więzienie i knut!.. A czy nadejdzie chwila doświadczenia, którego do dziś dnia nie nabyła czerń po wojnach chłopskich, zaburzeniach 1792 roku, koliszczyznach i zamętach komunistycznych?.. Ale tego dość o obyczajności.

Nadmienić jeszcze wypada, że używają tych zasad za broń przeciw Kościołowi ludzie, co zgoła nie znają nauki katolickiej;

---

[1] Mathilde Reichard. Brief an Moleschott. 1856. Dr. Paul Reic: Ursprung der moralischen Empfindungen.

[2] Schoepfungsgeschichte.

[3] Kosmos. Czasopismo. 5 rocznik, 2 zeszyt, 13 str. i dalsze.

tak Haekel sądzi, że np. dogmat o Trójcy św. jest w niej podstawą matematyki, zmartwychwstanie ciał podstawą medycyny, nieomylność papieska treścią psychologii [1], dogmat wstrzymania słońca przez Jozuego podwaliną astronomii, stworzenie świata podstawą nauk przyrodniczych; słowem niepotrzebne żadne nauki temu, kto wierzy w tajemnice wiary. Biedna młodzież, co takiej oświaty nabywa.

Na koniec zauważmy, że kłamstwem jest nazwa, jaką wspaniale dają sobie ci uczeni. Nazywają swój system monizmem. Ale gdzież w przyrodzie jest jedność według ich zapatrywań? Pewnie spostrzegamy niezmierną mnogość, ale nie ma u nich wspólnego węzła, coby tę łączył. Przecież nie jest jednością świat rozdrobiony na nieskończoną ilość atomów, z których każda ma tylko swój ruch. Gdyby przynajmniej uczyli o jakiej jednostce, z której podziału powstałyby drobiny, to możnaby mówić o początkowej monadzie. Ale nie mówią o niczem podobnem: nie możemy dopatrzyć się znaczenia w ich nazwie. Albo czy jaki wspólny cel rządzi całym ruchem i wiąże szczegóły? Przeciwnie, ich pogląd na świat nie uznaje w niczem celu. Może przecie chcą moniści twierdzić, że rzeczywiście rozwija się stan jeden z drugiego przy zmianach w przyrodzie? Ale, mimo swoich twierdzeń, nie pokazują nam nigdzie rozwoju w przyrodzie. Rozwój wymaga jednolitej myśli, która dąży do pewnego celu we wszelkich przemianach przyrody. Tych zmian szereg musi być skalą, po której myśl stopniowo postępuje i dochodzi do urzeczywistnienia początkowego celu. Tak w każdym stanie musi już mądrze złożonym być zarodek stanu późniejszego. W monistycznym zaś rozwoju nie ma jednolitej myśli, coby rządziła wszystkiem i przygotowywała zmiany; niema celu do którego dążyłby rozwój; dlatego, żaden stan nie jest umyślnem gotowaniem następnego. Wszystko, co się przemienia, to tylko przypadkowy i przeróżny ruch drobin. Nie ma więc źdźbła jedności [2].

Przechodzę do trzeciego oddziału monizmu, do filozofii tożsamości, panteizmu idealno-podmiotowego.

---

[1] Haeckel. Freie Wissenschaft und freie Lehre. str. 65.

[2] Porównaj: Pesch, Weltraethsel, t. II. str. 118 i dalsze.

Prawda, że ta filozofia straciła urok, jaki wywierała jeszcze przed paru dziesiątkami lat; ale często jeszcze jej oddźwięk uderza ucho. Zawsze jeszcze czczą jej twórców jakby wielkich myślicieli. Idealny panteizm jest pewnie *non plus ultra* obłędu ludzkiego, w którym przez pewien czas uczony świat widział najwznioślejszy szczyt mądrości. Ale prysła ta bańka mydlana; dla tego wystarczy parę uwag zrobić nad nią, żeby urobić sobie zdanie, jakiego rozum wymaga o idealno-podmiotowym panteizmie.

Polega ten monizm na dwojakiej podstawie: Znać i być jest to samo; tylko jedna istota ma byt; jest nią ogół rzeczy, nieokreślone, nieświadome, nie osobiste Wszechjedno; pojedyńcze istoty to tylko zjawiska tego Wszechjedna, które w nich nabywa określenia, w człowieku nawet świadomości i osobistości. Czemże to jest, to Wszechjedno? Na to pytanie trzy dają odpowiedzi moniści.

Fichte mówi: To jedyne, co ma byt, to ludzki rozum; świat cały ze wszystkiem, co w sobie ma, to tylko postać, w jakiej zjawia się myślące „Ja"; nie ma w tem wszystkiem nic rzeczywistego, jak tylko jeden myślący duch. Nawet Bóg, to tylko postać, w jakiej zjawia się pomysł tegoż ducha. „Niewiem o niczyim osobnym bycie, ani o swoim. Nie ma żadnego bytu... są tylko obrazy; te stanowią wszystko, co istnieje. Cała rzeczywistość zmienia się w cudaczny sen... Rozpatrywać się, jest to śnić; myśl, ten pozór wszelkiego bytu, który nam wyobraża rzeczywistość, to sen o śnie" [1]. Tak uczy podmiotowy idealizm Fichtego, zagłada wszelkiej rzeczywistości. Takie wymysły burzą wszelkie doświadczenia ani nie potrzebują żadnego zbijania Z radością witano kiedyś fichtowskie urojenia, aleć to pewnie nie dowodzi w nich prawdy, tylko daje smutne świadectwo usposobieniu wewnętrznemu zwolenników Fichtego, którym podobało się, że mogą uważać Boga i świat jedynie za mrzonkę własnego „Ja". Tak to im wygodnie nie uznać nad sobą żadnego Boga: cóż lepszego od takiej umiejętności, co ogłasza Boga za urojenie?

Szeling znów mówi, że Wszechjedno to nie myślące „ja", tylko Absolut, co zarazem stanowi ducha przyrody, jest istotą wszystkiego, a wszystko jest jego zjawiskiem Jest to rzeczywista jedność we wszyst-

[1] Die Bestimmung des Menschen 2 t.

kiem, ogół w każdym szczególe, coś niezmiennego w wszelkich przemianach i zdarzeniach, prawdziwy byt we wszystkich zjawiskach, jedyna istota pod wszystkiemi postaciami, w sobie nieokreślona, bez wszelkich własności, bez świadomości i osobistości, ni duch, ni ciało, tylko moc i możliwość stania się wszystkiem. Rozwija się tak w ciało, jak i w ducha, staje się każdą określoną istotą, w ludzkiej duszy osiąga swoją doskonałość, swoją świadomość i osobistość. Nie ma w sobie nic rzeczywistego, nic prawdziwie będącego, jest nicością, ale staje się wszystkiem, i wychodzi z swej obojętności na „Ja“ i nie „Ja“. Tak odpowiada Schelling na pytanie o Wszechjednie [1]. Nie dowodzi tego niczem, mówi tylko, że to poznaje: przez duchową intuicyę. Że szczęśliwym przypadkiem to nie „intucya“ ale „illuzya“, tego dowiódł sam Schelling, bo w końcu jednak sam spostrzegł, że taka nauka nie zgadza się z rozumem, i wyrzekł się jej całkowicie. I w samej rzeczy, co to za nędzna istota taki Bóg, który w sobie niczem nie jest, a przecie staje się wszystkiem i żeby być rzeczywiście, musi się pierwej stawać, a stawać się takiemi rzeczami nędznemi, jak są twory widzialnego świata; co to za Bóg, który sam w sobie jest bezrozumny, a rozwija się w świat dając dowody najwyższej mądrości, w sobie ani ciałem ani duchem a może ze siebie dać podstawę dla obojga i obojgiem stać się, ze siebie nic nie poznaje a w człowieku dochodzi do wysokiego poznania, takiego np. jak szelingowskie albo heglowskie; co to za Bóg, co rozwija się we wszystko a przy tem nic nie wie o swoim rozwoju, istota w niewoli, co z p r z e c z u c i a, z wewnętrznej konieczności raz staje się dębem w lesie, raz robakiem w kwiecie, potem rozszarpującym tygrysem a razem rozszarpanem jagnięciem; słowem szelingowski Bóg zawiera w sobie wszystkie sprzeczności, owszem z wnętrznego popędu rozwija się w najwidoczniejsze przeciwieństwa. Co wyżej mówiliśmy o spinozyjskiej istocie, to można tutaj powtórzyć o duszy świata. Ale nie warto każdej niedorzeczności tej filozofii wykazywać. W naszym zamiarze wystarczy posłuchać rozumnego sądu: szelingowski Bóg to nie a b s o l u t, a tylko a b s u r d, nie istota najdoskonalsza, ale zaprzeczenie wszelkiej doskonałości.

---

[1] Philosophie der Natur. 197.

Przychodzimy do trzeciego poglądu na Wszechjedno, do heglowskiej nauki.

Hegel mówi, że Wszechjedno, to wewnętrzny Pierwobyt, pojęcie logiczne [1]. Wywodzi on to z uwagi, że istnieje byt skończony i nieskończony, przypadkowy i konieczny, w ruchu i w spoczynku, rzeczywisty i możliwy, względny i bezwzględny, doczesny i wieczny. Każda rzecz należy do jednego z tych dwóch przeciwieństw; ale i te obadwa mają coś wspólnego ze sobą, byt: więc byt jest pierwszą podstawą tego wszystkiego, wszystko jest jakąś odmianą bytu, jego zjawiskiem. Ale czy byt obejmuje wszystko, bez wyjątku? Oprócz bytu jest jeszcze nicość: więc byt i nicość obejmują w sobie, co tylko istnieje na świecie. Byt daje rzeczom ich stan obecny; a że ten stan ma granice swoje, nicość dalszego bytu, więc byt z nicością, stanowią wszechświat. Ale czy nie ma nic wspólnego byt z nicością? Stawać się jest czemś najogólniejszem, co zawiera w sobie byt i nicość; bo co staje się, nabywa bytu, a przytem jest jeszcze w nicości, którą właśnie opuszcza [2]. Więc przy stawaniu się czemś, jest tem samem byt i nicość; stawanie się czemś jest pierwszą podstawą wszystkiego. Stawanie się, jest właśnie czemś nieskończonem, możliwem, wszechpłodnem, co rozwija się i zmienia się we wszystko. Jest to Wszechjedno.

Co mówi zdrowy rozsądek o tej nauce? Jest to dyalektyczna osłona, z poza której wyziera próżnia myśli. Nie rzadko biedzić się musi czytelnik heglowskich dzieł z trudnością, jaką ma w przypuszczeniu, że to rozumny człowiek napisał i podał w takim tonie poważnym najoczywistsze sofizmata. Ale przy świetle dawnej filozofii łatwo odkryć źdźbło prawdy w pustyni sofizmów. W dotąd wyłożonej osnowie przebija się zasada poprzedników Hegla, że byt w myśli, jest tem samem, co byt rzeczywisty. Ależ świat rzeczywisty odbija się w umyśle poznawczym i tworzy w nim swój obraz, świat umysłowy. Umysł myślący jest pośród świata, nie jak drzewo wśród lasu, które nic nie wie o swojem otoczeniu; ma świadomość o swoim

---

[1] Phaenomenologie des Geistes, Philosophie der Religion, i t. d.
[2] Logika 1. str. 80.

stanie i rozróżnia, co w nim samym istnieje, od tego, co po za nim obecne w świecie rzeczywistem. Przedmiot i myślący podmiot nie są bynajmniej rzeczywiście tem samem; to są zupełnie dwie odrębne rzeczy, a jednoczą się tylko w duchowym obrazie, którym władza poznawcza uprzytomnia sobie przedmiot. Ta stara prawda stanowi u św. Tomasza podwalinę jego nauki o naszem poznawaniu świata. Tego Hegel nie rozróżnia: mówi, że umysłowo zjednoczony przedmiot z podmiotem są rzeczywistą jednością, nie stanowią dwóch rzeczy w umyśle tylko zjednoczonych. Jest to u Hegla zasadniczy błąd, który w najrozmaitszych występuje postaciach. Mamy bijący dowód tego w tych heglowskich słowach, że byt stanowi wszystkie rzeczy zawarte między przeciwieństwami, które wylicza. Ale jakiż to byt temu wszystkiemu wspólny? Tylko umysłowe pojęcie bytu odpowiada wszystkiemu: więc trzeba brać porządek myślny za rzeczywisty, żeby mówić, że byt jeden i ten sam stanowi ogół wszystkiego, co zawarte w tych przeciwieństwach. Podobnie: to, co jest tylko umysłowe, w rzeczywistości jest nicością. Stąd Hegel mówi o tej nicości, że ma byt, rozumie się myślny, a razem, że zostaje niczem, więc byt u niego musi być tem samem co nicość. Nowe pomięszanie sfery myśli ze sferą bytu. Jest pewnie byt, odpowiedni umysłowemu pojęciu bytu, które podaje tylko najogólniejsze zarysy przedmiotu, właśnie dla tego, że w pojęciu bytu zawiera się tylko to, co stosuje się do każdego przedmiotu. Ale czy rozsądny człowiek może z tego wywnioskować, że przedmiot wyobrażony ogólnemi rysami jest to samo, co nic, bo przedmiot nie może polegać na samych ogólnych rysach? Drugą niedorzecznością, na którą się zdobył Hegel, w przytoczonym wywodzie, jest następujące zdanie: Oprócz bytu jest nicość, ta jest drugiem czynnikiem w świecie; dlaczego? bo każda istota ma swoje granice, a granica jest brakiem dalszego bytu, więc ostatecznie niczem. To n i c zostało *Clownem* w cyrku heglowskiej dyalektyki. Hegel powinienby powiedzieć: oprócz bytu niema nic, bo co jest, to ma byt, a co nie ma bytu, tego poprostu niema. Ale z tego Hegel robi, że co nie ma bytu, to nicością jest, więc oprócz bytu mamy nicość, jak gdyby nicość była czemś dodatniem zarówno jak byt. Gdyby Hegel był wiedział, co starzy mówili o pojęciu nicości, co daje się pojąć tylko jako

myślna istota, co niema właściwego przedmiotu, odpowiedniego jej w rzeczywistości; to nie podróżowałby po tych dziwacznych drogach.

Wróćmy jeszcze do heglowskiego Wszechjedna. Co jednoczy byt z nicością? Stawanie się. Ależ stawać się znaczy przechodzić z nicości do bytu; bo co staje się, przestaje być nicością, jest czemś, nie zawiera w sobie nicości, tylko początkowy byt. Ranek nie jest nocą, jest początkiem dnia i nikt nie powie, że ranek jest ogólniejszem wyrażeniem czarnej nocy, albo jasnego dnia. Więc przyczyna wszystkiego, Bóg, nazywa się u Hegla „stawaniem się". Co za opłakany Bóg, ten Bóg heglowski. Nie jest bytem, bo byt to samo co nic; zewsząd jest stawaniem się, wspólnością bytu i nicości, ustawicznem stawaniem się, wiecznem stawaniem się, wiecznem błądzeniem, słowem, wieczną wędrówką przemian, które przebywa świat. Czemże jest ta ciągła wędrówka w myślnej jedności? To umysłowy ogólnik, pojęcie wędrówki, bo przejść tak wiele w rzeczywistości, ile rzeczy przechodnich z jednego stanu w drugi. Przejście, wędrówka, błądzenie niczem nie jest w rzeczywistym biegu rzeczy, jak tylko rzecz sama w zmianach. Więc pojęcie oderwane, jak mówi Hegel, jest panteistycznym Bogiem.

Ale spotykamy coś jeszcze lepszego. Wszechjedno jest to możliwość, a dąży do rozwoju i stania się wszystkiem. Pojmujemy, że to, co rzeczywiście jest, może dążyć do zupełnego rozwoju, jak np. jajo do ustroju ptasiego; ale co jest tylko możliwe, to niema w sobie żadnej rzeczywistości, nie ma w sobie żadnego z obecnych dążeń na świecie, nie ma żadnej władzy nad sobą i nie zdoła własnym możliwym popędem przenieść się do rzeczywistości; potrzebuje rzeczywistej siły po za sobą, którąby je wydała na świat obecny. Nicość nie ma żadnego powodu, żadnego prawa do bytu rzeczywistego, bo nic w sobie nie ma. Oprócz tego, skąd szczere nic ma samo ze siebie dziwną siłę stawania się wszystkiem? Ludzki umysł czuje w sobie potrzebę wynajdywania dostatecznego powodu w każdej rzeczy. Gdzież leży dostateczna przyczyna cudownego zarodku siły złożonego w nicości, przez którą świat powstał? Przyczyna ta nie może być w samej nicości, bo w tej niema nic. Ale i prócz tej nicości niema nic, bo wszystko rozwija się z niczego. Więc niema dostatecznej przyczyny, którąby mogła dać nicości władzę stania się

czemś. Jest to to istna teorya bramińska, ogłaszać nic za stwórcę świata przez samoistną siłę nie zawartą w niczem.

Jeszcze jedno zagadnienie. Skąd ten dziwny porządek i ta mądrość, z którą nicość rozwija się według najprzemyślniejszych praw, żeby wywieść najwspanialsze dzieła przyrody ze siebie? Skąd mistrzowski pemysł ustrojów i nawet najmniejszych części w nich? Kto pobudził tę samoistną siłę do rozwoju a do takiego rozwoju, nie innego? Na to wszystko daremnie szukać u Hegla odpowiedzi. Takie to filary heglowskiej nauki, wprost sprzeczne z prawami ludzkiego rozumu, mieszanie rzeczywistości z bytem myślnym i pogarda zasady przyczynowości.

Nakoniec, jak w nauce swojej Hegel obchodzi się z trzeciem prawem rozumu, który nie może razem dwóch sprzeczności tej samej istocie przypisać? Najwyraźniej twierdzi on, że dwie własności, znoszące się wzajemnie, mogą wspólnie istnieć w każdej rzeczy; a nie tylko twierdzi, ale tego dowodzi. Wystarczy posłuchać dowodu, żeby obejść się bez refutacyi. Mówi Hegel: Dwie różne rzeczy mają to do siebie, że jedna nie jest drugą a druga pierwszą, więc każda jest czemś innem niż druga; a matematyka uczy, że dwie rzeczy równe trzeciej, są sobie równe: więc i dwie różne rzeczy, z których każda jest tem samem, to jest, czemś różnem od drugiej, są jednem i tem samem. Może jeszcze jaki dowód tej wartości znajdziemy u Hegla. Posłuchajmy. Co jeden ma za prawdę, drugi uważa za błąd: więc jedno i to samo może razem być i nie być prawdą pod tym samym względem. Jeszcze inny dowód: co człowiek myśli, tem jest; a może człowiek myśleć o bycie i o nicości, więc jest bytem i nicością: stąd to samo byt, co nicość. Nawet najmniej wiedzący o sofizmatach czuje w tem grę słów a Hegel płaci tem za dobrą monetę. Gdyby który z nich podobnie postępywał w matematyce, w naukach przyrodniczych, w dziejach: tylko by okrzyk powstał na niego w całym świecie uczonym. Ale we filozofii sekularyzowanej to wszystko uchodzi. Koboldy stają się olbrzymami, głupcy mędrcami, zwodziciele przewodnikami w nowej oświacie. Ale słowo Apostoła sprawdza się: *qui sapientes se esse dixerunt, stulti facti sunt.*

Ta cała filozofia panteizmu i materyalizmu, to nie filozofia zdrowego rozsądku, tylko filozofia zepsutego uerca. Na miejsce logiki wrodzonej wchodzi potęga gadaniny i mędrkowania. Nieszczęściem,

takim jest człowiek, jakiem jego bóstwo. Gdy bóstwem tylko materya, to i człowiek jest tylko materyą, jego życie i uczucia i chęci grzęzną w materyi. Taki bóg, jak heglowsko-szoponhaursko-hartmański stoi na tej samej wyżynie, co bożki u Indyan albo Inkasów, jeżeli nie niżej. Uśmiech wywołałyby na usta takie zasady i wywody, gdyby nie żal nad zgubą wielu, szczególniej młodzieży; bo skoro ubóstwiać mamy materyę i mechaniczną siłę, kto zwróci się na drogę duchownego rozwoju i cnoty? (C. d. n.)

X. Antoni Langer.

STRONNICTWO „PATRYOTYCZNE“

na wielkim sejmie i po upadku konstytucyi.

(Ustęp z przygotowanego do druku dzieła: „Puławy“.)

(Dokończenie).

Niezrozumienie ani stanu rzeczy, ani następstw własnych czynów, zaślepienie w dawnych przesądach, wstręt do reform, trwoga przed widmem jakobinizmu, szalona buta i duma rodowa, lub też osobista namiętność, co wiodła na tory Radziejowskich, tłómaczy nam głównych twórców targowickiego związku. Obok rozpasanego od wieków ducha prywaty i niskich u niektórych pobudek, były tam u tych, co stali na czele, błędne przekonania i uporne i ciasne, ale nieobłudne i niedwuznaczne; w imię tych przekonań, w liście niżej zacytowanym, mówi pan Szczęsny: „gdzie jestem, tam jestem cały“.

Słów takich nie umiał powiedzieć Stanisław August, przez całe swoje panowanie był on połowiczny. Od wielkiego sejmu przekonaniami stał po stronie konstytucyi, przeświadczony, jak jest konieczną, jak zbawczą; uczuciem zespolony z wodzem naczelnym walczącym w jej obronie. Widział on jasno i rozeznawał drogi, ale nie po raz pierwszy wola jego w stanowczej łamała się chwili, ustępowała przed przyzwyczajeniem opierania się na opiece gwarantki, przed nadzwyczajnym urokiem potęgi i geniuszu tej monarchini, którą wielbili filozofowie, a której lękali się monarchowie. Znakomity historyk Stanisława Augusta nie przecenia wcale, jak mniemają niektórzy, zdolności króla, ani trudności, z któremi miał do walczenia. Ktokolwiek nieco rozglądnął się w źródłach owej epoki, zwłaszcza w królewskiej korespondencyi, kto zdał sobie sprawę z postępu cy-

wilizacyjnego i społecznego, jaki zrobiła Polska za jego panowania, ten musi podzielać podziw autora „Czteroletniego sejmu“ dla inteligencyi Stanisława Augusta, jego łatwości w pracy, a nawet pewnego organicznego zmysłu, oraz uczuwać litość na widok tylu zachodów, aby uśmierzać jednych, przejednać drugich, utrzymać równowagę, a dążyć naprzód — litość tem większą, że wszystko w jego rękach się kruszy. Wszelako przymioty inteligencyi nie wystarczają dla tych, co mają władać narodami bez tych pierwiastków psychicznych i etycznych, które tworzą charakter. Może być wielki monarcha z miernym nawet umysłem, gdy ma w duszy kawałek granitu, a stal w woli.

Chwiejność Stanisława Augusta pochodziła z jego natury, z braku zasad i podstaw moralnych, a głównie z tego, co wykazuje wspomniany historyk, z nienormalnego źródła jego wyniesienia na tron.

Gdyby z wolnej narodu elekcyi wyniósł Stanisław August koronę, byłby ją złożył jak Jan Kaźmierz, ale on ją otrzymał z rąk Imperatorowej, więc jeśli ją miał złożyć, to znów w jej ręce. Na sejmie z przywódzcami stronnictwa konstytucyjnego wszedł król w polityczny kompromis, nie odsunął ze swego otoczenia wpływów, ani nie wyrzucił z głębi duszy pociągów, które kazały mu się zwracać ustawicznie w tę stronę, skąd mu przyszła korona. On przystąpił do stronnictwa, a nie stworzył go; łatwo więc mógł zerwać kompromis z jednym, a oddać się w ręce przeciwnego obozu, w czem szedł znów za tem fatum swego panowania, i czuł się dopiero wtedy bezpiecznym, gdy zerwany miał na nowo zawiązać sojusz.

Wystarczyły pierwsze niepowodzenia kampanii, wystarczył postrach kooperacyi pruskiej, aby na namowy dam z otoczenia królewskiego i kilku adherentów targowickiego związku zawiązały się układy z Bułhakowem, wysłańcem rosyjskim, które zrazu toczyły się tajemnie.

Imperatorowa na wiadomość o rozpoczętych rokowaniach wysyła do króla list z Carskiego Sioła 2 lipca, bez żadnych dla niego wymówek, ale z oświadczeniem: „Il s'agit de rendre à la République son ancienne liberté et sa forme de gouvernement garantie par mes traités avec elle et renversée violement par la revolution du 3 mai, avec le mépris des lois les plus sacrées et nommement des *pacta*

conventa, à la stricte observation desquelles se tiennent immédiatement et les droits de Votre Majesté et l'obéissance de ses serviteurs" [1].

Jak zawsze, tak i w tem piśmie Katarzyna daje dowód dziwnej znajomości natury polskiego społeczeństwa, że staje na gruncie wrzekomo interesów Rzeczypospolitej, a nawet praw króla, że program narzuca i formułuje te hasła, które powtarzać będzie dalej generalicya targowicka. Król najmniej ze wszystkich mógł się łudzić tem oświadczeniem, ale opierać się już dłużej nie umiał. Czekała go atoli trudna i ciężka przeprawa, gdy według warunków, podyktowanych z Petersburga, zamierzał przeprowadzić pod to jarzmo kaudyjskie, które dźwigać z dawna przywykł, całe wojsko, jego wodzów i swego bratanka.

Z wiru stołecznego przerzucony do obozu, książe Józef w dwumiesięcznej kampanii z czarującego, ale lekkiego światowca, urósł na bohatera. Na nim także epoka wielkiego sejmu, porywająca chwila 3 maja, wyryła swe piętno. To co w sejmie się rozlewało w retorycznych popisach, to na placu boju nabierało jędrności i siły czynu, a z najszczytniejszem poczuciem patryotyzmu połączyło się podniosłe uczucie wojskowego honoru, i spotęgowało do miary bohaterskiej w postaciach księcia Józefa, Kościuszki i koła rycerskiego, jak Wielhorski, Madaliński, Kniaziewicz. Król miłował bratanka wielce, bardziej może dla jego światowych słabości, niż dla jego rycerskiej cnoty, w nim umieścił całą dumę rodową. To też z początku z niezmiernem zajęciem, niemal zapałem śledził obroty wojska i postępy kampanii, od której zawisło utrzymanie konstytucyi. Codziennie szły z Warszawy sztafety z francuskiemi listami króla *à mon cher Pépi* i z rozkazami po polsku do naczelnego wodza, a na odwrót przywoziły raporta i listy księcia Józefa [2].

Niedowierzanie wzbudziły w głównej kwaterze pogłoski o ukła-

---

[1] Z autografu w archiwum Poniatowskich w Jabłonny, przechowanych przez ś. p. Fr. Paszkowskiego.

[2] Korespondencya księcia Józefa ze Stanisławem Augustem w autografach, uratowana od zniszczenia w Jabłonny przez pułkownika Paszkowskiego, który był adjutantem ks. Józefa w r. 1809, przechowana następnie przez ś. p. Franciszka Paszkowskiego. Korzystając z uprzejmości pp. Leona i Franciszka Paszkowskich, przytaczamy tu niektóre ustępy z tej ważnej, a niewyzyskanej dotąd korespondencyi.

dach króla z wysłańcem imperatorowej, gdy ich potwierdzenie adjutant królewski Kirkor przywiózł d. 24 lipca z Warszawy.

W długim liście przygotowuje Stanisław August zwolna księcia do tragicznej wiadomości, o swem postanowieniu przystąpienia do konfederacyi.

„Zapytałem Bułhakowa, pisze, czy Prusacy wejdą do Polski? odrzekł: *si nous en avons besoin, ils entreront.* Następnie przedstawia najsmutniejszy stan skarbu, który zaledwie wystarczy na trzy miesiące nadzwyczajnych wydatków wojennych, „a lista cywilna i moja osobista zejdzie do zera". Broń nie nadchodzi — Francuzi i Prusacy wyczerpnęli zapasy wszystkich fabryk zagranicznych. Ochotnicy w najgorszym stanie. Na Litwie trudności, których przezwyciężyć nie może Zabiełło. Mamy wszystkiego 30.000 wojska. Wojna sama z siebie musiałaby niedługo najsmutniej się zakończyć. Gdybyśmy się jeszcze byli cofnęli w góry ku Krakowu, łatwiejby się tam przyszło bronić. Teraz musielibyśmy wydać walną bitwę. Prawdopodobnie musielibyśmy ją przegrać. Zawiadamiają mnie, mówi dalej król, że jeżeli nie będę powolny życzeniom Imperatorowej, zostanę złożony z tronu. Nie wstrzymywałoby mnie to od dalszej wojny, gdyby można uratować konstytucyę, ale jak mnie złożą z tronu, konstytucya i tak runie i na kraj spadną większe nieszczęścia. Potrzeba więc, żebym poświęcił moją miłość własną, przystępując do konfederacyi. Mam różne powody do tej nadziei, że im mniej stawiać będę trudności w przystąpieniu do konfederacyi, tem więcej będę miał w niej wpływu i uratuję znaczną część urządzeń zaprowadzonych przez sejm. *Mon cher Pépi!* kończy król, rozumiem i czuję, że Cię to zasmuci, ale wierzaj, że dla mnie to jeszcze smutniejsze, a jednak to czynię jedynie, aby oszczędzić swemu narodowi większych nieszczęść, i uratować tę armię dzielną i wierną, której zguby nie zdołałbym przecierpieć".

Do listu załączony był rozkaz do wojska, natychmiastowego zaniechania kroków nieprzyjacielskich i odpis układu z Bułhakowem, według którego jenerałowie mieli złożyć przysięgę powrotu do dawnych praw Rzeczypospolitej, a wojsko całe przejść miało na stronę konfederacyi. Z rosyjskim jenerałem Kochowskim miały być ułożone warunki przejścia na drugą stronę Wisły, będące prostą kapitulacyą.

odstąpisz", powtarza się kilkakrotnie, a wśród rzewnych także i ten argument: „pamiętaj, że przedewszystkiem trzeba zapłacić moje i twoje długi".

Obok obaw o większe nieszczęścia i ostatnią zgubę narodu, w razie dłuższego oporu; król łudzi się mniemaniem, że między hetmanami a panem Szczęsnym ma być niezgoda, że łatwo będzie Szczęsnego zjednać i za jego pomocą część urządzeń zaprowadzonych przez wielki sejm uratować. Przestrachem go przejmuje myśl oporu wojska i demonstracye patryotyczne ludu w Warszawie. W ogrodzie saskim urządzono owacyę dla marszałka Sapiehy, którego niesiono na rękach do pałacu Małachowskiego i Ignacego Potockiego z okrzykami . . . niech żyje konstytucya!

Stanisław August ciężkie przebywa chwile: lęka się ludu, lęka własnego wojska, trwoży o los tych, którzy wraz z nim postawili dzieło konstytucyi, ale nie chcą z nim społem go burzyć, boleje najbardziej nad rozbratem z księciem Józefem.

Mokronowski i Wielhorski nie zdołali zachwiać postanowieniem króla, książe Józef wysyła do Warszawy Kościuszkę. Następuje ostatnia rozmowa między Stanisławem Augustem a Kościuszką, o której wspomina król w liście do księcia Józefa. Wszyscy wraz z wodzem jednym ożywieni duchem, niezłomni, buntu nie chcą podejmować, konfederacyi nowej nie zawiążą, ale dymisyi stanowczo żądają.

Stanisław August wynajduje jeszcze inne powody zwłoki, oddanie kasy obozowej, nadsyła medale złote i srebrne dla rozdania między oficerów i żołnierzy, którzy się w kampanii odznaczyli, lubo i z tej nagrody za waleczność tłomaczyć się musi przed Bulhakowem, i przepraszać, że Kochowskiemu oficerowie polscy nie złożyli ukłonu.

Wreszcie na naleganie ks. Józefa nadchodzą żądane dymisye. Otrzymują je: książe Józef, Zabiełło, Kościuszko, Zajączek, pułkownik Strzałkowski, majorowie: Chomentowski, Józef Wielhorski, Mokronowski, Sierakowski, Kniaziewicz, a wojsko pod Puławami, według umowy z Kochowskim, przeszło na lewy brzeg Wisły.

Nie był to sromotny pokój, ale coś gorszego, bo abdykacya i zmiennictwo. Epoka wielkiego sejmu i kampania 1792 r. podniosła honor narodowy i narodową godność, a oddawna żaden król w Polsce

nie doznawał tak gorącego i jednolitego poparcia od silnego stronnictwa, rozbudzonej opinii i wojska, jak Stanisław August przed Targowicą. Nowa konstytucya była hasłem karności i zjednoczenia w ojczyzny i tronu obronie.

Wszystko się więc skończyło: wiarołomstwem króla rozdarty został akt konstytucyi, a zwycięstwo Targowicy otwarło sromotną drogę do sejmu grodzieńskiego. W obec ogólnego pogromu powstał popłoch, zwłaszcza że generalicya Targowicy, zgromadzona w Brześciu, radując się, że zniszczyła dzieło, będące według jej przekonania „poswatem despotyzmu z demagogią francuską“ w złej czy dobrej wierze wywierała nacisk i miotała groźby na tych wszystkich, którzy jeszcze przy konstytucyi trwali. Za królem poszli wszyscy ludzie chwiejni, podpisując adhezyę do targowickiego związku. Sam nawet Hugo Kołłątaj, jeden z autorów konstytucyi i ten, co właśnie bodaj nie sam jeden naciągał ją na modłę francuską, jeśli wierzyć mamy Linowskiemu, uległ i tajemnie wszedł w układy z generalicyą targowicką w Brześciu. Marszałek Małachowski, wyjechawszy z Warszawy do Krakowa, ogłosił w osobnem orędziu nietylko prawomocność konstytucyi, ale nieprzerwalność wielkiego sejmu. Do tej deklaracyi przyłączył się marszałek Kazimierz Sapieha. Ignacy i Stanisław Potoccy, Wybicki i inni poszli za Małachowskim, jadąc do Drezna, gdzie zdążyli też i ci jenerałowie, którzy się podali do dymisyi z Kościuszką na czele. Brat marszałka, kanclerz Jacek Małachowski miał należeć do tych, którzy wpływali na króla, aby się dłużej przemocy rosyjskiej nie opierał i od konstytucyi odstąpił; teraz jednak zajął on dwuznaczne stanowisko, bo niby jawnie nie podpisał aktu związkowego, ale jeździł ustawicznie z Warszawy do Brześcia, jako pośrednik między jeneralicyą a stronnictwem patryotycznem, skłaniając jego przywódzców i natarczywie nalegając, aby podpisali reces od konstytucyi.

Książe Czartoryski w najtrudniejszem znajdował się położeniu: on jeden, jeśli się nie mylimy, z głównych twórców konstytucyi i przywódzców prześladowanego obecnie stronnictwa posiadał rozległe dobra na Rusi i Litwie, zalane teraz wojskiem rosyjskiem. Z Warszawy nadchodziły groźby i ostrzeżenia, które wnet zamieniały się w fakta, bo Kochowski wydał już polecenie, aby wojsko rozłożyć w dobrach księcia, i rozpoczęły się wszelkie możliwe

kontrybucye wojenne. Major Orłowski, plenipotent księcia, przesyła raporta o wielkich zniszczeniach i o lamentach ludu wiejskiego. Przyjaciele ostrzegają, że imperatorowa domaga się konfiskaty dóbr tych, którzy okażą się oporni, a w pierwszym rzędzie konfiskata ma dotknąć Czartoryskich, jeśli książe nie przystąpi do Targowicy.

Korespondencya dyplomatyczna po raz pierwszy wydobyta z archiwum okaże, jak silnym był nacisk generalicyi i jej pośredników, jak groźną była obawa represyj rosyjskich, jaki gwałt zadawano sumieniom.

Lubo książe nie był naczelnikiem stronnictwa patryotycznego, był jednak największym w niem potentatem. Antagonizm rodów niemałą tu odgrywał rolę, a jeśli w r. 1792 mówiono, że to jest wojna Potockich — Szczęsnego z Ignacym i Stanisławem, to teraz przypisywano większe jeszcze znaczenie dawnym zawiściom do wzmagającej się potęgi i wpływów Czartoryskich. Zaprzeczeniem tego jest ważny i charakterystyczny list Szczęsnego Potockiego [1] do ks. Mar-

[1] *Kopia listu JW. Potockiego, Marszałka konfederacyi Targowickiej, do JO. Księżny Marszałkowy koronnej.*

Ce n'est pas autrefois c'est de tout temps et pour toujours, que je Vous suis sincèrement attaché, ma chère princesse. Vos ordres seront toujours sacrés et je serai trop heureux de pouvoir les remplir. Ale moja Xiężno Dobrodziejko w tem co mi Xiężna czynić każe, nie jestem Panem. Konfederacyi generalnej koronnej silnym alliantem wspartej zamiar jest — wywrócenie konstytucyi 3 maja; utrzymujący ją uważani są za nieprzyjaciół y Rzeczypospolitej y allianta. Tę konstytucyę 3 maja utrzymujący, jej autorowie winni są i krwi wylewu i ciężaru, który Rzeczpospolita dźwiga („tak się tłumaczą upór i zaślepienie“ (przypisek Ks. jenerała), przeto ułożenie jest generalne, że nietylko ten ciężar dźwigać konstytucyoniści mają, ale nie wątpię, że do sekwestru ich dóbr na skarb Rzeczypospolitej przyjdzie, któren i zadłużyli i roztrwonili.

Znam ja Księcia y wiem, że jest nadto rozsądny, aby to dzieło nierozsądne wymyślił i utrzymywał („nie wymyślił, ale utrzymywał“, przyp. Ks. jen.) ale tak się publiczności zdaje, gdy wychowańcy Księcia, Jego laską obdarzeni, Jego słuchać powinni, najsilniejszymi są filarami dotąd dzieła gubiącego Polskę („Rozum i wieki tę sprawę rozsądzą“, przyp. Ks. jen.). Ja jestem na czele roboty kruszącej monarchię ustanowioną konstytucyą 3 maja; cóżby się znaczyło, żebym przeciwko regule konfederacyi uznającej tych, co utrzymują tę konstytucyę, co recesu od sejmu nie zrobią y z nami się łączyć nie będą, za nieprzyjaciół Ojczyzny, żebym na Księcia dobra dawał libertacyę y załogi? Znasz JO. WX. Mość mój charakter, podwójnym być nie mogę, jestem całkiem tam, gdzie jestem.

Jednak na poczciwość upewniam Księżnę, że nikt lepiej księciu nie życzył, jak ja; ale trzeba, abyśmy w kupie byli; niech się wyrzeknie dzieła

szałkowej Lubomirskiej, która bez wiedzy brata, chcąc go osłonić, odwołała się do dawnej z panem Szczęsnym zażyłości. Odpowiedź,

---

(„Niech Bóg broni, żeby kiedy tę skazę na imię swoje ściągnął“, przyp. Ks. jen.), które bez tego utrzymane być nie może; niech raczy mnie zawierzyć, tak lekce, jak tamci gołowładcy, Księciu radzić nie będę y przysięgam Księżnie, że ani wspomnę, ani pamiętać nie będę o tych wszystkich szykanach, które pseudo-przyjaciele Księcia mnie czynili, wszakże i teraz Zabiełło po tatarsku Brzostowice mi z gruntu nieprzepuszczając ubogiemu ludowi zrabował („Do tych ani należałem, anim je chwalił, miałem przyjaciół, różniłem się w zdaniu z niemi, nieraz bez naruszenia wzajemnego affektu, miałem przyjaciół, lecz nie miałem jurgieltników, którzyby niewolniczo wolę moję pełnili!“ przyp. Ks. jen.), żebym był tak podłym, jak ci, co mi źle czynią, mścilbym się, ale żądając dobra wspólnego, pogardzam takimi, co do tej podłości przychodzą: dobrocią tylko, choć mając siłę w rękach, zwyciężać ich żądam.

Księciu, moje interesa powinnyby być wspólne, jedną Ojczyznę mamy; równie y jej spokojności, y dobra y wolności żądać powinniśmy, równie rewolucya gołowładców nas możnowładcami nazywa y do swego bractwa zawerbować chciała, niszcząc nas y prześladując, równie znaczne majątki posiadamy, równie jesteśmy ojcami, dobro kraju, dobro własne, dobro naszych dzieci wiązać y do szczerej przyjaźni prowadzić nas powinny. Powinniśmy poznać, jakich mamy przyjaciół, przy mnie mała liczba się została, przy Księciu wielka liczba była, ale na cóż? Oto, aby go do zguby doprowadzić („Oba się mamy wzajem za uwiedzionych. Ja błędu swego nie żałuję i owszem z niego się chlubię“, przypisek Ks. jen.). Moja Księżno Dobrodziejko, wybacz Wasza X. Mość, że Jej tak obszernie piszę, ale piszę z całego serca. Bóg widzi, że bez żadnego dla mnie widoku, bez żadnego interesu to mówię ale z serca szczerego, otwartego.

Niech Książe przyszle akces do konfederacyi naszej, a ja biorę na siebie obowiązek strzedz dobra Księcia jak mego, bez tego choćbym chciał to uczynić, nie mogę. Rozumiem, że Księżna łaskawie przyjmie te wyrazy, to co radzę z dobrem Rzeczypospolitej y dobrem partykularnem się zgadza doskonale.

Księżna może wierzyć mojej prawdziwej przyjaźni dla siebie, też samą ofiaruję z serca Księciu. Nieprzystojno prawdziwie, aby grał rolę zapalonego monarcha demokraty; nie ma prawdziwie przyczyny upierać się przy rewolucyi 3 maja, która się utrzymać nie może. Proszę W. X. Mości, abyś zawsze na mnie była łaskawą, wierząc, że nikt do niej nie jest przywiązańszy, y że z tym sentymentem do zgonu trwać będę.

Da Książe dowód swojej przychylności do Rzeczypospolitej skonfederowanej, gdy napisze do Orłowskiego, komendanta Kamieńca, aby przysiągł konfederacyę, inaczej y on miejsce swoje straci, a szkoda, bo człowiek jest dobry. („Byliśmy mało znanymi Orłowski i ja tym, co mogli rozumieć, żebym ja mógł był się spodlić na wieki napisaniem takowego listu, a Orłowski przyjęciem takowej rady“, przyp. Ks. jen.)

Bernatowicza widziałem, mówiłem, aby pisał do Księcia; chciałem pisać sam, ale nie wiedząc jak mój list będzie przyjęty, prosiłem go, aby pisał, że gołowładcy w. Księcia wiele kosztują, więcej mu szkody czynią, niż warci.

(Z archiwum XX. Czartoryskich).

którą załączamy, okazuje, że Szczęsny Potocki nie miał antagonizmu, ani niechęci do księcia, owszem wzywa go do solidarnego z Targowicą działania, w imię wspólnej miłości ojczyzny i wspólnej obrony wielkich fortun i wielkich stanowisk przeciw tym, których zowie goło-władzcami. Książe odrzuca te propozycye, a na kopii listu pana Szczęsnego, którą mu przesłała siostra podobno z namową, aby daremnie się nie opierał, czyni własnoręczne dopiski bardzo stanowcze i dosadne. W Petersburgu nie chciano przebaczyć tego, że polityka familii zerwała dawno z protektoratem Katarzyny: od lat dwudziestu wszystko, cokolwiek się w Polsce działo, nie według instrukcyj petersburgskich, uważanem było za dzieło Czartoryskich.

Książe jenerał ani na chwilę się nie zawahał i stanowczo oświadczył wysłanym od króla i kanclerza Małachowskiego pośrednikom, że aktu konfederacyi nigdy nie podpisze.

Nie o to teraz chodziło już przywódzcom generalicyi, aby księcia przeciągnąć do swego obozu, ale o to, aby go upokorzyć i zadać gwałt jego sumieniu; żądają więc, żeby książe, ponieważ piastuje dwa urzędy w Rzeczypospolitej: jenerała ziem podolskich i szefa korpusu kadetów, złożył królowi przysięgę w myśl powrotu do dawnych praw i swobód, czyli, aby za królem popełnił wiarołomstwo konstytucyi 3 maja. Reces od tego dzieła, które było rewolucyjnym zamachem na republikańską wolność i łączyło w sobie despotyzm monarchiczny z duchem demokratycznym, oto nowa formuła, jaką stawia naczelnik generalicyi w Brześciu.

Książe opuszcza Warszawę, ucieka się pod protekcyę Austryi i przywdziewa na nowo mundur feldzeigmaistra wojsk austryackich. Mimo całej życzliwości cesarza i ministrów, kroki przedsiębrane w celu osłonienia księcia okazują obawę i chęć zasłonięcia się przed gabinetem petersburgskim. W Wiedniu więc stawiają jako warunek interwencyi cesarskiej, aby książe złożył zobowiązanie, że nic nie będzie działał i podejmował przeciw obecnemu porządkowi rzeczy w Warszawie. Po manifeście marszałków, ogłaszającym nietylko nienaruszalność konstytucyi, ale nieprzerwalność sejmu, który nie był zamkniętym, lecz tylko limitowanym, oświadczenie takie równało się zneutralizowaniu się księcia. Łatwym jednak był ten warunek do przyjęcia: wszak w obecnem położeniu deklaracya marszałków była

tylko demonstracyą, a sejm nic legalnie podjąć nie mógł, gdy król od niego odstąpił.

Z upadkiem wielkiego sejmu przerywa się na długo polityczny księcia zawód, a zaczyna drugi okres jego działalności na polu nauki i życia społecznego. Podejmie on jeszcze na krótki czas laskę marszałka sejmu r. 1812, ale będzie to tylko epizod wśród zajęć odmiennej natury, które resztę zapełnią życia.

Odrzucając nalegania i groźby Targowicy, połączonej z potęgą gwarantki, pośród ogólnej dezercyi, dotrwawszy pod sztandarem 3 maja, kończy książe zawód publiczny pięknym czynem, który świadczy, że jeśli wśród akcyi niezawsze bywał niezawisłym, owszem, często ulegający wpływom, umiał wytrwać i wystawić się; że jeśli nie miał przenikliwości niezłomnego męża stanu, zachował nieskazitelny charakter prawego ojczyzny obywatela.

Ten sam nacisk o reces od konstytucyi, lub przystąpienie do Targowicy, co na księcia jenerała, wywierano na każdego z osobna, i na bliskiego mu krwią i uczuciami księcia Józefa.

Otrzymawszy dymisyę, nie podążył wraz z kolegami do Drezna, ale do Pragi, gdzie żyła jeszcze jego matka, i do Wiednia. Dalszej korespondencyi z królem nie zaniechał, a w listach swych umiał połączyć wdzięczność i przywiązanie bratanka z szczerem, często wzniosłem głosem patryotycznych swych uczuć... „J'aimerais mieux mendier mon pain, périr dans la misère, m'expatrier pour toujours, renoncer même au bonheur de Vous embrasser encore une fois dans ma vie, que de changer de sentiment... Daignez Vous persuader pour l'amour de nous et de Votre gloire, que chaque acte de faiblesse, que Vous commétrer par pitié ou bonté pour nous, serait le plus grand tourment, que Vous puissiez nous imposer. Souvenez Vous, que Vous êtes roi, que Vous devez votre gloire à la nation entière, que l'attachement général que Vous devez à cette nation a pu excuser Votre conduite, mais que toute faiblesse vis à vis des traitres serait opprobre, que la race future ne pourrait jamais Vous pardonner".

A obok tych gorzkich i twardych wyrzutów, zaklęć i napomnień, w każdym liście czułe bratanka dla nieszczęśliwego stryja wyrazy. Jak księcia jenerała wzywano do recesu od konstytucyi, tytułem jego dwóch urzędów, tak i księcia Józefa zniewolić chciano do podobnej przysięgi, gdyż choć miał już dymisyę z naczelnego

dowództwa, pozostał jeszcze komendantem przybocznej gwardyi królewskiej.

Wezwanie do przysięgi nadesłał mu pułkownik Hiż, z polecenia jenerała Ożarowskiego.

Książe Józef odpowiada wprost Ożarowskiemu, a podobno także pisze do Szczęsnego Potockiego; listy te w wielu odpisach udziela przyjaciołom i wysyła do kraju [1].

Wystąpienie księcia Józefa wzbudziło wielkie wzburzenie wśród generalicyi konfederackiej. Ożarowski odpowiedział listem obelżywym, na który książe Józef przesłał znów wezwanie, dając do wyboru miejsce spotkania w Galicyi. Ożarowski przyjmuje wyzew, ale z cynizmem wzywa księcia do Brześcia lub do Petersburga.

Pan Szczęsny gdzieindziej szuka satysfakcyi, przesyła listy bratanka królowi, czyniąc go za nie odpowiedzialnym i obrzucając go wyrzutami.

---

[1] *Przez pułk. Hiża wezwani od Ożarowskiego do przysięgi na starą konst. jako dowódzcy gwardyi król.*

Do Ożarowskiego pułk. leitnanta konf. targ.

Dostałem list p. Hiża pułk., który mnie mocno zdziwił. Wiadomo JW. panu, żem wtenczas Polsce służył, kiedy nie przemoc żadna, ani nie spisek kilku obywateli przez nią wspierany jenerałów mianował. Broniłem swobód mej ojczyzny, broniłem praw tych, które ona sama sobie nadała. Broniłem ich w tem przekonaniu, że to czynię, co się poczciwemu Polakowi czynić należy. Odmiana okoliczności przymusiła mnie porzucić ziomków moich i to waleczne wojsko, którego z serca i pamięci mojej nic wygładzić nie potrafi. Pamiętać JWP. musisz, żem z szlachetnem uczuciem patrzał na dzieło narodu d. 3 maja uskutecznione. Wiesz JWPan, że to dzieło bronić orężem i utrzymywać najświętszą dla mnie było powinnością. Jak się teraz spodziewać możesz, że zechcę wykonaniem przysięgi zrównać się z tymi zdrajcami, którzy swobodę i uszczęśliwienie pierwsi dumnej swej pysze poświęcili. Sposób nawet, którym mnie doszła ta rota przysięgi przez JWK. pułk. Hiża za ordynansem JWPana przysłana, zastanowiła mnie niepomału; od dzieciństwa mego słyszałem i widziałem, że gwardyści do króla należą i od niego rozkazy odbierali; wyperswadować sobie nie mogę, żeby kilku odwrotnych obywateli *pacta conventa* zrywać mogli: prawda, że kto ojczyznę zdradzi, ten y jej prawa zdeptać potrafi. Oświadczam JWPanu, że w tym momencie żadnego prawa mieć nie chcę do urzędów większych w Polsce, w tem przekonaniu i w tem uczuciu, które w sercu każdego poczciwego Polaka, roboty WKPana wzniecać powinny; mam honor pisać się z wiernym Jemu szacunkiem.

Anno 1793 januar.

Stanisław August wypiera się wspólnictwa z pismem księcia Józefa, tłumaczy się i sumituje[1].

Z Warszawy przed boleścią i wstydem uciekł cały zastęp mężów patryotycznego ducha, i to był początek pierwszej emigracyi. W Saksonii schronili się przywódcy stronnictwa konstytucyjnego: dwaj Potoccy, Weisshoff, Niemcewicz, Mostowski, Józef Wybicki i marszałek Małachowski. Tam także udali się wodzowie i oficerowie, którzy wzięli dymisyę po przystąpieniu króla do Targowicy.

Pierwsza ta emigracya złożona ze statystów i ustawodawców, oraz ludzi oręża, odwracała wzrok ze zgrozą od Warszawy i Grodna, gdzie na głowy Targowiczan spadł grom drugiego rozbioru, a po nim gorsza jeszcze sromota sejmu grodzieńskiego, który go potwierdził i dał mu pozór dobrowolnej zgody i legalności.

Z Drezna i Lipska wychodziły bądźto protesta i pisma w obronie konstytucyi, bądź pamflety na Targowiczan. Ignacy Potocki wespół z Hugonem Kołłątajem pisze znaną książkę: „Konstytucya 3 maja“, i ogłasza ją we trzech językach.

---

[1] *Król do Szczęsnego*

Warszawa 2 lutego 1793.

Mości Panie Marszałku Konfederacyi Generalnej Koronnej!

List WPana bez daty odebrałem wczoraj przez kuryera Radzkiego. Odpisując przez tegoż upewniam najwyraźniej, że o liście księcia Józefa synowca mego, którego kopią WPan mi przysłałeś, wcale nie wiedziałem. To zaś zaręczam najmocniej, że jabym nigdy na pisanie onego nie był zezwolił, gdybym mógł przewidzieć, żeby miał być i zamyślony. Odległość miejsc, jak w wielu innych okazyach, tak i w tej jest wielce szkodliwą.

W responsie swoim dogodziłeś sobie WPan, ale trudno mi też zataić bolesnego uczucia niektórych wyrazów WPana, które gdy zechcesz sobie przypomnieć, spodziewam się, że sam uznasz sprawiedliwość mojej tkliwości.

Bóg, gdy mnie i przodków moich stworzył, dał nam się rodzić równymi każdemu w tej ojczyźnie.

Gdy w roku 1773 odpadły niektóre części od Polski, ani wzmianki, ani myśli nie było w nikim o sukcesyjnym tronie dla nikogo.

Same zaś czyny 3 maja najlepszym są dowodem, że nie dla siebie i nie dla swoich skłoniłem się do żądania publicznego. A żem do despotyzmu nie dążył, tak uroczyste i wolne narodu dziękczynienia dość jawnie okazały.

To powiedziawszy com prawdzie i sobie był winien, dodaję żądanie najgorętsze, abym więcej nie był przymuszony użalać się na podobne przypadki, które dlatego najbardziej pragnę widzieć niepowtarzane, ażeby w żaden sposób nie psuły skutku tej chęci prawdziwej, która jest we mnie, jednania, a nie rozrywania umysłów zawsze a tem bardziej teraz.

Co wyraziwszy etc.

Publikacya ta ma dwojaki cel. Jest ona pierwszą niejako odezwą do opinii europejskiej, w obronie zasad nowej konstytucyi, daje ich objaśnienia, a zarazem odpowiedź na zarzuty rzeczników dawnych praw, a raczej dawnego Rzeczypospolitej bezrządu.

Komentarz to ważny do konstytucyi 3 maja przez jej twórców ułożony. Kiedy Targowica zarzucała, że t. z. rewolucya 3 maja wywracała dawne swobody na rzecz *absolutum dominium*, to znów, że była dziełem jakobinizmu i demagogii, książka pomieniona wykazywała bezpodstawność tych sprzecznych oskarżeń. Stawia ona jasno nowe, nieznane dotąd nawet na zachodzie teorye rozdziału idei panowania, od idei rządzenia, odpowiedzialności ministrów przed sejmem, zgoła wszystkie podstawy, na jakich w XIX. wieku miał się rozwinąć konstytucyonalizm. Autorowie nie wzięli zaiste tych zasad ani z Condillaca ani z Syesèsa, ale zdają się wyprzedzać o lat kilkadziesiąt Benjamina Constant. Doktryn tych nie można dziś przyjmować bez zastrzeżenia, bo i podstawy konstytucyonalizmu zachwiane, budzą już słuszną nieufność; ale na owe czasy to pismo, wychodzące od grona polskich reformatorów, odznacza się poglądami o ustroju państwa, granicach wolności, jak i teoryami społecznego postępu; przemawia zarówno do statystów i ludzi porządku, zastraszonych przewrotem rewolucyi francuskiej, jak do zwolenników wolności i postępu w granicach prawa i porządku.

Obok tej poważnej pracy, która miała się stać, jakby uzupełniającemi motywami wywróconej konstytucyi, wychodzą z Drezna, Lipska i Wiednia żółcią zaprawne pamflety przeciw przywódzcom Targowicy. Niemcewicz pisze satyrę na pana Szczęsnego i rozsyła ją po kraju, nie szczędzi i króla i imperatorowej. W Dreznie jest on łącznikiem między Kościuszką, z którym odbył amerykańską wyprawę, i kołem wojskowych, a Małachowskim i Potockimi, z którymi miał koleżeńską z sejmu zażyłość. Wspólny też duch jednoczy ustawodawców z gronem wojskowych; pierwsi wypowiedzieli już ostatnie swoje słowo w konstytucyi 3 maja, drudzy rozumieli to dobrze, że ostatni protest krwi nie został złożony.

Wszelako nie przewidywali oni jednak, aby miała być bliską i możliwą chwila powstania, ani też do niej nie dają podniety. Stanisław Małachowski podejmuje daleką podróż do Włoch, towarzyszy mu Niemcewicz, najbliższy Kościuszki powiernik; w Wiedniu spo-

tyka się z księciem jenerałem Czartoryskim, który nie opuszcza stolicy Austryi przez całą sromotną epokę sejmu grodzieńskiego i później przebywa tam po wybuchu powstania. I nie dziw, musiał on teraz być jeszcze ostrożniejszym, bo skutkiem drugiego rozbioru większa połowa dóbr Czartoryskich przechodzi pod panowanie rosyjskie.

Małachowski i Niemcewicz, nie byliby oddalali się od granic Polski, gdyby z Lipska i Drezna wychodziło hasło powstania.

Akcyę konspiracyjną w kraju prowadziła jedynie partya Hugona Kołłątaja, która już na sejmie, jak wiadomo, stanowiła osobną frakcyę w stronnictwie patryotycznem. Łączy się z nią jenerał Zajączek wraz z swym bratem i bierze na siebie missyę sprowadzenia Kościuszki. Kościuszko długo nieufny, czy są warunki powodzenia, przybywa potajemnie do Galicyi, aby się przekonać naocznie, o ile doniesienia i namowy Zajączka i Kołłątaja są wiarogodne. Na odgłos wybuchu śpieszy z Florencyi i Niemcewicz.

Powstanie nie było przeto dziełem przywódzców stronnictwa reformy, ale było nieuniknionem następstwem tego szeregu dobrowolnych abdykcyj, które się rozpoczęły w chwili, gdy król odstąpił konstytucyę, i podpisując akt konfederacyi i nowy traktat z gwarantką, przerwał kampanię 1792 r.

Ludwik Dębicki.

MIKOŁAJ TRĄBA

PIERWSZY PRYMAS POLSKI.

(Ciąg dalszy).

Wystawny i gościnny arcybiskup Trąba, chcąc, jak utrzymuje Długosz, podnieść w obec Europy zachodniej sławę swego monarchy, a przytem niezawodnie uczcić najsławniejszą w ówczesnym świecie akademię paryską, zaprosił wszystkich jej członków na wspaniałą ucztę, którą cały Paryż w podziwienie wprawił [1]. Działo się to na koszt całego duchowieństwa archidyecezyi gnieźnieńskiej, do którego się gościnny arcybiskup był udał, prawdopodobnie z tej podróży swojej, o pomoc pieniężną. W skutek tej odezwy kapituła gnieźnieńska, nie chcąc arcypasterza swego pozostawić w kłopotach, a przytem pragnąc go powstrzymać od dalszych zastawów i alienacyj dóbr arcybiskupich, nałożyła na wszystkich opatów, prałatów i kanoników, proboszczów i całe duchowieństwo parafialne podatek, wynoszący po sześć groszy szerokich od grzywny czystego dochodu, według taksy bieżącej, jak odnośny dekret kapituły opiewa [2]. Złożenie tego znacznego podatku na wystawność arcybiskupią niełatwą było rzeczą dla duchowieństwa archidyecezalnego, ponieważ prawie równocześnie na usilne domaganie się króla Władysława, gotującego się do wojny z Krzyżakami, pociągnięte zostało do kontrybucyi [3], a nieco później, w tym samym jeszcze roku złożyć musiało

[1] Długosz, Hist. pol. lib. XI., 376.
[2] Acta decr. Capit. Gnesn. I., 57 b.
[3] Tamże, I. 56.

dziesięcinę podwójną na budowę kościoła metropolitalnego [1]. To też duchowieństwo rzeczone chlubne sobie przez to wystawiło świadectwo ofiarności na potrzeby publiczne i kościelne.

Członkowie akademii paryskiej ujęci gościnnością arcybiskupa Mikołaja, doręczyli mu wśród uczty nikczemny paszkwil na króla Władysława i cały naród polski wymierzony, przedstawiający pierwszego i brata jego Witolda jako chrześcijan pozornych tylko, a w rzeczy samej heretyków i niedowiarków, bratających się z Rusinami i Tatarami, tudzież wzywający wszystkie narody chrześcijańskie do wojny krzyżowej przeciw obydwom, tudzież przeciw całemu narodowi polskiemu równie heretyckiemu, jak dwaj wymienieni książęta, celem zupełnego jego zniszczenia i wytępienia. Autorem tego podłego piśmidła był niejaki Jan Falkenberg, dominikanin z Kamienia, bawiący niegdyś jako lektor teologii w klasztorze krakowskim swej reguły, który opuścić musiał z powodu zarzutu herezyi uczynionego książce napisanej przez biskupa wormanckiego, Mateusza z Krakowa [2]. Wróciwszy do Kamienia, najęty został do napisania owej brudnej broszury przez podstępnych i nikczemnych Krzyżaków, aby podkopać wzięcie i szacunek, któremi się Polacy i ich monarcha u ościennych cieszyli narodów. Arcybiskup dotknięty ciężko tą podłością krzyżacką, jako i upadkiem moralnym Falkenberga, który się dał użyć za narzędzie niegodziwości, powróciwszy do Konstancyi przedłożył tę sprawę soborowi, który, przywracając sławę królowi i narodowi polskiemu, pismo Falkenberga, jako przeciwne wierze i moralności, bezecne, podburzające i okrutne potępił, a autora na więzienie skazał [3]. Król Władysław dowiedziawszy się o paszkwilu, nadzwyczajnie się zmartwił, a kazawszy go sobie przesłać, uczynił go przedmiotem użaleń i rozpraw na publicznych zebraniach i sejmach, domagając się surowego ukarania winowajcy, w skutek czego poselstwo polskie w Konstancyi po kilkakrotnie na soborze z tą sprawą występowało, jak to niżej zobaczymy.

Tymczasem przybyło do Konstancyi dnia 28 listopada r. 1415 poselstwo Żmudzinów i udało się do soboru z prośbą o pomoc w nawróceniu do wiary Chrystusowej reszty ziomków

[1] Tamże, I. 59.
[2] Wiszniewski, Historya Liter. Polskiej t. III. 134. uw. 91.
[3] Długosz l. c. lib. XI., 376, 377.

swoich [1], przywiózłszy z sobą list króla Władysława Jagiełły, pisany ze Lwowa dnia 18 października tegoż roku, w którym wynurzywszy na wstępie uległość swą synowską względem soboru, uznanie zbawiennych jego prac dla dobra Kościoła i życzenie najrychlejszego wykorzenienia rozdwojenia w nim i schizmy [2], donosi, że do dawniejszych swoich posłów i reprezentantów narodu polskiego przysyła kilku nowych, aby wspólnie z tamtymi wspomagali ojców soboru w ich pracach i zabiegach, prosi o pomoc i radę co do wykorzenienia w ziemiach berłu swemu podległych schizmy i pogaństwa i zjednoczenia wszystkich poddanych polskich w jedności prawdziwej wiary Chrystusowej, domaga się poskromienia tych, którzy mu w osiągnięciu tego celu przeszkadzają, odpowiada na wezwanie dawniejsze soboru, ażeby Węgry bronił od napaści tureckiej i donosi, co w tej mierze uczynił na drodze dyplomatycznej, nie mogąc dla własnych kłopotów w kraju na czele armii pospieszyć sprzymierzeńcom swym na pomoc i odwrócić od nich dotkliwej klęski, której od pohańców świeżo doznali, nareszcie żali się gorżko, że mimo swoich rzetelnych w tej mierze zabiegów, podobało się złośliwym językom czernić go i zniesławiać, jakoby tej klęski intelektualnym był sprawcą [3]. Sobór przyjął poselstwo żmudzkie łaskawie i zainteresował się wielce przedłożoną przez nie sprawą. Na kongregacyi publicznej dnia 9 lutego roku 1416 Jan, kardynał raguski, dobrowolnie ofiarował się z pomocą ku nawróceniu Żmudzi, tak samo dwaj nieznani bliżej biskupi-sufragani i trzech doktorów z zakonu mendykantów [4]. Ostatni razem z wspomnianem poselstwem opuścili dnia 1 marca tegoż roku Konstancyę, udając się na miejsce przeznaczenia swego z pracą apostolską [5], o której nam źródła nasze żadnej zgoła nie przechowały wiadomości. Ponieważ Krzyżacy chciwi posiadania Żmudzi pod pozorem jej nawracania, mięszać się poczęli w sprawy jej wewnętrzne, czyli raczej przeszkadzać dziełu przez sobór podjętemu, przeto na zaniesioną przez posłów żmudzkich skargę, zgromadzeni wszystkich narodów repre-

---

[1] V. d. Hardt l. c. t. II. 422. t. IV., 547.
[2] Tamże, t. IV., 548.
[3] Tamże t. IV., 547—551.
[4] Tamże, t. IV. 606.
[5] Tamże, IV., 619.

zentanci na publicznem posiedzeniu dnia 17 czerwca roku 1416 zabronili podstępnym mnichom wszelkiego wdzierania się w sprawy Żmudzinów, postanowiwszy przytem, że pod względem świeckim do cesarza, a pod względem duchownym do swoich biskupów, jako sędziów udawać się mają [1].

Z podróży do Francyi i Hiszpanii powrócili do Konstancyi dnia 29 stycznia roku 1416 delegaci soboru, przydani cesarzowi Zygmuntowi za towarzyszów, który sam pozostał jeszcze we Francyi w celach politycznych i dopiero rok później na sobór się stawił [2]. Ci na kongregacyi jeneralnej w kościele katedralnym zdawali nazajutrz sprawę z poselstwa swego, którego owocem był układ zawarty na dniu 13 grudnia roku 1415 w Narbonne z książętami hiszpańskimi, mocą którego ci wypowiedzieli posłuszeństwo Benedyktowi XIII. i połączyli się z soborem konstancyjskim [3], w skutek czego posłowie ich i biskupi, przybywszy w październiku roku 1416 do Konstancyi, tworzyli odtąd aż do końca soboru osobną grupę poselską narodu hiszpańskiego [4]. Razem z rzeczonymi delegatami soboru powrócił niezawodnie nasz arcybiskup Mikołaj; widzimy go bowiem w Konstancyi na kongregacyi jeneralnej dnia 4 lutego roku 1416 składającego w kościele katedralnym z innymi członkami przysięgę na wspomniany wyżej układ narbonneński, przyczem pomiędzy wszystkimi arcybiskupami i biskupami na pierwszem figuruje miejscu [5]. Myli się zatem Długosz, pisząc o owej wspaniałej uczcie wyprawionej akademikom paryskim, że miała miejsce w pierwszą niedzielę postu [6], gdyż ta niedziela przypadała w roku 1416, dnia 8 marca. Musiała przeto, jeżeli w ogóle podanie Długoszowe o niej jest prawdziwe, daleko rychlej nastąpić, gdyż pobyt arcybiskupa w Konstancyi na miesiąc przed 8 marca jest niewątpliwy. Chociażby bowiem przypuścić można, że układ narbonneński dnia 4 lutego tegoż roku przez pełnomocnika swego podpisał, to akta soboru konstancyjskiego najwyraźniej podają, że na dniu 13 lutego

[1] Tamże, IV., 790.
[2] Tamże, t. IV., 583 Cfr. IV., 1090.
[3] Tamże, t. II. 542 sqq. t. IV., 583 sqq.
[4] Tamże, IV., 909 sqq. Harduin l. c. t. VIII., 473—479.
[5] Tamże, t. IV., 592.
[6] Historia Pol. lib. XI. 376.

roku 1416, na kongregacyi publicznej wspólnie z biskupem płockim i nominatem-biskupem poznańskim w imieniu króla Władysława i w. książęcia Witołda, wniósł skargę przeciw wichrzącemu bezustannie zakonowi niemieckiemu [1], o której niżej będzie mowa.

Tymczasem zgromadzenie konstancyjskie od dnia 6 listopada roku 1416, aż do 26 lipca roku następnego bezustannie prawie zajęte było sprawą antypapy Benedykta XIII. Dwunastu sędziów z wszystkich narodów wybranych roztrząsało jego winy, słuchało świadków i przez ponowne poselstwa do osobistego stawienia się przed sądem wzywało [2], a gdy to nie nastąpiło, sobór widział się zniewolonym, na trzydziestej siódmej sesyi dnia 26 lipca roku 1417 ogłosić go uroczyście za wiarołomcę, schizmatyka i heretyka, pozbawić go wszelkich praw i godności, tudzież pod surowemi karami kościelnemi zakazać wiernym wszelkich z nim styczności [3]. Piotr de Luna nie poddał się do końca ogłoszonemu przeciw sobie wyrokowi mimo przedsięwziętej przeciw niemu wojny krzyżowej i wyprawianych do niego poselstw, aby się poddał Marcinowi V. Przesiadując bezustannie w niedostępnym zamku Penniscola, tam bez żalu i skruchy w roku 1424 życia dokonał [4].

Z złożeniem z papiestwa Benedykta XIII. sobór konstancyjski po trzyletnich blisko pracach i zabiegach swoich dokonał pierwszego głównego swego zadania, tj. usunął z Kościoła nieszczęsną schizmę i rozdwojenie. Wśród tych zabiegów wypełnił także drugi cel swego zebrania, jakeśmy wyżej widzieli, potępiwszy bardzo niebezpieczną herezyę Husa i jego towarzysza Hieronima, tudzież inne błędy i nowatorstwa religijne. Pozostało jeszcze do spełnienia trzecie zadanie, reforma Kościoła i wybór prawowitego Papieża. Lecz jak przy dwóch pierwszych celach zgromadzenie działało zgodnie i wytrwale, tak przy ostatnim, rozdzieliło się zrazu na dwa stronnictwa upierające się gwałtownie o to, czyli wybór Papieża poprzedzać powinna reforma, lub też przeciwnie. Za pierwszem zdaniem obstawali głównie

---

[1] V. d. Hardt l. c. IV., 606: „Querela Polonorum contra Ordinem Teutonicum. Die Jovis XIII. mensis Februarii praedicti Reverendi Patres Domini Nicolaus Archiepiscopus Gnesnensis etc".

[2] Tamże, t. IV., 976 sqq.

[3] Tamże, t. IV. 1367 sqq.

[4] Wetzer und Welte l. c. t. VI., 644.

Niemcy z cesarzem Zygmuntem na czele, za drugiem byli kardynałowie, tudzież reprezentanci narodów: francuskiego, włoskiego i hiszpańskiego, słusznie z tej zasady wychodząc, że największą deformacyą ciała, jest jego bezgłowność, czyli, że o reformie ciała będącego bez głowy, mowy być nie może. Ostatnie stronnictwo, wzmocnione następnie przez Anglików, zwyciężyło nareszcie i wybór Papieża postawiono na porządku dziennym [1]. Zanim jednakże przystąpiono do tego ważnego dzieła, uchwalono na sesyi czterdziestej publicznej dnia 30 października roku 1417 zasady dotyczące przyszłej reformy Kościoła, według których Papież wspólnie z soborem lub jego delegatami przeprowadzi potrzebne naprawy i zmiany, w których skład wchodzić miały: liczba, przymioty i narodowość kardynałów, rezerwaty Stolicy apostolskiej, annaty, obsadzanie beneficyów kościelnych i ekspektatywy, sprawy w kuryi rzymskiej traktować się mające, apelacye do tejże kuryi należące, obowiązki kancelaryi i penitencyaryi, egzempcye i inkorporacye podczas trwania schizmy poczynione, komendy, potwierdzenie wyborów, dochody wakujących posad duchownych, nietykalność dóbr kościelnych, przepisy względem upomnień i degradacyi Papieża, wytępienie symonii, dyspenzacye, prowizye papieskie i kardynalskie, odpusty i dziesięciny [2].

Dnia 2 listopada 1417 r. poczęto przygotowania do wyboru [3], do którego szczęśliwego przeprowadzenia nasz arcybiskup Mikołaj wielce się przyczynił. Na sesyi jeneralnej czterdziestej pierwszej postanowiono pomiędzy innemi dnia 8 tegoż miesiąca, że udział w wyborze obok kardynałów przysługiwać miał sześciu członkom reprezentacyi każdego narodu [4]. Pomiędzy 24 stróżami św. konklawe trzem polskim panom świeckim przypadł zaszczyt tego obowiązku [5]. Tegoż dnia weszło do konklawe, urządzonego w domu jednego z kupców konstancyjskich, 23 kardynałów i 30 członków duchownych, po największej części biskupów, pięciu grup narodowych, pomiędzy ostatnimi zaś na czele nasz arcybiskup Mikołaj, jako reprezentant narodów: niemieckiego i polskiego, z arcybiskupem rygskim Janem

[1] V. d. Hardt l. c. t. IV., 1394—1452.
[2] Tamże, t. IV., 1452. 1453.
[3] Tamże, IV., 1460 sqq.
[4] Tamże, IV., 1461.
[5] Tamże, IV., 1471, 1472.

Wallenrodem, biskupem Dalmacyi, i trzema doktorami teologii: Konradem de Susato, kanonikiem spireńskim, Lambertem de Stipite, przeorem Benedyktynów z dyecezyi lowańskiej i Mikołajem Dinckelspuel, ambasadorem Albrechta, książęcia Austryi [1]. Trzy dni trwało konklawe z powodu niezgody wyborców, z których każdy pragnął mieć papieżem swego ziomka. W skutek tego rozstrzeliły się głosy i naraz kilku stanęło obok siebie kandydatów do tyary, chociaż sobór wyraźnie postanowił, że wybór wtenczas dopiero miał mieć ważność, gdyby się dwie części kardynałów i po dwóch wyborców z każdego narodu na jednego i tegoż samego kandydata zgodzili [2]. Jedynie roztropności wielkiej i szlachetnej o dobro Kościoła troskliwości arcybiskupa gnieznieńskiego i towarzysza jego, arcybiskupa rygskiego, zawdzięczać należy szczęśliwe i jednozgodne uskutecznienie oboru. Oni to bowiem zrzekli się pretensyi wyboru Papieża niemieckiej narodowości, i reprezentantów innych narodów, po usilnych przedstawieniach, do naśladowania swego przykładu nakłonić zdołali [3]. Nareszcie po wzajemnej zachęcie do zgody i jedności, w czem znów reprezentanci niemieckiej grupy rej wodzili, w sam dzień św. Marcina, 11 listopada roku 1417 wszyscy wyborcy jednomyślnie oddali swe głosy na kardynała Ottona de Columna, albo de Colonna, Rzymianina, który przybrał imię Marcina V. [4].

Wystąpienie arcybiskupa Trąby w obec konklawe, którem skojarzył jedność wyborców i na sam wybór szczęśliwy skutecznie wpłynął, tem więcej mu przynosi zaszczytu, że sam mając za sobą głosy pewne towarzyszów, dla dobra Kościoła zrzekł się łatwo i chętnie wszelkich do godności papieskiej pretensyj. Wprawdzie źródła niemieckie soboru nic zgoła o tychże głosach na niego oddanych nie wspominają, lubo ze słów Hardta słusznie wnosić należy, że ze strony Niemców, a może i innych narodów, pierwotnie jego miano na oku, ile że pomiędzy kardynałami ani jednego Niemca w konklawe nie było, a Bzowski w opisie krótkim wyboru przy pierwszem scrutinium wyraźnie sześciu, przy drugiem zaś czterech kan-

---

[1] Tamże, IV., 1478.
[2] Tamże, IV., 1481.
[3] Tamże, IV., 1481, 1482.
[4] Tamże, t. IV., 1482 sqq.

dydatów obcych wymienia [1], atoli Długosz stanowczo utrzymuje, że arcybiskup Mikołaj otrzymał od wyborców wiele głosów, lecz tak ze względów politycznych, jako i z gorącego pragnienia zgody i jedności, odstąpił te głosy na rzecz kardynała Ottona [2]. To samo podają niektórzy pisarze nasi i zagraniczni [3], lubo, według naszego zdania, to oddanie głosów nie nastąpiło przy żadnem decydującem scrutinium, lecz było wyrazem opinii niektórych spółwyborców zaraz na początku konklawe. Bądź jak bądź, arcybiskup Trąba umiał sobie w Konstancyi zjednać nadzwyczajną powagę i znaczenie ku własnej chwale i chlubie narodu polskiego. Szczęśliwym wyborem Marcina V. zakończyło się, ku niewymownej ówczesnego świata chrześcijańskiego radości, czterdziestoletnie w Kościele rozdwojenie, do czego się wielce przyczynił arcybiskup Trąba z resztą poselstwa polskiego, które godnością w postępowaniu, szlachetnością charakterów, gorącem do wiary ojców przywiązaniem, głęboką nauką, powagą i porywającą wymową sobie i tym, których reprezentowało, zjednało powszechną cześć i wiekopomną sławę.

Przedstawiwszy świetny udział poselstwa polskiego w sprawach kościelnych na soborze konstancyjskim, przechodzimy teraz do opisania pokrótce działań politycznych tegoż poselstwa, według otrzymanych od monarchy swego poleceń.

Wspomnieliśmy wyżej, że legat papieża Jana XXIII. nakłonił króla Władysława w obozie pod Brodnicą do zawarcia z zakonem niemieckim dwuletniego rozejmu, zaręczywszy mu uroczyście, że sprawę krzyżacką podda pod rozwagę i wyrok zwołanego właśnie naówczas soboru konstancyjskiego. W skutek tego monarcha polski wyprawił

---

[1] Tamże, t. IV., 1482.

[2] *Historia Polon.*, lib. XI., 384.

[3] Wyjątek z Kroniki klasztoru szczyrzyckiego w Paprockiego Herbach Ryc. Pol., str. 952: „Adeo insuper (Nicolai Trąba Archiepiscopi Gnesnensis), in Constantiensi Concilio virtus percrebuerat, ut Concilio praefato ad electionem summi Pontificis, Joanne XXIII. deposito, procedente multas voces, quibus ad summum Pontificatum deposcebatur, habuerit". Okolski, *Orbis Polon.*, t. III., 226. Damalewicz, *Series Archiep. Gnesn.*, f. 223, Janocki, *Nachricht von raren polnischen Büchern*, Th. II., f. 3: „Er (Nicolaus Trąba) lehnte aber diese unerwartete Ehre aus politischen Gründen von sich höflichst ab... etc". To samo piszą Kromer, Bielski, Niesiecki, Janicki, Bużeński i inni, oraz z obcych, Lenfant, *Histoire du Concile de Constance*, t. II. 150 sqq., Fleury, *Histoire Ecclésiastique*, l. 81 ad a. 1417.

tam poselstwo, opatrzone w odpowiednie instrukcye, nie przewidując naówczas, jaki obrót weźmie sprawa Jana XXIII., na którego poparcie zaręczone mu przez legata liczył. Tymczasem sprawa ta, jak to wyżej pokazaliśmy, od początku zaraz soboru niepomyślny wziąwszy kierunek, po kilku miesiącach skończyła się złożeniem Jana XXIII. z godności papieskiej, a tem samem ustało jego względem króla polskiego zobowiązanie się. Poselstwo zakonu niemieckiego, na którego czele stał arcybiskup rygski i stronnictwo krzyżackie pod przywództwem Ludwika Brodatego, książęcia bawarskiego i biskupa regensburskiego, wszelkich dokładało starań, zabiegów i wysileń, ażeby sobie ująć zgromadzenie konstancyjskie, nie przebierając w środkach prowadzących do celu, jak dowodzi ów paszkwil Falkenberga, lecz daremnie; albowiem powszechna uwaga i praca członków soboru zwróconą była jedynie na najrychlejsze usunięcie schizmy i zapobieżenie szerzenia się nader niebezpiecznej herezyi husyckiej. Naprzeciw tajemnym intrygom krzyżackim dzielni posłowie polscy, a przedewszystkiem arcybiskup Mikołaj i nominat-biskup poznański Andrzej Laskary Gosławicki nie omieszkali skuteczne stawiać zapory a swoją nauką, zacnością, mądrością i rozsądkiem jednali serca wszystkich nietylko dla siebie, ale dla całej Polski. Utrzymując z monarchą i mocodawcą swoim nieprzerwane stosunki, donosili mu o wszelkich podstępnych swych wrogów obrotach, oraz całym spraw soboru przebiegu i do odpowiedniego występowania dawali mu wskazówki. Dowiedziawszy się od nich król, że Krzyżakom udało się pozyskać oprócz książęcia bawarskiego i biskupa regensburskiego innych książąt i prałatów niemieckich, pomiędzy nimi burgrafa Fryderyka norymberskiego, margrafa Fryderyka miśnieńskiego, arcybiskupa kolońskiego, biskupa wyrcburskiego i innych, natychmiast napisał do soboru ów list wyżej wspomniany z dnia 8 października roku 1415 z oświadczeniem zupełnej swej uległości i posłuszeństwa ku niemu, gotowości nawrócenia reszty Żmudzinów, i pojednania z Kościołem Rusinów i obrony Węgrów naprzeciw tureckim najazdom [1]. List ten dobre na zgromadzenie soboru wywarł wrażenie.

Niemałą przysługę oddała sprawie polskiej wdzięczna wskrze-

[1] V. d. Hardt l. c. t. IV., 547—551.

sicielowi swemu i dobroczyńcy akademia krakowska, która za przykładem akademii paryskiej wyprawiła na sobór reprezentantów swoich, aby nietylko nauką swoją dodali blasku poselstwu królewskiemu i podnieśli sławę swego narodu, ale uczonemi wywodami wykazali przed zgromadzonemi z całego świata chrześcijańskiego znakomitościami krzywdy i szalbierstwa, których się zakon niemiecki dopuszczał przeciw Polsce. Na czele wysłańców akademickich stał słynny w dziejach wszechnicy jagiellońskiej Paweł, syn Włodzimierza z Brudzewa, który w obszernej i gruntownej rozprawie doręczonej soborowi dnia 5 lipca roku 1415, najprzód przez reprezentantów narodu niemieckiego, a następnie przez pełnomocników innych narodów rozbierany [1], starał się wykazać na podstawie pisma św. i prawa przyrodzonego, że nawracanie pogan dziać się powinno nie zapomocą oręża i okrucieństw, ale środkami łagodności i przekonywającej nauki, że przeto Krzyżacy dopuszczali się w Prusach, na Litwie, Pomorzu i Żmudzi bezprawia i zbrodni, niszcząc ogniem i mieczem niezliczone razy te ziemie pod pozorem nawrócenia ich mieszkańców do wiary Chrystusowej, w właściwym zaś zamiarze zaborów i grabieży. Tem postępowaniem swojem zakon niemiecki minął się zupełnie z swojem właściwem zadaniem i powołaniem, wyrodził się w okrutną polityczną potęgę i zamiast pożytku szkodę, zawód i hańbę Kościołowi sprawił, tem więcej, że sobie okrucieństwy i gwałtami przywłaszczył cudze kraje, łudząc się pozornemi tytułami własności, gdyż ani cesarz, ani papież nie mieli prawa do darowizny krajów pogańskich najazdami, pożogami i krwi rozlewem zdobytych. Stąd też zwyczaj krzyżacki, który z czasem stał się prawem, podejmowania corocznie po dwakroć krwawych na pogan najazdów, sprzeciwia się najzupełniej duchowi Ewangelii i Kościoła [2]. Wywody te uczonego profesora nie małe wywołały wrażenie; mimo to jednakże do potępienia publicznego tej okrutnej praktyki krzyżackiej nie przyszło, gdyż z jednej strony dwulicowość i skryta niechęć cesarza ku Polsce i jej monarsze, także liczne pomiędzy

[1] V. d. Hardt l. c. IV., 387, 388.

[2] Rozprawa ta nosząca tytuł: *Pauli Voladomiri Decretorum doctoris, Cracoviensis Canonici Demonstratio Cruciferis de Prussia seu Ordini Teutonico opposita, infideles armis et bello non esse ad Christianam fidem convertendos, nec eorum bona invadenda aut illo nomine occupanda,* przytoczona jest dosłownie w dziele Hardta t. III., 9—26.

książętami niemieckimi stronnictwo krzyżackie, a z drugiej strony bezczelne wysłańców zakonnych naprzeciw królowi i narodowi polskiemu oszczerstwa paraliżowały zabiegi polskie i udaremniały ich wykonanie, lubo ze strony króla Władysława i wielkiego książęcia Witołda nie zbywało na zręcznych i efektowych sprawy polskiej poparciach tudzież licznych i wytrwałych jej obrońcach. Niemałe wrażenie uczyniło w Konstancyi poselstwo żmudzkie przez obydwóch książąt wyprawione na sobór, o którem wyżej wspomnieliśmy. Miało ono zadać kłam twierdzeniu krzyżackiemu, jakoby Żmudź cała pogrążona jeszcze była w ciemnocie pogaństwa, a zarazem gorżkie naprzeciw zakonowi niemieckiemu wytoczyć skargi i żale o długoletnie nad nimi i ich przodkami pastwienie się, królowi Władysławowi zaś chlubne wystawić świadectwo, że ich pozyskał Chrystusowi i Kościołowi nie brutalstwem, okrucieństwem i krwi rozlewem, ale prawdziwie apostolską łagodnością, przekonywającą nauką i ojcowską opieką [1]. To samo poświadczyć mieli wysłani równocześnie z Żmudzinami arcybiskup lwowski i biskup wileński [2].

Poselstwo polskie, korzystając z dobrego przyjęcia deputacyi żmudzkiej i skarg przez nią zaniesionych naprzeciw Krzyżakom, postanowiło wystąpić publicznie z otrzymanemi od monarchy swego poleceniami i sprawę zakonu uczynić przedmiotem rozpraw zgromadzenia. Jakoż na kongregacyi publicznej w kościele katedralnym dnia 13 lutego roku 1416, arcybiskup Mikołaj wspólnie z biskupami płockim i nominatem-biskupem poznańskim i resztą towarzyszów swoich wytoczyli skargę naprzeciw w. mistrzowi i całemu zakonowi przez usta Augustyna de Pisis, odwokata konsystorskiego, i Piotra z Krakowa, lecz zgromadzeni ojcowie nie wypowiedzieli swojego w tej sprawie zdania i sądu, ponieważ z powodów niewiadomych skarga rzeczona, mimo domagania się z ich strony, notaryuszom soboru piśmiennie doręczoną nie została [3]. Posłowie krzyżaccy i ich zwolennicy zaskoczeni z nienacka i nieprzygotowani milczeli i dopiero na kongregacyi jeneralnej w dniach 23 i 24 lutego tegoż roku przez adwokata swego, Justyna de Juvenacio tłomaczyli się z po-

[1] V. d. Hardt l. c. IV., 546. Działyński, *Lites. ac res gestae* t. III., 184—190.

[2] Długosz l. c. lib. XI., 374.

[3] V. d. Hardt. l. c. IV., 606.

czynionych sobie zarzutów, oskarżając nawzajem króla Władysława i w. księcia Witołda o poczynione im rzekomo krzywdy i niesłuszności, lecz i tą razą nic nie postanowiono, tylko kopie skarg wzajemnych oddano notaryuszowi soboru [1]. Celem ujęcia sobie soboru, król Władysław przesłał mu piękny list pisany w Chęcinach dnia 2 sierpnia roku 1416, w którym najprzód przyrzeka dotrzymać rozejmu zawartego z zakonem w Paryżu za pośrednictwem cesarza i króla francuskiego, dziękuje za obiecaną pomoc w nawróceniu Żmudzi i uregulowaniu tam stosunków kościelnych, przez pośrednictwo jednego z członków soboru, przy pomocy arcybiskupa lwowskiego i biskupa wileńskiego, i uniewinnia biskupów polskich, że dla ważnych obowiązków w kraju, wszyscy na sobór stawić się nie mogli [2]. List ten przesłał król przez nowego posła swego, uczonego członka akademii krakowskiej, Piotra Wolframa, licencyata dekretów, kantora kolegiaty wiślickiej, późniejszego scholastyka gnieźnieńskiego, który będąc zarazem reprezentantem tejże akademii naznaczonym, przywiózł od niej piękną do soboru odezwę z dnia 12 sierpnia roku 1416, poświadczającą chętne przez króla przyjęcie zawartego w Paryżu z Krzyżakami rozejmu i zachęcającą ojców soboru do natężonej pracy nad dobrem Kościoła [3]. Równocześnie przedłożony został list mistrza krzyżackiego z dnia 10 lipca tegoż roku, wynurzający gotowość dotrzymania rzeczonego rozejmu, i domagający się skojarzenia z królem polskim za pośrednictwem soboru, przyszłego Papieża i cesarza Zygmunta stałego pokoju, ażeby zakon mógł swobodnie spełniać powołanie swoje w obronie wiernych naprzeciw nieprzyjaciołom Kościoła Chrystusowego [4].

Według źródeł krzyżackich, podanych przez Voigta, w sam dzień św. Małgorzaty (dnia 20 lipca) roku 1417 rozpoczęły się na nowo publiczne nad kwestyą krzyżacko-polską rozprawy, w których cesarz Zygmunt zdradził się z swojemi dla Krzyżaków sympatyami i widocznie chciał go podźwignąć z upadku przebiegłym i podstępnym fortelem, ubliżającym godności króla i narodu polskiego. Obojgu stronom przedłożył bowiem pytanie, ażali uznają państwo rzymskie

[1] V. d. Hardt. l. c. t. IV., 614—615.
[2] Tamże, IV., 868—872.
[3] Tamże, IV., 872—974.
[4] Tamże, IV., 874—878.

jako najwyższe zwierzchnictwo swoje. Polacy odpowiedzieli z godnością, że król ich jest samodzielnym, od nikogo niezależnym monarchą, gdy tymczasem posłowie zakonu odrzekli, że zawsze wiernie poddanymi byli Kościołowi i państwu rzymskiemu i że we wszystkiem poddadzą się wyrokom Kościoła, soboru i państwa rzymskiego czyli cesarza, oraz że są upoważnieni do stawania przed sądem i dobrowolnych układów. Wtedy cesarz, korzystając z tej, naprzód zapewne z temi posłami ułożonej odpowiedzi, zwróciwszy się do nich zawołał: Zaiste, tem waszem wystąpieniem więcejeście sobie pomogli, aniżeli świetnem jakiem zwycięstwem [1]. Ten próżny i widocznie na efekt obliczony frazes na nic się przecież nie przydał, gdyż skutkiem całej rozprawy było oświadczenie cesarza, że sam nic uczynić nie może, ażeby zakonowi stały zgotować pokój, lecz skoro tylko Papież obrany zostanie, nie omieszka według sił swoich, starać się o to [2]. Posłowie krzyżaccy mimo to koniecznie dopiąć chcieli wytkniętego sobie celu, ażeby sobór powagą swoją sprawę zakonu stanowczo załatwił, i nie zadawalniając się bynajmniej względami i obietnicami cesarza, rozmaite przedkładali sposoby ubicia długoletniego sporu, zastrzegając się jednakże naprzeciw wszelkim pertraktacyom względem wydania Pomorza, ziemi chełmińskiej i michałowskiej i t. p. warunków przez przeciwników stawianych [3]. Wszystkie te projekta na niczem jednakże spełzły, już to dla słabego ich ze strony zwolenników krzyżackich poparcia, już też dla zajęcia się soboru innemi gwałtowniejszemi sprawami.

Wybór Marcina V. nadzwyczajną otuchą napełnił poselstwo krzyżackie, które, mimo opłakane stosunki mocodawców swoich, bogatemi darami wartości przeszło tysiąca dukatów [4], starało się pozyskać dla swej sprawy nowego Papieża. Jakoż tenże wkrótce po wyniesieniu swojem wspólnie z cesarzem zabiegał usilnie, aby doprowadzić do skutku stały pokój między Polską a zakonem; lecz zaledwo mu się udało przedłużyć rozejm w Paryżu zawarty o rok jeden [5]. W miarę zbliżającego się końca soboru tak Krzyżacy, jako

[1] Voigt l. c. t. VII., 310.
[2] Tamże, VII., 311.
[3] Tamże, VII., 311, 312.
[4] Tamże, VII., 313.
[5] Tamże, VII., 319.

i Polacy wszelkich dokładali starań, ażeby jedni nad drugimi jakiekolwiek odnieść mogli korzyści, a przynajmniej zjednać sobie na przyszłość sympatye narodów europejskich. Pomiędzy innemi starali się posłowie polscy usilnie o publiczne przez sobór i Papieża potępienie paszkwilu Falkenberga, czyli raczej krzyżackiego, jako bezbożnego i heretyckiego, ażeby intryga zakonna na przyszłość nie korzystała z tego niecnego swej zawiści dzieła, do czego im zupełnie przysługiwało prawo, ponieważ komisarze soboru tenże paszkwil skazali na publiczne przez sobór potępienie, a autora jego na więzienie, do którego niezwłocznie wtrącony został, a zakon poniósł przez to wielką moralną klęskę, pokazało się bowiem, do jakiej nikczemności i podłości doprowadziła go zuchwałość i zaciętość naprzeciw Polakom. Nad wszelkie spodziewanie, Papież ulegający wpływom cesarza i zwolenników krzyżackich, wręcz odmówił publicznego potępienia piśmidła Falkenberga, czem tak rozgniewał poselstwo polskie, że zapowiedziało pod koniec lutego roku 1418 apelacyę do przyszłego soboru z ubliżeniem prawowierności swojej [1]. Tem niespodziewanem oświadczeniem wielce się uraził Marcin V., a chcąc na samym wstępie rządów swoich zapobiedz niebezpiecznej zasadzie, na konsystorzu publicznem dnia 10 marca tegoż roku potępił zapowiedzianą przez toż poselstwo apelacyę od Papieża do przyszłego soboru, jako z nauką Kościoła niezgodną i przewrotną [2], znosząc przez to fundamentalne zasady nietylko pizańskiego ale i konstancyjskiego soboru, mianowicie co do wyboru Papieża i depozycyi intruzów czyli antipatów [3]. Mimo deklaracyę Papieża, w bulli rzeczonej wypowiedzianą, arcybiskup Mikołaj z towarzyszami swymi wystąpił na nowo z żądaniem publicznego potępienia paszkwilu Falkenberga przez Papieża i sobór, i to na ostatniej sesyi publicznej, odbytej pod prezydencyą Marcina V. i w obecności cesarza Zygmunta w kościele katedralnym dnia 22 kwietnia roku 1418. W imieniu poselstwa wstąpił na ambonę adwokat konsystorski, Kasper de Perusio i domagał się, ażeby paszkwil rzeczony, zawierający notorycznie

---

[1] V. d. Hardt. l. c. IV., 1531, 1522.

[2] Odnośna bulla spowodowała uczonego Gersona do napisania rozprawy: *Quomodo et an liceat in causis fidei a summo Pontifice appellare seu ejus judicium declinare.*

[3] V. d. Hardt l. c. IV., 1532.

straszliwe herezye i błędy przez sędziów soboru w rzeczach wiary ustanowionych potępiony i nietylko przez reprezentantów wszystkich narodów, ale i przez kardynałów za heretycki i bezbożny uznany, przez Papieża i sobór uroczyście został potępiony, lub jako taki ogłoszony, ponieważ sobór głównie w celu wytępienia herezyi został zwołany; w przeciwnym razie poselstwo polskie byłoby zmuszonem protestować naprzeciw krzywdzie monarsze polskiemu i całemu narodowi wyrządzonej i założyć apelacyę do przyszłego powszechnego soboru [1]. Gdy wskutek tego oświadczenia odzywać się poczęły głosy za i przeciw Polakom, ci zaś gorąco sprawę swą popierali, przez co powstał zgiełk i zamięszanie; Papież powstawszy nakazał wszystkim milczenie, oświadczając, że wszelkie postanowienia i dekreta w rzeczach wiary przez sobór konstancyjski, jako taki uchwalone, chce niezmiennie dochować i naprzeciw nim nic zgoła nie stanowić, które postanowienia i dekreta aprobuje i zatwierdza w ten jedynie a nie w jakikolwiek inny sposób [2]. Właściwie w tem oświadczeniu papieskiem zawarte było potwierdzenie tego wszystkiego, co sobór pod względem potępienia paszkwilu Falkenberga uczynił, lecz posłowie polscy koniecznie obstawali za tem, ażeby specyalne potępienie tegoż paszkwilu nastąpiło, ponieważ się po nich tego król Władysław i książe Witold stanowczo domagali, lecz daremnie. Kiedy bowiem powstał Paweł z Brudzewa i począł uzupełniać oświadczenie adwokata Kaspra de Perusio i czytać wypracowany w tej sprawie protest, Papież pod klątwą nakazał mu milczenie, w skutek czego przerwawszy mowę, złożył rzeczony protest do rąk notaryuszów soboru, żądając zaciągnięcia ich do akt soborowych [3]. Na tem zakończyła się przykra sprawa, dotycząca paszkwilu krzyzackiego na soborzę konstancyjskim, który tegoż dnia (22 kwietnia 1418 roku) uroczyście zamknięto [4]. Posłowie polscy jednakże nie zaniechali jej bynajmniej, lecz pozostawszy jeszcze czas niejaki w Konstancyi, nalegali na Papieża, aby woli monarchy swego za-

[1] V. d. Hardt, l. c. IV., 155—1556.

[2] Tamże, IV., 1557—1558.

[3] Tamże, IV., 1457—1558.

[4] Protest czyli deklaracya ostateczna poselstwa polskiego, którego czytanie Marcin V. przerwać nakazał, znajduje się przytoczony dosłownie w dziele V. d. Hardta t. V., 1560—1564, pod tytułem: *Protestatio Ambassiatorum Regis Poloniae.* V. d. Hardt l. c. t. IV., 1549 sq.

dosyć uczynił, i dokazali nareszcie tyle, że Marcin V., lękając się nowego rozdwojenia i zrażenia sobie na wstępie trudnego zawodu swego króla Władysława, skłonił się do ustępstwa, potępiwszy tymczasowo paszkwil Falkenberga jako bluźnierczy i przekazawszy dalsze śledztwo tej sprawy komisyi z trzech kardynałów złożonej. Dopiero w siedm lat potem Papież w osobnej bulli nakazał tenże paszkwil jako bluźnierczy i bezecny zniszczyć i zdeptać, a autora jego nikczemnego, przez czas cały trzymanego w więzieniu, po uczynionem przez niego odwołaniu na wolność wypuścić kazał [1]. Awanturnik podły udał się podobno wtenczas po nagrodę za swą pracę do w. mistrza, Pawła Russdorfa, a gdy mu tenże tylko cztery grzywny za wyświadczoną zakonowi usługę ofiarował zemścił się na zakonie, ogłosiwszy na niego paszkwil daleko gorszy niż pierwszy, za co przez Krzyżaków pochwycony i więziony do wydania piśmidła swego został zmuszony [2]. Po rozmaitych przygodach, powracając z soboru bazylejskiego, zakończył awanturniczy swój żywot w Lignicy [3].

Od chwili pojednania się swego z posłami polskimi, Papież Marcin V. okazywał się nadzwyczajnie łaskawym i przychylnym względem króla Władysława i całego narodu polskiego. Na dniu 1 maja roku 1418 wydał pięć rozmaitych bulli, świadczących wymownie o tem jego usposobieniu. W pierwszej z nich, pełnej jak i drugie pochwał dla monarchy polskiego, za gorliwe zabiegi o połączenie kościoła wschodniego z rzymskim, tudzież inne jego zasługi, potwierdził przywileje i prawa, które poprzednicy jego kiedykolwiek królom polskim i ich państwu nadali [4]. W drugiej nakazuje sędziom, ażeby dokładnie rozpoznali sprawę dotyczącą kilku miast, które król Władysław przy swojem na tron polski wstąpieniu dał w zastaw zasłużonym panom polskim i ażeby je przysądzili Koronie naprzeciw niesłusznym z ich strony uroszczeniem prawa dziedzictwa [5]. W trzeciej potwierdził przedłużenie rozejmu pomiędzy Polską a za-

---

[1] Voigt l. c. t. VII. 323 Caro l. c. III., 470, 471.
[2] Voigt. i. c. t. VII., 323. Caro l. c. III., 470, 471.
[3] Caro l. c. t. III., 471.
[4] Raynald, *Annales eccles.* XVIII. ad a 1418, Nr. 18.
[5] Theiner l. c. II., 19.

konem niemieckim na rok jeden [1]. W ostatniej ponowił wydaną przez Jana XXIII. nominacyę dla króla Władysława i w. księcia Witołda na wikaryuszów Kościoła rzymskiego w ziemiach pskowskiej, nowogrodzkiej i żmudzkiej, z uwzględnieniem chlubnem zasług obojga co do nawracania do wiary św. poddanych tamtejszych, oraz upoważnił arcybiskupa naszego Mikołaja do odebrania od króla, biskupa zaś wileńskiego od w. książęcia przepisanej przysięgi, nareszcie ustanowił tegoż książęcia, ku niewymownemu Krzyżaków zmartwieniu, protektorem biskupstwa dorpackiego [2].

Powadze i wpływom posłów polskich zawdzięczał nadto król Władysław pozyskanie dyspensy małżeńskiej, poślubiwszy po śmierci królowej Anny, zmarłej dnia 21 marca r. 1416 [3] Elżbietę Pilecką wdowę po Wincentym z Granowa, kasztelanem nakielskim, której matka była chrzestną matką królewską. Wysłany umyślnie do Konstancyi mistrz Andrzej z Kokorżyna, po wielu usiłowaniach i zabiegach posłów, otrzymał pożądaną dyspensę pod tym atoli warunkiem, że po zgonie królowej Elżbiety królowi nie miało być wolno nowego zawierać małżeństwa [4]. Niemałą przysługę oddali ciż posłowie królowi i jego kanclerzowi, Wojciechowi Jastrzębcowi, biskupowi krakowskiemu, ubiwszy wielce obydwóch kompromitującą sprawę samowolnego i niesprawiedliwego usunięcia z biskupstwa krakowskiego Piotra Wysza w celu osadzenia na niem Jastrzębca. Z inicyatywy zapewne krzyżackiej niektórzy biskupi angielscy i hiszpańscy, którzy biskupa Wysza poznali byli osobiście w Sienie, przedłożyli tę oburzającą sprawę soborowi, który zapozwał Jastrzębca, ażeby się osobiście stawił w Konstancyi, lecz zabiegom króla i poselstwa jego udało się przeszkodzić wytoczeniu sprawy przed forum soboru a tem samem rozgłoszeniu jej przed całym światem chrześcijańskim [5].

Nareszcie niektórzy posłowie polscy doznali osobiście nadzwyczajnych względów i łask soboru. I tak biskup poznański, Andrzej

---

[1] Napierski, *Index corporis historico-diplomatici Livoniae etc.* I. 197, Nr. 852. cf. Caro l. c. III., 472 uw. 1.

[2] Theiner l. c. II., 20, 21. Raynald l. c. XVIII., ad an. 1418, Nr. 25.

[3] Długosz l. c lib. XI., 371.

[4] Tamże, lib. XI., 379—381.

[5] Długosz l. c. lib. XI., 384.

Laskary Gosławicki, otrzymał zatwierdzenie na biskupstwo i konsekracyę, arcybiskup zaś Mikołaj zaszczycony został godnością Prymasa polskiego, która także przysługiwać miała wszystkim jego na stolicy gnieźnieńskiej następcom. Dotychczas nie udało nam się odszukać bulli, nadającej arcybiskupowi Mikołajowi i jego następcom tę najwyższą w Kościele polskim godność i z tego powodu podobało się niektórym pisarzom naszym powątpiewać o prawdziwości podania długoszowego co do tego wyniesienia arcybiskupów gnieźnieńskich[1]. Inni znów utrzymują, jakoby ciż arcybiskupi dawno przed soborem konstancyjskim tytułu prymasa używali, odwołując się na znany wyrok polubowy arcybiskupa Jarosława Skotnickiego, wydany w sprawie spornej o dziesięciny i interdykt pomiędzy Kazimierzem W. a biskupem krakowskim Bodzantą, ingrosowany w zbiorze praw polskich, i to nie na samą treść dokumentu, lecz na uwagę wpisywacza, pojmującego rzecz według spółczesnego jej położenia, jakoby arcybiskup Jarosław wyrok ów był wydał przy sposobności wizytacyi dyecezyi krakowskiej powagą metropolitalną i prymasyalną odbytej[2]. Tymczasem oryginał owego wyroku polubowego, przechowany w archiwum kapituły krakowskiej, noszący datę 6 listopada 1361, ogłoszony świeżo w Kodeksie dyplomatycznym tejże kapituły przez Dra Piekosińskiego, o godności prymasyalnej arcybiskupa Jarosława najmniejszej nie czyni wzmianki, gdyż tenże sam tylko arcybiskupem gnieźnieńskim się tytułuje, nadmieniając, że jako taki wizytował dyecezyę krakowską[3]. Tym sposobem zdanie powyższe najmniejszego nie ma znaczenia, zwłaszcza że aż do roku

---

[1] *Historia Pol.* lib. XI., 382: „Concilii Constantiensis privilegio et decreto *Primatem* se Polonicae Ecclesiae declarari obtinuit. Ab eoque tempore ipse et suus quilibet successor in Ecclesia Gnesnensi inscribit Archiepiscopum et Primatem". Tamże lib. XI., 467: „Qui etiam ab eodem Concilio Constantiensi *privilegio Primatiatus obtento*, Ecclesiam suam Gnesnensem insigniorem reddidit". Cfr. Olszowski, *Die Archiepiscopatu Gnesnensi* f. 102. Buliński, Historya Kościoła Polskiego t. I., 205. Encyklopedya kość. warsz. t. I., 381.

[2] Volum. leg. t. I., 98: „Auctoritate metropolitica et *primatiali* visitans dioecesim Cracoviensem". Cfr. Laski, *Commune inclyti Regni Poloniae privilegium* f. LIII., skąd owa uwaga przeszła do Volumina legum.

[3] Kodeks dypl. katedry krak. str. 285: „Nos Jaroslaus divina providentia sanctae Gneznensis Ecclesiae Archiepiscopus, in Cracoviensi dyoecesi in Officio visitationis constituti etc".

1418 ani jednego nie posiadamy dokumentu, w którymby arcybiskupom gnieźnieńskim tytuł prymasa przydawano.

Pierwsze zdanie, podające w wątpliwość twierdzenie długoszowe, wypowiedział uczony Malinowski w wstępie do Żywotów arcybiskupów gnieźnieńskich Bużeńskiego, tłómaczonych przez Michała Szyszko, opierając je głównie na tym argumencie, że arcybiskupi gnieźnieńscy aż do początku XVI. wieku w żadnych pismach rządowych tytułu prymasa nie używają[1]. Widocznie Malinowski nie znał ani źródeł przeddługoszowych, ani dokumentów wieku XV., przyznających arcybiskupowi Mikołajowi Trąbie i jego następcom aż do wieku następnego tytuł prymasowski. Co do pierwszych, mamy Rocznik Miechowski, doprowadzony aż do r. 1434, który pisząc o śmierci tegoż arcybiskupa pod rokiem 1422 wyraźnie prymasem go nazywa[2]. Autor tego rocznika, zakonnik miechowski, dobrze musiał być poinformowany, gdyż prymasa tegoż pomiędzy szczególniejszych dobroczyńców klasztoru swego zalicza[3]. Co do drugich, nie zbywa nam na licznych dowodach, że zdanie Malinowskiego jest błędne i bezpodstawne. A najprzód mamy dokumenta, w których arcybiskup sam prymasem się tytułuje, np. przywileje: z roku 1420 na nowe wójtostwo, założone w wsi arcybiskupiej Łaguszew, dla Macieja Maczudy[4], z tegoż roku dla miasta Łęgowic przeniesienie z prawa polskiego na magdeburgskie[5], z r. 1422 sprzedaż wójtostwa w Sulejowie Janowi Jasionek (Jaszonek)[6], z tegoż roku sprzedaż wójtostwa w Jamnie Wojciechowi Goleńskiemu[7], i t. d. Nadto na liście swoim z r. 1418, w którym wskutek zaniesionej skargi kapituły kujawskiej, pod dniem 20 czerwca, cytuje przed sąd swój do Łęczycy biskupa kujawskiego, Jana Kropidło, arcybiskup Mikołaj przydaje sobie tytuł prymasa[8]. Tak

---

[1] Żywoty arcyb. gnieźń. t. I. str. VIII.

[2] Monumenta Poloniae historica (Bielowskiego) t. II., 895.

[3] Tamże, t. II., 895.

[4] Archiv. Capit. Gnesn., *Joannis de Lasco Liber Inventarior.* I. *ducatus Loviciensis,* f. 103.

[5] Tamże, f. 330.

[6] Tamże, f. 225.

[7] Tamże, f. 301. Wszędzie czytać można: Nicolaus Deo gratia S. Gneznensis Ecclesiae Archiepiscopus et *Primas*".

[8] Monumenta medii aevi histor. IIa 46.

samo na przywileju dla kapituły łowickiej względem wsi Myślakowice z roku 1419 [1]. Prócz tego na przywileju dla miasta Łowicza względem przeniesienia z prawa polskiego na niemieckie, wydanym w grudniu tegoż roku [2], tudzież na dokumencie wystawionym w Uniejowie 28 września roku 1422, dotyczącym wsi Mirosławice do kapituły łowickiej należącej [3].

Od roku 1412 do końca roku 1414, czyli do wyjazdu arcybiskupa Trąby na sobór konstancyjski, na żadnym przywileju królewskim nie występuje on w godności prymasa. Natomiast od początku r. 1418, kiedy jeszcze bawił w Konstancyi, aż do zgonu jego na wszystkich przywilejach króla Władysława jego dotyczących lub przez niego podpisanych, czytamy go jako prymasa. Takiemi są przywileje: z dnia 14 marca r. 1418, dotyczący założenia stawu i młyna na wsi arcybiskupiej Grębieniu na granicy wsi królewskiej Pątnowa [4], z dnia 4 sierpnia tegoż roku względem nadania kościołowi kujawskiemu tych samych praw i swobód, któremi się cieszył kościół gnieźnieński [5], z dnia 26 lipca 1419 r. (z obozu pod Będzinem) względem dochowania pokoju z Krzyżakami [6], z dnia 23 lutego roku 1420 względem jarmarków i targów w mieście arcybiskupiem Turku [7], z dnia 8 listopada tegoż roku względem nadania prawa średzkiego wsiom: Żuków i Drzyszczów [8] i t. d. W urzędowym akcie świadectwa arcybiskupa Mikołaja w procesie króla Władysława przeciw Krzyżakom, przez komisarza apostolskiego, Zenona, w Wsohowie dnia 4 września r. 1422 spisanym, tenże wyraźnie nazywa go prymasem [9]. Nareszcie arcybiskup sam w liście wstę-

---

[1] Joannis de Lasco, *Liber Beneficior.* t. II., 5.

[2] Tamże, t. II., 5.

[3] Rzyszczewski i Muczk. l. c. II., 394: „Nicolaus Dei gracia sanctae gneznensis ecclesiae archiepiscopus et *primas*".

[4] Archiw. Capit. Gnesn., *Liber privileg.* II., 51: „Reverendo in Christo Patri et Domino Nicolao Archiepiscopo Gneznensi et *Primati*".

[5] Rzyszczewski i Muczk. l. c. II., 391: „Praesente Nicolao sanctae gneznensis ecclesiae Archiepiscopo et *Primate.*

[6] Raczyński, Kodeks dyplom. Litwy, str. 250, 251.

[7] Archiv. Capit. Gnesn., *Liber privileg.* I., 131.

[8] Akta grodzkie i ziemskie lwowskie t. III., 176.

[9] Działyński, *Lites ac res gestae* t. II., 176: „Tredecimus testis Reverendissimus Pater dominus Nicolaus Dei gratia sanctae gneznensis ecclesiae Archiepiscopus et *Primas*".

pnym przy swoim zbiorze ustaw synodalnych i synodu tytuł prymasa sobie przydaje, czegoby z pewnością nie był uczynił, gdyby do tego przez sobór konstancyjski nie był upoważnionym [1]. Że wszyscy bez wyjątku następcy arcybiskupa Mikołaja, począwszy od Wojciecha Jastrzębca, prymasami się tytułowali i przez królów, książąt, władze krajowe, kapituły i duchowieństwo byli tytułowani, niezliczone z archiwum kapituły gnieźnieńskiej i kodeksów moglibyśmy przytoczyć dowody, które dla uniknienia zbytniej rozwlekłości opuszczamy, odsyłając czytelnika do żywotów następnych arcybiskupów przez nas wkrótce wydać się mających, w których mnóstwo dokumentów tego rodzaju znajdzie.

Lecz chociażbyśmy nie mieli ani świadectwa Rocznika Miechowskiego, ani podania Długosza, ani dokumentów wyżej przytoczonych, to już same akta kapituły gnieźnieńskiej wystarczyłyby na udowodnienie wyniesienia arcybiskupa Trąby do godności prymasowskiej. Od roku bowiem 1408, od którego się też akta rozpoczynają, aż do r. 1419 nigdzie ani arcybiskup Trąba, ani poprzednik jego, Mikołaj Kurowski, mimo nader liczne o nich wzmianki, nie są zapisywani jako prymasi, lecz tylko jako arcybiskupi świętego kościoła gnieźnieńskiego. Od czasu zaś powrotu Trąby z soboru konstancyjskiego, kapituła zapisywała go w dekretach i postanowieniach swoich sesyjnych bezpośrednio po ich uchwaleniu przez przysięgłego notaryusza swego jako prymasa. Stało się to po pierwszy raz na sesyi kapitulnej dnia 21 października r. 1419, na której arcybiskup sam prezydował i zapewne urzędownie bullę soboru konstancyjskiego duchownemu senatowi swemu zakomunikował [2]. Odtąd kapituła metropolitalna, pisząc o arcybiskupie Mikołaju czy to przytomnym lub nieprzytomnym, lub zmarłym, bądź w dekretach swoich, bądź w dokumentach, do akt rzeczonych zaciągniętych, lubo nie zawsze, ale bardzo często prymasem go tytułuje [3]. To samo czyni z wszystkimi bez wyjątku następcami jego, począwszy od Wojciecha Jastrzębca [4]. Że zaś przed wyjazdem Trąby

[1] Zob. wszystkie niżej przytoczone wydania zbioru ustaw synodalnych arcybiskupa, gdzie czytamy: „Nos Nicolaus Dei gratia sanctae gneznensis ecclesiae Archiepiscopus et *primas*.

[2] Acta decr. Capit. Gnesn. I., 76.

[3] Tamże, I., 86.

[4] Tamże, I., 90 sqq.

na sobór wspomniany o godności jego prymasowskiej kapituła nie marzyła, najlepszym dowodem wyżej przytoczony list jej, uwierzytelniający go przed papieżem Janem XXIII., w którymby z pewnością nie była pominęła tego znakomitego tytułu, gdyby mu się już wtenczas był należał.

Tak więc mimo niedostatek bulli soboru konstancyjskiego mianującego Mikołaja Trąbę i następców jego, arcybiskupów gnieźnieńskich, prymasami, podanie Długosza na zupełną zasługuje wiarę, a tem samem przytoczony przez niego powód postarania się u tegoż soboru o tę godność i czas, w którym to nastąpiło. Powodem zaś tego wyniesienia było małżeństwo króla Władysława z Elżbietą z Pileckich owdowiałą Granowską. Ten, otrzymawszy na sejmie w Krakowie pozwolenie stanów na koronacyę Elżbiety, mimo oporu magnatów wielkopolskich, a przed wszystkimi Ostroroga, wojewody poznańskiego, wezwał Jana Rzeszowskiego, arcybiskupa lwowskiego, aby w zastępstwie nieprzytomnego arcybiskupa Trąby obrzędu koronacyjnego dopełnił, co tenże dnia 19 listopada roku 1417 w katedrze krakowskiej uskutecznił [1]. Dowiedziawszy się o tem arcybiskup Mikołaj, lękał się słusznie, ażeby przywilej koronowania królów i królowych, arcybiskupom gnieźnieńskim przysługujący, nie doznał uszczerbku lub utraty i dlatego postarał się u soboru o godność prymasowską [2], co nastąpić musiało albo jeszcze w końcu r. 1417 albo w końcu r. 1418. W końcu lipca roku 1417 nie był jeszcze Trąba prymasem, gdyż inaczej przytomny w Konstancyi Jan, opat cysterski, w liście pisanym stamtąd do Cystersów prowincyi gnieźnieńskiej i innych, pozwalającym tymże zakonnikom uczęszczać na nauki do akademii krakowskiej za zachęceniem tegoż arcybiskupa, byłby nie omieszkał przydać należącego mu się tytułu [3]. Był zaś nim już przed 14 marca roku 1418, jak dowodzi przytoczony wyżej dokument królewski z tej daty [4].

Chociaż posłowie polscy na soborze konstancyjskim sprawy krzyżackiej pomyślnie nie załatwili, za co ich ze strony ziomków spotkały wyrzuty z wyjątkiem prymasa Mikołaja, którego wyraźnie w Jedlnie

[1] Kalendarz krakowski w Monumenta Polon. histor. t. II., 937.
[2] Długosz l. c. lib. XI., 382.
[3] Zbiór dyplomatów klasztoru mogilskiego str. 103.
[4] Archiv. Capit. Gnesn., *Liber privileg.* II., 51.

d. 3 marca roku 1419 od wszelkich zarzutów uwolniono [1], a następnie nawet innych posłów, to przecież korzyści dla Polski pod względem politycznym i społecznym, z pobytu ich tamże, były znakomite i wielkie. Oni to bowiem nauką, powagą i przepychem, oraz roztropną na owe czasy polityką zdobyli Polsce wobec wszystkich narodów należytą cześć i szacunek i wprowadzili ją jako wielkie, potężne i wpływowe mocarstwo w bieg wspólnych interesów najpierwszych państw i narodów europejskich. Zabiegi w obec całej Europy podejmowane, ażeby Kościół wschodni połączyć i zjednoczyć z zachodnim, zwróciły uwagę całego Zachodu na monarchę polskiego i książęcia Witołda, albowiem w ich ręku spoczywała sprawa, która całe chrześcijaństwo żywo zajmowała, tak dalece, że Papież Marcin V. Polskę mienił być znakomitą częścią wojującego Kościoła. Niemało zaś Polska zaimponowała światu chrześcijańskiemu przez tak szybkie za pomocą szlachetnych w prawdziwym chrześcijańskim duchu użytych środków nawrócenia Litwy i Żmudzi, przez co położony został koniec ostatnim w środkowej Europie szczątkom pogaństwa, czego zakon krzyżacki przez dwa wieki okrucieństwy, pożogami i straszliwym krwi rozlewem dokonać nie zdołał. To też reprezentancya nawróconej w wielkiej części Żmudzi, tego Benjamina z pośród zjednanych Bogu i Kościołowi narodów, przed zgromadzonym w Konstancyi światem chrześcijańskim, była ogromnym dla Polski tryumfem, a strasznym ciosem dla zakonu niemieckiego, który przedstawiony został jako sługa nieużyteczny, samolubny i łakomy, a dalsze jego w Europie istnienie jako zbyteczne a nawet szkodliwe [2].

Natomiast pod względem kościelnym i duchownym sobór konstancyjski, jak dla innych narodów chrześcijańskich, tak i dla Polski nie sprawił zaszczytu i chluby, sądząc według naszych wyobrażeń i pojęć, a tem mniej dla posłów naszych, nie wyjmując arcybiskupa Trąby, którzy nietylko czynny brali udział w dokonanych głównych

---

[1] Gołębiowski. Dzieje Polski za Jagiellończyków t. I., 566. Caro l. c. t. III., 473, 474.

[2] Taki sąd o skutkach, z poselstwa polskiego na soborze konstancyjskim dla Polski wynikłych, zniewolony był wydać pomiędzy innymi znakomitszymi historykami naszych czasów otwarty a nawet wielce stronniczy zwolennik niemieckiego zakonu, profesor Caro, w dziele swojem: *Geschichte Polens* t. III. 473, 474.

jego sprawach w pominięciu się z odwiecznemi zasadami Kościoła, w złamaniu zaprzysiężonej Janowi XXIII. wiary, ale uniesieni gorliwością patryotyczną, posunęli się do nieposłuszeństwa ku Marcinowi V. i założenia apelacyi od niego do przyszłego soboru powszechnego, jakeśmy wyżej wspomnieli. Idąc za prądem większości, składającej się, niestety, nie z samych tylko biskupów i prałatów, ale z ogromnej ilości ludzi świeckich, doktorów i teologów, mających głos w obradach soboru, którzy wbrew żądaniom i radom najzacniejszych biskupów i wyraźnej nauce Kościoła katolickiego, przeprowadzali wszelkie uchwały, nietylko nasi posłowie głosowali ze zgubną i dotąd niesłychaną zasadą, że sobór wyższym jest nad Papieża, ale odważyli się z osobna, niejako w imieniu całego narodu polskiego, potwierdzić dobitnie tę zasadę, zakładając apelacyę do przyszłego powszechnego soboru. Prawda, że ta zasada wyrzeczoną była nie przez sobór ekumeniczny, gdyż takim sobór konstancyjski bez głowy, t. j. bez Papieża, być nie mógł, i dlatego poplątał się w błędy i przeciwieństwa, mimo to posłowie polscy, a szczególniej biskupi, dali dowód braku zdrowego pojęcia rzeczy i dokładnej znajomości zasad Kościoła. Boleśnie dotykać musi po czterech wiekach serce każdego wiernego katolika polskiego, że ziomkowie jego, mądrzy i poważni biskupi, stawali na przedzie tam, gdzie żadną miarą postać nie byli powinni. Mikołaj Trąba, który Jana XXIII. za prawowitego Papieża swego uznawał, od niego otrzymał potwierdzenie na dwa arcybiskupstwa, jemu złożył przysięgę wierności, na jego wezwanie zjechał do Konstancyi, rej wodził pomiędzy wszystkimi, gdy chodziło o jego złożenie z godności papieskiej, a Andrzej Laskary, nominat i elekt-biskup poznański, dał się użyć na piątej sesyi jeneralnej do odczytania dekretu o wyższości soboru nad Papieża, tudzież do przewodniczenia w sądzie, złożonym na Jana XXIII., jakeśmy wyżej okazali. Mogli byli obaj błądzić w dobrej wierze i z gorliwości o najrychlejsze schizmy usunięcie, ale nie powinni byli wysuwać się naprzód tam, gdzie swemu sumieniu, przysiędze i szlachetności usposobienia uszczerbek sprawiali. Bałamuctwa, zaszłe na soborze konstancyjskim przed wyborem Marcina V., najdobitniej dowodzą, że jak Kościół bez głowy nie jest Kościołem, tak sobór bez Papieża nie jest soborem, nieomylnym, pod bezpośrednią opieką Ducha świętego zostającym, ale zwyczajnem ludzi omylnych zgro-

madzeniem. To też Papież Marcin V. zatwierdził bullą te tylko dekreta, które sobór konstancyjski uchwalił, według zwykłych zasad i przepisów soborowych w przedmiotach dotyczących wiary, t. j. przeciw ówczesnym herezyom, a nie to, co w inny sposób lub w innym zamiarze przyszło do skutku. Potępiwszy zaś zapowiedzenie przez posłów polskich apelacyi od siebie do przyszłego powszechnego soboru, tem samem obalił i zniweczył fundamentalną soboru konstancyjskiego zasadę o wyższości soboru nad Papieża. Tenże Papież, zatwierdzając uchwały zapadłe w rzeczach wiary, nie przyznał przez to bynajmniej zjazdowi konstancyjskiemu charakteru soboru powszechnego, gdyż każdy obeznany z sadami wiary, nauką i dziejami Kościoła, przyznać musi, że zjazd rzeczony stał się soborem powszechnym dopiero od tej chwili, w której mu prawowity Papież przewodniczyć począł. Wszakże i synody prowincyalne mogą uchwalać ustawy dotyczące wiary i karności kościelnej, które atoli dopiero po zatwierdzeniu przez Stolicę apostolską dla duchowieństwa i wiernych moc obowiązującą uzyskują. To też duchowni posłowie polscy zupełnie odpowiednio i godnie sobie postąpili, potępiwszy wraz z drugimi przewrotne i niegodziwe zasady Wiklefa, Husa i towarzysza tegoż, Hieronima z Pragi. Co do zachowania się tychże posłów w innych sprawach kościelnych, sądzić ich jednakże należy według ówczesnych stosunków, pojęć i rozumienia rzeczy. Błądzili oni, powtarzamy, w dobrej wierze, i myśleli, że przysługę czynią Kościołowi. Tak ich rozumiał i osądzał ówczesny świat chrześcijański, uszczęśliwiony usunięciem zgubnej dla Kościoła schizmy i chętnie darował przesadę i omamienie, zwłaszcza, że w końcu swego bytu w Konstancyi pojednaniem się z Marcinem V. i przed nim się upokorzywszy, jako wierni i prawi synowie Kościoła, po czteroletniej blisko mozolnej pracy, powrócili do owieczek swoich. Jeżeli zaś Kościół ówczesny i Głowa jego nie potępili ich i nie karcili, tem mniej nam się to czynić godzi. (Dok. nast.)

X. Korytkowski

FILOZOFIA ZAŁOŻYCIELI NOWOŻYTNEJ FIZYKI.

(Dokończenie).

Widzieliśmy jak autor Studyów filozoficzno-historycznych o fizyce nowożytnej postawił tezę: że wiara w Boga Twórcę przyrody, nietylko nie hamowała, lecz istotnie stworzyła dzisiejszy rozwój umiejętności przyrody. Tezę zaś tę udowodnił faktami, przechodząc kolejno dzieła mężów, „których zgodna opinia świata uczonego za twórców nowożytnej nauki uznaje“, i pokazując, że u każdego z nich nietylko istniała ta wiara, lecz kierowała ich naukowemi badaniami i spowodowała ich odkrycia. Przytoczyliśmy główne ustępy z Kopernika, Keplera, Bakona, Kartezyusza, Galileusza, Newtona. W dalszym ciągu przytacza autor *Leibnitza*, nad którym się nie zatrzymuję, bo ktokolwiek choć parę kartek Leibnitza przewertował, ten wie: „że punktem środkowym jego pojęć o świecie, jest harmonia przez Boga stworzona między wszystkiemi pierwiastkami wszechświata“. Autor jednak idzie dalej i odkrywa, że nawet wynalezienie rachunku różniczkowego nie powstało na drodze wyłącznie matematycznej, ale, jak sam Leibnitz mówi, *ex intimo fonte philosophiae*, pod wpływem przewodniej idei o Stwórcy.

Zbliżając do epoki spółczesnej, autor spotyka wielkie imię *Laplace'a*, które zdaje się wyjątek stanowić w jego teoryi. P. Naville jednak go nie pomija. „Pod względem nauki w ogólności, mówi on, *Laplace* zajmuje stanowisko, po nad którem może nikt jeszcze nie stanął; lecz nie jest on inicyatorem, twórcą, w prawdziwem tego wyrazu znaczeniu. Ponieważ cel, do którego dążę, mógłby mnie podać w podejrzenie stronniczości, odstępuję co do tego przedmiotu słowa mężom, których to podejrzenie dotknąć nie może. W swych

Eloges historiques scharakteryzował sekretarz Akademii Nauk, *Fourier*, geniusz *Laplace'a* temi słowy: „Nie można powiedzieć, że mu „było danem, stworzyć naukę zupełnie nową, jak to zrobili *Archi-*„*medes* i *Galileusz*, nadać doktrynom matematycznym pierwiastki „oryginalne i tak doniosłe, jak *Kartezyusz* i *Leibniz*, lub, jak *Newton*, „przenieść dynamikę ziemską *Galileusza* na niebo i rozszerzyć ją „na cały wszechświat. Lecz na to przyszedł na świat *Laplace*, by „wszystko wydoskonalić, wszystko zgłębić, znieść wszelkie granice, „rozwiązać to, co możnaby było uważać za nierozwiązalne. Byłby „wykończył naukę ciał niebieskich, gdyby ta nauka mogła być wy-„kończoną". Po przytoczeniu kilku innych równobrzmiennych sądów o Laplace'ie P. Naville wnioskuje, że „jeżeli wiara w istnienie Stwórcy wszechmocnego i mądrego nie jest wyrażona w jego dziełach, jest ona jednakże w nich obecną, w sposób pośredni ale rzeczywisty: przez impuls od niej dany dziełu poprzedników, które on tylko rozwija i dalej prowadzi". Jakoż idąc dalej, autor odkrywa u *Laplace'a* widoczne ślady wpływu tej idei religijnej. „Zdaje się, po-„wiada Laplace, że przyroda wszystko urządziła na niebie, by zabez-„pieczyć trwałość systemu planetarnego, w tych samych widokach, „w jakich — zdaje się — tak zadziwiająco stara się na ziemi o za-„chowanie indywiduów i o ciągłość rodzajów" [1]. Otóż mamy przyrodę rozumną, która stawia sobie cel i dąży doń za pomocą widoków godnych podziwienia. Laplace dalej mówi: „Już sama ta uwaga „wytłumaczyłaby układ tego systemu, gdyby geometr nie musiał „zapuszczać dalej wzroku i szukać w pierwiastkowych prawach przy-„rody przyczyny zjawisk najbardziej wskazanych porządkiem wszech-„świata.... *Newton* twierdzi, że zadziwiający układ słońca, planet „i komet może być tylko dziełem istoty rozumnej i wszechmocnej.... „Lecz czyż ten układ nie może być także skutkiem praw ruchu, a ten „Rozum najwyższy, który *Newton* wprowadza, czyż nie mógł zrobić „go zależnym od zjawiska ogólniejszego? Takiem jest, według nas, „zjawisko materyi mglistej *(nébuleuse)* rozrzuconej w rozmaitych „masach po niezmierzonej przestrzeni niebios". Myśl Laplace'a jest ta, że porządek obecny wszechświata może być wynikiem zastosowania praw fizyki do nebulozy pierwotnej, i robi on tę uwagę, że

[1] *Exposition du système du monde*, pod koniec. — str. 442 wyd. 4.

w takim razie porządek obecny rzeczy wynikałby z praw ogólnych i z pierwotnej rozmaitości układu mas materyi. W tem przypuszczeniu dzieło Najwyższego Rozumu w pierwotnym układzie materyi i w prawach, które nią rządzą, byłoby równie widocznem, jak w obecnym stanie rzeczy, ponieważ ten stan obecny byłby potencyalnie zawarty w przypuszczalnym stanie pierwiastkowym. Poprzednik fizyczny zjawisk w rzeczy samej nie zastępuje bynajmniej przyczyny, która je wywołała i rozumu, który je ułożył. *Laplace* zdaje się więc na tem miejscu uznawać tę prawdę tak często zapoznawaną, że przyczyny sprawcze są innego rzędu, niż przyczyny celowe, i że ostatecznie *Leibniz* ma słuszność, gdy szuka w przyczynach celowych, tj. w zamiarach Stwórcy, racyi bytu przyczyn sprawczych.

„*Ampère* jest jednym z najlepszych typów geniusza naukowego. Prawa jego elektro-magnetyczne, tak piękne a tak proste, które podług zdania *Littré'go* [1] stanowić będą podstawę dla jego najtrwalszej sławy, są tylko częścią rozległych jego prac. Wiara jego religijna, gorąca w młodości, później chwiejąca się przez lat kilka, wróciła silna i jasna w wieku dojrzałym. „Widzieliśmy go zawsze, powiada *Ste-Beuve*, łączącego i godzącego bez wysiłku — w sposób budzący podziw i szacunek — wiarę z nauką“ [2]. Wielkie prawdy porządku duchowego były dla niego nietylko przedmiotem wiary, lecz pewnikiem naukowym. „Istnienie duszy i Boga, mawiał, jest hipotezą, „lecz hipotezą udowodnioną, tak pewną, jak hipotezy *Kopernika* „i *Newtona*. A nie ma pomiędzy rzeczami nie podpadającemi bezpo„średnio pod zmysły nic tak pewnego, jak to, co polega na oczywi„stości udowodnionej hipotezy“ [3]. Myśl tę łatwo zrozumieć: specyalny szereg zjawisk potwierdza specyalną teoryę; wszystkie zjawiska duchowe usprawiedliwiają tezę istnienia duszy; a wiedza w swej całości, która niczem innem nie jest, jak stopniowem poznawaniem porządku wszechświata, świadczy na korzyść istnienia Najwyższego Rządzcy. *Laplace* ograniczył się w swych pracach na trzymaniu się

---

[1] Zob. André — Marie Ampère: *Essai sur la philosophie des sciences*, wzmiankę na czele 2-go tomu (pośmiertn.)

[2] *Portraits littéraires*. T. I.

[3] *La philosophie des deux Ampère*, publ. p. Barthélemy St. — Hilaire, str. 155.

drogi, wskazanej przez poprzedników, *Ampère* dociera do źródła, jak *Kartezyusz, Newton* i *Leibniz.*

Liebig wywołuje takie same uwagi jak Ampère. Moleschott, który zwalcza jego doktryny przeciwstawiając im najjaskrawszy materyalizm, uważa go za „największego chemika Niemiec“ i musi przyznać, że ten największy chemik Niemiec był przejęty wiarą, z której takie np. płynęły zdania: „Prosta znajomość doświadczalna „przyrody narzuca nam z nieprzepartą siłą przekonanie, że duch „ludzki nie jest granicą, poza którą nie istnieje już nic, coby mu „było podobnem lub od niego doskonalszem. Pojęcie nasze dosięga „tylko stopni niższych; ta prawda, jak wszystkie inne w naukach „przyrody, dowodzi istnienia istoty wyższej, której przez zmysły „nasze ani pojąć ani poznać nie możemy, którą tylko udoskonale- „nie narzędzi naszego ducha może nam dać pojąć w jej wielkości „i wzniosłości“ [1]. Jakoż *Liebig* nie uważa swego przekonania religijnego i swych prac naukowych za dwie rzeczy obok siebie stojące; on sądzi, że myśl religijna prowadzi naukę po drodze prawdy i chroni ją przed fałszywemi krokami. Myśl tę jasno wypowiada w pewnem wyznaniu osobistem. Zdawało mu się, że odkrył zastosowanie chemii do rolnictwa, którego skutkiem miało być zaradzenie wyjałowieniu roli. Odkrycie jego okazało się fałszywem; a uważniejsze zbadanie przedmiotu przywiodło go do spostrzeżenia, że cel, do którego dążył, był już w przyrodzie osiągnięty, na drodze, której się nie był domyślał. Tak się o tem wyraża w słowach datujących z r. 1862. „Poddawszy wszystkie fakta ponownemu i głębszemu badaniu, od- „kryłem powód mego błędu. Zgrzeszyłem był przeciw mądrości Boga „i odebrałem karę zasłużoną. Chciałem udoskonalić Jego dzieło, „i w zaślepieniu mojem sądziłem, że w zadziwiającym łańcuchu „praw, które władają życiem na powierzchni ziemi i utrzymują je „zawsze w świeżości, brakuje jednego ogniwa, które ja, słaby i nie- „zdolny robaczek, chciałem wprawić. Z góry już temu zaradzono, a „w sposób tak cudowny, że możliwość podobnego prawa nawet nie „postała w myśli ludzkiej“ [2]. Mamy tu wypowiedziane jasno, że

[1] Liebig: *Briefe über Chemie*, str. 31. — Moleschott: *La circulation de la vie.* List 1.

[2] Chemia w zastosowaniu do rolnictwa i fizyologii (po niem.). Wyd. 7. str. 69.

w przekonaniu największego chemika Niemiec, powątpiewanie o mądrości Stwórcy może się stać przyczyną pomyłki, nawet w studyum chemii rolniczej.

„*Fresnel'a* prace o naturze światła były jednym z punktów wyjścia spółczesnego odrodzenia fizyki; ciekawą jest przeto rzeczą dowiedzieć się, pod jakimi wpływami doszedł on do teoryi, która imię jego wsławiła. Jego *Mémoire sur la diffraction de la lumière*, przedstawiony Instytutowi r. 1818, zdaje we wstępie sprawę z drogi, jaką myśl jego postępowała. Zaznacza on istnienie dwóch teoryi co do istoty światła: system emissyi, oparty na powadze *Newton'a*, i system falowania, który się łączy, za pośrednictwem *Eulera*, *Huyghensa i Hooke'a*, z pracami *Kartezyusza*. *Fresnel* przyjmuje ten drugi system. Dla czego? Dla tego, że „przyroda zamierza robić „wiele z małem, wyprowadzać maximum skutków z minimum przy„czyn, i że system falowań dostarcza wyjaśnień prostszych, niż system „emissyi“ [1]. Lecz cóż on rozumiał przez tę naturę, która za cel postawiła sobie, by wiele robić małymi środkami? Myśl jego pod tym względem nie może być wątpliwą. *Verdet* następujących nam co do tego udziela wiadomości: „Wiara jego w Objawienie nadprzyrodzone „została wprawdzie zachwianą, lecz (to jedno się odnosi do przedmiotu „mego studyum) istnienie Boga, Opatrzności, wolności i nieśmiertel„ności duszy, oraz wielkich doktryn spiritualistycznych, od których te „cenne prawdy w jego zdaniu zależały, były ustawicznem zajęciem jego „myśli, i miał nadzieję, przez ciągłą pracę i rozmyślanie nadać swym „przekonaniom tę ścisłość, co powszechne zdobywa uznanie“ [2]. Taką była wiara *Fresnela*. Wiara ta ważną czyni dla niego zasadę pojedyńczości, a szukanie prostoty w prawach przyrody jest głównym czynnikiem jego odkrycia.

„*Faraday'a* imię, mówi Dumas, winno być umieszczone w rzę„dzie tych, którzy byli równie szczerzy w wierze, jak głębocy w nauce“ [3]. Geniusz jego płodny w hipotezy naprowadził go na wiele odkryć; jakąż tedy zasadą kierował się w wyborze swych hipotez? Świat fizyczny uważał jako przedstawiający jedno zjawisko: ruch rządzony

---

[1] Zob. *La Logique de l'hypothèse*, str. 152—155.
[2] A. De la Rive: *Notice sur Verdet*, str. 16.
[3] Dumas: *Eloge historique de Michel Faraday.*

przez jednę wolę [1]. Pojęcie jednej woli, której objawem jest całość przyrody, stanowi ogniwo łączące przekonanie religijne *Faraday'a* z jego pracami naukowemi. Myśl o jedności Boga pchała go do poszukiwania harmonii zjawisk; i tym sposobem uchronił się od empiryzmu, który przywiódł uczniów *Newtona*, często sprzeniewierzających się myśli mistrza, do zamącenia biegu nauki. Widząc jedność sił fizycznych coraz więcej uwidoczniającą się, przez rezultaty całego szeregu prac, między któremi własne jego dzieło zajmuje niepoślednie miejsce, powziął nadzieję, że uda mu się odkryć związek między powszechnem ciążeniem a zjawiskami ogólnej fizyki. Pisze on tak: „Magnetyzm był jeszcze kilka lat temu siłą ukrytą, dotyczącą tylko „małej liczby ciał; dzisiaj wiemy, że wywiera on wpływ na wszel„kie ciała, i że stoi w najściślejszym związku z elektrycznością, cie„płem, działaniem chemicznem, krystalizacyą, a przez krystalizacyą „z wszystkiemi siłami, wchodzącemi w grę przy kohezyi. W obec „tego stanu rzeczy, czujemy się żywo nagleni do prowadzenia dalej „naszych poszukiwań, ożywieni nadzieją odkrycia związku, łączącego „magnetyzm z ciężkością" [2].

Pomijam *Roberta Mayera*, *Dawida Brewster*, *Voltę*, i innych, i zdążam do wniosku autora. „Dowód pozytywny mego twierdzenia jest skończony: w stworzeniu i rozwoju fizyki ściśle określone zasady kierowały badaniami doświadczalnemi, a wiara w Boga dostarczyła tym zasadom silnego punktu oparcia; wiara ta utwierdziła i wzmocniła dążności rozumu, wiodące go do poszukiwania jedności, harmonii i prostoty. Hipotezy naukowe, chociaż zrodzone pod wpływem prawdziwych zasad, mają jednakże o tyle tylko wartość, o ile doświadczenie je potwierdza; bo duch ludzki jest skłonny do błądzenia, nawet gdy prawdę bierze za punkt wyjścia. W machinie duchowej doświadczenie jest paliwem, a wiara, środkowy punkt zasad przewodnich, ogniem. To uznał i głosił *Kant*, pisząc: „Dla jedności, „którą mi rozum podaje jako nić przewodnią w badaniu przyrody, „nie znam innego warunku, jak przyjąć, że Rozum najwyższy wszystko „ułożył podług najmędrszych celów. Przyjęcie mądrego Stwórcy świata „jest zatem warunkiem celu, który w istocie nie jest absolutnym, ale

[1] Zob. *Eloge* Dumasa i *Faraday inventeur*: John Tyndall'a.
[2] *Faraday inventeur* p. John'a Tyndall'a, str. 85.

„też nie jest bez doniosłości: tj. by mieć nić przewodnią w badaniu „przyrody“ [1]. Oddziaływanie zasad na badania doświadczalne i oddziaływanie idei Boga na zasady: to fakt historyczny.

„Istnieje pewna liczba uczonych, wyznających doktryny o dążnościach wyraźnie ateistycznych; lecz ze stanowiska odkryć naukowych nie są oni pierwszorzędnymi geniuszami, ani twórcami, ani inicyatorami. Można dokładną oznaczyć różnicę między umysłami panującymi nad swą nauką, a tymi, nad którymi nauka panuje. Matematyk np., który umie dokładnie swoje formuły, ale nigdy się nie zastanawiał nad ich pochodzeniem, może popaść w mechaniczny materyalizm; lecz wynalazcy, jak *Kartezyusz*, *Leibniz* i *Newton*, podziwiają w matematyce najczystsze prawa rozumu i widzą w tych prawach promienienie Rozumu najwyższego. Fizyolog, całkowicie zajęty skalpelem i mikroskopem, może zapoznać byt faktów psychicznych; naturalista, zatopiony w wyłączne podziwianie rzędu zwierzęcego, naraża się na zapomnienie pierwiastków odróżniających naturę ludzką; lecz mąż miary *Lineusza* lub kroju *Hallera*, nie pozwoli się opanować przez jeden z czynników wszechświata, z zapomnieniem drugich. Co do nauk fizykalnych, które stanowią specyalny przedmiot mej rozprawy, nie ma ani jednego między ich twórcami lub wielkimi inicyatorami, któryby nie stał pod wpływem idei Stwórcy potężnego i mądrego, i któryby nie otrzymał od wzniosłej tej myśli promieni światła kierujących jego krokami. Tak się rzeczy miały aż do dziś dnia.

Następuje teraz pytanie: czy ten fakt jest przypadkowym? czy wiara, pod której wpływem, jak widzieliśmy, rozwinęło się dzieło twórców nauki, miała dla tego dzieła tylko tymczasową wartość? „czy można ją przyrównać do rusztowania, przydatnego do rozpoczęcia budowy jakiego gmachu, a żadnego potem nie mającego znaczenia?“ Przekonamy się o tem, przechodząc skutki wynikające z a t e i z m u n a u k o w e g o, tj. z wykluczenia idei Boga z nauki. Będzie to odwrotną próbą czyli dowodem negatywnym naszego twierdzenia.

„By dobrze zrozumieć następujące badania, rozróżnić wypada trzy rodzaje uczonych: do pierwszego należą ci, co mają silną

[1] *Kritik der reinen Vernunft.* T. II.

wiarę w jedność, potęgę i mądrość Stwórcy, wiarę umacniającą ich rozum przy zastosowaniu zasad przewodnich w poszukiwaniach. Do nich wszystkich można zastosować zdanie *Tyndalla* o *Faraday'u*: „Żyła czystej filozofii krąży w ich pismach“ [1]. Wszyscy twórcy i wielcy inicyatorowie należą bez wyjątku do tej kategoryi. Drugi rodzaj składa się z ludzi, którzy idą z biegiem nauki takim, jakim jest, nie wznosząc się do zasad przewodnich, lub przynajmniej nie mając jasnego pojęcia węzła, który je łączy z najwyższą ideą. Tych jest bardzo wiele; tworzą oni gmin uczonych; nie stoją pod bezpośrednim i stałym wpływem zasad, lecz poddają się istotnie temu wpływowi, przez popęd, jaki otrzymali od swych poprzedników, i przez nawyknienie, którem umysł ich przesiąkł. Tak np. wszyscy nasi fizycy przyjmują niezmienność klas i praw i uważają uogólnienie za postęp, nie wznosząc się do pojęcia Najwyższej mądrości, która dla *Kartezyusza* i *Leibniza* była rękojmią tych myśli. Uczeni trzeciego rodzaju przeczą zasadom, które stworzyły naukę — i tychto dzieła dostarczą materyału do niniejszego dowodzenia.

„Jedni z nich, czyniąc otwarcie wyznanie ateizmu, zaprzeczają istnieniu Stwórcy jedynego, potężnego i mądrego. Inni, chociaż jako ludzie mają może przekonania religijne, mniemają, że z nauki trzeba wykluczyć pojęcie Boga. Zastosowanie fałszywego tego prawidła, gdyby było szczere i zupełne, sprowadziłoby nas niżej poziomu myślicieli starożytnej Grecyi, którym przyświecało, jeżeli nie pełne światło prawdy, to przynajmniej jego przeczucie. Ten kapitalny błąd występuje pod dwoma postaciami: idealizmu i empiryzmu. Idealizm przyjmuje porządek wszechświata; lecz nie uznaje wolnej potęgi jego Stwórcy i prowadzi do uważania rozumu za pierwiastek powszechny, bezwiedny w przyrodzie a samowiedny w ludzkości. Z tego sposobu zapatrywania się wynika, że człowiek w sobie samym może znaleźć konieczne prawa świata. Że taka metoda jest w stanie sprowadzić badanie naukowe na manowce, tego dowodzi historya nowoczesna Niemiec w sposób dość jasny. Idealizm, który dopiął swego szczytu w konstrukcyach *Hegla*, spowodował wielką stratę czasu u przyrodników podlegających jego wpływowi. Szkodliwiej jeszcze oddziałał, przerzucając uczonych, w skutek gwałtownej reakcyi, w krańcowy

[1] *Faraday inventeur* str. 63.

empiryzm, będący jeszcze gorszem niebezpieczeństwem, niż poprzedni kierunek i dla tego dłużej zająć musi naszą uwagę.

„Chęć wyprowadzenia całej wiedzy ludzkiej z samego doświadczenia i odrzucenie wszystkich zasad były powodem cofnięcia się ogólnej teoryi przyrody, znamionującego koniec XVIII i początek XIX w. (Dowiódł tego twierdzeuia autor w rozdziale poprzednim). *Leibniz* wskazał ten fałszywy kierunek myśli, lecz nie został zrozumiany. Podczas gdy materyały nauki się gromadziły, gdy chemia się ustalała, gdy zastosowanie rachunku różniczkowego rozwijało odkrycia *Newtona*, wielkie doktryny XVII w., które odżyć miały w naszych czasach pod mianem fizyki nowoczesnej, zaciemniały się. Zaćmienie to było wynikiem przewagi empiryzmu, i błędu, który chronił pod skrzydła *Newtona* dążności filozoficzne *Bakona i Lockego*. Przejdźmy do epoki nowszej. Ateizm pojawia się znowu od trzydziestu mniej więcej lat i pokazuje się w filozofii, w badaniu kwestyi socyalnych, w historyi naturalnej. Tu zbadać mamy jego wpływ na naukę o materyi. Rezultat śledztwa jest prosty; po usunięciu ogniska światła, gasną promienie. Ateiści w nauce dochodzą do zaprzeczenia zasad, na których nauka wzrosła i bez których sami nie pracowaliby naukowo, gdyby byli konsekwentnymi w swej negacyi. Następują dowody tego twierdzenia.

„*Zaprzeczenie zasady pojedyńczości.* Uczeni, stojący pod wpływem filozofii nieprzyjaznej pojęciu ładu powszechnego, negują w sposób absolutny zasadę pojedynczości. Nie powiadają oni: „nie ufajcie systemom ciasnym nie obejmującym całości faktów", lecz: „nie ufajcie badaniu pojedyńczości i ładu w przyrodzie". Posłuchajmy, co mówi *Moleschott:* „Powiadano, że przyroda wybiera zawsze „drogi najkrótsze, i powtarzano bezustannie ulubione zdanie *Boerhaave'go*: pojedynczość jest oznaką prawdy. Ten sposób „zapatrywania się był ściśle złączony z hipotezą, że przyroda jest mą„drze rządzona; robiono, jak ci wieśniacy, o których mówi *Riehl*, że „nie znając pod względem ubiorów paradnych nic piękniejszego od „swych bluz, ubierali w nie wizerunki świętych w pewne dni świą„teczne" [1]. Ulubione zdanie *Boerhaave'go*, jest także (czyby *Moleschott* nie miał tego wiedzieć?) zdaniem ulubionem *Kopernika, Fre-*

[1] *La Circulation de la vie*, list 17.

snela, Galileusza, Newtona; Laplace wypisuje je wyraźnemi słowy w swych dziełach; ono jest zasadą przewodnią wszystkich badań fizyki nowoczesnej. Zastanówmy się nad słowami *Moleschotta*. Błędem nazywa „hipotezę, że natura jest mądrze rządzoną". Lecz na czemże polega cała nauka, jeżeli nie na poszukiwaniu tej mądrości? Porządek w przyrodzie daje świadectwo Władzcy Najwyższemu; pojmujemy więc, że chcąc zaprzeczyć Boga, trzeba zanegować podstawę nauki. Mamy tu do czynienia z załogą oblężoną, która raczej w powietrze wysadzi twierdzę, aniżeli ją podda.

„*Zaprzeczenie zasady harmonii* wszechświata łączy się z negacyą pojedynczości jego układu. Doświadczenie odsłania nam wszędzie różnorodność istot i rozmaitość zjawisk; badanie związków stanowiących harmonię jest wynikiem instynktu rozumu, który nas popycha ku szukaniu jedności, bo harmonia jest właśnie jednością w rozmaitości. Nic dziwnego więc, że ważność poszukiwania harmonii zaprzeczaną bywa w miarę, jak przeważa empiryzm. Negacya ta opóźnia pochód nauki i rozprasza część sił, które w jej usłudze winny być użyte. *Sainte-Claire Deville* np. stara się zbadać stosunki zachodzące między powinowactwem chemicznem a ogólnemi prawami fizyki tj. szuka harmonii między dwoma rzędami zjawisk; otóż jeden z redaktorów Filozofii pozytywnej, p. *Naquet*, gani go z wielkim zapałem. Podnosi głos w imię bezpośredniego doświadczenia przeciwko poszukiwaniu wzmiankowanych związków i żąda, byśmy nie wychodzili po za własności specyalne ciał, zniewalające ciała do łączenia się, nie roszcząc sobie prawa do wnikania głębszego w rzeczy[1]. *Newton* starał się zjawisko ciążenia połączyć z ruchami fluidu eterycznego, i widzieliśmy, że *Faraday* wzmiankuje o podobnem poszukiwaniu, gdy mówi o związku między magnetyzmem a ciężkością. Otóż August *Comte* sprzeciwia się gorąco tym poszukiwaniom, zmierzającym ku odkryciu harmonii powszechnej. „Nie możemy jasno „wiedzieć, powiada on, czem jest w gruncie rzeczy to połączenie wza„jemne gwiazd i ta ciężkość ciał na ziemi: wszelkie usiłowanie pod „tym względem byłoby koniecznie urojonem i zupełnie bezowocnem; „umysły tylko zupełnie obce studyom naukowym mogą się tem dzi-

[1] *La Philosophie positive*, przegląd pod kierownictwem Littrégo i Wyroubofl'a, wrzesień, 1867. str. 319.

„siaj zajmować“ [1]. Możliwem jest, bez wątpienia, że siła przyciągania pozostanie dla nas zawsze zjawiskiem bez znanego poprzednika, niewytłumaczonym punktem wyjścia; lecz zakazać z góry poszukiwania możliwych związków między ciężkością a ruchami eteru, znaczy zamknąć drogę, na której nauka dokona może ważnych odkryć.

Zaprzeczenie zasady stateczności. „Niezmienności praw i rodzajów zaprzecza empiryzm spółczesny tak samo, jak pojedynczości i harmonii. *Littré* powiada, że prawa doświadczalne nie są prawami k o n i e c z n e m i, co z pewnością jest prawdziwe i zawiera słuszną negacyę teoryi idealistycznych; ale on idzie dalej i nie uznaje, żeby niezmienność praw była jedną z podstaw nauki. „Od czasu *Newtona* „dopiero, nie możemy pojąć materyi bez siły ciążenia. Astro- „nomowie nowocześni podjęli długoletnie obserwacye gwiazd podwój- „nych, obracających się wspólnie około siebie. Jeżeli one w tym „ruchu są posłuszne prawom ciążenia, to będzie udowodnionem, że „w naszej nebulozie i pomiędzy milionami naszych gwiazd ciężkość „wpływ swój wywiera; lecz nierozwagą i zarozumiałością byłoby, „chcieć twierdzić, że po za naszą nebulozą, inną materyą nie rzą- „dzą inne warunki“ [2]. Nie można zaprzeczyć, że mogą istnieć światy, podlegające innym prawom; lecz każde z naszych odkryć usprawiedliwia twierdzenie, że istnieje harmonia między naszą myślą a rzeczywistością, ponieważ Bóg chciał zrozumiałym dla nas zrobić świat, w którym nas umieścił. *Littré* chce niezmienność praw w naszej nebulozie postawić jako twierdzenie czysto doświadczalne; lecz łatwo zrozumieć, że to niemożebne. Obserwacye gwiazd podwójnych, o których mówi ten uczony, uskuteczniają się za pomocą światła, lecz obserwacye te mają o tyle tylko wartość, o ile przyjmujemy, że prawa rozchodzenia się światła są te same w regionach gwiazd stałych, co w naszym systemie. Gdybyśmy przyjęli, że światło w pewnej części przestrzeni inaczej się rozchodzi, niż blizko nas, astronomia byłaby niemożebną. Astronomia nie może więc niezmienności praw doświadczalnie udowodnić, jak tylko przyjmując z góry, że one są niezmienne.

---

[1] *Cours de philosophie positive*, T. II, str. 246 i 247 pierwszego wydania.
[2] *Journal des Débats* z 6-go lutego 1866.

Zaprzeczenie zasady przyczynowości. „Widzieliśmy negacyę zasady pojedynczości, zasady harmonii, zasady niezmienności; pozostaje nam wytknąć negacyę zasady przyczynowości. Oto mamy ją w wyrazach jasnych: „Jestem przekonany, że gdyby człowiek wzwy- „czajony w abstrakcyę i analizę, używał lojalnie ku temu swych zdol- „ności, nie napotkałby żadnej trudności — skoroby wyobraźnia jego „do tego nawykła — w pojmowaniu, że w pewnych miejscach, np. „w jednym z firmamentów, z których astronomia składa obecnie „wszechświat, zdarzenia mogą następować po sobie przypadkowo, „bez żadnego stałego prawa; i nic, ani w naszem doświadczeniu, „ani w ustroju naszego rozumu, nie dostarcza nam dostatecznej ra- „cyi, ani nawet jakiegobądź powodu, byśmy mogli sądzić, że tak „się nigdzie nie dzieje“ [1]. Takiem jest zapatrywanie *Stuarta Mill'a.* W ten sposób, jak to uważa *Taine,* idąc za tą myślą, „doszlibyśmy „do uważania świata jako prostej kupy faktów; żadna konieczność „wewnętrzna nie powodowałaby ich połączenia ani ich istnienia; „byłyby tylko same dane, tj. przypadki. Z przypadku wynikałyby „prawa, a wynikałyby tylko tu i owdzie“ [2]. *Littré* wypowiada myśli tego samego rodzaju: „Nie możemy pojąć tego, że coś powstaje z ni- „czego i że coś wraca do nicości; lecz w gruncie rzeczy cóż my „wiemy o tem? Wszystko, co możemy powiedzieć, czyż nie ogra- „nicza się na twierdzeniu, że, co do naszego doświadczenia, coś „nie powstaje z niczego i do nicości nie wraca“ [3]. Otoż prawdziwie wyrok śmierci dla nauki. Zasada przyczynowości jest główną podstawą rozumu. Dosyć przyjąć możliwość, żeby coś powstawało z niczego, a kończy się wszelkie badanie. Widzimy tutaj jak najoczywiściej, jak dalece brak wiary w Boga, powszechnej przyczyny, niweczy myśl w jej podstawach.

„Negacya zasady przyczynowości ma zresztą źródło specyalne w fałszywem tłumaczeniu idei postępu. Postęp jest prawem, wyrazem pewnego porządku w następstwie faktów. Idea postępu ku lepszemu (bo jest też postęp w złem) wymaga pojęcia d o b r a jako celu, do którego wszystko dąży, i pojęcia p r z y c z y n y, która wiedzie ku temu celowi, i której postęp objawia sposób działania. Lecz

[1] Stuart Mill. Zob. *Le Positivisme anglais* p. H. Taine'a. str. 102 i 103.
[2] ibid. str. 105.
[3] *Journal des Débats* z 6-go lutego 1866.

zdarza się, że postęp biorą za przyczynę, czyli że usuwają przyczynę; to jest rezultat empiryzmu, zapomnienia praw rozumu. Widzimy np. roślinę wychodzącą z ziemi, a stopniowy rozwój jej pnia, gałęzi, kwiatów i owoców przedstawia nam rozwój, wzrost, postęp. Prawa rozumu wymagają, abyśmy dla tego rozwoju wskazali przyczynę sprawczą w zarodku, z którego ta roślina wyszła. Jeżeli o tem zapominamy, oswajamy się z mniemaniem, że rzeczy powstają same z siebie, i że w skutek postępu coś większego może powstać z mniejszego. To coś większego powstające z mniejszego, ostatecznie wychodziłoby z niczego. Jest to widoczne zaprzeczenie zasady przyczynowości; jest to równocześnie obalenie podstaw nauki; bo człowiek, który nauczy się obywać bez przyczyn w tłumaczeniu zjawisk, z pewnością, o ile wiernym pozostanie swej myśli, żadnego nie dokona odkrycia.

Zaprzeczenie bezwładności materyi. „Ciekawy widok przedstawiają pisarze, którzy w epoce, gdzie mechaniczne znamię zjawisk fizycznych jest główną tezą nauki, zaprzeczają prawu bezwładności, stanowiącemu jedną z istotnych podstaw mechaniki. Reakcya ta ma źródła dalsze, a w szczególności dwa następujące. Postępy fizyologii były jedną z okazyi błędu. Uciekanie się do siły żywotnej, używanej w sposób nieskreślony i niejasny w celu tłumaczenia zjawisk, szkodziło długi czas postępowi badania ciał organicznych; nauka, postępując, wykazała, że można sztucznie w laboratoryach tworzyć substancye, które miano za wyłączny produkt istot żyjących; wykazała ona dalej podobieństwo, a czasem nawet tożsamość czynności organizmu i zjawisk fizycznych. Z powodu tych odkryć wytworzyło się dwojakie pomieszanie pojęć: najprzód pomieszanie produktów organicznych, z których niektóre dają się sztucznie zrobić, z materyą organizowaną, której żaden pierwiastek nigdy nie wyszedł z żadnego laboratoryum. *Naquet* w swem: *Traité de chimie* zaznaczył ten błąd z wielką ścisłością. Po drugie, przeskok od prawdy, że myśl wymaga materyalnych warunków, do fałszu, że zjawiska duchowe identyczne są z materyalnemi, pojawia się dzisiaj w umyśle niejednego przyrodnika. Biologia jest nauką zawikłańszą od fizyki, nic dziwnego, że w obec niej jest opóźnioną, podobnie jak fizyka długo była opóźnioną w obec umiejętności jeszcze prostszej, matematyki. Za dni naszych biologia wywołuje wielkie zamieszanie w po-

jęciach, które i na fizykę cień rzuca i póty nie ustanie, poki pojęcia biologiczne nie dojdą do pewnego stopnia jasności, którego im dziś niedostaje.

„To są uboczne źródła, z których zasila się negacya bezwładności materyi. Lecz kiedy ta negacya stawia się seryo i ze świadomością, wówczas istotne źródło musi mieć w doktrynie, co wyklucza z nauki pojęcie najwyższej woli, jako przyczyny wszelkiego ruchu, a tem samem zmusza do umieszczania w samej materyi pierwiastku ruchu. Zanotujmy kilka przykładów tej negacyi.

„W rozprawie wygłoszonej r. 1874 w „Towarzystwie brytańskiem dla postępu nauk“ *Tyndall* poddał swym słuchaczom myśl o wyrzeczeniu się „definicyi materyi, jakie dają nasze klasyczne „dzieła, a które tylko fizyczne i mechaniczne jej własności odsłania„ją“ [1]. Sądzi więc, że należy przyznać materyi inne jeszcze własności prócz fizycznych i mechanicznych, i taką daje jej definicyę, w którą wszystko na świecie zmieścić się może: „zorza i możność wszystkich kształtów i wszystkich przymiotów życia“. Takie twierdzenie wypowiedziane w r. 1874 na zebraniu naukowem zasługuje na bliższe zastanowienie się. Nauka nasza stanęła właśnie na zaprzeczeniu materyi wszelkiej możności, prócz możności stawiania oporu w częściach przestrzeni, które zajmuje, udzielania ruchu i odmieniania go w skutek tego oporu. Stąd poszło i na tem stoi sprowadzenie zjawisk fizycznych do mechaniki, wniesione przez *Kartezyusza*, a wznowione przez *Newtona*. Wprowadzić do definicyi materyi „możność przymiotów życia“, to znaczy tyle, co zaprzeczyć bezwładności; jest to pozytywna reakcya przeciw podstawom fizyki; jestto odnowienie nakoniec teoryi p r z y c z y n u k r y t y c h.

„W ustępie z *Tyndall'a* przytoczonym była mowa tylko o życiu, do którego autor zdaje się sprowadzać zjawiska psychiczne [2]. *Du Bois-Reymond* jaśniej się pod tym względem wyraża. Rozprawę czytaną na zebraniu przyrodników i lekarzy niemieckich w Lipsku, zaczyna on od wykazania jak najdokładniej niezgłębionej przepaści, jaka dzieli fakta materyalne od zjawisk duchowych [3]). Następnie wy-

[1] *Revue scientifique* z 19-go września 1874.
[2] Zob. Rozdział V.
[3] Zob. tekst *Du Bois-Reymonda* przytoczony w Rozdziale V.

wodzi, że nie wynika stąd, by zjawiska duchowe nie były rezultatem warunków materyalnych, i takim przykładem myśl swą objaśnia: „Wystawmy sobie, żeby wszystkie atomy, które składały Cezara „w danej chwili, nad Rubikonem n. p., sztuką mechaniczną zostały „znów złożone, każdy na swojem miejscu, i że odpowiednia szybkość „w kierunku należnym została im nadana: to, według nas, mielibyśmy „odtworzonego Cezara z duszą i ciałem“ [1]. Autor wyrzeka się więc dowiedzenia się, w jaki sposób atomy wytwarzają myśl; wie jednak i twierdzi, że mają władzę ją wytworzyć. Z profesorem berlińskim schodzi się pewien pisarz francuzki: „W pewnych oko„licznościach materya tworzy światło, ciepło; w innych znów żyje; „jeszcze w innych czuje, chce, działa; w innych nakoniec, na wyż„szym stopniu, objawia się jako myśl, dostępuje samowiedzy, przy„chodzi do życia duchowego“ [2]. Prawie zbytecznem jest nadmienić, „że taka materya, co chce i działa, jest pojęciem, któremu się stanowczo zaprzecza w prolegomenach każdej naszej mechaniki. Brakuje mi tylko, dla uzupełnienia mego dowodu, żebym znalazł zaprzeczenie prawa bezwładności, wyrażone w tych samych słowach, w jakich się zwykle to prawo stawia. Znajdujemy je właśnie pod piórem *Moleschotta:* „Jednem z najogólniejszych znamion materyi jest, że „w sprzyjających okolicznościach sama się w ruch wpro„wadzić może“ [3]. Jakież są te sprzyjające okoliczności, co dozwalają materyi samej się w ruch wprowadzać? Nie wiem, jaka jest pod tym względem doktryna autora.

„Dowód, jaki zapowiedziałem, jest obecnie zupełnym. Negacya fundamentalna pojęcia ciał; negacya przewodnich zasad badania naukowego; negacya wszystkich podstaw fizyki nowoczesnej: znaleźliśmy wszystko, czegośmy szukali. Rokosz ten przeciwko podstawom nauki może mieć przypadkowe i podrzędne przyczyny; lecz główną jego przyczyną jest to, że wygasza się ognisko zasad, kiedy się pojęciu Boga zaprzecza, albo wyrzuca je z pola nauki. Sprawia to rodzaj zaślepienia umysłowego: potrzeba jedności, będąca samym gruntem rozumu, nie znajdując już potrzebnego punktu oparcia w pojęciu najwyższej Przyczyny, wiążącej stosunek między ciałami a duchem,

[1] *Revue scientifique* z 10-go paźdz. 1874.
[2] Edmund Sicherer: *Mélanges d'histoire religieuse.* Par. 1865, str. 184.
[3] *La Circulation de la vie;* list 17.

zwraca się ku jednemu z pierwiastków tego stosunku i stara się wszystko z materyi wysnuć. „Wątpić o prawdach Bożych, mówi „nam *Dumas*, to życie oddać na los przypadku; wierzyć w nie, to „dać życiu balast niezbędny; takie było przekonanie i prawidło *Fa-„raday'a*“ [1]. Uwagi poprzedzające pozwalają nam to twierdzenie w ten sposób obrócić: wątpić o prawdach Bożych, to oddać naukę na los przypadku; wierzyć w nie, to dać jej balast potrzebny; tak nas uczy historya.

„Bez wątpienia nie potrzeba się zbyt żywo o przyszłość nauki niepokoić. Oparta na silnych posadach rozumu ludzkiego, utrwalona przez trzywiekowe odkrycia, ma ona dzisiaj dość silną konstytucyę, by chorobliwe wyrzucić pierwiastki, jakie przewrotna filozofia stara się w nią wpoić. Zresztą pisarze, którzy przeczą jej głównym podstawom, nie potrafiliby żadnej zrobić pracy naukowej, bez użycia, a więc i uznania w praktyce zasad, które w teoryi odrzucają. *Littré*, gdyby był pracował w chemii, nie byłby sobie nigdy zdał sprawy z rezultatów jakiejś analizy, w przypuszczeniu, że coś z niczego powstało. *Moleschott*, w laboratoryum fizykalnem, nie mógłby żadnego wytłumaczyć zjawiska, twierdząc, że materya sama się w ruch wprawiła. *Tyndall* nie wyjaśni żadnego faktu biologicznego z zasady, że materya jest „zorzą i możnością czynności życiowych“. Jest to wielki, najwyższy przywilej prawdy (i to we wszystkich sprawdza się sferach), że narzuca się tym nawet, którzy jej przeczą, i przeczyć jej nie mogą bez popadnięcia w sprzeczność ze sobą samemi“.

Tak wykazał autor, że te dwa pojęcia: niemateryalności duszy i istnienia Boga, tkwią w podwalinach fizyki nowoczesnej, i że negacya tych prawd osuszyłaby źródła nauki. Na domówienie, przywodzi on jeszcze poczet dzisiejszych znakomitości, protestujących w imieniu nauki przeciwko ateizmowi, który nieuprawnieni chcą jej narzucić. Tak przemawiają z kolei August *De la Rive*, *Chevreul*, *Wurtz*, Oswald *Heer*.... Kończę pięknemi słowy tego ostatniego. „Wiel-„kiem jest dzieło stworzenia i nie może być ocenione w całej swej „wspaniałości, jak tylko przez umysły zdolne do wydania o niem „sądu. Przykład to objaśni. Weźmy symfonię *Beethovena*; tylko „artysta muzykalny ją zrozumie; dlań każda nuta będzie miała

[1] *Eloge historique de Michel Faraday.*

„swoje znaczenie, i z tych rozmaitych nut połączonych w całość wy-
„płynie harmonia niezrównana. Tak samo z przyrodą. Zjawiska brane
„z osobna nie przedstawiają się w prawdziwem swem znaczeniu, jak
„nuty odosobnione, aż ktoś je potrafi połączyć i ocenić ich całość.
„Tylko przez zebranie faktów odosobnionych możemy sobie zrobić
„ideę o dziele stworzenia. Przez to zebranie dopiero dostrzega
„dusza harmonii przyrody, harmonii, która, podobnie jak jej siostra
„w dziedzinie tonów, wznosi nas po nad świat materyi i wywołuje
„w duszy człowieka uznanie Bożego rozumu, rządzącego wszystkiem
„co jest, tak samo jak wszystkiem co było. Za głupiego by ucho-
„dził, ktoby twierdził, że nuty jakiej symfonii są tylko punktami
„rzuconymi od przypadku na papier; ale zdaje mi się, że nie mniej
„zaślepieni są ci, którzy widzą tylko przypadek w nierównie cu-
„downiejszej harmonii stworzenia. Im więcej postępujemy w pozna-
„waniu przyrody, tem głębszem jest nasze przekonanie, że jedynie
„wiara w Stwórcę Wszechmogącego i w Mądrość Boską, która niebo
„i ziemię podług planu odwiecznego stworzyła, jest w stanie rozwią-
„zać zagadki przyrody, jak i zagadki życia ludzkiego. Nietylko serce
„człowieka, lecz i przyroda potwierdza istnienie Boga“ [1].

[1] *Le monde primitif de la Suisse*, 1872.

PRZEGLĄD PIŚMIENNICTWA.

Monumenta Poloniae historica. Pomniki dziejowe Polski, tom IV., wydany nakładem Akademii umiejętności w Krakowie, opracowany przez członków lwowskiej komisyi historycznej tejże Akademii. Lwów, 1884 w drukarni zakładu nar. im. Ossolińskich, 8 maj., str. X. i 992.

(Dokończenie).

Ze wszystkich żywotów świętych, umieszczonych w IV. tomie Monumentów, bez zaprzeczenia żywot św. Kunegundy jest najważniejszy, a to dlatego, że po raz pierwszy dopiero ogłoszony jest wedle najdawniejszych źródeł, że prócz wielu ciekawych szczegółów historycznych, mieści szczegóły pięknie charakteryzujące ówczesne życie w Polsce i nakoniec, że pomnikowi temu wydawca Dr. Kętrzyński najgruntowniejsze poświęcił studya. Do wydania tekstu samego trzy miał rękopisy, a najprzód kodeks z Zamojskich biblioteki, niegdyś własność klasztoru Panien Klarysek w Krakowie na pargaminie odpisany w połowie XV. wieku z jakiegoś nieznanego rękopisu. Kodeks ten ginie z klasztoru po roku 1727, dostaje się do prywatnych zbiorów króla Stanisława Poniatowskiego, król ofiaruje go biskupowi Załuskiemu; z biblioteki Załuskiego przechodzi do Czartoryskich, w r. 1831 ginie z tej biblioteki, a w 40 lat potem został ofiarowany do biblioteki Zamojskich w Warszawie. Jak dotąd, jest to najstarszy kodeks żywota św. Kingi, ale pod względem tekstu najgorszy. Drugi rękopism z którego korzystał p. Kętrzyński, jest w bibliotece Jagiellońskiej odpisany w XVI. wieku z tego samego nieznanego rękopisu co i kodeks Zamojski: był niegdyś własnością kościoła parafialnego w Nowem mieście Korczynie, te same posiada zalety co i kodeks Zamojski. Trzeci, pisany w r. 1684, znajduje się w aktach do procesu kanonizacyjnego św. Kunegundy, będących dziś własnością P.P. Klarysek u św. Andrzeja w Krakowie, jest kopią rękopisu z roku 1401, i ten choć najpóźniejszy, najlepszy

jest. Z tych trzech tedy rękopisów korzystał Dr. Kętrzyński do ustalenia tekstu żywota św. Kunegundy. Rozpisując się dalej o najdawniejszych rękopisach zawierających żywot św. Kunegundy, do nadzwyczaj ciekawych przychodzi wniosków, a najprzód żywot św. Kunegundy pisany w r. 1401, odpisany w wiernej kopii do kanonizacyjnego procesu św. Kunegundy przez notaryusza X. Adama Strykowskiego, mniemano dotąd, że jest oryginałem, autografem autora, otóż p. Kętrzyński doszedł przez badania tekstu samego do nader ważnych rezultatów. A najprzód dowiódł, że kodeks z 1401 roku nie jest oryginałem. Kodeks ten w połowie XVIII. wieku dostał się do biblioteki Załuskich, a opisał go w r. 1752 X. Janocki; dziś powinienby się znajdować w bibliotece Petersburskiej, z tego kodeksu istnieje jedyna kopia u PP. Franciszkanek w Krakowie. Drugi odpis z tego kodeksu, z którego powstały kodeks dzisiejszy Zamojskich i kodeks biblioteki Jagiellońskiej jest nieznany i do zaginionych liczyć się musi. Idąc dalej w badaniach, doszedł, że żywot św. Kunegundy pisany był między rokiem 1317 a 1329, prawdopodobnie przez spowiednika zakonnic sądeckich, a pisarz pobożny źródła miał następujące: Żywe świadectwa i opowiadania naocznych świadków o życiu i cudach św. Kingi; Żywot św. Kunegundy, pisany niebawem po jej zgonie; Miracula, które się działy po jej śmierci od roku 1307—1312 i na miejscu spisywane były; Rękopis kroniki węgierskiej, pisany w połowie XIII. wieku, dziś zaginiony a z którego powstała *Marci Chronica ad annum 1330 producta*, a może i ten psałterz polski, na którym się modliła nasza św. Kinga. Wszystko to było w miejscu chwalebnego zgonu świętej naszej, a więc autentyki same, z których autentyczny powstał żywot najpóźniej roku 1329. Z tego autentyku pozostały dwie kopie, to jest dwa odpisy, ale prawdopodobnie nie dosłowne. Jeden odpis autentyku miał w ręku Długosz i z niego czerpał wiadomości do żywota św. Kunegundy. Z drugiego odpisu powstał kodeks o którym wyżej mówiliśmy z roku 1401. Dziś ani autografu, ani najbliższych z niego odpisów nie mamy, ale za to mamy rzecz, mamy książkę wydaną przez Dr. Kętrzyńskiego, w której najstarszy żywot św. naszej przewybornie opracowany jest.

Żywot św. Salomei pisany przez X. Stanisława Franciszkanina około r. 1290, a więc za życia jeszcze św. Kunegundy,

po skollacyonowaniu trzech z sobą kodeksów hr. Zamojskiego, biblioteki Jagiellońskiej i Ossolińskich; Dr. Kętrzyński opatrzył go odpowiednim wstępem, objaśnieniami i waryantami lekcyi i pomieścił w Monumentach od str. 770—796. Tak z tekstów samych żywotów św. Kunegundy i św. Salomei, jak i cennych objaśnień Dra Kętrzyńskiego dowodnie się przekonywamy, że jak zwykle żywoty te w rękopisach w parze chodzą, tak i w treści swej w ustępach niektórych objaśniają się i dopełniają wzajemnie, i stanowią źródła arcypewne. Polska literatura ma żywot św. Salomei napisany przez Opatowiusza, a drugi w obrazkach wydany przez Piskorskiego. Obie te prace porównane teraz z tekstem łacińskim po raz pierwszy ogłoszonym, a z tekstem tak odległej starożytności, są istotnie bez wartości, byłoby więc rzeczą wielce pożądaną przetłumaczyć żywot św. Salomei według tekstu zawartego w Monumentach i drukiem ogłosić w polskim języku.

Oprócz tych ośmiu większych żywotów, skrzętnej pracy Dra Kętrzyńskiego zawdzięczamy jeszcze cztery mniejsze pomniki piśmienne, a mianowicie: Opis cudu, jakiego doznał Sieciech podczaszy książęcy, za przyczyną św. Idziego, spisany 1124 (str. 745—747); pomnik i zabytek niezmiernie interesujący. Relacya o śmierci gwałtownej bł. Wernera biskupa Płockiego, zabitego w r. 1172, oraz o cudach, które się działy około grobu jego, spisane przez ks. Jana dziekana płockiego i byłego kanclerza mazowieckiego około r. 1263 str. 748 do 754. Rzecz ta odległej bardzo sięgająca starożytności, wyjęta jest z kodeksu biblioteki Zamojskich w Warszawie, zawierającego dzieło Jakóba de Voragine *Legendae Sanctorum*, z działu szumnie zatytułowanego *Cronica Plocensis*, a bezpośrednio po niej, dodaje Dr. Kętrzyński, znajduje się w kodeksie *vita sanctae Hedvigis*. Żal nam, że Dr. Kętrzyński nie objaśnił nas bliżej, co to jest za żywot św. Jadwigi, tem więcej, że żaden z biografów żywota św. Jadwigi księżny szląskiej, słowem nie wspomina o tym żywocie. O przeniesieniu św. Floryana. *De translatione S. Floriani*, str. 755—762. Relacya ta znana w drukach i rękopisach skollacyonowana umiejętnie z rękopisów, słuszne i właściwe znalazła tu pomieszczenie. Czwarty nakoniec pomnik piśmienny z rzeczy drobniejszych w o-

pracowaniu Dra Kętrzyńskiego, odnosi się do życia Jadwigi królowy polskiej. Z dziejów tej świętej i pobożnej pani wiadomo, że jak za życia, tak i po śmierci naród cały polski otaczał ją czcią nadzwyczajną; wierzono więc, że jak za życia nikomu nie odmawiała opieki swej, tak samo i po śmierci opieki tej nie odmówi. Jakoż z r. 1419 przechowały się dwa notaryalne zeznania cudów, jakich za jej przyczyną doznali Jan, dziedzic Bejsc, i szlachetny mąż Jakób Kobyliński. Otóż gdy te i inne łaski doznawane u grobu królowej w katedrze na Wawelu, a zaświadczane wielką liczbą wotów składanych w hołdzie wdzięczności za liczne uzdrowienia za jej przyczyną, doszły do wiadomości Wojciecha Jastrzębca, arcybiskupa gnieźnieńskiego, wyznaczył on w r. 1426 komisyę do zbadania cudów, które się działy nietylko u grobu królowej Jadwigi na Wawelu, ale i gdzieindziej. Że rozporządzenie to arcybiskupa wykonano, to mamy na to dowód w dawnym z XVI. wieku regestrze ksiąg kapituły katedralnej krakowskiej, w którym czytamy: *Regestrum miraculorum Stae Hedvigis Reginae Poloniae* (por. katalog mój Ręk. kapitulnych kat. krak. str. 21 Nr. 221). Ten regestr cudów, to niewątpliwie była księga z rozkazu arcybiskupa Wojciecha spisana. Szacowny ten kodeks zaginął, od jak dawna, nie wiemy, nie ma bowiem o nim śladu w żadnym spisie, już od zeszłego wieku. Jeśli to był oryginał, to strata niepowetowana, jeśli kopia, a oryginał posłano do Rzymu, gdzie jeszcze w roku 1450 toczyła się sprawa kanonizacyi królowej Jadwigi, jak o tem donosi Długosz w liście do Zbigniewa Oleśnickiego, to może jeszcze szczęśliwie da się tam odszukać ten drogi dla nas zabytek. W tej sprawie umieścił Dr. Kętrzyński w Monumentach dwa dokumenty już poprzednio ogłoszone w kodeksie kapitulnym przez Dr. Piekosińskiego, a przedtem przez Zeissberga w 55 tomie *Archiv für österreichische Geschichte;* dotyczą one dwóch doznanych cudów, o których już wspomnieliśmy wyżej i trzeci dokument, to jest owo ustanowienie przez arcybiskupa gnieźnieńskiego komisyi do spisania cudów. Ten dokument zamieścił Dr. Kętrzyński wedle kopiaryusza, jaki mu byłem posłał w swoim czasie, i narzeka na lichą onego kopią. Otóż odszukawszy obecnie oryginał tego rozporządzenia arcybiskupiego, mam sobie za obowiązek zaznaczyć tu, że prócz kilku drobnych pomyłek małej wagi, dwa tylko znachodzą się większe błędy w lekcyi dokumentu, a mia-

nowicie: str. 764 wiersz 9 od góry *ac probans operibus,* w oryginale jest *et pro bonis operibus* i tamże wiersz 20 zamiast *in signum salutatis,* poprawiony na *salutationis,* czytać należy podług oryginału *in signum sanitatis.*

Najobszerniejszy z żywotów świętych żywot św. Jadwigi, księżny szląskiej *Vita S. Hedvigis* pomieszczony w Monumentach od str. 501—655, opracował i wydał Dr. Aleksander Semkowicz. Po krytycznem wydaniu żywota tej świętej patronki naszej przez Stenzla, jeszcze w r. 1839 po publikacyach Wolfskrona, Luchsa, Gerlicha i Knoblicha, nareszcie po publikacyi polskiej przez p. Stronczyńskiego, zdawałoby się, że to nowe wydanie i to w Monumentach jest całkiem zbyteczne. Tymczasem ta uczona publikacya poprzedzona wyczerpującą przedmową, zaopatrzona mnóstwem geograficznych i genealogicznych zapisków i objaśnień, uzupełniona siedmiu rozdziałami wziętemi z niemieckiego wydania Baumgartena z r. 1504, w których opisane są przyczyny najazdu Tatarów na Polskę i pochód ich przez Szląsk w roku 1241, wielce cennem czyni wydawnictwo to, zasługujące aby w Monumentach pomieszczone było.

Tenże sam wydawca opracował do Monumentów i wydał tu str. 656—661 żywot Anny synowej św. Jadwigi, a żony Henryka Pobożnego, zmarłej 1265 roku. Żywot ten skreślony przez niewiadomego pisarza, a także przez Stenzla drukiem przedtem ogłoszony, opracowany jest z tą samą ścisłością i krytyką naukową, jak poprzedni św. Jadwigi.

Żywot Mojżesza Węgrzyna, napisany przez Polikarpa mnicha kijowskich pieczar, około r. 1231 wydany przez Emila Kałużniackiego str. 797—817 w tekscie ruskim, z tłumaczeniem polskiem obok, a to podług kodeksu petersburskiego z r. 1406, znany był w literaturze naszej z Paterikonu Kossowa z roku 1635 (str. 110—116). Redakcya jednak tego pomnika wiele więcej zawiera jaskrawych szczegółów w tem nowem wydaniu, niźli Paterikon Kossowa. W tych jaskrawych szczegółach Mojżesz Węgrzyn jeszcze bardziej zwycięską odgrywa rolę w obec pewnej namiętnej niewiasty, niż ją odegrał Józef w obec żony Putyfara. Pomieniony żywot zamieszczony tu został jedynie dla pewnych szczegółów odnoszących się do ostatnich lat Bolesława Chrobrego. Czy szczegóły zawarte w żywocie odnoszące się do króla naszego dadzą się kiedy innemi

udowodnić dokumentami, przesądzać nie śmiemy, ale, że żywot ten przyczynkiem jest nie małym do historyi obyczajów współczesnej epoki, to wątpliwości nie ulega żadnej. Tu jednakże niech nam wolno będzie zaznaczyć, że czegoś podobnego w żywotach naszych świętych z tej, a nawet i późniejszej epoki nie znajdujemy wcale.

O ostatnim żywocie św. Jacka, *De vita et miraculis Sancti Jacchonis* wydanym w Monumentach przez Dra Ćwiklińskiego (818—903) z niemałą trudnością przychodzi mi wypowiedzieć swe zdanie. Żal mi, że tak gruntowne i wyczerpujące studya, poświęcił wydawca błędnemu opisowi, zrobionemu z błędnego kodeksu, żal mi, że nie zaczekano, jeźli nie za oryginałem żywota św. Jacka, skreślonym przez Stanisława z Krakowa, który po tylu wskazówkach Dra Ćwiklińskiego, odnaleść się gdzieś musi, to przynajmniej za kopią wierniejszą tegoż autografu, której niepodobna przypuścić, aby niezrobiono w tak sławnem zgromadzeniu i dla takiego świętego. Żywot ten wydał Dr. Ćwikliński podług kopii zrobionej dla ś. p. Augusta Bielowskiego z biblioteki książąt Chigich w Rzymie, przez jakiegoś *fratello Müller* jeszcze w roku 1854. Odpisowi temu sam wydawca przyznaje niezbyt pochlebne znaczenie mówiąc, że nie jest skrupulatnie dokonany, więcej jeszcze powiem, dowodzi on, że kodeks, z którego przygotowano kopię, prawdopodobnie te same posiada niedokładności i błędy, a co się najwyraźniej potwierdza w oddrukowanym tekscie i w notkach zamieszczonych skrupulatnie, z których widzimy, że ani jednego niema rozdziału wolnego od opuszczeń i błędów. To wszystko rozważywszy, niepospolitej potrzeba było odwagi, nauki i pewności siebie, aby nie mogąc pomimo usilnych starań dotrzeć do oryginału, podjąć się drukiem ogłosić monument z tak odległej epoki, oczyścić go z błędów i uzupełnić istniejące w nim niedostatki, posiłkując się tylko źródłami drukiem ogłoszonemi. Czy tego dokonał p. Dr. Ćwikliński? Dla nas i dla tych, którym idzie o treść tylko, o rzecz samą, odpowiadamy, że najzupełniej, ale dla tych, co w tego rodzaju publikacyach pragną dyplomatycznej wierności, odpowiadamy, że nie; ci powiedzą niewątpliwie, czekajmy pokąd nie znajdzie się oryginał, lub jego wierna kopia, teraz jest rzecz chybiona. A wtenczas mamy prawo spodziewać się, że Dr. Ćwikliński tak samo, jak odwołał mylne hipotezy o autorze żywota, mieniąc go synem nieprawego łoża, sy-

nem księdza, prowincyałem zakonu Dominikanów, penitencyarzem papieskim i w końcu biskupem petineńskim (str. 833), co wszystko potem odwołał (str. 909), tak samo odwoła kiedyś niejedną omyłkę, jaka się znajduje w wydanym przez niego żywocie św. Jacka.

Niech zamknie nie tyle krytykę, jak raczej sprawozdanie nasze o pomnikowem dziele Monumentów jedno słowo domówienia. Jest to bezwątpienia zasługa wielka, umieć krytycznie drukiem ogłosić zabytek piśmienny, sięgający odległej starożytności, do czego przedewszystkiem potrzebne: gruntowna znajomość języka, w którym przechowany jest piśmienny pomnik, i dokładna znajomość paleografii tegoż języka. Ale nad takim zabytkiem poczynić studya wszechstronne, krytyczne, wyczerpujące, to dowód wysokiej nauki a mądrości, to coś więcej niż napisanie kilku tomów powieści, choćby historycznej. I właśnie tę wytrawną wielostronną naukę znajdujemy w krytycznem opracowaniu tekstów i w studyach zamieszczonych na czele każdego zabytku rękopiśmiennego; żadnych tam podejrzeń, wyśmiewań szyderczych, wątpliwości żadnych i zaprzeczań, lecz wiara zupełna autorowi, że tak było; poczytać to należy za wielką zaletę i zasługę wydawców.

X. I. Polkowski.

Przegląd pism peryodycznych.

2. Revue philosophique de la France et de l'Étranger. Paris, Boulevard Saint-Germain 108. Wychodzi co miesiąc w zeszytach, zawierających po 3—4 *articles de fonds*, recenzye z nowych dzieł filozoficznych francuskich i zagranicznych, sprawozdania z pism peryodycznych, dotyczących filozofii, w końcu różne notatki bibliograficzne etc.

Rytm pisma szybszy, niż poprzedniego kwartalnika, zakres przedmiotów ograniczony tylko do bieżących kwestyj filozoficznych, uniemożliwiają nam sprawozdanie z całego rocznika (1884), któreby za wiele wymagało miejsca; poprzestaniemy więc na kilku ostatnich zeszytach, co zupełnie wystarczy do pierwszego zaznajomienia się z duchem tego pisma. Zaczniemy od artykułów samego redaktora *en chef* p. Th. Ribot, w zeszytach z przeszłego sierpnia i października, p. t. *Les bases affectives...*, i *Les bases intellectuelles de la per-*

sonnalité, czyli właściwie o świadomości i samowiedzy ludzkiej, jako podstawach naszej osobowości. Pan Ribot wraz z wieloma dzisiejszymi psychologami uprawia psychologię bez duszy, zastępując duszę naszym systemem nerwowym, jakoby ostateczną i dostateczną przyczyną wszystkich psychicznych objawów. Hipoteza niczem nieusprawiedliwiona, żadnego rzeczywistego faktu psychologicznego ostatecznie nie tłumacząca. Jest to jedno z tych chwilowych wielkich zaślepień naukowych, jakiemi nasz wiek się odznacza, a z których prędzej czy później poważny świat naukowy przebudzić się musi, jak się niegdyś przebudził z astrologii do astronomii, z alchemii do chemii. Pomimo swej najfałszywszej zasady głównej, ma jednakże ta nowa bezduszna psychologia, zowiąca się „fizyologiczną“ lub „eksperymentalną“ w historyi nauki niemałe znaczenie: jako reakcya przeciw porzedniemu ciasnemu i bezpłodnemu kierunkowi, w który od Descartes'a począwszy zabrnęła była spirytualistyczna psychologia, pojmująca jako całą treść duszy ludzkiej same najwyższe jej objawy: świadomość i myślenie, a rzucająca tem samem inne objawy naszego życia na pastwę fizyologicznego materyalizmu, i zapominająca o tem, że każdy, choćby najwyższy objaw duszy jest tylko jej objawem, więc nie może być jej treścią najwewnętrzniejszą. Żaden objaw nie może być treścią swej najbliższej przyczyny, t. j. rzeczy przezeń się objawiającej. Jak światło, ani ciepło, ani elektryczność nie są essencyą materyi, tylko są jej objawami, tak też ani świadomości nasze ani myślenia, objawów duszy naszej, za essencyę jej uważać nie można, bo znaczyłoby to brać skutek za przyczynę. Wprawdzie i ta nowa eksperymentalna, czy fizyologiczna psychologia w ten sam błąd popada, tylko w innej formie, gdy skutek, t. j. organizm, wytwór duszy naszej bierze za przyczynę, za początek wszelkich psychologicznych objawów; ale przynajmniej tem do prawdy się zbliża, że żadnego z istotnych faktów i objawów psychologicznych z dziedziny psychologii, której nazwę przez szczęśliwą niekonsekwencyę zatrzymała, nie wyrzuca, lecz wszystkie robi przedmiotem swych badań i obserwacyi, choć prawda, że je wszystkie razem do niewłaściwej przyczyny odnosi. Dla tej nowej psychologii już samo poczynanie się żywego organizmu w zarodku i jego kształtowanie się, rośnięcie, odżywianie, słowem, wszystkie biologiczne wprost nieświadome nam procesy żywotne są tak samo faktami psychologiczne-

mi, jak świadomość nasza i samowiedna wola i myślenie. Gdy jedne i drugie objawy mają swoje czysto fizyczne warunki, w których się urzeczywistniają, bada ona zarówno wszystkie fakta życia naszego, jako psychologiczne i mówi całkiem słusznie, że „sprowadzić całe życie psychiczne li tylko do samych danych świadomości, znaczy tak je samochcąc ścieśnić i zbiedzić, że potem w nauce rady sobie dać nie można“ [1]. To też ta dzisiejsza bezduszna psychologia w nowych obserwacyach i eksperymentach, dotyczących pełnego zakresu faktów życia psychicznego, nie samej tylko ich części nam wprost świadomej, dostarcza nam bez porównania więcej materyału do zbudowania kiedyś prawdziwej nauki o duszy, gdy się tylko zeń we właściwy sposób skorzystać będzie umiało, niż poprzednia psychol. spirytualistyczna w ostatnich dwóch wiekach, ograniczająca się przeważnie tylko do bezowocnego szperania w swojem ja i przez to samo skazana na bezpłodne dla nauki przeżuwanie zawsze tych samych ogólników. Ci panowie, co dziś psychologię bez duszy uprawiają, ani się domyślają nawet, dla kogo w gruncie pracują, jak łatwo z ich stanowiska przejść do właściwego animizmu, spoczywającego na głównych, odwiecznych zasadach Arystotelesa i jego średniowiecznej szkoły, uwzględniającej także zawsze całą pełnię objawów ludzkiego życia w swoich psychol. badaniach. Ci panowie nie wiedząc o tem, gromadzą nowy zasób spostrzeżeń i doświadczeń, które o ile są sumienne i prawdziwe, posłużą kiedyś do zbudowania takiej psychologii, w której sam fakt istnienia duszy w ciele ludzkiem, oprócz tego, że jest jednym z głównych dogmatów naszej wiary, stanie się naukowym pewnikiem, ściślej, niż kiedykolwiek był, dowiedzionym, namacalnie stwierdzonym, i wtedy nauka o duszy w jej połączeniu z ciałem stanie się nauką ściśle pozytywną. P. Ribot w ostatnim lat dziesiątku zajął się szczególnie patologicznemi objawami psychol.; wyszło już dzieło jego „o chorobach pamięci“ i drugie „o chorobach woli“; powyższe zaś dwa art. są to tylko rozdziały nowego dzieła, p. t. *Les maladies de la personnalité*, które 15-go stycznia b. r. wyjść miało. Traktują one o zboczeniach naszej świadomości i samowiedzy w hallucynacyach, jakoteż w zdarzających się wypadkach równoczesnego lub naprzemian występującego zdwojenia

[1] Ribot. Rev. Philos. z sierpnia 1884, str. 138.

samowiedzy w obłąkanych indywiduach, mających się za dwie różne osoby. Przedmiot ten sam co w wyż pomienionych dwóch art., *Revue des quest scient.* „o hallucynacyach“ i „o dwoistości mózgu“; jak widzimy więc powyższe kwestye są dziś na porządku dziennym, a porównane ze sobą te art. obydwu *Revues,* dają nam nauczający przykład, jak wyglądają dziś te same sprawy wzięte z punktu widzenia Déscartes'owskiego spirytualizmu, niestety pokutującego jeszcze w psychol. art. *Revue des quest. scientif.,* a ze stanowiska nowej psychol. bez duszy, p. Ribot. Tu się wcale o duszy nie wspomina, a tam mówi się o niej wprawdzie, ale sprowadza się ją do nikłego pojęcia jakiejś *entité psychique,* albo jakiegoś *élément psychique,* z siedzibą li tylko w samym mózgu i z nieokreślonym działaniem, jak *Deus ex machina,* w samych tylko umysłowych objawach naszego życia. Czyż taki spirytualizm, używający notabene przy większej połowie żywotnych objawów naszej duszy czysto materyalistycznego języka, zdolny jest bijącą w oczy niekonsekwencyą swoją pokonać dzisiejszy bądź co bądź konsekwentniejszy materyalizm zupełny? Żadną miarą! Nam potrzeba przeciw niemu pełnego animizmu, warującego, zgodnie z rzeczywistością działanie duszy naszej w każdej piędzi naszego ciała, przy wszystkiem, co tylko w nas jest ż y c i e m w przeciwieństwie do czysto fizycznych objawów materyi, wchodzącej w skład naszego ciała jako m a t e r y a ł porywany we w i r ż y c i a, przyswajany sobie przez duszę, używany i zużywany przez nią i ciągle na nowo przyswajany aż do śmierci. To też w jednej psychologii brukselska *Revue,* jak to zauważyłem także i w poprzednich rocznikach, nie stoi na wysokości swego powołania; zająwszy zresztą we wszystkich innych bieżących kwestyach naukowych świetne stanowisko, w psychologii nie uwolniła się od dawnych błędów Descartes'a, choć te właśnie w naszym wieku we Francyi, począwszy od Maine de Biran'a a skończywszy na pp. Tissot, Francisque Bouillier, Ravaisson, l'abbé Élie Méric etc., najgruntowniejszą znalazły odprawę na korzyść pełnego animizmu. Do jakich zaś znowu konsekwencyj metafizycznych prowadzi koniecznie ta dzisiejsza psychol. bez duszy, przypisująca wszystkie w nas żywotne, psychol. objawy działaniom samych nerwów, samej materyi, najlepiej widzimy to w tej samej *Revue philos.* z art. p. Delboeuf'a, p. t.: *La matière brute et la matière vivante,* ciągnie się on przez kilka zeszytów na to, żeby

w końcu twierdzić, że „wszystkie pierwotne elementa wszechświata obdarzone są czuciem, intelligencyą i wolnością [1]“, a więc już każdy atom żyje życiem ukrytem, zanim w organizmie jakim wyraźnie je objawi i niejako ze snu się zbudzi. I to jest właśnie nieunikniona fatalnością materyalistycznej psychologii, że gubi, zatraca właściwe, trzeźwe pojęcie materyi podległej ścisłym prawom mechaniki, do jakiego ludzkość wreszcie przyszła z wielkim mozołem z postępem fizyki w ostatnich trzech wiekach od Galileusza, Descartes'a, Newtona aż do naszych czasów, i co jest właśnie największą chlubą naszej epoki; zatraca te zdobycze, by robić ze znanej nam już materyi znowu coś niepochwytnego o ukrytych własnościach czucia, intelligencyi i nawet wolności, której przecie nie może się w niej dopatrzeć nowożytna chemia, ani mechanika. *Das ist der Fluch der bösen That!* u tych, co robią dziś psychologię bez duszy, iż w końcu u tych materyalistów, *risum teneatis amici*, brakuje miejsca dla materyi, bo wszystko co jest na świecie, każdy atom, ma według nich w sobie ukrytą moc czucia, rozumu, woli, a więc pod czarodziejskiem dotknięciem ich teoryi, staje się tem właśnie, co my nazywamy duszą w przeciwieństwie do materyi. I tak w czasach największego postępu nauki cofają się ci panowie w pojęciach swoich o lat półtrzecia tysiąca aż do jońskiego hylozoizmu, kiedy nauki fizyczne były zaledwie w pierwszym zawiązku, i kiedy nieznajomość materyi pozwalała pojmować ją za coś żyjącego. To właśnie przytrafiło się niedawno także w Niemczech p. Haeckelowi, gdy w swojej „psychologii cellularnej“ ogłosił, że właściwie już każdy atom objawia własności psychiczne. Thalesowe adagium: „wszystko pełne jest bogów“ znowu przychodzi do mody, ale dlatego też właśnie, jak już raz wspomniałem, bliżej stąd do arystotelesowego animizmu, który prędzej czy później w psychol. zwyciężyć musi, aniżeli z owych poprzednich teoryj, niby spirytualistycznych, a w rzeczy samej przez pół materyalistycznych, w pojmowaniu najbliższej przyczyny zjawisk życia ludzkiego.

Z większych artykułów zasługuje jeszcze na uwagę *La suggestion mentale et le culcul des probabilités*“, p. Ch. Richet, hypoteza dotycząca zjawiska bardzo zajmującego dziś nerwo- i psychologów

[1] Zeszyt z października 1884, str. 408.

paryskich, skupionych około doświadczeń Dra. Charcot i wielu innych lekarzy w szpitalu dla chorób nerwowych, zwanym *la Salpétrière*. Cóż to jest ta *suggestion mentale?* jestto przerzucanie się, a raczej współbudzenie się, niby współbrzmienie myśli jednego człowieka, niewyrażonej przezeń żadnem słowem ni gestem, w mózgu sąsiada, zjawisko wyglądające na sztuczkę Cumberlanda, a jednak stwierdzone już dzisiaj mnogiemi doświadczeniami poważnych ludzi nauki, którym nie chodzi wcale o sławę spirytystów, tylko o wytłumaczenie tego fenomenu, wywołującego obfitą literaturę w ostatnich kilku latach. Według świadectw takich powag na polu badań hipnotyzmu, somnambulizmu i t. p. patologicznych objawów, jak pp. Charcot, Richet, Binet, Féré, etc., mają pojawiać się takie wyjątkowe indywidua, które zgadują myśli cudze, przez to samo, że się znajdują z kimś w tym samym pokoju. Tacy więc podlegają suggestyi myślnej, według ustalonego już terminu naukowego. Tłumaczy się to zjawisko u podlegających jemu mózgiem tak czułym, iż zdolny jest niejako współbrzmienia z wibracyami mózgu sąsiedniego, zachodzącemi niezawodnie wśród jego procesu myślenia, i obudzającemi w pacyencie te same myśli, jakiemi zajęty jest mózg sąsiada. Tłumaczenie dowcipne, ale sam fakt wygląda na nieprawdopodobieństwo. Takie rzeczy trzeba samemu widzieć, sprawdzić, żeby wierzyć. P. Richet przytacza jednakże w powyższym artykule mnóstwo podobnych faktów, które na pierwszy rzut oka mają w sobie wszelkie cechy nieprawdopodobieństwa, a jednak mają być prawdziwe. Rozróżnia on słusznie proste niepodobieństwo od pozornego nieprawdopodobieństwa, które wydaje nam się takiem, li tylko przez nieznajomość rzeczy. „Nieprawdopodobieństwo faktów suggestyi, mówi p. Richet, nie jest absolutne (my powiedzielibyśmy, nie jest „metafizyczne"), jest ono tylko względne, wydaje nam się takiem przez naszą nieznajomość warunków dynamicznych w działaniach mózgowych, nic w naturze rzeczy temu się nie sprzeciwia... nie dziwimy się, gdy świeca w nocy oddalona od nas, choćby o 200 metrów, wywołuje w naszych oczach wrażenie światła, pobudzając nasz nerw wzrokowy niejako do współbrzmienia z wibracyami eteru wywołanemi przez jej proces palenia się, a wydaje nam się absurdem to, żeby wibracye mózgowe przy procesie myślenia mogły oddziaływać na mózg sąsiedni o 3—4 metrów oddalony? mały robaczek świętojański promienieje na sto me-

trów wokoło, a mózg ludzki miałżeby być pozbawiony wszelkiego promieniowania?“ Nie mamy nic przeciwko samej możliwości faktów suggestyi, choć z drugiej strony nie wszystko co jest możliwe, tem samem już jest rzeczywiste. Lecz skoro są tacy, którzy powyższe fakta mieli sprawdzić i robią je nawet przedmiotem badań naukowych, należy się z urzędu sprawozdawcy zawiadomić o rzeczy tak nowej a ciekawej czyt. Przegl., zostawiając zresztą całą tę sprawę suggestyi na sumieniu tych, co ją poruszają i zastrzegając się przeciw zupełnie materyalistycznemu tłumaczeniu podobnych faktów, jakie proponuje p. Richet w swojej nowej wprawdzie, ale bardzo niejasnej hipotezie opartej na rachunku prawdopodobieństwa, która to hipoteza jest głównym przedmiotem jego artykułu (Revue philos. z grudnia) z powyżej podanym tytułem.

Z prawdziwie francuskim dowcipem traktuje p. G. Tarde (w zeszycie z listop.) kwestyę *Qu'est-ce que la société?* co to jest towarzyskość? gdyż samo pożycie towarzyskie, a nie istota społeczeństwa w ogóle, jest przedmiotem tego szkicu. „Towarzyskość jest niczem innem, jak naśladownictwem, a naśladownictwo to, jest rodzajem somnambulizmu“, oto teza, którą autor rozwija przed nami z finezyą, godną wprawdzie lepszej sprawy, ale miłą bardzo i myśl pobudzającą, jeśli się wywodów autora zbyt na seryo nie bierze. Niezawodnie, że formy towarzyskiego pożycia utrzymują się w społeczeństwie tradycyjnie przez naśladownictwo, ale tem się właśnie odznacza każde dobre towarzystwo od błahego i płytkiego, że dobiera sobie ludzi o formach zwyczajnych, niczem nie rażących, ale ludzi niezwykłych swoją treścią i wartością i w swem wystąpieniu. Takich to właśnie nazywamy „duszą towarzystwa“; a więc nie samo naśladownictwo jest treścią towarzyskości, chyba jeśli towarzystwo jest już we wielkim upadku. Lecz w *Revue,* propagującej zasady transformizmu i małpiego pochodzenia człowieka, nic dziwnego, że i sam wykwit towarzyskiego pożycia w świecie cywilizowanym przedstawiony jest jako proste — małpowanie. — Jako jeszcze bardziej znaczące *signum temporis,* wypada także zanotować art. F. Paulhan'a: *Croyance et volonté,* który po wielu bardzo niejasnych, sofistycznych wywodach, dochodzi wreszcie do konkluzyi, „że wyraz wola powinien być właściwie wykreślony ze słownika ludzkiej mowy, gdyż nie oznacza nic pozytywnego i niema żadnej wartości naukowej“.

— Od czasu, jak zawiązało się w Paryżu stowarzyszenie ze statutami przez rząd potwierdzonemi, których art. II. brzmi: „Zadaniem stowarzyszenia jest wygładzić ze wszystkich języków na świecie wyraz „Bóg“... jako imię bez wszelkiego znaczenia, niemające więc racyi bytu“... w obec tego, cóż może nas jeszcze dziwić we Francyi? — Aby zakończyć na czemś pogodniejszem, przechodzę do części sprawozdawczej *Revue Philos.* bardzo obfitej i dobrze redagowanej, zawierającej mnogie recenzye i rozbiory najnowszych dzieł filoz. we wszystkich językach cywilizowanego świata. Każdy zeszyt mieści pod tym względem bardzo dużo wiadomości, a chociaż uwzględniane są tu przeważnie książki i pisma z ujemnym kierunkiem, to jednak i w tym stronniczym przeglądzie dzisiejszych płodów umysłu w dziedzinie filoz., uwidocznia się wyraźnie, że jest jeszcze po świecie wiele głów zdrowo myślących i pisze się wiele książek w dodatnim kierunku. Do takich należy A. Ott'a *Critique de l'idéalisme et du criticisme.* Paris 1883. Jestto surowa krytyka subjektywnego idealizmu i sceptycznego krytycyzmu, pozbawiającego człowieka wszelkiego gruntu pewności własnej wiedzy. Autor wykazuje całą bezdeń niekonsekwencyj i sprzeczności ze sobą samym, do jakich powyższe doktryny prowadzą, i wskazuje zarazem na istotne fundamenta pewności naszej wiedzy. Nie podoba się oczywiście taki „dogmatyzm“ recenzentowi tego dzieła w *Revue Philos.* (z października), gdyż niema nic sprzeczniejszego z duchem tego pisma, jak jakiebądź stałe zasady. Lecz i z tej niepochlebnej oceny wyziera między liniami prawdziwa wartość dzieła, która musi być niepospolitą. — Także i *Physiologie des Rechtes,* wiedeńskiego prof. patologii ogólnej, wygląda na rzecz głębszą (zeszyt z listop.); przyszedł więc nareszcie czas upragniony przez Leibniza, w którym i medycy filozofują. Jestto ugruntowanie t. z. prawa natury (o którem dzisiejsi legiści lubią zapominać), rozwinięte z punktu widzenia psychologicznego, jako norma moralna, z którą wszystkie prawa państwowe i międzynarodowe liczyć się powinny, a której państwo winno dawać swoją sankcyę, i poparcie swoją siłą. — Ludwik Strümpell, prof. uniw. w Lipsku, napisał *Grundriss der Psychologie* (1884), którą recenzent *Rev. Phil.* bardzo jest zaambarasowany, jak się sam do tego na wstępie przyznaje, gdyż jestto, o zgrozo! psychologia w duchu animistycznym, i poważa się twierdzić, że „jak chemik mówiąc o dzia-

łaniach kwasorodu odnosić je musi do substancyi kwasorodu, tak i psycholog badając fenomena psychol., nie może nie uznawać exystencyi duszy, jako substancyi objawiającej też właśnie fenomena". Dla najnowszej książki F. Bouillier'a *Études familières de psychologie et de morale, Paris* 1884, znalazła słowa uznania nawet ta *Révue Philos.*, chociaż p. Bouillier, słynny autor dzieła *La vie et l'âme pensante,* jest może dzisiaj najwybitniejszym reprezentantem chrześcijańskiej psychologii we Francyi. Kończymy nasze sprawozdanie zapisaniem tego niezwykłego dowodu bezstronności, aby pod dobrem wrażeniem rozstać się z pismem, któremu bądź co bądź zawdzięczamy wiele nowych i nauczających wiadomości.

O dłuższym artykule p. G. Pouchet'a: *La biologie Aristotelique,* który ciągnie się już przez kilka zeszytów i zakrawa na bardzo poważne studyum, zdam sprawę, gdy będzie skończony, w najbliższym Przeglądzie.

Dr. Ignacy Skrochowski.

ZAPISKI BIBLIOGRAFICZNE.

Z dzieł religijnych.

Die Liebe des Gekreuzten. *P. Clemens Congr. d. H. Red.* 2. Auflage. Mainz, Kirchheim, 1884. 6 mark.

Dla tych, którzy rozmyślaniom o Męce Pańskiej oddawać się mogą tylko w niedziele i święta, podaje dzieło niniejsze w spisie rzeczy praktyczny wybór rozmyślań na ten właśnie czas. Trzy pierwsze medytacye przedstawiają użyteczność rozmyślania nad męką Zbawiciela, 94 następnych zajmują się gorzką męką Chrystusa Pana, ostatnie mają za przedmiot Jego Zmartwychwstanie i Wniebowstąpienie. W zakres medytacyi wchodzi nietylko męka Chrystusa, lecz nadto wszystko, co z nią ma styczność. Cnoty Zbawiciela, oraz prawdy religijne, do których wykładu materyał dostarczył sposobności, traktowane tu są wyczerpująco, nie brak też i i na zbawiennych napomnieniach do poprawy obyczajów. Autor trzyma się w wykładzie głównie Korneliusza a Lapide. W szczególności polecić można tę książkę członkom arcybractwa Najśw. Serca Jezusa i członkom III. zakonu reguły św. Franciszka. Sześciu biskupów niemieckich, jeden z kardynałów i jenerał Towarzystwa Jezusowego szczególniejszemi pochwałami zalecili wiernym to dziełko. *X. A. A.*

MEDITATIONES SACERDOTALES, Clero tum saeculari tum regulari accommodatae. Auct. *F. X. Schouppe* S. J. Paryż, 1885. N. Palmé. Tomów dwa.

Nie są to właściwie medytacye, lecz tylko tak zwane punkta do medytacyi według metody św. Ignacego. To dzieło O. Schouppe'go, jak wszystkie jego prace, odznacza się gruntownością przedmiotu. Punkta krótko i jasno podane dostarczają dostatecznego materyału dla rozmyślającego, a zarazem zostawiają mu całą samodzielność tak do jego rozwinięcia, jakoteż do wysnucia stosownych uczuć i osiągnięcia zamierzonego owocu.

MARIANISCHES KIRCHENJAHR. Fromme Uebungen, Gebete und Betrachtungen für 31 verschiedene Mutter-Gottes-Feste, von einem *Mitglied des Kapuziner-ordens*. Mainz, Kirchheim, r. 1884. str. 724.

Nabożeństwa w „mariańskim roku" zawarte, są po większej części pozbierane z rozmaitych książek. Każde z nich obejmuje rozmyślania, ćwiczenia w cnotach, modlitwy i litanie; niektóre mają nawet krótkie godzinki. A choć znajdujemy niejedną modlitwę na główne święta Maryi także w książkach do nabożeństwa, to jednak nie było między temi żadnej, któraby zawierała cały rok maryański. Autor ma na względzie nietylko święta znajdujące się w mszale rzymskim, lecz nadto te wszystkie, które są uprzywilejowane mszą świętą i officyum w poszczególnych dyecezyach: Święto dobrej rady 26 kwietnia; siedmiu radości 7 maja; miłosierdzia Maryi w poniedziałek w czasie dni krzyżowych; Królowej od Najśw. Serca Jezusa 31 maja; Maryi łaskawej 9 czerwca; Matki ustawicznej pomocy w niedzielę przed Narodzeniem ś. Jana Chrzciciela; pocieszenia Matki Boskiej 20 czerwca; najsłodszego Serca Maryi w trzecią niedzielę po Zielonych Świątkach; Królowej pokoju 9 lipca; pokory Maryi 17 lipca. Modlitwy są zastosowane do najrozmaitszych stanów i osób. Pomiędzy niemi znajduje się wiele ułożonych przez ludzi świętych (Metodego, Fulberta, Bernarda). Rozmyślania są krótkie, ale pełne treści. W sposób całkiem oryginalny odznacza się dziełko to ćwiczeniami w cnotach. Książki tej można używać także w czasie nabożeństwa majowego.

A. A.

GODZINKI o Niepokalanem Poczęciu N. Maryi P. w 32 rozmyślaniach majowych, opracował *ks. Józef Krukowski*. Kraków, 1885. VIII, 208.

Znany z wielu pożytecznych dzieł autor wydał nową książeczkę na maj. Z radością lud powita te rozmyślania, bo są one zapowiedzią, że poprzednie nauki majowe tego autora staną się szeregiem pisemek o Matce Boskiej na Jej miesiąc, że myśl ś. p. ks. Hołyńskiego będzie podjętą i dalej prowadzoną przez ks. Dra Krukowskiego. Sam już tytuł i urozmaicona treść rozdziałów, podana na okładce *Przeglądu* w miesiącach styczniu i lutym, dostatecznie omawia zalety tego pisemka. Wionie w niem duch serdecznej miłości do Matki Boskiej; zastosowania praktyczne odpowiadają potrzebom naszego ludu: o całości można powiedzieć, że ks.

Dr. K. dowodzi swoją pracą, jak można w przedmiocie na pozór znanym i dawnym mieć myśli świeże i nie powtarzać rzeczy raz już powiedzianych. Dobrą też myślą było, że dodane pod koniec majowe nabożeństwo i tekst Godzinek. Z pożytkiem użyją tych czytań księża przy publicznem nabożeństwie majowem. *K. C.*

MANNA QUOTIDIANUM Sacerdotum sive preces ante et post missae celebrationem cum brevibus meditationum punctis pro singulis anni diebus. III. tomy. Każdy tom 3 marki, oprawiony 4 marki. II. wydanie, 1884. Friburg., Herder.

Od dawna już dawała się czuć potrzeba książki, któraby dostarczała kapłanowi przed i po mszy św. dobór dobrych modlitw. Manna brak ten zastąpiła. Ponieważ zaś kapłan modlitwę ustną z rozmyślaniem łączyć powinien, wpadł autor na myśl szczęśliwą zebrania krótkich punktów do medytacyj na każdy dzień z najlepszych autorów, jak Ludwik de Ponte, Avancini, Łęczycki i inni. Dodatek do każdego tomu daje wyborny pogląd na sposób rozmyślania. Pragnęlibyśmy, aby dzieło to u nas podobnie życzliwe znalazło przyjęcie, jak w Niemczech, Francyi, Anglii i Ameryce. Tom trzeci zakończy dzieło.

A. A.

EXERCITIA SPIRITUALIA. *Weninger S. J.* Moguntiae, Kirchheim, 1883. 319 str. 3 marki.

Książka ta jest wybornym podręcznikiem dla tych, którzy przewodniczą rekolekcyom. Dla tych zaś, co sami rekolekcye odprawiają, może służyć za czytanie duchowne. Autorowi chodziło o to przedewszystkiem, aby drugi, trzeci i czwarty tydzień rekolekcyj wedle tekstu św. Ignacego w pewnym przedstawić związku. Pragnąc o ile możności nie odstępować od tekstu św. Ignacego, zachował autor wielką prostotę stylu. Dla tych, którzy chcą zrozumieć ducha „ćwiczeń św. Ignacego“, polecamy to dziełko bardzo.

A. A.

KIRCHE ODER PROTESTANTISMUS? Dritte Auflage. Mainz, Kirchheim, 1883, 377 str. 4 marki.

Artykuł *Przeglądu* o „Festynach luterskich w Niemczech“, dał ogólny pogląd na dzisiejszy stan protestantyzmu. Kto się chce w sposób miły i łatwy więcej w tym względzie pouczyć, a szczególnie o początkach protestantyzmu, znajdzie to wszystko w tem dziele, które jest może jednem z najlepszych w ostatnim czasie o protestantyzmie napisanych. W pierwszym z czterech rozdziałów mówi autor o „podporach“ i „dowódcach“ reformacyi (Hutten, Melanchthon, Waldus, Wickleff, Hus). W drugim rozdziale kreśli wierny obraz moralno-religijnego stanu na początku XVI. w., przyłączając krótką biografię i mistrzowską charakterystykę Lutra. Przewybornie wyświeca też rolę, którą szatan w życiu Lutra odgrywa. Niezupełnie się jednak zgadzamy z autorem na zbyt łagodny sąd o zakonnem życiu Lutra i jego pierwszych przeciw Rzymowi wystąpieniach. Trzeci rozdział mówi o zaprowadzeniu nowej nauki w Niemczech, Szwecyi, Danii, Norwegii i w Islandyi. Chciwość, zmysłowość i gwałt, oto trzy wielkie dźwignie, przyczyniające się do

zwycięstwa t. z. czystej Ewangelii. Najbardziej interesującym jest rozdział czwarty, który w systematycznym porządku stawia nam przed oczy rozwijanie się protestantyzmu. Mnóstwo cytat i dokładna znajomość wszystkich pism, tyczących się tej kwestyi, świadczą o sumienności autora.

A. A.

Z dzieł historycznych.

Pamiętniki Józefa Siemaszki, streścił *ks. Dr. Chotkowski*. Kraków, 1885, str. 157.

Wiadomo, że były unicki biskup Józef Siemaszko, który roku 1838 wraz z kilku innymi biskupami przyjął prawosławie, i przykładem i namową swoją pociągnął część kleru i ludu za sobą przekazał potomnym obraz swego żywota, „ażeby, jak się wyraża pamięć jego została czystą przed ludźmi“, i legował na wydrukowanie swych pamiętników sumę 5.000 rubli. Pamiętniki te w rosyjskim języku obejmują 3 grube tomy, tylko połowa pierwszego tomu jest narracyą pamiętniczą, reszta zaś to zestawienie bardzo szczegółowe dokumentów, odnoszących się do tej doby jego życia. Ks. Dr. Chotkowski w swem streszczeniu zebrał to wszystko, co dla społeczności polskiej ma znaczenie materyału dziejowego, i tym sposobem dał poznać szerszym kołom dzieło rosyjskie tylko uczonym przystępne. Już na kilka lat przedtem rosyjski publicysta Moroszkin ogłaszając w Wiestniku Europy rozprawę o przyczynach upadku katolicyzmu w obrządku greckim, korzystał wiele z rękopisów Siemiaszki; wszelako całość ich i doniosłość historyczną dopiero z książki ks. Dr. Chotkowskiego ocenić można. Wkradły się do niej niektóre mylne nazwy, jak: Prużansk zamiast Prużana, Mołodeczniask zam. Mołodeczno, Pożajsk zamiast Pożajście, Bucksgenden zam. Buxhöwden, i t. d.

Niemałej wagi są dla badacza dziejów tej epoki t. z. eparchialne wiadomości czyli tygodniki cerkiewne, wychodzące w miastach, gdzie są stolice biskupów prawosławnych, a dostarczające mnóstwo nieznanych polskim dziejopisom szczegółów. *S. Z.*

Geschichte der k. boem. Gesellschaft der Wissenschaften sammt einer kritischen Uebersicht ihrer Publicationen aus dem Bereiche der Philosophie, Geschichte und Philologie. *Joseph Kalausek*. Erstes Heft.

Dzieje uczonych prac pobratymczego narodu, trudności w nich pokonane przez wzgląd na dobro kraju i miłość nauki — oto co opisuje nam p. Kalausek w pierwszym zeszycie swej historyi czeskiego Towarzystwa nauk. Nie ukrywa drobnych zajść i nieporozumień chwilowych w łonie towarzystwa wynikłych; ale też zaznacza wytrwałą dążność jego członków do podźwignienia nauk w swym kraju. Poczytuje im za

zasługę, że w swych studyach zamiast łacińskiego, niemieckim posługiwali się językiem. „O wprowadzeniu bowiem czeskiego języka, dodaje autor, nikt wtenczas nie myślał; w strasznem opuszczeniu i zaniedbaniu znajdował się ten język wtenczas i zdawał się być bliskim ostatecznej zagłady, chociaż jeszcze żył w ustach większej części ludu. Wydawało się być niepodobieństwem, aby można wyrazić po czesku i rozwiązać zagadnienie matematyczne albo przyrodnicze... Uczony, choć rodowity Czech i najlepszy patryota, nie wiedział, jak oddać swoje umiejętne myśli w ojczystej mowie, a choćby znalazł wyrazy, nie wielu znalazłby czytelników, którzyby go zrozumieli". str. 24. Zasługę główną położyło Towarzystwo nauk. na polu historyi narodowej, wyjaśniając wiele ciemnych punktów w czeskich dziejach. Filozofia ścisła nie znalazła w niem wielu miłośników; za to poboczne gałęzie filozofii, jak fizyka, astronomia i matematyka, miały w niem światłych uprawiaczy, chociaż nie zawsze w równej mierze i nie zawsze na wysokim poziomie nauki. Ulegały też zmianie religijne poglądy członków Towarzystwa. I tak z początku wielu z nich uczęszczało do lóż wolnomularskich, później obowiązali się własną ustawą nie mieć żadnego stosunku z lożami. Między członkami Towarzystwa nauk. było kilku exjezuitów, którzy brevem Klemensa XIV. sekularyzować się musieli. Autor wspomina z uszanowaniem o ich stanie kapłańskim, w którym zachowali się godnie; niemniej w całem jego opowiadaniu panuje ton poważny, naukowy, przebija wszędzie poszanowanie dla wiary katolickiej, przymiot nader rzadki u dzisiejszych uczonych.

Oczekujemy niecierpliwie dalszych zeszytów tej cennej monografii. *K. C.*

Święty Norbert i jego zakon. Początki norbertańskich zakonów w cyrkaryi (prowincyi) polskiej i nieco z ich dziejów. Napisał *ks. Władysław Knapiński*, Ś. T. K. Warszawa, 1885.

Nie dzisiejsza to nowina słyszeć zarzuty przeciw klasztorom; już czwarty wiek schodzi, od kiedy Luter nauczył ciskać kamieniem potępienia na zakonne życie w kościele rzymskim. Ale rozwiewają się uprzedzenia, skoro tylko prawda wyjawi się pod piórem sumiennych badaczów i wejdzie w szersze koła czytelników przez lżejsze pisma. Dla tego witamy z radością każdą książkę, co bezstronnie opisuje ustrój życia zakonnego; dla tego takiej sumiennej pracy życzymy, by jak najszczęśliwiej rozpowszechniła się u ogółu w przystępnych utworach pisarskich. Więc i książka ks. Knapińskiego jest pożądanem dziełkiem, bo w niej prawda wyczerpująco przedstawiona, zaczerpana z bogatych źródeł a bez polemicznej szaty. Przez brak polemiki niepozbawiona krytyki treść tego dziełka. Owszem, zestawione daty różnych pisarzów i rozstrząśnięta ich powaga. Gdzie zaś dowody nie dają się wyczerpać w dzisiejszym stanie wiedzy, gdzie prawda jeszcze ukryta, tam autor skromnie rzecz drugim zostawia a nie chce przedwcześnie wyrabiać swego zdania. Tem pewniejsze są jego opisy, podania i uro-

bione sądy. Szczerze życzymy, aby to dziełko służyło do sprostowania błędnych pojęć u specyalistów i żeby służyło za podstawę lżejszym opracowaniom, których wymaga szersze koło czytelników. *K. C.*

CODEX DIPLOMATICUS universitatis studii generalis Cracoviensis continet privilegia et documenta quae res gestas Academiae eiusque beneficia illustrant. Pars quarta ab Anno 1507 usque ad Annum 1548. Cracoviae, 1884, 4-o, 184.

Spisanie dziejów naszego uniwersytetu, czego tak gorąco pragnął ś. p. Szujski, stanie się kiedyś rzeczą nietylko możliwą, ale i nader ułatwioną przez wydawnictwo Akademii Umiejętności, którego już część czwartą mamy przed sobą. Wydawnictwo to prowadzone przez ludzi światłych, nic dziwnego, że czyni zadość zupełnem wszelkim wymaganiom. Część tę, obejmującą najświetniejsze czasy uniwersytetu, poświęcono pamięci Jana Kochanowskiego, jak poprzednią pamięci Jana Długosza. W pierwszej połowie XVI. w. zwabiał nasz uniwersytet przez swoją sławę uczniów z różnych krajów Europy, papież Leon X. potwierdził jego *immunitates* i wezwał jego profesorów do poprawy kalendarza na zjazd lateraneński, Zygmunt zaś I., który podówczas panował, otaczał go największą troskliwością. *S. M.*

WYDAWNICTWA Kazimierza Bartoszewicza. Dzieła *J. U. Niemcewicza*. Kraków, 1884.

Od niejakiego czasu rozwinął p. Bartoszewicz żywą działalność około wydawnictwa celniejszych poetów i prozaików polskich. Zawdzięczamy tej skrzętności między innemi wydanie pism Jana Kochanowskiego, I. Krasickiego, Słowackiego, a teraz mamy przed sobą trzy tomiki dzieł Niemcewicza. Nowe to wydanie nie ustępuje w niczem poprzednim; ta sama staranność, a co nie mniej ważne w naszych warunkach, i ta sama niezwykle niska cena. *S. M.*

Z dzieł literackich.

ALICE GRAND DUCHESS of Hesse, princess of great Britain and Ireland, biographical sketch and letters. 1 vol in 8-o. London 1884. Edidet by *John Murray*.

Prywatna korespondencya, listy rozłączonej z matką córki, odsłaniają nam rzewną duszę księżniczki Alicyi, malują skromne, domowe życie, które przypadło w w udziale córce dumnego Albionu. Pałacyk ks. Ludwika synowca panującego ks. Hesskiego, przypominał jej wesołe zabawy w Balmoral, gdzie dzieci królewskie przypasując fartuszki, same przyrządzały podwieczorki swoje, aby pochwalić się niemi przed królową Wiktoryą. Zabawą nabyte doświadczenie przydało się księżniczce; widzimy też ją czuwającą zapobiegliwie nad porządkiem domowym, otoczoną gromadką dzieci, które z ust jej

uczyły się pacierza, pod jej okiem zaczynały poznawać pierwsze litery, jej własną ręką uszyte wdziewały sukienki.

Wśród powszednich tych zajęć, podziwiać nam przychodzi wysoko ukształconą duszę i umysł ks. Alicyi, który przebija się i w jej listach, chociaż odjęte z nich zostało przez królewską wydawczynię to wszystko, co mogło zbytecznie uchylić zasłonę przed ciekawym światem. Księżna Alicya pielęgnowała sztuki piękne, literaturę i filozofię, a po wstąpieniu na tron książęcy została protektorką ruchu umysłowego w swojej stolicy, i tego wszystkiego, co z nim związek miało. Równie silną orędowniczkę znaleźli w niej biedni, a będąc sama najczulszą matką, rodzinom ubogim zawsze szła z pomocą. Rok 1870 otworzył nowe pole dla miłosierdzia księżnej Alicyi, szukającej w niem, jakby ukojenia bólu, który pierś jej przygniatał. Przewroty polityczne Niemiec jeszcze w 1866 stworzyły rozdział interesów rodzinnych, kochających się od kolebki sióstr. W zwycięzkim obozie pruskim widzi Alicya starszą swoją siostrę Wiktoryę następczynią cesarsko-niemieckiego tronu. Strata dziecięcia, które wypadając przez okno, w oczach nieszczęśliwej matki śmierć znajduje, zwraca myśli księżnej do Boga. W nim szukającą tylko pociechy, zasklepioną w życiu rodzinnem, widzimy ją aż do chwili, kiedy widmo śmierci na nowo ukazało się przy jej domowem ognisku; najmłodsza córeczka ks. Alicyi w listach jej przezwana „promieniem słonecznym“, na rękach zbolałej matki oddaje ducha, zabójcza zaś dyfterya pasując się po kolei ze wszystkimi członkami rodziny książęcej, zabiera w końcu najlepszą panią, żonę i matkę...

Ostatnie słowa te dopisuje królowa Wiktorya, i nie waha się żalem swoim podzielić się z narodem, ulegając jakby potrzebie zbliżenia się do tłumów, podając im opowieść pełną prostoty.

Pierwsze publikacye królowej Wiktoryi, *Leaves from the journal of a life in the Highlands* i *More leaves from the journal in the Highlands* bardzo sympatycznie były przez naród przyjęte; z niemniejszą też skwapliwością powitała publiczność angielska tę nową pracę, w której macierzyńskim żalem natchniona królowa, od serca kreśli biografię zmarłej swej córki. *M. S.*

Hogia. Altpreussisches Epos in sechs Gesaengen, von *Heinrich Nitschmann*. Gdańsk 1885.

Interesującem jest dla nas zjawiskiem utwór poetyczny Niemca, osnuty na tle zapasów dawnych Prusaków z Krzyżactwem. Trzeba wiedzieć, że panu Nitschmannowi nie jest obcą słowiańska, a w szczególności nasza poezya; wiele jej płodów oddał z talentem w języku niemieckim: i w obecnej własnej kreacyi potrafił współczuć z ginącym w nierównej walce narodem. Nazwa e p o s u wiele zapowiada i w istocie niejedno znajduje się w tym poemacie, co znamionuje epickie zdolności autora: ale niepodobna przyznać, żeby Hogia była epopeją. Jej treść sama zawiera w sobie epikę, bohaterskie zapasy pruskiej garstki z krzyżackiemi zastępy, ale wyższe, dziejowe znaczenie takich bojów przedstawia się tylko w po-

czątku, niby wstęp do właściwej powieści, która już zostaje w obrębie codziennego życia. Przebieg opowiadania jest ten: Pierwsza pieśń przedstawia Prusaków, gromadzących się do obrony przeciw Krzyżakom swego stołecznego grodu. W 2-ej pieśni ulegają Prusacy przemocy, gród ich zburzony, książę zabity ze starszym synem, młodszy Firengo w niewoli u Niemców. W 3-iej pieśni Firengo zostaje chrześcijaninem i stara się nawrócić siostrę swoją Hogię. W 4-tej Hogia poznaje rycerza niemieckiego Kurta, przywiązuje się do niego i wyjawia niebezpieczeństwa, jakie jej grożą ze strony pogan z powodu jej zamysłów nawrócenia się. W 5-ej Hogia u matki Kurta znajduje schronienie przed poganami, nawraca się i przyjmuje oświadczenie miłości od Kurta. W 6-ej Kurt walczy o Hogię z bratem swoim, który ją kocha także; Kurt broniąc się, rani śmiertelnie brata; Hogia zrywa z nim za to i oboje szukają pociechy w mniskiem życiu. To treść poematu. Prócz dziejowego wstępu, to jedno dodaje epiczne cechy temu poematowi, że Hogia jest córką władcy pruskiego; jej losy jakby uosabniały dzieje ludu pruskiego. Hogia z szczęśliwej poganki staje się przez rycerzy niemieckich nieszczęśliwą chrześcijanką: dzięki krzyżackiej polityce, coś podobnego działo się z Hogii ojczyzną, która razem z klęskami dostała naukę Chrystusową. Ale ta nóta epiczna słabo się odzywa w toku opowiadania; przeważa głównie ton liryczny. Sam autor przyznaje na wstępie, że chciał opisać uczucia, wzbudzone widokiem pięknej przyrody. Cierpi na tem poemat, jeżeli ma być czemś więcej od lirycznego utworu. Bohaterski wiersz z długiemi opisami a niewielką akcyą przypomina Messyadę. Niechby Hogia była napisana w innym zakroju, w postaci lirycznej pieśni, nie bohaterskiego eposu; niechby wystąpiła bohaterka zaraz od początku, tak, żeby już bitwy z Krzyżakami wplatały się w jej osobiste koleje: wówczas mielibyśmy romancę w kilku częściach, jak Tukaj Mickiewicza, a wiele piękności rozlanych w utworze wystąpiłoby w właściwem świetle. Bogactwo obrazów, rozmowa z przyrodą, uczucia bohaterki: wszystko to należałoby ściśle do treści i nie sprawiałoby. jak w obecnym układzie wrażenia, że odbiega od przedmiotu, i że treść niknie w liryzmie. Dodam wreszcie, że wolałbym nie słyszeć bluźnierstwa Prusaków przeciw chrześcijańskiemu Bogu. W ustach pogan zapewnie to nie uchybia prawdzie, ale jednak to ujmuje wdziękowi, niemile razi uczucie piękna chrześcijańskie.

Mimo tych kilku usterek, p. Nitschmann napisał prawdziwie piękny poemat, którego wdzięki nietylko jego rodacy ocenią, ale i my, pokrewni z Hogią, odczuć możemy. *K. C.*

Adam Mickiewicz od r. 1829 do 1832. Życie, rozwój umysłowy, geneza dzieł przez *Antoniego Mazanowskiego*. We Lwowie, 1885.

W krótkiej, ale treściwej monografii postanowił autor przedstawić ową tak płodną nie w dzieła wykończone, ale w mistrzowskie pomysły, epokę życia młodego jeszcze Adama, gdy niesiony falą coraz to odmiennych wrażeń, błą-

dził po Europie bez celu, bo z celem którego sam może nie znał, ale który nim kierował, a celem tym nauczyć się od zgasłych albo żyjących narodów, z zdruzgotanych pomników i od żyjącej natury, jak stać się mistrzem natchnionego słowa i wieszczem narodowym na ojczystej niwie.

Wielka w tem zasługa autora, iż na dwie zwłaszcza rzeczy szczególną zwrócił uwagę: że nie tłum zentuzyazmowanych słuchaczy, ale rozsądne, objektywne badanie zdoła godnie przedstawić wielkość i słusznie ocenić zasługę, a oraz, że chociaż mistrz słowa zdaje się przewyższać wszystko co cielesne, powszednie, zmysłowe, nigdy jednak nie odgadniemy ducha jego, nie rozświecimy myśli, co jak się autor wyraża, jest podstawą, podkładem psychicznym w chwili powstania utworu, jeśli nie poznamy biegu codziennego życia, bo wrażenia, jakie w życiu codziennem o duszę się obijają, na płody późniejsze, zwłaszcza z tej epoki, bez największego wpływu pozostać nie mogą. Stąd opatrzony w wyniki objektywnego badania, oparty na czysto krytycznych źródłach i wywodach, postępuje autor w ślad za Mistrzem, a w podróży z Petersburga do Berlina i Wajmaru, gdzie nastąpiło zetknięcie się z Goethem, dalej do Włoch i Rzymu, do Neapolu, na Sycylię i napowrót aż do udania się na stały pobyt do stolicy emigracyi, do Paryża, wykrywa nam autor tajniki codziennego życia. Stosunek Adama z Henryką Ankwicz, który niezawodnie na ówczesne utwory jego wpływ niemały wywierał, znajduje tu poczesne miejsce. W obu jednak punktach odstąpił autor nieco od złotej środkowej drogi. Pragnąc być zbyt objektywnym, zamało połączył własnym sądem w jedną całość pojedyńcze fakta, brak w dziełku jednej przewodniej myśli, coby fakta układała stosownie do jednego celu. W wielu przynajmniej miejscach wydaje się to raczej zbiorem chronologicznym luźnie obok siebie postawionych, krytyką zdobytych faktów, których wpływ na działalność i ducha poety niedość się jasno przedstawia. Osobistego zdania autora nikt tam nie dopatrzy, co czasami w przedstawieniu n. p. stosunku poety do powstania listopadowego, byłoby pożądanem.

Zresztą jest to w każdym razie dziełko, które jako krytyczny przegląd tej, często jednostronnie przedstawionej epoki z życia młodego poety, może rozświecić niejedno, a niejednego zachęcić nawet do dalszych, obszerniejszych badań na tem polu zasług literackich dla młodszych współrodaków, Mistrza-poety. *S. K.*

Ostatnia miłość ostatniego króla. Opowiadanie historyczne przez *Michała Jezierskiego*. Kraków, 1884, str. 244.

Z zasady nie jesteśmy przeciwnikami powieści, choć ta podaje często lichą strawę czytelnikom i psuje im smak do poważniejszej lektury. Tem mniej potępiać chcemy powieść historyczną, która powinna nauczać bez diletanckiego, często dowolnego traktowania dziejów. Powieść, którą mamy pod ręką, nie zasługuje wszelako na nazwę historycznego opowiadania; jest to sobie powieść na tle społeczeństwa XVIII. wieku osnuta, uczciwa w dążności, czy w wykonaniu równie szczęśliwa, zobaczymy. Treść jej bardzo prosta:

Podstoli Józef Kalasanty Łącki, poczciwy z kościami szlachcic, wysłał do Warszawy syna Kazimierza, aby tam „złapał“ jakie starostwo a potem wrócił na wieś. Ale młody Kazimierz zasmakował w stolicy, został pośrednikiem między królem a panią Grabowską, przyjął pensyę od rosyjskiego posła, słowem brnął coraz dalej w błocie. Tymczasem Podstoli wybrany posłem na sejm, przybył z żoną swą bogobojną polką i dobrą matką do Warszawy. Kilka słów wypowiedzianych przez matkę wzruszyły serce Kazimierza; pragnął się poprawić, ale nie wiedząc, skąd dostać pieniędzy dla zwrócenia ich Stackelbergowi, przyznał się do swej winy kochającej go szczerze wojewodziance Emilii. Emilia przyrzekła uwolnić go od dręczącej hańby. Robiąc ofiarę z własnego serca, przyjęła wstrętne jej oświadczyny księcia Janusza z tym jednym warunkiem, aby ojciec darował jej natychmiast 1.200 dukatów. W parę tygodni później oskarżono w sejmie różne osoby o pobieranie pensyj od zagranicznych mocarstw. Kazimierz lękając się, aby plama jego na wierzch nie wyszła, pobiegł czemprędzej do Emilii i otrzymał z jej rąk pokwitowanie od Stackelberga z niby pożyczonej u niego sumy 1.200 dukatów. Szlachetny ten czyn wzruszył wreszcie sumienie Kazimierza; boleść i zgryzota zaprowadziły go o krok od grobu, a gdy wyzdrowiał, przyoblekł czarną sutannę, i poświęceniem swem dla wszystkich starał się przebłagać Boga i ludzi za grzechy swej młodości.

Obok historyi Kazimierza i Emilii rozwija się romans króla z panią Grabowską. Jedynym węzłem, łączącym dwa te różne opowiadania, jest niedługie i mało znaczące pośrednictwo Kazimierza między królem a przyszłą jego małżonką. Ten brak jedności jest z pewnością najgłówniejszym błędem całej powieści. Drugim błędem jest niedostateczne wcielenie historyi owczesnych czasów w powieść samą; brak ten czuć się daje zwłaszcza przy końcu, ale i w całym przebiegu powieści historya zbyt często idzie swoją, powieść swoją drogą. Charaktery też występujących na widownię osób nie zawsze konsekwentnie przeprowadzone. Nawrócenie zwłaszcza Kazimierza zastaje nas nie dosyć przygotowanych i wygląda nieco na *Deus ex Machina*.

Styl poprawny, a bardziej jeszcze dobra tendencya okupuje niedostatki w układzie tej powieści.

J. B.

SPRAWOZDANIE

z ruchu religijnego, naukowego i społecznego.

Sprawy Stolicy św.

Siedmioletnia rocznica pontyfikatu Leona XIII. — Życzenia kolegium kardynalskiego i przemówienie Papieża w odpowiedzi na nie. — Broszura protestanta. — Charakterystyka Leona XIII. — Nowa fundacya: Szkoła paleograficzna i jej program. — Wiadomości z Armenii. — Reformy w misyach tamecznych. — List pasterski Mgr'a Rotelli.

Siedm lat jakby siedm słupów wytycznych przesunęło się na krzyżowej drodze pontyfikatu Leona XIII. Każdy, co miał szczęście przysunąć się do tej ascetycznej postaci, w której ciało najmniejszą z wszystkiego gra rolę, przyznać musi, że widział na własne oczy, co moc Boża sprawia w człowieku. Z audyencyj watykańskich, lub Mszy papieskich, nikt nie wraca takim, jak przyszedł, każdy odnosi coś w głębi duszy, jeśli nie nawrócenie, to przynajmniej poważne namyślenie, które długo wśród wiru życia towarzyszy.

Rocznica tego siedmiolecia równie droga dla serca Ojca chrześcijaństwa, jak i sercom wiernych Jego, obchodzona była w Rzymie w cichości. Dnia 21 lutego, jako w rocznicę obioru, i 4 marca, jako w rocznicę koronacyi, odbyły się uroczyste Msze św. w kaplicy Sykstyńskiej. Dnia 4 marca składało Ojcu św. życzenia kolegium kardynałów. Na przemówienie kardynała Sacconi, odpowiedział Ojciec św. w tych słowach:

„Z uczuciem najwyższego zadowolenia przyjmujemy powinszowania i życzenia, któreś Nam, mości kardynale, wypowiedział w imieniu całego św. kolegium, i w zamian wyrażamy chętnie, z okazyi tej rocznicy, Naszą wielką pociechę z mądrego i gorliwego poparcia,

jakiegośmy od niego doznawali w tak ciężkiem rządzeniu Kościołem. I zaprawdę, zarząd ten jest niezmiernym ciężarem dla słabych sił Naszych, iż czujemy bardzo mocno potrzebę wsparcia Bożego i ludzkiego, aby nie upaść. Przyglądając się po siedmiu latach pontyfikatu wielkości naszego zadania i obowiązkom ważnym i ciernistym z niem związanym, dusza Nasza pełna jest drżenia, jako w dniu owym pierwszym, w którym musieliśmy wziąść na siebie te najwyższe obowiązki. Zresztą, prawdę mówiąc, nie troski codzienne i nieustające zajęcia nas przestraszają: cel zbyt wzniosły, do jakiego prowadzą i pomoc, na którą bardzo pewnie liczyć możemy od Tego, którego miejsce zastępujemy, choć niegodnie, mają tę siłę, iż czynią nasz ciężar lekkim i słodkim. Nie przestraszają nas także złości, zniewagi i groźby, których celem jesteśmy nieustannie ze strony rozpasanego i zjadliwego gazeciarstwa, gdyż przypominamy sobie, jak się tu obchodzono z naszym Boskim Mistrzem, a na wspomnienie tego, wszystko co nosi cechę pogardy Naszej osoby, staje się znośnem, a nawet chlubnem. Lecz co nas głęboko zasmuca, to widok, że w wielu krajach i narodach Kościół jest nieznany, jego instytucye najświętsze i najdobroczynniejsze spotwarzone, jego posłannictwo pokojowe podkopane, władza jego ograniczona, ustawy jego najzbawienniejsze pominięte, dobrodziejstwa odepchnięte, i to w chwili obecnej, w której jeżeli się można spodziewać prawdziwego zbawienia dla społeczeństwa, to tylko głównie ze strony Kościoła.

„Prócz tego, dopełnia miary goryczy Naszego serca położenie, jakie urządzono tu w Rzymie Namiestnikowi Chrystusowemu, a to im dłużej się przeciąga, tem jest trudniejsze i cięższe.“ Nie brak wprawdzie takich, którzy są zdania, że Papież rzymski mógłby i powinienby zadowolnić się tem, co mu dają i uznać, że wolność, jaką mu pozostawiają, jest dostateczna. Jednakże jestto dodawać szyderstw i zniewag do krzywdy; gdyż jestto faktem w oczy bijącym, że w warunkach obecnych nie jesteśmy panami władzy Naszej, lecz zależymy od dobrej woli innych, trzymających nas pod swoją przemocą i mogących na każdą chwilę wzmocnić swoją nienawiść ku Nam, przeszkodzić pod jakiemikolwiek pozorami każdej czynności z naszej strony i wśród zmian losu przypuszczalnych i możebnych, wywołać na nowo względem Nas zaczepki, jakich ofiarą padli nie-

którzy z Naszych poprzedników w dawniejszych czasach. Może tego nie uczynią? Lecz ci, co wbrew wszelkiemu prawu nie lękali się zagarnąć państwo kościelne, owładnąć Rzym przez gwałt i posunąć się aż do bram mieszkania Naszego papieskiego, nie przedstawiają żadnej rękojmi, że i tej ostatniej przeszkody nie złamią. Czy wśród niedawnych okoliczności, nie objawiano śmiałych zamiarów, nie rzucano dzikich gróźb przeciw Naszemu cichemu przybytkowi?

„A choćby nic z tego wszystkiego się nie stało, gdzież jest osobista wolność Papieża w zarządzie Kościoła? Świeża jest jeszcze pamięć tego, co uczyniono przeciw Propagandzie, a tem samem przeciw niezawisłości władzy i służby apostolskiej, tyczącej się głównie sprawy wiary i sprawy dusz po całym świecie. Cóż powiedzieć o mianowaniach naszych na stolice opróżnione? niektóre z nich idą w niczem nieusprawiedliwioną odwłoką, inne pozostają bez skutku, z powodu uroszczonych i bezpodstawnych praw do wielu kościołów we Włoszech? Nakoniec nie jest w mocy Naszej nawet wśród samego miasta naszego Rzymu, zamknąć bramy rozgałęziającej się herezyi; nie jest w mocy Naszej przeszkodzić rozszerzaniu się doktryny przewrotnej i bezbożnej i praw sprzeciwiających się otwarcie prawdom wiary i nauce Kościoła. Czy więc każdy uczciwy człowiek nie osądzi, że warunki te nie mogą być warunkami trwałemi, odpowiedniemi dla najwyższego Pasterza całego katolickiego świata, wysokiej władzy, jaką trzyma od samego Chrystusa, i godności Stolicy apostolskiej? Nie, z pewnością nie. Możemy temu ulegać, lecz dopóki to trwa, ani My, ani żaden z następców Naszych nie będzie mógł, kosztem żadnych ofiar, ani przyjąć tego położenia, ani go zatwierdzić. Idzie tu o to, co stanowi życie i siłę Kościoła, to jest o wolność i niepodległość jego najwyższej władzy, za którą Papieże rzymscy, pokładając ufność w Bogu i silni męstwem, jakie daje uczucie obowiązku, walczyli zawsze z największemi nawet potęgami ziemskiemi i zawsze zwyciężali. A więc ulegając jak w pierwszym dniu papiestwa Naszego rozporządzeniom Opatrzności, przy szczególniejszej pomocy Niebios, o jaką sami błagamy i o jaką się modli razem z nami cały świat katolicki, idziemy dalej bez zniechęcenia po ciężkiej i skalistej drodze, jaka jest jeszcze przed nami i starać się będziemy dostarczać i w dalszym ciągu światu dążącemu ku własnej zgubie drogocennych korzyści tej religii Boskiej, nietylko

niepoznanych przez niego, lecz odtrącanych w niewdzięczności i szaleństwie. Poparcie św. kolegium, na które liczymy, będzie nam wielką pomocą, a nawet podporą na przyszłość. I w tej ufności jako zadatek przychylności naszej szczególniejszej, udzielamy Wam mości kardynale równie, jak i wszystkim członkom św. kolegium i wszystkim osobom tu obecnym błogosławieństwa apostolskiego".

Aby zrozumieć boleść, jaką tchnie to przemówienie, należałoby przypomnieć całe postępowanie rządu włoskiego, od czasu zaboru Rzymu. Nietylko katolicy, ale i sami protestanccy pisarze oburzają się tem postępowaniem. Świeżo wydaną została broszura Dr. Geffken'a pod tytułem: „Położenie Papieża ze stanowiska prawnego i międzynarodowego". Studyum to zamieszczonem będzie w Podręczniku do prawa narodów, profesora Holtzendorf'a. Dr. Geffken jest jednym z najznakomitszych publicystów i uczonych stronnictwa konserwatywnego protestanckiego w Niemczech. Książki jego i rozprawy o Kościele i państwie, o socyalizmie współczesnym, o polityce międzynarodowej, cieszą się powodzeniem i poważaniem w najkompetentniejszych kołach. Autor zaczyna od dowodzenia na podstawie aktów urzędowych, że sądy włoskie przekroczyły kompetencyą swoją przez wyroki z dnia 9 listopada 1882 i 29 stycznia 1884, w sprawie wykreślenia Stolicy świętej z rzędu trybunałów państwa, i w sprawie dóbr duchownych Propagandy. Nazywa on te dwa wyroki aktem gwałtu przeciw Watykanowi. Polemizuje w dalszym ciągu z tymi, co przypisują konflikt między Kwirynałem i Watykanem nieprzejednanym Jezuitom. „Przeciwnie, mówi on, rząd włoski jest odpowiedzialny za to położenie, które Leon XIII. nazwał nie do zniesienia".

Następnie żałuje autor, że Watykan i Kwirynał „mówią do siebie językiem wzajemnie niezrozumiałym", lecz uznaję w chwalebnem poczuciu słuszności, że rząd włoski często bardzo nie rozumiał swych obowiązków względem Papieża. Całe Włochy ponoszą opłakane skutki swoich przywódców świeckich. Dr. Geffken kreśli w dalszym ciągu obraz bolesnie zajmujący, przytaczając nieustanne zaczepki, jakich osoba Papieża jest przedmiotem tak ze strony dziennikarstwa, jak i na zebraniach publicznych. „Z obawy radykałów, mówi on, rząd nie wprowadza zastosowania niektórych punktów prawa gwarancyi. Osoba Papieża jest

bezustannie napastowana w sposób najcyniczniejszy w dziennikach radykalnych i na meetingach politycznych, a rząd nigdy w to nie wejrzał, jakby właściwie należało". Każda zniewaga króla jest natychmiast ścigana, lecz wszystko jest dozwolonem przeciw Papieżowi. Wszystkie ministerstwa od r. 1870 zawiniły w tym względzie.

Autor piętnuje następnie dzikie ekscesa 13 lipca 1882 r. (przy przeniesieniu zwłok Piusa IX.), zachowanie się rządu i króla w tej sprawie. Wynika stąd, że prawo gwarancyi jest literą martwą. Papież byłby niewątpliwie w swojem prawie, gdyby uczynił jakie kroki polityczne w obronie praw Kościoła.

W dniach 21 lutego i 4 marca wyszedł *Moniteur de Rome* w ozdobnem wydaniu. W naczelnym artykule, poświęconym charakterystyce obecnego Papieża, tak się wyraża: Upływa lat siedm, odkąd Leon XIII. objął rządy Kościoła. Żaden z panujących nie zrozumiał lepiej od niego wielkości swego posłannictwa i doniosłości swego zadania. Leon XIII. kocha w papiestwie wszystką chwałę przeszłości jego, lecz pragnie także z nieporównaną siłą i energią, aby na przyszłość wpływ papiestwa rozszerzał się i umacniał. Ma on jednocześnie łaskę władzy i ducha inicyatywy i przypomina starych proroków Izraela, pełnych ducha Bożego, którzy męstwem i ofiarą utrzymywali lud Boży na drodze wiary prawdziwej i prawdziwej wielkości.

„Dwie są cechy główne dzisiejszego papiestwa; ciągłe odrodzenie wewnątrz i nieprzeparte szukanie pokoju na zewnątrz. Jestto widok ciekawy i budujący, jak można w walce z tak olbrzymiemi trudnościami iść wytrwale w kierunku pacyfikacyjnym i brać inicyatywę w coraz to szerszem życiu Kościoła.

„Gdzie widzi upadek i zagładę, tam naprawia, buduje, podnosi. Dwa rodzaje wpływu wywiera każdy mąż stanu: wpływ bezpośredni, często tymczasowy i wpływ dalszy, trwały. Przypatrzmy się dziełom Grzegorza VII., Innocentego III. i Sykstusa V. Dojrzały one dopiero w perspektywie wieków, a instytucye ich zakwitły wtedy, kiedy założyciele należeli już do dziedziny historyi. W tem leży ich żywotność.

„Takim jest i Leon XIII. Podziwu warte encykliki jego i sposób jego nauczania, opromienią świat! Siewca myśli, Papież dzisiejszy, może już teraz oglądać ich plon, może obliczyć, co wydadzą

w przyszłości. Wywołał już pewną atmosferę ożywczą w Kościele i społeczeństwie, przez powrót do wielkiej filozofii tradycyjnej, przez odnowienie nauk poważnych i głębokich; otoczył papiestwo i episkopat wszystkiem, co jest najdodatniejsze w katolicyzmie, zjednoczeniem wszelkich żywiołów i działalnością bez wytchnienia; zbliżył ze sobą dwie społeczności: świecką i duchowną; jednoczy je coraz ściślej dla dobra powszechnego, w celach cywilizacyjnych; a bogactwo to duchowe i działanie nieprzestanne wytwarzają cały szereg instytucyj pulsujących życiem i siłą. Systemem takim powolnym a mocnym osiągnie Leon XIII. to, co wyższy jego rozum postawił sobie jako ideał.

„I dlatego dzieło Leona XIII. ma rękojmię trwałości; rośnie ono wśród przeszkód niezmiernych, ma więc warunki bytu rzeczy wysokich i wielkich; a gdyby Bóg nie dał Ojcu św. dzisiaj rządzącemu Kościołem, oglądać owoców ofiar swoich, niechaj cześć i wdzięczność dzieci Kościoła dodaje mu odwagi w wspaniałej pracy, jaką się odznacza pontyfikat jego, w pochodzie ku ideałowi odrodzenia".

Jednym z wysokich szczebli tego postępu jest rozwój studyów historycznych. Szerokie poglądy Leona XIII. zmierzają ku temu, aby dochodzenia historyczne doprowadziły do apologii kościoła i papiestwa. Minęły już czasy, gdzie się w błąd wprowadzało tłumy przez formułki bezpodstawne; dzisiaj potrzeba dowodów i oto Papież ułatwia uczonym ich badania i dochodzenia. W tym celu składa radę z kardynałów do czuwania nad wszystkiemi szczegółami ważnego tego przedsięwzięcia. Powierzył uczonym całego świata uporządkowanie archiwów i biblioteki watykańskiej, i otworzywszy je dla wszystkich, ustanawia obecnie przy boku swoim nową bardzo ważną instytucyę, jest nią: Szkoła paleograficzna.

Dzięki postępom nauki nie łatwo już dzisiaj fałszować dokumenta, komponować legendy i czynić z historyi zamach przeciw prawdzie. Lecz chcąc czerpać w źródłach autentycznych, potrzeba umieć ocenić wartość ich i doniosłość, a na to są pewniki i cały mechanizm naukowy, z którym się trzeba obeznać. Nauka ta będzie przedmiotem nowej instytucyi papieskiej, a szkoła paleograficzna stanie się koniecznem przygotowaniem do studyów historycznych i jednocześnie najlepszą kontrolą osiągniętych rezultatów. Odpowiednio do ważności tej szkoły, Papież powołał na jej kierownika pierwszo-

rzędnego uczonego, jest nim kanonik Carini z Palermo, którego imię i prace znane są w szerokich kołach uczonych.

Szkoła, na czele której staje profesor Carini, obejmować będzie dwa kursa, każdy z dwóch części złożony. Pierwsza część pierwszego kursu będzie miała za przedmiot paleografią właściwą, to jest wedle wskazówek programu: *Wstęp, pisanie dokumentów w ogólności, pisma semickie, pismo greckie, pisma italickie, a w szczególności pismo łacińskie w średnich wiekach, brachigrafia i tachigrafia, znaki pisemne dodatkowe, cyfry.* Druga część pierwszego kursu nosi nazwę: *Krytyka dyplomatyczna* i zawiera następujące rozdziały: *Pojęcia ogólne, pierwsze materyały piśmienne, księgi z kości słoniowej, księgi lniane etc., papirus, pargamin, papier bawełniany, papier niciany. Przyrządy i przybory do pisania, atrament i różne jego barwy, użycie kamienia porowatego i gąbki w sztuce graficznej; kodeksa w starożytności i w wiekach średnich, różne rodzaje dokumentów, styl dokumentów, rozbiór dyplomatyczny aktów, tytuły i podpisy, osoby występujące urzędownie w redakcyi aktów, formuły aktów, ich chronologia, rozmaite obliczenia chronologiczne, daty świąt, miesięcy i tygodni, pieczęcie, osobliwości poszczególne dyplomów i manuskryptów, fałszerstwa, archiwa i biblioteki, różne systemata archiwistów.*

Następuje kurs drugi także z dwóch części złożony. Pierwsza obejmuje paleografię papieską w trzech rozdziałach: *Kształty pisma, materyały używane do pisania, reskrypta i ich skrócenia, ornamenta etc.* Druga część drugiego kursu ma za przedmiot dyplomatykę papieską w piętnastu rozdziałach następujących: *Skrzynia (lo scrinio) Stolicy Apostolskiej aż do Innocentego III., od Innocentego III. aż do Pawła V., Archiwa odłączone od biblioteki od Pawła V. do Leona XIII., stan obecny archiwów, kancelarya apostolska, terminologia dokumentów duchownych i papieskich, brevia, tytuły, formuły, podpisy, chronologia, pieczęcie, fałszerstwa, studya nad źródłami historycznemi, zastosowanie tych studyów do regestrów papieskich od początku Kościoła do Grzegorza VII., od Grzegorza VII. do naszych czasów, regestra po za archiwum watykańskiem.*

Przytoczenie obszernego tego programu ukazuje już jego wielką wagę. Widzi się także, jak dalece profesor Carini obznajo-

miony jest z postępem nauki w tym przedmiocie i jaki cenny materyał przedstawia się dla badaczy w tej nowej szkole.

Wyszedł jednocześnie regulamin, określający bliżej organizacyę i funkcye szkoły paleograficznej.

Cała ta instytucya tak wysoce ciekawa, świadczy o pieczołowitości Ojca św. dla postępu nauk historycznych. Uczeni całego świata mogą się gromadzić i znajdą wszelką pomoc i ułatwienie w poszukiwaniach. Do najważniejszego przedmiotu badań, tj. do materyałów tak drogocennych, dodaje Papież sposoby zużytkowania ich wraz z rezultatem ostatnich krytyk historycznych.

Jak poprzednicy Leona XIII. otworzyli byli szkoły dla duchownych w Lateranie, tak i On dzisiaj dzieli się przytułkiem jedynym, pozostającym Mu i czyni zeń przybytek dla umiejętności. Niedość, że otworzył skarby archiwów i biblioteki w Watykanie, teraz podaje klucz do nich, ułatwiający zrozumienie, tłumaczący użytek tych skarbów, aby z nich złoto czystej prawdy wypłynęło bez przymieszki fałszywej erudycyi.

Zdawałoby się, że w obecnej chwili Wschód przynosi najwięcej pociech i nadziei skołatanemu sercu Ojca chrześcijaństwa. Jest to także owoc działalności Leona XIII., który z właściwą sobie przenikliwością pracował nad kwestyą rozszerzenia katolicyzmu na Wschodzie. Trafne i ciekawe uwagi podaje o tym przedmiocie *Moniteur de Rome* z 6 marca. „Wiadomości, dochodzące nas z Armenii, pisze ta gazeta, są wielce pocieszające. Katolicyzm rozszerza się tam z szybkością, któraby zadziwiła nawet tych, co przed kilku laty najśmielsze żywili nadzieje. Tak w wielkiej Armenii, jak i w Armenii mniejszej misye zaczynają przynosić owoce. Całe wsie proszą o księży katolickich i powracają na łono Kościoła. W miastach całe grupy przenoszą się do parafij katolickich. Fakta te są następstwem rozumnych reform, wprowadzonych przez Leona XIII. do misyj wschodnich. Dawniej nie było innych misyonarzy w ziemi Świętej i Armenii, jak tylko kapłani łacińscy. Oprócz wyznania trzeba było opuścić także ryt narodowy i przyjąć łaciński. Była to bardzo ważna niedogodność i paraliżowała bardzo dzieło naszych misyonarzy.

Ludność Armenii z nieufnością spogląda na misyonarzy za-

chodnich, przychodzących do ich kraju z propagandą obrządku obcego, przedstawiającego dla nich głównie przewagę Zachodu nad Wschodem. Ta przewaga, główny może powód odszczepieństwa dawniejszego, jest dotąd wstrętną na Wschodzie.

Stąd pochodzi, że cały zapał, poświęcenie, heroizm nawet misyonarzy łacińskich na Wschodzie nie wydawał w Armenii owoców spodziewanych. I lud i klasy oświeceńsze uciekały, chcąc zachować obyczaj wschodni. Leon XIII. badając z daleka tę kwestyę spostrzegł, iż jest potrzebna reforma w działalności misyonarskiej na Wschodzie. Zaczął otaczać opieką zakony wschodnie katolickie, zatwierdzać je i rozszerzać, i oto zaczynają upadać przesądy, wstręt ustał, obawy się uciszyły, a duch jedności bierze górę nad dawniejszą odrazą".

Dokumentem, popierającym powyższe dążności, jest świeży list pasterski Mgr'a Ludwika Rotelli, nuncyusza papieskiego w Konstantynopolu. Jest to komentarz sławnej formuły św. Augustyna: *In necessariis unitas, in dubiis libertas, in omnibus charitas.*

A najprzód co do jedności list ten pasterski wskazuje jakie są warunki publicznego wyznawania wiary naszej: „Oprócz wyznania wyraźnego tajemnic najświętszych o jedności i troistości Boga, o wcieleniu i śmierci Pana naszego Jezusa Chrystusa, któremi chrystyanizm różni się istotnie od wszystkich innych religij, nie wahamy się twierdzić, że dzisiaj dla każdego katolika a mianowicie dla katolika wschodniego, rzeczą najpotrzebniejszą i niezbędną, jest uznanie papieża rzymskiego jako jednego jedynego naczelnika prawdziwego Kościoła Chrystusowego, aby go czcić, słuchać i być mu z tego tytułu posłusznym we wszystkiem, co się odnosi do przepisów wewnętrznych i zewnętrznych w Kościele, to jest w dogmatach przez Kościół określonych, w moralności przezeń zaszczepionej, w karności, jaką przepisuje, w obrządkach, jakie ustanawia, w tradycyach, jakie zachowuje i w pierwszeństwie czyli prymacie, co do czci mu należnej i władzy wykonawczej, jaka mu przysługa nad wszystkiemi chrześcijanami całego świata, jako przedstawicielowi Słowa Bożego wcielonego". List pasterski wykazuje, że taką była w tym przedmiocie stała wiara Kościoła i że była potwierdzona wielokrotnie a oprócz tego na soborze floreckim przez episcopat grecki i łaciński.

Co się tyczy wolności w rzeczach wątpliwych, nieokreślonych, Kościół pozwala na jej szerokie zastosowanie.

„Uczeni katoliccy, mówi nuncyusz, szczycili się zawsze wolnością zdania w rzeczach wątpliwych i walczyli nieraz z chwałą pomiędzy sobą w oczach samego papieża, pewnymi będąc, że gdyby w zapale szermierki byli się kiedy wzajemnie pomówili o błąd lub odszczepieństwo, byłaby ich wkrótce najwyższa władza napomniała i do milczenia skłoniła... Macie więc, drodzy synowie, naśladować Kościół w uszanowaniu cudzego zdania, ilekroć to zdanie nie będzie się sprzeciwiało moralności lub wierze... A nie mając się za zwycięzców w kwestyach wątpliwych, nauczycie się miłości chrześcijańskiej względem wszystkich, w czem właściwie związka doskonałości leży: *caritatem habete, quod est vinculum perfectionis*".

W trzecim punkcie swego listu, kładzie Mgr. Rotelli nacisk na miłość względem innowierców, których nazywa: „ukochani bracia nasi oddzieleni". „Jeżeli jesteśmy winni Panu Bogu dziękczynienie za nieporównane z niczem dobrodziejstwo wiary katolickiej, powinniśmy go prosić z głębi serca, aby raczył oświecić tych, co wątpią, aby nauczył nieumiejętnych, i przywołał na łono Kościoła katolickiego tyle biednych dzieci zbłąkanych, tak, aby cały Kościół doszedł do jedności doskonałego pokoju".

Zwracając się w szczególności do kapłanów swego wikaryatu, mówi Mgr. Rotelli: „W każdej prywatnej rozmowie a więcej jeszcze przy ołtarzu i na ambonie okażcie się posłańcami czułej matki, szukającej dzieci zgubionych: *Rachel plorans filios suos*. Nigdy nie używajcie zwrotów gwałtownych, słów pogardliwych lub niechętnych, lub westchnień fałszywego politowania względem braci naszych drogich, którzy bądź to przez nieświadomość, bądź dla przesądów miejscowych, najczęściej bezwiednie, pozostają po za jedyną widzialną owczarnią Chrystusa Pana. Pamiętajcie, że nauka przekonywa, lecz miłość przyniewala.

„Co do nas nie opuściliśmy nigdy najmniejszej sposobności, aby okazać tym chrześcijanom niekatolikom najgłębsze nasze współczucie i najszczerszą, najczulszą troskliwość; wierni w tem wysokiemu posłannictwu, zleconemu nam przez Ojca Ojców, Pasterza Pasterzy, Patryarchę Patryarchów, Biskupa starego Rzymu. I tu jest miejsce, gdzie możemy z radością wyrazić w całej prawdzie, że

bracia nasi i synowie niekatolicy, przez te dwa lata pobytu naszego między nimi, złożyli nam najwybitniejsze dowody dobroci serca, a to przez czyny prywatne i publiczne a nawet bardzo uroczyste, wytwornej uprzejmości, które chcemy uważać jako zadatek lepszej niedalekiej przyszłości. Odzywajmy się nieustannie do nich słowami ich prastarej matki św. Kościoła katolickiego, a bądźcie zawsze pewni, drodzy bracia, że choćby syn był najbardziej oddalony od matki, zawsze jednak głos jej zrozumie".

W końcu zwraca się Mgr. Rotelli w tym samym przedmiocie do wszystkich wiernych swego wikaryatu, mówiąc: „I wy także, synowie ukochani, łączcie się w zapale miłości do godnych pasterzy waszych. I wy bądźcie apostołami, misyonarzami, przykładem, postępowaniem urządzonem wedle zasad Ewangelii, a zwłaszcza niezachwianem oddaniem się Kościołowi. Proście Maryi Niepokalanej, Matki Bożej, W i e l c e Ś w i ę t e j, jak ją nazywają bracia nasi odłączeni, aby się raczyła wstawić do syna swego Boskiego za wszystkiemi ludami chrześcijańskiemi na Wschodzie, mającemi w Niej tak żywą ufność. A tak przez post wasz, przez jałmużnę i modlitwę przyspieszycie dzień ten błogosławiony, w którym wszystkie Kościoły ochrzczonych, zachowując każdy swoje pobożne zwyczaje i stare prawa i przywileje, jako i wspaniały obrządek i jego ceremonie, utworzą jedną owczarnię Pańską z jednym królem wiecznym a niewidzialnym Chrystusem i widzialnym pasterzem, Ojcem św. papieżem. Wtedy będzie można powtórzyć z papieżem Eugeniuszem IV. szczęśliwą nowinę bulli zjednoczenia: *Laetentur coeli et exultet terra: sublatus est enim de medio paries, qui occidentalem orientalemque dividebat Ecclesiam, et pax atque concordia rediit*".

A. D.

Z Petersburga.

P. Włodzimierz Sołowiew idzie wytrwale wytkniętym przez siebie torem; podczas gdy dzienniki codzienne donoszą wam o wrogich usposobieniach tutejszej prasy, która w złej woli i pogańskiej nienawiści stara się dorównać pruskiemu filozofowi, pocieszającą będzie

rzeczą dla waszych czytelników usłyszeć głos chrześcijańskiego pisarza. P. W. Sołowiew jest socyologiem rosyjskim, lecz na podstawie chrześcijańskiej. Przyjmuje za prawdy nieomylne objawienie i utworzenie przez Chrystusa Pana społeczeństwa chrześcijańskiego na ziemi, Kościoła; narodowość uważa za objaw dziejowy, państwo jako wynik społeczny. Zadaje sobie pytanie: jaki może mieć cel wytknięty przez Opatrzność państwo rosyjskie? zagadkę tą stara się rozwiązać, opierając się na piśmie św., soborach synodalnych i świętych Ojcach z jednej strony, z drugiej na dotychczasowem rozwoju państwa. Nie jest on ani ideologiem jakimś, ani mistykiem, lecz tylko historykiem chrześcijańskim. Najpoważniejsze pisma rosyjskie, choć nie podzielają całkowicie jego poglądów, uważają sobie za zaszczyt pomieścić jego uczone i wzniosłem nacechowane nastrojem prace.

Z końcem roku zeszłego wydał w Moskwie dziełko pod tytułem: Pytanie narodowe w Rosyi (Nacjonalnyj wopros w Rossii); jest to zbiór prac wydanych oddzielnie w różnych czasopismach, zawiera mianowicie:

1. Moralność i polityka. Dziejowe obowiązki Rosyi; artykuł ten stanowił wstęp do obszernej pracy p. Sołowiewa: „Wielki spór i polityka chrześcijańska". Praca p. Sołowiewa cenna jest pomimo obcinań i ciągnęła się przez wszystkie niemal Nr. Rusi z r. 1883.

2. O narodowości i narodowych interesach w Rossyi, przedruk z Sławiańskich Izwiéstii za luty 1884 r.

3. „Miłość dla narodu i ruski narodowy Ideał", pismo otwarte do J. S. Aksakowa, przedruk z Prawosławnaho obozrienia za kwiecień 1884 r., i

4. Kwestya Sławiańska.

Dzieło to opatrzone jest wstępem oryginalnym i charakterystycznym w wyrażeniach i myślach; podajemy je tu w streszczeniu:

Tysiącletniemi staraniami monarchów rosyjskich, pracą i cierpliwością narodu utworzona została Rosya jako całe, niepodległe i wielkie państwo. Lecz im trwalej Rosya bytuje, tem gwałtowniej narzuca się pytanie: po co ona istnieje, do czego ona służy, pod jaką chorągwią stoi.

Rosya nie dlatego jeszcze przy św. Włodzimierzu wyparła się bóstw pogańskich Peruna, Dadźboga i Welera, ażeby zamienić je na abstrakcyjne bałwany humanizmu i nacyonalizmu. Na chorągwi Rosyi powinno być napisano nie „ludzkość" i nie „naród" a Bożaludzkość i Bożynaród — albo toż samo co — jedyny i wszystko ogarniający Kościół — powszechny — dom Przenajświętszej Bogarodzicy.

Jawne nieporządki i skryta męka naszego ducha ustaną tylko wtenczas, kiedy chorągiew ta przestanie być kwestyą nacyonalną w Rosyi i rzeczywiście zbierze wokoło siebie nasze lepsze siły społeczne. To jest nietylko najwyższem

pragnieniem ducha naszego nacyonalnego ruskiego, lecz i wprost codzienną potrzebą dla naszej rzeczywistości narodowej. Sama ta rzeczywistość narzuca kwestyę niemogącą być odłożoną: jak i czem pomódz narodowi naszemu w jego widocznych i niezaprzeczonych nieszczęściach, które go dręczą. Przeciwnicy wszelkiej pożytecznej zmiany, pragnący, abyśmy pozostawili u nas wszystko tak, jak jest, powinniby nam wytłómaczyć przyczyny niektórych zjawisk, z któremi zupełnie niepodobna pogodzić się, a mianowicie: 1) zubożenie ziemi w literalnym rozumieniu, pogorszenie gospodarstwa rolniczego i zbiednienie narodu dochodzące miejscami do najzupełniejszego zniszczenia; 2) upadek rodziny, niebywałe dotąd rozprzestrzenienie rozpusty, pijanej, obrzydliwej, ze wszystkiemi wstrętnemi następstwami; 3) ciągłe mnożenie się sekt wszelkiego rodzaju, wyradzających niezgody i różnice w narodzie.

Jedna tylko jest chorągiew Kościoła powszechnego, pod którą stać wszyscy powinni, a o której wiedzieli i znali ją przodkowie nasi.

Należymy i będziemy zawsze należeć do Kościoła ruskiego, lecz powinniśmy pamiętać, że rzecz główna w rzeczowniku Kościół, a nie w przymiotniku ruski. Potęga Rosyi polega na Kościele, lecz potęga Kościoła wcale nie zależy od czegoś ziemskiego i ludzkiego. Dla przywrócenia prawdziwej naszej chorągwi narodowej przedewszystkiem potrzeba zrozumieć i przedstawić wyobrażenie Kościoła w jego bezwarunkowej wolności i wszystko ogarniającej pełności niezależnej od bezwarunkowo żadnych miejscowych i narodowych ograniczeń.

W dziejowem życiu Kościoła narodowość dotychczas uwydatnia się szczególnie, jako siła dyferencyjna i sprawująca rozdział. Tymczasem takie działanie narodowości rozdzielające i wyosobniające w sferze kościelnej sprzeczne jest z charakterem uniwersalnym Kościoła i zasadami chrześcijańskiemi wszechjednoczącemi; przeczy ono także prawdziwemu powołaniu chrześcijańskich narodów, wezwanych by napełniały Kościół, nie zaś by go dzieliły. Gdy zaś naród chrześcijański może poddać się egoizmowi nacyonalnemu i w procesie wyosobnienia przejść granice Boże, to tenże naród może sam rozpocząć odwrotny process integracyi czyli uzdrowienia. Rosya wedle swego położenia, dziejowego charakteru nacyonalnego, pojęcia świata powinna dać początek tej nowej zasadniczej reformacyi, która zapewne nie będzie głośną i burzliwą, lecz za to nieskończenie płodniejszą, aniżeli przeczająca reformacya XVI. stulecia.

Drugi i trzeci artykuł znany jest czytelnikom waszym, podaliście je w roku zeszłym, dzisiaj pomówimy o „Kwestyi słowiańskiej". Ta praca p. Sołowiewa drukowaną była pierwotnie w „Izwiestiach S. Peter. Sławian. Obszczestwa", miała zaś na celu przekonać Sławianofilów rosyjskich, iż nie należy zrywać z Zachodem, lecz się z nim połączyć, a przedewszystkiem usunąć ten nieszczęśliwy rozdział, który rozpołowił Kościół Chrystusowy na dwa wrogie względem siebie obozy. Streszczenie artykułu p. Sołowiewa jest niemożebne dla wielu powodów; jeden z bardzo ważnych jest ten, iż moglibyśmy nie oddać całkowicie jego myśli naszemi słowami, stąd

też podamy go w dosłownem tłómaczeniu, opuszczając dla braku miejsca ustępy mniejszej doniosłości. Nie wszyscy zapewne zgodzą się na wszystkie wywody autora, jak się nie zgodził p. Aksaków i redaktorzy Izwiestii; jednakże fakt ten, że jego artykuły przechodziły nietylko cenzurę rządową, ale nawet prawosławną cenzurę duchowną, wielce już wymownym i pouczającym.

Przyznaje p. Sołowiew, że Rosya ma swe posłannictwo, lecz nie przyznaje, żeby Zachód takowe utracił.

Wiara sławianofilów w to posłannictwo Rosyi szczególne, ściśle związana była z innem ich przeświadczeniem, że Europa reprezentowana przez plemiona romano-germańskie, czas swój przeżyła, ostatnie słowo wyrzekła, sprawę swą całą dokonała, i że teraz losy śmiało przejść powinny, z Rosyą na czele, do Słowiańszczyzny. Sławianofile dlatego tak bezwarunkowo wyosobnili Rosyę z ogólnego składu kultury europejskiej, tak żarliwie nastawali na wyłączne powołanie Rosyi, że z drugiej strony przekonani byli o gniciu Zachodu. Lecz jeżeli Zachód nie gnije a żyje i rozwija się jeżeli narody europejskie nie wyrzekły swego słowa ostatniego, to na jakiejże zasadzie obowiązaniśmy bezwarunkowo oddzielić się od nich, stawiać wbrew całej Europie, zamiast przyznawać się do wspólności narodów europejskich? Jeżeli cywilizacya zachodnia nie skończyła swego rozwoju, a my nie znamy rezultatów jej i granic, to na jakiej zasadzie będziemy odbierać jej charakter ogólno ludzki i powszechny? A w takim razie od czasów Piotra W. wszedłszy w grono narodów europejskich, czyśmy nie powinni dokładać swych sił narodowych do wspólnej sprawy oświaty, prawdy socyalnej i kultury, do sprawy takiej, w której cała ludzkość dziejowa solidaryzuje bez względu na różnice odrębności nacyonalnych i bez względu na ścieranie się interesów narodowych? To jest mianowicie stanowisko naszych zachodnich współplemieńców: za takie zaś stanowisko ich potępiać, oskarżać, o odszczepiania się od narodu i brak uczuć patryotycznych i t. p., byłoby wielką niesprawiedliwością Jeżeli są oni przekonani o bezwarunkowej możności i znaczeniu powszechnem kultury europejskiej, to istotnym obowiązkiem ich, starać się o jak najszersze zespolenie Rosyi z tą kulturą. Niepodobna potępiać sposobu ich działania, nie okazawszy dokładnie mylności ich przekonań. To zaś można wykazać: albo krytycznie dowiódłszy ograniczoności i niedostateczności cywilizacyi zachodniej, romano-germańskiej, albo też organicznie rozwijając zasady samoistnej kultury słowiańskiej. Kierunek pierwszy krytyczny opracowywali u nas trzej pisarze godni zaznaczenia; uczynili oni wiele dla teoretycznego uzasadnienia poglądów sławianofilskich, chociaż zwykle pisarzy tych nie zaliczają do przedstawicieli tejże szkoły. Mam na myśli Danilewskiego (Rosya i Europa), Strachowa (Walka z Zachodem) i Leonitiewa (Byzantyzm i Sławiańszczyzna). Ci trzej pisarze, każdy podług siebie, z różnych stron, wykazali całą treść, stwierdzającą tezę sławianofilstwa i konieczny rozkład Zachodu. Teza o rozkładzie Zachodu przyjąwszy to za zupełnie dowiedzione, byłaby dostateczną, aby zdyskredytować Zachód, lecz bardzo niedostateczną, aby zatwierdzić sławiano-

filstwo [1]. Jeżeli dla świata europejskiego pozostaje rozkład i zguba, to gdzież pewność, że i my nie zginiemy razem z nim? Jeżeli widząc walenie się świata romano-germańskiego, wierzymy w zbawienie i wielką przyszłość świata słowiańskiego, to dla zadokumentowania tej wiary obowiązaniśmy wskazać na te zbawcze i życiodawcze zasady, których Zachód pozbawiony, a które u nas się znajdują. Wierni charakterowi narodu ruskiego, sławianofile (ich nazwisko wszystkim wiadome), znajdowali naszą zasadę żywotną w sferze religijnej, w kościele ortodoksyjnym; z istotną miłością ortodoksyi wiązali oni i cały ustrój życia narodowego, uzasadniony nie na walce, ale na solidarności wspólnej, ubezpieczonej nie formalnemi gwarancyami, ale zobopólnym zaufaniem.

Przyznawszy ortodoksyę Kościoła powszechnego za najwyższą zasadę życia naszego, sławianofile położyli prawdziwą podstawę naszego zadania (narodowego). Co do tej zasady kwestyi u nas być nie może, ona powinna pozostać niezmienną, pytanie tylko, co i jak budować na tej zasadzie.

Stanąwszy na gruncie religijnym, sławianofile koniecznie spojrzeć powinni i na Zachód z punktu widzenia religijnego. Jeżeli życie narodów warunkuje się przez religię, jeżeli losy Rosyi i Słowiańszczyzny zależą od Kościoła prawowiernego, to takież same znaczenie dla świata zachodniego przypisane być powinno Kościołowi katolickiemu. Sprzeczność dwóch światów, romano-germańskiego i słowiańskiego powinna być wyprowadzona z ich zasad duchownych, oddawna sprzecznych, ze wschodniej ortodoksyi i z zachodniego katolicyzmu. Lecz zarazem przedstawia się następna ważna uwaga. Te oznaki śmierci dziejowej i nadchodzącego rozkładu, na które wskazują sławianofile w cywilizacyi zachodniej, zupełnie nie należą do kultury katolickiej, tej kultury, która założona przez Grzegorza VII. i Ludwika IX., Danta i Rafaela, Alberta W. i Tomasza z Akwinu, Kolumba i Gutenberga, Kopernika i Dekarta. Ta Europa która gnije jest Europa antychrześcijańska, w części antykatolicka. Niekiedy wprawdzie odzywają się zdania, że ruch antychrześcijański na Zachodzie zrodzony jest przez samże katolicyzm, że katolicyzm powodem jest ruchu rozkładowego. Lecz któż ośmieli się twierdzić: że od dzieł i badań Tomasza z Akwinu i Danta Alighieri droga prosta do badań Büchnera, że św. Franciszek z Asyżu to poprzednik tylko Lasala i że duch Heloizy lub Joanny d'Arce spoczął na Ludwice Michel. Odrzuciwszy widoczne naciąganie oskarżeń katolicyzmu o współczesne nam antychrześcijaństwo, mogłyby one mieć tylko takie znaczenie, że działalność dziejowa zachodniego kościoła nie odpowiadała pełności prawdy chrześcijańskiej; że nie umiał on w całości przerodzić życia narodów katolickich w duchu chrześcijańskim i tym sposobem dał możność wyrodzenia i inne pierwiastki antychrześcijańskiego. Ten fakt przyznawszy, trudno jednakowoż przyznawać nam sobie prawo sądu. Niepodobna powiedzieć, że zewnętrzna działalność ludzi stojących na czele Kościoła na Wschodzie, doskonale odpowiadała całości prawdy chrześcijańskiej, że ta prawda wcielona jest w zupełności w życie narodów prawosławnych i że u nas ruch antychrześcijański nie wyłania się. Wpływ

[1] Danilewski i Leontiew w zasadzie stoją na gruncie szczerze protestanckim z uwzględnieniem formy kościelnej bizantyjskiej. Strachów nie stoi na żadnym gruncie; jest to tylko illustrator rozmaitych liberalnych, ważnych przekonań, a wszyscy trzej zasadniczo są nienawistni dla katolicyzmu w ścisłym znaczeniu; liberalny katolicyzm byłby im na rękę, bo on do niczego nie obowiązuje i jest masoneryą pod pokrywką blichtru katolickiego. *(Przyp. kor.)*

praktyczny zasady chrześcijańskiej na życie państw i narodów, tak na wschodzie jak i na zachodzie, niepodobna uznać za dostateczny, bo ani tam, ani tu, zadania żywotne chrześcijaństwa nie były pomyślnie rozwiązane; dla wyjaśnienia zaś tego ogólnego niepowodzenia, wskazać koniecznie należy na ogólną jego przyczynę.

Wiemy, że póki Kościół widomy nie był rozszczepiony na dwie połowy, prawda chrześcijańska wzmacniała się i tryumfowała. Wspólnemi siłami Wschodu i Zachodu herezya była pobita, ortodoksya utwierdzona, dogmat określony i wiara chrześcijańska rozprzestrzeniona od Abissynii do Skandynawii i od Irlandyi do Rosyi i Persyi. Ten wzrost chrześcijaństwa zatrzymuje się[1] od czasu rozdziału Kościoła w XI. stuleciu a po oderwaniu się protestantów w XVI. stuleciu rozpoczynają się stałe postępy kierunku antychrześcijańskiego w życiu i myślach narodów europejskich. To zapanowanie jawne i widoczne zasady antychrześcijańskiej we współczesnej nam Europie, jest tylko skutkiem pierwotnego rozdziału Kościoła i reformy protestanckiej. Ważne tutaj nie tyle materyalne rozpadnięcie się świata chrześcijańskiego na trzy części, ile naruszenie wewnętrznej jedności, między trzema głównemi kształcącemi i rządzącemi zasadami ludzkości chrześcijańskiej.

Ludzkość chrześcijańska w swym rozwoju dziejowym nosi obraz i podobieństwo Chrystusowe. Obraz ten i podobieństwo zjawia się w całej istocie i wewnętrznej formie chrześcijaństwa. Lecz tu mamy tylko na uwadze jedynie stronę czynną albo praktyczną. Tutaj mówić nie będziemy, ani o prawdzie wiekuistej, ani o mistycznem życiu Chrystusowem, a tylko o drodze do tej prawdy i życia. Chrystus, jako droga do życia prawdziwego, ujawnia się w trojakiem znaczeniu, albo w trzech godnościach, które oddawna rozróżniał w Nim Kościół: godność króla, godność Najwyższego Arcykapłana i godność proroka (nie w rozumieniu wieszczącego przyszłość, lecz w rozumieniu wolnego, natchnionego opowiadacza Słowa). Jako jednorodzony Ojca, otrzymał od Niego wszelką władzę i wszelki sąd na niebie i ziemi: Chrystus jest królem. On zarazem jest i Najwyższym Arcykapłanem, który przyjął na się grzechy świata, którego Ojciec poświęcił i posłał dla spełnienia Ofiary zbawczej. Nakoniec jako pełny Ducha św., jest doskonałym prorokiem. Te trzy godności Chrystusa bezwiednie poświadczone były przez Jego wrogów i katów.

Najwyższy kapłan starozakonny zaświadczył godność Chrystusa, jako prawdziwego Najwyższego arcykapłana nowozakonnego, umierającego za lud swój, jako pasterza dobrego, kładącego duszę za owce.

Królem uznał Go prawowity przedstawiciel władzy królewskiej, namiestnik cesarza rzymskiego, jawniej jeszcze i uroczyściej zaświadczając to przyznanie.

Nakoniec godność proroczą Chrystusa, Jego wolno-twórcze służenie sprawie Bożej, poświadczył tłum Mu wrogi, szydzący nad ukrzyżowanym.

Sprawa zbawienia powszechnego, którego Chrystus położył zasadę swym zbawczym czynem, jeszcze prowadzi się w świecie: jeszcze nie wszyscy wezwani przyswoili sobie zbawczą ofiarę najwyższego Arcykapłana wiekuistego, jeszcze nie wszyscy poddali się władzy najwyższego króla, jeszcze nie wszyscy usłyszeli

---

[1] Należało dodać: na Wschodzie całkowicie, na Zachodzie częściowo *(Przyp. kor.)*

głos Proroka Bożego. I dlatego przedłuża się i najwyższo-arcykapłańska i królewska i prorocza służba Chrystusa. Lecz w Kościele widzialnym Chrystus nie działa bezpośrednio: On wybiera ludzkie narzędzia dla swej bosko-ludzkiej działalności. On sam jest jedyny i najwyższy Arcykapłan, Król i Prorok, a dla widomego i ciągłego kierowania światem chrześcijańskim poświęca władzę duchowną ludzką, błogosławi i władzę królewską w ludzkości i wzbudza sługi swe do przepowiadania. I ciągle w każdej chwili istnienia chrześcijaństwa, koniecznie winien być w nim widomy i najwyższy arcykapłan Boży, powinien być i król chrześcijański i nie powinno ustawać wolne tchnienie Ducha Bożego, rozbudzające nauczycieli z pośrodka narodu.

Zupełna zgoda tych trzech służb, zawsze uznawaną była za pożądaną i konieczną jak na Wschodzie tak i na Zachodzie. Świat chrześcijański nigdy nie wyrzekał się w zasadzie tej swojej jedności, nie rozdzielał Chrystusa. Lecz rzeczywiście, faktycznie, rozdział ten spełnił się. Z początku powstał spór między najwyższą arcykapłańską władzą a królewską. Wschód chrześcijański wybrał króla za piastuna jednowładztwa, za przedstawiciela jedności, za najwyższego wodza i rządcę swego żywota. Zachód skupił się około najwyższego arcy-kapłana. Ograniczoność i grzeszność ludzka postawiły wrogo przeciw sobie te dwie zasady dopełniające się wzajemnie w prawdzie Bożo-człowieczej. Ujawnił się rozdział pomiędzy królewskim Wschodem i najwyższo-arcykapłańskim Zachodem, lecz i w samym zachodnim świecie władza królewska nie na długo godziła się z swoim stanem podległości i wkrótce powstała przeciw jednowładztwu najwyższego Arcykapłana. Grzeszny spór pomiędzy tymi dwoma kardynalnemi zasadami świata chrześcijańskiego, dał miejsce jeszcze więcej grzesznemu zjawisku trzeciej zasadzie wolnego (rozkiełzanego) kaznodziejstwa albo prorokowania. Pierwiastek ten, nie tyle określony co do swej istoty, zdolny jest iść nierównie dalej w swych nadużyciach, aniżeli dwa pierwsze pierwiastki. I w samej rzeczy świat protestancki przedstawia nam nieszczęsny widok mniemanej duchownej wolności, doprowadzającej do wyrzeczenia się wszelkiej jedności, wszelkiej prawdy i świętości. Królewski Wschód i Zachód papieski, bez względu na rozdział swój, zachowują świętość i Kościoła i ideał powszechnej jedności; lecz urzeczywistnić tę jedność, uporządkować i zarządzić światem chrześcijańskim, podbiwszy go dla prawdy Bożej, oni dotychczas nie mogą. I otóż widzimy cały świat chrześcijański rozbity na mnóstwo nienawistnych sobie elementów, oddanych zobopólnej nienawiści i bezrządowi; widzimy przodujących ludzi Europy, rozszerzających pessymizm i zwątpienie, wzywających ludzkość do samobójstwa zbiorowego.

„Zachód, Europa romano-germańska gnije", mówią sławianofile. „Więc Europa powinna ustąpić ze sceny dziejowej i dać miejsce światu słowiańskiemu; w słowiańszczyźnie zbawienie".

Lecz jakaż gnije Europa, chrześcijańska czy antychrześcijańska? Stanowcze zasady chrześcijaństwa jeszcze nie wytępione w Europie; piastun tych zasad, Kościół katolicki, utracił tylko swe zewnętrzne znaczenie i przewagę; lecz wcale nie rozkłada się, a przeciwnie jednoczy i skupia się w sobie. Sławianofile słusznie widzieli w katolicyzmie wewnętrzną potęgę albo duszę życia zachodniego i jeżeli dusza ta niezupełnie porzuciła swe ciało a utraciła tylko pełność swego w nim działania, tedy widocznie, współczesny nam stan Europy nie jest to ogólny pośmiertny rozkład, lecz tylko częściowe chorobliwe przejście.

Taki proces chorobliwy może zakończyć się śmiercią, jeżeli działanie żywotnej zasady osłabnie jeszcze więcej i zupełnie zniknie, lecz może zakończyć się i wyzdrowieniem, jeżeli działanie żywotnej zasady, chwilowo nie dość silne, będzie uzupełnione i wzmocnione. Jeżeli zaś takowe może być uzupełnione i wzmocnione ze strony naszego świata słowiańskiego, to na tem niezawodnie zasadza się nasze obecne powołanie.

Trzymając się *credo* sławianofilskiego w szczególne powołanie i wielką przyszłość słowiańszczyzny, czyż nie należy mu dać znaczenia szerszego i prawdziwszego? Czyż zaminst zastąpienja Europy zachodniej na ocenie dziejowej, nie należy położyć sobie za cel uzdrowienie jej i podniesienie do pełniejszego życia? Jeżeli romano-germańskie narody rozkładają się i giną w miarę osłabienia w nich zasadniczego pierwiastku chrześcijańskiego, to sławiańszczyzna powinna wzmocnić ten zasadniczy pierwiastek, zachowujący się jeszcze na Zachodzie w Kościele katolickim.

Romano-germański świat ciężką niemocą porażony, w niektórych jego częściach widoczne znaki rozkładu, cóż więc z tego wypada? Jeżeliśmy zdrowi, tośmy obowiązani pomódz bliźniemu choremu i nie oddalać się od niego. A jeżeli i samiśmy nie zdrowi? W zasadzie my i Europa cierpiemy na jedną powszechną niemoc: na dezorganizacyę potęg społecznych, przyczyna zaś tego ogólna, stosunek nieprawidłowy wzajemny dwóch głównych posad chrześcijaństwa, nieprawidłowość stworzona rozdziałem kościołów i paraliżująca działanie obu zasad. I jeżeli rozdział kościołów jest przyczyną naszej ogólnej niemocy, to ich zjednoczenie będzie początkiem wszechogólnego wyzdrowienia.

A to (wyzdrowienie) przedewszystkiem potrzebne jest dla nas samych. Pojednanie między nami i żywotnym pierwiastkiem na Zachodzie będzie zarazem zjednoczeniem samejże słowiańszczyzny. Kiedy rozprawiają o wszechsłowiańszczyźnie, o słowiańsko-dziejowo-kulturnym typie, to nie zwracają dość uwagi na to, że cała słowiańszczyzna rozdzielona na poły, że są dwa typy słowiańskie i dwie kultury słowiańskie. Te dwie słowiańszczyzny rozróżniają się nie etnograficznemi tylko właściwościami, lecz głównie swemi duchownemi zasadami: zachodnia słowiańszczyzna utworzyła się przez uprawę duchowną Rzymu, słowiańszczyzna wschodnia przez duchowną uprawę Bizancyum. I ta dwoistość składa się na treść kwestyi słowiańskiej. Kwestya żywotna dla narodowości słowiańskich nie zależy od wyswobodzenia się od cudzoziemców, większa część sprawy tej dokonana, a spełnienie reszty jest kwestyą czasu; kwestya zaś żywotna dla słowiańszczyzny trudniejsza i ważniejsza daleko: jak i przez co zjednoczyć dwa poróżnione światy, grecko-sławiański i łacińsko-sławiański? Wprost samo przez się połączenie to dokonać się nie może: nie mówiąc już o Polakach, pozostali Słowianie zachodni, Czesi, Horwaci, Słowieńcy, nie okazują żadnej gotowości oderwać się od katolickiej Europy i wejście w skład grecko-wschodniego państwa. Zewnętrzne zjednoczenie wschodniej i zachodniej słowiańszczyzny, jak również i zjednoczenie całego wschodniego i zachodniego świata, możliwe jest tylko drogą wewnętrznego zjednoczenia tych zasad wschodniego i zachodniego chrześcijaństwa, które dziejowo rozdzieliły się między sobą, a wedle rzeczywistego pojęcia chrześcijańskiego, powinny nie wyłączać się, ale wzajemnie dopełniać.

Zachodni Słowianie-katolicy, chcą na zawsze pozostać katolikami, Słowianie wschodni na czele z Rosyą na zawsze pozostaną prawosławnymi. Ani

tamci nie odrzekną się katolicyzmu, ani też my ortodoksyi. Widocznie się okazuje, że duchowne pojednanie wschodnich i zachodnich Słowian (jak również powszechne pojednanie), możliwe tylko w takim razie, jeżeli prawosławie i katolicyzm nie będą się wyłączać, jeżeli będzie można, pozostając prawosławnym, być zarazem i katolikiem a pozostając katolikiem być ortodoksyjnym. To wcale nie przeczy istocie sprawy. Kościół zachodni nigdy nie odrzekał się ortodoksyi a wschodni Kościół nigdy nie odrzekał się katolicyzmu. Odróżniające szczegóły tych Kościołów, zaostrzone antagonizmem plemiennym, wrogo stoją względem siebie, chociaż niegdyś one spokojnie współmieściły się i jeszcze powinny współmieścić się w pełności powszechnego Kościoła.

Najgłębszy antagonizm wschodniego i zachodniego chrześcijaństwa zakorzenił się na gruncie kościelno-politycznym. Zarzut główny, który nam czynią katolicy, to nasz cezaro-papizm, zarzut główny, który my im czynimy, to ich papieżo-cezaryzm. Katolicy zarzucają grekom i nam, że jakoby tak tamci, jak i my, dotychczas czynimy Cesarza głową Kościoła. My zaś zarzucamy im to, że oni nietylko uczynili Papieża monarchą świeckim, lecz chcieliby i wszystkich monarchów poddać mu, czyniąc go głową państwa w ogóle. Lecz do kogo i czego odnoszą się właściwie te wspólne obwinienia? Jaki dogmat Kościoła katolickiego stanowi o prawach państwowych papieża, w jakiem orzeczeniu *ex cathedra* papież ogłoszony głową rzeczypospolitej chrześcijańskiej? Takie dogmata i orzeczenia nie istnieją. Z drugiej strony i naczelnictwo króla nad Kościołem wcale nie jest dogmatem ortodoksyi. Widocznie ani Kościół katolicki nie winien papieżo-cezaryzmu, ani prawosławny nie winien cezaro-papizmu. Gdy zaś kościelno-polityczne pierwiastki Wschodu i Zachodu oddzielimy od nadużyć dziejowych, których odrzucić niepodobna a trzymać się ich nie należy, dlatego, że one nie mają żadnej sankcyi wyższej, to wnet się ukaże, że nasz cezaro-papizm redukuje się do prawdziwej i bardzo ważnej idei króla chrześcijańskiego, jako oddzielnej władzy niepodległej i oddzielnej posługi w Kościele, jak również zachodni papieżo-cezaryzm redukuje się do prawdziwej i bardzo ważnej idei najwyższego arcykapłana, który korzystając w całym świecie chrześcijańskim z najwyższej powagi duchownej, staje z takąż powagą i przed Monarchą chrześcijańskim, chociaż nad nim nie ma żadnej władzy w interesach li państwowych. Powaga duchowna najwyższego arcykapłana i władza państwowa króla chrześcijańskiego nie mogą być z sobą w sprzeczności, wykluczać się. Te dwie zasady wyłączają się tylko z przyczyny swych nadużyć, lecz pierwsze i zasadnicze nadużycie jest mianowicie niezgoda ich i nienawistny antagonizm.

Że zaś najwyższa duchowna i najwyższa świecka władza wedle natury swej są różnorodne i mają swe sfery właściwe, to ich jednoczesne wspólne istnienie wcale nie narusza ich niezawisłości i nie składa dwu-władzy. Starcie i walka tych dwóch władz nie opiera się na żadnej prawnej zasadzie, jak również niema żadnej sprawiedliwej podstawy dla antagonizmu jednowładztwa papieskiego z zasadą soborową Kościoła wschodniego. Idea najwyższego arcykapłana dla chrześcijaństwa jest zasadniczą, konieczne istnienie w Kościele biskupa, związanego nieprzerwanym następstwem z apostołami i Chrystusem, jedynym, wiecznym, najwyższym Arcykapłanem. Ta idea najwyższego Arcykapłana na Zachodzie, przedstawiała się w jednej osobie, koncentrowała się w osobie najwyższego arcykapłana — papieża. Na Wschodzie taż sama idea

ujawniała się zbiorowo w soborze biskupów. To jest różnica lecz bynajmniej nie sprzeczność. Chrześcijaństwo wschodnie, skoncentrowawszy swą jedność w osobie króla chrześcijańskiego i jego jedynowładztwu oddawszy zewnętrzną reprezentacyę Kościoła, uznawszy Cesarza „zewnętrznym biskupem", jakim się nazywał Konstanty Wielki, wewnętrzne sprawy Kościoła rozstrzygało przez sobór biskupów. To jednakże wcale nie znaczy, ażeby kościół ortodoksyjny przyjmował samą formę soborową za konieczne znamię prawdy, albo żeby przyznawał soborowi biskupów, że taki sposób zarządu Kościołem jest jedyny, prawny i doskonały. My wierzymy w 7 soborów powszechnych dlatego, że one określiły prawdziwy ortodoksyjny dogmat. Sobory te na tejże samej zasadzie uznawane są i w Kościele zachodnim. Wierzyć zaś w sobór w ogóle albo zasadę soborową nikt nie obowiązany. Dla takiej wiary niema zasady. Zasada soborowa sama w sobie jest zasadą ludzką, i jak wszystko ludzkie może być użytą na złe i dobre. Obok soborów ortodoksyjnych, prawdziwych, były i sobory fałszywe heretyckie a jeden z nich mający przytem cechy soboru powszechnego pozostał w dziejach Kościoła z mianem soboru rozbójniczego. Tym sposobem widocznie zasada soboru nie poręcza prawdziwości a następnie nie może być przedmiotem wiary. Jeżeli w symbolu wiary po sławiańsku, Kościół nazywa się soborowym, to jak wiadomo jest tylko archaiczne tłomaczenie greckiego słowa καθολικη, co oznacza Kościół zebrany zewsząd, Kościół wszechogólny, a wcale nie Kościół rządzony przez sobór biskupów; dla określenia tego ostatniego znaczenia po grecku staćby powinno nie καθολικη α συνοδικη. Gruntować się na innem wyjaśnieniu tłómaczenia sławiańskiego, jako na argumencie na korzyść zasady soborowej dla całego Kościoła, byłoby nader nieprawidłowo, a w szczególności niedogodne względnie do ortodoksyjnych greków, którzy w symbolu nic nie czytają o zasadzie soborowej, i bardzo chętnie zjednoczyliby zarząd całego Kościoła w rękach powszechnego patryarchy w Carogrodzie.

Prawna zasada soboru, jako jedna z istotnych form działania kościelnego nie wyklucza żadnej innej zasady. W tem rozumieniu sobór uznawany był zawsze przez przedstawicieli jednowładztwa kościelnego — papieży. Wszystkie te sobory, które poczytywane są za powszechne na Wschodzie, były uznane za takie i przez papieży, nie wyłączając z tych i Soboru 2-go, na którym wcale nie było przedstawicieli Kościoła zachodniego. Nawet i po nieszczęsnym rozdziale Kościoła, zasada soborowa uwydatniła się na zachodzie nierównie mocniej aniżeli na wschodzie. Nie wspominając o wielkim mnóstwie partykularnych soborów we wszystkich krajach Europy, po rozdziale Kościoła było aż 12 ogólnych soborów w całym Kościele zachodnim, z których na dwóch (lyońskim i florenckim) zasiadali i przedstawiciele wschodniego kościoła. Wedle postanowień ostatniego soboru watykańskiego jednowładztwo papieskie nie gruntuje się na wyłącznem pojęciu. Wyrazy „non autem ex consensu ecclesiae" wzięte w związku ze swoim kontekstem, oznaczają tylko, że wyroki ogłoszone przez papieża „ex cathedra", tj. w charakterze przedstawiciela całego Kościoła, mieć mogą moc prawną i bez formalnej zgody soboru biskupów i pozostałych wiernych. Tem ogranicza się a nie wyklucza zasada soborowa w Kościele. Pierwiastek jednowładztwa papieskiego w Kościele zachodnim nie przeszkadzał i nie przeszkadza papieżom uznawać soboru, znajdując pierwowzór swego jedynowładztwa w naczelnem znaczeniu Piotra apostoła. Papieże wiedzą, że wraz

z nim byli i inni apostołowie, był sobór apostolski. Kościół wschodni również znajduje pierwowzór swego urządzenia kościelnego w soborze apostolskim, z powodu tego nieobowiązany odrzucać szczególne znaczenie Piotra apostoła i jego następców. I rzeczywiście, do rozdziału Kościoła zasada soborowa w Kościele wschodnim, nie przeszkadzała mu rozumieć i przyjmować szczególną powagę Stolicy Rzymskiej. Dostatecznie przeczytać zachowane (w greckim oryginale) akta 3, 4, 6, 7 soborów powszechnych, aby przekonać się, jak wybitne miejsce na tych soborach zajmowali legaci papiescy i jak decydujące znaczenie miały dogmatyczne listy papieży. (Akt soborowych 1 i 2 soboru wcale nie ma a 5 soboru akta tylko są w tłomaczeniu łacińskiem). W ogóle sobory powszechne zwoływane bywały przez cesarzy prawowiernych i kierowały się dogmatycznemi wskazówkami prawowiernych papieży. Najlepsze i najważniejsze momenta w życiu Kościoła powszechnego były chwilami najzupełniejszej zgody i jednomyślności Papieża, Cesarza i Soboru.

Ta zgoda, naruszona nieszczęsnym rozdziałem Kościoła, może i powinna być przywróconą: co powinni uczynić katolicy dla zjednoczenia z nami — to ich rzecz. Z naszej zaś strony, aby zjednoczyć się z nimi, niema potrzeby odrzekać się jakiejbądź prawdy istotnej; potrzeba tylko wyrzec się uprzedzeń i nieporozumień zrodzonych przez dawną nienawiść. W sferze kościelno-politycznej obstajemy przy niezawisłości króla chrześcijańskiego i przy jego szczególnym znaczeniu w Kościele. Władzy tej i znaczenia nie odrzuca katolicyzm, a zachowując ten pierwiastek, my możemy zjednoczyć się z katolicyzmem. W sferze właściwej kościelnej obstajemy przy elemencie soborowym w zarządzie kościelnym, a w szczególności przy nieomylności orzeczeń dogmatycznych siedmiu soborów powszechnych; sobory te i ich orzeczenia wraz z nami przyjmuje i katolicyzm a w ogóle nie odrzuca on elementu soborowego więc możemy połączyć się z katolicyzmem trzymając się naszego i powszechnego podania. Wszystko co my przyznajemy, przyznają i katolicy, nic przez nas przyznawanego nie odrzucają. Oni stoją przy tejże zasadzie kościelnej co i my, a jeżeliśmy ich potępiali, to nie zasadę, która jest i naszą — jedną, świętą i prawdziwą zasadą Kościoła, lecz tylko budowle, które oni dźwignęli na tej zasadzie. Jednakowoż wedle słusznej uwagi znakomitego metropolity Filareta, chociażby te budowle były z trzciny i słomy, to potępiać ich za to nie mamy prawa, gdyż sąd taki wedle nauki apostolskiej należy jedynie do Boga, który wyjawion będzie w końcu czasów. Szczególniej my wschodni nie mamy prawa do takiego sądu, bo chociaż zachowujemy Boską podstawę Kościoła, lecz już dziewięć wieków, jak na niej nic nie budujemy, a korzystamy z prac tych samych budowniczych przez nas wyszydzanych. Z naszej strony nie mało czynimy zarzutów katolicyzmowi, lecz już wielka mnogość tych zarzutów niezgodnych z sobą niekiedy wprost wykluczają się wzajemnie; w związku z tą niestałością Kościoła greckiego w stosunkach praktycznych do katolicyzmu, owe wahania się i przejścia od zupełnej unii do przechrzciwania łacinników, wszystko to dobitnie przekonywa, że kwestya jeszcze niezdecydowaną i że nasze ostre potępiania katolicyzmu, uznawanie go za herezyę i t. p. są tylko prywatnemi mniemaniami nikogo nieobowiązującemi. A tymczasem póki niezałatwiona wielka kwestya kościelna pozostanie nie załatwioną i kwestya sławiańska, i nie ma co myśleć o zjednoczeniu słowian, o wszechsławiańszczyźnie i o powołaniu jej wszechświatowem. Jakież więc jest możliwe

zjednoczenie narodów, u których sameż ich żywotne, duchowne zasady rozdzielone i którzy dla tych zasad nienawidzą się wspólnie? Czyż wiekowe doświadczenie nie przekonało dostatecznie, że poróżnienie duchowne mocniejsze od pokrewnego braterstwa? A zatem nadewszystko pomyślmy o zjednoczeniu duchownem.

Wreszcie kończy p. Sołowiew swój artykuł, domagając się swobody roztrząsania punktów spornych, istniejących między Kościołem zachodnim i wschodnim.

Jakkolwiek z powodu braku miejsca nie możemy tu przytoczyć artykułów p. Sołowiewa, pomieszczonych w „Rusi“ z r. 1883, nie możemy pominąć milczeniem krótkiej, ale doniosłej pracy tegoż autora, wydrukowanej tamże w Nr. 19-ym, która nosi tytuł: „Kilka słów objaśniających z powodu S p o r u w i e l k i e g o, w odpowiedzi na uwagi Protojereja Iwancowa Płatonowa“. Oto dosłowne tłómaczenie:

W Nr. 18 „Rusi“ wydrukowany został mój artykuł o papiestwie z opuszczeniem nader zasadniczego (wedle mego przekonania) miejsca, lecz za to rzeczony artykuł mój opatrzony został aż 25 uwagami szanownego mego nauczyciela Protejereja Iwancowa Płatonowa, w części dopełniającemi a w części krytycznemi Niestety, nie byłem w możności zapobiedz wydrukowaniu artykułu mego w takiej formie. Co się zaś tyczy uwag A. M. Iwancowa, to ani żywotne znaczenie kwestyj spornych, ani szanowne imię autora nie dozwalają mi uwag tych pominąć milczeniem. Co więcej, nieporozumienia, do których mimowolnie dałem powód, pobudzają mnie szczerze i wyraźnie stawić niektóre ważne pytania, dotyczące stosunku naszego do Kościoła rzymskiego.

Mówiąc o Kościele zachodnim, szanowny autor uwag ma przedewszystkiem na uwadze odwrotną dziejową stronę papiestwa, t. j. te nadużycia praktyczne i skażenia scholastyczne papiestwa, które wykazały się w dziejach papiestwa (nadewszystko średniowiecznego). Tych skażeń i nadużyć znanych wszystkim nie należy pomijać mówiąc o papiestwie. Ogół tych nadużyć i skażeń, w części mimowolnych i bez złego zamiaru (jak słusznie zauważył O. Iwancow), dla większej jasności nazwałem p a p i z m e m, aby tym mianem odróżnić go od p a p i e s t w a w jego prawdziwej istocie i powołaniu religijnem. O tej różnicy, której znaczenia pomijać niepodobna, szanowny A. M. Iwanców w swych uwagach stale zapomina. Przyznać on powinien, że był czas, kiedy papiestwo istniało i działało, a papizm w rozumieniu powyższem nie istniał, a to w czasie, gdy najznakomitsi przedstawiciele Kościoła wschodniego, widzieli w stolicy rzymskiej pryncypalne oparcie się ortodoksyi (православія) i najmocniejszą warownię wolności kościelnej. Że papiestwu, albo dokładnie katedrze Piotra św. należy się wysokie i ważne znaczenie w Kościele, to między ortodoksyjnymi (православными), mówią; nie ja, lecz mówią to: św. Jan Złotousty, św. Cyryll aleksandryjski, św. Maksym wyznawca, św. Jan damasceński, św. Teodor Studyta. W rękopiśmie mego artykułu zamieszczony dość długi szereg świadectw Ojców św. i soborowych w tem rozumieniu. Niestety, świadectwa te

wypuszczone zostały w druku. Cokolwiekbądź byłoby, to wszakże nie bronię swego mniemania, ja nie nam w tej rzeczy swego przekonania. Znaczenie centralne katedry rzymskiej przyjmuję tylko w takiej myśli i rozumieniu, w jakich przyznawało się przez św. Maksyma albo przez św. Teodora Studytę, a więc niech mi przynajmniej wolno przytoczyć choć jedno święto-ojcowskie świadectwo. Oto, co mówi św. Maksym wyznawca: „Wszystkie granice wszech-„świata (вселенной) i wszędzie na ziemi nieskażenie i ortodoksyjnie (право-„славно) wyznający Pana, jak na słońce światła wiecznego (на солнце вѣчнаго „свѣта) stale (niezmiennie) wpatrują się w najświętszy Kościół Rzymian, w jego „wyznanie i wiarę, przyjmują od Niego iskrzącą jasność (сверкающій блескъ) „ojcowskich i świętych dogmatów... albowiem z samego początku (zarania) „zejścia do nas wcielonego Boga-Słowa, wszystkie wszędy kościoły chrześcijań-„skie przyjęły i trzymają się tego największego (najsławniejszego величайшую) „kościoła rzymskiego, jako jedynej twierdzy i zasady (твердыню и основаніе) „nigdy niezwyciężonej, wedle obietnicy Zbawiciela, przez bramy piekła, lecz „mającego klucze ortodoksyjnej (православной) w Niego wiary i wyznania (s. „Maximi confessoris opera (ed. Migne) tom II., 137, 140".

Mając to na uwadze i mnóstwo innych podobnych świadectw, niech mi wolno będzie zapytać: jakaż powszechna (вселенскій) powaga Kościoła potępiła papiestwo? A. Iwanców twierdzi, że „w Kościele wschodnim najwyższą powagą kościelną i organem jedności uznaje się sobór powszechny" (вселенскій). Więc jakiż sobór powszechny potępił papiestwo? Na soborze powszechnym, z powszechnych, które były, siódmym, wraz z patryarchą Towazyuszem prezydowali legaci papiescy. List Papieża Adryana był tam czytany i ze czcią przyjęty jako wyrażenie najczystszej prawdy i głos najwyższej kościelnej powagi; na soborze tym papiestwo nie potępione, lecz wywyższone. Od tych czasów zaś myśmy głosu soboru powszechnego nie słyszeli. Przy całem należnem poważaniu dla przedstawicieli greckiego i naszego ojczystego duchowieństwa, ujednoznaczniać ich z soborem powszechnym nie śmiem, przyjmować mniemanie naszych duchownych za wyrok Kościoła powszechnego (вселенской), ja wedle sumienia nie mogę

Oprócz wspomnionego zasadniczego nieporozumienia (ciągłego mieszania papiestwa z nadużyciami papizmu), zapewne pomimowoli wkradły się niektóre mylne twierdzenia w uwagach, które poczyniono nad moim artykułem. O dwóch z nich uważam za konieczność napomknąć.

W uwadze 20 powiedziano o mnie następnie: „W jednym z jego artykułów, „wedle uwag katolickich pisarzy i to nie najpewniejszych, podaje się jako fakt „nieulegający zaprzeczeniu prezydowanie Papieży na soborach powszechnych „(вселенскихъ), a tymczasem osobistej obecności Papieży ani na jednym z so-„borów powszechnych nie było, a na niektórych nie było nawet i przedstawi-„cieli papieskich". Tymczasem o osobistem prezydowaniu Papieży na soborach powszechnych nigdzie ani w jednym artykule nie mówiłem. Zaprawdę nikt, jeżeli cokolwiek jest obznajmiony z przedmiotem, nie mógł podawać takiego błędnego twierdzenia. Inna rzecz prezydowania legatów papieskich na soborach powszechnych, fakt to najniewątpliwszy i powszechnie wiadomy. O fakcie tym napomknąłem w jednem z moich zdań, które mogło dać powód memu szanownemu cenzorowi do popełnienia przez niego błędu. Oto jest to zdanie: „Rzym faktycznie dawał schronienie religijnym myślicielom Grecyi

„a teologowie wschodni opierali się na powadze łacińskich najwyższych arcy-„kapłanów; legaci rzymscy prezydowali na soborach greckich a mnisi „wschodni występowali jako sprzymierzeńcy hierarchów zachodnich“ (Ruś Nr. 14 str. 34, 1883 r.“ O prezydowaniu legatów papieskich na wszystkich soborach powszechnych nigdzie nie mówię.

Niepodobna wytłumaczyć, jak tylko niedopatrzeniem się i następnego ustępu w uwadze 13. W ustępie tym o Kościele katolickim wśród innych rzeczy twierdzi się, że takowy „robi zasadnicze zmiany w spełnianiu Sakra-mentów (въ совершеніи таинствъ), czyż odjęcie kielicha eucharystycznego „świeckim wbrew wyraźnemu słów Zbawiciela znaczeniu lub pozbawienie ko-„munii dzieci, nie zasadnicze to zmiany“. Powyższe słowa uważnie przeczytawszy, autor ich niewątpliwie uczuje całą nieprawdę użytych przez niego wyrażeń. Dla czytelnika zaś nadmieniam, że wspomnione właściwości Kościoła łacińskiego żadnej zmiany, aniistotnej, ani nieistotnej, w spełnianiu Sakramentów stanowić nie mogą, albowiem do spełniania Sakramentu wcale nie należą. Spełnienie Sakramentu w Eucharystyi jest rzecz jedna a przyjęcie albo komunikowania jest rzecz zupełnie inna. Spełnia się Sakrament niezmiennie i jednakowo w całym Kościele tak wschodnim jak i zachodnim, za materyę do tego służą chleb i wino. Lecz gdy raz Sakrament się spełnił, natychmiast odrazu chleb i wino stają się widocznością nierozdzielną ciała i niewylanej krwi Boskiej, a więc jakikolwiek sposób albo porządek przyjęcia tego Sakramentu przez ludzi, uważa się jako rzecz zwyczaju kościelnego, zależnego nie od mistycznych lub czysto religijnych, lecz od spółczesnych i dziejowych warunków życia kościelnego. Nasz wschodni zwyczaj udzielania komunii świeckim pod obiema postaciami niewątpliwie historycznie starożytniejszy i socyalno-prawidłowszy od zwyczaju zachodniego, lecz w każdym wypadku kwestya ta dotyczy niedogmatycznie określonego Sakramentu, ale obrzędu historycznie się zmieniającego. Jeden z najbardziej godnych uwagi naszych teologów Chomiaków, z właściwym sobie dowcipem i talentem, rozwijał między innemi myśl, że łaciński sposób komunikowania jest wyrażeniem hierarchicznego arystokratyzmu tego Kościoła; w takim razie obyczaj naszego Kościoła będzie wyrażeniem jego demokratyzmu, na co można zupełnie się zgodzić, lecz nie należy tylko zapominać, że taka różnica w żaden sposób nie dotyczy istoty Kościoła, albowiem w istocie swojej Kościół nie jest ani arystokracyą, ani demokracyą a na powierzchni swej może jednakowo tolerować obyczaje jak demokratyczne, tak i arystokratyczne.

Ponieważ Redakcya „Rusi“ słusznie zwraca uwagę, że kwestye rozbierane albo lepiej się wyrażając zaczepiane (затронутые) w moich artykułach są nader ważne, przeto wielkąby uczynił przysługę dla naszego przekonania kościelnego a zarazem przyniósłby oprócz tego duchowny pożytek dla wielu ludzi wierzących, jeżeliby dostojny i szanowny autor uwag zdecydował się szczerze i kategorycznie odpowiedzieć na następujące zasadnicze kwestye (вотросы), dotyczące naszego stosunku do Kościoła rzymsktego.

Kwestya 1. Postanowienia soborów powszechnych o nietykalności (о неприкосновенности); wyznania nicejskiego (Нищейской вѣры) czy odnoszą się do treści tego wyznania czy też do litery synodu Niceokonstantynopotańskiego?

Kwestya 2. Słowo Filioque, dodane do pierwotnego tekstu synodu

Niceo-konstantynopolitańskiego, czy zawiera w sobie herezyę nieuchronnie, a jeżeli tak, to na jakim soborze powszechnym herezya ta była potępioną?

Kwestya 3. Jeżeli wspomniony dodatek (który zjawił się w Kościołach zachodnich w VI. a stał się wiadomym na Wschodzie około połowy w. VII.), zawiera w sobie herezyę, to jakim sposobem późniejsze dwa sobory powszechne szósty w 680 r. i siódmy w 787 r. nie potępiły tej herezyi i nie wyklęły tych, którzy ją przyjęli, lecz pozostawali wraz z nimi w obcowaniu kościelnem (въ церковномъ общеніи).

Kwestya 4. Jeżeli niepodobna z pewnością twierdzić, że dodatek Filioque jest herezyą, to czyż niewolno każdemu ortodoksyjnemu (православному) iść w tej materyi za zdaniem św. Maksyma wyznawcy, który w liście do kapłana Maryna usprawiedliwia (оправдываетъ) dodatek wspomniony, tłumacząc go w rozumieniu ortodoksyjnem?

Kwestya 5. Prócz Filioque, jakie inne nauki Kościoła Rzymskiego i na jakich powszechnych soborach wyklęte jako herezya?

Kwestya 6. W razie jeśli przyznać potrzeba, że Kościół rzymski winien nie herezyi ale odszczepieństwa, odszczepieństwo zaś wedle ścisłego określenia św. Ojców bywa wtedy, kiedy część Kościoła, duchowni i świeccy dla jakichbądź kwestyj obrzędu i karności, oddzielają się (odszczepiają się) od swej prawowitej władzy kościelnej, to zapytuje się od jakiej swojej władzy kościelnej odszczepił się rzymski Kościół?

Kwestya 7. Jeżeli Kościół Rzymski nie winien herezyi a w odszczepieństwie być nie może, nie mając nad sobą żadnej kościelnej władzy, od której mógłby się odszczepić, to czyż niepotrzeba przyznać, że ten Kościół pozostaje (пребываетъ) częścią nierozdzielną Kościoła jedynego powszechnego Chrystusowego a tak nazwany rozdział Kościołów nie mając żadnych powodów prawdziwie religijnych i kościelnych jest tylko dziełem ludzkiej polityki?

Kwestya 8. Jeżeli nasze rozłączenie z Kościołem rzymskim nie oparte na zasadzie prawdziwie boskiej, to czyż my wszyscy ortodoksyjni chrześcijanie myślący więcej o tem co Boskie, aniżeli o tem co ludzkie, czyż my niepowinniśmy starać się czynnie o przywrócenie jedności kościelnej między Wschodem a Zachodem, dla dobra całego Kościoła?

Kwestya 9. Jeżeli przywrócenie związku (общенія) kościelnego między wschodniemi i zachodniemi ortodoksyjnemi (православными jest obowiązkiem naszym, to czyż powinniśmy dopełnienie tego obowiązku odkładać (отлагать) pod pozorem cudzych grzechów i niedoskonałości.

Tych kwestyj nie może obejść, ani pominąć sumienie każdego prawowiernego (православно вѣрующаго), jeżeli on tylko wnikał w przedmioty swej wiary i w smutny stan współczesnych kościołów. Odpowiedź otwarta i szczera na te pytania tak wybitnego przedstawiciela naszego Kościoła nauczającego, wielce poważanego protojereja Iwancowa Płatonowa, miałaby szczególniejsze znaczenie. Jeżeliby odpowiedź taka nie okazała się ostatecznie zadowalniającą, to w każdym przypadku pomogłaby postawić kwestyę prawidłowo i postawiła niejako drogoskaz dla sumień strwożonych i zaniepokojonych. Dotychczas wielka kwestya kościelna rozstrzygała się w sferach burzliwych namiętności narodowych i w sferze mniemanych interesów politycznych. Przedstawiciele rzeczywiści ortodoksyjno-kościelnej myśli (православно-церковной мысли) mają

już oddawna prawo przenieść ją na grunt stały i płodny Chrześcijaństwa powszechnego.

Na tem kończymy obecne nasze sprawozdanie, w przyszłej korespondencyi podamy wam nowe i znakomite również prace tegoż autora.

Z Berlina.

Podwyższenie ceł zbożowych. — Podatek giełdowy. — Demonstracya na cześć Bismarka. — Dr. Schweninger. — Rozprawy i stosunki kościelno-polityczne. — Sprawa Kongo.

Parlament niemiecki był przez dni kilka widownią namiętnych sporów między lewicą a prawicą, a to z powodu przedłożenia, o którem w mowie tronowej nie było żadnej wzmianki. Pod skromną nazwą poprawki do taryfy celnej przeprowadzono znaczne podwyższenie ceł na prawie wszystkie produkta rolnictwa, po części może dla pokrycia niedoboru, głównie zaś celem ocalenia gospodarstwa rolnego, które w obec strasznej konkurencyi zamorskiej domagało się koniecznie obrony z strony państwa. Jeszcze przed Bożem Narodzeniem utworzył się w łonie parlamentu osobny wydział, popierający przeważnie interesa rolnictwa i przemysłu; wydział ten, składający się głównie z członków centrum i zachowawców, przypuścił do swego grona także kilku narodowców liberalnych, którzy w obec wyborców zobowiązali się czasu swego popierać interesa rolnictwa, i miał z góry większość w parlamencie zapewnioną. Kiedy więc projekt rządowy został wniesiony, wydział obradował nad nim bardzo szczegółowo i pozmieniał znacznie poszczególne myśli, mianowicie naznaczył na 100 kilogramów żyta, 3 marki cła, podczas kiedy rządy zaproponowały tylko 2 marki. O innych zmianach na tem miejscu mówić niepodobna, bo trzebaby gubić się w szczegółach.

Do większości pragnącej uratować upadające rolnictwo, należeli oprócz Niemców, także Polacy. Niemcy głównie tą myślą powodowali się, że więcej jak połowa ludności (n. p. w królestwie pruskiem) bezpośrednio żyje z roli a bardzo znaczna część pośrednio wielkie straty poniosłaby przez upadek rolnictwa. Koło polskie powinno było także na to zważać, że dobrobyt prawie całej ludności polskiej

w obrębie granic pruskich jak najściślej wiąże się z dolą gospodarzów na roli, a nie mogło powodować się innemi względami. Same cła zbożowe nie zdołają ocalić rolnika, to rzecz prawie pewna; przeto trzeba z tej strony zabezpieczyć się, ale nie zaniechać innych środków. W obecnej chwili ma największą doniosłość przysłowie niemieckie: „*Hat der Bauer Geld, hat's die ganze Welt*“. Nie stanął w połowie drogi książe Bismark: gdy uznał, że przeważnie uprawą roli trudni się naród niemiecki, stratom jego w skutek obcego współzawodnictwa zapobiegł najpierw; następnie oświadczył się przeciwko latyfundyom. „Liczba właścicieli ziemskich, są jego słowa, nie jest u nas dostateczną. Powinni o tem najlepiej wiedzieć sami rolnicy. Chciałbym tedy wpłynąć na korzystną dla nas zmianę tego stosunku w przyszłości. Będzie to także miało doniosły wpływ na wybory, a wnukowie nasi używać będą tych korzyści, jeżeli w ogóle jeszcze zachowają się wybory aż do ich czasów. Ale nie to najważniejsze: z wzrostem obszernych majątków, na które tyle powstają socyaliści, nic bliżej nie łączy się, jak właśnie upadek rolnictwa w skutek zbyt niskich cen na produkta gospodarskie. Kto nie chce, aby powstawały latyfundya, nie może obarczać drobnej własności ciężarem podatkowym, który ją przygniata. Zmniejszyliśmy już w Prusiech pogłówne; jeżeli zaś nie zmniejszymy podatku z gruntu i z budynków rolnikowi najdrobniejszemu, to pochłonie go z czasem większa własność. Kto tedy chce przeszkodzić rozrostowi obszernych włości, powinien głosować za podwyższeniem cła od zboża, aby chłop, otrzymując wyższe ceny za swą pracę, mógł z korzyścią obrabiać swój kawałek ziemi. Skoro zaś doprowadzacie chłopa do sprzedania swej własności, ułatwiacie powstawanie latafundyów. Właściciel obszernych włości łatwiej przetrwa niejedno przesilenie, a więc pochłonie drobniejszych właścicieli, którzy tymczasem upadają na siłach lub tracą możność egzystencyi“.

Kanclerz przedstawił następnie szkody, jakie ponosi ogół z rozszerzania majątków poszczególnych. „Owe włości obszerne przechodzą z biegiem czasu w ręce kapitalistów; a skargi nie powstają na rozległe posiadłości, w których przebywają właściciele, ale na mieszkańców Paryża, Rzymu lub Berlina, którzy zdaleka wyciągają z majątków tylko korzyści i reprezentują swych chłopów w parlamencie, a nie wiedzą nic o tem, co się w domu dzieje. To właśnie

najgorsza strona większej własności. Byłoby bardzo źle, gdybyśmy mieli tylko samych rentyerów, którzy zimę i lato przepędzają w stolicach, a do wsi swoich zaglądają chyba na polowanie. Uważam to za dodatnią stronę życia niemieckiego, że znaczna część klas zamożnych żyje u siebie na wsi i gorliwie krząta się koło gospodarstwa. Istne to błogosławieństwo, że ci panowie o twarzach od słońca ogorzałych sami po swoich polach chodzą i jeżdżą, i sprawiają całe gospodarstwo. Niechaj Bóg najdłużej zachowa nam tych gospodarzy, którzy przez cały rok na wsi siedzą, a strzeże przed tymi, którzy dochody z majątków swoich zjadają po miastach. Pierwsi, to filary prowincyj swoich, a gdyby się miało kiedy te filary podkopać lub wstrząsnąć, to szkody stąd wynikłyby nietylko dla rolnictwa, ale i w ogóle dla całego ustroju narodowego".

Ustęp ten posiada doniosłość wielką, a i po za granicami Prus należałoby się nad temi słowami poważnie zastanowić.

W chwili, kiedy niniejsze sprawozdanie kreślę, odbyło się dopiero drugie czytanie nad cłami zbożowemi, ale przypuścić trzeba, że trzecie a ostateczne głosowanie nie zmieni położenia. Mniej ważna część taryfy (między innemi także poprawka względem podwyższenia ceł od drzewa obrobionego i od bydła), została przekazaną osobnej komisyi, ale rzeczą jest pewną, że wspomniany już wydział wszędzie ma głos rozstrzygający. Zwracam wyraźnie uwagę, że przeważna część stronnictwa środkowego (z wyjątkiem przedstawicieli okolic fabrycznych, gdzie rolnictwa niema), głosowała w myśl księcia Bismarka, pomimo to, że zresztą stosunki między centrum a żelaznym księciem są najgorsze; centrum miało na oku korzyść ludności rolniczej, tak samo jak koło polskie.

Dochody będą oczywiście płynęły z podwyższenia ceł. Tymczasem znaczna część tych, którzy głosowali za nową taryfą, nie chce wcale, aby te sumy pozostały w skarbie wspólnym, lecz pragnie, aby zbytecznie obciążone gminy wiejskie doczekały się wreszcie także jakiejś ulgi, bo gdyby ta w bliskiej przyszłości nie nastąpiła, niejedna z gmin nie mogłaby podołać ciężarom publicznym. Członkowie centrum oświadczyli już dawno, że podwyższenie ceł zbożowych nie przyniesie krajowi dostatecznych korzyści, jeżeli po dawnemu skarb wspólny całego cesarstwa zagarnie podniesione dochody na cele swoje, które jak wiadomo, są nieskończone, i zdołają

pochłonąć coraz liczniejsze miliony. Tak było po roku 1879, kiedy zaszła zmiana w polityce celnej. Cła, które parlament uchwalił, miały wyjść na korzyść krajów niemieckich; tymczasem liberalne stronnictwa wraz z rządowemi postarały się o to, że minister wojny niejako wziął do swojej niewoli dochody powiększone, a po „reformie“ był skarb tak pusty jak przedtem. „Wojsko drogo kosztuje!“

Obecnie obawia się stronnictwo środkowe podobnych następstw. Dla tego przedstawił poseł Huene w imieniu stronnictwa tego w sejmie pruskim projekt, podług którego dochody oczekiwane powinny wpływać do kas gminnych. Gminy miałyby udział w tem dobrodziejstwie w stosunku do obszaru każdego powiatu i do liczby ludności. W izbie pruskiej toczyły się już obrady nad tym przedmiotem. Trudno teraz już przewidzieć, jaki będzie wynik ostateczny. Przekazano projekt osobnemu wydziałowi, ale uchwała ta nie znaczy może nic innego jak „uczciwy pogrzeb“; bywało bowiem nieraz tak z projektami, których izba nie chciała wprost odrzucić. Jedynie zachowawcy ścisłego autoramentu okazali życzliwość dla projektu centrum, lecz inni konserwatyści nie chcieli „niepewnemi“ dobrodziejstwy obdarzać gmin, aby nie wzbudzić wygórowanych nadziei. Liberalne koła sprzeciwiały się projektowi. Rząd milczał w pełnej izbie. Ale dziwna rzecz: podczas kiedy minister skarbu von Scholz był dawniej bardzo przeciwny projektowi, teraz oświadczył, że ani sam nie objawi osobistego zdania, ani rządowi nie wiąże rąk żadnem oświadczeniem. Zdaje się, że tu przeważył wpływ księcia Bismarka, który zawsze twierdził, że pragnie gminom ulżyć ciężarów podatkowych. Zobaczymy, co dalej nastąpi. Wspomnę to tylko jeszcze, że baron Huene dochody z nowych ceł zbożowych oblicza na pięćdziesiąt kilka milionów marek.

Pisałem już dawniej o stanowczych zamiarach wprowadzenia podatku giełdowego. W zeszłym roku dość ostro wnosiły nawet rządy, za wpływem pruskiego ministra skarbu, projekt w parlamencie, ale przedłożenie nie przyszło już pod obrady. W obecnej sesyi nie został odnowiony zeszłoroczny projekt. Nie było może bez wpływu na to zbliżenie się ofer rządowych do liberalizmu narodowego. Kiedy teraz zachowawcy wnieśli zeszłoroczny projekt giełdowy, zajął rząd stanowisko bardzo skromne, a choć projekt ten w komisyi znacznie został złagodzony na korzyść bankierów, to jednakowoż nowa pod-

nosi się przeszkoda. Ks. Bismark chce bowiem, aby wprzódy pruska rada stanu wydała sąd swój. Jej głos nie był potrzebnym, kiedy chodziło o podwyższenie ceł zbożowych...

Ani inne ważne sprawy nie zostały jeszcze ostatecznie załatwione, lub nie wyszły z pod obrad komisyjnych. Wymienić tu trzeba wnioski: zapomogi dla parowców zamorskich, pocztowych kas oszczędności, ubezpieczenia dalszych warstw roboczych, ograniczenia roboty niedzielnej i kobiecej i określenia doby roboczej. Wniosek o równouprawnienie polskiego języka w sądownictwie przeszedł poniekąd w wydziale, przynajmniej w cząstce najkonieczniejszej.

Opozycya większości parlamentarnej przeciwko rozszalałej polityce kolonialnej, uwydatnia się coraz bardziej. W Kamerunie chce oczywiście parlament bronić honoru swojej chorągwi i ubezpieczyć własność niemiecką; w tym celu uchwalił ogólną sumę na pokrycie kosztów, ale nie tak będzie z innemi wydatkami. Np. linie parowcowe do Afryki, do Australii, i do wysp Samoa upadną już dla tego samego, że głównie mają służyć polityce kolonialnej; jeżeli przyjęte będą linie do wschodniej Azyi i do Nowej Guinei, to tylko ze względu na korzyści ekonomiczne.

Pisałem wam już, jak rządowe stronnictwa, mimo uznanej potrzeby oszczędności, w żaden sposób nie chciały nic wykreślić z budżetu dla ministerstwa spraw zagranicznych. Wspomniałem o wrzawie, która sztucznie została wywołana, kiedy opozycya odrzuciła żądanie ks. Bismarka, aby w ministerstwie wspomnianem utworzyć nową posadę drugiego dyrektora; na ten cel miał parlament stale przeznaczyć 20.000 marek i 1500 m. dodatku na komorne. Za przykładem „Germanii" nazwano także w parlamencie owo „oburzenie" sztucznem i całą komedyę z niem powiązaną, prostem „kuglarstwem": jednakowoż stało się, com zapowiadał wówczas, i przy trzeciem czytaniu budżetu otrzymał ks. Bismark tyle pożądanego drugiego dyrektora (172 głosami przeciwko 153), bo pewna część liberalnej opozycyi, która dawniej nie brała udziału w głosowaniu, ostatecznie za rządem wystąpiła.

Aby entuzyazm rozbudzony na cześć polityki rządowej nie ustawał, wymyślono inną jeszcze demonstracyę. Pod naciskiem bowiem władz najrozmaitszych i ludzi wpływowych zbierają po całych Niemczech, a nawet za granicą, tak zwany fundusz Bismarka, ma-

jący księciu być wręczonym w dniu 1 kwietnia, na jego urodziny. W ostatnich tygodniach przemysłowcy znaczniejsi zaczęli po prostu zmuszać robotników do składania po kilka trojaczków, lub sami je wytrącają z zarobku „dla prostszego rachunku". Przymus ten objawia się w najrozmaitszych postaciach, a nawet zakłady prywatne nie mają odwagi odmawiać udziału swego. „Berliner Tageblatt" ogłosił niedawno poufne pismo, wystosowane do pruskiej asekuracyi na życie i poufne pismo kierowników tej instytucyi do wyższych członków, aby wszyscy urzędnicy, agenci i t. d. całego towarzystwa składali dobrowolnie po jednej marce na rzecz funduszu Bismarka *„Non olet"*, myślą kierujący demonstracyą i biorą pieniądze, skąd tylko wziąść można. Niemałe panuje w szeregach centrum oburzenie, że w kilku miejscach nawet katolicy dali się namówić do uczestnictwa w podobnych demonstracyach. Prawda, że to tylko jednostki, a do tego urzędnicy; ale oburzenie było tem większe, że pod odezwami podpisanych było zrazu kilku księży; następnie ci cofnęli się, zwłaszcza że własnoręcznie podpisów na odezwach nie położyli.

Rozprawy pruskiej izby poselskiej nie wzbudziły po narzekaniach na niedobór żadnego zajęcia; dopiero przy rozprawach nad budżetem dla wyznań, zwracała publiczność pilniejszą uwagę na obrady sejmowe, a jak to bywa, gorszący wypadek ściągnął największe tłumy na trybuny. Wiadomo, że lekarz dr. Schweninger, osiadłszy dawniej w Monachium, wyleczył księcia Bismarka z otyłości i tem głównie przyczynił się do przywrócenia mu zdrowia. Dr. Schweninger nie jest bynajmniej wynalazcą odnośnej metody leczenia, za pomocą ciągłego ruchu, wielkiej wstrzemięźliwości i jak najzupełniej stałego trybu życia; ale udzielił pomocy. Nie wiedziano prawdopodobnie wówczas o tem, że ów lekarz w r. 1879 za jawne naruszenie obyczajności z żoną kolegi, został skazany na czteromiesięczne więzienie i stratę stanowiska. Wyrokowi poddał się, ale teraz za przysługę kanclerzowi żądał zamiast honoraryum, profesury przy uniwersytecie berlińskim. Minister Gossler był w położeniu bardzo niemiłem. Zrazu nie chciał podobno nominacyi podpisać, ale ustąpił wreszcie; ostatecznie byłby podpisał ktoś inny. Wydziału lekarskiego nie zapytał o zdanie, a kiedy profesorowie opozycyę podnieśli, obstawał przy formalnem prawie swojem. Kiedy się te rzeczy w letnich miesiącach działy, nie mówiono tu o niczem, tylko o Schwe-

ningerze. W sejmie musiała sprawa być poruszoną, bo w budżecie była pozycya „dla profesora dermatologii 3900 marek“. Stronnictwa liberalne, środkowe i polskie podniosły zarzuty, lecz zwyciężyła większość rządowa 41 głosów, bo zachowawcy trzymali się dziwnej zasady, że tylko wolno im głosować nad potrzebą profesury, nie zaś rozciągać wotum do osobistości profesora! Minister Gossler wypowiedział zdanie, że dr. Schweninger ma prawo do zupełnego przebaczenia i profesury nawet berlińskiej, tak wielkie położył zasługi około zdrowia ks. Bismarka i tem samem koło cesarstwa niemieckiego. W izbie opowiadano, że profesor Schweninger podczas rozpraw bardzo drażliwych był obecny na trybunie sejmowej.

Położenia kościelno-politycznego dotknięto przy rozprawach krótko, a to właściwie tylko na jednem posiedzeniu, chociaż katolicy liczne przedstawiali zażalenia. Dr. Windthorst zapytał się wprost ministra Gosslera, w jakiem stadyum znajdują się układy z Rzymem, i czy rząd zamyśla wnieść projekt kościelno-polityczny w ciągu bieżącej jeszcze sesyi, po której, jak wiadomo, nastąpią w jesieni nowe wybory. O układach rzymskich milczał pan Gossler jak zaklęty; oświadczył zaś, że rząd nie wniesie tymczasowo żadnego projektu, zanim nie dowie się, z kim i przeciwko komu przeprowadzić go zdoła. Zdaniem ministra niema pod tym względem zgody w izbie, chociaż wszystkie frakcye wołają pokoju. Windthorst przypomniał panu Gosslerowi, że zachowawcy, centrum i Polacy wspólnie żądali rewizyi ustaw, i że stanowią większość w izbie. Na to minister znowu nie udzielił odpowiedzi, bo kiedy zażądał, aby po przyszłej rewizyi ustaw majowych, katolicy porzucili wszelkie wymagania dalsze, oświadczył przywódzca stronnictwa katolickiego, że o tem mowy być nie może: katolicy nie przestaną na drodze legalnej dopominać się przywrócenia stosunków dawniejszych.

Zresztą zajmowała znowu kwestya polska szerokie miejsce w rozprawach. Już w parlamencie wysunięto ją na pierwszy plan sytuacyi kościelno-politycznej, jakoby ona to położenie komplikowała zasadniczo. Ks. Stablewski wykazał tedy, że ciągła kanonada przeciwko Polakom ma ukrywać zasadniczą walkę przeciwko Kościołowi. Ustawy majowe, które nic — właściwie nie mają do czynienia z polską narodowością, uknuto przeciwko katolikom, przeto cierpią porówno z Polakami także Niemcy katolicy. Kiedy ks. dr. Stablewski oświad-

czył, że Polacy stanowczo porzucili politykę zbrojnych powstań, począł minister tak jak dawniej znowu manewrować wycinkami z gazet i podobnemi rzeczami na dowód, że oświadczenie mówcy polskiego nie odpowiada rzeczywistości. Przytoczył n. p. ustęp z „Tygodnika katolickiego“ z roku 1861, wydawanego przez ks. Prusinowskiego w Grodzisku, twierdząc, że to urzędowy organ zmarłego arcybiskupa Przyłuskiego; upatrywał w tytule prymasowskim wrogie względem Prus usposobienie; narzekał, że pewien proboszcz pozwolił umieścić w kościele obrus napisem: „Ojczyznę, wolność, racz nam wrócić, Panie!“ Minister narzekał także bardzo nad tem, że w Poznańskiem parafie tak zwanym rządowym proboszczom (intruzom) w razie ustąpienia z parafii, nie chcą pozostawiać dochodów proboszczowskich, podczas kiedy w Szląsku to czynią: tak n. p. ustąpił teraz intruz Würtz z parafii Birngrütz, zapewniając sobie „pensyę“ i o to samo układa się Sterba z Lennicy. Cóż więc powie pan Gossler na to, że za przykładem ks. Czerwińskiego dopiero co ks. Kolany bezwarunkowo poddał się władzy duchownej? — Wreszcie usłyszeliśmy też z ust ministra coś o polskich banitach. Oświadczył pan Gossler, że w 18 przypadkach banicyi nie nastąpiła jeszcze decyzya; z tych księży potrzebnje 13 jeszcze ułaskawienia, gdyż na rozmaite kary zostali skazani. Tymczasem podał minister dziwny powód powolnego postępowania rządu. Otóż twierdzi, że powodem zwłoki jest wzgląd na karność. „Dopóki w Poznaniu nie będzie nowego arcybiskupa, który rządy silną ręką sprawować będzie, jest dla rządu bardzo trudno powiększać jeszcze trudności, jakie tam istnieją pod względem karności“. Zostaje tedy wszystko *in suspenso*, aby wywrzeć nacisk na Rzym w celach wiadomych.

Kiedy ks. Jażdżewski zbił wywody ministra, wystąpił ten z nowemi zarzutami. I tak upatruje doniosłość wielką tytułu prymasowskiego w tem, że ks. biskup Janiszewski, przedstawiając w Rzymie ks. kardynałowi Ledóchowskiemu pielgrzymów słowiańskich, nazwał go stróżem nietylko własnej, ale i innej dyecezyi. Powszechną modlitwę kościelną, którą się odmawia po kazaniu, mieli ks. arcybiskup Ledóchowski i biskup chełmiński umyślnie tak ułożyć, że jedynie ją można było zrozumieć o Polsce, nie zaś o państwie niemieckiem, a jednakowoż w tej modlitwie wyraźnie jest mowa

o „cesarzu“, „cesarzowej“ i „cesarstwie“. Minister przytoczył charakterystyczną okoliczność, że rządowi wpadła w ręce korespondencya odnośna obu biskupów, a to w polskim języku, i że tam biskup chełmiński mówi „My Polacy“ a podpisuje się „Marwicz“, *und das sagt ein Marwitz!* Minister przyznał, że korespondencya ta znajduje się w konsystorzu poznańskim, zostającym teraz pod rozkazami komisarza rządowego. Dr. Windhorst zapytał się, jakiem prawem zaglądano do prywatnej korespondencyi, i zażądał, aby ją przedłożono w zupełności, gdyż od zajścia między „Staatsanzeigerem“ a „Przeglądem Powszechnym“ nie dowierza rządowym tłómaczom. Pan Gossler milczał. Poseł Kantak, ks. Jażdżewki i ks. Stablewski zbili zarzuty ministra; przypomniano zresztą, że biskup chełmiński pochodzi z kaszubskiej rodziny, niemającej styczności z Marwitzami brandenburskimi, protestantami.

Rozprawy te nowy dają wyraz usposobienia dla Polaków i wskazują, na czem uwięzła zgoda z Rzymem. Zresztą donosiły dzienniki o nowych kandydatach na stolicę arcybiskupią, którzy, zdaniem powszechnem, nie powinni marzyć o następstwie po ks. arcybiskupie i kardynale Ledóchowskim. Podnieść trzeba, że Ojciec św. powierzył kardynałowi naszemu nową a ważną godność, mianując go sekretarzem brewiów po śmierci kardynała Chigi. Pogłoskom o układach zasadniczych między Schloezerem a kardynałem Jacobinim, trudno dać wiarę.

Zresztą stosunki kościelne nie zmieniły się. W archidyecezyi kolońskiej porzucono myśl powszechnego prześladowania księży młodych; podobno tylko w dwóch wypadkach dochodzono tego, czy owi księża nie przywłaszczyli sobie „urzędu proboszczowskiego“. Podobne rzeczy dzieją się w Poznańskiem, gdzie komisarz rządowy bardzo z tego niezadowolony, że młodzi księża mieszkają na plebaniach w osieronych parafiach, i za to karze dozory kościelne. Do parafii, gdzie dawniej fungował ks. Czerwiński, dojeżdża teraz z nabożeństwem ks. wikary z sąsiedztwa; otoż i jego posądzają, że przywłaszcza sobie zarząd osieroconej parafii. Ks. Zmura, pleban w Gogolewie, został oskarżony za to, że w sąsiedniej parafii, gdzie intruz mieszka, sześć osób na śmierć dysponował. Ostatnia ustawa kościelno-polityczna zezwala na takie funkcye, byle nie zachodził przypadek „przywłaszczenia urzędu“, a jednakowoż śledztwa i skargi.

W Limburgu obrano po śmierci ks. Bluma nowego biskupa w osobie kanonika i proboszcza miejscowego księdza Roos. Rząd może biskupa uwolnić od przysięgi na ustawy majowe i oczywiście przyrzekł to z góry, bo inaczej nie mógłby nowy biskup nawet przez króla być uznanym. Podobnież działo się ze wszystkimi biskupami, którzy w ostatnich latach zostali mianowani. Zwracam uwagę, że tym razem po raz pierwszy po ustawach majowych nastąpił wybór biskupa przez kapitułę; w innych przypadkach nominował papież w porozumieniu z rządem.

Konferencya w sprawie Kongo została wreszcie zamkniętą. Główne jej rezultaty są: wolny handel w całym obszarze rzeki Kongo, wolna żegluga na rzekach Kongo i Niger i ustanowienie norm, jakie przy późniejszych okupacyach ziem afrykańskich państwa odnośne mają zachowywać. Za najważniejszą czynność uboczną, pozakonferencyjną mocarstw, uważać można wyjednanie części wybrzeża z dogodnym portem dla *Association internationale africaine.* Stowarzyszenie to wybuduje od tego portu kolej żelazną aż do punktu, gdzie Kongo poza kataraktami zaczyna być spławną. Drugą ważną czynnością pozakonferencyjną, było uznanie wspomnianego Stowarzyszenia jako udzielnego państwa. Państwo to w myśl dalszych zamiarów ma być królestwem konstytucyjnem, a król Belgów Leopold jego pierwszym królem z rezydencyą w Brukselli. Zrazu zdawało się, że w izbie belgijskiej nie będzie można zebrać potrzebnych 43 głosów przyzwalających na takie urządzenie, dziś ma tam wiać wiatr pomyślniejszy; Stanley mianowanym zostanie namiestnikiem królewskim.

Całe to dzieło do skutku przyszło pod potężnym wpływem ks. Bismarka, mimo licznych przeszkód, a mianowicie zaciętego oporu Portugalii, o którym wspomniałem w ostatniem sprawozdaniu. Po odbyciu ostatniego posiedzenia konferencyi przesłał król Belgii kanclerzowi list własnoręczny z podziękowaniem za usługi, jakie przez zwołanie konferencyi oddał cywilizacyi. Mocarstwa mają się między sobą porozumieć na drodze dyplomatycznej o tem, kiedy nastąpi organizacya międzynarodowej komisyi, dla nadzoru wolnej żeglugi na rzece Kongo, i kiedy ta komisya powinna rozpocząć swoje czynności.

X.

O postępie na Łotwie.

I. Czasopisma łotewskie.

Czasopism łotewskich obecnie wychodzących główniejszych jest jedenaście:

1) *Łatwieszu awizes* (Łotewska gazeta), polityczno-literacko-teologiczny tygodnik, wychodzący w Mitawie (Jełgawa). Organ miejscowego łotewskiego literackiego Towarzystwa. Redaktorem jest luterański pastor v. Peitanas. W ostatnich latach swojego istnienia stał się przeciwnikiem narodowych łotewskich dążeń. Począł wychodzić w 1821 roku. Jeżeli jest to pierwsze łotewskie czasopismo, to wyprzedziło ono pierwsze litewskie *Pasiuntinistes laiszkai*, które poczęło wychodzić w Królewcu od 1832 roku, o lat jedenaście później. Ma koło 2.000 prenumeratorów.

2) *Májas wiesis* (Domowy gość), polityczno-literacki tygodnik. Począł wychodzić w Rydze w 1855 roku, pod redakcyą Ansas'a Leitanas'a. Obecnie redaguje go drukarz p. Ernest Plates. Tygodnik ten w początkach swojego istnienia miał bardzo wielu dzielnych pisarzy; rozwinął się w prędkim czasie i przez to pozyskał bardzo pokaźne stanowisko w oświacie pomiędzy Łotyszami. Z czasem jednak przeżył się i stracił swoją pierwotną sławę. Czasami tylko zdolnym jest okazać, że umie pracować na pożytek narodu. Brakuje mu cywilnej odwagi i wytrwałości. Ma koło 2.500 prenumeratorów.

3) *Baltijas wéstnesis* (Poseł prowincyj baltyckich). Najpokaźniejsza polityczno-literacka codzienna gazeta, wychodząca w Rydze od r. 1869, pod redakcyą radcy dworu, p. Bernharda Diriks'a. W porównaniu z innemi łotewskiemi, najwięcej zajmuje się Litwą. Ma koło 4.500 prenumeratorów.

4) *Balss* (Głos), polityczno-literacki tygodnik, wychodzący w Rydze od 1878 r., pod redakcyą adwokata niemca, p. Aleksandra Webera. Śmiało obstaje za łotewskiemi interesami i dopomaga inteligencyi do podniesienia oświaty w tym narodzie. Ma koło 6.300 prenumeratorów.

5) *Baltijas zemkùpis* (Wieśniak prowincyi baltyckich), polityczno-rolniczo-literacki tygodnik w patryotycznym duchu wycho-

dzący od r. 1874 w Rydze, pod redakcyą kupca Andrzeja Abrantas'a. Ma koło 700 prenumeratorów.

6) *Łatwietis* (Łotysz), polityczno-literacki tygodnik, wychodzący od 1882 r. w Lipawie (Liepoje), pod redakcyą nauczyciela K. Ukstinias'a. Ma koło 1.000 prenumeratorów.

7) *Arajs* (Oracz), rolniczo-polityczny tygodnik, wychodzący od 1882 r. w Rydze, pod redakcyą agronoma Lepewiczius'a. Ma koło 200 prenumeratorów.

8) *Ewangelists* (Ewangelista). Organ tygodniowy baptystów, wychodzący w Rydze od r. 1881, pod redakcyą pastora baptystów, J. Rumberga. Ma koło 1.000 prenumeratorów.

9) *Tėwija* (Ojczyzna), polityczno literacki tygodnik, wychodzący od r. 1884 w Rydze, pod redakcyą nauczyciela J. Krauklis'a. Ma koło 500 prenumeratorów.

10) *Růta* (Skarb), literacko-naukowy illustrowany tygodnik, wychodzący od r. 1884 w Rydze. Redaktorem jest adwokat J. Klawinias. Ma koło 2.000 prenumeratorów.

11) *Austrums* (Wschód). Miesięcznik naukowo-literacki, wychodzący w Moskwie od 1885 r., pod redakcyą lektora miejscowego uniwersytetu J. Welme.

Gdy *Łatweszu awizes* i *Májas wiesis* nie redagowały się tak, jak pragnęli oświeceni Łotysze, wtedy najdzielniejsze siły literackie nie chcąc być bez czynności, założyły w 1862 r. w Petersburgu *Peterburgas awizes* (Petersburska gazeta). Pismo to było bardzo patryotycznem i pożytecznem. Obstając jednak za interesami swojego narodu, znalazło wkrótce nieprzyjaciół, którym duchowy kierunek Łotyszów nie podobał się. Ci oskarżyli to pismo przed władzą, która wzbroniła dalszego wydawnictwa jego 1864 roku.

II. Szkoły.

We wszystkich luterańskich gminnych i parafialnych szkołach w całej Kurlandyi (Kurzeme) i w południowej części Inflant (Widzeme), gdzie mieszkają Łotysze w powiatach: ryskim, wolmarskim, wendeńskim (Kesiu) i walkskim, językiem wykładowym jest łotewski. Łotysze wschodniego obrządku uczą się w swoich szkołach po łotewsku i rosyjsku. Zamieszkali zaś Łotysze katolicy w powiatach: dynaburskim, reżyckim (Rezeknes) i lucyńskim (Ludzes) w gubernii

witebskiej, tylko po rosyjsku. Kilka szkół łotewskich ma bardzo obszerny program. Naprzykład w Sen-Piebalga, w wendeńskim powiecie, luterańska parafialna szkoła ma taki program, jaki może mieć tylko progimnazyum.

Ryskie łotewskie dobroczynne Towarzystwo utrzymuje swoim kosztem trzyklasową szkołę dla dziewczynek, a *Ryskie Łotewskie Towarzystwo* dwuklasową szkołę dla tychże, z łotewskim językiem wykładowym. Oprócz tych początkowych szkół, Łotysze mają jeszcze dziewięć szkół marynarki z wykładowym swoim językiem. Inne wyższe szkoły w Łotwie mają za język wykładowy rosyjski lub niemiecki. Jednakże tu niemieckie szkoły liczebnie nad rosyjskiemi przeważają. Prowincye nadbałtyckie (Kurlandya, Inflanty, Estonia) cieszą się pewną autonomią w Rosyi i z tego powodu miejscowe języki jako wykładowe są tolerowane, gdy przeciwnie Łotysze i pokrewni im Litwini, zamieszkali za obrębem prowincyi, mają za wykładowy język tylko państwowy, a język rodowity nawet jako przedmiot nie jest w szkołach wykładanym. Wyjątek w tem niejaki mają Litwini w maryampolskiem i suwalskiem gimnazyum w byłem województwie trockiem w. k. litewskiego, dziś zaliczonem do królestwa polskiego, gdzie język litewski wykłada się jako przedmiot.

Nie od rzeczy będzie wspomnieć, że Łotysze do tego stopnia posunęli swoją naukową literaturę, że mają książki w krótkości spisane we wszystkich gałęziach wiedzy, tak, że się mogą wykształcić nie znając innego języka, oprócz rodowitego.

W 1884 roku latem zjechali uczeni Łotysze z całej Rosyi do Rygi i ostatecznie tam postanowili wprowadzać nową pisownię dla swojego języka i zamieniać dotychczas używane niemieckie litery na łacińskie, i to nie jednorazowo, ale stopniowo. Książki łacińskiemi literami drukowane, a mianowicie uczeńsze i nowsze, w obecnym czasie widzieć już można. Niema tygodnia, aby kilka książek łotewskich nie drukowano. Tak postęp literatury i oświaty pomiędzy Łotyszami w obecnej chwili jest bardzo szybkim.

Mieczysław Dowojna-Sylwestrowicz.

Duchowieństwo włoskie w obec naukowej wystawy w Turynie w r. 1884.

Popęd ku nauce, jaki duchowieństwu dał Ojciec św. Leon XIII, wykazujący zgodę gruntownej nauki z religią, rozumu z wiarą, znalazł rzeczywisty wyraz publicznego uznania na naukowej expozycyi w r. 1884 w Turynie. Wystawę tę uorganizowano przecież, nie w tym celu niewątpliwie, aby popierać prace i interesa duchowieństwa katolickiego we Włoszech. Owszem *Civilt'a* i inne katolickie organa dały wyraz licznym skargom na krzywdzące uchylanie lub upośledzanie wszystkiego, co od Kościoła pochodziło. Mimo to jednakże duchowieństwu przyznać musiano pierwszeństwo w nagrodach za studya i przedmioty naukowe, wystawione na narodowej expozycyi w Turynie.

„Pierwszą rzeczą uderzającą każdego, co zwiedzał wystawę, pisze X. Meric, w swem sprawozdaniu [1], jest wielka liczba przedmiotów naukowych, wystawionych przez włoskie duchowieństwo. Patrząc na tak piękne i mnogie okazy, nabiera się przekonania, że duchowieństwo włoskie nie odosobnia się od społeczeństwa, że bierze owszem czynny i umiejętny udział w życiu wewnętrznem kraju, to jest w naukach, sztukach pięknych i wynalazkach, zjednywający mu powszechny szacunek i zasłużone uznanie, które rewolucya była podkopała, i dziś jeszcze duchowieństwu odebrać pragnie".

Przypatrzmy się z X. Meric liście księży, którym przyznano nagrody na wystawie w Turynie. W oddziale nauk fizycznych i astronomicznych, przyznano medal złoty O. Cechi dyrektorowi obserwatoryum we Florencyi, za jego narzędzie simometryczne (tak nazwane są przyrządy, przeznaczone do wykazywania wstrząśnień ziemi), również medal złoty za jego konduktory i studya o gwiazdach spadających. Dodać tu winniśmy, że ten sam O. Cechi jest wynalazcą ruchomego barometru, któremu przyznano wielką nagrodę na wystawie paryskiej. X. Cosimo de Giorgi, otrzymał również medal złoty za swe studya i okazy z dziedziny jeografii fizycznej. Przyznany

[1] Duchowieństwo włoskie w obec wystawy narodowej w Turynie. „Revue du monde catholique 15 décembre" 1884.

także został medal złoty X. Józefowi Marcelli, za jego prace nad wybuchami wulkanicznemi i trzęsieniami ziemi. Tenże sam medal złoty X. Aleksandrowi Scipieri, za studya simograficzne. X. Maksymilianowi Teno, dyrektorowi obserwatoryum w Wenecyi, za studya nad błotami i topieliskami. X. Antoniemu Bonino, dyrektorowi zakładu naukowego w Iwrei (Piemont), za przyrządy mechaniczne, wykazujące z największą dokładnością dzień w dzień i w każdym miesiącu ilość deszczów, światla i wilgoci w powietrzu.

Srebrne zaś medale otrzymali X. Piotr Maggi i Jan Valante, dyrektorowie obserwatoryów w Piemoncie, za prace meteorologiczne. Anemograf, mający szczególną wartość i na wystawę przysłany przez X. Poggi, profesora fizyki w kolegium w Sawonnie, otrzymał również tę samą co poprzedzające okazy nagrodę. Niemniej w tymże samym oddziale otrzymali podobne nagrody dyrektorowie zakładów naukowych w Salmes, Aquila i Aosta.

„Nieskończylibyśmy naszego sprawozdania z wystawy, mówi X. Meric, gdybyśmy zapisywać mieli imiona wszystkich wystawców księży, którym przyznano inne mniejsze nagrody; kapłani ci jednak wiedzą doskonale, że studya teologiczne i prace koło zbawienia dusz, są głównem stanu kapłańskiego zadaniem; wszelako nie gardzą świeckiemi naukami, ba! stoją na czele naukowych zakładów we Włoszech, i właśnie dlatego, znajdują powszechny szacunek i poważanie u tych nawet, co są z gruntu nieprzyjaciółmi ich duchownego stanu i katolickiej religii. Gdym widział ich prace i poznał tych profesorów jeografii, matematyki, mechaniki, fizyki, chemii, astronomii, meteorologii, przeznaczonych do nauczania młodzieży w kolegiach i uniwersytetach włoskich, największą czcią przejęty zostałem dla biskupów Italii, posiadających tak wielką znajomość potrzeb i obecnego kierunku spraw Kościoła św.; a nie miałem dość słów na złożenie mego uwielbienia w obec tych księży uczonych, a tak uprzejmych i łagodnych, względem nawet tych, od których znoszą prześladowania. W tem też ich głęboko religijnem usposobieniu dopatrzeć i uznać musiałem najpewniejsze środki, oddziaływające szczęśliwie na umysły młodzieży i starszych i naprowadzające na dobrą drogę tych nawet, co chcą religię zastąpić wiedzą materyalną i używać własnego rozumu na zaparcie się Boga“.

Sekcya antropologiczna i mechaniczna miała też swych znako-

mitych w duchowieństwie przedstawicieli. X. Dominik Chirerici, dyrektor muzeum Reggio-Emilia, wystawił na widok publiczny zbiór najciekawszych odwiecznych kamieni, bronzów, żelaza, za co złoty medal otrzymał. X. Antoni Parazzi, proboszcz z Viedonny, za swe okazy przedpotowe, otrzymał również wielką nagrodę. W sekcyi mechanicznej przyznano X. Ludwikowi Cerebotani, profesorowi w Weronie, medal za jego trzy telometry, mierzące szybko odległości okiem dojrzane, za co otrzymał był już poprzednio w Londynie medal złoty. Dominikanin O. Embriaco, posiadający najznakomitszą znajomość praw mechaniki, wystawił swe hydrometry i regulatory, za co otrzymał także złoty medal. Ten uczony zakonnik znalazł sposób zastosowania wody bieżącej, dla wyznaczania godzin, niezależnie od temperatury powietrza. Jego najdokładniejsze zegary, poruszane wodą, używane są od kilku lat w Rzymie na Monte Pincio, i we wszystkich większych miastach włoskich. Trzy medale przyznano jeszcze następującym wystawcom: X. Henrykowi Paglia, profesorowi fizyki w Mantui, dyrektorowi obserwatoryum w Bolonii, i ojcom Salezyanom, dyrektorom zakładu naukowego Pie w Montevideo.

Żyje dotąd, wielkiej wziętości używający, sędziwy kapłan, który przyczynił się niesłychanie do obudzenia naukowego zapału w młodem duchowieństwie, a nim jest O. barnabita Denza, fundator i dyrektor obserwatoryum w Monsalieri, niedaleko Turynu. „Nic nie wiemy we Francyi, pisze X. Meric, o pracach i zasługach tego niezmordowanego uczonego kapłana, co z bezinteresownym zapałem, a siłą swego naukowego geniuszu, stworzył zakłady naukowe we wszystkich stronach Włoch, obudził w duchownych zamiłowanie nauk, upowszechnił ją, roświecił i potrafił przekonać księży o jej potrzebie, ciepłem swego rozumu i serca“. Należy się też rzeczywiste uznanie miejscowej władzy za wybór O. Denzy na prezesa sądu wystawy w Turynie. Co dzień też podczas wystawy widziano O. Denzę, obznajmiającego zwiedzających ją Włochów i cudzoziemców z pracami i wynalazkami ludzi nauki, których był po większej części doradzcą i nauczycielem.

Ale nie dość na wykazaniu tego licznego zastępu uczonych kapłanów, znanych powszechnie z umiejętności swej w całych Włoszech; duchowieństwo parafialne poszczycić się może także otrzymanemi medalami, za okazy odnoszące się do prac i ulepszeń w gospodar-

stwie, ogrodnictwie, pszczelnictwie, jedwabnictwie, i w wielu wynalazkach, a mianowicie metody nauczania pozbawionych wzroku i słuchu. Sławny Dom Bosco, opiekun i dobrodziej tylu opuszczonych dzieci, zorganizował w sekcyi pracy wystawę przedmiotów, które obudziły w zwiedzającym ją ministrze Grimaldim najżywszą ciekawość. Między innemi znajdował się tu dowcipny przyrząd machin, wykonywający cały przebieg zatrudnień potrzebnych, aby książka dostać się mogła do księgarni. A zatem machiny, odbijające pierwotny rękopism, niemniej pomocnicze drukarskie, odbijające obrazy, układające papier, składające, wyciskające i ozłacające książki. Dom Bosco zrozumiał wartość dowcipnej pracy, wynalezionej przez X. Ghiovenelli, zastosował ją przeto najpierw w licznych swych warsztatach, a potem wystawił na widok publiczny. Wypada nam tu też wspomnieć o X. Vescoz, proboszczu w Pont-Saint-Martin, którego piękne reprodukcye grup: Montrose, Montblanc i Wielkiego Paradisu, podziwiała cała zgromadzona publiczność.

Są rzeczywiste powody, mówi X. Meric, tego ruchu naukowego w duchowieństwie włoskiem. Nie jest ono bowiem wystawione tak, jak nasze we Francyi, na nieporozumienia wewnętrzne, polityczne, które wpływ jego u nas osłabiają. Duchowieństwo włoskie nie marnuje ani sił, ani czasu, na sprzeczki drażliwe, nieprzynoszące żadnej korzyści interesom Kościoła we Francyi. Duchowieństwo włoskie przechowało ducha jedności, przez co spożytkować mogło swe zdolności naukowe, a nie zapomniało nigdy głównego zadania w swem powołaniu, to jest ćwiczenia się w teologicznych i filozoficznych naukach. Duchowieństwo włoskie znalazło w swych biskupach mądrych kierowników, pozbawionych zestarzałej rutyny w sprawach tak duchownych jak i biurokratycznych, stojących na wysokości obecnego położenia, i wiedzących doskonale, jakie niebezpieczeństwo grozi Kościołowi. Przyzwyczajeni do ciągłej czujności, ci mężni biskupi niczego nie zaniedbali, aby utrzymywać i krzewić życie w Kościele, pomimo smutnego położenia, w jakiem się znajdują. Przykładami zaś cnót i poświęcenia, utrzymali wpływ i powagę dla swej władzy; a tak duchowieństwo całe zsolidaryzowało się ze swymi naturalnymi pasterzami. Biskupi włoscy rozniecili w duchowieństwie swojem zamiłowanie do nauk, utworzyli nawet własnym kosztem zakłady naukowe, a kler czując się popartym przez swych

zwierzchników, odpowiedział godnie ich zaufaniu, oddając się z zapałem wszelkiego rodzaju naukom; a ten zwrot szczęśliwy umysłów budząc dążności i przedsięwzięcia, otworzył duchowieństwu nowe pole do zasługi. Faktem jest bowiem niezaprzeczonym, że za gorliwością i światłem biskupów idzie mądre, uczone duchowieństwo; a za światłem duchowieństwem, znajomość prawdziwa interesów chrześcijańskich w społeczeństwie. Tam, gdzie niema mądrych, uczonych duchownych, tam też nie może być znajomości prawd, zasad, obowiązków, a nawet przywiązania do istoty bytu i spraw Kościoła św.

Znakomici też pisarze włoscy wskazali duchowieństwu drogi, jakich trzymać się mają, dla krzewienia wiary. Wspominamy tu o X. prałacie Talamo, profesorze rzymskim, co wykazawszy w wielkich zarysach postępy nauk przyrodniczych, tak się wyraża: „Wśród obecnego rozwoju nauk, a warunków życia dzisiejszych społeczeństw, jest rzeczą niezbędną dla filozofa, umieć czytać w życiu powszechnem myśli współczesnej. Jest zatem obowiązkiem dla niego znać myśl tę, studyować ją w rozmaitych jej objawach, aby módz jej dać słuszny i sprawiedliwy kierunek". Monsignor Talamo żąda, aby od uczącej się filozofii w uniwersytetach młodzieży, wymagano rozległych wiadomości, tyczących się dzisiejszych spraw społecznych. „Filozofii bowiem rzeczą jest, zabrać głos w tym przedmiocie, i rozstrzygnąć kwestye wielkich dyskusyj społecznych".

X. Talamo, jest uczniem św. Tomasza z Akwinu, a sposób, w jaki przemawia, jest głosem mistrza. W społeczeństwie zwłaszcza dzisiejszem, jednostronnie wykształconem, pojmującem przedewszystkiem to, co dostrzeżone okiem, lub namacalne ręką, nie można inaczej obudzić wiary i poczuć moralnych, jak tylko przy pomocy szerokiej i na filozofii opartej nauki. W tej myśli ostatniemi czasy powstało tyle wszechnic katolickich; i u nas, dzięki wyższej myśli i troskliwości naszego biskupa, w starej wszechnicy Jagiellońskiej, stanęła katedra filozofii św. Tomasza. W Bogu nadzieja, że owoce tego umysłowego ruchu się rozmnożą.

S. G.

Muzeum Narodowe w Krakowie wydało odezwę, którą, według jego życzenia, czytelnikom naszym udzielamy:

W d. 11 września 1883 r. w przededniu uroczystego obchodu 200-letniego jubileuszu Odsieczy Wiedeńskiej, otwartym został w Sukiennicach przybytek dla sztuki polskiej w całym jej historycznym rozwoju: Muzeum Narodowe w Krakowie.

Otwarcie to symboliczne niejako instytucyi, której zawiązek dzięki wspaniałomyślnej ofierze Henryka Siemiradzkiego i innych artystów polskich, zebranych na jubileusz J. I. Kraszewskiego, datował już od lat paru, lecz która potrzebowała przejść przez konieczne stadyum organizacyi, już wtedy znalazło najsympatyczniejsze przyjęcie w kraju całym, rokujące trwały rozwój instytucyi.

Komitet muzealny wraz z Zarządem dokonawszy tych prac organizacyjnych, mianowicie urządzenia odpowiedniego lokalu muzealnego i skompletowania możliwej jak na początek liczby prac naszych artystów, jużto drogą ofiar, jużto kupna zebranych — przystąpił do stanowczego otwarcia dla publiczności Muzeum Narodowego.

Komitet korzysta z tej sposobności, aby w imię najszlachetniejszych haseł: bo miłości piękna i zabytków krajowych, odezwać się do Rodaków miłujących sztukę polską w jej najszerszym zakresie o należne poparcie dla nowo powstałego Muzeum.

Wykazywać cele i doniosłość podobnej instytucyi dla rozwoju ducha narodowego, i własnego samopoznania w sferze twórczości artystycznej, teraz mianowicie, gdy sztuka polska świeci takim blaskiem kilku pierwszorzędnych mistrzów i dostąpiła uznania nawet u obcych i uprzedzonych do naszej narodowości, byłoby, zdaje się, zbytecznem.

Ograniczamy się przeto na wskazaniu kierunku, w jakim Muzeum Narodowe w Krakowie w przyszłości rozwijać się winno i wyliczeniu szeregu darów lub nabytków, jakie dla Muzeum byłyby najbardziej pożądanemi.

Muzeum Narodowe w Krakowie przyjmuje lub nabywa do swoich zbiorów:

Obrazy i rzeźby (w trwałym materyale) żyjących polskich artystów i tych z przeszłości, których imiona przechowała historya sztuki w Polsce.

Obrazy i rzeźby średniowieczne i epoki odrodzenia, pochodzące z kościołów i cerkwij ziem polskich, a uledz mogące zniszczeniu.

Rzeźby w odlewach z gipsu lub w innym trwalszym materyale ważniejszych zabytków polskich od XII. do końca XVI. wieku.

Rysunki własnoręczne i akwarelle żyjących i dawniejszych artystów polskich.

Portrety miniaturowe na kości słoniowej osób polskich i miniatury średniowieczne na pergaminie malowane.

Starożytności krajowe, o ile noszą charakter sztuki.

Ryciny, drzeworyty, litografije polskich rytowników lub reprodukcye obce, ale treści polskiej.

Medale polskie, odciski lub oryginały i pieczęci średniowiecznych polskich.

Projekta architektoniczne znakomitszych architektów polskich żyjących i zmarłych.

Dawne portrety artystów i znakomitych osób polskich bez względu na artyzm.

Dzieła sztuki obcej, o ile mają rzeczywistą wartość artystyczną.

Książki, broszury i publikacye obrazkowe, odnoszące się do dziejów sztuki w ogóle.

Muzeum chętnie przyjmuje depozyta dzieł sztuki za uprzedniem porozumieniem się z Zarządem a pod gwarancyą gminy m. Krakowa.

Wszelkie dary pieniężne i zapisy na rzecz Muzeum Narodowego włączane będą do ogólnych funduszów muzealnych, administrowanych odrębnie przez gminę m. Krakowa.

Kraków dnia 1 stycznia 1885.

Następują podpisy *Członków komitetu muzealnego.*

Zarząd: Dyrektor *Wład. Łuszczkiewicz.*

Kustosz i Sekretarz *T. Nieczuja-Ziemięcki.*

Dwie nowe Gazety

(Mir i Wielkopolanin).

W ciągu ubiegłego miesiąca zaczął wychodzić we Lwowie ruski dziennik, wydawany trzy razy w tygodniu, poświęcony sprawom politycznym, kościelnym, ekonomicznym i belletrystyce pod nazwą „Mir".

„Już sama nazwa, mówi program, zaznacza dążenia dziennika i zasady, jakie mu będą przewodniczyć nadal w sprawach narodowych i publicznych; a teraz z całą siłą wypowiadamy, że nie obłudą i sianiem niezgody, ale tylko drogą zamiłowania pokoju i dodatniej pracy na polu narodowego dobra zdołamy dźwignąć swoje społeczeństwo z tej przepaści polityki bez wyjścia, w jaką ono wpadło, szczególnie, odkąd rzuciło się w wir stronniczych walk, stawiając osobiste i uboczne względy, wyżej od wzniosłej po przodkach naszych spuścizny. Dumni z odziedziczonej po praojcach godności Rusi, wznosimy się po nad poglądy stronnictw i wysoko podnosimy sztandar, na którym wypisane godło: Miłość dla naszej ojczyzny i katolicko-ruskiego narodu, oddanie się św. rzymskiej Stolicy, z którą nas wiąże nierozerwalny węzeł Unii, wierność dla domu rakuskiego, który dźwignął ruskie duchowieństwo i naród do ich właściwego znaczenia. W imię tych znamion, przystępujemy do wydawania dziennika „Mir" z tą mocną ufnością, że społeczeństwo nasze z radością powita nowe pismo, co stawia sobie za cel dążenie do miru..."

Słusznie się tego spodziewa występujące z takim programem pismo. Nietylko ruskie, ale i polskie społeczeństwo z radością wita Mir. Niektóre dzienniki, oddając hołd podniosłości programu, okazały zrazu pewną wątpliwość co do sposobu, jakim redakcya zechce ten program zrozumieć i wypełnić. Nie dzielimy tych wątpliwości. Upewnia nas opieka dostojnych Arcypasterzy Rusi, którą Mir się chlubi; upewnia nas także tradycya poprzednika Miru, „ruskiego Syonu", który, zwłaszcza w ostatnich czasach, głębokie religijne i obywatelskie przekonania z godną uwielbienia stanowczością wypowiadał, mężnie stał „przeciwko obłudzie i rozsiewaczom niezgody", a

więc wypełniał już czynem co „Mir“ obiecuje. Dodać możemy, że wydane dotychczas numera „Miru“ odpowiadają prawdziwie jego programowi: polityczne artykuły spokojne i poważne, ekonomiczne kwestye kraju, starannie i ze znajomością rzeczy traktowane, dobór wiadomości wszelkiego rodzaju tak bogaty, jak rzadko bywa w gazecie tych rozmiarów; belletrystyczna część zostawia może nieco do życzenia pod względem treści, ale odznacza się ślicznym językiem. Życzymy powodzenia na tej drodze.

Podczas kiedy na jednym końcu naszego kraju zjawienie się „Miru“ zaprząta umysły, na drugim końcu „Wielkopolanin“ coraz szersze zdobywa podstawy. Wychodziło już od paru lat w Poznaniu pod tym tytułem pisemko dla sfer mieszczańskich i walczyło mozolnie z niezdrowemi wpływami przez prasę wątpliwej tendencyi rozsiewanemi. Wtem, z początkiem b. roku dowiadujemy się, że Wielkopolanin powstaje jako gazeta codzienna, zalicza do współpracowników dobór młodych, ale dzielnych sił, wywiesza sztandar: za Kościół i Polskę — (co więcej jeszcze mówi niż: za wiarę i kraj) i — co podziwienia godnem — ta gazeta codzienna kosztuje 2 złr. rocznie! (80 fen. w Poznaniu, 1 markę na prowincyi, kwartalnie).

Dowód, pocieszający w złej doli, że i u nas są ludzie umiejący się zdobyć na czyn.

Umie też dzielna Redakcya wypełniać swój piękny program. Artykuły polityczne pisane z tą wytrawnością, jaką daje Wielkopolanom długoletnia szermierka na arenie parlamentarnej, a przytem z jasnością i prostotą, jakiej wymaga interes szerszej, głównie mieszczańskiej publiczności. Jeszcze może świetniejsze są artykuły ekonomiczne. Te arcytrudne zagadnienia, które tyle innych gazet zbywa pobieżnem donoszeniem, że jeden poseł przemawiał za cłem ochronnem, drugi przeciwko, że w jednem miejscu przesilenie cukrowni, w drugim zmowa robotników — jak gdyby rozumienie tych właśnie kwestyj nie obchodziło ogółu narodu! — te zagadnienia „Wielkopolanin“ podejmuje gruntownie i tłumaczy tak dobitnie i przystępnie, że ktokolwiek czytać umie, może się w nich sam przez się orientować. Wreszcie strona literacko-artystyczna, zamiast nowelek wątpliwej wartości, zastąpiona jest pięknemi i żywemi opowiadaniami z historyi polskiej, najzdrowszym dla ludności pokarmem.

„Wielkopolanin“ nie kaptuje publiczności frazeologią liberalną pieprzem zakulisowych wiadomostek i t. p. środkami, ale światłem, jakie daje o rzeczach najrealniej obchodzących ludność, i ciepłem katolickich uczuć, które zawsze do serca narodu naszego trafia. Pojęcie np. „pracy organicznej“ tłumaczy on najgruntowniejszym a oraz najprzystępniejszym dla ogółu wyrazem: „drogi modlitwy i pracy“. „Na przeróżnych drogach, czytamy w artykule wstępnym, próbowaliśmy powrócić do tego polskiego raju (dawnego szczęścia ojczyzny); ale daremnie, bo nie trzymaliśmy się dość ściśle drogi modlitwy i pracy. Oby wytrwałość na tej drodze, skromnej prawdzie, lecz jedynie wiodącej do celu, nie opuszczała nas nigdy; oby synowie wszelkiego rodzaju ciemności i prorocy fałszywi nikogo z nas nie zdołali sprowadzić z niej na manowce“.

Trudno z góry przepowiedzieć jakie czekają losy „Wielkopolanina“, bo któż przewidzi, jakich środków użyją urzędowi i nieurzędowi wrogowie wszelkiej rzetelnej pracy na naszej niwie? Ale, o ile od niego zależy, „Wielkopolanin“ ma wszelkie warunki powodzenia. Taką pracą zasługuje się na wdzięczność narodu i na nagrodę u Boga.

X. Maryan Morawski.

Kilka słów o „Nowej doktrynie“.

„Zaczynamy się nakoniec dobierać do zasad ostatecznych w naszych politycznych przekonaniach“, pisze nam jeden z naszych przyjaciół o artykule p. Bobrzyńskiego pt. „Nowa doktryna“ (w zeszycie marcowym Przeglądu Polskiego). W istocie autor tego artykułu biorąc assumpt z historycznej recenzyi p. Lisickiego o jego książce Jan Ostroróg[1], rozszerza i pogłębia od razu kwestyę, przenosząc ją z polemiki o zdania osobiste na pole dyskusyi zasad. W rzeczonej recenzyi upatruje on objaw „Nowej doktryny“ mającej swoje filozoficzne pomysły, i swoje historyczne poglądy, a poza p. Lisickim widzi grono innych pisarzy, „którzy tę samą doktrynę dobitniej jeszcze wyłuszczą“.

---

[1] *Przegl. Powsz.* 1885 Luty, str. 269.

Nie poczuwamy się do zaszczytu stanowienia wyłącznego organu tej nowej doktryny. Ponieważ jednak p. Bobrzyński miał widocznie na oku kilka artykułów w naszem piśmie drukowanych, i ponieważ wytyka zasady i poglądy, do których w części się rzeczywiście przyznajemy, w części zaś takowe odeprzeć musimy, winniśmy dać pewne w tej mierze wyjaśnienia. A choćby też nie było wcale o nas mowy, w każdym razie takie roztrząśnienie doniosłych zagadnień, przedmiotowe i zasadnicze, jakie p. Bobrzyński wzniecił, posłużyć tylko może prawdzie, a tem samem sprawie, której wszyscy służyć chcemy.

Czemże więc jest ta nowa doktryna? Charakteryzuje ją p. Bobrzyński, jako *sui generis* konserwatyzm, walczący z ideą państwa nowożytnego „pod hasłem obrony społeczeństwa od wszechwładzy państwa". Skądże ta antypatia do państwa nowożytnego? „Z podwójnej przyczyny, mówi p. Bobrzyński: najpierw dlatego, że z natury swojej dąży ono do zupełnej wszechwładzy; w czem się bynajmniej (ta doktryna) nie myli". Po drugie, dlatego, „że państwo nowożytne zrodziło się wśród wojen religijnych i strasznego ucisku". Pierwsza z tych dwóch przyczyn jest w istocie ważna, bo chociażby to państwo nowożytne miało skąd inąd, jak dodaje p. Bobrzyński, wiele zasług, to cóż z tego, jeżeli z natury swojej dąży do wszechwładzy, w której wszystkie korzyści ostatecznie utonąć muszą. Ta przyczyna powinnaby zaważyć i u p. Bobrzyńskiego, który w tym samym artykule wypiera się „insynuacyi, jakoby w przekonaniach swoich był zwolennikiem wszechwładzy państwowej". To otwarte oświadczenie z przyjemnością zapisujemy. Nie możemy się jednak zgodzić na ogólne autora zdanie, że „niema zgoła w Polsce ludzi, broniących wszechwładzy państwa". Każda teorya co za granicą powstaje, u nas znajduje echo: i ta się odezwała, to w zasadach z ideą państwowej wszechwładzy logicznie związanych, to w pochwalaniu w przeszłości lub zalecaniu na przyszłość zamachów i nadużyć władzy, które tylko w tej idei usprawiedliwić się mogą.

Co się tyczy drugiej racyi: że idea nowożytnego państwa zstąpiła na świat wśród orgii wielkiej rewolucyi, to — jakkolwiek nie hołdujemy teoryi, że każda nowa idea musi się intronizować w świecie przewrotem i że „ludzkość najwieksze swe cele z największego wydobywa zamętu" — jednak nie kładziemy tych orgii na karb tejże

idei, czyli „zasad 89 roku", jak tylko, o ile wewnętrzny i logiczny związek między niemi istnieje: o czem odsyłamy tymczasem do 2-ej księgi ostatniego tomu Taina, gdzie stoją fakta obok tekstów [1]. Przypisuje w tem miejscu p. Bobrzyński naszemu pismu dziwną teoryę kataklizmu. Kataklizmu nikt w *Przeglądzie powsz.* nie erygował w teoryą, nie uważał go za fakt normalny i potrzebny (jak w wyżej przytoczonej teoryi), tylko ja sam parę razy powiedziałem, za Leonem XIII., że jeżeli nowożytne państwa pójdą wciąż dalej w pewnych zgubnych kierunkach, takowe muszą je do *absurdum* i do klęski przywieść.

Na czemże więc zależy ta idea nowożytnego państwa przeciwko której „Nowa doktryna" powstaje? Przypuszczam, że nikt jej nie posądzi o walczenie przeciwko nowożytnym państwom i że argument: jak nie Ostroróg to Siciński — nie na seryo się stawia. Byłby to nietylko taki sam, ale ten sam dylemat, co ze strony Sicińskiego stawiano królom: jak nie chcecie znosić samowoli szlachty, to chcecie *absolutum dominium*. Nowożytne państwa są elaboratem wieków, zawdzięczające więcej jeszcze przeszłości niż teraźniejszości: można pragnąć to lub owo legalnie w nich poprawić, lecz chyba socyalista żąda ich wywrotu. Idea zaś państwa nowożytnego to nowożytna teorya państwa, córa fałszywej filozofii wolteriańskich czasów, sformułowana w kontrakcie społecznym Russa, rozgłoszona w świecie pod nazwą „Zasad 89 roku" i od tego czasu wnikająca coraz głębiej w prawo publiczne: teorya określająca władzę państwową jako dowolny utwór ludzi, i osadzająca w tejże władzy źródło wszelkiego prawa. Tę teoryę uważamy za fałszywą i za zgubną — wierzymy bowiem w wpływ doktryn na losy społeczeństw — i przeciwstawiamy jej naukę twierdzącą, że społeczeństwo ludzkie, nie inaczej jak każdy utwór przyrody, ma swoje przyrodzone prawa, ostatecznie od Stwórcy pochodzące: że mocą tych praw powstaje władza państwowa, lecz oraz w tychże prawach znajduje swe granice; że państwo może mieć wszelkie formy, od czystej monarchii do rzeczypospolitej, ale w tych wszystkich formach państwo ma to samo zadanie i tę samą sumę praw — po za którą stoją absolutnie pewne prawa społeczeństwa i prawa sumienia,

[1] Taine. Origines de la France Contemporaine t. IV. Livre 2. le Programme jacobin.

zostające, z osobnego postanowienia bożego, pod najwyższą opieką i strażą Kościoła. Tamta teorya, jak doskonale mówi Taine na ostatnich kartach przytoczonego dzieła, może zarówno wystrzelić w anarchię jak w wszechwładzę państwową, wytworzyć albo Sicińskich albo Ostrorogów: ogół wszechwładny może wcale nie chcieć władzy, albo ją dać bez miary — rozumie się, że pierwsze będzie tylko przejściową fazą, drugie końcową. Ta zaś nauka, której się trzymamy, sama jedna stawia zasadę rozgraniczenia, moje i twoje między państwem a społeczeństwem, i zasadę tę opiera na najmocniejszych w świecie rzeczach: na sumieniu ludzkiem i prawie bożem. Jest to doktryna stara jak Chrystianizm. Jeśli ją więc nazywają „Nową doktryną", najlepszy to dowód, że nie od rzeczy ją przypominać, przekładać i uzasadniać.

Tej więc teoryi bronimy, w niej upatrujemy jedyny, prawdziwy, zasadniczy konserwatyzm, rewolucyjny zaś element widzimy tak w anarchii z dołu, jak i w wszechwładzy z góry: bo i tu i tam jest wywrót naturalnego, bożego porządku, a od jednego do drugiego, logicznie i historycznie, łatwe przejście. Mieliśmy już parę razy w *Przeglądzie* sposobność dotknięcia tej teoryi, w jej imieniu ganiliśmy, to co w jedną lub drugą wpadało skrajność; ale dopiero w szeregu artykułów etyczno-społecznych, które już rozpocząłem, przyjdzie niebawem kolej na szczegółowy jej wykład.

Obaczmyż teraz, co właściwie ma p. Bobrzyński przeciwko tej „nowej doktrynie". Czy to, że jest w ogóle sprzecznością „dążyć do państwa, a okazywać państwu niechęć"? — ale jest przecież państwo i państwo. Czy to, że „w nerwach Polaków jest już i tak wrodzony wstręt do *absolutum dominium*"? — to właśnie racya, żeby im nie przekładać zasad o absolutyzmie przesadzonych i nawet katolickie ich przekonania rażących, ale doktrynę prawdziwą, umiarkowaną i uzasadnioną, która i w sumieniu chrześcijańskiem znajdzie oddźwięk i punkt oparcia. Czy to może, „że nasze dzienniki pseudo-liberalne powitały pierwsze tej doktryny objawy?" — a kiedy historycy nasi poczęli wytykać błędy naszej przeszłości, prasa zaś Katkowa podnosiła to z szyderczym uśmiechem, byłże to dowód, że nasi historycy służą p. Katkowowi? Czy to znów, że się jakieś pismo publiczne odezwać miało, że „dosyć już prawdy powiedziano o przeszłości, teraz trzeba znów pisać historyę po dawnemu, z czar-

nego robić białe"? — jeśli wspomnianem pismem był *Przegląd Powszechny*, to powiedziano tylko, że obok czarnych stron trzeba i jasne, jakich nie brak w naszej przeszłości, podnosić. Czy to może w końcu, że *Przegląd Powsz.* oponował czasem zdaniom konserwatywnych pisarzy — jak właśnie w obwinionym artykule p. Lisickiego?— ależ kiedy ten sam p. Bobrzyński wydał swoją Historyę polską, Szujski całą broszurę przeciwko poglądom w niej zawartym napisał, ks. Kalinka zwalczał je w kilku znakomitych artykułach: ta i tyle innych polemik nie rozbiły stronnictwa, tylko wyjaśniły i sprostowały pojęcia. Otóż nie mniej teoretyczną i poglądową jest polemika p. Lisickiego.

W gruncie, te wszystkie zarzuty zdają mi się tylko nawiasowo i nie koniecznie na seryo rzucone. Musi p. Bobrzyński mieć jakąś głębszą racyę oponowania nowej doktrynie. I niedaleko jej szukać. P. Bobrzyński pojmuje konserwatyzm jako taktykę, nowej doktrynie zaś zarzuca to właśnie, że jest doktryną, i jako taka chce być konserwatyzmem. Taktyka naszego konserwatyzmu, mówi on, zależy na tem, żeby „nie pytać, kto daje polityczną koncesyę, ani czy ona odpowiada tym lub owym ideałom, lecz dążyć do tego, żeby każdą taką koncessyę ile tylko podobna wyzyskać. W tej taktyce postępowania, leży istota naszego konserwatyzmu". Nowa zaś doktryna, mówi dalej p. Bobrzyński, „chociaż pod konserwatywną występuje szatą, jednak tworzy rozdział w obozie konserwatywnym", i sprzyja pseudo-liberałom: bo — „że jedna doktryna jest liberalną, druga konserwatywną, to rzecz mniejszej wagi; istotnem jest tylko to, że obie są doktryną, która stawia się ponad rzeczywistość i w niej widzi swego największego wroga". Nie podobna było jaśniej się wyrazić: istota konserwatyzmu jest taktyką, nowa doktryna tworzy rozdział tem samem, że jest doktryną.

Otóż tu się wyjaśnia nasze zobopólne stanowisko. Jeżeli konserwatyzm, którego p. Bobrzyński broni, zależy tylko na taktyce, a taktyka ta dążyć tylko będzie do „organicznej pracy" do „wyzyskania na korzyść kraju koncesyi i instytucyi politycznych skądkolwiek pochodzących", to z pewnością „nowa doktryna" nie zrobi w tej taktyce żadnego rozdwojenia. Nie zawiera ona żadnych „formułek liberalnych", z któremi p. Bobrzyński niesłusznie ją plącze, nie na-

woluje ona do ruchu i nie stwarza Sicińskich. Owszem ta doktryna wzmocni tylko taktykę organicznej pracy, dokładając arcyważnej rzeczy: zasad kierowniczych, z których wyrastają głębokie przekonania i na których się budują jednolite stronnictwa.

Prawda, że nowa doktryna w tych właśnie zasadach, a nie w taktyce, istotę konserwatyzmu upatruje; nie godzi się ona bezwarunkowo na stawianie „względów praktycznych“ nadewszystko; jednych i tych samych zasad i praw broni łącznie z rządem, tam gdzie je rząd ochrania, broni przeciwko rządowi, gdzie je rząd zaczepia, a cierpi za nie, gdzie ich bronić nie może. Ale to wszystko nie obchodzi bynajmniej t a k t y k i, która patrzy na obecne stosunki i wśród nich znajduje korzyść w bronieniu tych samych rzeczy, które nowa doktryna wrodzonym prawem i obowiązkiem uświęca: tj. „pracy organicznej“, „wiary, języka, oświaty i obyczaju“. W obecnych więc warunkach nie ma żadnej obawy rozdwojenia, nowa doktryna, jaką *Przegląd powszechny* chciałby szerzyć, nie będzie nigdy przeszkodą taktyce konserwatywnej, ale jej dopełnieniem i daj Boże pomocą.

Ks. M. Morawski.

Korespondencya Redakcyi.

Od p. H. Lisickiego otrzymujemy następujące pismo, w obronie recenzyi przez niego umieszczonej w 14-tym Nrze „Przeglądu powszechnego“.

„Z powodu mego sprawozdania o J a n i e O s t r o r o g u [1], p. Bobrzyński wystąpił w marcowym zeszycie *Przeglądu Polskiego* z krytyką przeciwko„ nowej doktrynie obrony społeczeństwa przed wszechwładzą państwa“, coraz częściej pojawiać się mającej w naszej publicystyce, a według jego zdania, zgubnej dla polskiego stronnictwa konserwatywnego. Rzecz warta przeto bliższego rozbioru.

Dla rozjaśnienia sprawy, rozłączmy historyozofię i politykę, którą p. Bobrzyński z sobą poplątał.

Jest dziś niemal powszechna zgoda na to, że główną przyczyną upadku Polski był brak rządu, wojska i skarbu. Do rozpowszechnienia tej prawdy p. Bobrzyński dzielnie się przyłożył i w swojem ostatniem wystąpieniu słusznie powtarza: „Naród nasz, wstępując w okres nowożytnych dziejów, potrzebował „organizacyi politycznej nowej, odpowiadającej nowym warunkom, mogącej „sprostać współczesnej organizacyi innych, mianowicie sąsiednich narodów“. Pozostaje kwestya, jaką drogą, jakiemi środkami Polska miała dojść do tego

[1] Zamieszczonego w *Przeglądzie Powszechnym*, z lutego b. r.

celu. Rozumując przez analogię, p. Bobrzyński dodaje: „Wszędzie uchylano „przywileje podatkowe, zaprowadzano stałe armie, skupiano siły narodu w rę„kach centralnego rządu; wszędzie powstawały potęgi groźne na zewnątrz, więc „i Polska, pomijając wszelkie inne względy, musiała to uczynić, jeśli „chciała istnieć i w ogólnej walce o byt miała się jako państwo utrzymać". To pominięcie wszelkich innych względów nie może znaczyć nic innego, jak tylko, że wszelkie środki, do celu wieść obiecujące, były dobre i konieczne. Zobaczymy środki, przez p. Bobrzyńskiego zalecane. Przy czasach Kaźmierza Jagiellończyka [1], wspomina on o „nowej zasadzie", na mocy której „przywileje tam, gdzie idzie o dobro publiczne, nie mają żadnego znaczenia, „król w razie niebezpieczeństwa ma prawo podatki nakładać i egzekwować, ma „prawo każdej jednostce mienie odebrać, skarby, wota i naczynia kościelne za„bierać i na pieniądze przetapiać". W swojej pracy o Ostrorogu, p. Bobrzyński wypowiada wyraźnie: „Drogą walki z hierarchią kościelną, państwa „i narody Zachodu doszły do późniejszego ładu, potęgi i chwały". Przeciwko „nowej zasadzie", oraz przeciwko rozmyślnemu wzniecaniu walki tak niebezpiecznej i obosiecznej, jak walka religijna, zaprotestowałem, przytaczając owoce jednej i drugiej, odszczepieństwo, ucisk sumień, obdarcie Kościoła katolickiego nietylko z mienia, lecz z elementarnych swobód, wreszcie nowożytne państw wszechwładze, które według własnych słów p. Bobrzyńskiego, „nie cierpi w swo„jem wnętrzu niczego, co ma pewną odrębność i samodzielność". Pomimo tego wyznania, p. Bobrzyński nie przestaje twierdzić, że walka była potrzebną i zbawienną, albowiem „jedno z elementarnych spostrzeżeń w historyi" uczy, „że „ludzkość największe swoje cele osiąga wśród walki i wydobywa z najwię„kszego zamętu". Spostrzeżenie jest trafne, lecz w tym razie za dowód służyć nie może. Ludzkość walką w samej rzeczy wiele osiąga, gdyż walczy pierwiastek dobrego z pierwiastkiem złego, i pierwszy choć powoli, zawsze w końcu górę bierze, a sama ludzkość ma sobie przez Stwórcę wytknięty tor, z którego ludzki nierozum nigdy jej całkowicie strącić nie zdoła. Nie idzie także zatem, aby człowiekowi wolno było targać się na wszystko, byle walkę i zarzut wywołać, byle wzniecić burzę, których skutek zawodny nosi zawsze na sobie przekleństwo złego początku. Trzymając się „nowej zasady", czyniącej króla sędzią, czy istnieje niebezpieczeństwo publiczne, przyznającej królowi prawo łamania wszelkich przywilei i praw, bo nawet prawa własności, znieśli rozmaici potentaci naturalne szranki władzy monarszej i wystawili państwo nowożytne, które nie jest jednak równoznacznikiem i pewnym zadatkiem „ładu, potęgi i chwały". W rewolucyi francuskiej atrybucye „nową zasadą" oddane królowi, przeszły na „lud", potem na Napoleona, który udoskonalił organizacyę administracyjną i wojskową do najwyższego stopnia, a przecież sam upadł, ściągnął na Francyę niezmierne klęski i przygotował pierwszy jej rozbiór w naszych spełniony oczach. P. Bobrzyński nie zdoła dowieść, że za cenę gwałtów, doradzanych w swoim czasie przez Ostroroga, kupilibyśmy byli sobie potęgę materyalną, zdolną nas zasłonić od przemocy sąsiadów i że „kosztem kulturkampfu pol„skiego nie mielibyśmy rozbiorów, germanizacyi w Poznańskiem, eksterminacyi „na Litwie". Wiedząc ile „państw nowożytnych" upadło, lub do upadku szybko dąży, z równą racyą twierdzić wolno, że mogliśmy popełnić moc nie-

[2] *Dzieje Polski w Zarysie*, T. I. str. 290.

prawości, upaść moralnie, zlutrzyć się, wpaść w szpony domowych despotów, a wszystko zadarmo, na to, żeby się rozbiorów doczekać. „Cisną się dziś," powiada p. Bobrzyński, „pod sztandar kościoła katolickiego nawet tacy, którym „wyznanie katolickie i uczucie religijne jest obce, bo rozumieją dobrze, że bez „tej twardej opoki, jaką jest Kościół, w walce z wszechwładzą państwa nie „mieliby żadnego oparcia i widoków zwycięztwa". W końcu więc Kościół przydał się na coś, ale gdyby Ostroróg i jemu podobni byli swego dopięli i Kościół zwyciężyli, zabrakłoby nam teraz owej „twardej opoki", tyle potrzebnej i pożytecznej. Kościół nie mógł być zwyciężony przez Ostrorogów, ale Ostrorogowie doprowadzili Kościół do tego, że tylko siłą swego Boskiego początku bronić nas jest w stanie. Ostrorogom również zawdzięczamy upadek wszelkich instytucyj, zdolnych nas ubezpieczyć przed wszechwładzą państwa.

Bo, że państwo dąży do wszechwładzy, że nie cierpi w swem wnętrzu niczego, co ma pewną odrębność i samodzielność, w tem nic dziwnego. Inaczej być nie może. Po królach państwo odziedziczyło atrybucye, płynące z „nowej zasady"; ono orzeka o istnieniu niebezpieczeństwa publicznego i publicznej potrzeby, ono ma prawo odebrać jednostce całość lub część mienia; państwo jest źródłem wszelkiego prawa. Pod fikcyą państwa, ludźmi rządzą ludzie, obdarzeni wolną wolą i w skutek tego dążący do używania jej jak najobszerniej w zakresie rządzenia. Naturalne szranki władzy państwa upadły, dawną osobistą odpowiedzialność monarchy zastąpiła odpowiedzialność zbiorowa, fikcyjna państwa; na skargi rządzonych, ludzie rządzący mają gotową odpowiedź: to nie my was uciskamy, tylko państwo. Gdy jeszcze do rządów dostaną się ludzie, przed oczami których „prawa moralnego porządku ludzkości są zupełnie niemal zakryte", nieuznający, że te prawa są złożone w prawie objawionem, religii, Kościele, wtedy państwo niczego nie szanuje, ani chleba powszedniego, ani sumienia obywateli, wszystko chce zagarnąć i zatrzymuje się dopiero przed materyalną niemożnością. Stąd wynikła walka między społeczeństwem i państwem, której istnienia p. Bobrzyński nie przeczy, walka naturalna i prawowita, bo społeczeństwo jest dziełem Bożem, podczas gdy państwo jest dziełem ludzkiem.

Nowa doktryna, jeśli na takie miano zasługuje, jest więc tylko odgłosem tego, co się w życiu dzieje. P. Bobrzyński nagania też tylko tę doktrynę w Polsce i tak się wyraża; „Niby ultrakonserwatywna, dąży do tego samego „celu, co dawne formułki liberalne, które dostarczały pozwu do walki z rzą„dem i państwem; w miejsce dawnego *absolutum dominium* stawia nazwę mo„dną wszechwładzy państwa, a jak pod pierwszem, tak i pod drugiem „hasłem kryje się niechęć i odraza do rządu i państwa jakiegokolwiek.... „Pierwszem jej dziełem praktycznem, jest stworzyć rozdział w naszym obozie „konserwatywnym i oświadczyć się przeciw dotychczasowej jego taktyce, która „polega na tem, że nie pytamy, kto nam daje polityczną koncesyę, nie pytamy, „czy ona odpowiada tym lub owym ideałom, lecz pytamy, jaki z niej społe„czeństwo polskie może odnieść pożytek, i dążymy do tego, aby ją o ile podo„bna wyzyskać".

Co się mnie osobiście tyczy, po ścisłej rozwadze, nie poczuwam się do herostratowych zamiarów na konserwatyzm polski i jego taktykę. O zgubności powstań, o potrzebie przyjmowania pożytecznych koncesyj, pisałem przed p. Bobrzyńskim, i wiem, czem mi to w swoim czasie odpłacono. Gdyby nie moja

szczęśliwa natura, obojętna na papierowe pociski, byłbym się na śmierć zamartwił, a to daremnie, bo codzień teraz spotykam wędrujące po świecie z cudzym podpisem moje opinie, na które nikt już nie napada. „Wzgardy“ dla rządów nie propaguję, wiadomo mi bowiem, że są potrzebne i sprawują władzę od Boga ustanowioną. Moja apostrofa o „platonicznem przywiązaniu“ do wszechwładnego państwa mierzyła w porządek myśli, szerzony u nas przez edukacyę rządową, literaturę, praktykę życia politycznego, i popularyzujący fikcyę państwa, na które społeczeństwo winno całkowicie zaabdykować, aby w niem zyskać opatrzność doczesną. Odczytawszy inkryminowane *factum*, nic w niem innego nie znalazłem; nie znalazłem także „insynuacyi“, jakoby p. Bobrzyński był „zwolennikiem wszechwładzy państwowej“. Insynuacyami wojować nie zwykłem gdy chcę kogo atakować, czynię to lojalnie i otwarcie. Jeśli z mego sprawozdania o Ostrorogu miało wyjść hasło do walki z jakim rządem, to albo ja nie rozumiem, co piszę, albo też stało się znowu coś podobnego, jak niedawno, kiedy *Staats-Anzeiger* doniósł Europie, żem nieboszczyka Metternicha użył do propagandy rewolucyjnej, w jezuickiem piśmie.

Tajnych myśli i zamiarów innych apostołów nowej doktryny nie znam, ale wątpię, żeby i oni chcieli nastawać na polski konserwatyzm, lub wzniecać nowe borby z rządami. Przewidywane przez p. Bobrzyńskiego straszne następstwa nowej doktryny, są to podobno strachy na Lachy. Jako „praktyczny skutek“ nowej doktryny, p. Bobrzyński nie umie wymienić nic gorszego, jak odrzucenie w sejmie przez nowych doktrynerów konserwatywnych jakiego „projektu ustawy szkolnej“, z powodu, że w nim znajdować się będzie obrzydły doktryneryom przymus szkolny. I takie nieszczęście się nie stanie. Najzacieklejszy doktryner wie dobrze, jaką świętością przymus szkolny u hofratów wiedeńskich i jaką potęgą w Wiedniu hofraci, więc muru głową dziurawić nie zechce; w najgorszym razie, doktrynerów przegłosują oportuniści i ci, co wierzą w zbawienność szkolnego przymusu. Natomiast nie ulegają wątpieniu dwie rzeczy: pierwsza, że ustawy zasadnicze, przez państwo nam nałożone, nie pozwalają zreformować naszej szkoły tak, żeby ona mogła skutecznie i „niezmiernie „podźwignąć poziom umysłowy i moralny naszego ludu, i sprawę narodową „o jeden krok naprzód popchnąć“; druga, że stać się to może dopiero wtenczas, gdy wszechwładza państwa zostanie okrojoną i zamkniętą w granicach przyzwoitych.

Inne obawy p. Bobrzyńskiego, że „omnipotencya państwa odegra rolę „dawnego *absolutum dominium*“, że społeczeństwo nasze znowu popadnie na manowce i „nauczywszy się raz nienawiści i wzgardy dla państwa, ani go bę„dziemy umieli, ani chcieli budować“, wydają mi się najzupełniej płonne: nie uwierzę, aż zobaczę. Tymczasem widzę, jak państwo robi się obmierzłem najspokojniejszym ludziom, bo nie zna miary, ani granicy w panowaniu i w wymaganiach. Sądzę, że jest właśnie zadaniem rozumnego konserwatyzmu hamować państwo w jego zapędach do wszechwładzy, strzedz resztek samodzielności społeczeństwa i takową rozszerzać, a tem samem nie dopuścić, aby w społeczeństwie wzrosła i zakorzeniła się niechęć i odraza do państwa. Stawiać konserwatywnemu obozowi bożyszcze w państwie, nakłaniać go do niemej jego adoracyi, to dopiero w całem znaczeniu wyrazu: „strzelać do własnej stodoły“.

7 marca 1885.

Henryk Lisicki.

Od W. ks. Zuzaka otrzymaliśmy przed miesiącem uwagi odnośne do oceny jego broszury: „Nauka religii w Szkołach“ umieszczonej w Nrze 14-tym „Przeglądu powszechnego“ str. 265. Udzieliwszy takowe sz. recenzentowi, otrzymaliśmy od niego następującą odpowiedź:

1) Autor nie jest temu przeciwny, aby tam „gdzie zbyteczne zajęcie, drobna liczba kapłanów, trudność dla ludności kat. stoi na przeszkodzie, Kościół w każdym poszczególnym wypadku udzielał nauczycielom katolikom misyi, i upoważnienia nauczania religii w szkołach ludowych“ (str. 21) nazywa jednak (na str. 99) rozp. min. z 29 gr. 1879 niezgodnem z prawem Kość. dlatego, „bo nie wspomina o tem, że nad świeckim nauczycielem religii Kościół powinien mieć ścisłą kontrolę: że nauczyciel potrzebuje się wystarać o kanoniczną misyę w każdym poszczególnym wypadku (rozumie się od biskupa str. 15); że gdyby biskup cofnął kanoniczną misyę, natenczas nauczyciel religii uczyć nie może“. Moje zapatrywanie w tym względzie, obszernie i jasno wyłożone w mojej Katechetyce. (Kraków 1877 str. 24—26) zupełnie zgadza się z autorem. Pozwolę sobie przytoczyć wyjątek: „Kościół w normalnych stosunkach powierzał nauczycielom świeckim obowiązek nauczania religii w szkole ludowej, pod warunkiem, jeżeli mieli odpowiednią kwalifikacyę i ducha kat.; rozumie się, w porozumieniu się z katechetą i pod jego kierunkiem. Poniżej: Kościół przez swych reprezentantów dając kandydatom na nauczycieli szkół pospolitych kwalifikacyę, udziela im przez to samo misyę potrzebną“. Najprzew. konsystorze gal. już się o to postarali, że w. Rada szk. krajowa wydała rozp. z d. 8 kw. 1876, L. 652: aby na wniosek X.X. dziekanów Rada szkolna okręg. polecała nauczycielom katolikom, by w szkołach, do których plebani na katechizm regularnie dojeżdżać nie mogą, udzielali tej nauki dzieciom według książek przepisanych i t. d. (brosz. str. 16). Różnica więc naszych zapatrywań w jednym tylko punkcie widoczna; obawy zaś może są cokolwiek zbyteczne; bo jeżeliby nauczyciel gorszące prowadził życie, natenczas X.X. dziekani z inicyatywy proboszczów temu zapobiegną.

2) Autor nie nazywa rozp. z d. 14 maja 1869 złem, tylko twierdzi: że końcowy ustęp rozp. tyczącego się podciągania katechetów pod dyscyplinę władz szkolnych, nie harmonizuje z prawem kość. (98 str.). Ustęp ten brzmi: „Każdy, kto w szkole nauki religii udziela, podlega, w wykonywaniu swej działalności nauczycielskiej (Lehrthaetigkeit) przepisom dyscyplinarnym praw szkolnych. A więc nie w każdym względzie, tylko w powyższym. Nadto rozp. min. 14/6 1878 wyjmuje z pod przeprowadzenia dyscyplinar. przez władze szkolne katechetów z kleru parafialnego niesystemizowanych, poddając ich pod jurysdykcyę biskupów.

3) Odmienne swoje rozumienie słów św. Augustyna, opiera autor na broszurze X. Schöberl Dingolfing 1880. *Narratio des h. Augustin und die Katechetiker der Neuzeit.*

4) Zakomunikował nam autor odpis rozp. W. c. k. Rady szk. kr. 29 marca 1882 L. 3191 do rady szk okr. w Sanoku tej treści: „Rada szk. kraj. celem obudzenia i pielęgnowania ducha rel. w młodzieży szk., zezwala na podstawie Min. rozp. 13/7 1880 L. 9.946, aby gdzie tylko stosunki, szczególnie obowiązkowe zajęcia katechety to możliwem czynią, w szkołach pospolitych o 4 lub więcej klasach w niedzielę palmową, w poniedziałek i wtorek Wielkiego tygodnia odbywały się rekolekcye pasyjne czyli wielkanocne z opuszcze-

niem godzin szkolnych. Gdzie zaś stosunki na to nie pozwalają, w poniedziałek i wtorek Wielkiego tygodnia mają się odbywać lekcye szkolne". Sądzę, że to rozp., co do odprawiania rekollekyj wielkanocnych nie jest powszechnie obowiązujące. Na każdy jednak sposób dzieci szkolne do odprawienia spowiedzi i przyjęcia Komunii św. wielkanocnej są obowiązane.

Jednę tylko poprawkę czynimy w wynurzeniu naszego ubolewania: że młodzież szkolna męska od 1 listop. do niedzieli Palmowej nie chodzi ze szkoły do kościoła. Mam tu na myśli szkoły ludowe) pospolite w mieście naszem, a mianowicie chłopców szkolnych, parafii mojej opiece powierzonej. Wiem o tem, że rozp. min. 16/5 1880 L. 6206 obowiązek wkłada na wszystkie dzieci katolickie szkolne w miejscu, gdzie się regularnie nabożeństwo odprawia, aby każdej niedzieli i święta w całym roku szkolnym były na wspólnem szkolnem nabożeństwie. Wiem, że pozwala dyspenzować pojedyńcze dzieci dla ważnych przyczyn. Wkońcu powiedziane: „W wypadkach, jeśli uczniowie (dla ważnych przyczyn) do regularnego uczęszczania na nabożeństwo szkolne nie bywają zobowiązani (verhalten werden), szkoła powinna im często drugie przykazanie kościelne przypominać"; — lecz wyznać muszę, że szkoła np. kleparska znajduje się blisko kościoła, że jak długi rok, co niedzielę i święto o godzinie ósmej odprawia się msza św., że na tę mszę szkoła dziewczątek, pod kierunkiem Sióstr Szarytek, przez całą zimę uczęszcza, że szkoła chłopców w Mościskach i gdzieindziej toż samo czyni; nie mogę więc pojąć, któreby to były tak ważne przyczyny zwalniające chłopców, a patrząc na skutki złe, nie mogłem zataić boleści serca pasterskiego.

5) Autor nadmienia (str. 3), że Najprz. Ordynaryat łać. w Przemyślu dwukrotnie dopominał się u W. R. Sz. kr. o pomnożenie liczby godzin na dalej na naukę religii; nie wątpię, że też i inne Najprzew. Ordynaryaty to uczyniły; ale nie przypominam sobie, aby na Radzie Państwa lub w Sejmie kiedykolwiek głos duchowny w tej kwestyi był podniesiony, jakto było w innych sejmach skutecznie uczyniono; a przeto Najprzew. Dostojnicy Kościoła przebaczą, jeżeli gorliwość moja dalej się posunęła w wynurzeniu żalów, jak przystało. *X. Krukowski.*

Dowiadujemy się, że Rada szkolna okręgowa miejska w Krakowie, ze względu że tutejsze kościoły są bardzo zimne, uwolniła dzieci szkół posp. od chodzenia ze szkoły do kościoła w zimie, tj. od 1 list. do 1 kwietn. *(P. R.)*

Gazeta dyplomatyczna *Le Nord* umieściła, w skutek znanego wystąpienia niemieckiego Reichsanzeigera przeciwko naszemu pismu, artykuł oskarżający nas o szerzenie idei rewolucyjnych. Zważywszy wpływ i znaczenie tej gazety, żądaliśmy odwołania tego oskarżenia i zamieszczenia naszego listu. Redakcya *Nord'a* spełniła uprzejmie tę powinność w Nrze 9-tym z 28 lutego.

Druk ukończony dnia 26 marca 1885.

APOSTOŁOWIE SŁOWIAN.

Szkic historyczny.

Nie poruszając dzisiaj samego obchodu jubileuszu św. Metodego, zwrócić tylko chcemy uwagę na jego historyczny przedmiot: zreasumować, w ramach krótkiego artykułu, historyczny materyał jaki się dotąd udało badaczom zgromadzić, o świętych Apostołach Słowiańczyzny — materyał zbyt skąpy niestety, w obec ważności tej sprawy, ale dostateczny, żeby najistotniejsze jej zagadnienia rozstrzygnąć i wzniosłe postacie Cyryla i Metodego w rzeczywistych naszkicować rysach [1].

Cesarstwo wschodnie przedstawiało w IX. wieku smutny obraz państwa, chylącego się ku upadkowi. Granice jego ścieśniały się coraz bardziej i zmieniały nieustannie w skutek nacisku Arabów od południa, a Słowian od północy, których Grecy z trudnością od bram swej stolicy odeprzeć mogli. Na wewnątrz ciągłe i nieraz

[1] Następujące źródła posłużyły do skreślenia niniejszej pracy: Ze współczesnych: Listy papieża Adryana II. około 869 r. (?) i Jana VIII z lat 872 do 882 ogłoszone przez Gincla w jego Codex legendarum et monumentorum de SS. Cyrillo et Methodio agentium, dołączonym do rozprawy p. t.: *Geschichte der Slaven-Apostel Cyrill und Method*; dwie zapiski Anastazego, bibliotekarza rzymskiego około r. 869 i 875; pismo anonyma salcburskiego z r. 873 p. t.: *Historia Conversionis Caruntanorum* ogłoszone tamże.

Z późniejszych: (do XI. wieku). *List biskupów bawarskich do Jana IX. z r. 900.* — *Translatio corporis S. Clementis.* — *Żywot Klemensa biskupa bułgarskiego.* — Wyjątek z opowiadania o nawróceniu Karantanów. — *Legenda czeska i legenda morawska*, wszystkie ogłoszone przez *Gincla.* — *Żywot Konstantyna filozofa*, ogłoszony w XIX. tomie pamiętników wiedeńskiej akademii umiejętności. — *Żywot Metodego arcybiskupa morawskiego*, nieznanego autora, pisany w słowiańskim języku, a ogłoszony wraz z polskim przekładem w Bielowskiego Monumenta Poloniae. T. I. str. 85—122. — Pismo mnicha Chrabra o alfabecie słowiańskim, ogłoszone w XXIV tomie *Archiv für Kunde österreichischer Geschichtsquellen.* — *Opowiadanie o odkryciu zwłok św. Klemensa*, nieznanego autora, ogłoszone w Kiryło-Mefodiczeskim Zborniku.

krwawe zmiany panujących, intrygi dworskie i walki stronnictw, nareszcie spory religijne, które dzieliły cały naród od pałacu Cezara do przedmiejskich domków Konstantynopola, na wrogie i zaciekle z sobą walczące partye, osłabiały organizm państwowy, wycieńczały skarb publiczny i wiodły cesarstwo Walensa i Justyniana do powolnego, lecz nieuchronnego upadku. Mimo to jednak stara oświata grecka, sztuki i nauka, kwitły w całej pełni, a Byzancyum i inne znaczniejsze miasta były ogniskami cywilizacyi, jakich wówczas zachodnia Europa nie posiadała. Nawet synowie dalekiego Wschodu, wyznawcy Mahometa, przybywali do greckich grodów, aby w nich zaczerpnąć światła nauki. Tessalonika, słowiański Soluń, zakwitło obok stolicy, jako wielkie handlowe centrum, jako siedziba uczoności i ognisko oświaty dla macedońskiej prowincyi cesarstwa. Nic też dziwnego, że nasi bracia, którzy w niem światło dzienne ujrzeli w pierwszych dziesiątkach IX. stulecia, z rodziców możnych i bogobojnych, otrzymali nadzwyczaj staranne wychowanie i gruntowne wiadomości pod kierunkiem najlepszych ówczesnych nauczycieli. Młodszy wiekiem Konstantyn, później Cyrylem nazwany, celował wielką bystrością umysłu, znakomitą pamięcią i rozległemi wiadomościami tak, że już za młodu otrzymał przydomek filozofa, który mu na całe życie pozostał. W 14-tym roku życia pojechał do Carogrodu, gdzie dla swej nauki i cnotliwego życia, odrazu wybitne zajął stanowisko. Poświęciwszy się stanowi duchownemu, wszedł w bliskie stosunki z patryarchą Ignacym i był wiernym stronnikiem tego świętobliwego męża, pomimo przyjaźni, jaką miał również dla uczonego Focyusza, dowódzcy straży cesarskiej, sekretarza nadwornego, a następnie głośnego twórcy rozterek i rozdziału Kościoła na Wschodzie. Panował wówczas Michał III., a podczas jego małoletności, aż do roku 856, sprawowała rządy cesarzowa matka Teodora, kobieta wyższego umysłu i wielkich cnót, która niewątpliwie zbawienny wpływ na naszych braci wywarła, a której można zarzucić chyba to, że nie mogła, czy nie potrafiła lepiej wychować swego niedołężnego syna. Jeszcze za czasów opieki Teodory, rozpoczął Focyusz swoją akcyę przeciw patryarsze Ignacemu i ogłosił znane swoje twierdzenie o istnieniu dwóch dusz w każdym człowieku. Spór ten przybrał wkrótce szerokie rozmiary i podzielił naprzód Konstantynopol, a następnie całe państwo na dwa stronnictwa: pa-

tryarchy Ignacego i Focyusza. Nasz Konstantyn, który jak to wspomnieliśmy, w bliskich pozostawał z nim stosunkach, wystąpił pomimo to bardzo stanowczo przeciwko doktrynie Focyusza. „Jak możesz", rzekł, „gubić tyle dusz, szerząc pomiędzy ludem tak wielki błąd?" „Nie myślę gubić nikogo", miał odpowiedzieć Focyusz, „tylko chcę zobaczyć, jak sobie poradzi patryarcha Ignacy, nieprzyjaciel świeckiej nauki, gdyby za jego czasów jaka herezya, popierana syllogizmami filozofów, wybuchła" [1]. Zgorszył się temi słowy Konstantyn i w ostrych wyrazach karcił dawnego przyjaciela; napróżno jednak, gdyż Focjusz błędów swoich szerzyć nie przestał, a poparty łaską Michała III. i wpływami swego wuja Bardasa, spowodował w r. 857 wygnanie prawowitego patryarchy, a sam zajął jego stanowisko.

Tymczasem Konstantyn, któremu widocznie życie w stolicy nie przypadało do smaku, poświęcił się pracy missyonarskiej i odbył w tym celu daleką podróż do kraju Agarenów czyli Arabów, zkąd powróciwszy, rozdał wszystko co miał ubogim i udał się na Olimp do klasztoru, w którym już przemieszkiwał jego brat Metody. Ten ostatni szedł dotychczas odmienną drogą, poświęcił się bowiem służbie państwowej, piastował wysokie urzędy, a nawet, jak utrzymuje autor jego żywota, oddał mu cesarz w dzierżawę księstwo słowiańskie. „Strawiwszy na tem księstwie mnogo lat", pisze dalej ten sam biograf, „ujrzał, jak wiele wrzawy marnej jest w życiu tem, zamienił więc ziemskie ćmy i wolę na niebieskie myśli, pozbył się księstwa i poszedł na Olimp, gdzie żyją świątobliwi Ojcowie, postrzygł się i habit czarny wdział" [2].

Spotkali się więc obaj bracia w cichych murach monasteru, zwanego Polychronem, „który liczył wówczas zakonników siedmdziesięciu, a miał wyznaczone na swoje utrzymanie 24 miary złota" [3] i pędzili spokojny i pracowity żywot w pobożnych rozmyślaniach i „pilnem przykładaniu się do ksiąg" [4].

A jakim był Metody, o tem daje jego biograf równie chlu-

[1] Rozmowę tę przytacza Anastazy bibliotekarz rzymski w przedmowie do soboru konstantynopolitańskiego, IV., z r. 869.

[2] Żywot św. Metodego, 3.

[3] Żywot św. Metodego, 4.

[4] Idem.

bne, jak wiarygodne świadectwo „bojaźń Boża, zachowanie przykazań, czystość ciała, pilne modlenie się i świątobliwość, słowo potężne i łagodne, potężne dla tych, co się opornie stawili, łagodne dla tych, co upomnienia z pokorą przyjmowali, odwaga, skromność, łaskawość, miłość, umartwienie i cierpliwość“ [1]. Oto były przymioty naszego apostoła, które się objawiały w ciągu całego jego życia i postawiły go na równi z pierwszymi opowiadaczami słowa Bożego, których był następcą i naśladowcą.

Niedługo jednak dozwolono braciom żyć w zaciszy klasztornej. Poselstwo Chazarów, plemienia, które zajmowało brzegi morza Azowskiego i utrzymywało stosunki handlowe i polityczne z osadami greckiemi w tamtych stronach leżącemi i z samą stolicą państwa, przybyło do Konstantynopola z prośbą, o wysłanie do ich kraju uczonego męża, któryby im zasady prawdziwej wiary wyłożyć potrafił.

Chazarów usiłowali już nawrócić Żydzi i Saraceni, a więc w niepewności, która religia jest najlepszą, udali się po radę „do katolickiego imperatora, ufając w jego zacność i dawną przyjaźń“ [2]. Nie odmówił ich prośbie Michał III., a męża, któryby trudnemu zadaniu podołał, nie trzeba było długo szukać; wezwano Konstantyna filozofa, a ten nie zwlekając, wyruszył w towarzystwie brata do odległego i nieznanego kraju [3]. Nie będziemy się rozszerzać nad szczegółami tej chwalebnej wyprawy, te bowiem nie wchodzą w zakres niniejszego opowiadania, dość, że owoce jej były co się zowie świetne, nietylko bowiem zasady wiary Chrystusowej przyjęły się między Chazarami i władzca tamtejszy czyli Chagan, na prośby Konstantyna, udarował wolnością wszystkich greckich niewolników, ale jeszcze odnaleźli nasi bracia cudownym niemal sposobem szczątki św. papieża Klemensa, który za czasów Trajana poniósł śmierć męczeńską w okolicach Chersonu. Z kosztowną tą zdobyczą powrócili Konstantyn i Metody do ojczyzny, gdzie ich przyjęto z należną

[1] Żywot św. Metodego, 2.

[2] Translatio s. Clementis 1.

[3] Panuje spór, co do udziału Metodego w wyprawie do Chazarów, główne źródło Translatio s. Clementis, nie wspomina o nim; za to żywot Metodego wyraźnie mówi o jego uczestnictwie, a gdy w ogóle obu braci zawsze razem spotykamy, łatwo się więc zgodzić na zdanie ks. Gromnickiego, który twierdzi, że obydwaj bracia jeździli do Chazarów.

czcią i wdzięcznością, a cesarz ofiarował im różne zaszczyty i dostojeństwa; tych jednak przyjąć nie chcieli, tylko Metody na usilne nalegania przyjął godność ihumena polychrońskiego monasteru.

Wieść o wielkiem powodzeniu missyonarskiej pracy Konstantyna i Metodego i o odkryciu przez nich zwłok św. Klemensa, rozniosła się szeroko po krajach ościennych i wnet stanęło w Carogrodzie słowiańskie poselstwo, domagające się wysłania do Panonii i Morawii światłych mężów stanu duchownego, władających słowiańskiem narzeczem, którzyby słowo Boże głosili w języku dla tamtych ludów zrozumiałym. Wybór cesarza padł znowu na naszych braci; ale zanim opowiemy dzieje ich dalszej apostolskiej pracy, wypada nam cofnąć się wstecz, aby przedstawić w ogólnych zarysach stan polityczny, etnograficzny i religijny wschodniej części środkowej Europy, na której apostołom pracować wypadło.

Wielka wędrówka ludów w IV. i V. stuleciu, wywołana strasznym najazdem Hunnów, zmieniła zupełnie elementa etnograficzne nad Wisłą, Odrą i Dunajem. Germani zostali wyparci za Łabę, miejsce ich zajął szczep słowiański, który w niespokojnych wędrówkach na południe, rozciągnął się nareszcie aż do brzegów adryatyckiego i egiejskiego morza. Wielka równina panońska, wygodna droga do Italii, Macedonii i wschodniej Europy, dla plemion napływających ze Wschodu, była polem ustawicznych walk, które nie doprowadzały nigdy do stanowczych rezultatów. Żadne państwo nie zdołało się utworzyć na czas dłuższy w Panonii. W drugiej połowie VI. wieku zajmują ją Awarowie, czyli Obrzyni, szczep dziki, koczujący i łupieztwu oddany, który prawdopodobnie zhołdował niektóre plemiona słowiańskie, bliżej osiadłe. Te ostatnie jednak skorzystały z pierwszej klęski, jaką ponieśli Obrzyni, z rąk cesarza wschodniego Herakliusza, aby się wybić na wolność i utworzyć około 627 r., pod berłem niejakiego Samona, niepodległe państwo, które się od Sali i Łaby, aż do stóp Karpat rozciągało. W trzydzieści lat później znika Samo z widowni dziejowej, a z nim urywa się historya naddunajskich Słowian aż do czasów Karola Wielkiego, którego miecz zwycięzki i Słowianom dał się we znaki. Zniszczył on państwo Obrzynów w latach 791 do 796 w kilku wyprawach do Panonii i pokonał raz na zawsze tę barbarzyńską hordę, która była przez dwa stulecia plagą środkowej Europy. Razem z upad-

kiem państwa zginęło także i samo plemię Awarów, a to do tego stopnia, że już o niem nigdy w historyi nie słyszymy. Nestor opowiada to zdarzenie w następujący sposób: „A byli Obrowie wzrostem wielcy, a hardzi umem i Bóg zniszczył ich, pomarli wszyscy i ani jeden Obrzyn nie pozostał. Jest ztąd na Rusi przysłowie: zginęli jak Obry“ [1].

W skutek zwycięztw Karola W. państwo frankońskie rozciągnęło się aż do Dunaju i adryatyckiego morza, a w skład jego weszły liczne plemiona słowiańskie, których dokładniejsza historya dopiero teraz się rozpoczyna. Zarząd nowo nabytych prowincyj, Panonii górnej i dolnej, Dalmacyi i Karyntyi, oddano nadgranicznym margrafom: friulskiemu i margrabiemu wschodniej Marchii, a Morawia, której ówczesne granice sięgały źródeł Cissy, należała do panońskiej prowincyi. Pod względem rozgraniczenia kościelnego Panonia dolna, tj. kraj pomiędzy Rabą i Sawą, podlegała arcybiskupstwu Solnogrodzkiemu (Salzburg), Panonia górna, pomiędzy Rabą, Dunajem i wschodnimi stokami Alp, należała do dyecezyi passawskiej, której pasterska opieka rozciągała się także do Czech i Morawii. Urządzenie to uznał i potwierdził Karol W. w r. 803 w Solnogrodzie. Zależność kościelna pomienionych prowincyj była prawie nominalną; potrzeba było pierwej nawrócić pogańskie ludy, które tam mieszkały i oczywiście wcale się o to nie troszczyły, jaki biskup nad nimi juryzdykcyę kościelną wykonywał. Praca jednak missyonarska niemieckiego duchowieństwa nie była ani dość gorliwą, ani skuteczną. Chrześcijaństwo szerzyło się wprawdzie, ale powoli, niechętnie, jakby pod naciskiem, nie zapuszczając pomiędzy ludem głębokich korzeni, jako obca wiara przez cudzoziemców w obcym głoszona języku, a pociągająca za sobą ciężką niewolę, zależność od różnych margrafów, patrzących z pogardą i niechęcią na Słowian a często okrutnych i niesprawiedliwych. Słowianie korutańscy najdalej na Wschód wysunięci, zamieszkiwali bowiem także część dzisiejszego Tyrolu, najwcześniej ulegli chrześcijaństwu i częściowej germanizacyi, a przykład ten nie mógł oddziaływać zachęcająco na ich pobratymców.

W niektórych miastach, a właściwie w osadach panońskich

[1] Latopis Nestora 8 w Monumenta Polon.

i morawskich, pozakładano kościoły; niemieckie klasztory Kremsmünster i Innichen, posiadały znaczne dobra na Słowiańszczyźnie, duchowni z Passawy i Solnogrodu odbywali pielgrzymki missyjne nad Dunajem, spotykamy nawet biskupów sufraganów, wyświęconych dla słowiańskiej części solnogrodzkiej archidyecezyi; ale pomimo to wszystko, Słowianie nie byli jeszcze gruntownie nawróceni, przynajmniej nie chcieli ich za takich uważać niemieccy biskupi.

Wśród takich to okoliczności, występują znowu, tym razem w Morawii, książęta słowiańscy, a kraj ten staje się od tej pory jądrem potężnej politycznej organizacyi, którą w historyi pod nazwą wielko-morawskiego państwa spotykamy.

„Morawia", pisze znakomity dziejopis tego kraju, „miała piękne zadanie wystąpić jako stróż Syonu, z płomiennym mieczem wiary apostolskiej, otrzymanym i zaostrzonym w stolicy św. Piotra, nie przeciwko Bizancyum, które pomimo rozpoczynającej się rozterki religijnej nie było niebezpieczne, ale przeciwko Niemcom, miała stać się przedmurzem, odpierającem zachcianki niemieckich metropolitów i wstrzymać rozwój uniwersalnej monarchii, której następstwom Rzym w interesie swego wysokiego zadania zapobiedz musiał" [1].

Słowa powyższe streszczają wybornie politykę książąt morawskich, tłumaczą przyczyny poparcia, jakiego doznawali ze strony Stolicy św. i wyjaśniają pobudki powołania Konstantyna i Metodego do pracy apostolskiej na Słowiańszczyźnie.

Dzieje wielkomorawskiego państwa nie wchodzą w zakres niniejszej pracy, opowiemy je przecież w krótkości, gdyż działalność św. Metodego dopiero na ich tle jest zrozumiałą.

W pierwszej połowie IX. wieku wymieniają współczesne źródła pierwszego morawskiego księcia w osobie Mojmira; jednocześnie panuje w Panonii książe Priwina, który jest stałym i wiernym sprzymierzeńcem Niemców i uznaje się lennikiem króla Ludwika, wnuka Karola W. Księstwo jego jest prawie zupełnie chrześcijańskie, gdyż arcybiskupi Luitpram i Adalwin (836 do 873) poświęcili w niem 30 kościołów łacińskich, a nawet w jego stolicy Mariborzu było kilka świątyń chrześcijańskich. W opiece religijnej i politycznej

[1] Dr. Beda Dudik: Mährens allgemeine Geschichte T. I. wstęp.

Niemców szukał Priwina oparcia i był typem tych niedołężnych książątek, którzy zamiast pochwycić kierunek wielkiej idei, kiełkującej w ich narodzie, trwożliwie myślą o utrzymaniu chwiejącego się tronu. Mojmir przeciwnie dążył śmiało i otwarcie do niezależności, a choć w r. 846 Ludwik niemiecki zrzucił go z tronu i osadził na nim jego siostrzeńca Rościsława, to ten ostatni jakkolwiek orężem nieprzyjaciół wyniesiony na tron, nie sprzeniewierzył się zamiarom swego krewnego i poprzednika, ale przeciwnie rozszerzył je i wykonał.

Rozpoczął więc Rościsław długoletnią walkę z Frankami, po większej części pomyślną i zwycięzką. Nadaremnie Ludwik niemiecki, jego syn Karloman i margrafowie nadgraniczni urządzali z wielkim trudem i kosztem wyprawy w głąb Morawii, niszcząc i pustosząc po drodze wsie i osady; Rościsława nie można było doścignąć, a gdy go kiedy spotkano w obwarowanym obozie, wszelkie szturmy były nadaremne. Słowianie umieli się bronić wytrwale i skutecznie, a niemieckie wojska musiały powracać znużone i osłabione. Ale ten odwrót zwykle smutno się kończył. Rościsław szedł krok w krok za nieprzyjacielem, nurzył go, staczając z nim nieustanne utarczki, zabierał żywność, przecinał drogi, a przy sposobnej chwili wstępnym bojem dokonywał zwycięztwa. Ledwie resztki frankońskiego rycerstwa wracały do kraju, a sława i potęga Rościsława rosły z każdym rokiem. Obok tego umiał on zjednywać sobie sprzymierzeńców nawet w obozie nieprzyjacielskim. Łączył się z Karlomanem, gdy ten podniósł sztandar buntu przeciwko ojcu, popierał niezadowolnionych margrafów i dawał u siebie schronienie książętom słowiańskim, prześladowanym przez Niemców. Słowem, prowadził mądrą politykę, jakiej się później z takiem powodzeniem trzymali nasi Mieszko I. i Bolesław Wielki. Pomimo to wszystko czuł on i widział dobrze, że może przyjść czas, w którym mu zabraknie gruntu pod nogami. Niemcy byli silni, wyżsi cywilizacyą, jaką im nadało chrześcijaństwo, Słowianie rozbici i w przeważnej części pogaństwu oddani, a duchowieństwo niemieckie w Panonii i Morawii stawało się dzielnym sprzymierzeńcem niemieckiego miecza. W tem położeniu nie pozostawało nic innego, jak utrwalić chrześcijaństwo u Słowian, ale oddać jego szerzenie misyonarzom niegermańskiego pochodzenia. Rościsław zwrócił się do Carogrodu.

Wspomnieliśmy już, że Słowianie zamieszkiwali brzegi morza egejskiego, gdzie tylko miasta miały ludność grecką. Przyjęli oni bardzo prędko wiarę chrześcijańską z rąk greckich duchownych, którzy żyjąc wśród Słowian, języka ich prędko wyuczyć się mogli. Soluń, miejsce rodzinne Konstantyna i Metodego, był otoczony Słowianami, których mowa była w tem mieście bardzo rozpowszechniona i słusznie mógł cesarz Michał powiedzieć do nowych braci: „Jesteście Tessalończykami a wszyscy Tessalończykowie czysto po słowiańsku mówią [1]“. Niewątpliwie nad Dunajem wiedziano coś o stosunkach i życiu południowych pobratymców, którzy nie różnili się ani obyczajami, ani mową od Słowian naddunajskich i nadwiślańskich, „byli bowiem jednym narodem, Słowianie, którzy siedzieli nad Dunajem i Morawianie, Czesi i Lechowie i Polanie, zwani dziś Rusią [2]“.

Przybyli więc do Carogrodu posłowie Rościsława i stanęli przed cesarzem. „Oto“, rzekli, „przybyli do nas liczni nauczyciele chrześcijańscy z Włoch, z Grecyi i z Niemiec a uczą nas rozmaicie. My Słowianie ludzie prości nie mamy nikogo, coby nam objawił prawdę, zrozumiale ją wykładając. Dobrze więc będzie władzco, jeśli nam przyślesz takiego męża, któryby nas we wszelkiej prawdzie oświecił“ [3].

Żądał tedy Rościsław, aby mu cesarz przysłał duchownych, którzyby językiem słowiańskim władali, a gdy właśnie ten warunek posiadali Konstanty i Metody, im więc polecono spełnienie tej ważnej missyi, której podjęli się chętnie, nie bacząc na niebezpieczeństwo i trudy dalekiej podróży. W Konstantynopolu rozterka religijna, zaszczepiona przez Focyusza, szerzyła się coraz silniej tak, że dla nich, wiernych synów Kościoła, pobyt w stolicy nie mógł być przyjemny. Zadanie ich na Słowiańszczyznie było rozległe i trudne. Mieli oni tamtejsze ludy nietylko w wierze chrześcijańskiej utrwalić, ale zanieść im także ogólną oświatę, podnieść i uszlachetnić ich umysł i ułatwić im przystęp do tych skarbów ducha, jakie świat starożytny już posiadał. Słowianie nie posiadali dotychczas odrębnego pisma. „Nie mieli liter“, pisze mnich Chrabr, „ale zapomocą kresek

[1] Żywot św. Metodego.
[2] Latopis Nestora, 19.
[3] Żywot św. Metodego, 5.

i karbów przepowiadali, a ochrzczeni starali się pisać rzymskiemi i greckiemi głoskami słowiańskie rzeczy“ [1]. Pierwszą więc pracą Konstantyna, który widocznie odznaczał się wielkiemi filologicznemi zdolnościami, było ułożyć alfabet, któryby mógł wyrazić wszystkie dźwięki słowiańskiej mowy. W ten sposób powstała głagolica, najstarożytniejsze słowiańskie pismo [2]. „Bóg objawił filozofowi słowiańskie pismo“, pisze biograf Metodego, a wszystkie źródła dawniejsze, które o tem zdarzeniu donoszą, przypisują wynalazek słowiańskiego alfabetu boskiemu natchnieniu. W IX. bowiem wieku i później sądzono, że tylko trzy języki: hebrajski, grecki i łaciński są godne tego, aby w nich słowo Boże głoszone było, gdyż bezpośrednie objawienie upoważniło pierwszych apostołów do używania takowych przy św. ofierze. Słowianie broniąc swej mowy dowodzili, że Konstantemu również Bóg objawił głoski ich języka. Po ułożeniu alfabetu rozpoczął Konstanty przekładać pismo święte: „i zaczął pisać słowa Ewangelii: — na początku było Słowo a Słowo było u Boga, i inne“ [3]. Z powodu jednak spiesznego wyjazdu nie ukończył tłómaczenia, którego dokonał znacznie później Metody już w Morawii.

Na wiosnę 863 r. ruszyli nasi bracia w drogę przez Bułgaryę i Panonię, wioząc z sobą relikwie św. Klemensa i w czerwcu t. r. stanęli w państwie Rościsławowem. W Panonii dolnej panował wówczas Kocieł, następca zabitego w 860 r. Priwiny, a Rościsław gotował się właśnie do nowej wyprawy przeciwko Niemcom. Mimo jednak wojen i niepokojów wewnętrznych, zabrali się bracia gorliwie do apostolskiej pracy, przyjmowani przez mieszkańców z radością i zapałem. Ale Panonia i Morawia zostawały, jak wspomnieliśmy, pod kościelnem zwierzchnictwem niemieckich dyecezyj solnogrodz-

[1] Archiv für Kunde oest. Geschichtsquellen, t. XXIII.

[2] Dwa są rodzaje starosłowiańskiego pisma: głagolica i cyrylica. Pomiędzy uczonymi słowiańskimi panował długo spór, co do starszeństwa tych obu alfabetów. Zabierali głos w tej sprawie: Szafarzyk, Miklosicz, Kopitar, Hanusz, Jesbera i inni. Na podstawie ich badań można już prawie stanowczo twierdzić, że głagolica jest pismem ułożonem przez św. Cyryla, zaś cyrylica zawdzięcza swoje powstanie bułgarskiemu biskupowi Klemensowi, który tak nazwał swój alfabet na pamiątkę swego przyjaciela i mistrza św. Cyryla, a może uważał go tylko za poprawną przeróbkę liter, nakreślonych przez św. apostoła. W każdym razie głagolica jest o jakie pół wieku starsza od cyrylicy.

[3] Żywot św. Konstantyna, c. 14.

kiej i passawskiej, a według ustaw kanonicznych, duchowny sprawujący funkcye kapłańskie w obcej dyecezyi, winien otrzymać osobne upoważnienie od biskupa tejże. Tak się też niewątpliwie stało, gdyż Konstantyn i Metody ściśle się trzymali postanowień rzymskiego Kościoła, a nawet za pierwszą bytnością w Morawii nie odprawiali mszy św. w słowiańskim języku, aby ich nie posądzono o jakieś niedozwolone nowatorstwo. Uprawniwszy więc swoje stanowisko, nauczali bracia i kształcili lud słowiański przez półpięta roku. Niestety, źródła dają nam tylko bardzo ogólnikowe wiadomości z tej epoki. „Zaczęli więc gorliwie pracować nad przeprowadzeniem swoich zamiarów, dzieci liter wyuczać, obowiązki duchowe pełnić, ostrza swej wymowy dla wykorzenienia różnych błędów, jakie u tego ludu znaleźli, używać i zasiewać w ten sposób ziarno słowa Bożego“ [1]. Słowianie trzymali się uporczywie różnych pogańskich zabobonów, których duchowieństwo niemieckie dla braku znajomości miejscowego języka zniszczyć nie potrafiło; dopiero Konstantyn i Metody, obchodząc wsie i grody, każąc i nauczając w mowie zrozumiałej dla ludu, wpoili weń zrozumienie wzniosłych prawd Chrystusowej nauki.

Wielki ruch religijny rozpoczął się na Słowiańszczyznie, dla katolickiego Kościoła nadzwyczaj zbawienny, na który jednak niemiecka hierarchia duchowna krzywem patrzała okiem. Na stolicy św. Piotra zasiadał wówczas papież Mikołaj I., który w szeregu ojców Kościoła wybitne zajmuje stanowisko. Przez cały niemal czas swoich rządów musiał on zwalczać zuchwałe zamiary różnych metropolitów, którzy supremacyi rzymskiego biskupa uznawać nie chcieli, a dla dopięcia swych celów, na władzy świeckich książąt się opierali. Takim był Jan arcybiskup Rawenny, takim Focyusz metropolita carogrodzki, a za ich przykładem szli niemieccy hierarchowie, popierani często przez swoich królów, potężni obszarem swoich dyecezyj i ufni w materyalne środki, jakimi rozporządzali. Właśnie teraz nadarzyła się sposobność osłabienia wpływu i potęgi tych ostatnich, odejmując im zwierzchnictwo nad Słowianami i tworząc samodzielne słowiańskie urządzenia kościelne. Wieść o działalności Metodego i Konstantyna doszła do Rzymu a papież

[1] Translatio s. Clementis, 7.

zawezwał braci dla otrzymania dobrych informacyj o stosunkach słowiańskich. „Apostolski Mikołaj posłał po nich, pragnąc widzieć ich jako aniołów Bożych“, powiada biograf św. Metodego [1]. „I ucieszyli się bracia i Bogu dzięki składali, że byli uważani za godnych wezwania ze strony Stolicy apostolskiej“ [2].

Bez zwłoki też usłuchali papieskiego rozkazu i przybyli do Rzymu w r. 867, wioząc z sobą i owe ciało św. Klemensa. Nie zastali już przy życiu Mikołaja I., którego następca Hadryan II. przyjął ich radośnie i wspaniale, a przekonawszy się o głębokiem przywiązaniu braci do rzymskiego Kościoła, wyświęcił ich obu na biskupów. Niedługo jednak cieszył się Konstanty tą godnością; nie ujrzeli go już Słowianie, którym przyniósł wiarę i oświatę; „a gdy poczuł filozof, że dzień jego zejścia nadchodzi, za pozwoleniem najwyższego kapłana przybrał imię Cyryla, mówiąc, że takie miał objawienie — i po dniach 40 usnął w Panu“[3]. „Do nieba się przeniósł, gdzie jest Chrystus, opuszczając ten padoł płaczu, dolinę ciemności. I przyjął filozofa filozof, wielki nauczyciel słowa głos jego przyjął, ukształciciel ludów wziął do siebie tego, który inne narody światłem poznania oświecił“[4].

Z rzewną prostotą opisuje biograf św. Metodego pożegnanie braci. „Filozof na sąd Boży idąc, rzekł bratu swemu Metodemu: Oto bracie byliśmy zaprzęgiem jednę bruzdę orzącym i ja padam i kończę moje dni, a ty bracie bardzo miłujesz górę, ale nie chciej dla góry rzucać apostolstwa, wszak przez nie możesz być zbawionym“ [5].

Tak w ostatniej chwili pamiętał o swem posłannictwie wielki apostoł, który słusznie w rzędzie ojców Słowiańszczyzny postawiony być winien. Został więc Metody sam na dalsze trudy i prace, pozbawiony tak znakomitej pomocy i kierownictwa Konstantego i to właśnie w chwili, kiedy potrzebował wytężenia wszystkich sił, aby podołać zadaniu. Zanim jednak powrócił na swoje stanowisko, zajął się pogrzebem brata. Chciał zrazu przewieść jego zwłoki, podług życzenia swej matki do Polychronu, ale oparł się temu papież i lud

[1] Żywot św. Metodego, 6.
[2] Translatio s. Clementis, 8.
[3] Translatio s. Clementis, 10.
[4] Żywot św. Klemensa, 3.
[5] Żywot św. Metodego, 7.

rzymski, pragnęli bowiem, „aby mąż tak rozległej sławy miał swój własny grób w najsławniejszem mieście“ [1]. Pochowano więc św. Cyryla w rzymskim kościele św. Klemensa, którego ciało on odszukał i z takim trudem w Rzymie złożył.

Tymczasem zarówno papież jak i Rościsław przyszli do przekonania, że ustanowienie osobnego biskupstwa dla Panonii nie uwolniłoby jeszcze zupełnie tej prowincyi od wpływów niemieckich, gdyż bezpośrednim zwierzchnikiem nowego biskupa byłby zawsze metropolita solnogrodzki. Ażeby uniknąć wszelkiej interwencyi tego ostatniego, należało samodzielność kościelną Słowiańszczyzny uwieńczyć, ustanawiając dla niej osobnego arcybiskupa. Jakoż godność tę otrzymał Metody w r. 869 i zasiadł, jak mówią współczesne źródła, na stolicy św. Andronika, który należał do uczniów Chrystusa i miał sprawować urząd biskupa w panońskiem Sirmium, późniejszem słowiańskiem Śremie. Powołując się na św. Andronika, zamierzał papież przeciąć odrazu wszelkie możliwe rekryminacye solnogrodzkiego metropolity, mianowanie bowiem św. Metodego, nie stwarzało w ten sposób nowej kościelnej prowincyi, ale przywracało dawniej istniejącą, która tylko w skutek politycznych wypadków nie miała dłuższy czas swego pasterza. O ile słusznem i roztropnem było to ostrożne postępowanie papieża, przekonamy się w dalszym ciągu opowiadania.

Osobna metropolia a z nią zupełna niezależność ze strony Niemiec, był to cel, do którego Rościsław dawno dążył, ale jeszcze ważniejszy przywilej wyrobił św. Metody dla swej archidyecezyi. Oto pozwolił mu papież na wprowadzenie liturgii w słowiańskim języku, bez naruszenia dogmatu i jedności nauki z Kościołem rzymskim i uwiadomił osobnym listem Rościsława, jego siostrzeńca Świętopełka i Kocela o tem postanowieniu. „Postanowiliśmy“, pisze Hadryan II., „zbadawszy Metodego posłać w wasze kraje, aby was nauczał jakoście prosili, układając księgi w języku waszym do wszelkiego obrządku cerkiewnego w zupełności, do mszy czyli służby i chrztu. Ten zaś jeden zachowajcie zwyczaj: niech na mszy pierwej czytają epistołę i ewangelię po łacinie a potem po słowiańsku“ [2]. Za wyraźną więc zgodą głowy katolickiego Kościoła, otrzymało

[1] Translatio s. Clementis, 11.
[2] Żywot św. Metodego, 8.

słowiańskie duchowieństwo prawo odprawiania mszy św. w rodzinnej mowie, którego to przywileju nie posiadał i nie posiada dotąd żaden germański język.

Przyczyny, jakie skłoniły papieża do przychylenia się do prośby książąt słowiańskich i Metodego, były liczne i poważne. Chodziło przedewszystkiem o ugruntowanie Chrystusowej wiary pomiędzy Słowianami, którzy unikali świątyń katolickich nie rozumiejąc łaciny, a obawiając się jej jako języka popieranego przez Niemców świeckich i duchownych. Teraz słowo Boże, wygłaszane w języku rodzinnym, musiało ściągnąć tłumy Słowian do kościołów, a pogaństwo ginęło bezpowrotnie. Powtóre, liturgia słowiańska przecinała duchownym niemieckim raz na zawsze wstęp do dyecezyj, w których takowa przeważała i prowadziła do wytworzenia rodzinnego słowiańskiego duchowieństwa, którego przywiązanie do Rzymu nie mogło ulegać żadnej wątpliwości. Wreszcie przykład panońskich Słowian mógł wpłynąć bardzo zbawiennie na ich południowych pobratymców Bułgarów, którzy właśnie wtedy po krótko trwałej unii z Rzymem, przerzucili się do patryarchatu wschodniego. „Tak się spełnią", pisze Hadryan II., słowa Pisma św.: „Chwalcie Pana wszyscy narodowie", a w drugiem miejscu: „Wszyscy poczęli mówić wielmożne sprawy Boże rozlicznymi językami, jako im Duch św. wymawiać dawał [1]".

Opuścił Metody Rzym, udał się do swej archidyecezyi i pracował tam gorliwie i skutecznie jako apostoł i pasterz duchowny. Zamieszki jednak krwawe, jakie wówczas na Morawii wybuchły, utrudniały mu niezmiernie pełnienie biskupich obowiązków. Siostrzeniec Rościsława Świętopełk, niezadowolniony z podrzędnego stanowiska, jakie w państwie swego stryja zajmował, knuł przeciw niemu spiski, dążąc do opanowania tronu przy pomocy Niemców. O tych jego zamiarach rychło się dowiedział Rościsław i postanowił uwięzić zuchwałego synowca. Ten jednak przestrzeżony umknął pod pozorem wyjazdu na łowy, a Rościsław, który goniąc go zbyt daleko się zapędził, został sam schwytany i odprowadzony w okowach do Ratysbony, gdzie go król Ludwik rozkazał oślepić i do klasztoru zamknąć. Państwo Rościsława obsadzili Niemcy. Wkrótce

[1] Żywot św. Metodego 8.

jednak powstali Słowianie w obronie swej niepodległości pod przewództwem pewnego duchownego Sklagamara (Sławomira) i wypędzili załogi frankońskie ze swego kraju. Ludwik zebrał potężne wojsko dla poskromienia Morawian i postawił na jego czele Świętopełka, którego uważał za wiernego sprzymierzeńca. Świętopełk jednak, wprowadziwszy siły niemieckie w głąb Morawii, połączył się niespodziewanie z swymi rodakami, Niemców w pień wyciął i sam się księciem morawskim ogłosił. Ta zmiana panującego nie mogła pozostać bez wpływu na działalność św. Metodego.

Rościsław popierał go bezwarunkowo i był nieprzejednanym wrogiem niemieckiego duchowieństwa; przeciwnie Świętopełk politykował z solnogrodzkim arcybiskupem i był przesiąknięty wpływami frankonskimi, które na jego dworze szerzyli księża niemieckiego pochodzenia, nieprzyjaciele Słowian w ogóle, a Metodego w szczególności. Musiał więc ten ostatni szukać oparcia w panońskiej części swej dyecezyi, gdzie książe Kocieł stale mu okazywał swoją przychylność.

Tymczasem niemieccy biskupi nie zrzekli się swych pretensyj do Słowiańszczyzny; wyniesienie Metodego do godności arcybiskupa i słowiańska liturgia, były to wypadki przeciw nim wymierzone, których doniosłość dobrze rozumieli i które dlatego postanowili zwalczać wszelkimi środkami. Otóż arcybiskup solnogrodzki Adalwin, jego sufragani: Ermenryk z Passawy, Hans z Frejsingen i inni bawarscy dygnitarze kościelni, zwołali w r. 871 synod prowincyonalny w obecności króla Ludwika, na który także Metodego zawezwali, aby się usprawiedliwił ze swych czynności. Stawił się mąż święty w poczuciu słuszności swej sprawy i świadomy poparcia, jakiego mu Stolica Apostolska udzielała: „Oto w naszym udziale uczysz", rzekli biskupi. „Gdybym wiedział", odparł Metody, „że to wasz udział, obchodziłbym go zdaleka, ależ on jest Piotra św."[1]. Zarzucano mu więc, że pełni funkcye biskupie w obcych dyecezyach, pomimo że biskupi na synodzie zgromadzeni dobrze wiedzieli o wskrzeszeniu metropolii panońskiej przez papieża. Tym też argumentem bronił się Metody, który domyślając się przytem prawdziwych pobudek pretensyj niemieckich biskupów, śmiało powie-

[1] Żywot św. Metodego 9.

dział: „Zaprawdę, jeśli wy dumą i łakomstwem powodowani wbrew kanonom przedziały stare przekraczacie, nauce Bożej przeszkadzając, strzeżcie się, iżbyście jakoby żelazną górę czaszką kościaną przebić usiłując, mózgu waszego nie wylali“ [1]. Oburzyli się Niemcy na te słowa. „Zuchwale mówisz“, rzekli mu, „na złe ci to wyjdzie“. Nie dał się jednak nasz apostoł ustraszyć i odpowiedział: „Prawdę mówić i przed cesarzami nie wzdrygam się, a wy róbcie ze mną co się wam podoba; nie jestem bowiem lepszy od tych, którzy prawdę mówiąc, rozlicznemi mękami życie to zakończyli“ [2].

W tym duchu wiodły się dalsze rozprawy, tylko niemieccy biskupi w braku słusznych argumentów obsypywali Metodego obelgami i niesprawiedliwymi zarzutami, że go aż król musiał wziąść w obronę: „Nie trudźcie mego Metodego“, powiedział, „bo się już jak przy piecu upocił“. Na to on odparł. „Tak jest władzco. Filozofa spoconego spotkawszy raz ludzie zapytali: czego się pocisz? On im na to: z grubijanami się spierałem“ [3].

Ta charakterystyczna scena, którą dokładnie zapisał biograf św. Metodego, daje nam wyobrażenie o zaciętości niemieckiego duchowieństwa, zagrożonego w swem znaczeniu i dochodach przez nowego metropolitę Panonii. Metody grek z pochodzenia, ale słowianin mową i uczuciem, wykształcony w ognisku ówczesnej oświaty, pełen głębokiej nauki, powierzchowności łagodnej, poważnej, musiał dziwnie odbijać pośród germańskich wojowniczych i nieokrzesanych dostojników kościelnych, którzy z równą łatwością krzyża jak miecza używali i mógł im słusznie powtórzyć słowa onego filozofa: „Z grubijanami się spierałem“.

Po tej dyspucie, zatrzymano Metodego przemocą w Bawaryi, aby przynajmniej chwilowo jego pasterską działalność powstrzymać, a jednocześnie wysyłali biskupi skargi do papieża i cesarza, wywodząc swoje rzekome prawa do Panonii i Morawii a nawet zarzucając Metodemu szerzenie fałszywych nauk. Było to postępowanie niegodne, jakoż „nie uszli sądu św. Piotra, czterech bowiem biskupów umarło“, powiada biograf apostoła, co jest rzeczywiście prawdą, gdyż w przeciągu dwóch następnych lat, zeszli z tego świata Adal-

[1] Żywot św. Metodego 9.
[2] Idem.
[3] Idem.

win solnogrodzki, Ermenryk z Passawy, Landfried sebeński i Hanno z Freisingen, którzy na powyżej opisanym soborze byli obecni.

Uwięzienie Metodego nie trwało jednak długo. Losem prześladowanego arcybiskupa interesowała się Stolica apostolska, pragnął go mieć w swoim kraju Świętopełk, który w r. 874 po zwycięzkiej wojnie zawarł w Forcheimie traktat z królem Ludwikiem i wymusił na tym ostatnim uznanie swej niezależności. Bardziej więc niż kiedykolwiek chodziło mu o ostateczne załatwienie sprawy panońsko-morawskiej metropolii, aby polityczna jego samodzielność otrzymała poparcie w kościelnej niezawisłości.

Papież, wtedy już Jan VIII., wysłał do Niemiec i Panonii legata w osobie Pawła biskupa Ankony, który miał polecenie przeprowadzić uwolnienie Metodego i dowieść biskupom bawarskim, a w razie potrzeby cesarzowi niemieckiemu, że Stolica apostolska zupełnie prawnie sobie postąpiła, ustanawiając oddzielną metropolię w Panonii. Podnoszono bowiem ze strony niemieckiej zarzut przedawnienia; biskupi solnogrodzki i passawski, władali przez lat 75 dyecezyą panońską, a tem samem ustały prawa wszelkich innych władz lub osób do tej dyecezyi. Na to odpowiedział papież: „Najjaśniejsze posiadamy dowody, że Panonia od najdawniejszych lat była zachowana dla rzymskiej Stolicy; jeżeli więc potem Niemcy ją zawojowali, to jeszcze nie daje zdobywcom prawa, ani nie może osłabić rzymskich pretensyj, bo praw rzymskiego Kościoła żaden czas nie osłabia, żaden podział nie stoi im na przeszkodzie. Ale i szanowne prawa rzymskie przypuszczają przedawnienie tylko po stu latach“ [1].

Te stanowcze słowa, a prawdopodobnie i nacisk ze strony Świętopełka, wróciły wolność Metodemu, który mógł nareszcie udać się do swej osieroconej dyecezyi i dalej prowadzić dzieło nawracania. Działalność jednak jego ograniczyć się musiała na posiadłości Świętopełka, gdyż Panonia po śmierci księcia Kocieła przyłączoną została jako opróżniona na prawach lennych do Niemiec. Nie zaniechało i teraz duchowieństwo niemieckie swoich knowań. Z jednej strony podburzano Słowian przeciw Metodemu, zapomocą księży parafialnych, których wielu w Morawii powstało, a z drugiej strony

[1] List Jana VIII. do Ludwika niemieckiego.

obrzucano go oszczerstwem przed papieżem, jako człowieka nie prawowiernego i bliskiego herezyi. Nie mógł na to patrzeć obojętnym okiem Świętopełk, gdyż knowania te wymierzone także przeciw niemu, mogły podkopać jego władzę i znaczenie; aby więc raz przeciąć niesnaski i zapewnić spokój wewnętrzny swemu państwu, wypędził ten książe w r. 874 wszystkich księży frankońskiego pochodzenia z granic Morawii i oddał służbę Bożą słowiańskim kapłanom. Krok ten gwałtowny, może usprawiedliwiony do pewnego stopnia zachowaniem się Niemców, miał jak najlepsze następstwa dla wiary i dla politycznego stanowiska Morawii. Zniknęła wszelka nieufność ku metropolicie, ustały kłótnie domowe a św. Apostoł pracował niestrudzenie nad ukończeniem wielkiego dzieła, które było celem jego życia. „Od tego czasu", pisze biograf Metodego, „bardzo szerzyć się poczęła Boża nauka i postrzyżeńców mnożyło się we wszystkich grodach, a poganie wierzyć poczęli w prawdziwego Boga, błędów się swoich wyrzekając"[1]. Za to tem zawzięciej oskarżało duchowieństwo niemieckie Metodego w Rzymie, zarzucając mu wreszcie wprost herezyę dlatego, że przy mszy św. śpiewał *Credo* bez dodatku „filioque", wbrew zwyczajowi przyjętemu w niemieckich kościołach. Wiadomo jednak, że Kościół rzymski nie uważał w tym czasie wyznania wiary za niezbędną część mszy, a dodatek „filioque", określający pochodzenie Ducha św., nabrał wagi i znaczenia i stał się powszechnym dopiero w późniejszych czasach. Oskarżenie więc, na tej podstawie oparte, upadało samo przez się; musieli jednak niemieccy księża w czarnych barwach przedstawić położenie, a w dodatku podsunąć papieżowi myśl, że słowiańska liturgia służy za pokrywkę do wielu innych heretyckich zboczeń, skoro Jan VIII. w liście w roku 879 do Metodego wystosowanym tak się odzywa: „Gdyś powinien lud Pana, tobie jako duchownemu pasterzowi powierzony, do zbawienia prowadzić, słyszeliśmy, że nie uczysz tego, co św. rzymski Kościół od samego księcia Apostołów otrzymał i lud do błędu uwodzisz. Dlatego tym apostolskim listem nakazujemy Ci, abyś wszelkie sprawy na bok odłożywszy, natychmiast do nas przybyć się starał, abyśmy prawdziwie poznali naukę twoją. Słyszeliśmy także, że śpiewasz mszę w barbarzyńskim (tj. w sło-

[1] Żywot św. Metodego, 10.

wiańskim) języku. A już listem naszym przez Pawła biskupa Ankony tobie doręczonym, zakazaliśmy Ci odprawiania mszy św. w tym języku“ [1].

Widocznie nawet Świętopełk miał jakieś wątpliwości co do Metodego, gdyż Papież osobnym listem go uspokajał, donosząc zarazem o powołaniu metropolity do Rzymu dla wyjaśnienia sprawy.

Jako posłuszny syn Kościoła, ruszył św. Metody po raz drugi w daleką podróż do wiecznego miasta, a towarzyszyli mu w tej wyprawie, zaufany sługa Świętopełka Semisizn i kapłan Wiching późniejszy biskup nitrzański i wróg naszego apostoła. Sprawa jego była niewątpliwą. Papież był o niewinności Metodego zapewne z góry przekonany; chodziło tylko o to, aby raz na zawsze położyć koniec wszelkim podejrzeniom i kłamliwym pogłoskom, które nietylko osobiście Metodego dotykały, ale dla powagi i rozwoju katolicyzmu w słowiańskich krajach były szkodliwe; chciał też Jan VIII. dać Apostołowi świetne zadośćuczynienie za ciągłe napaści, jakich był przedmiotem.

Oto, co mówi Jan VIII. w liście do Świętopełka pisanym w roku 880, po zbadaniu sprawy i wysłuchaniu obrony Metodego: „Zapytaliśmy waszego czcigodnego arcybiskupa, czy w symbol wiary katolickiej tak wierzy i tak go przy mszy św. śpiewa, jak postanowili i nam przekazali na sześciu św. Soborach powszechnych Ojcowie święci, podług powagi ewangelicznej Chrystusa Boga naszego. On zaś oświadczył, że się trzyma nauki ewangelicznej i apostolskiej, podług ustaw św. rzymskiego Kościoła i tradycyi Ojców. Znalazłszy go więc prawowiernym we wszystkich naukach kościelnych, odsyłamy go wam znowu, aby rządził powierzonym sobie Kościołem i rozkazujemy, abyście przyjęli go jako pasterza waszego z należną czcią, uszanowaniem i radością, ponieważ z mocy naszej apostolskiej władzy, godność jego arcybiskupią potwierdziliśmy. Polecamy zaś presbyterom, dyakonom i klerykom wszelkich stopni, czy to słowianom, czy innego pochodzenia, którzy żyją w granicach twej prowincyi, aby we wszystkich sprawach byli podlegli i posłuszni rzeczonemu

[1] Pominęliśmy sprawę zakazu liturgii słowiańskiej, jako niedość wyjaśnioną. Wiadomo bowiem, że św. Metody już po swojem uwolnieniu i po odjeździe biskupa Ankony mszę św. w języku słowiańskim odprawiał, a trudno przypuszczać, aby czynił to wbrew wyraźnemu poleceniu głowy Kościoła.

bratu naszemu, a arcybiskupowi waszemu i aby nic nie czynili bez jego wiadomości. Pochwalamy wreszcie litery słowiańskie wynalezione niegdyś przez Konstantyna Filozofa i rozkazujemy, aby ofiara Pana naszego w tym języku odprawiana była, podług słów: Chwalcie Pana wszystkie ludy".

W najpiękniejszem świetle stanęła teraz niewinność Metodego. Nietylko uznał go Ojciec św. prawym synem rzymskiego Kościoła i wiernym tłumaczem Chrystusowej nauki, ale nadto zagroził karami kościelnemi tym wszystkim, którzyby jego władzy arcybiskupiej uznawać nie chcieli; a ustęp ten odnosi się oczywiście do niemieckiego duchowieństwa ciągle niezadowolnionego i buntującego się przeciwko metropolicie. Liturgię słowiańską pochwalił i potwierdził Papież, przekonany argumentami naszego apostoła a wreszcie dla tem większej świetności morawsko-panońskiego arcybiskupstwa, ustanowił dlań dwie sufraganie, tak, aby nowa ta prowincya kościelna posiadała zupełny samorząd i miała zapewnioną trwałość; gdyż dotychczas nie mógł Metody wyświęcać biskupów bez pomocy Niemców; wiadomo bowiem, że dla dopełnienia podobnego obrzędu, potrzeba udziału co najmniej trzech dostojników kościelnych. Stolicą jednej sufraganii została Nitra, a na pierwszego biskupa tej dyecezyi wyświęcił papież w skutek wstawienia się Świętopełka, wyżej wspomnianego Wichinga, który jako niemiec z pochodzenia, już przez to samo był Metodemu nieprzychylny. Gdy więc metropolita powrócił do Morawii otoczony aureolą papieskiej łaski, Wiching rozpoczął od razu swoje wichrzenia, opierając się na łacińskiem duchowieństwie, które w jego dyecezyi przeważało i bez względu na rozkazy swego arcypasterza prześladował słowiańską liturgię. Nie dosyć tego; chcąc swej samowoli nadać pozór legalności, sfałszował list Papieża i pokazywał to pismo niby z Rzymu nadesłane, a uwalniające go od zwierzchnictwa Metodego. Ten ostatni udał się oczewiście z zapytaniem do Stolicy św., a Jan VIII. odpowiedział bez zwłoki, odkrywając całą niegodziwość intrygi Wichinga. I pocieszył się Metody i jego wierni odczytując list apostolski, w którym znaleźli następujący ustęp: „Oto brat nasz Metody święty jest prawowierny, pełni on czynność apostolską, jemu poruczone są od Boga i od Stolicy apostolskiej wszystkie kraje słowiańskie; kto więc jego przeklina, niech będzie przeklęty, a kto go święci, niech będzie

święty“ [1]. Świętopełk nie miał nigdy dość politycznego rozumu, aby swego metropolitę popierać w jego usiłowaniach i pozyskać w nim podporę dla wielkiego słowiańskiego państwa, które się zbiegiem czasu pod jego berłem tworzyło; ale w ostatnich latach życia Metodego, książe ten zniewolony wypadkami politycznymi i wojnami, jakie prowadził z Arnulfem księciem Karyntyi, nie stawiał przynajmniej żadnych przeszkód działalności naszego apostoła, i nie wysuwał przeciw niemu Wichinga, który obłożony klątwą musiał nawet nstąpić z Morawii. Po wielu więc latach ciągłych przeciwności i prześladowań, mógł nareszcie Metody spokojnie i bezpiecznie kończyć rozpoczęte dzieło.

Działalność jego apostolska rozciągnęła się i po za granice dzierżaw Świętopełka, do Czech i krajów zakarpackich. Za jego wpływem przyjął chrzest Borzywoj książe czeski, a uczniowie jego nieśli słowo Boże do nadwiślańskich Słowian, gdzie prawdziwa wiara wielu znalazła zwolenników; a bardzo być może, że staropolska legenda o aniołach odwiedzających Piasta, ma swoje źródło w pojawieniu się wysłanników Metodego w ziemi Polan nadgoplańskich, coby dowodziło, jak szeroki zakres miały prace naszego apostoła.

Prócz tego przetłumaczył on na język słowiański Pismo święte, który to przekład był już, jak wspominaliśmy, rozpoczęty przez Konstantyna i położył w ten sposób jakby pierwsze podstawy słowiańskiej literaturze. Nauczał lud, błędy wykorzeniał i budził ducha cnoty: „powody niesnasek ze wszystkich stron uchyliwszy, zatkał usta oszczercom, powołania swego dopełnił, wiarę utwierdził, spodziewając się wieńca sprawiedliwych“ [2].

A gdy poczuł zbliżającą się ostatnią godzinę, zwołał uczniów swoich i dawał im światłe nauki i polecenia, a gdy płakali, pocieszał i uspokajał ich mówiąc: „Przyjdą do was po mojej śmierci wilki żarłoczne nieszczędzące trzody i będą lud uwodzić, ale opierajcie się im silnie wiarą“ [3]. Pytali więc go uczniowie, czy nie wyznaczy następcy po sobie? „Oto jest“, rzekł, „Gorazd wasz ziomek mąż swobodny, w piśmie łacińskiem dobrze wyćwiczony, niech

[1] Żywot św. Metodego, 12.
[2] Żywot św. Metodego, 17.
[3] Żywot św. Klemensa, 6.

więc z nim będzie wola Boża i Wasza miłość tak jak jest moja“ [1].

W niedzielę kwietną 885 r. zachorował mocniej, mimo to poszedł do kościoła i nauczał lud, a błogosławiąc wszystkim mówił: „Strzeżcie mię dzieci do trzeciego dnia“, i tak zrobiono. A gdy zaświtał dzień trzeci, rzekł: „W ręce Twoje Panie polecam mego ducha“. I na rękach kapłana spoczął w Bogu dnia 6 miesiąca kwietnia, indykta 3 w roku od stworzenia świata 6393. I złączył się z ojcami swoimi i patryarchami, prorokami i apostołami, nauczycielami i męczennikami“ [2]. Uczniowie wyprawili mu wspaniały pogrzeb, odprawiwszy przytem w cerkwi nabożeństwo greckie, łacińskie i słowiańskie. „Ludu zaś niezliczona moc zebrawszy się odprowadzała go płacząc za dobrym nauczycielem swoim i pasterzem: mężczyźni i niewiasty, mali i wielcy, bogaci i ubodzy, wolni i niewolnicy, wdowy i sieroty, obcy i krajowcy, chorzy i zdrowi, wszyscy jednakowo, bowiem stał się wszystko wszystkim, aby wszystkich zbawił“ [3].

Tak żył, tak umarł św. Metody. Zrobił on dla Słowian to, co pierwsi apostołowie zdziałali dla Greków i Rzymian, a praca jego wydała owoce nieśmiertelne. Nękany przez cały ciąg swego żywota najróżnorodniejszemi przeciwnościami, srogo nieraz prześladowany i obmową znieważany, nie ugiął się on i nie zwątpił nigdy, a poświęciwszy całe swe życie jednej idei, pozostał jej wiernym do końca. Zastał Słowian pogrążonych w ciemnocie pogaństwa i w barbarzyństwie, a gdy umierał, już nauka Chrystusa weszła była w krew i życie tego ludu, a pierwsze promienie oświaty już na dobre zaświtały w ich kraju. Dał on Słowianom poczucie narodowej samodzielności, bronił i osłaniał ich od germanizacyi i zagłady. Miecz Rościsławów i Świętopełków nigdy nic nie zdołałby utrzymać morawskiego państwa, gdyby nie pomoc i praca św. Metodego. Wymownym zaś tego dowodem jest fakt, że już w piętnaście lat po śmierci apostoła, ginie niepodległość Morawii bez śladu, a na zgliszczach jej grodów, podają sobie dłoń Niemcy i Magiary, aby odtąd klinem wbitym w ciało Słowiańszczyzny, rozbić ją i podzielić na zawsze.

[1] Żywot św. Metodego, 17.
[2] Idem.
[3] Idem.

Jest nareszcie św. Metody przedstawicielem łączności Słowian z rzymskim Kościołem, którego był wiernym synem i niestrudzonym obrońcą, a gdy całe jego życie było ciągłą walką o wolność Słowian i o zasady prawdziwej wiary, przeto słusznie możemy powtórzyć z biografem apostoła: „Ty zaś święta i zacna głowo, patrząca z wysokości na nas uczniów swych, smucących się po Tobie, zbawiaj nas od wszelkiej napaści, rozszerzaj naukę i wytępiaj herezyę“.

T. J. Olechnowicz.

MIKOŁAJ TRĄBA

PIERWSZY PRYMAS POLSKI.

(Dokończenie).

Dnia 16 maja roku 1418 Papież opuścił Konstancyę[1], a nazajutrz arcybiskup Trąba z pięciu biskupami: kujawskim, który pod koniec soboru powrócił do Konstancyi, poznańskim, płockim, lubuskim i kijowskim, tudzież z innymi posłami i z ich otoczeniem, wynoszącem ośmset koni, wybrali się ztamtąd w drogę do kraju[2]. Pozostał tam tylko rycerz Zawisza Czarny z Garbowa, który przypadłszy wielce do gustu cesarzowi Zygmuntowi, z nim razem udał się na dwór jego[3]. Król Władysław, który naówczas bawił w Wielkopolsce, gdy posłowie powrócili na ziemię ojczystą, spotkał się z nimi, przybranymi w szkarłatne płaszcze i czarne kapelusze w mieście Pobiedziskach, gdzie ich nader uprzejmie powitał, wyszedłszy wraz z królową i całym dworem na ich przyjęcie za miasto[4].

Arcybiskup Mikołaj, zdawszy monarsze swemu relacyę z czynności poselskich na soborze, podążył do Gniezna, gdzie czas niejaki bawił, informując się o położeniu archidyecezyi i ztamtąd na dniu 20 czerwca zapozwał przed sąd swój metropolitalny do Łęczycy na dzień św. Jakóba Apostoła (25 lipca) biskupa kujawskiego, Jana Kropidło, oskarżonego pzez kapitułę kujawską o to, że jej długu

[1] V. d. Hardt, l. c. t. IV., 1582.

[2] Tamże, t. IV., 1583.

[3] Długosz, l. c. lib. XI., 391.

[4] Tamże, XI., 391. Według podania ojca historyków naszych, król powitał w Pobiedziskach oprócz arcybiskupa tylko trzech biskupów: kujawskiego, poznańskiego i płockiego. Zapewne dwaj inni wyżej wymienieni, którzy w skład poselstwa nie wchodzili, inną drogą pospieszyli do swoich dyecezyj.

znacznego spłacić nie chciał [1]. Zaledwo po trudach dalekiej podróży nieco odpoczął i obejrzał się po swej archidyecezyi, powołany został do boku króla, aby mu służyć radą i pomocą w ówczesnych zawikłaniach z Krzyżakami i w innych ważnych sprawach publicznych. Na św. Jakób roku 1418 znajdował się na sejmie łęczyckim, gdzie zapewne w imieniu poselstwa zdawał publicznie sprawę z przebiegu soboru i czynności posłów. Tu, niezawodnie w skutek wzmianki o Falkenbergu i jego ohydnym paszkwilu, król na nowo podniósł tę bolesną dla siebie sprawę i po wielu naradach i namysłach napisać kazał list do papieża Marcina V., ażeby oszczercę potępionego wyrokiem soboru wydał w ręce władzy świeckiej i spalić go kazał razem z bezecnem pismem jego [2]. Jak sobie papież w tej mierze postąpił, już wyżej powiedzieliśmy. Z tegoż sejmu wysłał król Władysław poselstwo do w. książęcia Witołda celem obmyślenia sposobów do sprowadzenia z Węgier książęcia Świdrygiełły, który więziony przez Witołda, zdołał umknąć z więzienia i znaleźć przytułek u cesarza Zygmunta, zarazem króla rzymskiego i węgierskiego. Jakoż Witołd zezwolił na jego powrót i listem żelaznym zapewnił mu bezpieczeństwo, a gdy powrócił, puścił mu dzierżawą pewne ziemie ruskie, jako to: Brańsk, Siewiersk i Nowogrodek [3].

W dwa miesiące potem, na początku października był arcybiskup Mikołaj wraz z królem i wielu panami polskimi w Wieluniu, gdzie się nowe toczyły traktowania z posłami krzyżackimi, lecz dla uporu tychże do żadnego nie doprowadziły skutku [4]. Z tego zjazdu udał się arcybiskup do Gniezna, gdzie od dnia 20 października brał udział w obradach kapituły jeneralnej i pilnie zajmował się sprawami archidyecezyi swojej. Zgromadzeni prałaci i kanonicy upomnieli go przez dziekana swego, Wincentego, ażeby stawał energicznie w obronie praw i wolności Kościoła, a nie pobłażał samowoli i nadużyciom, których się dopuszczał król, pozbawiając duchownych bez powodu kanonicznego ich beneficyów i takowe według upodobania swego rozdając [5]. Ponieważ król mięszał się także bez-

[1] *Monumenta medii aevi historica* t. II. a, 46.
[2] Długosz l. c. lib. XI., 392.
[3] Tamże lib. XI., 392.
[4] Voigt l. c. t. XII., 326. — Długosz l. c. lib. XI., 393.
[5] Acta decr. Capit. Gnesn. I., 74.

prawnie do spraw kapitulnych, wydając dziwaczne rozporządzenia co do rozdziału wsi prestymonialnych, oraz kuryj kanoniczych, przeto kapituła na dniu 26 października uchwaliła, że każdy jej członek, któryby na mocy takich rozporządzeń królewskich zgłaszał się o też wsie i domy, tem samem do ich posiadania niezdolnym się stanie [1], dając przez to wskazówkę arcybiskupowi, jak i on w podobnych przypadkach zachciankom królewskim winien się opierać.

W rokowaniach z Krzyżakami i legatami papieskimi nasz prymas brał nieraz czynny udział, przewodniczył komisarzom polskim w bezowocnym zjeździe w Gniewkowie 1419 r.; towarzyszył królowi jako wierna rada w „nawrotnej“ (reversalis) wyprawie przeciw Krzyżakom w lipcu 1419 r., i znów z końcem t. r. stanął na czele komisarzy polskich, na zjeździe Krzyżaków, posłów papieskich i cesarza Zygmunta, który wiarołomne swe pośrednictwo ofiarował we Wrocławiu. Dyplomatyczne te, a bezowocne prace prymasa opisuje szeroko Długosz, dlatego nie zatrzymujemy się nad niemi. Szczęśliwszym był prymas w przyprowadzeniu do skutku synodu prowincyonalnego, który rozpoczął się w styczniu r. 1420 w Wieluniu, przeniósł się w sierpniu b. r. i dokończył swego zadania w Kaliszu. Owocem prac synodalnych było zestawienie w systematyczną całość ustaw poprzedzających synodów prowincyonalnych [2], które stanowi trzeci drogocenny zbiór tychże ustaw, zastósowany do pięciu ksiąg dekretaliów Grzegorza IX., a składający się z 72 artykułów bądź dawniejszych, bądź nowszych. Zbiór ten stanowił przez długie czasy kodeks prawa w kościele polskim i kilkakrotnie drukiem został ogłoszony. Najstarsze wydanie, o którem wspomina Jocher [3], wyszło zapewne w Norymberdze lub w Lipsku i drukowane jest czcionkami zagranicznemi łacińskiemi, podobnemi do druku pierwszej edycyi statutów Kazimierzowych. Ponieważ ani rok, ani miejsce druku nie są podane, trudno wyśledzić, za czyjem staraniem dzieło to na widok publiczny wydane zostało. Egzemplarz tego rzadkiego wydania posiada archiwum kapituły poznańskiej [4]. Powtórnie wydany

[1] Tamże I, 74.

[2] *Statuta provinciae Gnesnensis revisa diligenter et emendata*, wydanie z r. 1527, ks. V., art. ostatni: *de regulis iuris*.

[3] *Obraz bibliograficzno-historyczny literatury i. t. d. w Polsce*, t. III, 304.

[4] *Statuta provincialia toti provinciae Gnesnensi Posnan. Wratislavien.*

został zbiór w mowie będący w Norymberdze w roku 1512, w najdawniejszym zbiorze ustaw synodalnych wrocławskich biskupa wrocławskiego, Jana Turzona, przez Hieronima Höltzla, od str. LI do CII, pod tytułem, jak ów egzemplarz poznański [1]. Następnie ogłoszony został drukiem tenże zbiór przez arcybiskupa Jana Łaskiego w Krakowie, w oficynie Hallera w roku 1518, czcionkami gotyckiemi [2], i przez Piotra Tomickiego, biskupa krakowskiego w tymże roku i w tejże oficynie [3], nareszcie w trzech wydaniach ustaw synodalnych arcybiskupa Jana Łaskiego z lat: 1825, 1827 i 1828 [4]. W archiwum kapituły gnieźnieńskiej znajdują się odpisy tychże ustaw w osobnej księdze razem z ustawami synodalnemi arcybiskupa Jana Sprowskiego z roku 1456 i w księdze trzeciej ustaw kapitulnych na przedzie; w bibliotece zaś tejże kapituły odpis z XV. w. w jednym foliancie, razem z dyalogami św. Grzegorza *de miraculis Sanctorum* na przedzie i z różnemi rozprawami teologicznemi na końcu [5].

Po ukończonym szczęśliwie synodzie w Kaliszu, arcybiskup

Cracovien. ceteris et singulis episcopatibus sub Archiepiscopatu contentis valentia sub auctoritate apostolica edita, ut clare patet ex bullis summorum pontificum hic insertis. 8 maj. 53 kart nieliczb. na pergaminie.

[1] Zbiór ustaw synodalnych wrocławskich nosi tytuł: *Statuta sinodalia et provincialia etc.;* pod nim piękny drzeworyt przedstawiający po lewej stronie św. Jana Chrzciciela, a po lewej św. Jadwigę, patronów Szlązka, u dołu zaś herby Szlązka i biskupa Turzona; na końcu: *omni diligentia impressa finitaque Nuremberge oppido imperiali per Hieronymum Höltzel expensis providi viri Francisci Klosse de Wratislavia Anno Dni 1512 vicesima secunda die mensis Mai.*

[2] *Statuta provincialia toti provinciae Gnesnen. valentia auctoritate apostolica edita, ut clare patet ex bullis summorum pontificum hic insertis.* Herb Korab wśród ozdób drukarskich z cyfrą Hallera. 4, str. 37. Na odwrotnej stronie tytułu dedykacya do Łaskiego z r. 1518 Rudolfa Agricoli młodszego.

[3] Ten sam tytuł z herbem Tomickiego, na odwrotnej stronie dedykacya Agricoli z tegoż roku. 37 kart i 3 na początku nieliczbowane (Jocher l. c. III., 305).

[4] *Sanctiones ecclesiasticae tam ex Pontificum decretis quam ex Constitutionibus Synodalibus Provinciae, imprimis autem Statuta in diversis provincialibus Synodis a se (Joanne de Lasko sancita. Cracoviae typis Mathiae Scharffenberger* 1525. 4. — *Statuta provinciae Gnesnensis antiqua revisa diligenter et emendata. Excussum Cracoviae in vigilia Sancti Stanislai Anno dominicae Incarnationis MDXXVIII per Mathiam Scharffenberger Civis et Bibliopole Cracoviensis. Laus Deo* 4, 25 arkuszy, druk łaciński.

[5] Foliant ten oznaczony jest w dziale rękopisów: MS. 42.

Mikołaj zajął się gorliwie przeprowadzeniem ustaw jego w życie na tymże synodzie uchwalonych i wglądał pilnie w sprawy administracyjne archidyecezyi. Wśród tych zajęć doszło go wezwanie króla Władysława, ażeby wraz z innymi prałatami i panami polskimi stawił się na początku listopada roku 1420 w Niepołomiach, celem wspólnej narady co do sprawy czeskiej, ponieważ przywódzcy Husytów po trzykroć ofiarowali koronę królowi polskiemu z nienawiści ku Zygmuntowi, prawowitemu jej dziedzicowi [1]. Że arcybiskup Mikołaj na zjeździe niepołomickim był obecnym, dowodzi wystawiony tamże dokument królewski z dnia 8 listopada tegoż roku, nadający prawo średzkie wsiom: Żukowu i Dryszczowu przez niego podpisany [2]. Po długich naradach, panowie polscy z arcybiskupem naczele jednomyślnie oświadczyli się za nieprzyjęciem korony państwa czeskiego, zarażonego straszliwą herezyą i wystawionego na burze i wojny domowe, tem więcej, że nie wypadało monarsze polskiemu wdzierać się w prawa żyjącego dziedzica tejże korony, zkądby dla Polski nieuchronne wynikły wojny. W tej myśli król Władysław dał posłom czeskim stanowczą odpowiedź odmowną [3].

Nie tak zapatrywał się na położenie Czech ambitny i chciwy sławy Witołd, do którego gdy się husyccy posłowie ponownie udali, ofiarując mu koronę, uprzejmie ich przyjął i oświadczył gotowość uwzględnienia ich prośby, nadwyrężając przez to zaprzysiężoną unię horodelską, według której bez przyzwolenia Polski nie wolno mu było przyjmować obcej korony [4]. Nie dziw zatem, ze Polacy zasmuceni tą niewiernością Witołda, celem pozyskania sobie w miejsce jego odpowiedniego sprzymierzeńca, z podwojoną gorliwością popierali plan krótko przedtem powzięty zaślubienia córki królewskiej Jadwigi z drugim synem margrabiego brandenburskiego, Fryderykiem. Na dniu 21 kwietnia roku 1421 spisano w Krakowie ugodę przedślubną, w której postanowiono, że w razie zgonu króla Władysława, bez potomka męskiego, córka jego rzeczona z małżonkiem swoim tron polski odziedziczyć miała, w przeciwnym razie wyznaczono jej

---

[1] Długosz, l. c. lib. XI., 435.
[2] Akta grodzkie i ziemskie t. III., 176.
[3] Długosz, l. c. lib. XI., 435.
[4] Tamże, lib. XI., 436.

posag stu tysięcy dukatów [1]. Poznał się przecież na tym planie Witołd, a ufając w swą przewagę nad wolą i umysłem króla, przez niego postanowił utrzymać wpływ swój na losy Polski, zapobiegając możliwemu odziedziczeniu tronu polskiego przez margrabiów brandenburskich, tudzież ścisłemu zjednoczeniu się Polski z Węgrami i Czechami przez projektowane małżeństwo króla Władysława, bądź z jedynaczką cesarza Zygmunta, Elżbietą bądź z Ofką, córką po królu czeskim Wacławie, mającą otrzymać w posagu cały Szlązk i sto tysięcy dukatów [2]. Rozwinął przeto czynność energiczną, ażeby króla nakłonić do pojęcia w małżeństwo siostrzenicy swojej Zofii albo Sonki, córki Andrzeja Siemionowicza, książęcia olszańskiego, a wnuka Iwana Ołgymuntowicza i dopiął celu swego, gdy zabiegi panów polskich na powtórnym zjeździe niepołomickim w listopadzie roku 1421 odbytym, na którym znajdował się także nasz arcybiskup Mikołaj, jak dowodzi dokument królewski w Niepołomicach, dnia 21 tegoż miesiąca i roku wydany, dotyczący przeniesienia wsi Hodowiec z prawa ruskiego na niemieckie [3], ażeby króla połączyć węzłem małżeńskim z Ofką czeską, nieprzebytych doznały przeszkód w klęskach, zadanych przez Czechów husyckich cesarzowi Zygmuntowi i pojmaniu posła polskiego, Zawiszy Czarnego, wyprawionego w tej sprawie przez dowódzcę husyckich buntowników, Zyszkę [4]. Mimo usilnego oporu panów polskich, a szczególniej Zbigniewa Oleśnickiego, Witołd dokazał wpływem i namową swoją, że król w miesopuście roku 1422 w Nowogródku zaślubił młodą księżniczkę Zofię i tym sposobem zerwał wszelkie z cesarzem stosunki [5].

Wśród układów i uroczystości ślubnych, sędziwy monarcha polski nie spuszczał z oka sprawy krzyżackiej i przy zbliżającym się końcu zawartego za pośrednictwem margrabiego brandenburskiego rocznego z zakonem rozejmu, z całą energią zajmował się przygotowaniem do wojny. Tymczasem przybył do Polski nadzwyczajny legat papieski Antoni Zeno, kanonik patraceński i referendarz Marcina V., głośny swego czasu prawnik, w skutek założonej jeszcze

[1] Riedel, *Codex dipl.* Brandenburg. III., 396, 399.
[2] Długosz l. c. lib. XI., 441, 442.
[3] Akta grodzkie i ziemskie lwowskie t. III., 177.
[4] Długosz l. c. lib. XI., 443.
[5] Tamże, lib. XI., 446, 447.

w roku 1419 przeciw wyrokowi wrocławskiemu apelacyi do Rzymu i wyprawionego w r. 1421 z Niepołomic poselstwa do tegoż Papieża, w celu przyspieszenia ostatecznego orzeczenia w sprawie krzyżackiej przez najwyższą głowę Kościoła, na której wyrok rozjemczy zdał się był król Władysław. Legat rzeczony, mąż sprawiedliwy i bezstronny, zajął się nader gorliwie zbadaniem sprawy w mowie będącej, zgłębieniem pretensyj i dokumentów obydwóch stron i słuchaniem świadków najprzód w Głogowie a następnie we Wschowie. Król Władysław, zjechawszy się z legatem i arcybiskupem Mikołajem w Gnieźnie, na dniu 22 czerwca roku 1422 w domu arcybiskupim tamże wystawił plenipotencyę dla Mikołaja Kiczki albo Kickiego, archidyakona gnieźnieńskiego, doktora prawa, tudzież Mikołaja, proboszcza kanoników regularnych grobu Chrystusowego w Gnieźnie, i Piotra Piesika (Pijeschijk), kanonika kruświckiego, którzy go jako prokuratorowie w procesie przeciw zakonowi niemieckiemu zastępować mieli [1]. Pomiędzy 25 świadkami, słuchanymi przez legata papieskiego i na sto przeszło pytań odpowiadającymi, był także arcybiskup Mikołaj, który na dniu 4 września roku 1422 stawał w Wichowie przed sądem i nader ważne ku poparciu praw polskich przeciw Krzyżakom poczynił zeznania [2]. Aż do stycznia roku 1423 trwało przesłuchiwanie świadków i na nich się skończyło, bez wydania wyroku, ponieważ cesarz Zygmunt w skutek zabiegów krzyżackich założył protest do papieża, przeciw postępowaniu legata, który, nie dokończywszy sprawy, został odwołany. Zresztą w trakcie owego śledztwa sądowego, król Władysław, nie spodziewając się pomyślnego dla siebie i stanowczego przez Stolicę apostolską załatwienia sprawy krzyżackiej, sam siłą oręża rozstrzygnąć ją postanowił i zaledwo ubiegł termin zawartego za pośrednictwem margrabiego brandenburskiego rozejmu [3] a nowy, za staraniem wyżej wspomnianego legata dla podstępu cesarza Zygmunta, namawiającego zdradziecko Krzyżaków, aby zawarłszy układ dwuznaczny pod warunkiem potwierdzenia go przez Papieża lub cesarza, Polskę ogołoconą z wojska przez wyprawę synowca królewskiego, książęcia Korybuta, do Czech po koronę dla Witolda, napadali i plądrowali,

[1] Działyński, *Lites ac res gestae* t. II., 4. 5.
[2] Tamże, II., 176—190.
[3] Riedel, *Cod. Diplom.* Brandenburg, III. 412.

do skutku przyjść nie mógł [1], wezwał w. książęcia Witołda i wszystkie województwa, ażeby stanęły gotowe do boju na dzień 25 lipca roku 1422 w Wolborzu [2].

Ponieważ król na prowadzenie wojny potrzebował pieniędzy, udał się do duchowieństwa polskiego z wezwaniem, o złożenie odpowiedniej kontrybucyi, w skutek czego arcybiskup Mikołaj listem okólnym z dnia 25 lipca tegoż roku zwołał synod prowincyonalny do Łęczycy na dzień 24 sierpnia, ażeby się w tej mierze z biskupami porozumieć [3]. Czyli w rzeczy samej synod ten został odprawiony i co na nim ustanowiono, nie wiadomo. To pewna, że duchowieństwo odmówiło królowi złożenia 5000 złotych węgierskich, nałożonych na nie przez papieża Marcina V. na prowadzenie wojny przeciw Husytom, bądź dla obawy, ażeby się podobne kontrybucye z czasem obowiązkiem nie stały, bądź też dlatego, że król ową sumę na inny cel przeznaczał, jak rozporządzenie papieskie wskazywało [4].

Zapowiedziana przez króla wyprawa na Krzyżaków, przyszła do skutku w terminie wyżej podanym. Pod Czerwińskiem połączyły się z zastępami królewskimi, wojska wielkopolskie i litewskie pod dowództwem Witołda i tam w obozie odbył się sejm, w którym prawdopodobnie uczestniczył arcybiskup Mikołaj, bez którego udziału i rady żadnej ważniejszej nie podejmowano sprawy [5]. Sprzymierzone wojsko, wynoszące przeszło sto tysięcy ludzi, przekroczywszy granice krzyżackie, starło się pod Lubowem z trzydziestotysięczną armią nieprzyjacielską i takową rozprószyło. Potem zdobyto zamki Zabrzeźno, Gołub i dwa inne, spustoszono straszliwie ziemie chełmińską i pomorską, zajęto Drahim, spalono przedmieścia i całą okolicę Torunia i Chełmna i zabrano lub zniszczono wszelki dobytek mieszkańców [6]. Nareszcie w. mistrz upokorzony, lękając się słusznie

[1] Długosz, l. c. lib. XI., 453.

[2] Tamże, lib. XI., 454, 455.

[3] List ten okólny znajduje się w oryginale, wlepiony w wspomnioną wyżej księgę ustaw kapitulnych, w której na czele umieszczone są ustawy synodalne arcybiskupa Trąby.

[4] Caro l. c. t. III., 538.

[5] Łaski, *Commune regni Polonie privilegium* f. XLVIII. Bandtkie, *Jus Polonicum*, f. 22.

[6] Długosz l. c. lib. XI, 455—463. Voigt, *Geschichte Preussens*, t. VII, 435—477.

najsmutniejszych następstw z dalszego prowadzenia wojny, błagał króla o pokój, który w obozie królewskim nad jeziorem Melno, na dniu 27 września roku 1422, przez pełnomocników polskich i krzyżackich zawarty został, pod nader korzystnymi dla Polski warunkami. Krzyżacy bowiem nietylko się zrzekli traktatu toruńskiego i wrocławskiego wyroku polubownego, ale wydali Nieszawę z przyległym obwodem, całą Żmudź, Sudawię, tudzież miejscowości: Nową wieś, Orłów i Murzynów z wyspą naprzeciw Torunia, zapewnili cło od ujścia Drwęcy aż pod Bydgoszcz, wolność handlu i t. p., a za to zapewniono im ze strony polskiej posiadanie Pomorza, ziemi chełmińskiej i michałowskiej [1]. Najgorzej wyszedł na tej wojnie krzyżackiej arcybiskup Mikołaj, albowiem komtur człuchowski wpadłszy na czele wojska krzyżackiego do miasta arcybiskupiego Kamienia, spalił je do szczętu wraz z zamkiem i wszystkie okoliczne wsie arcybiskupie z ziemią zrównał [2]. Nie był on obecnym przy zawarciu pokoju melnińskiego, gdyż naówczas był już cierpiący, przebywając w zamku uniejowskim, gdzie na dniu 29 września wystawił dokument, dotyczący przynależności wsi Mierosławiec kapitule łowickiej [3].

Jak zwykle, tak i tą razą wiarołomni Krzyżacy nie dotrzymali warunków pokoju melnińskiego, podburzani przez zdradliwego cesarza Zygmunta, który ich łudził obietnicą, że pomiędzy magnatami węgierskimi, a książętami i miastami szlązkiemi, skojarzy przymierze na rzecz zakonu niemieckiego, poczem wezwie króla polskiego do zawarcia z nim pomyślnego i stałego pokoju, a gdyby tego uczynić się wzbraniał, natenczas przyszłego lata wspólnie z sprzymierzeńcami wojnę z nim rozpocznie [4]. Panowie i prałaci węgierscy, pragnąc zapobiedz wojnie projektowanej, wymogli prośbami i przedstawieniami wspólny zjazd z posłami polskimi do wsi Lubicza pod miastem Kieszmarkiem na Spiżu, na dzień św. Andrzeja apostoła, w celu załagodzenia i uskromnienia sporów i niechęci pomiędzy królem Władysławem a Zygmuntem. Pierwszy przeznaczył na pełnomocników swoich: arcybiskupa Mikołaja Trąbę w wielkiem u cesarza będącego poważaniu, Wojciecha Jastrzębca biskupa krakow-

[1] Dogiel l. c. t. IV., 110—115. Raczyński, *Kodeks dypl.* Litwy, f. 285.
[2] Voigt, l. c. t. VII, 439.
[3] Rzyszczewski i Muczk. l. c. t. II., 394.
[4] Voigt l. c. t. VII., 452—453.

skiego, Krystyna, kasztelana krakowskiego, Jana z Tarnowa krakowskiego, Mikołaja z Michałowa sandomirskiego wojewodów, Zbigniewa z Brzezia, marszałka koronnego, Janusza z Tuliszkowa, kasztelana kaliskiego i Zawiszę z Garbowa starostę spiskiego. Arcybiskup Mikołaj, czując się słabym, wymawiał się bardzo od tego poselstwa, utrzymując, że jeżeli do niego będzie zmuszonym, do kraju żywy nie powróci; lecz król uparty, żadną miarą od tej publicznej posługi zwolnić go nie chciał. Wybrał się tedy z towarzyszami w drogę i szczęśliwie stanąwszy w Lubiczu, rozpoczął dnia 30 listopada traktowania z pełnomocnikami węgierskimi. Lecz tam zapadłszy nagle w niemoc śmiertelną, na dniu 4 grudnia roku 1422 tak, jak był przepowiedział, pełen zasług zakończył żywot doczesny, pogrążywszy całą Polskę w głęboki żal i smutek [1].

Do kapituły gnieźnieńskiej doszła żałobna wiadomość o zgonie arcypasterza dnia 12 grudnia, bez dokładnego oznaczenia dnia, w którym się przeniósł do wieczności [2]. W późniejszym nieco zapisku w aktach kapitulnych powiedziano, że umarł dnia 2 lub 3 grudnia [3]. Ponieważ w tem najwiarogodniejszem źródle pewnej daty śmierci nie podano, trzymać nam się należy daty Długosza, który tak bliskim będąc owych czasów, dokładnie o śmierci arcybiskupa musiał być poinformowanym, na co wskazują podane przez niego bliższe o niej szczegóły [4], tem więcej, że tęż datę i szczegóły podaje także starożytny kalendarz krakowski [5].

Godnem wspomnienia jest zachowanie się kapituły metropolitalnej względem zmarłego arcypasterza swego, która nietylko zajęła się sprowadzeniem zwłok jego do Gniezna, ale wiedząc, że umarł w biedzie, nie pozostawiwszy nawet tyle, żeby go pochować przyzwoicie było można, postanowiła na swój koszt wyprawić pogrzeb, jaki przynależał ukochanemu zwierzchnikowi duchownemu i prymasowi polskiemu. Będąc zaś sama ogołoconą z zasobów pieniężnych, uprosiła jednego z członków swoich, scholastyka Piotra Wolframa, ażeby przyjął na siebie wszelkie koszta pogrzebowe, które mu na

[1] Długosz l. c. lib. XI., 466.
[2] Acta decr. Capit. Gnesn. I., 97.
[3] Acta decr. Capit. Gnesn. I, 111 b.
[4] Długosz l. c. lib. XI., 467.
[5] Monumenta Poloniae histor. (Bielowskiego) t. II., 938.

każde żądanie przywrócić przyrzekła [1]. Jakoż dnia 21 grudnia r. 1422 przywieziono szanowne zwłoki do Gniezna, po które kapitnła na czele licznego duchowieństwa, znacznego zastępu panów polskich i niezliczonych tłumów ludu wyszła procesyonalnie za miasto i uroczyście wprowadziła do kościoła metropolitalnego, w którym po odbytych egzekwiach w głównej nawie przed grobem św. Wojciecha na wieczny złożono je spoczynek, pokruszywszy poprzednio nad grobem pieczęcie arcybiskupie [2], odebrane od dworzan jego pod przysięgą, że się niemi po śmierci pana swego żadnego nie dopuścili nadużycia [3].

Jakeśmy już wyżej wspomnieli, arcybiskup Mikołaj pozostawił interesa swoje majątkowe w opłakanym stanie. Czteroletni pobyt w Konstancyi, podróż do Francyi i Hiszpanii, wystawienie osobnej chorągwi na wyprawę krzyżacką w r. 1410, niezliczone podróże, podejmowane w sprawach publicznych i t. p., pochłonęły ogromne sumy, na których pokrycie wielkie arcybiskupie dochody nie wystarczały i dlatego zmuszony był zaciągać wielkie długi u króla, w. książęcia Witołda [4], wielu szlachty i magnatów, niemniej u kupców i plebanów, a nadto zastawić znaczną część dóbr arcybiskupich, a nawet niektóre z nich pod zastrzeżeniem wykupu sprzedać. Skłonność do wystawności i rozrzutności nie pozwoliła mu po powrocie z Konstancyi ograniczyć się na niezbędnych wydatkach i dlatego z dochodów arcybiskupich długów spłacić nie był w możności. W niemałym przeto kłopocie zostawił następcę swego na stolicy metropolitalnej, Wojciecha Jastrzębca i kapitułę metropolitalną, od których wierzyciele domagali się zaspokojenia swych należytości. Nad wszelkie spodziewanie najuprzykrzejszym z nich był Jagiełło, który

[1] Acta decr. Capit. Gnesn. I., 109.

[2] Tamże, I., 109.

[3] Tamże I., 109. Kanclerzem zmarłego arcybiskupa był Szymon ze Stawu, a marszałkiem dworu jego niejaki Jaśko. Obaj doręczyli kapitule pieczęcie, pierwszy pieczęć mniejszą i sygnetową, drugi większą i drugą sygnetową wraz z paką listów sekretnych i pontyfikałem.

[4] Acta decr. Capit. Gnesn. I., 85. Już w roku 1420 kapitula prosiła arcybiskupa, aby ją uwolnił od poręczenia, które za niego dała książęciu względem zaciągniętej u niego pożyczki, jak pokazuje następujący jej dekret: „Item praescripti domini decreverunt scribi litteras domino Archiepiscopo in facto debiti ducis Witoldi, in qua supplicetur sibi, quod Capitulum a caucione fideiussoria liberaret".

niepomny na wielkie względem siebie i kraju zasługi zmarłego, dla obojga z całem poświęceniem podejmującego niegdyś na własny koszt rozliczne podróże i posługi, domagał się koniecznie od arcybiskupa Jastrzębca i kapituły jego zwrotu wielkiej sumy pieniędzy, nieboszczykowi pożyczonej z dochodów arcybiskupstwa, nalegał na oboje prośbą i groźbą, do czego żadnego nie miał prawa, a nareszcie w roku 1424 osobiście zjechał do Gniezna, ażeby tak pierwszego, jako i drugą zmusić do przyjęcia długów po zmarłym arcybiskupie nietylko u siebie, ale i u innych wierzycieli zaciągniętych. Po długich sporach i naradach, obydwie strony, t. j. król i arcybiskup z kapitułą zgodziły się na wybór sędziów polubownych, których wyrokowi bezwarunkowo poddać się zobowiązały. Wyrok ten wydany przez sędziów: Andrzeja Laskarego Gosławickiego, poznańskiego, Jana Pełkę (Pellę) z Niewierza kujawskiego i Jana z Opatowa chełmskiego biskupów w Gnieźnie, dnia 7 lipca roku 1424 w obecności króla, obydwóch kanclerzów państwa: Jana, dziekana krakowskiego i Stanisława Ciołka, niepomyślnie wypadł dla arcybiskupa Jastrzębca, gdyż go skazał na pokrycie długów po arcybiskupie Trąbie, któreby po użyciu srebra i kosztowności, niegdyś przez króla mu użyczonych i wszelkiej pozostałości były do zapłacenia, z dochodów arcybiskupstwa gnieźnieńskiego [1]. Czyli i w jaki sposób arcybiskup Jastrzębiec z tego obowiązku się uiścił, akta kapitulne nie podają. Niemiły mu był wyrok rozjemczy, zwłaszcza że lubił pieniądze i nadto w stanie nieszczególnym objął po poprzedniku swoim dobra arcybiskupie, lecz nie śmiał protestować przeciw niemu, ponieważ wiedział z doświadczenia, że z królem żartować się nie dało i że każdy przeciw niemu opór smutne za sobą pociągał następstwa.

Jeszcze w czterdzieści przeszło lat po zgonie Mikołaja Trąby zgłaszali się wierzyciele po należytości swoje, pomiędzy nimi niejaki Jerzy Szwinczar (Swincer), mieszczanin toruński, który stanąwszy na kapitule w Gnieźnie dnia 4 lipca roku 1464, przedłożył rewers zmarłego arcybiskupa, według którego tenże, udając się na sobór konstancyjski, wybrał rozmaite kosztowności od spadkodawcy Jerzego, Piotra Rogar, kupca w Toruniu i takowych przed śmiercią nie zapłacił. Kapituła nie chcąc na dawniejszym swoim arcypasterzu po-

[1] Tamże I., 118, 119.

zostawić tego długu, a będąc właśnie podczas opróżnienia stolicy metropolitalnej w posiadaniu dóbr stołu arcybiskupiego, lubo już była obrała kanonicznie Jana Gruszczyńskiego, biskupa krakowskiego, postanowiła wspaniałomyślnie, ażeby na zapłacenie tego długu, każdy z zawiadowców dóbr rzeczonych nadesłał na jej ręce w przeciągu tygodnia po św. Marcinie tegoż roku po pięć grzywien z dochodu tychże dóbr. Gdyby z tych pieniędzy po zapłaceniu należytości Swinczara coś pozostało, przeznaczyła kapituła na wsparcie dla rezydujących przy kościele metropolitalnym kanoników-doktorów[1].

W obec tak smutnych finansowych stosunków arcybiskupa Trąby dziwić się nie można, że oprócz wymienionych wyżej fundacyj, do których, z wyjątkiem budowli kaplicy przy kościele metropolitalnym, nie swoich używał zasobów, lecz dziesięcin i własności arcybiskupstwa, żadnych innych szczodrobliwości swej nie pozostawił pamiątek. Miał on największe chęci i zamiary w tej mierze, ale mu zawsze zbywało na odpowiednich środkach materyalnych. Znaczna część dóbr stołowych pozostała po śmierci jego w ręku wierzycieli jako zastaw, zkąd następca jego miał krzywdę, a kapituła gnieźnieńska niemało przykrości, że na to dawała swoje konsensa i poręczenia. Ostatnia przecież chętnie przebaczyła to zasłużonemu swemu arcypasterzowi, jak to widzieliśmy z szlachetnego jej przy pogrzebie zachowania się i jak poznać mogły następne pokolenia z wystawionego mu jej nakładem kosztownego pomnika brązowego, o którym wyraźna zachodzi wzmianka w żywocie sławnego rzeźbiarza wrocławskiego, Jodoka Tauchen, któremu arcybiskup Jan Sprowski za życia swego polecił wykonać dla siebie pomnik na wzór poprzedników swoich, Wojciecha Jastrzębca i Mikołaja Trąby, a z których już Paprocki żadnych nie zastał śladów[2].

Zestawiwszy wszystkie powyższe szczegóły z żywota naszego arcybiskupa, taką o nich wyprowadzić musimy charakterystykę jego. Jako człowiek odznaczał się bystrym rozumem, głębokim rozsądkiem, jasnym na rzeczy poglądem, niepospolitą na swe czasy nauką, łagodnością, wspaniałomyślnością i ludzkością, które zalety otworzyły mu drogę do dworu królewskiego, a następnie za łaską wdzięcznego

[1] Acta decr. Capit. Gnesn. II., 195.

[2] Aloisius Schultz, *De vita atque operibus magistri Jodoci Tauchen Vratisl.* 1864, 121 X. Polkowski, Katedra Gnieźnieńska, str. 131.

za rozliczne usługi monarchy do najpierwszych w kraju dostojeństw. Przy wielkich zdolnościach przyrodzonych, w zawodzie publicznym kierując się szlachetnemi pobudkami gorącego do kraju ojczystego przywiązania i niezłomnej ku monarsze swemu wierności, znakomite obojgu świadczył przysługi, godne wdzięcznego następnych pokoleń wspomnienia i uwielbienia, lubo w postępowaniu jego względem króla, tylu szkodliwymi błędami i narowami przejętego, widać częstokroć dworacką względność i pobłażanie, zamiast stanowczego w chwilach odpowiednich oporu, siły charakteru i nieugiętej woli, gdy chodziło o zapobieżenie złemu, tylokrotnie z tych błędów i narowów wynikającemu. Jako arcybiskup i prymas jaśniał przykładnością życia, czystością obyczajów, gorliwością o chwałę Bożą i dobro Kościoła, rzadką powagą i jednającą mu wszystkie serca uprzejmością i wyrozumiałością. Według ówczesnych zwyczajów przykuty do osoby króla i spraw publicznych, musiał być więcej mężem stanu i dyplomatą, aniżeli dusz pasterzem. Mimo to, z niemałemi ofiarami zdrowia swego, jak tylko mógł, odrywał się od obowiązków senatora i pierwszego radzcy królewskiego, ażeby wypełniać przynajmniej główniejsze obowiązki biskupiego swego powołania. Na tem stanowisku, mimo krótkich rządów swoich i rozlicznych przeszkód, dokazał wiele. Samo zreformowanie, uporządkowanie i uzupełnienie ustaw synodalnych, wiekopomną w Kościele polskim zjednało mu zasługę. Tym zaletom biskupim atoli czyniło ujmę zachowanie się Trąby na soborze konstancyjskim, o którym wyżej mówiliśmy; lecz tam błądził w dobrej wierze i w szlachetnym zamiarze podźwignięcia Kościoła z upadku i przywrócenia mu wewnętrznego pokoju, i to nie sam, ale razem z drugimi, temi samemi rządzącymi się pobudkami, członkami soboru. Nie da się jednakże uniewinnić rażąca interesowność, którą okazał w słabej chwili przy promocyi na arcybiskupstwo gnieźnieńskie, szafując najprzód jego własnością dla pozbycia się spółzawodnika, tudzież lekkomyślna rozrzutność nad stan i środki swuje, która nawet przy najświetniejszych przymiotach i zasługach nie przestałaby rzucać cienia na imię jego i pamięć.

X. Korytkowski

„SŁUP RÓG“

i jego stosunek do poezyi ludowej Łotyszów naddźwińskich.

Wschodnie ramiona wzgórz wyższej Kurlandyi, oderwawszy się od głównego pasma nieopodal wsi Zecen, zwracają się nagle ku Dźwinie i nad samym brzegiem strumienia tworzą urocze skały, mające od 50-ciu do stu stóp wysokości.

Wyżyny te, wraz z przeciwległą na prawym brzegu Dźwiny malowniczą okolicą zamku „Kokenhuza“, stanowiącego niegdyś odwieczną dziedziczną posiadłość zasłużonego w Inflantach rodu Tyzenhauzów, słusznie do głównych ozdób prowincyj nadbaltyckich zaliczane bywają. Tu, po obu brzegach Dźwiny, wyniosłości częścią zarosłe gęstemi lasami i krzakami, częścią zupełnie odkryte, tworzą strome, nieraz 150 stóp wysokie wybrzeża przerżnięte co chwila wąwozami i parowami, na dnie których czyste źródła krynic sączą swe wody do najeżonych progami strumieni.

Niektóre ze skał, będących w pewnym związku z porogami, sterczą groźnie po obu brzegach majestatycznej rzeki i podnoszą jeszcze bardziej urok owej słynnej z piękności doliny Dźwińskiej zasługującej podobnie jak dolina „inflanckiej Aa“ na nazwę „inflanckiej Szwajcaryi“.

Najbardziej wszakże na kurlandzkim brzegu ciekawą jest wspaniała skała, istne cudo natury, „Słupiego Rogu“ miano nosząca, z której opis niniejszy wyłącznie poświęcamy.

Olbrzymia ta masa skalista odznacza się wąską stosunkowo podstawą a szerokim wierzchołkiem; z górnych jej warstw wytryska mnóstwo źródeł, które częścią strumieniami, częścią kroplami na

kształt deszczu spływają ku stronie rzeki z daleko rozlegającym się szumem.

Znajduje się ona w pobliżu pohylzenowskiej odwiecznej majętności Stabiten[1], a także Stabben zwanej, od której zaledwie o ćwierć mili jest oddaloną.

Oko wędrowca, kroczącego brzegiem Dźwiny od granicy Zelburga, dawnej stolicy walecznego plemienia Zelonów, ku Stabiten, uderza wprawdzie od razu piękność i rozmaitość przedstawiających się mu krajobrazów, wszelako słynna skała, nazwę „Słupiego Rogu“ nosząca, długo przed nim ukrywać się zdaje.

Liczne wodospady, jakie bystre, acz mało znaczące lewe przypływy Dźwiny co chwila tu tworzą, strome ściany skaliste, urocze lasem pokryte wzgórza a także wioski i dworki łotewskie, tu i owdzie po parowach malowniczo rozrzucone, przedstawiają niezwykłą roz-

---

[1] Rozciągnięta na kurlandzkim brzegu Dźwiny majętność Stabiten albo Stabben, obecnie własność Kroegerów, jeszcze w zeszłem stuleciu była ulubionem miejscem pobytu kurlandzkiego szlachcica Jerzego Konstantego von Huelsen genannt Eckeln, ojca znanego w Polsce przez swą kronikę kasztelana inflanckiego Jana Augusta Hylzena, późniejszego wojewody mińskiego. To też w licznych dokumentach, jakie mamy przed sobą, Jerzy von Huelsen, którego synowie już się z polska nazywać poczęli „Hylzenami“, podpisuje się stale: „Georgius Constantinus de Huelsen ab Eckeln, Dominus haereditarius bonorum Dageten etc. in Livonia polonica, Stabiten in ducatu Curoniae et Semigalliae.

Ostatnie lata życia przebył Jerzy Konstanty Huelsen w Gdańsku, usunąwszy się dobrowolnie od zgiełku świata. Umarł w roku 1737 dnia 13 lutego licząc lat 64, a zwłoki tego zacnego dziedzica dóbr kurlandzkich Stabiten, stosownie do jego woli, pogrzebione zostały w kościele oliwskiego klasztoru pod Gdańskiem, gdzie dotąd zwraca na siebie uwagę podróżnych wspaniały grobowiec, jakim jeden z synów utrwalił jego pamięć. Pomnik w profilu wystaje ze ściany kościoła. Składają go: obelisk ozdobiony herbem Hylzenów, mający około trzech metrów wysokości i wsparty na dwóch lwach a u góry otoczony aniołami, oraz cukuł obszerny, na jakim spoczywa sam obelisk. Ten ostatni zawiera wyraźny napis łaciński, na którym pomiędzy innemi dobrami zmarłego wymienioną jest także i majętność Stabiten. Czytamy na nim:

D. O. M.

Hic jacet in spem resurrectionis Georgius Constantinus de Huelsen Dominus haeres bonorum Dageten, Stabiten, Essen, Bukhof etc. Camerarius Regis Augusti II. Margenhausensis etc. Capitaneus, vir ingenio aeque ac consilio promptus in utraque fortuna semper sibi constans, semper idem, inimicitias vel non agnoscebat, vel ignoscendo superabat i t. d.

maitość. Widoki te są czasem dzikie i ponure, czasem znowu uśmiechają się wesoło, i właśnie ta rozmaitość stanowi główny ich urok. Nakoniec strumyk, niezwykle bystry, wstrzymuje kroki wędrowca. Przypomina mu on poniekąd, że się już zbliżył do czarnoksięskiego kraju czarodziejki, zamieszkującej wedle dawnego podania ów słynny „Słupi Róg“, będący częstokroć celem wędrówek i takich nawet podróżników, co niejedną z a m o r s k ą już zwiedzili krainę.

Odtąd po obu brzegach Dźwiny podnoszą się znacznie jej ściany skaliste. Spiętrzone masy zwieszają się w olbrzymich złomach, jakby bezładnie narzuconych jedne na drugie. Pomiędzy niemi i na nich rosną najpiękniejsze iglaste i liściaste drzewa: sosny, świerki, wiązy, dęby, jesiony, klony, brzozy. Ostre zarysy skał pokrywają tu i owdzie wijące się rośliny. Czasem karłowata jarzębina wygląda ze szczerby skalistej lub z za kamiennej ściany szarego dewońskiego piaskowca, po której, wśród bujnych krzaków malin, wspina się wysoko polna jeżyna.

U dołu, nieopodal samego strumienia, szarzeje groźnie potężna masa skalista, ocieniona z góry wiekowemi drzewami; rzekłbyś, że stanęła ona tu na straży, aby nakazać bieg Dźwinie.

Jest to właśnie tak zwany „Słupi Róg“. Tworzące go masy skaliste wystają jakby jaki przylądek, a barwa ciemno-szara ściągnęła na nie u miejscowych Łotyszów z początku nazwę „Rogu“ (Rags), która później na „Słupi Róg“ (Stabbu-Rags) przeszła.

Po niemiecku zowią go „Kurisches Horn“, „Pfahl des Horns“ lub „Säulenhorn“ a także z łotewska „Stabben-Horn“; strugownicy zaś tę skałę nazywają „Czartowym Nosem, lub „Czartową Brodą“; w porze bowiem wiosennego wezbrania wód może się ona stać bardzo niebezpieczną dla żeglugi; zdala już nawet grozi im ona, szyderczo na nich spogląda i zęby wytrzeszczać się zdaje.

„Słupi Róg“ liczy dwieście stóp długości i siedmdziesiąt wysokości. Składają go porowate wapienie, pokryte z wierzchu licznemi kępkami mchu, miejscami już skamieniałego, miejscami zaś zieleniejącego jakby uroczy kobierzec.

W górnych warstwach skały mech ten kamienieje przesiąknięty wodą, sączącą się w tysiącznych prądach ze źródeł wału ziemnego, który do tej części skały przytyka. Dzieje się to stopniowo skutkiem składu chemicznego głównego źródliska, zawiera-

jącego wiele cząstek wapnistych. Stąd też oczywiście pochodzi owa osobliwsza muszlowato-łuszczasta rurkowata formacya dziurkowatej masy skalistej, na której utworzenie wiele wieków składać się musiało. Masa ta bowiem powiększa się ciągle od góry przez przyrastające do niej stopniowo coraz to nowe skamieniałości, w niższych zaś warstwach zmniejsza się od czasu do czasu skutkiem silnego prądu strumienia a zwłaszcza kry wiosennej, która często odrywa większe lub mniejsze bryły tej nader ciekawej opoki. Tym sposobem w dolnych jej częściach wytwarzają się najrozmaitsze jaskinie, groty i pieczary; rosną w nich bujnie nietylko mchy i paprocie, ale i jakieś piękne rośliny groniaste, wyzierające ciekawie z obfitych szczerb, wyżłobień i naturalnych framug olbrzymiej skały, którą owa urocza zieleń w sposób czarodziejski zewsząd opina i przystraja.

Ogromna masa wody źródlanej wytryska ze wszystkich wydrążeń i dziurkowatości czarującej opoki, następnie spływa po jej ścianach skalistych a nakoniec spada w milionach przeźroczystych kropel i cieńkich strug w kierunku prostopadłym z omszałej głowy, czy też brody „Słupiego Rogu“; płynie ona dalej po płytach wapiennych i urwiskach skalnych ku wielkiemu źwierciadłu wód Dźwiny, oddalonej stąd zaledwie o kroków kilkanaście.

Nietylko cały brzeg, ale i koryto potężnego strumienia wysłane jest już to mniejszymi już większymi odłamami tejże masy skalistej. Wszystkie noszą na sobie piętna swego zarodu i sposobu, w jaki powstały; znać na nich wyraźnie, że niegdyś pojedyńcze krople wody źródlanej tysiąckrotnie ją opłukiwały.

Dwie bryły, z których każda ma dziesięć stóp długości i ośm wysokości, a które, jak powiadają okoliczni mieszkańcy, przed trzydziestu laty urwały się własnym ciężarem od wierzchniej części „Słupiego Rogu“, — potoczyły się już wtedy aż do samej Dźwiny. Dwie inne nierównie większe leżą o kilkaset kroków niżej rzeki. Przeniósł je tu oczywiście potężną swą siłą prąd kry wiosennej. Skład i kształt tych obu olbrzymich odłamów już dla tego samego nadzwyczaj jest ciekawym, że potwierdza on najdosadniej ową odwieczną prawdę, zawartą w znanem powszechnie przysłowiu łacińskiem: *gutta cavat lapidem non vi, sed saepe cadendo.*

Te przecudowne formacye wykazują wyraźnie niewymowną

wielkość i wszechmoc Bożą w przyrodzie zawartą; zajęcie każdego zastanawiającego się widza wzrasta, czem bardziej obejmie go duch badawczy, czem bliżej je śledzi i docieka w nich prawdy naukowej, czem głębiej bada pojedyńcze szczegóły, objawiające się dosadnie w dziurkowatych masach opoki, z wielu względów przypominającej misternie wyrabiane koronki.

Stojąc nad jednym z tych odłamów przypomniały się piszącemu najmimowolniej słowa głębokiego myśliciela francuskiego, który tak słusznie powiedział: „*Si tant de calculateurs ou anatomistes trouvent l'impiété dans les mêmes études qui arrachaient à Galien des actes de foi et d'adoration, c'est par ce que, grâce à une éducation incomplète, ils prennent pour la création entière ce qu'ils en connaissent; c'est surtout, par ce que trop de surcharge d'un côté de leur cerveau, et trop peu de l'autre, fait pencher l'assiette de leur jugement*“.

Szarą, tu i owdzie czerwoniawą, a w części niemal czarną ścianę skalistą „Słupiego Rogu“, otula w lecie przejrzysta kryształowa zasłona wodna, a w niej wschodzące słońce odbija się wspaniale wszystkiemi barwami tęczy. Natomiast w zimie błyszczą na tejże majestatycznej ścianie sople lodowe i różnobarwne słupy przejrzyste, złożone z mas lodowatych, które stopniowo wytwarza spadająca na nią kroplami woda źródlana; sama zaś skała wraz ze swemi licznemi jaskiniami i pieczarami ginie w tej porze roku całkowicie pod ową ciężką lodową pokrywą. Uwalnia ją od niej zaledwie wiosna, powołując zarazem do nowego życia niezliczone zioła i kwiaty, w jakie „Słupi Róg“ w ciągu lata zwykł się przystrajać.

Zdolny, w swoim czasie dość słynny marzyciel kurlandzki, poeta Boehlendorff (ur. r. 1773 † r. 1825), zwiedzał częstokroć tę cudowną a zarazem cudotwórczą skałę i niejednokrotnie ją opiewał [1]. Do niej są też przywiązane liczne legendy i sagi, żyjące dotąd nietylko w baśniach, ale i w wielu pieśniach łotewskiego ludu.

[1] Dla lubowników tego rodzaju utworów poetycznych umieszczam tu w oryginale niemieckim ustęp z jego pieśni jesiennej do „Słupiego Rogu“ (Herbstlied an den Stabburags), napisany w pięknym heksametrze. Oprócz tego trafny ten ustęp Boehlendorffa, zawiera nietylko prawdziwie poetyczny, ale i nader wierny obraz jedynej w swoim rodzaju skały naddźwińskiej.

„Wunderwürdiges Horn! Es treibt mich der Geist, dich zu suchen
Noch einmal im herbstlichen Mond. Im Frühmond versagtest.

Podług najpowszechniej znanego miejscowego podania, zamieszkuje cudowną skałę dziad stary, do którego tylko o posępnej godzinie północy wolno się zbliżać śmiertelnym. Starzec ten, bezustannie nad lampką siedzący, chętnie swych skarbów udziela każdemu, kto o nie z ufnością prosi; skarby te wszelako przynoszą błogosławieństwo tym tylko, którzy ich wyłącznie na dobre uczynki używają.

Inne ludowe podanie głosi natomiast, że o późnej wieczornej godzinie siaduje na owych uroczych masach skalistych nadobna dziewa,

---

Du mir Huldigung, kurisches Horn! Nun will ich's erringen
Dir zu flechten im dienstbaren Lied patriotischen Lichtkranz.
Lang umirrend auf täuschender Spur, wohl stürzt ich hinab mich
Durch die knitternden Aeste des gelbenden Hains an das tiefe
Dünagestad. Und unter dem Fuss ha! rauschet der Tod mir.
Zornig schäumend, bedrohet den Geist; es wirft mich der Schwindel
An dem Moose der Felswand nieder. Es gleitet der Fusspfad
Zwischen der falbenden Eiche, dem flammenden Ahorn, hinunter,
Weder wohin du sinkst, noch den Pfad gewahrst du im Sturze.
Heiliger Strom! Du forderst nicht solch zitterndes Opfer.
Sonnig wallst du hinab, bekränzt von dem herrschenden Herbst,
Welcher selber bekränzt mit vielfachem Kranz aus der Fülle,
Reicht dem Felsen das blasse Laub, goldleuchtend im Schimmer,
Wie des wallenden Aethers, so auch des spiegelnden Stromes.
Und nun gewahr ich das Horn jenseits der perlenden Quelle
Welche den tröpfelnden Born dem Moosaltare dort opfert,
Fernher besprengend den felsigen Grund und nun selber der Düna
Wogen läuternd durch sich; das stets arbeitende Wasser
Haust im oberen Raume des Horns, des beständigen Urquells
Reinem ruhigem Kelch, ins Moos sich senkend und rinnt nun
Feuchtend das weiche Lager des Felsenhauptes, hernieder,
Thätig mit jeglichem Jahr, in des Steines durchdringliche Adern
Schaffend mancherlei Wundergebild, auf dem thürmenden
Des hochriesigen Horns und seiner abstürzenden Glieder.
Dieses nun raget gewaltig vor allen Felsen des Halbmonds,
Dessen lieblichen Fuss der Düna Welle benetzet,
Dreifach verschlungen im Bau ein röthlicher Drach' als entrönn' er,
Grausiger Hölle Schlund, um der göttlichen Sonne zu dräuen.
Kraftlos indess, denn ihm liegen zerstreute Glieder am Boden.
Mächtig und hoch, zertrümmert liegen sie, aber das Wasser
Bildet niederperlend daran, mit unendlichen Tropfen,
Schau es, o Wand'rer, Felsungeheuer mit klaffenden Rachen,
Und sie stürzen herab zum Kampf in die siedenden Fluthen".

(Pisane przez Boehlendorffa w r. 1804. na rok przed jego smutnym zgonem).

o oczach niebieskich i kąpie swe długie jasno-złociste warkocze w przeczystych krynicach, jakie olbrzymią skałę zewsząd pokrywają.

W głównej pieczarze „Słupiego Rogu“, z której najobficiej wytryska woda wapnista, posiadająca własność zamieniania stopniowo wszelkiej roślinności na dziurkowatą masę kamienną, widzą mieszkańcy okoliczni w ciągu dnia piękną dziewicę, która przędzie dla ludu wiejskiego, ilekroć lud ten biedny zadanej mu przez panów pracy podołać nie może, a w ciągu nocy dostrzegają w temże wydrążeniu skały poważnego mnicha, ślęczącego nad olbrzymią księgą, którą z góry oświeca promień srebrzysty.

Starzy wieśniacy nauczają dotąd młodych Łotyszów i Łotewki wielu ciekawych pieśni, których zwrotki częstokroć tchną prawdziwem i głębokiem uczuciem i odnoszą się wyłącznie do „Słupiego Rogu“. Podajemy z nich aż jedenaście w udatnym a niemal dosłownym przekładzie polskim, jaki uprzejmości i talentowi jednej z dam naszych polsko-inflanckich, pani E*** B***, zawdzięczamy.

W poranne mgły otulony
„Róg Słupi“ jęczy żałośnie,
Słonko wyjrzy z niebios łona
A „Słup“ odżyje radośnie.

„Róg“ zdobny w koronki słyszy,
Jak mówią o nim książęta:
„Prządka tam przędzie w tej ciszy
Jedwab na chusty od święta“.

Powiedz dziewczę, skąd tak cienkie
Są koronki te skaliste?
— „Słupi Róg“ prządł jedwab miękі,
Skręcał nici zdrój przejrzysty“.

Mateczka „Rogu Słupiego“
Tęczowe nici zwijała,
Nićmi jedwabiu lśniącego
Chustkę sobie haftowała.

Daj mi jedwabną chusteczkę
Mateczko „Rogu Słupiego“,
Dałaś nadobną córeczkę
Daj pokrycie łoża mego.

„Słupi Rogu!“ o czem dumasz
Zdobiąc czoło w mgły zawoje?
Wyjdź na słońce, spójrz w około
Co robią oracze twoi.

„Słupi Rogu!“ chcę chusteczki,
Do ciebie prośbę zanoszę,
Tkaczka zwinie wnet niteczki,
Daj chusteczkę, daj mi proszę!

Twe pola „Rogu“ ze skały,
Oracz wyrobić pośpiesza,
Kosz do siewby złoty cały
Na srebrnym kółku zawiesza.

„Rogu!“ twoją ziemię czarną
Włościanie już uprawili,
Rzucili w nią srebrne ziarno
I pańszczyznę odrobili.

Matko! oddasz mię mężowi,
Oddaj, komu twoja wola,
Byle nie „Rogu“ synowi,
Bo nad nim ciąży zła dola.

Czemuż wy dziewczęta skały
Jasnych barw nie macie w stroju?
— „Nasze stroje mgły utkały
A opięły wody zdroju“.

Zwrotki powyższe czyż nie są oczywistym dowodem, że skała, której opisowi zarys niniejszy jest poświęconym, niegdyś własną posiadać musiała mitologią? Matka tej skały ma synów i córki, ma własnych oraczy i robotników, posiada srebrne kółka i złote narzędzia rolnicze, a dawniejsi włościanie rozległych po-Hylzenowskich dóbr Stabiten w pieśniach ludowych łotewskich noszą stale nazwę „synów Słupiego Rogu".

Jeśli do powyższych śladów mitologicznych dodamy podanie łotewskie, wedle którego ongi trzech mężów napiło się wody ze zdroju krynicy i usnęli snem głębokim, z którego zaledwie przebudzić się zdołali, albo to drugie: widzieli razu jednego rybacy koźnieżnej białości, wyskakującą ze skały, a którą pochłonęła w ciemnych swych nurtach potężna Dźwina, — niepodobna już wątpić, że cudowna masa skalista, nosząca obecnie nazwę „Słupiego Rogu", posiadała niegdyś jakąś tajemniczą siłę niemałego znaczenia, a o której i dzisiaj z pewnością więcejby się dało powiedzieć, jeśliby młodsi bracia nasi Łotysze, nie ukrywali tak starannie swych podań i pieśni ludowych, a przynajmniej nie wstydzili się odsłonić przed nami owej częstokroć nader ciekawej mądrości, jaką włościanki objawiają przy kądzieli, a która zwłaszcza w ciągu długich wieczorów jesiennych stanowi prawdziwą rozkosz izb wiejskich.

Przed laty udało się piszącemu podsłuchać niejednokrotnie w Inflantach polskich piosnkę nader charakterystyczną, we wszystkich częściach Łotwy z małemi tylko odmianami tajemnie śpiewaną a którą w swoim czasie, lubo w nierymowanym wierszu najdosłownie spolszczył:

Dokąd jedziesz braciszeńku [1]
W czapce nieprzybranej w kwiaty?

[1] Język łotewski nie jest tak ubogim, jak sądzi wielu, co go bliżej nie poznało. Ma on przymiotników mnóstwo, a zarazem i cieniowanie liczne spieszczeń i zdrobnień rozmaitych. Tworzenie się przymiotników i słów z rzeczowników nie przedstawia w nim najmniejszej trudności. Przy całem bogactwie tej mowy posiada ona mnóstwo wyrazów, które są wspólne językom słowiańskim; nie jest to wszakże zapożyczenie, bo są to wyrazy codziennej potrzeby, wyrazy konieczne, a zatem jednocześnie kiedyś wraz z Słowianami zaczerpnięte przez Łotyszów gdzieś u wspólnego źródła, spokrewnionego z językiem sanskryckim. Akcent zawsze kładą Łotysze na pierwszej syllabie, w wyrazach nawet złożonych, co poezyom łotewskim wiele dodaje uroku.

„Spiesz siostrzyczko do ogródka
Przystrój bratu czapkę w róże“.
Przystroiłam nucąc piosnkę
A oddałam lejąc łezki.
Płacz lub nie płacz siostro luba,
Już mię więcej nie zobaczysz!
Koń mój jeno wróci z boju
Niosąc wieści o twym bracie.
I zapytasz się rumaka
Gdzie pozostał jego jeździec?“

— Tam pozostał pan mój w boju
Gdzie, jak dęby, mężni padli,
Gdzie broń w polu rozrzucona
I gdzie Dźwina krwią się broczy...
. . . . . .
. . . . . .
Wiatr ich włosy porozwiewał,
Słońce kości ich zbieliło![1]

Następującą zaś prządkę, śpiewaną przy kądzieli przez młode Łotewki w okolicach „Słupiego Rogu“, spolszczyła w ciągu niniejszej wiosny wspomniana już wyżej szanowna rodaczka nasza w sposób równie udatny jak wierny:

Z wrzecion płyną nici śliczne,
Jak płyną potoku wody:
Jak wód krople, tak są liczne,
W pracy kwitną wsie i grody.
Luby wróci; dziewczę swoje
Znajdzie strojne i nadobne.
A wszak to jej rączek dwoje
Przędło szaty te ozdobne.

Lecz wracam do „Słupiego Rogu“ i krążących o nim podań pośród okolicznych mieszkańców.

Podług jednego z nich, mającego atoli wyraźne cechy sagi niemieckiej, kochał się niegdyś rycerz[2] z przeciwległego zamku Kokenhuzy w nadobnej pannie, mieszkającej w Stabiten. Owoż razu

[1] Patrz *Manteuffel*, „Inflanty“ (Poznań, 1879) str. 53.

[2] Według miejscowej tradycyi, miał nim być jeden z synowców *Jana Tyzenhauza*, znanego dowódzcy chorągwi Maryi, a który poległ w bitwie pod Aszradą w roku 1279.

jednego, gdy rycerz ów kochający i kochany przepływał jak zwykle łódką do swej bohdanki, dosięgło go już na brzegu kurlandzkim groźne ramię przeciwnika, który zakochanego rycerza w oczach jego lubej najnielitościwiej zamordował, skutkiem czego znękana kochanka zamieniła się niezwłocznie w płaczącą skałę „*Stabbu Rags*“ i odtąd w tej kamiennej postaci opłakuje wieczyście bolesną stratę zgładzonego kochanka.

To podanie miejscowe wywołało cały szereg poezyjek niemieckich, ujętych zwykle w formę pieśni ludowych a także baladę polską napisaną w tych dniach przez panią E*** B*** z materyałów o okolicy Stabiten obficie zebranych. Na tym więc najnowszym, dotąd nigdzie jeszcze nieogłoszonym utworze, a odnoszącym się do naszego „Słupiego Rogu“, kończę zarys jego opisowi poświęcony.

Nad brzegiem Dźwiny widać skałę zdala,
Dumną świątynię, którą stworzył Bóg;
Nikt lat jej nie wie, chyba tylko fala,
Która od wieków szemrze u jej nóg.

A czoło skały wieńczy mech srebrzysty,
Jak gdyby szronem prusząc starca skroń
I z łona głazu zdrój chłodny, przejrzysty,
Kroplą po kropli spada w ciemną toń.

Starcze, ty płaczesz! twe serce znękane
Nad losem dwojga ludzi roni łzy;
On był rycerzem, jego imię znane...
Ona, tak piękną, jak młodzieńcze sny.

W zamczysku Stabben, gdy dziewczę siedziało
Śląc ku lubemu tkliwe myśli w dal,
W zmroku wieczornym serce jej czuwało
Wśród szumu dziko rozszalałych fal.

Od przeciwnego łódź odbiła brzegu,
Cicha i zwinna, niby wodny ptak, —
Burza nie wstrzyma jej szybkiego biegu,
Przed nią widnieje tajemniczy szlak.

O! bo dłoń silna, co wiosłem kieruje,
Pierś w stal zakuta, lecz serce w niej drga,
Gwiazda rycerza drogę mu wskazuje,
Tą gwiazdą miłość, tak czysta jak łza.

Już już do brzegu przybija szczęśliwy,
Dziewczę już słyszy umówiony znak,
Widzi, jak luby walczy niecierpliwy
Z ostatnią falą co go cofa wspak.

— Lecz zazdrość także czuwała w tej chwili,
Pragnąc zdradziecko zadać straszny cios
Tym, co szczęśliwi być się odważyli,
Rajskiem uczuciem złocąc ziemski los.

I zanim młodzian wyskoczyć mógł z łodzi
Mordercy ciężko przygniata go dłoń;
Ostrzem żelaża w serce jego godzi
I martwe ciało odrzuca precz w toń.

Dziewczę widziało ze szczytu swej wieży,
Jak w ciemnych nurtach kochanek jej znikł;
Z rozwianym włosem na brzeg rzeki bieży
A jęk rozpaczy na ustach jej stygł.

Przybiegła... patrzy... tam na falach Dźwiny
Łódź próżna... dalej... krzyk z piersi się rwie!
Z tym krzykiem pękło i serce dziewczyny;
Dźwina porwała ją w objęcia swe.

A na tem miejscu, gdzie dziewica stała,
— Blada i martwa jak podcięty kwiat —
Wśród wód spienionych podniosła się skała,
Którą dziś widzi i podziwia świat.

Gustaw Manteuffel.

DARWINIZM

w obec rozumu i nauki.

II. O pochodzeniu człowieka.

Wstęp. — Powody rozgłosu i rozrostu darwinizmu. — Geneza darwinizmu. — Kilka słów o monogenizmie i teleologizmie. — Odprawa naszym darwinistom. — Twierdzenie Darwina o zwierzęcem pochodzeniu człowieka. — I. Wszystko co jest podobne, nie jest jeszcze pokrewne.

Pierwsze dzieło Darwina „o powstaniu gatunków“ miało przygotować umysły, i położyć podwaliny do zastosowania daleko sięgającego, miało rozwiązać naukowo zagadnienie o początku człowieka, było wstępem do właściwej teoryi darwinizmu. Darwin opierając się na wrzekomo udowodnionej w niem zmienności gatunku, i na swych prawidłach i aforyzmach, wywodzi człowieka od zwierzęcia, skutkiem przyrodzonego doboru, i to jest osnową dzieła jego „o pochodzeniu człowieka“.

Rozprawa o zmienności gatunku mogła uchodzić za czysto teoryczną, obojętną, choć w istocie rzeczy taką nie była. Gdyby była prawdziwą, w zastosowaniu swojem nie stanowiłaby jeszcze wygranej dla darwinistów, lecz jeśli jest błędną, pozbawia ich jedynego fundamentu i niweczy uroszczenia; stąd Darwin i darwiniści wielką wagę kładli i kładą na to dzieło, bronili go i bronią zawzięcie dla pozyskania punktu oparcia do swej teoryi o pochodzeniu człowieka. W rozbiorze dzieła „o powstaniu gatunków“ wykazaliśmy jego błędność: gatunki nie zmieniają się, a stąd konieczne następstwo, że i człowiek nie mógł powstać skutkiem przyrodzonego rozwoju; poprzednia zatem nasza

[1] Ob. Prz. Pow. r. 1884. t. IV., str. 177, 396.

praca służy zarazem za odpowiedź i odprawę drugiemu dziełu Darwina „o pochodzeniu człowieka". Wzgląd jednak na ważność przedmiotu zniewala nas do szerszego i bardziej szczegółowego rozbioru tego ostatniego dzieła. Darwin i jego szkoła, przedstawiając człowieka jako przyrodzoną latorośl wspólnego szczepu istot żyjących, wiążąc go w jeden łańcuch rodowy i pokrewny z innemi jestestwami organicznemi, dając mu zwierzęcy początek i jakościową tylko od nich różnicę, postawili kwestyę w ten sposób, iż każdy człowiek, w którym tkwi wyższe poczucie, a tem więcej każdy chrześcijanin bez namysłu z oburzeniem odeprzeć musi tę doktrynę; po namyśle zaś, po rozpatrzeniu się w całej tej sprawie, po roztrząśnieniu dowodów, jakie podają jej koryfeusze, sąd ten podyktowany z góry zasadami wiary i świadomością ludzkiej godności staje się przekonaniem rozumowem i naukowym pewnikiem; udowodnienie tego twierdzenia będzie przedmiotem niniejszej pracy.

Przebieg Darwininizmu jest pouczający; podaje nam klucz wyświecający, z jednej strony, nadzwyczajny rozgłos tej teoryi, z drugiej, nadzwyczajny rozrost, jaki ona w naszych czasach pozyskała: rozgłos leżał w naturze rzeczy, rozrost w nastroju umysłów.

Im jaka sprawa bliżej dotyczy postępowania i losów czyli szczęścia człowieka, tem go żywiej obchodzi, staje się dla niego dotkliwszą. Kwestya teologiczna z natury swojej jest tego rodzaju, dotyka ona każdego człowieka i to w punkcie najtkliwszym jego istoty. Każdy człowiek chce być szczęśliwym, szuka i używa środków do dopięcia tego celu; nauka zatem, która normuje to szczęście i wskazuje środki, obchodzi każdego — tą nauką jest religia. Każdy człowiek, jakiegokolwiek stanu i stopnia wykształcenia, zna mniej lub więcej tę naukę, zajmuje się nią, wyrabia sobie o niej własne przekonanie. Tem przekonaniem powoduje się w swych innych zapatrywaniach i czynnościach i ono stanowi najczulszą jego stronę: wszystko, co uderza w tę strunę, wywołuje odgłos w jego duszy zgodny lub niezgodny, ale zawsze silny. Jeżeli zaś na dnie każdej kwestyi politycznej leży kwestya teologiczna, jak się wyraził jeden z publicystów francuskich, to tem bardziej zagadnienie o pochodzeniu człowieka mieści w sobie kwestyę teologiczną, a stąd wywołać musiało znany rozgłos.

Prócz rozgłosu darwinizm znalazł w znacznej części świata

uczonego i nieuczonego niesłychane dotąd uznanie. Krzewienie się jego napotkało grunt odpowiednio przygotowany. Zastosowania pary i elektryczności w wieku XIXym stworzyły nowy czynnik pracy, odkryły nowe zasoby bogactwa, podniosły ogólny dobrobyt, przeobraziły stosunki społeczne. Uderzające następstwa, jakie płynęły z ujarzmienia sił przyrody, obudziły podziw ogólny. Człowiek olśniony tymi wypadkami, skłoniony chęcią używania, zwrócił się tam, skąd płynęło źródło jego błogości, sercem grzązł w materyi. Lecz umysł domagał się swego; trzeba go też było racyonalnemi lub pozornie takiemi teoryami na tę samą stronę przeciągnąć. Oddawna pracowano na tem polu. Musimy rzucić wzrokiem wstecz, o jeden wiek nieledwie, by ująć tę nić Arjadny, która przerywana i nawiązywana razy kilka, może nas doprowadzić do kłębka dzisiejszego stanu rzeczy.

Reformacya zaprzeczyła moralności; Encyklopedyści wierze; filozofia niemiecka dla pogodzenia obu błędów zrodziła panteizm, który wreszcie zaprzeczył wszystkiemu. Fichte, przedstawiciel tej filozofii, doszedł do zaprzeczenia bytu przedmiotowego [1]. Uczeń jego Schelling usiłował naprawić złe, pogodzić podmiot z przedmiotem, czerpać z przyrody fakta do swych wywodów, i był założycielem tak zwanej „Filozofii natury“, którą Oken następca jego na katedrze w Jenie dalej rozwijał. Aby mieć pogląd na całość systemu, uchwycić związek zachodzący między dawniejszą szkołą w Jenie a dzisiejszą, czyli darwinizmem, zrozumieć wyrażenia dziś jeszcze używane, podamy tu treściwie wybitniejsze zarysy filozofii Okena.

Oken ujmuje swą teoryę w formułę matematyczną:

$$+ A - A = O$$

[1] „Nic nie ma trwałego ani we mnie, ani poza mną; wszystko jest w ciągłej zmianie. Nic nie wiem o żadnej istocie, nawet o sobie samym. Nie istnieją jestestwa. Ja sam nic nie wiem i nie jestem niczem. Są tylko kształty, pozory, cienie, te rzeczy jedynie istnieją; one mają wiedzę o sobie na podobieństwo cieni: cienie płynące w próżni, falujące w nicości, cienie cieni, z cieniami tylko mające związek; kształty bez znaczenia, łudzące i bezcelowe. Ja sam jestem jednym z tych cieni, a nawet nie jestem cieniem, lecz stekiem bezładnym cieni. Cała rzeczywistość jest snem, a ten sen nie ma życia przedmiotowego, ani podmiotowego ducha; wszystko się redukuje do snu, który ma jedynie związek ze snem; myśl, jedyne źródło jestestwa i rzeczywistości, które sobie urabiam o moim jestestwie, o mej sile i przeznaczeniu, jest snem snów!.. (Ueber die Bestimmung des Menschen, tom II. Fichte).

Pierwszy wyraz + A przedstawia świat materyalny, jakoto: przestrzeń, czas, materye, coś skończonego, czyli absolut bierny; — A, przedstawia ducha, nieskończoność, wieczność, idealność, czyli absolut czynny; wreszcie trzeci człon, t. j. druga strona równania O, przedstawia nicość, z której wszystko wyszło. Absolut czynny przeciwstawiając się absolutowi biernemu łączy się z nim w całość jednoczącą, w trzeci absolut i powstaje akt twórczy. Te trzy absoluty, to Trójca. Absolut bierny, inaczej eter, jest podwójny: polaryzowany i niepolaryzowany. Eter niepolaryzowany zamknięty jest w jednym punkcie, po spolaryzowaniu rozszerza się i przybiera kształt kulisty; dąży on do połączenia się z niepolaryzowanym, lecz napróżno, stąd kołuje tylko koło niego, i to są ciała niebieskie. Światło jest napięciem eteru, ciepło pochodzi z oddziaływania światła na eter niepolaryzowany; światło i ciepło dają ogień. Planety składają się z pierwiastków czynnych i biernych, to jest ciekłych i stałych, napięcie ich rodzi pierwiastek powietrzny. Ta trójka nazywa się galwanizmem. Głównym przedstawicielem galwanizmu jest węgiel, w stanie pierwotnym jest to Urschleim, pierwotne skupienie. Morze powstało skutkiem szczególnej polaryzacyi soli i skupienia pierwotnego, z niego wzięło początek wszystko, co żyje. Życie jest tylko formą galwanizmu. Skupienie pierwotne z powodu własności swych trzech stanów, stałego, ciekłego i lotnego, urządza się na wzór pierwotnego eteru. Nie mogąc utworzyć jednej kuli, dzieli się na nieskończoną ilość kulek, które są wymoczkami; rośliny i zwierzęta są tylko dalszem skupieniem wymoczków. Rośliny zawierają w sobie trojaki żywioł planetarny: stały, mokry i elastyczny; w zwierzętach zaś bytuje nadto czwarty, światło. Ten czwarty żywioł ukazuje się w roślinach, jest nim mianowicie najszlachetniejsza ich część kwiat, który w skutek ewolucyi streszcza się w pyłku i powraca do porządku wszechrzeczy, do punktu. Zwierzę jest to kwiat bez łodygi, poczyna on się tam gdzie się roślina kończy... I tak dalej, na ten temat, rozwija Oken swą teoryę, w ten sposób tłómaczy zjawiska i prawa przyrody.

Przez pół wieku uniwersytet w Jenie olśniewał i czarował tymi chorobliwymi poglądami uczących się i uczonych synów Germanii; lecz ta wysoko posunięta aberacya umysłowa spowodowała niebawem wytrzeźwienie i zupełną reakcyę. „Język szkoły jeńskiej,

mówi Gegenbaur [1], liryczny, niezrozumiały dla większości, używając często przenośni zbyt górnych sprowadził niepowodzenie. Źródło błędu leżało w metodzie: zjawiska tłómaczone były na mocy praw, które nie miały podstawy w spostrzeżeniach". Przyrodnicy niemieccy zerwali z filozofią, rzucili się do badań specyalnych; Ehrenberg i inni, w kierunku doświadczalnym dali nowy popęd umiejętności i przysporzyli jej nowe nabytki. „Ten rozbrat z filozofią, pisze Haeckel [2], przypisać należy błąkaniu się pierwszych filozofów natury w Niemczech, Schellingowi, Okenowi i innym, którzy ze swych głów wysnuli prawa natury, nie opierając ich na niewzruszonej podstawie spostrzeżeń". Szkoła „filozofów natury" przestała istnieć; rozbitki jej wegetowały jeszcze, lecz bez spójni i bez wielbicieli. W r. 1860 ukazało się dzieło Darwina „o pochodzeniu gatunków". Haeckel, profesor uniwersytetu w Jenie, pierwszy pojął całą doniosłość nowej teoryi, znalazł w niej fundament pod gmach leżący w gruzach [3]. Niebawem wydał słynne swe prace: *Generaelle Morphologie der Organismen* (1886) i *Natürliche Schöpfungs-Geschichte* (1868). Główny przedstawiciel szkoły jeńskiej wyklucza w swych wywodach wszelki teizm; na podstawie darwinistowskiej, skuwa wszystkie jestestwa organiczne w jeden łańcuch pochodny, i w jednem z jego ogniw umieszcza człowieka; panteizm przerodził się w materyalizm, dostało się przytem Darwinowi za jego brak odwagi cywilnej i stanowczości w wypowiedzeniu ostatniego słowa [4]. Darwin został prześcigniętym, a raczej uprzedzonym; w r. 1870 pośpiesza z wydaniem swego dzieła „o pochodzeniu człowieka", w którym domaga się przyznania sobie pierwszeństwa. „Zdawało mi się, pisze on [5], że wystarczy drobna wzmianka uczyniona w pierw-

---

[1] Manuel d'Anatomie comparée, Paris, 1884.

[2] Hist. de la créat. nat. Paris, 1884, p. 57.

[3] Pisze Hartmann: (Darw. p. 2) „Ich wygórowany zapał wysnuł z teoryi Darwina wnioski, które autor bojaźliwie tylko wskazał, a nawet umyślnie osłonił".

[4] Między innemi przyjaciel jego i ziomek tak mówi: „Jeżeli zadowalniamy się zmniejszeniem liczby kształtów stworzonych, nie widzę, cobyśmy na tem zyskiwali. Antropomorfizm, który Darwin chciał wykluczyć, znajduje się tak dobrze w tych kształtach, jak się znajdował w większej ich ilości" (prof. Tyndall's Adress at Belfast).

[5] O poch. czł. str. 1.

szem wydaniu mej pracy o powstaniu gatunków, iż teorya przemienności kształtów gatunkowych rzuca poniekąd światło na powstanie i na dziejowy rozwój rodzaju ludzkiego; w tem bowiem zdaniu kryje się myśl, że pojawienie się człowieka na ziemi przypisać należy działaniu tych samych przyczyn, które spowodowały zjawienie się innych kształtów ustrojowych". Przypomina dalej, iż on właściwie pierwszy wypowiedział był, że wszystkie jestestwa organiczne pochodzą prawdopodobnie od jednego typu; przyznaje się, iż popełnił błąd, używając wyrazu „Stwórcy", wyrażenie to nie jest umiejętne, nakoniec kładzie swą aprobatę na wszystkie wywody Haeckla. „Gdyby ta ostatnia praca, pisze Darwin we wstępie [1], wyszła była pierwej, nim moję napisałem, nigdybym nie dokończył niniejszego dzieła. Wszystkie bowiem wnioski, do jakich doszedłem, zostały potwierdzone przez tego badacza, który genealogię człowieka obszernie rozebrał i na umiejętnych uzasadnił podstawach". Po takiem wyznaniu Darwin otrzymał przebaczenie materyalistów, został ich przywódzcą, teorya zaś powstania gatunków zastosowana do człowieka a przypisująca mu zwierzęce pochodzenie, otrzymała ostatecznie nazwę „darwinizmu". Aspiracye materyalistyczne znalazły w nim oparcie; to wystarczało do jego przyjęcia i rozpowszechnienia. O dowody przekonywające nie pytano, taką jest bowiem metoda materyalistów [2]. Haeckel woła: „Albo Stwórca, albo darwinizm, *tertium non datur*". Uczeni a najwięcej nieuczeni stanęli liczną kohortą. Rok wydania dzieła „o pochodzeniu człowieka", był zarazem rokiem komuny; dzicz nadsekwańska wprowadziła w życie teorye przyrodnika z nad Tamizy.

Zanim przystąpimy do szczegółowego rozbioru dzieła „o pochodzeniu człowieka", przedewszystkiem zaznaczyć musimy, że Darwin i jego szkoła są monogenistami i antiteleologista-

[1] Ibidem, str. 4.

[2] Materyalizm, mówi Hoffmann, jest pełnym pojęć najniemożliwszych. Dla niego pewnikami są: czas bez początku i końca, przestrzeń nieskończona, liczba atomów nieskończona, jak gdyby te rzekome nieskończoności wzajemnie się nie znosiły. Na każdym kroku materyaliści zmuszeni są do uznania za prawdziwe prawideł wręcz sobie przeciwnych, i tak niezmienność przeradza się u nich w zmienność, nieskażoność w skażoność, bezwładność wywołuje ruch, życie daje początek nieżywotności, czuciu nieczułość, rozumowi nierozum, duchowi materya *(Réfut de l'atom. abs. ou relat)*.

mi; te ich zapatrywania wymagają niektórych objaśnień, które nam posłużą do lepszego poznania ich doktryn.

Do niedawna toczył się spór między przyrodnikami o jedności rodzaju ludzkiego. Stare gołosłowne przeczenie jedności rodu ujęto w naukowy system; w obec charakterystycznych różnic ras, białej, żółtej, czerwonej, czarnej, posługując się różnemi danemi antropologicznemi utworzyła się szkoła poligenistów, utrzymująca, iż ludzie pochodzą od kilku odrębnych par. To wystąpienie wywołało szkołę monogenistów, wręcz jej przeciwną; uczeni przyrodnicy, w imię umiejętności również, ogłaszali jedność pochodzenia ludzkiego, od jednej tylko pary. Ostatnimi głównymi przedstawicielami tych szkół byli Agassiz i de Quatrefages. Jakie zajmie stanowisko, gdzie się przyłączy twórca nowej teoryi? Darwin w niemałym był kłopocie. Z jednej strony, przypuszczenie, że narządy i instynkta otrzymane „przypadkowo“ wyrobiły się, rozwinęły i przekazane zostały dziedzicznie potomkom licznych osobników ogoniastych małp katarryńskich, było połączone z trudnościami bez wyjscia; lecz z drugiej, przystanie do szkoły monogenistów wydawało się wstecznem dla materyalisty, należało działać wymijająco. Pisze się też Darwin za monogenistami, ale nie potępia polygenistów. Wprawdzie podobne postępowanie nie może być uważane za umiejętne, teorya jednak darwinistowska zyskiwała na tem, iż się nie przeładowywała jedną niedorzecznoscią więcej, a zarazem uwolniła nas od jej zwalczania. Ścisłość każe jednak zauważyć, iż nie wszyscy darwiniści poszli za swym mistrzem. Szwajcarski darwinista Vogt jest polygenistą z zasady: utrzymuje, że grupy małpie różnych stref dały początek różnym rasom człowieka, w szczegóły i dowody nie wchodzi.

Jeżeli darwinizm zmuszony był, w sprawie jedności rodu ludzkiego, do obrania kierunku wstecznego, w znaczeniu materyalistów, przecząc za to wszelkiej celowości, zadawalniał najskrajniejsze aspiracye. Celowość jest zbyt obszerną kwestyą, iżbyśmy w niniejszej pracy traktować ją usiłowali, lecz jej ważność i ścisły związek z darwinizmem zniewala nas do pobieżnego przynajmniej jej omówienia.

Sprawa celowości stara jest jak świat. Stagirita już bronił jej przeciw Anaksagorasowi i Empedoklesowi, w wiekach średnich gruntownie traktowaną była przez św. Tomasza, Alberta W. i in-

nych, w nowszych czasach cały zastęp pierwszorzędnych uczonych trzymał jej stronę [1].

Co jest celowość? Przyroda nic nie czyni na próżno, mawiał już Arystoteles. Jądro kwestyi leży w odpowiedzi na pytanie: czy zjawiska przyrody mają swe przyczyny celowe (finales), czy tylko sprawcze (efficientes). Jedni utrzymują, że dlatego oko widzi, bo się tak ukształciło, drudzy mówią, że się tak ukształciło, ażeby widziało. Twierdzenie tych ostatnich, t. j. teleologów, nie zaprzecza poprzedniemu, ale je uzupełnia: Dlatego oko widzi, że jest tak zbudowane, ale też dlatego tak zbudowane zostało, ażeby widziało.

Pomijamy tu dowody, jakie teleolodzy przytaczają na poparcie swego twierdzenia; znane są one ogólnie, zastanowimy się jedynie nad publikacyami nowszemi dwu autorów, których o stronniczość pomówić nie można: jeden z nich jest „filozofem niezawisłym", drugi ze szkoły Schopenhauera.

Janet, członek instytutu paryskiego, w obszernem dziele o celowości [2], wydanem przed kilku laty, zadaje sobie najprzód pytanie:

[1] W starożytności teleologicznego stanowiska trzymały się szkoły Platona i Arystotelesa, przeciwnego broniła epikuryjska a Lukrecyusz dał mu poetyczny i filozoficzny wyraz; w nowszych czasach Leibnic, Bernouilli, Newton, Cuvier, A. Russel, Naegeli, A. Braun, Askenazy, C. E. Baer, Kölliker, R. Wagner, A. Wigand, L. Agassiz, Paul Janet, Claude Bernard, Chauffard, E. Hartmann, Bianconi, Blanchard, Flourens, Giebelt, Göppert, Pelzeln etc., pisali w obronie teleologii.

[2] Les causes finales. Paris, 1876. Przytaczamy tu ustęp z uczonej rozprawy filologa niemieckiego: „Anatom, gdy dokonał sekcyi rozmaitych ciał, gdy każdemu narządowi właściwą nadał nazwę i dające się rozróżnić czynności każdego z nich odkrył, natenczas dostrzegł podobieństwa tam, gdzie przedtem same różnice widział. Odkrywa w niższych zwierzęcych klasach pierwsze wskazówki doskonałej organizacyi zwierząt klas wyższych i nabywa przekonania, że w państwie zwierząt ten sam porządek i takaż celowość panuje, jakie przenikają nieskończoną rozmaitość roślin i każdy inny dział przyrody. Dowiaduje się, jeżeli przedtem nie wiedział, że wszystkie rzeczy nie zostały stworzone na chybił trafił i ryczałtem, ale że istnieje pewna skala, która nieznacznie prowadzi w górę od najmniejszych wymoczków, aż do wieńca na piramidzie stworzenia; tym wieńcem człowiek; dowiaduje się, że wszystko jest objawem jednego i tego samego nieprzerwalnego łańcucha myśli twórczej, działań jednego i tego samego wszechmogącego Stworzyciela... Nic w naturze nie istnieje przypadkowo, każda jednostka do gatunku, gatunek do rodzaju należy i że są prawa, którym pozorna wolność i rozmaitość stworzenia podlega". Max. Müller. Umiejęt. języka t. I., str. 16).

czy celowość jest zasadniczą prawdą, *a priori* pewną jak przyczynowość, czy jest tylko faktem, prawem przyrodzonem *a posteriori*, jak np. powszechne ciążenie. Autor przechyla się do tego ostatniego zdania, skąd następnie wywodzi konieczność istnienia przyczyny pierwszej, najwyższego rozumu, Boga. Pierwszą część swej pracy opiera na twierdzeniach: 1. Kiedy pewien zbieg objawów zewnętrznych powtarza się stale, nie wystarcza związanie każdego objawu w szczególności z przyczynami, które go poprzedzają, ale potrzeba nadto wyjaśnić przyczynę tego zbiegu. 2. Kiedy pewien zbieg objawów znajduje się nietylko w stałym stosunku z przeszłością, ale nadto i z przyszłością, dla wytłómaczenia przyczynowości nie dość jest okazać przyczynę tego zbiegu, potrzeba nadto wyjaśnić jego stosunek z objawem mającym nastąpić.

Powyższe twierdzenia Janet uzasadnia w rozdziałach, które noszą tytuły: Fakta wzięte z przyrody, Przemysł ludzki i Przemysł przyrodniczy, Narząd i jego czynność, Mechanizm i Celowość, Zarzuty i Trudności, Doktryna ewolucyi. Autor rozbiera z krytycznem zapatrywaniem zdania starych filozofów, zestawia je z poglądami nowożytnych, szczególniej Leibnica, Kanta i Hegla i wysnuwa stąd ścisłe wnioski. Jasność wykładu, jędrność rozumowania, wszechstronna znajomość przedmiotu cechuje ten wykład.

Filozof niemiecki Hartmann, autor filozofii „Nieświadomego“ [1], traktuje w swem dziele tenże sam przedmiot, starając się przeciągnąć na swą stronę głównie materyalistów, a dowody swe opiera na licznych i nader ciekawych przykładach wziętych z przyrody i na rachunku prawdopodobieństwa.

Obydwaj ci uczeni, z różnych punktów wyjścia przychodzą do tego samego wniosku, mianowicie że celowość jest prawem przyrodzonem, lecz rozchodzą się w drugiej części swej pracy: podczas gdy Hartmann wywodzi z celowości monistyczne pojęcie o „Nieświadomym“, Janet, logicznem następstwem, wywodzi istnienie Boga.

Bystry umysł Hartmanna umiał wybrać i zastosować przykłady, które przytoczył, do swego przedmiotu, i pod tym względem nie pozostawia nic do życzenia; lecz zastosowanie rachunku prawdopodobieństwa do kwestyi celowości, przeprowadzone zostało jeszcze

[1] Philosophie des Unbewussten.

ściślej pół wieku temu, przez sławnego matematyka francuskiego Poisson [1].

„Jeżeli wielka liczba wypadków, twierdzi uczony francuski, jest możebna i jeżeli wszystkie mają *a priori* możebności równe i nader słabe, wówczas pojawienie się jednego z tych wypadków, któryby przedstawiał coś wybitniejszego, należy przypisać, bardzo prawdopodobnie, jakiejś szczególnej przyczynie C, różnej od przypadku, a mającej niejakie podobieństwo, naprzykład z wolą ludzką". Twierdzenie to objaśnia przykładem. Wyciągamy na ślepo i ustawiamy obok siebie 26 liter abecadła; w jakiem one ułożą się porządku? Niewiadomo. Jakie jest prawdopodobieństwo, iż za pierwszym razem ułożą się w porządku alfabetycznym? Prawdopodobieństwo jest tak małe, iż można je uważać za żadne. O. Carbonelle obliczył, iż to prawdopodobieństwo jest takie same, jak wyciągnięcie od razu i na ślepo ziarnka dyamentu, któreby się znajdowało jedno jedyne, wśród ogromnej ilości podobnych ziarnek kwarcu rozpostartych, w grubości jednego metra, na całej przestrzeni Europy. Zastosowanie powyższego twierdzenia do teoryi Darwina, mianowicie zaś do wytworzenia jakiegoś szczególnego przyrządu, organu, w którym miliony atomów składają się na jego urobienie, pokazuje, że narząd ten nie mógł powstać przypadkiem, lecz tylko skutkiem działania przyczyny C, podobnej do woli ludzkiej".

Ponieważ twierdzenie dowiedzione jest matematycznie, a stąd jest prawdą niewzruszoną, powinnoby być powszechnie. Jednakże tak nie jest. Darwiniście w ogóle, szczególniej zaś materyaliści są antiteleologami czyli mechanikami. Dziwny ten objaw psychiczny tłumaczy nam Malebranche [2]: „Gdyby na tem zależało ludziom, żeby boki trójkątów podobnych nie były proporcyonalne i gdyby błędna geometrya była również wygodną do ich niegodziwych skłonności, jak jest nią błędna nauka moralna, wówczas takieby bezrozumne wyprowadzali wnioski z geometryi, jak wyprowadzają z nauki moralnej, albowiem oneby im dogadzały, prawda zaś raziłaby ich, mieszała i gniewała".

W ogóle materyaliści nie lubią logiki, zbyt bowiem one krę-

[1] Recherches sur la probabilité des jugements en matière criminelle et en matière civile. Paris 1837, Nr. 41, 42.

[2] Recherches de la Verité lib. IV.

pują ich swobodę w wyprowadzaniu wniosków; chętnie obdarzają się wzajemnie szumnymi tytułami uczonych i mędrców, lecz przypatrując się bliżej tej uczoności, pokaże się, iż przekroczywszy granicę swej specyalności, na całkiem nieuczonych zakrawają. I tak uczony Huxley jest wprawdzie uczonym anatomem, ale całkiem nieuczonym matematykiem, ani fizykiem. Czytamy w jego dziele [1]: „Lewa komora serca wywarłaby na tętnicę ciśnienie prawdopodobnie równe ciśnieniu kolumny krwi, mającej 50 centymetrów wysokości, a jeden cent. kwadr. powierzchni; albo inaczej, kolumnie rtęci o 25 cent. wysokości i 6,47 cent. kwadr. powierzchni; w mechanice ciśnienie to przedstawia pracę równającą się wyniesieniu 30 tysięcy kilogramów do 10 cent. wysokości: praca całego serca wynosi około 40 tysięcy kilogramów". O. Carbonelle przywiódłszy cały ten ustęp mówi [2]: „Każde tu zdanie zawiera przynajmniej jednę niedorzeczność. Od kiedy to ciśnienie wywarte, oblicza się nietylko wysokością, ale i powierzchnią podstawy kolumny ciekłej? Jakim sposobem 50 cent. krwi może wywierać takie samo ciśnienie, jak 25 cent rtęci? Co to jest za rodzaj ciśnienia, które się oblicza przez pracę? co to za praca, która się równa sile? co to za siła dająca się wyrazić w kilogrametrach, a praca w kilogramach? Wielka to sztuka w niewielu słowach umieścić tak wiele niedorzeczności!"

Darwiniści, jak o tem już wspomnieliśmy, są mechanikami, po większej części, lecz sam Darwin, czy był teleologiem czy mechanikiem? Trudno orzec. Wprawdzie p. Wrześniowski kruszył kopię w obronie mechanizmu swego mistrza, lecz to jeszcze niczego nie dowodzi. Darwin zbyt był roztropnym, nie stawiał sobie niepotrzebnych trudności, żadnem słówkiem stanowczo nie wypowiedział swego zdania pod tym względem. W gruncie rzeczy skoro ostatecznie wykluczał Stwórcę, musiał być mechanikiem, ale ponieważ celowość była mu często na rękę w jego wywodach, bez żadnych skrupułów nią się posługiwał. P. Wrześniowski ogłaszając Darwina przeciwnikiem najpoważniejszych uczonych, nie przyniósł mu za-

[1] Leçons de physiologie élem. trad. Dr. Dally.
[2] Rev. des Quest. scient. t. IX., p. 169.

szczytu, ani korzyści krajowi, któremu służy, ani szkole, w której wykłada.

Smutniej jeszcze przedstawia się, tak w tej sprawie, jaki w całej kwestyi darwinizmu, występ innego przyrodnika warszawskiego. P. Reichman należy u nas do najgorliwszych popleczników i krzewicieli tej niepoczesnej teoryi. W pismach *sui generis* obdarza publiczność polską niedowarzonymi poglądami marzycieli niemieckich. W r. 1882 ogłosił w Ateneum warszawskiem rozprawę pod tytułem: „Teorya Darwina w stosunku do nauki i życia". Co jest darwinizm, na jakich oparty jest podstawach, nikt się z tej broszury nie dowie; jest to tylko apologia szumnie i barwnie napisana. P. Reichman nie występuje tam jako przyrodnik, albowiem to mnóstwo wyrazów technicznych, których używa, służy mu tylko do zestawienia bombastycznych frazesów; nie jest filozofem, nie przeprowadza bowiem, ani nie udowadnia żadnego pojęcia filozoficznego; nie jest materyalistą, robi bowiem czasem przeciw materyalistom wycieczki; chrześcijaninem też nie jest, albowiem o Piśmie św. wyraża się jako „o podaniach hebrajskich", i pyta, czyż są „możebne po Koperniku i Galileuszu"? W całej swej pracy p. Reichman jest jedynie retorem, w ujemnem znaczeniu tego wyrazu. Dla p. Reichmana Darwin jest więcej aniżeli Kopernik i Newton, „teorya Darwina, mówi on, wprawiła w osłupienie cały świat konserwatywny"! Darwin jest „ideałem konsekwencyi"! Zamiast ideału wystarczyłaby prosta konsekwencya, ale tu właśnie tak Darwin, jak i p. Reichman nie domagają: uczeń nawet przeszedł mistrza. P. Reichman jest tak dalece w ciągłej sam z sobą sprzeczności, że w pierwszem rozdziale swej pracy szeroko dowodzi tego, co w drugim i trzecim zbija. Pierwszy rozdział nosi tytuł: „Doniosłość naukowa". Przed zjawieniem się Darwina, już nauka tonęła. „Gmach nauki, głosi podniośle p. Reichman, zdaje się być zagrożonym, metoda wyczerpała się, a gdy jedni nie chcą widzieć niebezpieczeństwa i chowają głowę w piasek (sic), lub usiłują nadać metodzie życie sztuczne, inni zupełnie o niej zwątpili i oczekiwali czegoś nowego" (!). „Filozoficzny podkład cuvierowski zaczyna się zatracać, pisze dalej, anatomia porównawcza przeradza się w anatomię oddzielnych form (?), w zootomię. Materyał wprawdzie powiększa się, lecz z jego wzrostem coraz uwydatniają się błędy Cuviera, które jednak zwyrodnieli jego epigonowie uwa-

żają za dogmat... Więdnąca w marazmie historya naturalna nie mogła zostać w spokoju". (!!) Zjawia się wreszcie, proszę zgadnąć kto? — gołębiarz! Tak pisze p. Reichman: „Trzeba było na to człowieka nietylko wielkiego umysłu, ale znającego gruntownie geologię i paleontologię, zoologię i botanikę, embryologię i fizyologię, a nadto wiele innych jeszcze faktów, których, jak się okazało, trzeba było szukać aż w g o ł ę b i a r s t w i e". A zaraz potem: „Człowieka takiego wtedy nie było — a raczej był, Darwin wyraz ducha czasu, wyraz skoncentrowania wiedzy z kilku różnych dziedzin, wyraz potrzeby, skutek rozwoju nauki" (!!!) Podobna tromtadracya naukowa ciągnie się przez cały rozdział. Wygłasza się tam deklamacyjnie, że teorya Darwina podniosła i postawiła w s z e l k i e u m i e j ę t n o ś c i na właściwych drogach i szczeblach, mianowicie zaś: geologię, antropologię, astronomię, chemię, psychologię, historyę, socyologię, ekonomię polityczną i politykę (str. 10 i 11). Wymieniliśmy te umiejętności, trzymając się ściśle porządku autora, o fizyce nic nie wspomina, co się tyczy metafizyki, to ją smutny los spotkał: „Wygnał (Darwin) z nauki sztucznie przyczepioną metafizykę" (str. 6). Słowem, mówi p. Reichman w innem miejscu, „teorya Darwina swą treścią kardynalnie zmieniła pogląd na świat organiczny i jego dzieje..., jest ona dla nauk biologicznych n o w y m punktem widzenia, n o w y m kierunkiem badania, n o w e m światłem, n o w y m duchem przenikającym każdą gałęź nauki i nadającym im grunt logicznej konieczności, jednolitą spójnię i n o w e widoki... daje nauce n o w ą metodę badania, n o w y punkt widzenia, n o w e pobudki, odkrywając n o w e strony natury organicznej i umysł badaczy na nie kieruje... i t. d." Wreszcie zadaje sobie p. Reichman pytanie: „Więc czy teorya Darwina jest p o w s z e c h n e m, n a j o g ó l n i e j s z e m p r a w e m świata organicznego"? i sam na nie odpowiada: „Możemy śmiało powiedzieć, ż e j e s t n i m o b e c n i e".

Drugi i trzeci rozdział traktuje o stosunku teoryi Darwina do życia społecznego, moralnego i religijnego: autor usiłuje wykazać, iż darwinizm żadnego nie miał, ani nie ma wpływu na filozofię; żaden darwinista nie utrzymuje, że człowiek pochodzi od małpy, wreszcie, że cała teorya nie jest pewną. To do nieuwierzenia, a jednak jest prawdą. I tak mówi p. Reichman, teorya Darwina „ma niedokładności i ludzi, to rzecz pewna" (str. 11)... ani Darwin, ani jego

znakomity kontynuator Haeckel nie wyprowadzają człowieka od małp, których brzydotę widzimy (str. 13)[1]... nikt nie wskaże systemu filozofii materyalistycznej, opartej na teoryi Darwina" (str. 31). A dajmy na to, woła p. Reichman, że pochodzimy od małpy, czyż dlatego mamy się wstydzić! i dowodzi. „Jeżeli szlachcicowi, mówi on, wstydzić się nie należy, że jakiś daleki jego przodek był łotrem, mędrcowi — że protoplasta był sługą ciemnoty, dobroczyńcy — że był nędznikiem". Czyż koniecznie mamy naśladować naszych przodków? „A dajmy na to, mówi dalej, że ojciec Kopernika był szewcem, czyż Kopernik trzymać się powinien kopyta"! albo czyż mamy się urządzać „na modłę średniowieczną, kiedy śniadanie księżniczek składało się z kawałka szperki i chleba, a wyprawa z kilku koszul płóciennych"! Przytoczenie tych ustępów maluje dostatecznie autora i wartość jego pracy. Co do religii uspokaja p. Reichman bojaźliwe sumienia: „przy darwinizmie, mówi on, można być katolikiem, anglikaninem, buddystą, ateistą"... P. Reichman prawdopodobnie nie miał nigdy sposobności uczenia się katechizmu katolickiego, stąd dziwić się jego zdaniu nie możemy; lecz dziwimy się niezmiernie śmiałości, z jaką rozprawia o tem, czego nie rozumie. *Quaecunque ignorant, blasphemant.*

Co więcej, słowa te i cała praca p. Reichmana nie była doraźną, lecz była, jak się wyraża „owocem kilkoletniego rozmyślania", a ten długi przeciąg czasu tłómaczy tem, że „wstępuje tu na pole

---

[1] Czy jest możebna rozprawa naukowa z tymi panami, niech każdy zechce osądzić. Darwin, mówi p. Reichman, nie utrzymywał nigdy, że człowiek pochodzi od małpy. Otóż czytamy w dziele o pochodzeniu człowieka w tłómaczeniu polskiem na str. 205: „Dawni przodkowie człowieka musieli być pokryci włosem, jako też ówczesna płeć piękna musiała nosić brodę; ich uszy były spiczaste i ruchliwe, a z tyłu zawisał ogon, zaopatrzony w odpowiednie mięśnie. Członki ich i tułów obdarzone były mięśniami, istniejącemi w stanie zwykłym u czteroręcznych, lecz pojawiającemi się jedno przypadkowo u ludzi... Sądząc z pozycyi wielkiego palca u nogi płodu, wnosic możemy, że nogi ich były zdolne do chwytania i że przebywali na drzewach, pędząc żywot w lasach ciepłej, podzwrotnikowej sfery. Płeć męska musiała posiadać duże kły i używała ich jako broni zaczepnej"... Nieco dalej (str. 211), tłumacząc przeradzania się jestestw, kończy: „Tym sposobem dochodzimy do małpiatych, od których blisko już do małp. Wreszcie małpy dzielą się na dwie grupy. na szerokonose czyli nowego świata i wąskonose czyli starego świata, z których niegdyś, bardzo temu dawno, powstał człowiek".

kwestyi nowej i nieopracowanej, nietylko u nas lecz i zagranicą“ (str. 48). *Risum teneatis amici!* P. Reichman podnosi kwestyę nową, nieznaną całemu światu i przez nikogo nieopracowaną!. Nie, tej kwestyi nie widzimy. Jeżeli kwestya descedencyi przed ukazaniem się pierwszego dzieła Darwina nie była nową, to i dziś nie jest nową, skoro tylu przyrodników i filozofów, jak sam autor stwierdza, z różnych punktów widzenia ją omawiali. Jest nową może dla p. Reichmana, ale niechże sam sobie winę przypisze, zamiast tracić kilka lat czasu na rozmyślaniu o Darwinie, niechby się był zajął czytaniem tych, co o tem pisali. P. Reichman nietylko nie daje żadnego nowego poglądu, żadnej nowej myśli, ale cała jego broszura jest tylko parafrazą mowy Haeckla [1].

P. Reichman, przy końcu swej pracy, odwołuje się do „sumiennej naukowej krytyki“. Słuszne wymaganie, ale dlaczego nie wymagał tego sam od siebie? P. Reichman ani naukowo, ani sumiennie nie przedstawił kwestyi darwinizmu. Nie przedstawił naukowo, nic bowiem nie zakładał, niczego nie dowodził, całą teoryę przyjmował jako już dowiedzioną i pisał tylko o niej przesadne pochwały. Nie przedstawił jej sumiennie, nie nazywał rzeczy po ich właściwem imieniu, insynuował, że teorye Darwina zrobiły i robią wyłom we wszystkich pojęciach ludzkich, a zarazem twierdzi, że nie naruszają zasad religii ani moralności, a nawet dają im gruntowniejsze pod-

[1] Podajemy tu wyjątek z mowy Haeckla na kongresie naturalistów niemieckich r. 1877. (Revue des cours scientifiques, 8 décemb. 1877).

„Jakkolwiek wielką wagę przyznajemy postępowi morfologii, nie wystarcza to jeszcze do wytłómaczenia nadzwyczajnego wpływu, jaki wywarła dzisiejsza nauka ewolucyi na umiejętność ogólną, czyli filozofię naturalną. Ten wpływ okazuje się dopiero z wniosków poszczególowych, jakie „teorya pochodzenia“ wysnuwa o człowieku. Wiekowe zagadnienia o pochodzeniu człowieka po raz pierwszy rozwiązane zostało naukowo. Jeżeli nauka ewolucyi jest prawdziwą, jeżeli jest prawdziwą genealogia naturalna i historyczna istot, człowiek również, król stworzenia, jest odnogą kręgowców, należy do gromady ssawców, do rzędu małp... Nauka ewolucyi jest nietylko ważną ze swego stanowiska teoretycznego, ale ze swych zastosowań praktycznych. Medycyna, ekonomia praktyczna, prawo, teologia, o ile wiążą się z filozofią zastosowaną, muszą uledz jej wpływowi. Co więcej, w tych właśnie naukach, jestem przekonany, przyczyni się ona najbardziej do postępu i doskonałości... Nietylko filozofia naturalna i teoretyczna, ale filozofia praktyczna i pedagogia wysnuwają już dzisiaj swe główne prawdy, nie z mniemanego objawienia, lecz z pojęć naturalnych nauki ewolucyjnej“.

stawy. Wymaga „bezstronnej krytyki w szczególności“, ale dlaczego sam tak stronniczym okazał się w ocenie innych? Jednego słowa uznania nie znajduje dla przeciwników. O Dr. Pawlickim wyraża się: „broszura... oparta na zupełnem niezrozumieniu rzeczy i zdradzająca brak wszelkiego pojęcia o krytyce naukowej“; o książce Wartenberga: „naturalnie, że z niej tylko fałszywego wyobrażenia o nowej teoryi nabrać było można“; „dr. Bonifacusz Nemo wydał, mówi zawsze p. Reichman, przekład nonsensowego angielskiego paszkwilu antydarwinistycznego“; w ogóle o wszystkich przeciwnikach pisze: „nie znali wcale Darwina, ani nauk, w łonie których powstała ta teorya“. Nieznali? ale czyż młodzi znali? P. Chmielowski, który był dobrze wtajemniczony w całą wiedzę swych współtowarzyszy, mówi o nich[1]: „Samego dzieła Darwina zwolennicy prawie nie czytali, więc też i argumentów do jej obrony nie posiadali poddostatkiem“.

Wracamy już z tej dygressyi, do której nas zwabiły oryginalne pomysły p. Reichmana do dzieła samego mistrza: a mianowicie do właściwych dowodów, jakiemi Darwin chce nas przekonać o zwierzęcem pochodzeniu naszem. Darwin w swem dziele „o pochodzeniu człowieka“ jest czystej wody materyalistą, lecz nie filozofem a tylko przyrodnikiem. Nie daje nigdzie pojęć o Bogu i duszy, nigdzie ich wręcz nie wyklucza, ani nie stara się o pogodzenie ich ze swoją teoryą o początku człowieka. Zestawia jedynie objawy zewnętrzne w człowieku i zwierzętach; usiłuje wykazać, iż są jakościowo te same i stąd wywodzi wspólne pochodzenie; zupełnem milczeniem pomija pierwsze przyczyny. Nie możnaby nic mieć przeciw tej metodzie, gdyby nie kryła w sobie podstępu, a tak się właśnie rzecz ma w tym przypadku. Darwin nie przeczy nigdzie istnienia Boga i duszy; to mu ułatwia zadanie, gdyż nie potrzebuje uzasadniać swych przeczeń, ani zapuszczać się w nauki, o których niema wyobrażenia. Lecz skoro na samym wstępie wyraźnie oświadcza, „iż się godzi na wszystkie zdania Haeckla“, który z bluźnierczą zuchwałością odrzuca Boga i duszę, skoro przykłady swoje i wywody prowadzi logicznie, choć domyślnie, do tego samego wnio-

[1] Zarys lit. pol. str. 59.

sku, trudno nie dopatrzyć się w tem obłudnego podstępu. W rozbiorze dzieła Darwina nie będziemy jednak przenosić walki na inny grunt, nie będziemy używać broni, jaką nam kładą w rękę teologia i psychologia, lecz jego własną bronią, czerpaną w umiejętnościach przyrodniczych, odeprzeć i wyprzeć go zdołamy ze stanowisk przez niego zajętych.

Darwin stawia twierdzenie, Człowiek pochodzi od zwierzęcia; uzasadnia je zaś jak następuje:

Jestestwa mające pewne podobieństwo, których różnice pod względem morfologicznym, fizyologicznym i psychologicznym, są tylko ilościowe a nie jakościowe, są pokrewne, czyli, genealogicznie pochodzą od tych samych przodków; a że między człowiekiem a zwierzęciem znajduje się takie podobieństwo, stąd człowiek pochodzi od zwierzęcia.

Przesłanka większa albo Major tego syllogizmu, czyli zasada, że jestestwa morfologicznie podobne są pochodzeniem pokrewne, nie znajduje się nigdzie w dziele „O pochodzeniu człowieka“ stanowczo sformułowaną, a tem mniej udowodnioną. Odpowiadamy na nią po scholastycznemu: *Quod gratis asseritur, gratis rejicitur.* albo innemi słowy, nie przyjmujemy za prawdziwą rzeczy: 1) nie widocznej samej przez się, 2) nie udowodnionej, nadto 3) mającej przeciw sobie prawdy pozytywne.

Co do przesłanki mniejszej, tj. twierdzenia, że między człowiekiem a zwierzęciem jest podobieństwo z różnicą tylko ilościową, Darwin nagromadza tu wrzekomych dowodów i tłumaczeń bez liku. Wszelako utrzymujemy: 1) że te dowody Darwina są żadne, 2) że na mocy prawd stwierdzonych naukowo i zdania pierwszorzędnych przyrodników cała przesłanka jest błędną.

Stąd główne twierdzenie Darwina, jako niemające najmniejszej podstawy naukowej, odrzuconem być musi. Postaramy się o usprawiedliwienie każdego z naszych orzeczeń: zaczynamy od przesłanki większej.

1. Co jest podobne, nie jest jeszcze pokrewne. Przesłanka większa nie jest widoczną sama przez się. Prawdą jest, że potomki otrzymują dziedzicznie znamiona podobne do znamion swych rodziców, lecz wzajemnica, jak mówią w geometryi, nie jest

całkiem widoczną. „To właśnie należało dowieść, mówi Agassiz [1], ale tego dowieść nie można". Słusznie zauważył Wigand [2]: „Prawdziwe zdanie *gleiche Abstammung bedingt Aehnlichkeit*, przekręcono na błędne *Aehnlichkeit beruht auf gleicher Abstammung*". W pierwszej części naszej pracy dowiedliśmy, iż gatunki pomimo wielkiego podobieństwa cech, nie wyradzają się jedne z drugich. Widzieliśmy, że sami darwiniści nie są zadowoleni z dowodów swego mistrza, przyjmują hipotezę, lecz szukają nowych dowodow [3]. Pole-

[1] Ainsi toutes ces ressemblances, toutes ces affinités existent précisement et seulement parce que les animaux entre lesquels elles établissent un rapprochement quelconque sont sortis d'une même et commune souche. Mais c'est justement ce qu'il faudrait démontrer et ce qu'on ne peut pas demontrer. (De l' Espèce, p. 381).

[2] Geneal. d. Urzellen, p. 47. Toż samo twierdzi C. E. de Baef: Man muss sehr entschieden eine nur ideelle Verwandtschaft von einer genetischen oder genealogischen unterscheiden. Schon seit langer Zeit hat man von einer Verwandtschaft dieser oder jener Thierart mit einer anderen gesprochen, damit aber nur eine Aehnlichkeit, oder die Uebereinstimmung in einer bestimmten Richtung gemeint... Diese ideelle Verwandtschaft darf aber durchaus nicht mit einer genetischen verwechselt werden, was leider häufig geschieht, ohne zu bedenken, dass zu der Behauptung der genetischen Verwandtschaft ganz andere Beweise gehören. (Studien aus dem Gebiet der Naturw., tom II., p. 386. Cfr. Wigand, Der Darw. tom I., p. 251).

[3] W czasopiśmie warszawskiem „Wszechświat" (Nr. 51, 31 grudnia 1884 r.) w artykule p. B. Wrześniowskiego czytamy: „Jako sumienny i bezstronny badacz prof. Hoyer bynajmniej nie ukrywa braków teoryi (Darwina) i dochodzi do zupełnie słusznego, stanowczo uzasadnionego wniosku, że teorya pochodzenia tylko w główniejszych zarysach daje się zastosować do układu naturalnego, w szczegółach zaś krytyczny badacz spotyka się z nieprzezwyciężonemi trudnościami". W dalszym ciągu rozumowanie p. Wrześniowskiego jest zupełnie podobne do rozumowania Darwina, a nawet prawie dosłownie z jego dzieła wyjęte. I tak mówi p. Wrześniowski: „Ostatecznie, braki wytknięte przez prof. H., podobnie jak wszystkie dotychczas podnoszone przeciw Darwinowi zarzuty, w niczem teoryi nie osłabiają (sic)". Według p. W., braki, do których sam Darwin się przyznaje, nieprzezwyciężone trudności w zastosowaniu, o których wspomina p. Hoyer, w niczem nie osłabiają teoryi, to trochę za wiele; sam Darwin nieco skromniej, a raczej logiczniej się wyrażał, utrzymywał bowiem tylko, że jej nie obalają. P. Wrześniowski jest *plus Darviniste que Darvin*. Żadnych bowiem braków nie widzi w swej ulubionej teoryi, „bez wahania się wyznaje, że zarzuty podniesione przez prof. H., są według jego przekonania nieuzasadnione". P. W. mógłby wziąć do siebie epitet „zaślepionych", jakim piętnuje przeciwników darwinizmu; tem więcej, że wdając się w niepotrzebne a błędne hypotezy, nie wykształca umysłów młodzieży, sobie powierzonej, tylko dokłada materyału palnego do ogniska już dosyć pło-

cono Gegenbaurowi aby wykazał anatomicznie pochodność kształtów. Gegenbaur napisał „Anatomię porównawczą“ [1] ze stanowiska darwinistowskiego, jednakże by się utrzymać na wyżynach naukowych, zmuszony był poczynić wyznania, które, jeżeli teoryi Darwina nie wywracają całkowicie, to przynajmniej zupełnie jej nie popierają. Przyznaje, iż niema sposobu wynalezienia przejścia między kształtami. „Jeżeli złożymy obok siebie, mówi on [2], szeregi kształtów najwięcej do siebie zbliżonych, porównamy je między sobą, i będziemy chcieli z kształtów pojedynczych wyprowadzić więcej złożone, wówczas spostrzeżemy, że kształty pojedyncze mają podobieństwo do kształtu pierwotnego (pierwowzoru) który jest hipotetycznym i w naturze się nie znajduje“. Anatomia zatem nie dostarcza dowodów, trzeba się uciekać do przypuszczeń urojonych i to jak najwyraźniej oświadcza autor w swem dziele mającym aprobatę Vogta:

nącego. Takie nawoływania: „że ani Darwin, ani żaden z rozsądniejszych jego zwolenników nie wyłączają etycznych zasad z motywów, które powinny kierować ludzkiemi dążnościami“ (str. 804), w niczem nie naprawiają zgubnego impulsu, nadanego przez „zoologiczne“ podstawy ludzkiego życia.

[1] Manuel d' Anatomie comparée. Paris, 1874.

[2] Lorsque nous cherchons, par la comparaison, à disposer en séries des formes alliées, et à déduire les plus complexes des plus simples, nous ne pouvons reconnaitre, dans les plus inférieures, que des ressemblances avec la forme souche, qui reste hypothétique, et est donc plutôt déduite que trouvée directement (loc. cit. p. 73).

En traitant l'anatomie comparée d'après le point de vue généalogique que fournit la théorie de la descendance, on devait avoir égard au fait que les relations cherchées ne peuvent presque jamais être reconnues sur des objets étant entre eux dans une connexion généalogique immédiate, parce que nous n'avons à faire presque exclusivement qu'aux prolongements des séries de développement. Nous faisons, par exemple, dériver l'appareil circulatoire des Insectes de celui de Crustacés, et pouvons apporter des documents à l'appui, mais, nulle part, il n'existe de forme qui conduisent immédiatement des crustacés aux insectes, ni aucun état d'organisation qui fasse la transition. Même là où nous pouvons reconnaitre une disposition isolée comme étant une forme de passage, plusieurs autres nous interdisent de considérer, dans le sens strict du mot, l'organisme entier comme ayant la même signification. Lorsque nous voyons, dans les organes circulatoires du Lepidosiren, une disposition intermédiaire entre celle des Poissons et des Amphibiens, ce qui nous autorise à regarder l'animal comme une forme de transition entre les deux types, il est extrêmement vraisemblable que le Lepidosiren et les Amphibiens actuellement vivants ont eu des ancêtres communs, mais il est tout aussi certain que ces Amphibiens ne proviennent pas du Lepidosiren (p. 72).

C'est donc aux combinaisons de l'esprit à combler les lacunes que laisse l'observation directe. Przywódca szkoły jeńskiej jeszcze dalej posunął się w swych wyznaniach. „Fizyologia pisze on [1], jako umiejętność specyalna odnosząca się do czynności organizmu żyjącego, zbliżała się coraz bardziej do metody doświadczalnej. Morfologia, przeciwnie, jako umiejętność kształtów zwierzęcych i roślinnych, mogła bardzo mało, rozumie się, korzystać z tej metody; ona musiała się uciekać do historyi rozwoju i dlatego stała się umiejętnością historyczną. Starałem się w moim odczycie monachijskim wykazać różnicę między tą metodą historyczną i genetyczną, jaką posługuje się morfologia, a metodą ścisłą i doświadczalną używaną we fizyologii". Zaznaczamy zatem, że nowa szkoła darwinistowska dała za wygranę z nauki pozytywnej; nie jest ona, według własnego zeznania ani ścisłą, ani opartą na doświadczeniu, luźne wywody swe czerpie z ogólników nieokreślonych, powraca do mrzonek okenowskich. Pokuszenia wreszcie darwinistów spełzły na niczem, gatunek pozostał stałym w prawdziwej umiejętności przyrodniczej, a tem samem podobieństwo cech nie stanowi pokrewieństwa. Cała zatem przesłanka większa Darwina jest błędną; stąd, według praw logicznych, twierdzenie na niej oparte jest błędnem, choćby dowody, któremi Darwin w swem dziele „o pochodzeniu człowieka" stara się uzasadnić swą przesłankę mniejszą, były gruntowne; lecz dowody te, jak to okażemy, w żaden sposób ostać się nie mogą w obec rozumu i nauki. (C. d. n.)

X. W. Zaborski.

[1] Preuves du transformisme. Paris, 1882, p. 43.

POJĘCIE O BOGU

w chrześcijaństwie i u filozofów.

III.

Dowody istnienia Boga. — Ich treść. — Ich dzieje. — Znaczenie słowa „Bóg". — Zasada przyczynowości. — Własności przyczyny. — Stosunek sprawcy do materyi i wzoru. — Pierwszy dowód. — Ruch w świecie. — Konieczność pierwszej siły.

Staje przed nami, bez świetnych i uczonych pozorów, pierwsza zasada dzisiejszej pseudofilozofii: „Żadnego Boga niema, przynajmniej takiego nie ma, o jakim wiara marzy." Prawda: udało się wielu nowatorom zatrzeć pojęcie o Bogu w tysiącach dusz; te wzdrygają się już przed nabożeństwem i wiarą. Ale, czy jaki rozumny powód skłania naukę do tego, żeby zaprzeczała bytności Boga? Nauka za nic ma pozorne dowody, jakie w oczach tych ludzi uchodzą za stanowczy cios dla idei Boga. Nie nauka, tylko namiętność znajduje jakąś siłę w tych dowodach.

Czy nie ma nabierać otuchy wierzący rozum a cieszyć się serce przywiązane do wiary, kiedy widocznie okazuje się, że najzawziętsi nieprzyjaciele Boga do walki z Nim porywają się bez żadnego oręża? Tak samo podnosi się umysł i krzepi wiara na widok podstaw, na których polega nasze pojęcie o Bogu. Trzecia to myśl, jaką chcieliśmy wziąść pod rozwagę; bo zamiarem naszym naukowo usprawiedliwić wiarę w objawienie, a do tego trzeba pierwej rozumowo uzasadnić, że istnieje Bóg, który może dać objawienie.

Mija już trzydzieści wieków, odkąd filozofia starannie bada dowody istnienia Boga; i nie mało ich już uznała a wszystkie opiera

na jednej głównej myśli: świat przy zmiennym stanie swoim zależy od niezawisłego sprawcy i zachowawcy, musi mieć stwórcę. W tej jednej myśli, z większą albo z mniejszą ścisłością zgłębianej i wyrażanej, mieszczą się wszystkie dowody. Już księgi starego zakonu [1] rozwijają tę myśl tak jasno, dokładnie i z taką powagą przejmującą, że czegoś gorszego niż lekkomyślności dopuszczają się ci, co pomiatają tą ideą, jakby niegodną myśliciela. Sprawiedliwość oddali jej Platon [2] i Arystoteles [3], mężowie wybitni pośród starożytnych pogan: z tej myśli wysnuli swoje dowody o istnieniu Boga.

Odkąd stanęło chrześcijaństwo, zastępy ojców i apologetów wystąpiły i za oręż przeciw pogaństwu tę samą myśl obrały, w ślad za samym św. Pawłem [4]. Scholastyka w wiekach swojego życia, pod wpływem najbystrzejszych umysłów, przy zamiłowaniu najmniej dościgłych badań, nie zdołała wpaść na lepszą myśl, z której rozwinęłaby nowy dowód na obecność Boga. Taka zgoda przez tysiące lat miałaby być rękojmią za rzetelność zasady, na której oparł dowody swoje nawet Kościół, oświecony objawieniem boskiem. Dopiero krytyka Kanta nieszczęśliwie uwięzła w wątpliwościach i wznieciła obawy, czy te dowody na naukowej polegają podstawie. Kant ogólnie zaprzeczył naszym pojęciom zgodności z podmiotem i możliwości poznania przedmiotu, jakim jest sam w sobie [5]. Zatem nie było potrzeba szczególnych zarzutów, któreby Kant postawił przeciw pojęciu o Bogu; wystarczały tylko ogólne poglądy, z których powstawały wątpliwości Kanta o wszystkiem, prócz własnej myśli.

Jak każdy błąd, tak Kanta krytyka nie długo panowała w świecie; pozostała tylko wątpliwość, która z niej wyrodziła się, co do dowodu o istnieniu Boga. Ta zapuściła szkodliwe korzenie w sercach skłonnych do sceptycyzmu i wydała gorzkie owoce: raz po raz wytwarzała zarzuty przeciw dawnym wywodom; nie przepuściła żadnemu zdaniu w nich; każde słowo poddawała najsurowszym sądom i odrzucała z wyrazem potępienia. Nieszczęściem,

---

[1] Ks. Mądrości, rozdz. 13.
[2] Phaed.
[3] Metafizyka, ks. 12, rozdz. 7.
[4] Do Rzym. r. 1.
[5] Por. *Przegląd Powsz.* t. 3. str. 98.

dali się porwać prądowi czasu filozofowie chrześcijańscy, a nawet pewni teolodzy i utrzymywali, że naukowo nie można dowieść istnienia Boga. Postąpili tak w myśli, że podniosą stanowisko wiary. Płonne zamiary! Jakże wiara ma wydawać się rozumną, jeżeli nie przedstawia się rozumnie podwalina całej wiary, istnienie Boga?

Dlatego w tej rozprawie zamierzam: wyłożyć najprzód dowód że Bóg istnieje, wyłożyć jasno i krótko, starodawnym sposobem katolickich szkół; potem zbadać i skonstatować jego siłę. Do tego celu nie znam innej drogi, jak badanie wszystkiego, co zarzucają przeciwnicy. Przekonamy się, czy wytrzymają rozumną ocenę, choćby łagodną, zasady, któremi usiłują zwalczyć dowody o Bogu. Jeżeli te zasady, mimo starań obrońców, ostać się nie zdołają, za słuszny uznamy dowód, który przez tysiące lat przekonywał najuczeńszych.

Żeby dowodzić, że jest Bóg, trzeba jasno wiedzieć najpierw, co tem imieniem wyrażamy. Nie rzadko o Bogu mówią filozofowie bez wiary nawet, a pod tem słowem rozumieją nie chrześcijańskiego Boga, tylko coś dziwnego i niewłaściwego. Bo czyż nie dziwactwem n. p. ten Bóg, którego tak opisuje Schopenhauer: „wiara rozdzieliła ogół rzeczy na dwie części, na świat i niebo; po świecie roją się ludzie, na niebie siedzi Bóg; aż tu przychodzi astronomia i usuwa niebo, bo rozciągnęła świat tak, że już na niebo miejsca nie ma; z niebem przestaje istnieć sam Bóg“. Za nim powtarza tę bajkę Strauss, wielki prorok nowej wiary. Czy ci ludzie czytali kiedy i zrozumieli katechizm?

Zawsze jasno pojmowało Boga chrześcijaństwo; a gdy w najnowszych czasach fałszywa filozofia poczęła to pojęcie bluźnierczo wykrzywiać, myśl chrześcijańska znalazła wyraz najwierniejszy, w orzeczeniu watykańskiem: Święty Kościół powszechny, apostolski i rzymski wierzy i wyznaje, że jest Bóg jeden, prawdziwy i żywy, Stwórca i Pan nieba i ziemi, wszechmocny, wieczny, niezmierny, nieogarniony, nieskończony w rozumie, woli i wszelkiej doskonałości, który będąc jedną, pojedyńczą, zupełnie niezłożoną, niezmienną i duchową istotą, powinien być uznany jako istotnie i rzeczowo od świata odrębny, sam w sobie i przez się najszczęśliwszy i nadewszystko, co prócz niego istnieje i pojąć

się może, niewymównym sposobem wyższy. Tej istoty istnienia chcemy dowieść a nie żadnej innej, i dowody swoje chcemy obronić przed wszystkiemi pociskami nowych zasad. Przedstawimy te dowody, jak ich uczyła stara filozofia, wyrażeń tylko użyjemy przyjętych w obecnym stanie nauki; przejdziemy również przeciwne dowody i ocenimy je podług niezachwianych zasad dawnych mistrzów.

Treść dawnych dowodów polega na istotnem prawie myślenia, które filozofia nazywa zasadą przyczynowości, a które w zwyczajnej mowie wyraża się jasnemi i prostemi słowy: nic się nie dzieje bez dostatecznej przyczyny.

Rzadko kto wątpił, czy to prawdziwa zasada. W połowie XIV. wieku wystąpił z taką wątpliwością Mikołaj z Ultrikuryi, ale sam w końcu wyrzekł się tego zdania przed paryską akademią. W nowszych czasach Hume i Kant odnowili te wątpliwości; u Kanta wynikło to z jego teoryi o umysłowej wiedzy, podług której wszelkie nasze pojęcia, a więc i pojęcie przyczyny nie pochodzą właściwie od przedmiotu i nie wyrażają przedmiotowo prawdy, ale tylko subjektywne prawo. Ale już przestarzeli i Hume i Kant. W ostatnich czasach stanęła znów zasada przyczynowości na pierwszorzędnem miejscu. Prawda, że moniści jej zakreślają ciasny obręb, uznają jedynie działalność mechanicznego ruchu, przyczynę jej widzą tylko w żywej sile i jej skutkom przypisują wszelkie zmiany w świecie. Ale nie obalają pierwszej podwaliny nauki, że „nic nie dzieje się bez dostatecznej przyczyny".

I słusznie; tej zasady domaga się zdrowy rozum. Jak tylko dziecko dojdzie do używania rozumu, zaczyna swoje nieskończone pytania: czemu to? zkąd to? przez które chce zrozumieć wszystko, co się dokoła dzieje. Ta zasada konieczna w życiu, tem bardziej w nauce, której niema inaczej. Cóżby to za nauka, n. p. przyrodnicza, która uwięzłaby w zjawiskach i rozróżniała ich odmiany a nie starała się ich oprzeć na właściwych przyczynach? W każdym kroku życia postępujemy z myślą i ukrytem przekonaniem o tej zasadzie. Niech lekarz bada chorego: czy zadowolni się, że pozna objawy słabości? Nie; stara się zrozumieć jej początek i przyczynę,

żeby do tego zastosować radę. Co tylko stanie się w sposób niezwykły, wznieca naszą ciekawość do pytań o powodach tego. Dla czego to? Bo nam widoczne, że każdy przypadek ma przyczynę dostateczną. Czy nie do rzeczy postępuje urzędnik w przypadku nagłej śmierci, kiedy szuka, kto jej winien i ze śladów wnosi o walce między zbrodniarzem a zabitym? Wątpić o tem najpierwszem prawie naszego myślenia, znaczy wątpić wogóle o swoim rozumie. Ale dodać jeszcze musimy słowo, żeby ogarnąć całą doniosłość zasady przyczynowości.

Co to właściwie znaczy: przyczyna? Przyczyna jest tem, co swojem działaniem przeprowadza jakieś jestestwo z nicości do bytu. To, co przez działanie przyczyny powstaje jest skutkiem. Działanie przyczyny jest czworakie; dla tego szkoła rozróżniała dawniej cztery rodzaje przyczyn [1]; pozwalam sobie na przykładzie wyjaśnić różnice między niemi. Stańmy w watykańskiem muzeum przed grupą Laokoona. Dwa główne pytania nasuwają się widzom na pierwsze spojrzenie: Co to? Czyja to rzeźba? Któż odpowie na pierwsze pytanie, że to jest marmur? Odpowiedź taka byłaby prawdziwą, ale niedokładną. Posąg jest z marmuru, ale nie jest bryłą bez formy żadnej, marmur jest tylko materyą, która zachowała się w całej swojej istocie i z wszystkiemi własnościami w posągu i nadała jemu swoją właściwą cechę. Oprócz tej materyi jest w posągu coś, bez czego nie byłby Laokoonem; tem jest forma. Ta oznaczona forma daje posągowi także swój byt i swe przymioty, bez niej mógłby być inny posąg, lecz nie Laokoon. Materya i forma są wewnętrznemi poniekąd przyczynami dzieła, sprawiają, że posąg jest tem, czem jest, tworzą go. Ztąd jedno nazywa się materyalną przyczyną, drugie formalną. Ich działalność polega na tem, że całym swoim bytem wpływają na powstanie czegoś nowego; materya i forma stanowią części całego dzieła. Ale jak dostała się ta forma tej materyi? Przez rzeźbiarza; ten dał materyi taką formę swoją pracą. Nie jest on wewnętrzną częścią posągu, jak materya i forma, ma byt osobny, swoją przemyślną pracą wytworzył dzieło, jest jego przyczyną sprawczą. A przecie posąg nie mało dostał od niego! W jego umyśle istniała pierwej cała forma jako

[1] Arystoteles. Metafizyka ks. I., r. 3.

wzór myślny, przyczyna pierwowzorowa, co prowadziła całą pracę. Posąg dostał od mistrza swoje przeznaczenie i zadanie (myśl dzieła), jak, w tym wypadku, przedstawienie kary, jaką zadaje bóstwo za zuchwałe wkraczanie w swoje zamiary. Każda cząsteczka posągu jest świadectwem niezwykłej zdolności rzeźbiarza, zdolnego wytworzyć arcydzieło za pomocą dłuta jako przyczyny narzędnej. A co pobudza mistrza do tworzenia dzieła? Nie wiemy. Ale przedstawiło się rzeźbiarzowi coś tak powabnego i pięknego, że pod jego wpływem przyłożył rękę do kamienia i stworzył arcydzieło. To dobro było celem, przyczyną celową, tem, co osiągnąć zamierzył mistrz, czy to sława, czy zysk czy cokolwiek innego. Spostrzegamy tu zapewnie, jak schodzą się różne przyczyny, zdolne udziału przy wywołaniu danego skutku tak, że każda ma swój sposób przyczyniania się do wydania dzieła.

Przy używaniu rozumu musimy koniecznie stosować się do praw myśli, a te zmuszają nas szukać we wszystkiem nie jakiejbądź tylko przyczyny ale dostatecznej. Czyż zwyczajnie niema i złych i dobrych skutków w każdej sprawie? i czy nie składamy tych szkód i tych pożytków na karb tego wszystkiego, co przyczyniło się do samej sprawy? Im piękniejsze dzieło, tem dzielniejszy sprawca, zdatniejsza materya, stosowniejsze narzędzia, wznioślejsze natchnienie; im dzieło gorsze, tem więcej ganimy sprawcę, jego narzędzia, materyę i t. d.

Ten nasz zwyczaj dowodzi, jak przejęliśmy się przekonaniem, że skutek nie ma w sobie nic, co nie pochodziłoby od przyczyny. Kto zastanawia się nad skutkiem, nigdy nie wpadnie na myśl, żeby do tego badać tylko część przyczyn. Niech inny kamień służy za materyał do posągu, posąg już przestanie być czem jest. Inny rzeźbiarz nie obrobi tak samo tego samego materyału; inna myśl w dziele zmieni je do niepoznania; inny cel inaczej przedstawi tę samą myśl; inne narzędzia nie zdołają przyczynić się do tej samej doskonałości w wykończeniu.

Na tem nie zatrzymujemy się i zastanawiając się nad naszemi najgłębszemi przekonaniami dochodzimy do drugiej zasady o własnościach przyczyny: co tylko przypisujemy skutkowi, to, przynajmniej

w równym stopniu, musimy przypisać przyczynie albo zbiorowi przyczyn. Bo cokolwiekby miał skutek, ponadto coby miała przyczyna, to już byłoby bez przyczyny. Więc pod żadnym względem niemożliwe w skutku, co przechodzi władzę i byt przyczyny.

Skutek może nie dorównywać przyczynie; i wielki mistrz może czasem coś lichego zrobić z najpiękniejszego marmuru. Ale nigdy nie może być coś doskonałego skutkiem lichej przyczyny. Ztąd wrodzona nam konieczność, z jaką musimy wnioskować o doskonałości przyczyny i doskonałości skutku.

Teraz już jesteśmy na drodze, po której rozum dochodzi do pewności o istnieniu Boga. Tę drogę określą bliżej jeszcze dwie uwagi o stosunku, w jakim znajduje się sprawcza przyczyna do materyału z jednej strony, a z drugiej do przyczyny celowej i do wzoru. W każdem działaniu, widzimy zawsze jakąś rzecz podlegającą wpływowi przyczyny sprawczej. Taka rzecz jest materyałem, działalność przyczyny sprawczej na nią tworzy w niej formę. Ztąd nasuwa się samo przez się pytanie: czy każda przyczyna sprawcza potrzebuje takiej istoty za przedmiot działania, na którymby wyraziła formę? Poszukajmy odpowiedzi. Rzeźbiarz, co tworzy posąg, koniecznie potrzebuje materyału i do tego stopnia od niego zależy w pracy swojej, że jemu w części zawdzięcza wartość swego dzieła; on zdoła tylko formę wyrazić na danej materyi, nie może ze siebie materyi wraz z formą wydać. Inaczej byłby zupełnie niezawisły w działaniu i tylko jego własna siła stanowiłaby o wszystkiem w dziele; konieczna potrzeba materyału i narzędzi dowodzi, że przyczyna sprawcza niemi związana. Przyczyna zupełnie niezawisła, nie skrępowana okolicznościami, nie potrzebuje do działania materyału, sama go wydaje razem z formą, tworzy uformowany materyał; i odwrotnie, dzieło wytworzone całkowicie przez przyczynę, w materyi i formie, nie z materyału tylko uformowanego przez przyczynę sprawczą, zmusza nas do wydania sądu, że utworzyła je niezawisła przyczyna. Jestto prawda sama przez się oczywista, udowodniona widocznym związkiem samych pojęć. Dawne szkoły jednym głosem uznawały ją[1].

[1] Św. Tom. *c. gent.* ks. 1, r. 16, n. 6, 7 i t. d.; *Conimbricenses* o fiz. Aryst. ks. 8, r. 2, pytanie 1; Suarez metafiz. *disp.* 20, *sect.* 1.

Sprawcza przyczyna zawiera w sobie dalej przyczyny celową i typową; o tem nie podobna wątpić, chociaż dzisiejsi materyaliści temu przeczą. Żadna przyczyna nie działa i nie skutkuje, dopokąd nie usposobi się do tego. Bo przyczyna, kiedy wywiera moc swoją, musi mieć do tego powód: nic nie działa i nie dzieje się przypadkiem, wszystko potrzebuje dostatecznej przyczyny; więc przyczyna musi mieć powód do wywierania wpływu swojego. Tym powodem nic nie może być, prócz własnego dobra, które osiąga przyczyna swojem działaniem, a znajduje je albo w samej działalności, albo w wyniku działania [1]. Takie dobro, pobudka do działania przyczyny, nazywa się celem, który przyczyna zamierza wykonać. Czemu twórca posągu Laokoona wolał pracę od bezczynności i zamiast spoczynku obrał wytężenie sił. Jakiś powód skłonił jego umysł do tego przedsięwzięcia; za środek do jakichś celów służyła jego praca: co przez nią zamyślał, to było celem działania. Cel w pracy rozumnej bywa dwojaki. Może być celem dzieła samo jego przeznaczenie, do którego stosuje twórca swój pomysł; i to jest cel przedmiotowy. Tak np.: wskazywać godziny jest celem zegarka i jego właściwem przeznaczeniem. Przy tym celu, wynikłym z przeznaczenia dzieła, może jego twórca mieć inny, który zamyśla spełnić używając pierwszego celu za środek; i to jest celem osobistym. Tak np.: zegarmistrz nie tak myśli o podawaniu godzin, jak o zarobku; uczciwy zysk jest celem osobistym. Czasem ten dwojaki wzgląd wydaje tylko jeden cel i rzeźbiarz w pracy swojej może właśnie zamierzać to, co jest przeznaczeniem samego dzieła. Tak łatwo można przypuścić, że twórca syxtyńskiej madonny nie miał innego zamiaru, jak to, co jest właściwem obrazu przeznaczeniem: okazać majestat Matki Boskiej.

A nawet widzimy, że nierozumne istoty nie działają bez celu. Ptak buduje gniazdo przemyślnie, jak najlepszy budowniczy, jak najstosowniej do przeznaczenia; a wszystkie ptaki jednego rodzaju tak samo budują, jakby wszystkie pracowały na jeden wzór. Czy to dzieje się przypadkiem? Czy to może prosty przypadek, że każda zięba właśnie tak buduje gniazdko, a nigdy inaczej? Więc nawet w nierozumnych istotach zdarza się widzieć pracę z celem,

[1] Św. Tom. *c. g.* ks. 3, r. 2.

tj. nadają swoim dziełom właściwe przeznaczenie. Nie mają jednak wrodzonej władzy poznawania celu, do którego przemyślnie dążą, nawet nie rozumieją, że ich praca zmierza do czego; więc musiały dostać od jakiej rozumnej istoty popęd do działania z celem, tj. zostały poddane pod prawidła działania celowego, przez istotę ogarniającą zadanie ich własnego bytu i przeznaczenie ich pracy. Nie zgodzić się na to, znaczyłoby tyle, co przyjąć za prawdę, że może być skutek bez przyczyny, świat pełen rozumnego porządku, jako skutek, a nierozumna istota jako przyczyna. Ztąd widzimy potrzebę wnoszenia o rozumnej przyczynie wszystkiego, co nosi na sobie znamię rozumnego tworu. Nie zawsze bezpośrednia przyczyna posiada rozum; w takim razie musimy wnosić, że po za szeregiem nierozumnych narzędzi, znajdziemy sprawcę rozumnego, bez którego nie mogłyby istnieć zjawiska, które spostrzegamy, choćby po najdłuższym szeregu bezpośrednich przyczyn, do pośredniej i pierwszej musimy dojść zawsze.

Ale działanie z celem wymaga także koniecznie przyczyny pierwowzorowej. Mechanik bierze się do budowania maszyny; ma przed oczyma cel swojej pracy, ale tego nie dosyć do jej wykonania: cel daje sprawczej przyczynie tylko popęd do działania, jeszcze jej brak prawidła, według którego urządziłaby swoją czynność stosownie do przeznaczenia dzieła. To prawidło daje wzór w myśli; ze świadomością celu powstaje w umyśle mechanika, obraz całej maszyny, tworzą się w umyśle pojedyńcze szczegóły, wyjaśniają się ich stosunki i określa się ich związek. Po wykończeniu dopiero tego obrazu zacząć się może praca. Tak cel pobudza do c z y n u przyczynę sprawczą, z niego rodzi się umysłowy obraz, według niego powstaje rozumne dzieło. Przyczyny nierozumne mogą pracować przemyślnie i osiągać cel pracy, choć nie mają świadomości wzoru; ale nie bez niego odbywa się ich praca. Ptak pewnie niema przy budowie swojego gniazdka myśli o wzorze tego dzieła, ale i to pewne, że gniazdo z jego pracy powstaje podług wzoru. Zkądby inaczej można podziwiać to bijące w oczy podobieństwo, w pracach różnych ptaków jednego rodzaju i w corocznej budowie gniazdka każdego z nich? Działa według stałego wzoru przyczyna bezpośrednia, a nierozumna: więc pośrednia przyczyna musiała przed sobą mieć ten wzór i do niego zwrócić nieświadome skłonności przyrody

nierozumnej. Ztąd to dzieło nietylko z celem, ale także podług pierwszego wzoru, choć ten pewnie nie snuje się jej w myśli, ale tak rządzi jej skłonnościami, że związek działań w nierozumnych istotach wykonuje ten wzór nieświadomie. Gdzie tylko widzimy przyczyny, których działanie jest bez poznania celu i wzoru, a bez wątpienia odpowiada celom i wzorom, tam mamy świadectwa o wyższej przyczynie, o początku całej przyrody, o źródle, z którego wszystkie twory, nawet nierozumne, dostały w udziele dążność do celu i naśladowanie wzoru, dążność konieczną, nazywaną wrodzonym popędem, wrodzonem poczuciem, wrodzoną siłą. Ta pierwsza przyczyna musi także znać wzór do naśladowania i zmierzać do celu; inaczej znów mielibyśmy skutek bez przyczyny, skutek wykonany według stałego wzoru, bez wzoru żadnego.

Jest to kilka myśli z obfitej nauki o przyczynie, badanej starannie i głęboko przez dawne szkoły [1]. Do tej podwaliny zasad wszelkiej nauki, wrócili także nowi filozofowie [2]. Dowodzi to, jak ta podwalina dotykalnie oczywista każdemu.

Zobaczmy teraz, jak dowody istnienia Boga przedstawiają się podług nauki św. Tomasza.

W dążeniu do znajomości Boga poczynamy zawsze od świata; drogą do tej znajomości jest przeświadczenie, że musi mieć przyczynę wszystko, co dzieje się i pierwiastek bytu, cokolwiek istnieje. Ale świat z rozmaitych względów zwraca na siebie naszą uwagę; dla tego dowód ten, który zwykle nazywa się kosmolitycznym rozmaitą może mieć osnowę.

Świat zwraca na siebie uwagę najprzód przez swój ruch: dla tego ruch jest pierwszą drogą co nas prowadzi do Boga, *prima et manifestior via*. Tą drogą szli Platon [3] i Arystoteles [4]; znał ją Au-

[1] Św. Tom. *c. g.*, ks. 3, r. 2, *Summa* 1, 2, pyt. 1, *de veritate* pyt. 3 i 8; Suarez: Metafiz. *disp.* 25; Leibnic: dzieła filoz., wyd. Endmanna, str. 106; Kleutgen: *Philos. der Vorz.* II. t. część VII., rozdz. III.

[2] Baer: Mowy 2 cz. Celowość w ustrojonych ciałach, Petersburg 1876; Paw. Janet: Przyczyny celowe ks. 1.

[3] Fedon.

[4] Metafizyka ks. XII., r. 7.

gustyn[1]; śladami św. Tomasza[2] szła nią scholastyka, wyrównała i ułatwiła ją zupełnie dla każdego, kto tylko umie myśleć. Wejdźmy na tę drogę.

Cokolwiek spostrzegamy na świecie, wszystko jest w ciągłym „ruchu", to jest w ciągłych zmianach. Tu widzimy ruch mechaniczny, tam pracę życia, wszędzie przejście z jednego stanu w drugi, cy było tylko możliwem przechodzi w rzeczywistość, *a potentia ad actum*. Najmniejsza cząsteczka, najbardziej znikoma drobina, wszystko to mogłoby przez tysiące lat spisywać dzieje swoich przemian, swojego ruchu, przypadków i kolei bez końca. Więc pewne, co św. Tomasz mówi: „*aliqua moventur in hoc mundo*", a słusznie mógłby nawet powiedzieć: „*omnia*"...

A nie mniej z drugiej strony pewne, że cokolwiek przechodzi w ruch, to swój stan zmienia przez działanie drugiej istoty. *Omne autem, quod movetur ab alio movetur*. I daje się zupełnie udowodnić to zdanie. Prawo przyczynowości stanowi podstawę oczywistej prawdy, że dostatecznej przyczyny potrzebuje każda zmiana, co spotyka jakiekolwiek jestestwo. Wszędzie zaś, gdzie jeden stan rzeczy przechodzi w inny, gdzie zdarza się jakabądź zmiana, tam coś musiało rozstrzygnąć przejście i zmianę, tam jakaś przyczyna stanowczo wpłynęła. Inaczej znaleźlibyśmy coś bez odpowiedniej przyczyny. Zkądże tedy ostatecznie pochodzi to działanie które sprawia zmianę? Pierwszą przyczyną nie może być nigdy rzecz sama zmienna, musi być coś od niej odrębnego. Różne sposoby indukcyi dowodzą tego. Mechaniczna praca w ciałach inaczej oczywiście nie może istnieć. Masa ciała fizycznego nie zdoła nigdy przejść z ruchu do spoczynku bez siły zewnątrz siebie; tak samo bez niej nie zmieni spoczynku w ruch, ani jednego stanu połączenia w drugi. Równie widoczną jest rzeczą, że chemiczne zmiany w przyrodzie ciał powstają tylko w skutek działania przyczyn zewnętrznych. To samo prawo rządzi także przyrodą

[1] Wyznania ks. 7., r. 17; o woln. wyborze ks. 2., r. 3—13.

[2] *Summa* cz. 1., pyt. 2., art. 3; *c. g.* ks. I., r. 13: *in metaph. lect.* 6., 7; Szkot: ks. I., dyst. 8., pyt. 5.; *Conimbr.: in Phys.* ks. 8., r. 6., pyt. 1., a. 3.; Suar: *metaph., disp.* 29, *s.* 1.; Maurus: filoz. tom 4., cz. 2., p. 8.

w pracy życia. Żywy ustrój ma w sobie tylko zdolność do pracy którą odbywa wewnątrz siebie; ale ta zdolność nie jest pierwszym początkiem przemian wewnętrznych, nie jest ich dostatecznym powodem; musi dostać popęd i zasiłek do działania.

W roślinnem życiu jest to zupełnie widoczne. Prawda, że roślina ma zdolność do pracy we własnych przemianach, do samodzielności w swoim rozwoju i wzroście; ale wiele zewnętrznych wpływów sprawia, że używa swojej zdolności; światło i ciepło, powietrze i wilgoć, ziemia i kruszce w niej skutecznie przyczyniają się do przysposobienia zdolności rośliny i wywołują ich pracę przy rozwoju, wzroście i dojrzewaniu nasienia.

Czy inaczej się rzecz ma w zmysłowem życiu zwierząt? Zupełnie dzieje się to samo. Pewnie, zwierzęta zdołają odprawiać wewnętrzne prace, ale potrzebują popędu, żeby tej zdolności skutecznie używać, a przy tem zależą od zewnętrznych przyczyn. Dla czego raz jest bezczynna, drugi raz działa? Przecie nie bez przyczyny. Wrażenie, uczucie, rozbudza wewnętrzną zdolność i daje jej popęd. Ale nie podobno zwierzęciu doznać wrażenia, ani uczucia bez podniecającego z zewnątrz przedmiotu.

Ani w duchowem życiu po nad zmysłami, nie ma żadnej zmiany bez wpływu przyczyny, coby działała z zewnątrz. Każdą myśl, jaką w umyśle wytwarzamy, winniśmy wrodzonemu popędowi do prawdy; każde postanowienie, na jakie wolą zdobywamy się, mamy z naszej skłonności do dobrego. Więc możemy odbywać pracę duchową, wrodzonej zdolności do tego możemy użyć; ale żeby zastosować nasze zdolności do czynu musielibyśmy mieć wrodzoną zależność od prawdy i dobrego.

Wiele w nas i przy nas jest rozmaitych prawd i tak samo wiele rozmaitych dóbr; ale nie ma w nas samych przyczyny, żeby każda szczególna prawda prawdą właśnie była a dobro dobrem. Nie od nas zależy prawda i dobro, nie tworzymy ich; przeciwnie sami od prawdy i dobra zależymy. Tylko ten umysł, co w sobie wszystko poznaje, nie potrzebuje przechodzić z myśli do myśli i dla tego nie podlega zmianom; także wola nie może podlegać różnym wpływom ani zmieniać się, kiedy widzi w sobie wszelkie dobro i nic nie kocha oprócz siebie ani nie pragnie nic więcej, bo niezależna od niczego, niczego nie potrzebuje. Dla tego przeciwnie, każda zmiana

myśli, każda różnica życzeń i przedsięwzięć bez wątpienia dowodzi, że umysł potrzebuje z zewnątrz poruszenia, żeby wyjść z bezczynności; *ab alio movetur omne, quod movetur*. To wszystko jest także widoczne z innego względu. Wiecznie i niezmiennie prawdziwą jest każda prawda, jakkolwiekbądź zmienny i znikomy jej przedmiot; jakkolwiekbądź nikłe i znikome dobro pragniemy otrzymać, zawsze ten pierwiastek dobroci, który rozstrzyga nasz obór, jest niezmienny i wieczny. Ztąd najoczywiściej wynika, że u nas rozum i wola potrzebują do działania impulsu, który daje właściwie tylko wieczna prawda, prawda bezwzględna, dobro wieczne i bezwzględne, odzwierciedlone w znikomym przedmiocie, w których uczestniczy, co nas porusza. Ale wieczna prawda i wieczne dobro nie istnieje w nas jak w niczem na świecie; więc bądź cobądź zewnątrz siebie szukać musimy wiecznej prawdy i wiecznego dobra[1]. Tak samo pewne w duchowem życiu nawet, że zewnętrzne mają źródło zmiany w naszych myślach i działaniach woli. Więc nie da się zaprzeczyć zdanie powszechne że „wszystko co rusza się, z zewnątrz poruszenia potrzebuje". *Omne, quod movetur, ab alio movetur,*

[1] Św. Augustyn i późniejsze szkoły, a przedtem już Arystoteles, umieli tę myśl dalej prowadzić. Czy wieczna prawda i wieczne dobro, mogłyby nie mieć samoistnej rzeczywistości? Miałoby to być tylko oderwane pojęcie, albo subjektywne prawo kantowskie? Przyjąć to wszystko, znaczy pogrążyć się w przepaść wątpliwości. Mrzonką bez rzeczywistości ma być wieczna prawda, umysłowa dźwignia całej dążności do poznania prawdy: więc musimy uważać za mrzonkę, każdą pojedyńczą prawdę. Urojeniem ma być bezwzględne dobro, które w pojedynczych dobrach podnieca nasze pragnienia: zkądże więc cokolwiek dobrego może mieć w sobie siłę do poruszenia naszej woli? co może zasłużyć na naszą miłość? Nietylko pojedyńcze prawdy poznajemy, sądzimy także o nich, a to podług zakonu wiecznego i niezmiennego. Więc prawdy nietylko istnieją wiecznie, niezmiennie, ale i łączą się trybem wiecznym i niezmiennym. Panują nad nami z nieunikioną koniecznością. Ale musi mieć jakieś źródło ta potęga prawdy, źródło dostateczne do tego, żeby wyjaśnić jej wieczność, niezmienność i tę żelazną konieczność, z jaką nakłada umysłowi prawa. Tego źródła nie ma w pojęciu oderwanem. Szukać go w illuzyi umysłowej, byłoby tylko spychać pytanie na inne pole, bo zkądby powstała taka wieczna illuzya, na którą burzy się nasza namiętna miłość swobody. Więc potrzeba istoty rzeczywistej, wiecznej, koniecznej, na której się opiera wszelka prawda, od której zupełnie zależy nasz umysł, stworzony dla prawdy. Tem źródłem wszelkiej prawdy jest Bóg, Prawda wieczna. Później wrócimy do tej uwagi, żeby pokazać, jak w Bogu zawiera się istota prawdy, jej podwalina i zakon jej poznawania.

A teraz znów przychodzi pytanie, czy najbliższa przyczyna ruchu w drugiej istocie także podlega zmianie? Może podlegać, ale to to tylko zwleka ostateczną odpowiedź i pociąga za sobą nowe pytania o przyczynę, aż dojdzie się do pierwszego źródła ruchu, do pierwszej przyczyny, co ruch sprawić zdoła, ale sama nie może być od niczego poruszoną. Inaczej musielibyśmy błądzić w nieskończonym szeregu przyczyn, z których każda zmienna a nie ma w nich żadnej, coby od niczego nie zależała i pierwsza sprawiała ruch. Taki zaś szereg jest niedorzeczny: bo gdzie niema pierwszej przyczyny, tam niema także drugiej i trzeciej i żadnej następnej, bo te wszystkie nie mogą wywierać żadnego skutku i sprawiać zmiany, jeżeli nie są pod wpływem pierwszej. Więc trzeba w rzędzie przyczyn dojść do pierwszej, źródła wszelkich zmian, chociaż w sobie samem niezmiennego.

A tę niepodległą i pierwszą przyczynę nazywamy Bogiem; *ergo necesse est devenire ad aliquod primum movens, quod a nullo movetur, et hoc omnes intelligunt Deum.* Ale zkąd tę istotę uważamy za Boga? Otóż mamy Istotę, co nie ulega żadnej zmianie, nie przechodzi ze stanu jednego w drugi i dla tego nie może udoskonalić się, dla tego nie ma ani początku ani końca, musi być bezwzględną doskonałością, bo zmiennem i nikłem jest wszystko, co zawiera się między niczem a nieskończoną doskonałością. Taka bezwzględna pełność wszelkiej doskonałości nosi imię „Bóg".

Metafizyczną pewność mamy o każdem zdaniu w przebiegu dowodu, który tu podaliśmy; siły swojej nie czerpie z wiedzy doświadczalnej i nie zależy od zdobyczy naukowych. Zasługuje on na pierwsze miejsce między wszystkimi dowodami, choć średniowieczne szkoły ubrały go niepokaźnie. On zbija, zwalcza poglądy i wywody panteistyczne, burzy zasadę nauki o bezwzględnym bycie, co się zawsze rozwija, z niczego się wydobywa własnemi siłami i znów w nicość wpada, co zawsze postępuje i wydoskonala się i mieć nieskończonej doskonałości nigdy nie może, co cierpi katusze bytu, jakiemi nawet poganie nie obarczają bóstwa. (C. d. n.)

X. Antoni Langer.

PRZEGLĄD PIŚMIENNICTWA.

Rozprawy i sprawozdania z posiedzeń wydziału historyczno-filozoficznego Akademii Umiejętności. Tom XVII. str. 406. XXIX. w 8-ce.

Obok pomnikowych wydawnictw źródeł i cennych monografij historycznych, wydaje Akademia krakowska co roku spory tom pomniejszych rozpraw, pisanych zarówno przez wytrawnych pisarzy, jak i przez młodzież, która na polu badań historycznych pierwsze stawia kroki. Na tom XVII. tej publikacyi złożyli się przeważnie młodzi adepci Kliony i bez przesady przyznać im musimy, iż się dobrze dla nauki zasłużyli, tworząc tak kształtne cegiełki, z których kiedyś wytrawniejsza ręka wspaniały wzniesie gmach. Oprócz pracy prof. Zolla z zakresu prawa rzymskiego, znajdujemy w tym tomie 9 rozpraw historycznych, o których po kolei zdamy sprawę:

Pan **Józef Wolff** oparł się w sumiennej swej pracy: „**O kniaziach Kobryńskich**“ przeważnie na niezużytkowanych jeszcze dokumentach z Metryki litewskiej, i odtworzył historyę rodziny na zupełną skazanej niepamięć a nawet przez najznakomitszych heraldyków naszych całkiem pomijanej. Rezultaty zdobyte w tej pracy przez p. Wolffa streszczone są w dodatkowych uwagach, napisanych przez p. Radzimińskiego i w tym samym tomie „Rozpraw“ wydanych. Wielka szkoda, że szanowny autor nie dołączył tablicy genealogicznej, którąby ułatwiła czytelnikowi zoryentowanie się w tej pracy, przepełnionej samemi imionami i nazwiskami.

Ulanowski Bolesław: O dacie przywileju Bolesława mazowieckiego rzekomo z r. 1278, wydanego dla klasztoru w Jeżowie (str. 64—91). Nie jesteśmy tak szczęśliwymi, jak Węgrzy, których dokumenta przysparzają badaczowi nieocenionej wartości szcze-

góły do historyi politycznej. Nasze akta nawet w najważniejszych chwilach dziejowych wydane, nie rozpisują się o zasługach osób, dla których zostały sporządzone, ale zbywają je ogólnikami jak *merita, fidelia servitia etc.* Dokument, w którym opisanem jest jakieś zdarzenie dziejowe, należy do białych kruków. Takim też jest przywilej Bolesława mazowieckiego, znany już wprawdzie Długoszowi, ale dopiero w kodeksie dyplomatycznym Rzyszczewskiego i Muczkowskiego po raz pierwszy z oryginału wydany a przed kilku laty w kod. wielkop. powtórzony. Ani Długosz, ani Naruszewicz, ani też wydawcy powyższych kodeksów nie ważyli się naruszyć powagi tego dokumentu; dopiero Świeżawski (Niwa 1875, str. 316) poprawia datę jego na 1288, chociaż zmiany tej żadnymi nie popiera dowodami. P. Ulanowski wykazuje w sposób zupełnie przekonywujący, że data 1278 jest mylną i nieprawdziwą (chociaż najwyraźniej słowami a nie liczbami jest wypisaną), albowiem osoby w tym dokumencie występujące nie mogły w tym roku takiej odgrywać roli, w jakiej ich przedstawia zapiska w tym przywileju zawarta. Ponieważ jednak dokument ten, chociaż mylną opatrzony jest datą, nie zdradza żadnych cech sfałszowania a głównem wydarzeniem w nim wzmiankowanem jest walka Bolesława mazowieckiego i Władysława Łokietka z Henrykiem ks. głogowskim, stara się autor oznaczyć chronologię tego wydarzenia, aby na tej podstawie uzyskać prawdziwą datę przywileju. Za pomocą dokładnej analizy źródeł, w których znajdują się wzmianki o tych zatargach, wywnioskował autor, że walka między tymi książętami wrzała w roku 1297 a dokument nasz wydany został w r. 1298. Trudno nam orzec, czy rezultat ten ostałby się, gdyby szanowny autor postarawszy się o oryginał zbadał wszystkie części składowe, z których dokument ten został ułożony pod względem paleograficznym i dyplomatycznym z taką samą sumiennością, z jaką rozpatrywał treść zapiski historycznej w dokumencie tym przechowanej. Takie badanie wyjaśniłoby nam może dziwny zaiste fakt, że dokument pod pieczęcią książęcą wydany tak mylną opatrzony został datą. Pozwolimy sobie jeszcze zwrócić uwagę autora na dwie pomyłki, które się wkradły do cennej jego pracy. Na str. 70 twierdzi autor, że Gertruda, córka Henryka Brodatego zaręczoną została Bolesławowi, starszemu synowi Konrada ks. mazowieckiego, który w r. 1247 umarł nie zawarłszy

z nią związku małżeńskiego. Przeciw temu twierdzeniu przemawia najwyraźniej *Vita s. Hedvigis* (Ms. IV. 649) „*Gertrudis nupsit Boleslao duci Masoviensi sed liberis caruit*“. Mylnem jest także twierdzenie autora (na str. 81), że w procesie Polski z Krzyżakami z r. 1339 występywał jako świadek biskup poznański Jan Doliwa. Biskup ten umarł bowiem w r. 1335, (por. MP. II. 916), a następcą jego był Jan Łodzia, który w r. 1335 zasiadł na stolicy biskupiej i piastował urząd pasterski aż do r. 1346. Mógł więc Caro i Hirsch przypuszczać, że biskup ten był w roku 1306 (a nie 1297) „*in minoribus constitutus*“.

Ulanowski Bolesław: Przyczynek do dziejów Pawła z Przemankowa (str. 92—118). Recenzyę tej pracy znajdzie czytelnik w *Przeglądzie powszechnym* z r. 1884, tom II., str. 125—127. Powiedzieliśmy wtedy, że biskup Paweł z Przem. nie był tak czarnym, jak go Długosz odmalawał, t. j. nie był zdrajcą i podajemy dowody na to.

Nie uwzględniając współczesnych dziejów, chcemy zwrócić uwagę czytelnika na sprzeczność, jaka zachodzi w źródłach współczesnych i pochodnych w tych ustępach, które odnoszą się do osobyPawła z Przemankowa. W r. 1266, po śmierci świątobliwego Prandoty, którego Kościół w poczet błogosławionych policzył, wybrała kapituła przez arbitrów (do których należał także zacny i uczony kanonik Gerard, znany z niestrudzonych zabiegów czynionych w sprawie kanonizacyi św. Stanisława), Pawła z Przemankowa biskupem krakowskim. Radość była wielka z tego wyboru, nietylko między duchowieństwem, ale i ludność miasta święciła w uroczysty sposób dzień konsekracyi nowego biskupa. W tym samym roku przybył do Polski legat papieski Guido, który poznawszy przymioty Pawła obdarzał go większymi względami (chociaż był dopiero elektem), aniżeli arcybiskupa gnieźnieńskiego i innych biskupów polskich. Tak opowiada współczesny rocznik kapitulny, po r. 1266. Nie mamy żadnego powodu nie wierzyć, że wybór padł na najgodniejszego z pomiędzy kanoników, bo jakiż musielibyśmy wydać sąd o wyborcach, którzy się dobrowolnie poddali władzy niegodnego biskupa? Pod r. 1271 wspomina to samo źródło o jakimś sporze między biskupem a książęcą parą, który za pośrednictwem dwóch kanoników załagodzony został. Bliższych szczegółów rocznik nie podaje, dlatego żadnych nieko-

rzystnych dla biskupa podejrzeń z tej lakonicznej zapiski wysnuwać nie można.

Autor rocznika Traski nadzwyczajną żywi cześć ku Leszkowi Czarnemu, nazywa go „vir piissimus“, a nawet „vir sanctus“ (p. r. 1285). Nic dziwnego, że potępia wszystkich, którzy inaczej aniżeli on osądzili księcia swego. A jednak i to źródło podaje tylko jeden pozytywny fakt, mogący choć w części usprawiedliwić niekorzystny sąd o tym biskupie *(Ipso anno (1273) quidam milites Cracovienses processerant ad ducem Opoliensem Wladislaum cum tota potentia sua de consilio episcopi Pauli Cracoviae)*; drugi zaś niekorzystny dla Pawła fakt podaje on w formie pogłoski *imponebatur enim eidem, quod ipso procurante fuisset facta strages in Lublin (scil. per Lithuanos)*. Pod r. 1283 wspomina ten rocznik o uwięzieniu biskupa, ale nie podaje żadnego szczegółu na korzyść lub niekorzyść jego. Oto wszystko, co się z współczesnych źródeł dowiadujemy o Pawle za panowania Bolesława i Leszka. Rocznik świętokrzyski powstał, jak p. Ulanowski dowodzi, przy końcu XIV. w., katalog zaś biskupów krakowskich dopiero w połowie XV. stulecia. Oba te źródła opowiadają o Pawle na podstawie reminiscencyi i tradycyi a szczegóły tego opowiadania znane nam są także z Długosza, który się głównie na tych źródłach oparł. A jednak między jednem a drugiem źródłem zasadnicza istnieje różnica. Rocznik świętokrzyski nietylko żadnego nie czyni biskupowi zarzutu, ale piętnuje tych, którzy mu krzywdę wyrządzili mianem „accusatores seu malefactores“, „mali nobiles“. Katalog zaś zarzuca mu pożycie z konkubiną, symonię i zdradę stanu; szczegóły te przeszły do dzieła Długosza, który winę biskupa w trójnasób powiększył, chronologicznie uporządkował, a poplątawszy zmyślenia z faktami prawdziwymi, nadał tamtym tyle pozorów prawdy, że się aż do naszych czasów nikt nie ważył zaprzeczyć takowym. Pan Ulanowski ciekawą podał nam próbkę, w jaki sposób Długosz kombinuje niewinną zapiskę w roczniku kapitulnym z katalogiem biskupów krak. i roczn. świętokrzyskim. Przykład ten nie świadczy korzystnie o krytycznym zmyśle naszego historyka. Pójdźmy dalej. O wyborze Pawła na stolicę biskupią, podaje Długosz p. r. 1266 gołosłowną wiadomość na podstawie rocznika kapitulnego i katalogu; opuszcza jednak z rocznika wszystkie te szczegóły, któreśmy powyżej przy-

toczyli, a które w bardzo korzystnem świetle przedstawiają postać Pawła potępioną przez Długosza. Pod rokiem 1273 snuje Długosz na podstawie rocznika Traski opowiadanie o rokoszu szlachty krakowskiej i sandomierskiej przeciw Bolesławowi. Historya dopiero orzeknie, czy wszyscy, którzy w tym rokoszu udział brali, zasługują na miano zdrajców, czy nie było głębszych motywów, aniżeli te, które Długosz wyrozumował. Nie omieszkał on jednak skorzystać ze sposobności, aby do zarzutów p. r. 1271 wyliczonych, dodać nowe zbrodnie, które nie mają dosyć podstawy w spisanem źródle. Zbigniew, syn Władysława Hermana posłużył mu za model do skreślenia charakterystyki Pawła; jeden i drugi tajemne ma schadzki z ludźmi trudniącymi się zdzierstwem i kradzieżą, z winowajcami potępionymi w sądach za zbrodnie i długi (por. Dług. pod r. 1096). Pod rokiem 1282 opowiada Długosz zgodnie z rocznikiem Traski o rokoszu szlachty sandomierskiej przeciw Leszkowi. Mimo milczenie tego rocznika, stawia on Pawła znowu na czele rokoszu, chociaż z dokumentów wynika, że Paweł najspokojniej przebywał w Krakowie a drugi jego wspólnik Janusz, wojewoda sandomierski zamiast dźwigać kajdany, gromi w tym samym roku Litwinów. Ale najciekawszy przekład zmysłu kombinacyjnego Długosza znajdziemy pod r. 1285. W tym roku uknuła szlachta krakowska i sandomierska nowy rokosz przeciw Leszkowi. I znowu Paweł stoi na czele rokoszan. Pomijając fakt, że dygnitarstwa jakie przewódzcy buntu, według Długosza, dzierżyli, z mylnych zaczerpnął on wykazów, (o czem się łatwo przekonać można, z sporządzonego przez Dra. Piekosińskiego wykazu urzędników w kodeksie małopolskim i katedry krakowskiej); pomijamy także fakt, że główny przewódzca rokoszu tego Otton wojewoda sandomierski nie jest Długoszowi znanym, i że dzień bitwy pod Bogucicami stoczonej mylnie jest w jego dziele podanym; przytaczamy z Długosza tylko te szczegóły, które się do osoby biskupa odnoszą, a które uzyskały prawo obywatelstwa we wszystkich opracowaniach i podręcznikach dziejów naszych. Według Długosza, był Paweł sprężyną tego ruchu, głównym doradzcą spiskowców, był mścicielem krzywdy wyrządzonej mu przez Leszka w r. 1283. On to uknuł w Sandomierzu ten spisek, on doradzał Konradowi, aby pod Kraków wyruszył. Gdyby historyk nasz znał był dokument ugody biskupa z Leszkiem zawartej z r. 1284, nie

mógłby był wplatać Pawła w tę sprawę, gdyż uraza jaką czuł biskup w swem sercu przeciw Leszkowi, usuniętą została tym aktem w sposób bardzo dla biskupa korzystny. Ponieważ jednak dokumentu tego nie miał, lub mieć go nie chciał, a każdy gwałt gwałtem zwykł odpłacać, nic dziwnego, że się każe biskupowi mścić za więzienie z r. 1283. A jednak musimy uznać stanowczo całe to opowiadanie jako nieuzasadniony domysł Długosza. Nietylko bowiem źródła współczesne, nawet nieprzychylny biskupowi autor rocznika Traski o współudziale Pawła w tym rokoszu nic nie wspominają, ale sprzeciwia się temu dokument, wydany przez Leszka, kilkanaście dni po bitwie pod Bogucicami (Piekosiński, kod. Małop., str. 130). Czyż można przypuścić, aby Paweł jako zdrajca ojczyzny i nieprzebłagany wróg księcia w kilkanaście dni po nieudanym rokoszu przybywał w otoczeniu Leszka i podpisywał dokument potępiający zdrajców a nagradzający wiernego księciu rycerza Stanisława z Chrobrza, podczas gdy inni rokoszanie i urzędy i dobra postradali (por. ibid., str. 131). Czyż godność biskupia mogła była uwolnić Pawła od kary, jaka spotkała Ottona, głównego przewódzcy tego rokoszu „*in correctionem nefandi sceleris et crimen lesae majestatis*“ (ibid). Tak na mocy ustaw krajowych, jak i na podstawie prawa kościelnego musiałaby nań spaść zasłużona kara, gdyby spełnił zbrodnię stanu, gdyby się łączył z pogaństwem, lub gdyby żył w konkubinacie [1].

Mimo więc zbrodni zarzucanych biskupowi przez autora Katalogu a uzupełnionych dowolnie przez Długosza, nietylko że go żadna nie spotkała kara kościelna, ale gdy z nieznanych bliżej powodów w r. 1283 został uwięziony, władza kościelna wystąpiła w jego obronie (Piekosiński, kod. kat. krk. str. 114) a obłożony klątwą Leszek, nietylko uwolnił biskupa, ale hojnie wynagrodził go za krzywdę jaką mu wyrządził.

---

[1] Excommunicati sunt, qui cum Sarracenis aliquod habent commercium vel eis praestant subsidium, ustanawia prawo kościelne. Synod wrocławski z r. 1248, którego uchwały potwierdzone zostały przez papieża Urbana IV. w r. 1263, tak orzeka o tych zdrajcach: Excommunicamus et anathematisamus omnes illos, etiam si principes fuerint vel magnates, qui de cetero contra christianos invocabunt auxilium paganorum vel eis stipendia ministrabunt (por. Helcel: Starod. prawa pols. pomniki I. 358. Taka sama kara „ipso facto“ naznaczoną była na duchownych żyjących w konkubinacie, itd. str. 384).

Kiedy wspomnieliśmy o tej bulli, musimy jeszcze raz rozprawić się z p. Ulanowskim, który niezbyt wielką wartość przypisuje szczegółom w niej zawartym. Twierdzi on, że część narracyjna pisma papieskiego napisaną została na podstawie sprawozdania przesłanego do Rzymu przez przyjaźnych biskupowi duchownych, w którem Leszek przedstawiony jest jako Judasz całujący przed zdradą Chrystusa, Paweł z Przemankowa zaś z konieczności w obec tego porównania gra rolę Jezusa; i że sam papież nie był całkiem przekonany o prawdziwości tej relacyi. Zdaje nam się jednak, że taka interpretacya bulli jest mylną. Bulla opisuje w następujący sposób uwięzienie Pawła: Powziąwszy niecny zamiar uwięzienia biskupa zaprosił go książe na zjazd, przyjął go na pozór mile, potem kazał go pochwycić, okuć w kajdany i zawieść do Sieradza, gdzie się z nim srogo obchodzono. Słowa, które potem następują *si consonent facta relatibus* (sic) są zwykłym w bullach zwrotem, i oznaczają nie tyle powątpiewanie, jak raczej zdumienie, że gwałt taki mógł zostać popełnionym przez księcia, który się nietylko targnął na osobę biskupa i jego majątek, ale także na własność Kościoła i sług jego. Przypuściwszy nawet, że sprawozdanie to pochodziło od przychylnych biskupowi duchownych, czyż mógł papież wysyłać do Polski bullę, w którejby najważniejszy fakt, t. j. uwięzienie biskupa fałszywie było przedstawione a któreby jeszcze więcej kompromitowało biskupa i jego zwolenników, gdyż zmuszałaby księcia do zaprzeczenia faktom w bulli przytoczonym. Jeżeli dwa szczegóły podane w bulli (okucie w kajdany i zawiezienie do Sieradza) zgadzają się z Rocznikiem Traski, możemy wierzyć i tym szczegółom, których wiarogodność innemi współczesnemi źródłami udowodnioną być nie może. Jeśliśmy czytelnika zdołali przekonać, że wszystkie prawie ujemne rysy w charakterze Pawła z Przemankowa albo w niewiarogodnych zawierają się źródłach, albo wprost są zmyślone, jeżeli głowa Kościoła zamiast usunąć bezbożnego biskupa rzuca grom klątwy na księcia, zapytać się możemy, gdzie winowajca? czy biskup zohydzony przez potomność, czy Leszek, potępiany przez współczesnych, skoro co roku prawie pierwsi dygnitarze ziemi krakowskiej i sandomierskiej, a nieraz całe księstwa wzgardzają jego rządami, (por. dokument z r. 1285 w Piekosińskiego kodeksie małopolskim str. 130: *quod cum quidam barones et milites nostri terrae Craco-*

viae et Sandomiriae quasi omnes nos ducem suum spreverunt...) Odpowiedź niestanowczą wprawdzie ale bardzo wymowną znajdujemy w spomnianych już nieraz dwóch dokumentach, zawierających ugodę między Leszkiem i biskupem z r. 1284 i 1286 (Piekosiński kod. kat. krak., str. 116 i 120). Z dokumentów tych wynika, że stroną pokrzywdzoną był biskup a nie książę. Nadając Pawłowi rozległe dobra i olbrzymią kwotę 6000 grzywien (którą później biskup na 3000 zniżył) przyrzeka Leszek, że przywilejów nadanych biskupowi i kościołowi krakowskiemu naruszać nie będzie, że biskupa i kościół jemu podległy po synowsku czcić i szanować będzie. Tak nie zwykli nagradzać zwycięzcy książęta zdrajców, cudzołożników i towarzyszów zbiegów więziennych. Sądzę przeto, że dopóki rządy Leszka na podstawie nowych i wiarogodnych źródeł nie zostaną rozjaśnione, powinna historya uwolnić Pawła z Przemankowa od ciężkich zarzutów, czynionych mu na podstawie późnych i niewiarogodnych relacyj.

Kwiatkowski Saturnin: Urzędnicy kancelaryjni, koronni i dworscy z czasów Władysława III. Warneńczyka 1434—1444 (str. 118—220). Autor tej pracy poświęca się już od kilku lat sumiennym badaniom nad dziejami Warneńczyka; zawdzięczamy mu już mozolną pracę, w której wykazane są na podstawie dokumentów w chronologicznym porządku wszystkie miejscowości, w których król ten przebywał (Itinerarium Władysława W. — Lwów 1879) oraz gruntowną monografię p. t.: Wyprawa Władysława Warn. na Węgry. W niniejszej pracy wylicza autor najpierw urzędników polskich, kancelaryjnych, koronnych i dworskich, następnie urzędników Władysława węgierskich a w końcu podaje spis urzędników kancelaryjnych i dworskich W. księstwa litewskiego i księstwa mazowieckiego. W rozprawie tej nie zdobył autor dla dyplomatyki polskiej doniosłych rezultatów, mimo to praca ta jest z tego względu bardzo pożyteczną, że autor zgromadził w niej prawie wszystkie dokumenta, które wyszły z kancelaryi królewskiej; nie ograniczył się tylko na źródła drukiem ogłoszone, ale też sporą zebrał wiązankę zapisek archiwalnych. Za zasługę też poczytać należy autorowi, że nietylko z aktów urzędowych, ale także ze wszystkich dostępnych dlań źródeł współczesnych nagromadził szczegóły, odnoszące się do urzędników polskich, i skreślił na tej podstawie krótkie ale wyczer-

pujące ich życiorysy. Nie potrzebujemy dodawać, że rozporządzając tak obfitym zasobem źródeł, nietrudną było dla autora rzeczą sprostować wiele szczegółów, przedstawionych mylnie w dziele Długosza i późniejszych historyków.

Kudelka Ferdynand: Bitwa pod Lubieszowem w dniu 17-go kwietnia 1577 (str. 221—251). Ciekawą tą rozprawką z wielką napisaną werwą uczynił nam p. Kudelka wielką niespodziankę. Sądziliśmy, że autor skreśli straszny obraz wojny, że nas zgrozą przejmie huk armat, szczęk broni, krzyki wojujących i jęki rannych; i przyznajemy, żeśmy z góry powątpiewali, czy opowiadanie autora dorówna tylu świetnym opisom walk w dziełach naszych historyków, w których wiele jest barwy i życia obok zupełnej nieznajomości głównych zasad taktyki wojennej. Ale właśnie na tem nietkniętem przez nikogo polu porusza się autor z wielką swobodą. Zbadawszy gruntownie przebieg największych bitew stoczonych przez Polaków i organizacyę wojskową w Polsce i w Niemczech, przedstawia nam autor walki między wojskiem polskiem a niemieckiem ze stanowiska strategika. Badania te przekonały go, że wszystkie charakterystyczne znamiona dzisiejszej tak zwanej nowej sztuki wojennej „były duszą sposobu wojowania narodu polskiego", i że dzisiejszą taktyka wojenna jest jakby żywcem wziętą z taktyki, którą przed wiekami uważano jako *„regellose sarmatische unordentliche Kriegführung"*. Twierdzenie to uzasadnia autor opisem przebiegu bitwy pod Lubieszowem, w której 12000 Gdańszczan i zaciężników niemieckich podjęło walkę z dwutysięczną garstką wojska polskiego. Niemcy byli tak pewni zwycięstwa, że zabrali z sobą powrozy, którymi mieli krępować jeńców polskich a dowódzca niemiecki wysyłając kapitana swego na zwiady, kazał mu się spieszyć, aby Polacy nie uciekli przed wykonaniem jego manewru. A jednak wojsko to sześćkroć liczniejsze poniosło zupełną klęskę. Nie szczęściu wojennemu, nie umiejętnemu kierownictwu zawdzięczali Polacy to zwycięstwo, ale znakomitej swej taktyce wojennej. „Było to zwycięstwo młodej jeszcze praktyki nad starą teoryą, zwycięstwo żywego zapału nad martwą masą, zaczepki nad obroną, zwycięstwo pojedynczych myślących osobników nad machiną ślepo posłuszną, automatycznie pracującą, zwycięstwo nieregularnej, ale systematycznej polskiej i węgierskiej taktyki nad niemiecką dokładnością i tak zwanym porząd-

kiem; tryumf dzielnej prostoty chłopskiego rozumu nad sztucznouczoną kombinacyą". Teren, na którym się krwawa ta scena rozgrywała, tak plastycznie został przedstawiony, ruchy taktyczne obu wojsk z tak drobiazgową dokładnością i żywością zostały skreślone, a załączone plany tak umiejętnie wykonane, że ani na chwilę wątpić niemożna, iż autorem tej pracy jest bardzo wykształcony wojskowy, który się dobrze zasłuży nauce, jeśli obdarzy naszą ubogą literaturę wojskową zapowiedzianem w tej pracy dziełem, opisującem najważniejsze bitwy stoczone przez rycerstwo polskie.

Ulanowski Bol.: Kilka słów o małżonkach Przemysława II. (str. 252—274). Autor udowodnił w sposób zupełnie przekonywujący, że Przemysław II. mąż Ludgardy, księżniczki meklemburskiej a następnie Ryxy, królewnej szwedzkiej ożenił się po raz trzeci z Małgorzatą córką Albrechta margr. brandenburskiego. O tem trzeciem małżeństwie żaden historyk dotychczas nie wiedział; kto zaś wie, jak wielkie znaczenie miały ówczesne małżeństwa między książętami zawierane, potrafi ocenić wartość rezultatu, zdobytego dla naszych dziejów przez p. Ulanowskiego. W pracy tej poruszył jednak szanowny autor kwestyę, nad którą się warto zastanowić. Wdzięczne to dla badacza zadanie, wykreślać z dziejów fałszywe i krzywdzące sądy, które przez całe wieki jakby zmora ciężyły na niektórych bohaterach, a nawet w sercach i ustach ludu żywo utkwiły. Aby taki sąd stłumić, potrzeba się oprzeć na bardzo pozytywnych dowodach a nie na przypuszczeniach, wysnutych z motywów psychologicznych. Podanie, przypisujące Przemysławowi zamordowanie Ludgardy uważa autor jako wieść fałszywą, fantazyą ludową upiększoną; zdaniem p. Ulanowskiego umarła Ludgarda śmiercią naturalną z powodu zgryzot, jakich doznawała na dworze nienawidzącego jej małżonka. Źródła jednak zupełnie od siebie niezawisłe stanowczo twierdzą, że Ludgarda padła ofiarą morderstwa. Prawda, że w szczegółach opisujących straszny ten dramat, nie są te źródła z sobą zgodne, to jednak nie zbija faktu morderstwa, popełnionego w sposób tajemniczy a tem samem nastręczający wątek do najdziwaczniejszych domysłów i przypuszczeń. Najdokładniej opisuje tę krwawą scenę Ernest Kirchberg, który kilkadziesiąt lat po śmierci Ludgardy, żył wśród książęcej rodziny, z której pochodziła nieszczęśliwa żona Przemysława. Oparł on swoje opowiadanie o Ludgardzie niewątpliwie na tradycyi,

jaka się o tem smutnem wydarzeniu przechowywała na dworze meklemburskim, bo przecież niepodobna przypuścić, aby mógł bezkarnie bajać panom, którym służył, takie straszne i nieprawdziwe rzeczy o księżniczce z ich rodu pochodzącej.

Ulanowski Bol.: O współudziale Templaryuszów w bitwie pod Lignicą 1241 (str. 275—322). W XVI. tomie zbiorowego wydania pomników dziejowych francuskich, wydaną została po raz pierwszy kronika nieznanego autora, sięgająca do r. 1286, która w Mon. Germ. hist. (t. XXVI) przedrukowaną została w wyciągach p. t. Continuatio Historiae regum Franciae Parisiensis". Pod r. 1236 umieszczony jest w tej kronice list bez daty pisany przez Ponces'a de Aubon, mistrza Templaryuszów we Francyi, do króla Ludwika św., w którym podane są bardzo cenne wiadomości o najmniej dotąd znanym okresie z dziejów napadu Tatarów. Celem chronologicznego oznaczenia wszystkich w liście tym zawartych szczegółów, porównuje autor treść jego z innemi wiadomościami, jakie się w źródłach o napadzie z r. 1241 przechowały. W liście Ponces'a wyraźna znajduje się wiadomość, że mistrz Templaryuszów wschodnio-europejskich nie zrażony przegraną pod Lignicą, do dalszego gotował się oporu; z współczesnego tym wypadkom Tomasza ze Spalato wynika, że jakiś mistrz „militiae templi", zginął w bitwie nad rzeką Sajo, o której w liście naszym niema wzmianki; mimowoli musiało się więc autorowi nasunąć pytanie, czy mistrz ów, który uszedł przed śmiercią pod Lignicą, nie był tym samym, który doczekał się w Węgrzech smutnego losu. Odpowiedź na to pytanie wtedy tylko jest możliwą, jeśli się choć w przybliżeniu da oznaczyć data stoczenia bitwy nad rzeką Sajo. Ważną tę chwilę dziejową odnosi autor do początku czerwca, twierdząc, że tym sposobem tylko dadzą się pogodzić wszystkie, a tak różnorodne i sprzeczne wiadomości w współczesnych źródłach podane. Oznaczywszy w ten sposób datę bitwy nad Sajo, wnioskuje autor dalej, że list Ponces'a napisany został w końcu czerwca, lub w pierwszych dniach lipca, i że mistrz Templaryuszów wspomniany w tym liście, jest osobą identyczną z mistrzem, o którym Tomasz ze Spalato twierdzi, że zginął w bitwie nad Sają.

Nie mam wcale zamiaru burzyć gmach tak misternie przez p. Ulanowskiego zbudowany, pozwolę sobie tylko przytoczyć dowody

z źródeł współczesnych zaczerpnięte, które czytelnika przekonają, że bitwa ta prędzej została stoczoną, aniżeli autor tej rozprawy przypuszcza.

1) Tomasz ze Spalato[1] twierdzi, że po bitwie nad Sajo udał się Bela, król węgierski do Austryi, poczem bawił wraz z rodziną w okolicy Zagrzebia.

2) Współczesny tym wypadkom Roger, c. 32, wspomina, że Bela opuściwszy Austryę, przebywał w południowych Węgrzech, skąd wysłał Stefana biskupa z Waitzen w poselstwie do papieża i cesarza. Obie te wiadomości przechowane w źródłach współczesnych i zupełnie wiarogodnych, znajdują potwierdzenie w dokumencie, wydanym przez Belę dnia 17 maja r. 1241 w Zagrzebiu. W piśmie tem przesyła król węgierski Ojcu świętemu, przez biskupa z Waitzen, wiadomości o napadzie tatarskim. Niema tu wprawdzie wzmianki o bitwie nad Sajo, ale tylko o zniszczeniach przez Tatarów dokonywanych; jednak z odpowiedzi papieża (1 lipca) i z listu cesarza do króla angielskiego (3 lipca), można wnioskować, że biskup węgierski ustnie zdał im sprawę o tej bitwie („prout per Venerabilem Vaciensem episcopum dicti Hungariae regis legatum ad nostram curiam et postea ad Romanam didicimus destinatum"). Jakkolwiek dopiero 3 lipca donosi cesarz królowi angielskiemu o klęsce nad Sajo, są pewne wskazówki, że już w czerwcu wiadomy mu był przebieg walki, albowiem Ryszard z St. Germano (Muratori VII. 1046) wyraźnie wspomina, że w czerwcu r. 1041 przybył do cesarza biskup z Waitzen, a z listu cesarskiego (wydanego u Erbena Reg. Moraviae ur. 1044) wynika, że poseł ten przed 20 czerwca stanął przed obliczem cesarskiem. Są to zdaniem mojem fakta, które nie dozwalają wątpić, że biskup Stefan po bitwie nad Sajo, wyruszył w drugiej połowie maja do Włoch, a w połowie czerwca uwiadomił papieża i cesarza o klęsce króla węgierskiego.

Autorowi tej pracy z wielu względów bardzo cennej, znane były powyższe źródła, ale on większą wartość przypisuje listom, które albo żadną nie są zaopatrzone datą, lub też bardzo wątpliwą, i w których podane są szczegóły, których wiarogodność nie została

[1] Ap. Thurocz III. 608.

dostatecznie sprawdzoną. Wbrew twierdzeniu autora mniemam, że gdybyśmy chcieli odnieść chwilę stoczenia bitwy nad Sajo do początku czerwca, uwikłalibyśmy się w sprzeczności, z których wybrnąć byłoby rzeczą niemożliwą. 1) Ponieważ Bela po tej bitwie pogonił najpierw ku granicom Polski, zwrócił się potem do Austryi, gdzie przynajmniej kilka dni musiał przebywać, nim się z ks. austryackim pogodził, następnie przynajmniej trzy lub cztery dni jechał do Zagrzebia, zkąd wysłał biskupa w poselstwie do cesarza i papieża, czyż podobna przypuścić, aby poseł ten mógł w połowie czerwca stanąć u celu swojej podróży, jeśli bitwa na Sajo w pierwszych dniach tego miesiąca została stoczoną? Wprawdzie autor przypuszcza w przypisku na str. 30, że chociaż w liście jako oddawca i poseł królewski wymieniony jest Stefan, mógł go w istocie kto inny doręczyć papieżowi, ale takiemu twierdzeniu stanowczo sprzeciwiają się listy współczesne jak i kroniki. 2) Przeciw twierdzeniu autora przemawia list Wacława, pisany prawdopodobnie do cesarza Fryderyka w czasie, w którym Tatarzy Morawię niszczyli, a więc w maju lub w pierwszych dniach czerwca. W liście tym wspomina Wacław o klęsce nad Sajo i o ucieczce Beli. Jeżeli list ten w maju był pisany, w takim razie przemawia on stanowczo za naszem twierdzeniem, opierającem się na liście Beli i wiadomościach Rogiera i Tomasza ze Spalato; gdybyśmy jednak przypuścili, że Wacław dopiero w pierwszych dniach czerwca, bezpośrednio po bitwie uwiadomił cesarza o tej klęsce Beli, w takim razie z powodów wyżej przytoczonych nie mógł się przed 20 czerwca papież i cesarz od Stefana o przebiegu tej bitwy dowiedzieć. List ten Wacława z tego także względu jest bardzo ważny, że zgodnie z naszemi źródłami przedstawia oddzielnie operacye wojenne Tatarów w Polsce i w Węgrzech; i wspomina o bitwie nad Sajo tak samo, jak i kronika wielkopolska przed połączeniem się obu armij tatarskich w Węgrzech, podczas gdy p. Ulanowski twierdzi, że dopiero po spustoszeniu Morawii i po połączeniu się Tatarów z Polski wracających z Tatarami, którzy do Węgier wkroczyli, stoczoną została wiekopomna ta bitwa. Dowody swoje opiera autor na źródłach, którym w żaden sposób nie możemy większą przyznać wiarogodność, aniżeli tym, na których my się opieramy. Zresztą z opowiadania źródeł węgierskich i listów współczesnych wynika, że hordy tatarskie w bardzo

krótkim czasie zalały cały kraj węgierski, nie można więc przypuszczać, aby zostawili Beli trzy miesiące czasu do ściągania posiłków. Nie dziwi nas wcale, że w liście Ponces'a nie ma wzmianki o bitwie nad Sajo, skoro w tylu innych listach, po tej klęsce pisanych, czytamy tylko o spustoszeniach i mordach popełnianych przez Tatarów, o bitwie zaś ledwie w kilku listach ogólnikowa znajduje się wzmianka. Europa zachodnia widząc Tatarów u boku swego, na Szląsku i Morawii, nie wiele się zajmowała czynami ich w Węgrzech. Książęta niemieccy, jak to najwyraźniej z listów wynika, byli przekonani, że hordy z pod Lignicy rzucą się z Morawii na kraje niemieckie, z tego powodu głównie w tę stronę wytężali wzrok swój, o tem zaś, co się w Węgrzech działo tylko z niepewnych dowiadywali się pogłosek.

Ulanowski Bol.: O kilku pomniejszych źródłach do dziejów pierwszego napadu Tatarów ne Polskę, Czechy i Węgry (str. 323—401). Rozprawka ta jest cennem uzupełnieniem pracy Palackiego przed 40 laty dokonanej, w której historyk czeski starał się uwydatnić zasługę Wacława czeskiego w oswobodzeniu Europy od nawały tatarskiej ze szkodą innych książąt europejskich. Ktokolwiek w przyszłości zajmować się będzie historyą pierwszego napadu tatarskiego, znajdzie w pracy p. Ulanowskiego skrzętnie nagromadzony zasób źródeł, porozrzucanych w najrozmaitszych publikacyach, które dotychczas przez nikogo zbadane i zużytkowane nie zostały. Autor zbadał wartość każdej zapiski, sprawdził ścisłość dat podanych w tych źródłach i wykazał stosunek ich do innych źródeł współczesnych, przedewszystkiem do Rogera i Tomasza ze Spalato.

Radzimiński Z. L.: Jeszcze słowo o herbie „Krzywasny" (str. 402—406). Na podstawie nowych materyałów dowodzi autor, że ród „ze Stadnik" Stadniccy szczycił się klejnotem „Krzywasny". Zdanie to wygłosił autor w formie przypuszczenia przed pięciu laty w „Dwutygodniku naukowym", ale jeden „ze Szreniawitów" z ostrą wystąpił krytyką, na którą autor wprawdzie dawniej odpowiedział, chociaż mu brakło jeszcze bezpośredniego dowodu, stwierdzającego zapatrywanie jego.

Dr. Semkowicz.

Przegląd pism peryodycznych.

3. Kronika Rodzinna.

Pismo zowiące się i chcące istotnie być „Kroniką rodzinną“, a zatem mające być niby pamiętnikiem domowym każdej rodziny, jej doradzcą, przyjacielem, a poniekąd i nauczycielem, ma z pewnością wielkie zadanie i niemałą odpowiedzialność. Kronika taka omawiać musi kwestye praktyczne, odnoszące się do domowego życia, gospodarstwa, kształcenia dzieci i dorastających pokoleń; powinna zapoznawać swych czytelników z ważniejszymi objawami literatury swojskiej i zagranicznej, z jej przewódcami i głównymi kierunkami; powinna w jak najprzystępniejszej formie zwracać uwagę ua pewne kardynalne zasady filozoficzne, od których zależy cały sposób myślenia; musi wreszcie prócz artykułów ściśle naukowych kształcących rozum, podać szereg opisów, pamiętników, poezyj, powieści, artykułów przemawiających do uczucia i wyobraźni, przynoszących wytchnienie po uciążliwej, obowiązkowej pracy. Ale to dopiero ciało „Kroniki rodzinnej“; ożywiającą duszą, która nie dozwoli takiej „Kronice“ stać się suchym zbiorem artykułów przeróżnej treści i wartości, lecz która łącząc je w organiczną całość, stworzy z nich prawdziwą „R o d z i n n ą kronikę“; duszą taką musi być duch miłości dla wszystkiego, co wzniosłe i piękne, duch obowiązku, zaparcia się, pobożności, słowem, duch zawarty w nauce Chrystusowej a stanowiący podstawę i prawdziwy węzeł, łączący rodzinę. Taka piękna dusza ożywia na szczęście kształtne ciało „Kroniki rodzinnej“, i dlatego nie dziw, że coraz więcej rodzin pragnie mieć w swym domu tego wiernego przyjaciela, zachęcającego zawsze do ufności, a nigdy do zwątpienia, wskazującego w troskach na niebo, w pomyślności na konieczność czynienia dobrze swym bliźnim, umiejącego połączyć naukę z przyjemnością.

Z początkiem bieżącego roku skończyła „Kronika“ czternaście lat swej cichej, ale pożytecznej pracy. Ileż w tym czasie podjętych kwestyj ważnych, niecierpiących zwłoki! Mówiąc tylko o ostatniej, czwartej z rzędu seryi, (począwszy od r. 1881), spotykamy szereg artykułów, dotyczących tak piekących dla nas pytań: o zbytku w spo-

łeczeństwie; o uregulowaniu miłosierdzia, aby chrześcijańska jałmużna obracała się ku prawdziwie potrzebującym i prawdziwą a nie urojoną przynosiła pomoc; o towarzystwie opieki nad służącymi; o wzajemnym stosunku panów do officyalistów; o przytułkach wiejskich; o gospodach chrześcijańskich, mających zastąpić żydowskie szynki; o wiejskich szpitalach i szkole rzemiosł dla kobiet. Bogate to w następstwa, a dzięki Bogu w części urzeczywistnione plany i pomysły, których najmniejszą tylko część na chybi trafi notujemy a chociaż jeden z pisarzy czy korespondentów „Kroniki“ skromnie utrzymuje, że dziennikarz lichy tylko wdowi grosz dorzucić może do przeprowadzenia jakiegoś pomysłu, nam jednak zdaje się, że grosz „Kroniki“ nie mało zaważył i u Boga i u rodzin chrześcijańskich, które podjęły się myśli swej „Kroniki“ w czyny przemienić.

Niby praktyczny obraz nauk i zachęt danych poprzednio, staje piękny artykuł: „W XIII. wieku“, przypominający na ten wiek tak pełen pracy, poświęcenia i czystych ofiar dla Boga. Dłuższe rozprawy filozoficzne hr. Wojciecha Dzieduszyckiego: „O nieśmiertelności“, „Po co jest świat“ [1], ułożone w formie dyalogu, okupują zwykłe niedogodności tej formy, zaciekawiając czytelnika i utrzymując go przy skądinąd tak trudnym i poważnym przedmiocie. Nieco za pobieżnie traktowaną jest kwestya o „Kościele i narodowości“; nie wszyscyby się też może zgodzili z autorem artykułu „O szkołach wyższych dla kobiet“; natomiast przyklasnąć należy z całego serca energicznemu wystąpieniu przeciw nowomodnej pedagogii dla młodocianych słuchaczek, polecającej wykładać im fizyologię i „dyetetykę niemowląt“.

---

[1] Żałować przychodzi, że piękny dyalog „O nieśmiertelności“, zamiast się kończyć podniosłą myślą, której się czytelnik mógł spodziewać, kończy się zdaniem tak podobnem do sceptycyzmu, że nasuwających się stąd wniosków obawialibyśmy się autorowi podsuwać. Końcem tym, wydaje się, jakby autor burzył, co długą pracą moralnie zbudował; na cóż więc było budować? Dyalog „Po co jest świat“ nie kończyłby się również samymi: „być może“, gdyby autor chciał się więcej zastanowić nad tem, czego w tym względzie poucza nas wiara. Bóg dał nam właśnie dlatego objawienie, że samo światło rozumu niezdolne rozwiązać wszystkich zagadek życia. Gdyby autor szedł ś m i e l e j za tem nie „trącącem mistyką“, ale prostem, katolickiem światłem wiary, jakże bez porównania świetniej, dokładniej i bardziej pocieszająco wypadłaby jego rozprawa.

Bez żadnych już zastrzeżeń podnieść można i należy literacki dział „Kroniki“. Główną ozdobę stanowią tutaj ciekawe pamiętniki i jeszcze ciekawsze listy różnych wybitnych osobistości z dawniejszych i nowszych czasów. „Wspomnienia z przeszłości“ Odyńca; „Pamiętniki Elżbiety z Rudominów Pakoszowej“ (z pierwszej połowy bieżącego wiekn); „Notatki Stefana Witwickiego“; niewydawane dotąd listy: Słowackiego, Witwickiego, Śniadeckiego, Mickiewicza, Domejki, Kościuszki, Hołowińskiego, Pola, Szajnochy Zana, Lelewela, Wężyka, Korzeniowskiego i wielu innych, wprowadzają nas w domy i chaty tych uczonych, biskupów, poetów, profesorów, powieściopisarzy; okazują nam ich w uroczym negliżu domowego życia, lepszych zwykle i jakoś milszych w życiu codziennem, niżbyśmy to z ich dzieł mogli wywnioskować.

Obok tych listów i pamiętników mieści się w każdym niemal numerze „Kroniki“ to opis jakiejś podróży, to drobna poezyjka i powieść bądź oryginalna, bądź tłumaczona, to wreszcie literackie sprawozdanie z celniejszych utworów współczesnych literatury niemieckiej, francuskiej, włoskiej, angielskiej. Między powieściami wymienimy tylko jedną: „Za nadto“ Fernana Caballero; obszerny życiorys tej hiszpańskiej powieściopisarki, tak pięknie idealizującej katolickie życie rodzinne, znajduje w tej nowelli swe dopełnienie, a zarazem służyć może w niejednym punkcie nie dla samej tylko „Kroniki rodzinnej“ za wzór, zachętę i przykład, jak kobieta piórem może się społeczeństwu przysłużyć.

Takim jest, pochwycony w najogólniejszych rysach obraz „Kroniki rodzinnej“ z ostatnich lat czterech, dający jakie takie przynajmniej wyobrażenie i o poprzednich rocznikach. Siedm numerów z bieżącego roku, które obecnie mam pod ręką (od 1 stycznia do 1 kwietnia) harmonizują wybornie tak pod względem ożywiającej poczciwej tendencyi, jak zewnętrznego rozkładu, ze swymi poprzednikami. Ważną z pewnością, naglącą kwestyą jest „Sprawa młodzieży“ (str. 33), kończącej nieraz chlubnie szkoły, a niemogącej natychmiast, jakby tego wymagała gniotąca potrzeba, zużytkować nabytej nauki. Nie wydaje nam się, aby rada podana przez Dr. Olszyca, założenia osobnego domu dla laureatów, gdzieby przynajmniej przez czas pewien, po ukończeniu szkół, znaleść mogli przyzwoite utrzymanie, była czemś więcej niż chwilowem palliativum, nieprzecina-

jącem złego w korzeniu. Ale, bądź co bądź, tylko zajmując się jakąś kwestyą, dojść możemy do jej rozwiązania; a i palliativum lepsze od bezczynnego zwieszenia rąk. Kto wie zresztą, czy myśl Dra Olszyca nie wejdzie w wykonanie, jak powoli urzeczywistniać się zaczyna inna myśl rzucona przez niego przed paru laty o rozszerzeniu przemysłu ogrodowego. Bezwątpienia dobre owoce dobrą i zdrową są rzeczą i życzyć tylko można Towarzystwu ogrodniczemu, któremu Dr. Olszyc osobny poświęca artykuł (str. 105), aby co prędzej zawiązało swe filie nietylko w Królestwie, ale i u nas w Galicyi i w W. Księstwie Krakowskiem, gdzie również z dobrymi a tanimi owocami nie tak łatwo się spotkać. Ważniejszym jeszcze jest zaprowadzony w jednym z ostatnich numerów „Kwestyonaryusz Kroniki Rodzinnej". Jeden z prenumeratorów wypytuje się w otwartym liście do redaktorki, jakie możnaby zaprowadzić oszczędności po domach na wsi i w miastach; jak do tych oszczędności ma się przyczyniać pani domu, jej synowie i córki; jakie środki do powściągnięcia zbytku zwłaszcza u kobiet. W następnym numerze (z 1 kwietnia) znajdujemy odpowiedzi na te zapytania, odpowiedzi może nieco za ogólnikowe i które prawdopodobnie na razie skutków nie przyniosą, ale skłonią przynajmniej niejednę panią domu do pomyślenia na chwilę, jak powiększyć sumę pracy, a zmniejszyć sumę wydatków. A i ten rezultat nie do pogardzenia; wszak kropla kamień żłobi.

Z rozpraw o zakresie filozoficznym, spotykamy tylko jednę w tym roku, p. t. „Metafizyka postępowa", streszczającą dopiero co wydane dzieło „Le nouveau spiritualisme", nawracającego się powoli do Boga Vacherot'a. Natomiast tem liczniejsza wiązanka pamiętników i listów, które widocznie za dotknięciem czarodziejskiej różczki, zewsząd do redakcyi spływają. Prócz „Dziennika podróży" Ksawerego Michała Bohusza prałata wileńskiego, listów Libelta i Domejki, rozczytujemy się tu z prawdziwą przyjemnością w bardzo obszernej korespondencyi Tomasza Zana z przyjacielem i dobroczyńcą, Karolem hr. Chodkiewiczem. Pięknie odsłania się w tych listach postać dawnego, a niezbyt znanego towarzysza Mickiewicza: przyrodnika i biednego poety, marzącego o dawnych lepszych czasach, a tak kornie poddającego się w boleściach woli Bożej. „Śpiewać tylko chce się", pisze Zan, a jednocześnie pracuje, wykłada geognozyę, robi naukowe wycieczki, a wyszedłszy z ciężkiej cho-

roby, uwiadamia o tem przyjaciela: „Byłem bez nadziei życia; modlitwy mię uratowały". Jakże te słowa, tak pełne wiary, harmonizują wybornie z chrześcijańską śmiercią innego z dawnych wileńskich kolegów: Edwarda Odyńca. Opis tej śmierci i krótkie wspomnienie zasług jednego z najlepszych i najczynniejszych przyjaciół „Kroniki" umieścił Adam Pług (str. 65).

Na chwilę wytchnienia po poważniejszej pracy, umieściła „Kronika" komedyjkę: „Tempora i mores" i odznaczający się naśladowania godnymi charakterami głównych bohaterów, obrazek Jerlicza: „Z codziennego życia". Dla matek miłym i pożytecznym jest dział „Z literatury dziecięcej", streszczający w krótkich wyrazach świeżo wyszłe w kraju i za granicą lepsze książki dla dzieci. Gdyby jeszcze „Kronika" zaprowadziła u siebie dział: „Z literatury młodzieńczej", zasłużyłaby sobie bodaj czy nie na większą stosunkowo wdzięczność skłopotanych rodziców, co swym dorastającym synom i córkom dać w rękę do czytania. Trudne to zadanie, ale pismo zowiące się i jak staraliśmy się wykazać w tem krótkiem streszczeniu, istotnie będące „Kroniką rodzinną", pismo, które już podało i przeprowadziło tyle pięknych i praktycznych pomysłów, nie cofnie się pewnie i przed tą trudnością, jeśli tylko myśl tu rzucona wyda mu się możliwą i praktyczną.

L.

WYDAWNICTWA „MACIERZY POLSKIEJ".

Najświętszym obowiązkiem przewodnich klas społeczeństwa, jest pracować nad ulepszaniem losu warstw najniższych — bo nie „walka o byt", ale miłość bliźniego jest zasadniczem prawem ludzkości i warunkiem doczesnego nawet jej szczęścia.

Długoby przyszło wyliczać, co jest jeszcze do zrobienia dla ulżenia, ba! nawet dla zbadania materyalnych i moralnych nędz naszego ludu; ale miło też zwrócić uwagę na to, co się już robi. Najwięcej może u nas budzi interesu i zapału hasło „oświaty ludu". Kwestya reform i rozmnażania szkół ludowych, zajęła żywo sejm

i władze krajowe i opinię narodu; bursy dla utorowania drogi ubogim dzieciom ludu do wyższych szkół, posypały się z prywatnej ofiarności, może liczniej u nas, niż gdziekolwiekindziej; wreszcie, ażeby i starszym pokoleniom nieść pod strzechę dobrodziejstwa „oświaty i umoralnienia", powstała w gronie zasłużonych mężów instytucya „Macierzy polskiej".

Nie jest to pierwszy w naszym kraju wysiłek w tym kierunku: wydawnictwa dla ludu księży Bażyńskiego, Chotkowskiego, Kanteckiego w księstwie poznańskiem, Radziejowskiego na Szląsku, Hołyńskiego i Stojałowskiego w Galicyi, znacznie wyprzedziły Macierz i zdobyły wpływ, znaczenie i liczby czytelników, do jakich tej ostatniej jeszcze daleko. Ale „Macierz" jest pierwszem zbiorowem i organicznem dziełem tego rodzaju, pierwszą u nas instytucyą piśmiennictwa dla ludu, zdolną przeżyć swych założycieli, rozwinąć szerszy program, mogącą wciąż dobierać nowych sił, mającą prawo liczyć na poparcie nietylko opinii, ale i władz krajowych, a przez to zasługującą na szczególną w piśmiennictwie uwagę.

Czytając „Wstępne słowo", niejako program Macierzy, na czele pierwszej książeczki, uderza od razu głębsze i prawdziwsze rozumienie „oświaty ludu", aniżeli to, co w potocznej prasie kursuje, i z jakiem często występowano w rozprawach o szkole ludowej. Macierz, podług tego programu, rozumie doskonale tę tak prostą, a jednak dla wielu głów tak nieprzystępną prawdę: że nie na tem wszystko zależy, ażeby jak najwięcej chłopa uczyć, ale na tem, żeby go najprzód nauczyć rzeczy mu najpotrzebniejszych, rozświecić tą nauką sferę moralną i sferę ekonomiczną, w jakich on rzeczywiście żyje, a w jakich, z powodu niewiadomości, nieobliczone ponosi szkody i przez to własnie uzdolnić go do podniesienia się ku wyższym sferom, gdzie też wyższą z pożytkiem otrzymać zdoła naukę. Tę realną sferę życia pod strzechą zamierza Macierz rozświecić, ucząc o roli i chudobie, o małym handlu i przemyśle domowym, o higienie i weterynaryi, o podatkach i sądach, o prawach i obowiązkach gminy i jej urzędników, wreszcie o wychowywaniu dziatwy i zgodnem pożyciu.

Wie także Macierz jak do ludu przemówić. Zaczyna od pozdrowienia: Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus! i w największej części książeczek tego wydawnictwa znać usiłowanie nada-

nia całej rzeczy religijnego namaszczenia. W istocie lud nasz wymaga tego charakteru w tem wszystkiem co czyta. Woń religijna rozlana w piśmie wabi go więcej niż wszelkie inne przymioty treści i formy — czego dowodzi nadzwyczajny rozchód ludowych książeczek i pism religijnych; gdzie zaś nie ma tej woni i o Bogu nie ma mowy, tego lud wcale nie czyta, choćby mu się darmo rozdawało — jak znów dowodzi zupełna niepopularność między ludem ekonomicznych książeczek Forstera. Nie godzi się zaś kusić o zwalczenie tego usposobienia naszego ludu, bo pominąwszy już inne względy, to jedno chroni go nieprzepartą zaporą od socyalistycznych publikacyj i wszelkiej propagandy przewrotu. Dodam nawet, że lud nasz ma w tej mierze wyrobiony smak i pewnym instynktem rozeznaje co jest z ciepłem wiary napisane, a co tylko słowami i blichtrem nadrabia.

Pod tym względem byłoby do życzenia, żeby krytyka komitetu Macierzy była niekiedy surowszą i nie przepuszczała pewnego, że tak powiem, romansowania z religią, mięszaniny pogańskich gadek z chrześcijańskiemi tajemnicami, albo takich np. rad: „żeby po „wsiach zaprowadzać towarzystwa śpiewaków i w nich nie ogranie„czać się na pieśniach religijnych, ale koniecznie obok nich brać „i pieśni światowe“. Pewna rzecz, że nietylko religijne pieśni są godziwe; ale trzeba nie znać ludu, żeby nie wiedzieć, że taka rada, podana mu temi słowy w k s i ą ż c e, może być tylko ujemnie przez lud zrozumianą i albo ze wstrętem odepchniętą, albo zgubnie zastósowaną. Zarzut, który tu ośmielam się podnieść, dotyczy tylko mniejszości wydanych książeczek; warto jednak zwrócić na to uwagę w krytyce, ponieważ jedna nawet kartka, uchybiająca uczuciom ludu, a zwłaszcza religijnemu jego nastrojowi, może go łatwo od całego Wydawnictwa odstręczyć i zaufanie do niego odebrać.

Byłoby jeszcze niejedno do powiedzenia, mianowicie o doborze przedmiotów, nie zawsze dopisującym pięknemu programowi Macierzy, o sposobie czułostkowo-poetycznym traktowania przyrody w niejednej książeczce zachodzącym, który żadnego oddźwięku w czerstwej duszy chłopa wywołać nie może; ale zostawiam te uwagi recenzentowi pojedynczych książeczek, któremu pióra odstępuję.

Bądź co bądź, dotychczasowe prace Macierzy polskiej zasługują

na uznanie i gorliwe poparcie wszystkich szczerych miłośników naszego ludu, a kierunek jaki sobie wytknęła, rokuje najpiękniejsze w przyszłości plony.

X. M. M.

O ZŁEM I DOBREM GOSPODAROWANIU przez *Zygmunta Gawareckiego.*

Wstępne słowo wykłada znaczenie i cel „Macierzy", nakreśla kierunek i granice jej działalności. W dalszym ciągu od str. 14 do 99, pod napisem „o złem i dobrem gospodarowaniu", autor usiłuje wykazać, że dobre gospodarowanie jest wtedy, gdy gospodarz jest pracowity, trzeźwy, oszczędny i oświecony; złe, gdy mu tych przymiotów nie dostaje. Dalej jest mowa o szkole i o tem, czego tam uczą, o nauczycielach i szerzeniu się oświaty, o rozmaitych urządzeniach i ustawach w różnych częściach Galicyi, Polski kongresowej, W. Ks. Poznańskiego, wreszcie Niemiec, Francyi i t. d. Wciągnięto tu i pogadanki autora z wieśniakami i osoby prywatne, jak Bereszka starostę jarosławskiego, p. Kiwerskiego i innych. Autor prowadzi naszego chłopka do Anglii do towarzystw wstrzemięźliwości i ich zgromadzeń w Londynie, zbija paradoks, jakoby w wojsku ktoś rozpić się musiał. Z Anglii przechodzi do Irlandyi, a skreśliwszy pokrótce stosunki socyalno polityczne ludu tamtejszego, zapoznaje czytelnika z stowarzyszeniem wstrzemięźliwości w mieście Beesbrook. Wszystko to może dobre ale nie potrzebne; na co prowadzić naszego kmiecia aż za morze, kiedy on u siebie ma to samo; nasi misyonarze nie ustępują irlandzkim, i pewnie tyleż, jeżeli nie więcej robią w zaprowadzeniu wstrzemięźliwości, co i tamci. Środek zaś, jaki wnosi autor, dla zapobieżenia pijaństwa, nie jest praktyczny, ale byłby nawet szkodliwym, gdyby został urzeczywistnionym, radzi mianowicie autor zakładać na wzór Francyi orfeony czyli towarzystwo śpiewaków. „Zakładając po wsiach, pisze, towarzystwa śpiewaków nie trzeba się nigdy w nich ograniczać na śpiewaniu tylko pieśni religijnych, kościelnych, ale potrzeba też koniecznie obok nich brać i śpiewy światowe, wybierając co najpiękniejsze, przechodząc od łatwych do trudniejszych". Czy już nie były próby w tym względzie? Od lat kilku mamy w Krakowie taki „orfeon" gdzie „tingel tagel" kwitną wybornie. Cyfra szynków się nie zmniejszyła, przybył tylko nowy lokal może więcej niemoralny, jak tamte. Czyby nie taki skutek miały i wiejskie orfeony? Mówiąc o oświacie, wypowiada autor zdanie trochę za śmiałe „dzisiaj wszyscy poczciwi mający pewną oświatę, zupełną jedność z sobą tworzą, i ani im to na myśl nie przyjdzie, żeby tam jakieś przypadkowe urodzenie mogło różnicę pomiędzy nimi stanowić". (str. 78).

Wytknąwszy niektóre błędy w gospodarowaniu, zachęca autor do zakładania kółek rolniczych, które są ostatniem ogniwem w łańcuchu jego projektów i pomysłów podniesienia gospodarstwa, jakiemi są: gospody, orfeony, czytelnie ludowe, ochotnicze straże pożarne i ochronki.

Pierwszą wadą tej książki jest, iż zanadto ogólnikowo rozprawia o wszystkich rzeczach, nadto zawiera różne zapatrywania niezgodne z prawdą, jakieś naciągane pojęcia, nietylko nie-

zrozumiałe dla ludu, ale dla nikogo. I tak na str. 17 mówi: „Bóg zarówno dla nas wszystkich pełen miłości ojciec, przeznaczył nam pracę za cel i osłodę życia, lecz z tym warunkiem, żeby ta praca wykonywaną była w pocie czoła. Cóż więc znaczy ten pot czoła? Nic innego, tylko żebyśmy przedsiębiorąc jakąś pracę, jak i dopełniając jej myśleli, w jaki sposób wypada ją wykonać najwłaściwiej i najlepiej. I tem się różnimy od zwierząt i tem jesteśmy bez porównania tak od nich wyżsi i tem panujemy nad niemi, że my ludzie mamy sobie od Boga za cel życia przeznaczony pracę, że widzimy jej konieczność dla nas i że ją z namysłem, czyli myśląco odbywamy. Kto chce być przeto człowiekiem, musi pracować ciągle i zawsze z namysłem". Otóż nie jest prawdą, aby praca była celem człowieka, aby była jego osłodą i nie tem różnimy się od zwierząt. Co może znaczyć następne wyrażenie autora? (str. 19) „że w żadnym zawodzie nie potrzeba tyle pracy w pocie czoła, czyli z rozmysłem, z zastanowieniem odbywanej, co w rolnictwie". Jakto! więc pracować w pocie czoła a myśleć byłoby wszystko jedno? Tak odpowiada autor (str. 20), „zapocenie zaś to czoła przy pracy toć przecie nie może być od noszenia futrzanej na głowie czapki, lecz od rozmyślania". Na szczęście nasz chłopek, mający „maćkowy rozum" nie uzna takich... przenośni za mądre.

Co za gmatwanina i jakie błędy gramatyczne np. w tych wyrażeniach: (str. 92) „Gospodarze nie oceniają dostatecznie wielkie pożytki i zresztą nieuniknioną konieczność utrzymania dróg ciągle w stanie dobrym i obsadzenie ich drzewami", albo (str. 95) ....„gdyż jedynie tylko wtedy postawi się w możności wystarczenia na wszystkie ciężary i niestracenia swego dziedzictwa, bez przekazania go dzieciom w spuściźnie (?)" I tak dalej.

Nakoniec treść książki nie odpowiada tytułowi; autor mówi w niej o wielu bardzo rzeczach, ale jak najmniej o „gospodarstwie", kilka zaledwie stronnić poświęconych ogólnikom z tego przedmiotu.

Lekarstwo na biedę, przez *Juliusza Starkla.*

Jestto powiastka; osoby działające, to typy wiejskie o charakterach i zapatrywaniach, z któremi między ludem spotkać się można. Główną osobą jest tu macierzyński kupiec, a raczej nauczyciel wędrowny, który do Rozwadowa przynosi całą wystawę rolniczą i przemysłową, modele narzędzi rolniczych, gatunki zbóż, zielsk, okazy ziarn, szkodliwych owadów, widoki fabryk etc. i objaśnia takowe gospodarzom, którzy się gromadnie zeszli w tym celu do szkoły, gdyż dzień przedtem w karczmie przedstawił się im jako kupiec handlujący lekarstwami na biedę. W powiastce poruszono w zręczny sposób wszystkie sprawy gromadzkie. Jest tam i o porządkach w gminie, o robieniu szarwarków, o asekuracyi, o wspólnem ratowaniu się członków gminy w potrzebie, o pracowitości, trzeźwości, oszczędności, o lichwie i jej skutkach i o procesach. Poruszona tam z lekka także potrzeba zajęcia się jakiem rzemiosłem w wolniejszych chwilach zimowych, komasacyi gruntów a wreszcie pożytek z nauki i oświaty. Książeczka niezła, trochę za ogólnikowa, ale może być z pożytkiem czytaną.

Opowiadania dla ludu, przez *Antoninę Machrzyńską.*

Sprawy poruszone w tem opowiania są: a) Cześć dla rodziców, b) Baczność na wychowanie dzieci i skutki ich gorszenia. c) Wzajemna łączność

między dworem a gromadą. d) Korzyści wypływające z pielęgnowania ogrodów owocowych. e) Piękność i nagroda bezinteresownej litości nad sierotami a wreszcie g) Cel pobożnych pielgrzymek.

Pierwsze opowiadanie tyczące się zwłaszcza matki, przez Mikołaja Michalewicza, z pożytkiem dla młodzieży wiejskiej czytane być może. Drugie nie jest przystępne dla ludu. Postać Jędrzeja, który tu przy wiosennem słońcu, w czasie tających śniegów, lodów i serc ludzkich, równocześnie z dzikiemi gęsiami, jaskółkami, bocianami etc. pojawia się, a przy końcu opowiadania, tonie wzrokiem i myślą w blasku zachodzącego słońca, które znikając mu z przed oczu a nie ginąc, uprzytomniało ową wielką chwilę śmierci, kiedy duch człowieka ulatuje ze świata, a nie ginie, lecz przenosi się do krainy nieśmiertelnego życia; ta postać, gdyby nawet obie nogi miała, (w opowiadaniu chodzi na szczudle), jeszczeby kulała, to jest nie nadałaby się ani dla ludu, ani nie dla ludu. Lud takich „zachwytów" nie rozumie, wykształceni zaś wymagają, aby nie były ckliwo opowiadane. W powiastce trzeciej i czwartej dążność jest zacna, ale nieznośne są tkliwość i sentymentalność. Osoby, o których tu mowa, płaczą czasem nawet bez powodu „patrząc na... łąki i chaty porozrzucane w zaroślach" (str. 44). Jeden z obrazów poetycznych tej książeczki przytoczymy tu: (str. 7) „To też lipa przyjaciółka, rówieśnica i towarzyszka życia codziennego, zdawała się zrozumieć myśli, uczucia, troskę i tęsknotę matki, bo rzuciwszy na nią białym kwiatem, opadłym z poruszonej wietrzykiem gałęzi, otrzeźwiała z zamyślenia, dozwalając tym sposobem usłyszeć oddalony turkot kół i tentent koni na gościńcu". I to się pisze dla ludu wiejskiego! Figury i obrazy poetyczne w pismach ludowych utrudniają jasność i zrozumienie rzeczy, a będąc tworem wybujałej wyobraźni nie przypadają do smaku trzeźwej naturze ludu. Nasz lud wyraża się wprawdzie sam obrazowo, ale obrazy jego, jak zresztą zawsze być winno, są naturalne, proste i jasne. Czułostkowość też i sentymentalizm nie znajdzie odbrzmienia w sercu czytelnika wiejskiego a nawet znudzi go. Chłop ma nerwy silne. Z natury wiele rezygnacyi, przy największych ciosach, jakie weń zmierzą, płacze tylko wyjątkowo a gdy się zważy, że ta niby bezczułość nie pochodzi z braku serca, tylko z równowagi, jaka u niego między ciałem a duszą, wrażeniem a wyobraźnią, sercem a rozumem panuje, to poczytać ją należy raczej za zaletę cenną w jego doli, aniżeli za wadę.

Jan Sobieski, przez *Wandę Podgórską.*

Dziełka tego jako zupełnie wyczerpanego dostać nie mogliśmy, przeto nic o niem napisać nie możemy.

Rodzina, napisał *Stanisław Czaja* nauczyciel w Frydrychowicach.

Książeczka ta ma za zadanie pouczyć lud o obowiązkach wzajemnych członków rodziny. Zaletą jej jest, że tylko mimochodem chłoszcze wady u ludu spotykające się, a natomiast usiłuje przez okazanie obrazków szczęścia rodzinnego, spowodowanego wzajemną miłością i wypełnieniem obowiązków, pobudzić do dobrego życia. Styl jednak często niewłaściwy, wiele tu figur retorycznych i wyrażeń obrazowych, które dla ludu są niezrozumiałe. I tak: „nieocenione perły a z serca płynące" (str. 6), „z błaganiem, w którem całe moje serce, cała dusza się zawiera" (frazes tem niewłaściwszy, że pochodzi z ust wieśniaczki), „Sil-

niejszym powiewem życia ożywiona, jakimś nadziemskim blaskiem olśniona (str. 47), „kwiat piękności (zam. uroda) więdność zaczyna“ i t. p.

PSZCZELNICTWO (*p. Kaź. Krasickiego* redaktora poznańskiego „Pszczelarza“).

Ściśle rzeczową stronę tego dziełka ocenić może tylko fachowy znawca, jednakże i mniej obeznanemu z przedmiotem podoba się ta trzeźwość i brak optymistycznych a często złudnych nadziei, jakie inne tego rodzaju pisma czytelnikom robią. Pasieka jest tu dla gospodarza boczną gałęzią gospodarstwa, na którą od razu wielkich nakładów robić nie należy. Autor jest pszczelarzem bardzo konserwatywnym, podnosząc zalety uli ramowych, nie każe jednak palić starodawnych kraglaków, owszem, przyznaje, że pszczoły tam „dziwnie dobrze się wiodą“; każe je zatem, choćby nadpsute były, obręczami pozbijać, a nie dawać się uwodzić żadnym nowomodnym gadaniom. Tem stanął autor na stanowisku pisarza i nauczyciela ludu, którego zadaniem nie wywracanie wszystkiego do góry nogami przez wprowadzanie nowatorstw, ale budowanie dalsze na gruncie istniejącym. Słuszność tego zdania stwierdza też praktyka. Na Podolu praktyczni pasiecznicy, księża, leśniczy i wieśniacy centnarami miód sprzedają, gdy postępowcy nieraz w głowę zachodzą, jak na wiosnę wyhodować liczną pasiekę. Wykład przedmiotu prosty, jasny i licznemi rycinami uzmysłowiony, umożebni korzystanie z dziełka, i dlatego może ono oddać hodownikom pszczół cenne usługi.

CUDOWNE LEKI, powiastka *Bolesławicza*.

Osią akcyi jest tu sprawa sercowa. Oto jej osnowa: Janek popłynął Wisłą z flisakami. W siole zostawił matkę, która tymczasem ciężko zaniemogła, i Basię, niecierpliwie go oczekującą. Ku Basi ma się jednak drugi parobczak Kasperek, którego afekta jednak bezskuteczne. Stara Marcinowa znachorka leczy matkę Janka a potajemnie też i zbolałe serce Kasperka. Ten za kuracyę obowiązuje się wynagrodzić ją dwoma morgami gruntu. Wraca Janek mile przez wszystkich a zwłaszcza przez Basię witany. Od lekarki dowiaduje się, iż cała jej sztuka okazała się daremną, i że matula nie może być zdrową, jeśli jej syn „nie odda swego kochania na ofiarę Bogu“. Kochający syn robi tę ofiarę. Ojcu Basi i jej samej oświadcza, że dla powodów, których wyjawić mu nie wolno, nie może się żenić z Basią, ponieważ byłby nieszczęśliwym. Matka wrzekomo po tej ofierze a rzeczywiście w skutek radości z powrotu syna wyzdrowiała. Tymczasem Kasperek zyskuje posłuch u rodziców Basi i jej jak mniema milczące zezwolenie. Intryga baby wydaje się jednak jej własną gadatliwością, gromada przekonuje się co ma sądzić o jej lekach. Znachorkę jako obcą przybłędę ze wsi wypędzają. Janek żeni się z Basią i zyskuje ogólne pochwały. Intencyą autora było tu więc obalić wiarę ludu w znachorki i ich czary, w Janku dać przykład dobrego syna a przytem może i sprawy sercowe ludu sprowadzić na idealniejsze tory. Pod tym względem zapewne stosunki wiejskie wymagają ulepszenia. Pół morga gruntu, krowa lub sznurek korali więcej powodują konkurenta do zwrócenia afektów w inną stronę. Z drugiej strony należałoby się bardzo zastanowić, czyli tych spraw nie zostawić ich naturalnemu rozwojowi z postępem oświaty, bo jakkolwiek przez okrasę miłości powiastka nabiera interesu, to przy nie dość ścisłej wstydliwości między młodzieżą wiejską, rozpieszczona co-

kolwiek wyobraźnia, chociaż w kierunku dodatnim, może właśnie niepożądane wydać owoce. Ta książeczka grzeszy równie tem samem co i inna dla ludu pisana, mianowicie językiem niezrozumiałym dla czytelników; który z wieśniaków zrozumie takie wyrażenia: „lasek... wtoruje poważnym swym szmerem pluskaniom fal ojczystej naszej rzeki.." „odczyniała uroki..." jakkolwiek może techniczne w pewnych okolicach, jednak mogłoby być zastąpione innem powszechniejszem, przeto lepszem.

DOBRY SYN, bajka z przed laty tysiąca, napisał *Władysław Bełza.*

Bohaterem jej jest Janek, który aby ocalić od śmierci ukochaną matkę wybiera się na zlecenie znachora duchownego za siódmą górę i siódmą rzekę po uzdrawiającą wodą. Liczne przeszkody i ponętne pokusy szczęśliwie zwycięża i za szczęśliwym powrotem umarłą tymczasem matkę wodą cudowną wskrzesza. Bajkę tę z materyału ściśle ludowego, jakim jest wiara w duchy, czarownice i. t. p. utworzona, nazwaćby można szczęśliwym pomysłem, gdyby nie ta okoliczność, że lud nasz jest i tak skory do zabobonów i przesądów, że więc nie należy go publikacyami „Macierzy" podtrzymywać w tym błędzie, tem bardziej, że w mniemaniu ludu wszystko, co drukowane, prawdą być musi. Styl także nie zawsze do skali ludowej dostrojony. Wyrazy obce, których znaczenia lud nie rozumie, np. „ochmistrzyni", „kotara", dygnitarze, o czarnych jak dwa „karbunkuły oczach" należało objaśnić polskiemi wyrazami. Dla czego również wprowadzać niektóre wyrażenia, które są błędne i których nawet lud rzadko używa, jak np.: „czy już aby jej lepiej?"

JAK Z SOBĄ ŻYJĄ ŹLI MAŁŻONKOWIE. A JAK DOBRZY ŻYĆ POWINNI, opowiedział *X. Stanisław Mazurek.*

Epizodem opowieści, jak żona cierpliwa, bogobojna, wyrozumiała i inteligentna, nawet złego męża poprawić jest w stanie. Książeczka czyta się z zajęciem a historya poprawy, która tu nie wskutek tylko nauki, lecz raczej w skutek oględnego postępowania kapłana nastąpiła, zainteresowaćby mogła tych, którzy umoralnienie ludu wytknęli sobie za zadanie. Nadaje się ona dobrze i dla małomiejskich obywateli.

KOCHAJCIE PRZYRODĘ, przez *Kazimierza hr. Wodzickiego.*

Autor „zapisków ornitologicznych" napisał to na usilne życzenie marszałka Zyblikiewicza z całą znajomością przyrody i ludzi. „Ja się z Wami wychowałem, ja z Wami wzrastałem a od 47 lat uprawiam ziemię z Wami i przodkuję przykładem, aby sumiennie w roli pracować i Bóg mi błogosławił; ja wiem co Wam potrzeba, co Was boli, co wam brakuje... Podstawą złego, które trapi wieśniaków, to brak miłości, począwszy od rodziców, dzieci i gminy a skończywszy na domowych zwierzętach... Druga przyczyna waszej biedy jest lenistwo, wzmagające się z każdym rokiem na waszą biedę... Przyroda, to księga mądrości, kto chce szczerze, ten się nauczy wszystkiego, czego mu do życia przykładnego potrzeba" (str. 8—16). Bogata i zajmująca treść tej książeczki do osiągnienia zamierzonego celu zupełnie się nadaje, układ materyi pozostawia nieco do życzenia. Praktyczniejby może było, żeby treść była ugrupowana według pewnych zasad, podzielona w mniejsze ustępy z odpowiedniemi napisami. Pod tym względem jest tu materya dość rozrzucona; tak np. str. 37—43 przy

opisie myszołowa i sposobu życia jego, przychodzi obszerniejsza biografia skrzeczka i kreta, przy którym znowu wiele szczegółów, tyczących się niedźwiadka. Po skończonym wykładzie o ptakach szkodliwych zaraz w następnym wierszu zaczyna się rzecz o ptakach „dobroczynnych“. Podziały mają znaczną wagę dla czytelników a zwłaszcza dla wieśniaków. Słowo „przyroda“ w tytule i wielokrotnie w książce przychodzące, należałoby zaraz we wstępie stosunkowo objaśnić, bo u ludu ono zupełnie nieznane, a nawet niekoniecznie u tych czytelników, którzy szkołę wiejską ukończyli, pojęcie jego się utrzymało. Z tem wszystkiem jest to złota książeczka pod względem moralnych prawd, wysnutych z życia przyrody.

DOMOWY PORADNIK LEKARSKI, napisał *Dr. Jan Stella Sawicki.*

Dziełko to mieści stosowną przedmowę i następujące działy: I. Jak się powinna zachować kobieta ciężarna. II. Jak należy pielęgnować dzieci. III. Choroby dzieci. IV. Jak się zachować w chorobach ludzi dorosłych. V. Postępowanie przy zranieniach, złamaniach i zwichnięciach. VI. Obsługa chorych. Treść książeczki i wykład jej prosty i przystępny, a nadto w dziale IV. i V. rycinami uzmysłowiony, rady liczące się ze stosunkami ludu, to wszystko powinnoby jej zjednać czytelników, a w tychże znaleść uwzględnienie. Ze względu na materyę w dziale I. traktowaną, książeczka ta przeznaczona jest tylko dla dojrzałych, na coby przy rozpowszechnieniu jej uwagę zwracać należało.

WETERYNARYA POPULARNA dla użytku gospodarzy wiejskich, napisał *L. J. Kubicki*, weterynarz miasta Lwowa, etc.

Wykład tej książeczki dostępny i rycinami objaśniony, zatem lud z tej treści skorzystać może.

O PRACY I WŁASNOŚCI, opowiedział *A. Wilczyński.*

Pojęcie własności jest u ludu częstokroć niejasne a prawo poszanowania jej rzadko przestrzegane. Panuje też między ludem pewna nieufność ku stanom i ku klasom więcej posiadającym. Broszura p. W. zaradzić pragnie złemu. Pojęcie i zasady moralne rozwijają się tu w sposób naturalny, prosty i zręczny ze zwykłych sytuacyi wieśniaka, a więc czytelnik nietylko je zrozumie, ale o ich słuszności i rzetelności przekonywa się łatwo. Sposób opowiadania przystępny, ugrupowanie logiczne przedmiotu ułatwia zrozumienie. Rzecz o prawnem nabywaniu własności (ułożona według obowiązującej w Austryi ustawy cywilnej) może wieśniakowi wprost służyć za informacyę, i to bardzo potrzebną w celu uniknienia szkód lub kosztownych procesów. Z tych powodów życzyćby należało tej książeczce najszerszego rozpowszechnienia.

ZAMOŻNY GOSPODARZ, obrazek z życia ludu wiejskiego, przez *Antoniego Maślankę*, gospodarza z Zubrzyc.

Obrazek ten nietylko przedstawia stosunki wiejskie, ale szkicuje je wiejskim kolorytem. Celem opowiadania jest zachęcić wieśniaka do gospodarowania postępowego, do zajęcia się zimową porą, zwłaszcza w długie wieczory, już to przygotowaniem narzędzi potrzebnych na lato, już to jakiemś rzemiosłem, którego za młodu wyuczyć się trzeba. Omówione tu są obowiązki względem rodziny, dzieci i gminy. Przedstawienie rzeczy zdolne zająć serce i oddziaływać na umysł.

Głodowe lata, opowiadanie przez *Karola Benoniego.*

Rzecz dzieje się w okolicach górskich, tak często głodem nawiedzanych; przedstawia losy jednej rodziny włościańskiej, dotkniętej klęskami, poświęcenie się pojedyńczych jej członków ocala ją od zguby. Ten moment moralny, jak niemniej liczne rady, przestrogi dotyczące się przezorności i zapobiegliwości a nadto styl przystępny, stanowią zaletę dziełka.

Pielgrzym w Dobromilu (z 5 obrazkami, według rysunku *Eliasza).*

Jest to ponowne wydanie, zastosowane do zmienionych dzisiaj stosunków, książeczki księżnej wirtembergskiej pod tymże tytułem, która przed 70 laty pierwszy raz się ukazała i stała się popularną. Pobożny pielgrzym szlachcic Chwalibóg wstępuje w dom zamożnego a pracowitego wieśniaka Biry w Dobromilu, przyjmuje u niego gościnę, gromadzi kolo siebie jego czworo dziatek, zdobywa ich serca rozdaniem obrazków świętych polskich, które im tłumaczy a potem opowiada im dzieje polskie, przeplatając opowiadanie czynami miłosierdzia i moralności; każde opowiadanie poprzedza modlitwa wspólna. Rzecz cała arcypiękna i pożyteczna, należało tylko sprostować niektóre mylne, dzisiaj już wyjaśnione poglądy historyczne, jak np. ten: Zygmunt III. grzeszny, obojętny, uparty, dumny, zazdrośny i przykry w obejściu się, Szwecyę stracił a Polski nie uszczęśliwił, owszem, wiele złego narobił", str. 89. Autorka powtórzyła to za Niemcewiczem i Bandkem, ale dzisiaj autorom „Macierzy" takich z gruntu mylnych zdań powtarzać i między ludem rozszerzać nie godzi się.

Z czasu powodzi, napisał *Romuald Starkel.*

Opowiadanie ma za cel podać odstraszający przykład przywłaszczenia sobie cudzego mienia, i drugi przykład poświęcenia się wspaniałomyślnego dla ratowania nieprzyjaciela w niebezpieczeństwie. Poruszona jest tam potrzeba zapobiegania wylewom wspólnemi siłami i oszczędzania lasów, jako rezerwoarów wody. Książeczka ma zalety dziełka ludowego. Wyrażenie się na str. 18 „rzucała ślepiami" niestosowne tu, raz, że w ogóle „ślepie" zamiast „oczy" jest wyrażeniem pospolitym, a powtóre, że lud wyraża się tak tylko wtedy, jeżeli jest mowa o oczach brzydkich, jak np. u czarownicy, tu zaś mowa o „szwarnej Hani".

U nas taki zwyczaj, obrazek z życia ludu.

„Piękne są zwyczaje ludu naszego, ale kosztowne"; tem zdaniem zaczyna nasz autor. Zwyczajami w broszurze omówionemi są: wesela, poświęcenie chałup, pielgrzymki do miejsc odpustowych, wystawne pogrzeby, a raczej z temi okazyami połączone wydatki na zabawy i pijatyki. Znający dokładnie lud i badający dokładnie jego stosunki przyznać musi, że wydatki z powodu tych okazyj przez wieśniaka ponoszone są nader wielkie i że w nich mają zazwyczaj początek długi wieśniaków, które rosnąc, cały jego dobrobyt niweczą. Obrazki malują faktyczny stan rzeczy. Przyznać też autorowi należy, że ściśle odłączył tam, gdzie to należało, sprawę religijną, od rzeczy z nią niemających związku. Jednakże naszem zdaniem, na niektóre z tych zbytków należy się zapatrywać nietylko ze strony finansowej, lecz też ze strony pięknej i moralno-religijnej. U wieśniaka obrząd religijny od zwyczaju towarzyskiego nie tak ściśle jak u klas wykształconych oddzielony, więc też występowaniem przeciw zwyczajom tego rodzaju można zachwiać cokolwiek

religijność ludu. Na to twierdzenie moglibyśmy autentyczne przytoczyć dowody. Wprawdzie wielu wraca z miejsc odpustowych takimi jak tam poszli, lecz ogół odnosi stamtąd wrażenie dodatnie, które obudza duszę bogdaj na chwilę i gotowe przy sposobności odnowić się, co wszystko warte tych kilkudziesięciu groszy, które przy tej sposobności stracone zostały. „Okazye" przy święceniu domów i stypy, są krom wesel i chrzcin jedyną chwilą, gdzie gościnność słowiańska ma dziś u ludu zastosowanie, bo po za tem wyjątkowo tylko utrzymują się na wsi stosunki towarzyskie zwłaszcza między mężczyznami, którzy tylko na polu lub na jarmarku się spotykają. Zgromadzenia takie, pominąwszy pijatyki, przeciw którym walczyć należy, mają także etyczne znaczenie, są zwyczajami, jak je autor nazwał „pięknemi". Wprawdzie po nieboszczyku, o którym w broszurze mowa, nawet deski na trumnę nie zostało, lecz z doświadczenia wiem, że są starsi gospodarze i gospodynie, którzy na „śmiertelną koszulę" nieco pieniędzy przechowują. Gdyby dziś nastała ustawa, żeby tych, co gotówki nie zostawią, tylko kosztem 50 kr. pokropić, toby i te kilkanaście reńskich w $^9/_{10}$ częściach przepite zostały.

Przeciw zbytkowi w zwyczajach ludu działajmy, propagując oszczędność i trzeźwość a zachęcając do pracy; może dokażemy, że wydatki okolicznościowe opędzone zostaną gotówką. W ten sposób piękne zwyczaje mogą być zachowane, bo one są „piękne" i w pewnym względzie potrzebne.

ANTEK SOCHA MŁODY WOJAK, powiastka historyczna z czasów Jana Kazimierza, napisał *Józef Grajnert.*

Praktyczny cel powiastek historycznych dla ludu jest ten, by w bohaterach tu działających i ich synach zagrzał się duch miłości ojczyzny i czynów patryotycznych. Poznanie dziejów stoi na drugim planie, o ile historya dla ludu nie jest celem tylko środkiem. Powiastka o Antku zawiera za wiele materyału historycznego, który dla nieobeznanych z dziejami jest niezrozumiały. Lepiejby było na panowanie Jana Kazimierza ogólny tylko rzucić pogląd a zatrzymać się za to dłużej na Rusi i skreślić jej dolę i położyć na to nacisk, wśród jakich okoliczności, przez kogo i jak brononą była; że ci co jej tak bronili, czyli też ich potomkowie to nie „zawołoki etc", ale na uznanie swych praw na tej ziemi zasługują. W ten sposób napisana książeczka byłaby skutecznem antydotum przeciw wrogim szczwaniom. Co do Rusi, to autor nielitościwie obszedł się z jej językiem, należało raczej całkiem go nie używać, np. „Oj ridnyji" zam. (ridni lub ridnii) „a szob wy propadały pohane syny" (zam. szczob wy propadły pohani syny), „naszji (zam naszi), „Sława Bogu" (zam. Bohu), „Oś win" (może, weś, wszystek?) „hutor horyt", „ubiły" (zam. ubyły), „pidite" (zam. pijdit), „synom" (z. synam), „pomohite angely" (zam. pomozit anhely). Wyrazy łacińskiego pochodzenia, lub w ogóle dla ludu mniej zrozumiałe, jak: opat, weteran, refektarz, kanafarz, eksportować i t. p., należało albo czysto polskiemi zastąpić, albo też w klamrze dać wyjaśnienie. W ogóle jednak książeczka, zwłaszcza dla więcej inteligentnych czytelników jest zajmująca i polecić ją można na nagrody szkolne dla starszej młodzieży.

ŻYWOT ŚW. WOJCIECHA, opisał *Darosław Janowski* (z 2 ryc.)

Książeczka ma „imprimatur" władzy duchownej, a czytanie jej nietylko podniesie uczucie religijne i moralne

ludu, lecz zapozna go z pierwszemi dobami życia narodu polskiego, na które daje stosunkowo szeroki pogląd.

KRÓLOWA KORONY POLSKIEJ. Żywot Najś. Panny Maryi Matki Chrystusa Pana, opisał *Władysław Bełza* (z 2 ryc.)

Broszura zaopatrzona w „imprimatur". W pierwszej części opisana jest szczególniejsza cześć narodu polskiego ku Najśw. Pannie; jak ona objawiała się, jakie dobroczynne łaski niebios sprowadziła (obrona Częstochowy), jak z dniem każdym rosła liczba czcicieli Maryi, że w końcu naród cały poddał się uroczyście pod Jej protekcyę, ogłaszając Ją swoją królową. Druga część dziełka kreśli żywot N. P. Maryi, historyę cudownego Jej obrazu na Jasnej Górze, ze wzmianką o innych miejscowościach łaskami Maryi słynących. W końcu jest kilka pieśni ku czci Najśw. Panny oddawna w Polsce śpiewanych. Styl przystępny, opowiadanie duchem wiary ożywione.

KALENDARZ „MACIERZY" na rok 1885.

Powiemy krótko, że treścią swoją powieściową ddaktyczną, gospodarską i informacyjną odpowiada swemu przeznaczeniu i że czytelnik wiejski znajdzie to, co go rozerwie i pouczy. Jako osobliwość podnosimy tu „Przypomnienia gospodarskie", które w dziale kalendarzowym zamiast zwykłych przepowiedni, przy każdym miesiącu są podane, a które dla wieśniaka prawdziwą są recepta, jak postępować przy gospodarstwie. Pomysł ten zdaje nam się skuteczniejszym, jak broszura o rozumnem gospodarowaniu, bo gdy treść broszury po przeczytaniu przebrzmi, to przypomnienia gospodarskie nasuwają się uwadze gospodarza, ile razy do kalendarza zaglądnie. Dodać należy, że kalendarz ten, objętością nieustępujący największym, jest od nich znacznie tańszy, kosztuje bowiem 40 ct. a dla prenumeratorów „Niedzieli" tylko 25 ct.

TYGODNIK „NIEDZIELA".

W sprawie rozszerzania oświaty i moralności wśród ludu, ważną rolę przypisać należy czasopismu „Niedzieli" które podobnież nakładem „Macierzy" wychodzi. Pojawia się ono raz na tydzień w objętości małego arkusza druku i kosztuje rocznie 3 zlr. 50 ct. Przewertowa liśmy pilnie cały rocznik I. „Niedzieli" i możemy z przyjemnością wyznać, żeśmy tu nic takiego nie znaleźli, coby gorszyło czytelnika, lub też w nim jakie ujemne instynkta choć pośrednio wywołać były zdolne. Jest i w tem niemała zasługa, ma jednak „Niedziela" inne dodatnie strony i zasługi. Obejmuje ona następujące działy: 1. artykuły treści rozmaitej, 2. artykuły społeczne, 3. wiersze, 4. sprawy krajowe, 5. sprawy gospodarskie, 6. w odcinku powieści i opowiadania, a wreszcie nowiny z kraju, świata, rozmaitości, zagadki, anegdotki i t. p. Między artykułami pierwszej kategoryi najwięcej jest życiorysów Świętych Pańskich (polskich), lub ustępów objaśniających znaczenie katolickich uroczystości i obrzędów. Kto zna pobożność ludu naszego, i wie jakie znaczenie mają dla niego święta, obrzędy i zwyczaje religijne, ten musi przyznać, że umieszczenie rzeczy traktujących o tem na czele pisma jedna mu czytelnika, który wtedy z większą wiarą i ciekawością weźmie się do dalszej lektury. Jest to prawdziwie praktyczne postępowanie od znanego do nieznanego. Sprawom ściśle gospodarskim poświęcono tu może najwięcej miejsca; dotyczące artykuły miały na względzie nietylko gospodarstwo rolne, ale też i wszystkie jego gałęzie. Najmniejszą objętość mają nowiny „ze świata" podawane, wiado-

mości znajdują się tylko ważne, tyczące się faktów dokonanych, co także za stosowne uważamy. O reszcie artykułów powiedzieć musimy, że podobnież liczą się z potrzebami różnorodnemi z naturą, sposobem pojmowania ludu; a więc całe pismo odpowiada warunkom i celowi.

Teraz pozwolimy sobie z odniesionych wrażań zestawić ogólny obraz i pogląd na działalność towarzystwa „Macierzy polskiej", o ile ona na zewnątrz się uwidoczniła. Takowa zmierzała przedewszystkiem: ku podniesieniu ludu moralno-religijnemu, ku polepszeniu jego bytu fizycznego, materyalnego, ku zrozumieniu obowiązków jego względem siebie, rodziny i bliźnich i korzyści z ich wypełniania płynących, wreszcie ku rozbudzeniu u niego samowiedzy narodowej i rodzącej się ztąd miłości ojczyzny.

Pierwszej tendencyi poświęcono 2 dziełka (Żywot św. Wojciecha i N. Panny Maryi), a w „Niedzieli" osobne artykuły; a nadto tam, gdzie to było okolicznościami wskazane, zasady moralności na podstawie religijnej i katolickiej oparto. Oto cnoty, które rozbudzić usiłowano: cześć dla rodziców, miłość i zgoda małżeńska i rodzinna, poświęcenie się dla rodziny i bliźnich, pracowitość, oszczędność, trzeźwość i poszanowanie cudzej własności.

Praca „Macierzy" skierowana ku wyświeceniu wieśniakowi obowiązków, jakie ma względem rodziny, bliźnich, gromady i kraju, uwydatniła się podobnież w osobnych broszurkach, a nadto w powiastkach i poszczególnych artykułach „Niedzieli" i kalendarza. Wydawnictwo usiłowało także wpłynąć na uchylenie nieufności wieśnika dla „pana" i antagonizmu między gromadą a dworem, a to pośrednio w osobnej broszurze „O pracy i własności" i okolicznościowo gdzieindziej. Dziełka zawierające szczegóły z dziejów Polski, (przedewszystkiem Pielgrzym w Dobromilu, Jan Sobieski, Antek Socha), przyczyniły się do rozbudzenia samowiedzy narodowej i płynącej ztąd miłości ojczyzny, patryotyzmu. Ale jeśli niejaki skutek w tym względzie osiągnięty został, to tylko pośrednio, gdyż dziełka zupełnie wolne są od szowinizmu. Podnieść tu należy takt autorów i osób decydujących, którzy wszystko, coby mogło wspólne pożycie obywateli naszej ziemi poróżnić, zupełnie pominęli, czem „Macierz polska" powinnaby służyć za wzór innym wydawnictwom podobny cel na oku mającym, a jednak niezdrowym instynktom ludu nierzadko schlebiającym.

Co do stylu w wydawnictwach, to ten w ogóle liczy się z intelligencyą czytelników; nie zniża się zbyt do ludu prowincyonalizmami lub rubaszną dykcyą, z drugiej strony nie wznosi się wytwornością do wyżyn, sposobem pojmowania ludu niedosiężnych.

Zewnętrzna strona broszurek przedstawia się korzystnie: są starannie zeszyte, dość trwale oprawne, obcięte, dużemi czcionkami drukowane — a przytem wszystkiem tanie; przeciętnie od 4—10 ct. za egzemplarz.

Z końcem września z. r. ilość wydanych dziełek wynosiła 105.000 egzemplarzy; dziś cyfra ta znacznie się podniosła. — „Niedziela" miała w tymże czasie 1169 prenumeratorów; z liczby tej jednakże tylko 470 włościan — wedle „sprawozdania z czynności „Macierzy" z r. 1884".

T. P.

SPRAWOZDANIE

z ruchu religijnego, naukowego i społecznego.

Sprawy Stolicy św.

Położenie kamienia węgielnego pod pomnik Wiktora Emanuela i mowa Depretisa. — Artykuł Monitora Rzymskiego: „Kwirynał i Watykan". — *Diritto* o protestacyi Ojca św. — Budżet religijny we Francyi. — Słowa p. Ferrego.— Mowa br. Ravignana. — List kardynała Lavigerie. — Protest zbiorowy biskupów angielskich. — Ruchy socyalne we Włoszech: studenci, włościanie, armia.— Prebenda Leona XIII. — Katolicy holendersey. — List Ojca św. do cesarza chińskiego.

Dzienniki włoskie z dni ostatnich zapełnione są opisem położenia kamienia węgielnego pod pomnik Wiktora Emanuela na Kapitolu. W dniu 22 marca uczestniczyła w tym obchodzie cała rodzina królewska i władze państwa. Posąg stanąć ma na miejscu klasztoru Ara-Coeli, który będzie z ziemią zrównany, z wielkim żalem znawców sztuki; lecz wszystkiego się można spodziewać po tych, co wyrzucili krzyż z Koloseum! Wzniesienie pomnika Wiktorowi Emanuelowi na wzgórzu kapitolińskiem jest uroczystą sankcyą niecnego zaboru Rzymu i wywłaszczenia Stolicy św. Mowa ministra Depretisa przy tej sposobności wypowiedziana, zaznaczyła ten charakter obchodu, powtarzając z enfazą słowa „niewygasłej pamięci" Wiktora Emanuela: „*siamo a Roma e ci resteremo*" (jesteśmy w Rzymie i zostaniemy w nim). Chciał on widocznie odpowiedzieć na ostatnią mowę Ojca św., ale tem samem dał mimowolnie słuszność jego słowom.

Nie pierwszy to raz rząd usadowiony w Rzymie przemawia w ten sposób. Historya uczy nas, w co się ta pewność trwania obróciła. Jedna jest tylko w Rzymie instytucya niewygasłej

pamięci, to jest nieprzerwalny szereg panujących Papieży a tej instytucyi Włochy urzędowe nie zniweczą.

„Mowa Depretisa, mówi Monitor Rzymski, jest programową; widać w niej wypowiedzenie walki papiestwu przez Włochy zjednoczone, co dotąd nigdy nie było oficyalnie uczynionem. Pierwszy to raz Rzym jest nazwany miastem króla, pierwszy raz ogłoszona jest niemożebność dwóch panów w Rzymie, gdy dotąd przypuszczana była możebność mieszkania ich obok siebie w pokoju. Depretis oddzielił Rzym od Watykanu i oświadczył królowi: wszystko to jest twoje. Owładnięcie to nowe tem jest ważniejsze, iż się stało w obec rodziny królewskiej, dworu, rządu, przedstawicieli władz państwa i ciała dyplomatycznego. Okoliczność ta nadaje wyzwaniu Depretisa cechę oficyalną. Jak biegły wódz wybrał on chwilę najsposobniejszą i zatknął chorągiew swoją na szczycie Kapitolu. Jasna to manifestacya, że dynastya królewska i rząd włoski uważają Rzym za swoją własność wyłączną; w obec tego upada wszelka możność układów i kombinacyj.

„A więc wojna! Lecz zachodzi pytanie czy wojnę tę przyjmują i potwierdzają państwa reprezentowane przez wysłańców swoich obecnych tej uroczystości? czy i o ile ci reprezentanci przyklasnęli rozwiniętemu przez p. prezesa ministrów programowi? czy też p. Depretis bez zezwolenia wyzyskał obecność ciała dyplomatycznego na korzyść kwirynału i czy ono przyjmie w milczeniu tę alternatywę? Zdaje się, że wypowiedzenie słów wyzywających papiestwo w obec przedstawicieli Europy jest więcej niż zuchwalstwem, jest przestępstwem.

„Bądź co bądź wypada zanotować słowa p. Depretisa. Nie pozostawiają one wątpliwości; walka jest stanowcza, walka między Watykanem a kwirynałem, między Kapitolem a papiestwem, między katolicyzmem a rządem nowonarodzonym, walka wielce drażliwa, ogarniająca interesa świata całego, walka ta zatwierdzoną została stanowczo wybitną mową p. Depretisa. Tem lepiej. Zatwierdzają się przeto jasno i wyraźnie, odważne słowa Leona XIII. wypowiedziane z okazyi siedmiolecia jego papiestwa. Mowa p. Depretisa staje się niejako komentarzem alokucyj papieskich. Istnienie i wielka ważność kwestyi rzymskiej rysuje stę wyraźnie; nie ma już miejsca na kompromisa, układy, półśrodki; walka jest otwartą. Idzie tylko

o to kto w tej wojnie zwycięży, czy lew watykakański czy wilczyca kapitolińska?

„Kapitol przedstawia cywilizacyę przeżytą i zagasłą tj. pogaństwo; Watykan jest najwyższą władzą cywilizacyi żywej i najświetniejszej tj. chrześcijaństwa, z całym urokiem chwały pochodzącej z zdobyczy moralnych i pokojowych. Źle miał natchnienie p. Depretis wywołując tylko pogańskie wspomnienia; cofnął się przed majestatem Rzymu chrześcijańskiego, który jest żywą protestacyą przeciw jarzmu gniotącemu Wieczne Miasto.

„Rzym jako stolica Włoch jest w historyi przypadkiem wywołanym przez podstęp. Rzym papieski ma urok tajemniczy dziewiętnastu wieków chrystyanizmu i wszystkich dobroczynnych następstw jego. Jako zastępca Boga na ziemi, Papież reprezentuje wieczność; widział on nieraz jak następowali po sobie jednodniowi zdobywcy, zdrajcy ginący jak giną zdrajcy; wśród tego Watykan stał niewzruszony, a papież czekał godzin Bożych, godzin sprawiedliwości i odwetu. P. Depretis wywołał w swej mowie wielką postać Napoleona, przypomniał chwałę jego wojowniczą, zamach na Rzym i śmierć na wygnaniu. Dla czego właściwie trącił o wielką naukę historyczną, jaka stąd wypływa? Zaborcy powinniby zadrżeć na to wspomnienie.

„Kwirynał i Kapitol to sprawa jednej rodziny, jednego rządu krótkotrwałego, nawet nie sprawa kraju, bo gwałt ten narzucony został ludowi tak samo jak i papieżowi, w obec bezwładnej Europy. Tymczasem papież i Watykan zajmują najpierwsze miejsce w świecie i w cywilizacyi; instytucya papiestwa, boska w swoim początku, tkwi w sumieniu publicznem, stanowi wątek dziejów, jest istotną sprawą świata. Obecnie krzyż nad nim zawisł i zgina go ku ziemi; lecz papież może czekać, gdy natomiast polityka jednodniowa zależy od jednej bitwy przegranej, od byle jakiego politycznego wypadku. Dzieło chwili, zniszczyć może chwila".

Przy otwarciu konsystorza w dniu 27 marca, zaprotestował Ojciec św. w sposób uroczysty, przeciw mowie Depretisa i położeniu kamienia węgielnego pod pomnik Wiktora Emanuela. Boleść i gorycz przebijały się w przemówieniu Papieża; nie bez powodu, bo całe to wystąpienie było właściwie skandaliczne i obiło się boleśnie w sercach Kościołowi oddanych. Fakt ten nie powinien pójść

w niepamięć, jak się to dziś wydarza wśród natłoku nowości politycznych, jest on bowiem ważnym krokiem na drodze gwałtów. Rząd włoski z dziecinną nieoględnością wywołuje sytucyę zaostrzającą się z dniem każdym; poniesie on w obec historyi odpowiedzialność za wszystkie następstwa jakie wypłyną z tego łańcucha przywłaszczeń. Gwałty jego świętokradzkie doprowadzają do ostateczności sumienia katolików i cierpliwość Ojca Chrześcijaństwa.

Dziennik liberalny *Il Diritto* nazywa „nieprzyzwoitem“ zachowanie się Watykanu w obec faktu pomnika Wiktora Emanuela i następujące czyni w tym przedmiocie uwagi: „Byłoby dobrze, żeby się o tem dowiedziano za granicą, aby się nikt z nas i nikt w ogóle nie łudził, że Włochy wejdą w jakiekolwiek układy z duchowieństwem, z Watykanem, z papieżem, czy się będzie zwał Leonem lub Grzegorzem, Piusem, albo Klemensem. Papież zawsze papieżem; złorzeczy wszystkiemu, co najszlachetniejsze, najwznioślejsze w historyi ludzkości, a mianowicie takim patryotom wielkiego zakroju, jakim był król Wiktor-Emanuel“.

Nie wiedzieliśmy, odpowiada na to dosadnie jedna z gazet papieskich, że wyłom w Porta Pia należy do najwznioślejszych faktów w historyi ludzkości!

We Francyi projekt obkrojenia budżetu religijnego, już przed kilkoma miesiącami uchwalony w niższej izbie, przeszedł ostatecznie i w wyższej. Senat, pisze o tem *la Semaine religieuse*, który zrazu postanowił był odrzucić ograniczenia proponowane przez izbę, poddał się ostatecznie podczas pamiętnej sesyi 21 marca. Pamiętnej, mówimy, gdyż pozostanie ona w pamięci ludzkiej, jako niezwykły przykład chwiejności prawodawczego ciała: padły najprzód ofiarą kredyty niesankcyonowane przez prawo; później porwano się na te, które istniały na mocy dekretów opierających się na prawie. Powoli przyszła odwaga. Odrzucono w ten sposób sumę odnoszącą się do pensyj biskupich. Za nią poszły pensye kapituł, za niemi bursy seminaryów, pensye kapelanów wojskowych, pensye nawet biskupów kolonii francuskich, jak biskupa Gwadelupy, w końcu i utrzymanie fakultetów teologii katolickiej. Pan prezydent rady ministrów, obecny na posiedzeniu wzrokiem i słowem kierował ruchami walecznej

armii swojej, chcąc uniknąć wszelkiego zajścia pomiędzy władzami, dowiódł on jeszcze i w tym przypadku głębokiego uszanowania dla konkordatu. Oświadczył nawet, że odrzucając tak znaczną kwotę z budżetu religijnego, „nie dotknęła izba w niczem ważniejszem kredytów zapewniających utrzymanie duchowieństwa".

Konserwatywna prawica w senacie dopominała się odważnie i wymownie o prawa Kościoła. Przemawiali Chesnelong, Lucian Brun i baron de Ravignan, ostatni tak skończył: „Panowie! będzie to ostatnie moje słowo: macie upodobanie, jak twierdzicie, w położeniach jasnych, i my nie szukamy dwuznacznych sytuacyj, i dlatego pragniemy, abyście wasze zdanie wyraźnie objawili. Czy chcecie utrzymania konkordatu, czy też opuszczacie go stanowczo? Trzeba powiedzieć tak, lub nie; potrzeba rzecz dobrze rozważyć; taka doktryna i taktyka prowadzą daleko, a system podobny może podtrzymywać istnienie gabinetu, lecz nie dowodzi, aby ten gabiuet o co więcej się ubiegał, jak o swoje własne istnienie; gdyż nie brak mu wcale wpływu na izbę deputowanych, tylko to źle, że ucieka się do niego wtedy dopiero, gdy idzie o przedłużenie jego ministeryalnej egzystencyi, a raczej jeszcze wtedy, gdy idzie o pokrycie jego błędów politycznych".

Kiedy p. Ravignan mówił te słowa, gabinet Ferrego, otoczony plejadą swych interesowanych sojuszników, wsparty łaską żelaznego kanclerza, stał jeszcze mocniej, niż którykolwiek z poprzednich rządów. W tydzień potem wyjawiły się w obec świata nietylko jego błędy polityczne, ale też oszukiwania izby i kraju. I ten sam Ferry, który pierwszy wniósł hasło wychowania bezwyznaniowego i rozpędzania zakonów, który niecną taktyką oportunizmu, tym sposobem utrzymywał się u steru i zaspokajał krzyki radykałów, że im raz po raz rzucał po „kawałku księdza" — ten sam Ferry, wśród gwizdania i obelg, wyrzucony został formalnie z parlamentu, upadł tak sromotnie, jak żaden z poprzednich rządów.

Przed upadkiem jeszcze Ferrego, ale już po zawotowaniu w senacie okrojenia budżetu wyznań, otrzymała komisya senatu list arcybiskupa Algierskiego, kardynała Lavigerie, w którym sędziwy pasterz uwydatnia ciężką krzywdę, zadaną wierze katolickiej i interesom Francyi temi uszczupleniami pensyi seminarów, kapelanów wojskowych i biskupich.

„Zniżono już płacę moją, pisze on, z 30 na 25 tysięcy, potem na 20 tysięcy, a obecnie izby zawotowały umniejszenie jej na 15.000 franków. Z tego wynika, że gdy zwyczajny biskup algierski otrzymywał 30.000 franków, arcybiskup kardynał otrzymuje obecnie 15.000. Lecz to jeszcze nie wszystko. Podczas gdy izby umniejszały w ten sposób płacę arcybiskupa, rząd udawał się do jego patryotyzmu, żądając coraz to nowych ofiar. Arcybiskup mający objąć siedzibę w Tunisie musiał przybrać w Algierze koadjutora; w Tunisie zaś, chcąc spełnić swoje zadanie musiał przybrać biskupa pomocnika i podzielić się pensyą rządową z dwoma tymi prałatami, niemającymi żadnych zgoła dochodów. Tak więc posiada w rezultacie arcybiskup algierski od 1884 r. dla dwóch swoich biskupów i dla siebie jako kardynała i administratora dwóch archidyecezyi 15.000 franków, gdy jako biskup zwyczajny pobierał 30.000. W tych warunkach można żyć jedynie z żebraniny. Do tego więc źródła ucieka się arcybiskup Algieru i Kartaginy, i on i jego duchowieństwo w Tunisie utrzymują się z jałmużny. Kończę, panowie, bo lękam się, aby nie odezwała się we mnie gorycz. Już miałem sposobność powiedzieć wam, że nie ma większej boleści dla człowieka, miłującego swój kraj, dla kapłana, który życie swoje sterał na usłudze tego kraju, jak uczucie, że kraj ten zapomina o prawidłach najprostszej sprawiedliwości".

List ten przyszedł już za późno; a zresztą mówił o sprawiedliwości do ludzi, którzy nie chcieli o niej słyszeć. Otrzymał także rząd francuski w tym samym przedmiocie notę zbiorową od wszystkich biskupów algierskich. „Wytrwałe prześladowanie, mówią oni, wymierzone na kler algierski, jest tem mniej do zrozumienia, że go żadne powody nie usprawiedliwiają. Mówiono we Francyi o polityce nieprzychylnej. Nigdyśmy w Algieryi nie mieli do czynienia z kwestyami politycznemi. W stosunkach z wiernymi, po największej części nie francuzami, trzymaliśmy się zawsze zdala od wszelkiej polityki. Podlegając władzy kościelnej i jej tradycyom, nie znamy jako księża i nie opowiadamy innego królestwa, jak królestwo Boże. Jeżeli kto o naszych słowach wątpi, niech zapyta tych, co od lat piętnastu są na czele tutejszych kolonij, jeżeli jeden z nich zaprzeczy słowom naszym, w takim razie niech te słowa przebrzmią bez skutku. Lecz jeżeli stwierdzonem zostanie, żeśmy obok największej

roztropności okazywali najczystszy patryotyzm, jakże usprawiedlić ostracyzm, jakiego padliśmy ofiarą?

„Poszliśmy do Algieru na mocy zobowiązań publicznie przyjętych względem nas przez państwo, na mocy układów z Stolicą św. ratyfikowanych przez Francyę. Żądamy, aby państwo wypełniło swoje względem nas zobowiązania, tak jak my wypełnialiśmy zawsze wiernie nasze obowiązki względem kraju. Jeżeli rząd nie może dotrzymać tego, co przyobiecał, nie powinien się dziwić, że nam będzie niepodobnem utrzymać duchowieństwo francuskie w tym kraju; środki, jakich rząd względem kleru algierskiego używa, mogą wytępić jego patryotyzm i zachwiać jego wierność".

Innego rodzaju zło grasuje we Włoszech i wszystkie gazety tego kraju o tem pełne. Powolny, lecz systematyczny postęp w ideach rewolucyjnych i anarchistycznych dotarł aż do klas najuboższych, do ludu, i tu straszliwe może przybrać rozmiary. Ruch zaczął się w północnych Włoszech, mianowicie w okolicy Mantuy; przypomina on najwierniej sprawę agracyjną irlandzką. Rząd odrazu wystąpił bardzo energicznie, aresztowano tak wiele osób, że więzienia Mentuy nie wystarczyły i musiano odesłać część aresztowanych do Werony. Czy jednak te środki gwałtowne przywrócą pokój, wiedzieć nie można. Przemoc nie bywa skuteczną w kwestyach agracyjnych, jakeśmy to już gdzieindziej widzieli. Dzienniki nieprzychylne panu Depretis, przypisują mu, że staje po stronie większych właścicieli ziemskich. Faktem jest, że ani dawniejsze ministerya, ani ostatnie nic nie uczyniły dla polepszenia doli chłopa. Jedna z gazet liberalnych, przychylnych rządowi, pisze: „chłop był biedny przed konstytucyą włoską, lecz po niej jest nędzarzem". W istocie wieśniak włoski ponosi większe ciężary w podatkach niż dawniej, a odbierają mu coraz więcej podporę, jaką mu dawała religia.

Między aresztowanymi w Mantuy znajduje się inżynier Eugeniusz Sartori, prezes stowarzyszenia prowincyonalnego włościańskiego, oraz Klemens Nizzoli, sekretarz tego samego stowarzyszenia. Przetrząśnięto ściśle ich mieszkania. Przytrzymano także w Casatico kapitana Franciszka Siliprandi, współpracownika dziennika *Favilla*, prezydenta stowarzyszenia włościańskiego; w Castel d'Ario aresztowano Tytusa Melesi, redaktora dziennika *Pellagroso*. „Ogromne wzburzenie panuje w całej okolicy, (piszą do monitora rzymskiego). Do Peschiery

przybyły dwa bataliony 70-ego pułku piechoty". *Gazzetta di Mantova* pisze: „Aresztują po wszystkich gminach wiejskich; około stu szefów sekcyj stowarzyszeń chłopskich jest uwięzionych. Szesnaście osób wzięto pomiędzy Ostiglia i Rovero, prowadził ich szwadron kawaleryi i dziesięciu karabinierów".

Towarzystwo rolnicze mantuańskie wydało odezwę, wzywającą do zebrania się w obec niebezpieczeństwa zagrażającego rolnictwu a mianowicie klasom roboczym, które trzeba wziąć w opiekę. Anarchizm przechodzi w wandalizm. W Quistelto, Moglia di Gonzaga, Rovere i innych miejscowościach, wycięto większość winnic w pień. Dziennik medyolański *l'Italia* z 29 marca podaje przez swego korespondenta następujące szczegóły: „Członkowie stowarzyszeń demokratycznych zebrali się w „konsulacie robotniczym". Deputowani Cadenozzi i Aporti obecnymi byli temu zebraniu. Dyskusya była długa i ożywiona. Postanowiono wyznaczyć komisyę, której się poleci czuwanie nad sprawą robotników, w porozumieniu z właścicielami, i zbieranie składek na rodziny aresztowanych. Wczoraj w nocy ostrzeżono pisemnie o rabunku pewnego właściciela w Ribalta. Innemu rzucono przed konie pęk gałęzi, konie przestraszone uniosły. Prezydent banku włościańskiego zaczepiony krzykami w drodze, kazał zatrzymać powóz, pytając, co to znaczy. Jedź, jedź, powiedziano mu, niedługo już będziesz powozem jeździł. Baron Moll wracając wieczorem do domu z przyjacielem, usłyszał te słowa: nie będziesz już jadał kurcząt, lecz my je będziemy jedli".

Inny symptom ważniejszy i bardziej jeszcze niepokojący objawił się temi dniami: *Moniteur de Rome* z 5 kwietnia donosi, że policya aresztowała dwa dni temu naczelnika stronnictwa mazzinistowskiego nazwiskiem Albani i zabrała jednocześnie 2.500 egzemplarzy proklamacyi pod tytułem „*Aliance universelle républicaine*". Odezwa ta zwraca się do żołnierzy włoskich i wywołuje namiętności rewolucyjne. Jak widać, irredentyści dobierają się już do armii. Groźna interwencya rządu świadczy, że niebezpieczeństwo nie jest mu tajnem. Wojsko bowiem jest ostatnią, jeżeli nie jedyną podporą obecnego systemu; jeżeli wojsko da się pociągnąć, cóż mu pozostanie?

Byłoby więc lekkomyślnością zaprzeczać istnieniu niebezpieczeństwa rewolucyj, groza na wszystkich punktach powstaje, pod

najrozmaitszemi postaciami: lud, młodzież szkolna, wojsko, słowem cały organizm społeczny zapowietrzony jest ideą przewrotu. A rząd zajęty przytłumianiem ruchu jedną ręką, drugą dopomaga mu bezwiednie, targając się na Kościół i własność, podkopując czynem i przykładem prawa moralności i sprawiedliwości, będące podstawą społecznego bytu.

Na zakończenie kilka weselszych szczegółów.

Prebendą Leona XIII. nazywa się piękna i sercem obmyślana instytucya, założona przez niezmordowanej gorliwości kapłana Pasquale Origo. Do tego dzieła wspaniałej szczodrobliwości przystąpiło już bardzo wiele kapituł włoskich, mianowicie południowych; ofiarowały one z radością część swoich dochodów, aby przyjść w pomoc najdostojniejszej z potrzeb. I jak każdego roku ubiegłego, tak i obecnie w dniu 8 marca, promotor tego stowarzyszenia na audyencyi prywatnej miał zaszczyt złożyć u nóg Leona XIII. składkę kapituł z r. 1884, oraz album zawierające nazwiska kapituł stowarzyszonych i serdeczny adres, który oby czytać mogli wszyscy ci, co sądzą, iż ostygła w sercach kleru włoskiego miłość dla głowy kościoła. Ojciec św. przyjął z oznakami widocznego wzruszenia tę ofiarę miłości, i pochwalił w gorących słowach wierność kapituł w skład dzieła wchodzących i pobłogosławił z całego serca promotora i stowarzyszonych.

Tegoż dnia złożył p. Artur Verhaegen z komitetu św. Piotra w Gandawie świętopietrze w swej dyecezyi zebrane za rok 1884 w kwocie 129 tysięcy lir. Wspaniałem też było przedstawienie się Ojcu św. deputacyi katolików holenderskich pod przewodnictwem Mgr'a Bottemana, biskupa z Harlemu. „Jeżeli w wiekach ubiegłych, tak przemówił biskup, ojczyzna nasza sprawiała wielką boleść Głowie Kościoła przez swoje odszczepieństwo, dzisiaj Holandya katolicka, jak Magdalena pokutująca, postanowiła silnie naprawić błędy swoje wybitnemi dowodami gorącej miłości. Dwa tysiące Holendrów przybiegło na pomoc uciśnionemu papieżowi, a odzyskawszy dopiero od paru lat wolność i własną hierarchię, wzniosła Holandya kościoły, szkoły, szpitale katolickie i uposażyła je z hojnością godną naśladowania. Ojcze święty, rzekł kończąc dostojny pątnik, gdybyś zwra-

cając się do nas dzisiaj powtórzył pytanie Pana Jezusa do Piotra: Szymonie Janów kochasz mnie? cała Holandya katolicka odpowiedziałaby ci jak jeden mąż: „Panie, ty wiesz, że Cię kocham“. Ojciec św. odpowiedział z całą serdecznością, błogosławiąc obecnych i całą Holandyę.

Klęski, jakie spadły w ostatnich czasach na niektóre wikaryaty apostolskie w Chinach a mianowicie w Kuan-Tong i Rovei-Tcheon i niebezpieczeństwa pracujących tam misyonarzy wszelkich narodowości, wzruszyły do żywego serce Ojca św. W troskliwości swej o Kościół powszechny, uczuł on potrzebę przyjścia w pomoc tym wiernym i tym ludziom apostolskim, którzy opuściwszy ojczyznę i rodziny udali się w odległe strony i roznoszą tam, kosztem ofiar niewypowiedzianych, światło i cywilizacyę.

Wystosował przeto Ojciec św. do cesarza chińskiego Kuangsu list, tchnący uczuciami ojcowskiej pieczy, polecając jego cesarskiej opiece misyonarzy i chrześcian w jego państwie, zwłaszcza w obecnych trudnych czasach. List ten powiezie misyonarz, ksiądz Franciszek Ginlianelli, rzymianin, który się później uda do prowincyi Chen-Si, dla otworzenia tam nowej misyi włoskiej.

Miło patrzyć, jak „od wschodu słońca aż do zachodu“ rozciąga się piecza Chrystusowego Namiestnika i podczas gdy inne mocarstwa, kiedy nawet w zamiarach cywilizacyjnych z temi odległemi ludami się stykają, przynoszą im najprzód wojny i pożogi, jedna Stolica Święta śle im zawsze tylko dobrą nowinę, pokój i prawdę.

A. D.

Z Poznania.

Zjazdy obywatelskie. — Kółka włościańskie. — Towarzystwo pomocy naukowej. — Cecha wielkopolskiego społeczeństwa. — Ś. p. Władysław Niegolewski i manifestacye. — Goniec. — Smutna wielkanoc.

Żądacie odemnie peryodycznych z naszej dzielnicy odgłosów. Niełatwe to zadanie dla miesięcznego kronikarza, zwłaszcza jeśli chodzi raczej o uchwycenie przewodniczącego tętna codziennych wrażeń i zdarzeń, aniżeli o ich ścisłe zaregestrowanie. W przyspieszonym pędzie obecnego życia, następujące po sobie wypadki zbyt

szybko się wzajemnie spychają i ścierają, aby nie tracić równie szybko na jednodniowem najczęściej znaczeniu. Z innej strony bywają nieraz całe okresy tak bezbarwne i bezgwarne, że z nich bodaj żaden się odgłos wybitniejszy zachwycić nie da. Jęk strony naprężonej do ostateczności, zwłaszcza od zjazdu w Skierniewicach, drga w powietrzu ustawicznie, przysparzając ran i ruin dokoła. Co się osobiście nie wytargowało na sąsiadach, teraz pressyą opinii, przykładu, podżegania zdobyć należy. W wysokich sferach berlińskich otwarcie w ten sposób tłómaczą ciągłe wycieczki księcia Bismarka przeciw Polakom, złośliwe insynuacye półurzędowej prasy, słowem, spotęgowanie nienawiści ku wszystkiemu co katolickie, co polskie, nadawanie i przyznawanie nam znaczenia groźnego niebezpieczeństwa dla państwa. Nie tu miejsce streszczać bolesne dla nas sejmowe z ostatniej kadencyi roczniki, spisywać obelgi jakiemi nas zarzucano, szlachetne upominania się za krzywdą naszą katolickiego centrum, logiczne wywody posłów wielkopolskich, przebrzmiewające bezowocnie, zgłuszone nienawiścią i niesprawiedliwością. Nawet petycya szkolna, opatrzona przeszło 60.000 podpisów ojców rodzin, a stawiająca nader umiarkowane żądania: rozszerzenia godzin polskich dla małych dzieci, nieumiejących dostatecznie po niemiecku, oraz wrócenia Kościołowi nadzoru nad szkołą, zwłaszcza pod względem nauki religii, nie doczekała się uwzględnienia, nie przyszła pod rozprawy; komisya przygotowawcza, w duchu rządowym działając, przeszła nad ową petycyą do porządku dziennego, jakby chciała raz więcej nam udowodnić marności naszych zabiegów, w obec bezlitośnego systematu, który ani o włos nie zboczy z zakreślonego z góry planu działania. W obec tych wiecznych przegranych, podziwiać tembardziej należy wytrwałość naszych posłów, naszych obywateli, naszego duchowieństwa, i z zdwojonem uszanowaniem patrzeć na usiłowania, roboty i prace, które wśród nas nie ustają, mimo tylu przeciwnych warunków, moralnie i materyalnie ścieśniających każdą poczciwą działalność. Koniec zimy naznaczonym zwykle u nas bywa zjazdami obywatelskiemi poszczególnych stowarzyszeń; stąd następuje cały szereg sprawozdań, obliczeń i poniekąd rachunku sumienia z tego, co się zrobiło, lub zrobić było powinno, co dokonać wkrótce należy. Im cięższy ucisk, tem wyraźniejsze korzyści z podobnego zetknięcia się dorocznego, spojenia rąk wprzężonych do

poczciwej roboty, nawiązania większej jedności w działaniu i poznania dokładniejszego sił swych lub niemocy. Tegoroczne zjazdy nie były tak świetne, ani tak liczne, jak ostatnie. Przesilenie rolnicze, materyalnie ciężki rok obok moralnych zgryzot politycznych, wszystko to razem wzięte, przerzedziło szeregi obradujących, odjęło swobodę bratnim zebraniom. Rozpoczął się ich szereg dwudniowym przebiegiem narad towarzystwa centralnego gospodarskiego, bądź w walnem zgromadzonego zebraniu, bądź w pracach pojedyńczych wydziałów. Roztrząsano w tym roku kwestye bardziej ekonomiczne, aniżeli rolnicze, a więc spółek kredytowych, obniżających się wciąż procentów listów zastawnych, przesilenia agronomicznego, rozdrabniania małej własności, ogólnego krachu rolniczego przemysłu i t. d. i t. d. Znalazło się miejsce i na specyalne, a pouczające wykłady i odczyty, wśród których z wielkiem zajęciem słuchano zajmującej rozprawy p. Wł. Łęckiego o uprawie ziemniaków, z zastósowaniem pojedyńczych gatunków do odpowiedniego rodzaju gleby, i racyonalnego hodowania coraz to nowych odmian tej dobroczynnej rośliny. Ciekawy ten odczyt, oparty na doświadczeniu osobistem, ogólny rozbudził interes wśród licznego zebrania. Głównym atoli przedmiotem rozpraw tegorocznych była kwestya obchodząca raczej los i byt młodszej braci naszej, tych włościan wielkopolskich, których rozum, dzielność i zacność słusznie na cały kraj już zasłynęła. Że pewne niebezpieczeństwo zagraża tej właśnie najzdrowszej i najliczniejszej klasie naszego społeczeństwa, nie ulega wątpliwości, a to mianowicie stopniowem znikaniem małej własności, bądź przez wykupywanie hurtowne gospodarstw wiejskich przez niemieckich posiadaczów większych włości, którzy radzi się zaokrąglają i pozbywają sąsiadów wewnętrznych i spólwłaścicieli, bądź przez rozdrabnianie do ostateczności, przez parcellacye i działy familijnej szczupłej schedy odziedziczonej po ojcach. Jeśli tak dalej pójdzie, włościanie pozbawieni gruntownej podstawy, przemienią się w proletaryat coraz nędzniejszy, a dążność do rozdzielania wielkich własności na małe lecz długoletnie dzierżawy, zdoła za kilkadziesiąt lat wytworzyć na nowo położenie, wymagające ponownego też regulowania stosunków włościańskich, wprowadzić napowrót w błędne kolo robocizny i czynszów z jednej, a własności z drugiej strony. Dobroczynne zachody posła Schorlemer Alst w Westfalii, ustanowienie minoratów

lub majoratów chłopskich w wielu częściach niemieckiego państwa, z widoczną dla wiejskiego stanu korzyścią, i naszych obywateli zachęca do szukania na tej drodze rękojmi utrwalenia mniejszych posiadłości. W tym celu radzono długo i wyczerpująco, stawiając w końcu wniosek, aby zanieść całą tę kwestyę przed sejm prowincyonalny, i otrzymać zmiany pożądane w prawie spadkowem, nową ordynacyę gruntową, słowem, zdobyć warunki potrzebne do umożebnienia zachowania ziemi ojczystej w ręku jednej rodziny, przeszkadzając zgubnemu zatapianiu się małej własności w większej, lub rozdrabianiu jej aż do nic nieznaczących rozmiarów. Tu jednak napotkano na niespodziany opór, i to właśnie ze strony najbardziej interesowanej. Podniosły się zewsząd protesta włościańskie, pewną nawet cierpkością nacechowane, przeciw nakładaniu im pętów w rozporządzaniu ojcowizną. Widocznie nie czas jeszcze ową pożądaną przeprowadzać reformę, i należy poczekać, aż umysł naszego ludu oswoi się z dobrodziejstwem, w którem dziś krzywdę swoją lub dzieci swoich nierozsądnie upatruje. Cierpliwie i spokojnie działając, niezawodnie uda się przewodnikowi kółek włościańskich przekonać zwolna wieśniaków o korzyściach zamierzonej w prawie spadkowem reformy.

Instytucya zaś owych kółek coraz pomyślniejszym cieszy się rozwojem, jak nas o tem doroczny referat patrona, p. M. Jackowskiego przekonał, w obec zebrania prezesów i delegatów, gromadzącego się już po raz dwunasty w Poznaniu. Liczba kółek dochodzi blisko półtorasta, a wpływ ich znaczy się wszędzie podniesieniem rolnictwa, coraz świadomszą hodowlą inwentarza, wzrostem przemysłu domowego, wśród którego pszczelnictwo poczestne zajmuje miejsce, jakby piastowska na wielkopolskiej ziemi tradycya.

Walne zebranie Towarzystwa pomocy naukowej dorocznie przysparza chluby i pociechy naszemu społeczeństwu, które słusznie dumnem być może z blisko półwiekowej już instytucyi dobroczynnej, na łonie i w sercach naszych wypielęgnowanej. Duch dobry, szlachetny, gorący Dra Karola Marcinkowskiego nie przestaje ożywiać tę piękną, bratnią spółkę, tchnącą poświęceniem i miłością swego założyciela. Podczas gdy tyle związków i stowarzyszeń chromieje i słabnie z biegiem lat, pomoc naukowa rośnie w znaczenie, w dostatki i siłę, kapitał żelazny coraz to nowemi wzbogaca się legata-

mi. Zacne duchowieństwo przoduje w podobnem rozporządzaniu pośmiertną swą spuścizną. A wyliczyć niepodobna skromniejszych datków, zwracających nieraz kilkoletniemi wpłatami zaciągnięty niegdyś dług wdzięczności. Najwierniejszymi i najczynniejszymi członkami towarzystwa, bywają stale ci, którzy tej właśnie naukowej pomocy zawdzięczają zdobycie sobie pracą i nauką niezależnego stanowiska. Cyfry wymownie poświadczają o rozległej działalności naszego towarzystwa. W ciągu ostatniego roku było dochodu 72.395 marek, rozchód zaś wyniósł przeszło 61.000 marek. Więcej niż sześćdziesięciu młodzieńców otrzymywało wsparcie z hojnej ręki naukowej pomocy. Odpowiednio do potrzeb chwili, gdy brak seminaryów zmusza młodzież poświęcającą się stanowi duchownemu do szukania zagranicą teologicznego wykształcenia, znaczna część stypendyów towarzystwa przyznawaną od kilku lat bywa młodym klerykom, czerpiącym w Wyrcburgu najwyższej, Bożej nauki. W tym roku doliczamy się szesnastu teologów wśród młodzieży korzystającej z dobrodziejstw naukowej pomocy; dalej 29 medyków, 4 prawników, tyluż filologów, 3 aptekarzy i t. d. Miasto Poznań zawsze ofiarnością przoduje, ale i powiaty regularnie dosyłają składki, upewniające wytrwałością datków los i byt tyle umiłowanej instytucyi.

Doprawdy, patrząc na nasze tutejsze stosunki, tak przeciwne i zacieśnione i trudne, a jednak mnożące dowody żywotności swojej, świadczące stale, że „duchaśmy nie dali“, choć nam tyle cierpieć przychodzi „pod chłostą tych mocarzy“, przychodzi nam nieraz badać przyczyn tej zagadki, pytać co właściwie ową żywotność zabezpiecza, co otrzymuje w sercach iskrę ożywczą, na którą darmo dmuchają wichry ziębiące prześladowania! Otóż odpowiedź znajdujemy w tem płomieniu miłości i miłosierdzia, który stanowi cechę naszego społeczeństwa. Wierna tradycyi historycznej, która kolebkę dziejów naszych umieszcza w Kruświcy, pod gościnną strzechą kołodzieja, miodem i mąką dzielącego się ochotnie, Wielkopolska nie przestaje być wielką jałmużnicą kraju. Nic jej dobrego nie krępuje serca, nie cofa hojnej zawsze w dary ręki. Własna nawet bieda nie zdoła położyć tamy chętnym datkom i jałmużnom. Płyną one obfitym potokiem, to ku Rzymowi, aby rok rocznie przeszło trzydziestotysięczne składać świętopietrze, to ku misyi bułgarskiej, ku

internatowi ruskiemu. Gdziekolwiek w kraju błyśnie łza niedoli lub myśl podniosła, zaraz się serce Wielkopolski w tamtą skłania stronę, a ręka Wielkopolaka wyciąga ochotnie. Nie zliczyłbym składek tworzących niezmienną rubrykę naszych pism codziennych. Rosną one drobnemi datki, bo nikt się tu nie rumieni dać mało, a każdy poczuwa się do obowiązku złożenia choćby szeląga. Wśród mnóstwa różnorodnych dzieł miłosierdzia, do których świeżo wezwana była nasza społeczność, wspomnijmy i budowę starożytnego w Gryżynie kościółka, spalonego piorunem w ciągu minionego lata. Pleban miejscowy, rzewną natchniony myślą, zrobił odbitki z pięknego wiersza jenerała Morawskiego: o „Brzozie gryżyńskiej", każdą odbitkę opatrując krzyżykiem z owego drzewa, przejmującego dziatwę polską uszanowaniem i zgrozą. Miła ta pamiątka rozeszła się szeroko i daleko, przymnażając ofiary na rzecz spalonego kościoła, a tak zgasły od lat wielu sędziwy wieszcz wielkopolski czynną przykłada rękę do odbudowania wsławionej jego wierszem świątyni.

Niepodobna pominąć milczeniem, w odgłosach z ubiegłego miesiąca, śmierci i pogrzebu ś. p. Władysława Niegolewskiego. Trzydziestoletnia służba parlamentarna, domowa tradycya patryotyczna, gorącość uczuć i gotowość poświęcenia, niezawodnie wzbudzają szacunek i wywołują hołdy powszechne na świeżo rozwartej mogile. Pamięć przeto niezaprzeczonych a dawniejszych zasług przyćmioną została smutnemi wrażeniami z lat ostatnich, gdy imię wyrosłe bądź co bądź na rodzaj firmy uczuć patryotycznych, dało się użyć za osłonę dla wichrzycieli, próbujących zamącić karność i zerwać solidarność polityczną naszej społeczności. Wdzięczni za przeszłość, otoczyliśmy trumnę zmarłego posła zwartemi szeregami, bez różnicy zdań i stronnictw, czując, że w obec wiecznego spoczynku, jakiego zażyć było mu danem, i na ziemi spokój zapanować winien. Niestety! znalazły się głosy, aby w obec niezastygłych zwłok, które były mieszkaniem doczesnem dobrego serca, lecz niespokojnego ducha, wznowić spory i waśnie i oskarżenia niewłaściwe. Zamiast pogrzebowi zachować charakter serdecznego obrzędu żałobnego, wyśrubowano go do proporcyi niesmacznej manifestacyi, bardziej stronniczej aniżeli narodowej. Przesada w słowach, w formie żałoby, w szumnym wyrazie hołdów, zmniejszyła doniosłość obchodu i ujęła mu powagi. Wyliczano bez końca zasługi nieboszczyka, z pominię-

ciem może najświeższej a najrzetelniejszej, nabierającej w dzisiejszej chwili osobnego znaczenia. Warto zaś przypomnieć dziś, gdy agenci angielscy w przewidzeniu bliskiej z Rosyą wojny, na nowo się na polskiej pojawiają ziemi, iż gdy w ciągu ostatniej wojny wschodniej, intrygi i pieniądze angielskie próbowały na tyłach Rosyi urządzić dywersyę dla Turcyi korzystną, Niegolewski w sam czas przeszkodził zgubnemu działaniu, cofnął z Wiednia wysłańców Albionu, zatamował prąd złota i zgubnych podszeptów, i ocalił kraj cały od niewczesnych pokus i porywów, które byłyby w sroższą nas jeszcze otchłań niedoli wtrąciły.

Z śmiercią Niegolewskiego *Goniec Wielkopolski* z tylu względów już skompromitowany, traci ostatnią racyę bytu i resztę miru, jaki mógł jeszcze posiadać u zaślepionych nieboszczyka wielbicieli. Wplątany w jego redakcyę obywatel stanowił poniekąd jakiś sztuczny węzeł między publicznością a *Gońcem*. Węzeł ten się zrywa i zostaje tylko osierocony organ bezmyślnej tromtradracyi poznańskiej, której chyba już dziś nikt na seryo brać nie może. Ale nie potrzeba było usunięcia firmy, aby zadać cios śmiertelny niebezpiecznemu i trującemu pisemku. A z tej okazyi podziwiać nam przyszło zmysł praktyczny i szybką zaradność naszego obywatelstwa. Skoro tylko zajścia przy ostatnich wyborach uwydatniły zgubną *Gońca* robotę, postanowiono złe z korzenia wyplenić, sypnęły się ofiary, znaleźli ludzie, powstało nowe o zdrowej tendencyi i bogatej treści czasopismo: *Wielkopolanin*; redakcyę objął utalentowany młodzieniec, o sympatycznem dla czytelników nazwisku, syn patrona kółek włościańskich; dwory i plebanie poparły gorąco, rozszerzyły wpływ nowego dzienniczka; ofiarność ogółu pozwoliła do niebywałej taniości zniżyć prenumeratę nieprzechodzącą jednej marki na kwartał, i tym sposobem, takiemi środkami jawnemi a prostemi, zgotowano porażkę *Gońca*, który odrazu stracił tysiąc abonentów, ocalono zaś lud wielkopolski od grożącego mu rozstroju, skutkiem zręcznie podawanych w codziennnej porcyi jadów społecznych, podstępnych insynuacyj i hodowanych starannie podejrzliwości wzajemnych, co stanowiło właściwą treść karmiącego się skandalem i szkalowaniem pisemka.

Święta Wielkanocne uwydatniają jeszcze bolesne dzieło zniszczenia, dokonane wśród nas przez trwający już od lat trzydziestu

Culturkampf. Znikła dawna świetność obrzędów katedralnych, osierocony tron arcybiskupi, w stallach kapitulnych zaledwie kilku starców pozostało, zamilkły młode głosy lewitów, sposobiących się ku służbie Bożej, których do stu i więcej widywaliśmy na tem miejscu. Plac tumski trawą zarasta, gmachy sąsiednie opustoszały, przyległe seminaryum zamknięte, dalej widnieje klasztorek wypędzonych prześladowaniem Karmelitek, dalej jeszcze zniknęły zakłady wychowawcze pod kierunkiem Urszulanek i zakonnic Przenajświętszego Serca. Z szkół wyparty język ojczysty, wygnani po większej części nauczyciele Polacy, nauka religii prawie wcale nieuwzględniona. Gdzie spojrzeć na prowincyę, uderzają podobne prześladowania owoce. Żaden nie ostał się klasztór, czynność jedynie pozostałych Sióstr Miłosierdzia zacieśniono. Pełno świątyń Pańskich zamkniętych, doliczymy się wkrótce dwustu parafij osieroconych, na kilkomilowych przestrzeniach niema czasem żadnego księdza, aby nieść ratunek umierającym i pociechę grzesznikom. A i za tę posługę czysto duchowną, ucisk niby zmniejszony chwilowo, ściga i śledzi dotąd gorliwych kapłanów, jak to świeżo miało miejscu w Gogolewie, gdzie ks. Żmurę skazano na grzywny za udzielenie n i e p r a w n e ostatnich sakramentów konającemu. Siły się wyczerpują w pracy nad miarę zdrowia i możności ludzkiej; to też szeregi duchowieństwa przerzedzają się w przerażający sposób, a szczupła liczba nowych powołań i trudności w kosztownych studyach zagranicznych, nie odnawiają normalnie zastępu pracowników. Jeśli gdzie i kiedy, u nas powtórzyć można skargę ewangeliczną, że żniwo wielkie, a robotników mało, i wznowić prośbę, aby Pan zechciał ich wzbudzić więcej i przysłać do tej cząstki swej winnicy, tylu doświadczonej próbami.

Miasto nasze mało ożywione w ciągu zimy, jeszcze przycichnie z nadejściem pięknej pory. Chwilowo zaraz po świętach, zebranie sejmu prowincyonalnego, udzieli nieco życia zamarłej stolicy Księstwa. Ale już dziś Poznań posiada w swych murach wyjątkową a prawdziwą *great attraction*, zasługującą na bliższe zwiedzenie i zbadanie. Za powodem niestrudzonego hr. Wawrzyńca Benzelstjerna Engeströma doszła do skutku w salach pałacu hr. Zamojskiego wystawa obrazów łaskawie z różnych stron księstwa nadesłanych. Zebrał się wcale pokaźny i cenny poczet pięknych dzieł pędzla, a choć może nie wszystkie zasługują na miano autentyków, chociaż

może kto znalazłby tu nie mało punktów spornych co do mniemanego autorstwa i gotówby rozczarować niejednego właściciela; nie mniej znalazło się dużo niepoślednich tworów i prawdziwie cennych obrazów. Zbiory hr. ordynata Skórzewskiego z Czerniejewa, hr. Engeströma, hr. Sierakowskiego, hr. Augusta Cieszkowskiego, hr. Zamoyskiego i wielu innych dostarczyły tu głównych ozdób wystawy, liczącej już około 300 numerów. Teraz chcielibyśmy ją rozszerzyć jeszcze do innych zabytków i dzieł sztuki. Obrazy powszechnie są u nas w poszanowaniu, a nawet często przeceniane bywają. Ale rozsianych po domach szlacheckich i zakrystyach starych materyj, sprzętów, sreber, nikt prawie wartości zmierzyć nie jest w stanie, i większa część właścicieli nie wie nawet, co posiada. Zebrać te przedmioty na jednej wystawie byłoby pewnym środkiem poznania ich, ocenienia należytego i zrobienia inwentarza naszych skarbów artystycznych. Może skrzętna, dobra wola, która zdołała skupić w salach pałacu hr. Zamojskiego tyle pięknych obrazów, błyskających szkołą Dürera, Tycyana, Giorgionego, Veronesa, weneckich, niemieckich lub holenderskich mistrzów, potrafi podobnie zakląć w jedno czarodziejskie koło inne, drobniejsze przeszłości zabytki i spuściznę, z rzetelną korzyścią dla ogółu, bo nic tak nie kształci, nie uszlachetnia i nie podnosi, jak bliższe poznanie odbicia piękna Bożego w arcydziełach ludzkiej myśli i ludzkiej ręki.

K. F....

Jan Hus na soborze konstancyjskim.

Najnowszy obraz Wacława Brożyka.

Jedną z najciekawszych osobliwości w świecie artystycznym jest niewątpliwie Wacław Brożyk. Malarz ten liczy obecnie zaledwie 32 lata wieku, a już imię jego znanem jest w Paryżu, w Berlinie, w Wiedniu, to jest mniej więcej w całej Europie, a o ileż więcej znanem i szanowanem być powinno w słowiańskich miastach i ziemiach. Mamy w nim bowiem jedynego z pomiędzy znakomitych synów słowiańszczyzny, co bez poparcia ze strony swoich, bez podstawy i przeszłości w ojczyźnie, zawdzięczają zdobyte stanowisko

najprzód wysokim zdolnościom danym od Boga, a potem uznaniu i pomocy obcych.

Krótką, ale bardzo nauczającą jest historya tego młodego malarza. Jako dziecię ubogiej robotniczej rodziny z okolic czeskiej Pragi, bez zdrowia i sił fizycznych, nie mógł Wacław, jak tego wielokrotnie próbowano, pracować obok ojca w fabryce wagonów, lecz musiał być użytym do najlżejszych posług wiejskiego gospodarstwa. Tylko zamiast pilnować owoców w ogrodzie lub trzody na polu, wolał on lepić figurki z gliny, lub malować po ścianach i sprzętach wypadki codziennego życia, a czynił to z taką prawdą i umiejętnością, że zbiegali się ludzie na dziwowisko z całej okolicy. Wieść o tem doszła i do Pragi. Znaleźli się dobrzy ludzie, co postanowili dopomódz utalentowanemu pastuszkowi. Nie byli to, jak się czasami zdarza, bogaci protektorowie, ale chudzi artyści i profesorowie, co niebawem spostrzegli, że nie są w stanie zabezpieczyć kilkuletnich studyów ubogiego chłopca. Stąd wypadło, że zaledwie tknąwszy się fachowego wykształcenia, musiał Brożyk zarabiać na kawałek chleba, a zarabiać ołówkiem i pędzlem. Tak napół się ucząc, napół malując na sprzedaż, przewędrował on Pragę, Wiedeń, Drezno, Monachium. Piszący te słowa spotkał 20-letniego artystę w r. 1871 w Dreźnie, poznał się z nim, miał sposobność zajrzeć do jego szkiców i albumów, równie jak przypatrywać się technice olejnego obrazu, malowanego z pośpiechem dla pewnego przejeżdżającego cudzoziemca.

Brożyk znalazł się wreszcie w Paryżu. Paryż stał się jego drugą ojczyzną, w której syn czeskiej ziemi nietylko rozwinął bogate dary swej duszy, nietylko znalazł zachętę i sławę, ale potrafił w krótkim stosunkowo czasie ubezpieczyć swój byt materyalny i ugruntować familijne szczęście.

Z tej wędrówki z miasta do miasta pochodzi znaczny szereg obrazów i obrazków, wykonanych na prędce i sprzedawanych za lichy grosz; ale jakkolwiek techniczna ich strona pozostawia niejedno do życzenia, zalecają się one wszystkie delikatnością uczucia, wytwornością smaku, siłą i jasnością kolorytu. Postacie niewieście czarują naiwnym wdziękiem. Kobieta młoda, niewinna i trwożliwa, jest specyalnością tego pędzla i rękojmią jego powodzenia na widowni europejskiej.

Przedmioty do swych obrazów bierze Brożyk prawie zawsze z historyi, chociaż namalowane typy nie mają głębszego dziejowego charakteru. Są to sceny weselne, pochody ślubne i inne wypadki domowego bytu, gdzie zwykle niewiasta jaśnieje wdziękiem urody w jedwabiach i klejnotach, pośród drogich mebli, kosztownych naczyń i sprzętów. Brożyk jest pierwszorzędnym malarzem salonów i kostiumów. Najlepsze jego dzieła są: „Wieczór u Rubensa“, „Petrarka i Laura na dworze awinionskim“, „Kolumb na dworze Izabelli madryckiej“ i „Poselstwo Władysława, króla czeskiego i węgierskiego, proszące o rękę córki Karola VII. francuskiego“. To ostatnie malowidło wielkich rozmiarów, wystawione w paryskim salonie, zrobiło silne wrażenie, przyniosło artyście medal II. klasy i położyło niezachwiany fundament do jego artystycznej karyery.

Chociaż, jak to już nadmieniłem, są to wszystko sceny wzięte z historyi, nikomu przecież na myśl nie przychodziło nazywać ten rodzaj historycznym. Jest to lekki i nader miły gatunek malarstwa, dający się z łatwością kosztować i użyć, zwłaszcza na bogatych pańskich pokojach, ale brakuje mu powagi i wielkości myśli, która cechuje sztukę historyczną. Żałować zatem należy, że Brożyk, dając się powodować radom nieroztropnym, porzuca ten rodzaj, do którego ma talent niewątpliwy, a udaje się na pole wielkiej historyi z jej walką namiętności, z jej wstrząsającym dramatem poświęcenia i ofiary, a osobliwie z jej potęgą i energią indywidualnego i narodowego życia. Czy okaże się on tutaj mistrzem znakomitszym, wątpić można. Przynajmniej pierwsze dzieło wykonane w tym stylu, zdaje się potwierdzać nasze obawy.

Mamy tutaj na myśli najnowszy jego obraz: „Potępienie Husa na soborze konstancyeńskim“. Dosyć przytoczyć ten tytuł, dosyć wiedzieć, do jakiego narodu autor należy, żeby dać się ogarnąć długiemu pasmu niemiłych myśli i wyobrażeń. Hus Brożyka jest w samej rzeczy malowidłem bardzo tendencyjnem, które zapomocą rysunku i farby streszcza zażalenia czeskich husytów, tyle razy ponawianie i tyle razy odpierane. Jest to poprostu gloryfikacya herezyi Husa. Przez ten obraz stał się Brożyk, czego sobie może i nie życzył, bohaterem antykatolickiego obozu w Europie. Stąd się objaśniają przesadne pochwały, jakie napotykamy dla niego we wszystkich dziennikach protestanckich, rewolucyjnych

i antyspołecznych; pochwały, które dają powód do niezmiernie bolesnych uwag i spostrzeżeń. Gdziekolwiek się pojawia ten Hus, towarzyszy mu pewna broszura, mająca niby objaśniać, ale tchnąca taką siłą nienawiści i nieprawdy, że trudno w niej zapoznać wyrazu antykatolickiej propagandy. Dla czego artysta, dziecię katolickich rodziców i katolickiej ziemi pozwala na to, aby imię jego i pracę wciągano do gry tak niezaszczytnej? Ale może to tylko reklama dla zjednania sobie dobrego przyjęcia w Atenach nad Spreą? Cokolwiekbądź, dążność ukryta obrazu i jawna nadmienionej broszury, nie może uniknąć niechęci każdego roztropnego i dobrze myślącego człowieka.

Jeszczebyśmy może darowali młodemu artyście, którego wykształcenie, jakeśmy to widzieli, nie było takiem, iżby mu dało zajrzeć głębiej do ducha historyi; ale co nas szczególniej niepokoi i boli, jest tą okolicznością, że widzimy uorganizowaną w Czechach silną agitacyę, aby zakupić dzieło Brożyka drogą składek ludowych, na własność narodu. Sumy zebrane mają już być bardzo znaczne. Co to ma znaczyć? Albo się mocno mylimy, albo cały kraj czeski, kraj Wacławów i Nepomucenów ma złożyć ponowny hołd człowiekowi, który odstąpił od Kościoła i sprowadził na ojczyznę tyle klęsk niewypowiedzianych, a którego działanie nie Czechom przyniosło korzyści, lecz niemieckim protestantom a osobliwie Prusom. Dzięki temu człowiekowi, rozrywa do dziś dnia duszę czeską nieznana w dziejach sprzeczność, że lud katolicki, co wypielęgnował i wyposarzył najbardziej kwitnącą gałęź powszechnego Kościoła w monarchii habsburskiej, czci jako uosobienie narodowe człowieka, uznanego za ojca herezyarchów nowożytnych, za punkt wyjścia tego dziejowego ruchu, co rozdarł katolickie braterstwo ludów i w ostatniej konsekwencyi poddał słowianizm zachodni pod przewagę Niemców. Miałożby to pochlebiać narodowej dumie Czechów? Przyznajemy, że żadną miarą nie umiemy ocenić podobnego patryotyzmu.

Żeby sobie zdać sprawę, ile podstawy mają husyckie utyskiwania Czechów, i ile przeto prawdy zawiera w sobie malowidło brożykowe, trzeba sobie przypomnieć, czem był sobór konstancyjski w stosunku do palących kwestyi owej epoki. Nie było to jedynie zgromadzenie episkopatu, jak np ostatni sobór watykański, choć i temu towarzyszyła liczna pielgrzymka osób mocniejszzm ożywiona

interesem dla dobra Kościoła. Ale do Konstancyi przybyły, oprócz papieża, kardynałów, biskupów i poselstw od panujących dworów, ogromne masy wyższego i niższego kleru, wszyscy prawie doktorowie, uczeni i profesorowie uniwersytetów, przedstawiciele korporacyi i instytutów publicznych, a z pomiędzy klas zamożnych i wykształconych wszystko, co się odznaczało wyższą inteligencyą. W mieście i jego okolicach znajdowało się zwyczajnie 100 tysięcy osób, a w ważniejszych chwilach liczba zgromadzonych dochodziła do 150 tysięcy. W czasach naszych, w czasach dróg żelaznych, nic podobnego nie miało jeszcze miejsca. Musiały to być nader potężne powody, które gnały te kolosalne masy do małej niemieckiej mieściny.

W XIV. i XV. wieku był jeszcze Kościół uznawany za instytucyę instytucyj, był macierzą i gruntem, na którym powstawały i rosły wszelkie zawiązki społecznego życia; a gdy ta kolosalna budowa wieków, pod której cieniem rozwijały się narody, poczęła się rysować w swoich podstawach w skutek tak zwanej zachodniej schyzmy i wywiązującego się z niej kacerskiego fermentu, niewypowiedziane uczucie trwogi ogarnęło umysły, jak gdyby niechybna katastrofa miała grozić chrześcijańskiej cywilizacyi. To wyjaśnia tę wielką wędrówkę narodów do Konstancyi. Nie był to właściwie sobór kościelny, ale raczej kongres powszechny katolicki, niejako zgromadzona osobiście cała europejska opinia. Wiadomo, że tylko niektóre posiedzenia i uchwały tego soboru, potwierdzone przez Stolicę apostolską, mają moc obowiązującą; wszystkie inne były poprostu echem tamtoczesnych mniemań i potrzeb. Uczestnicy soboru nie zajmowali bynajmniej stanowiska, które my teraz zachowawczem nazywamy; owszem, cały episkopat i kler katolicki stał wówczas na czele postępu nietylko w naukach, sztukach i wynalazkach, co właśnie i dzisiaj ma miejsce, ale nawet postępu politycznego i społecznego, który teraz powszechnie uległ tendencyom przewrotu i ateizmu. Konserwatywno-odporne stanowisko Kościoła datuje od chwili powstania sekt protestanckich, w ślad za któremi plenić się poczęły tajemne stowarzyszenia do obalenia wszelkiej powagi, tak duchownej jak świeckiej zmierzające.

Z powyższych uwag wynika jasny wniosek, że Hus potępiony został w Konstancyi nietylko przez najwyższe zgromadzenie Ko-

ścioła, jako heretyk i zbuntowany przeciwko swej zwierzchności kapłan, ale też przez kongres rzeczypospolitej chrześcijańskiej, przez opinię całej katolickiej wówczas Europy, jako targający się na najwyższe dobro narodów, na kardynalną zasadę publicznego prawa. Z historycznego więc punktu na rzecz patrząc, Hus umierał w oczach wieku swego jako zbrodniarz a okazałość śmierci na stosie tego piętna mu nie zdejmywała. Żeby więc powrócić do brożykowego malowidła, mniemamy mieć słuszność po swej stronie, utrzymując, że treść jego nie opiera się bynajmniej na prawdzie dziejowej.

Co się tyczy czysto artystycznych, zewnętrznych przymiotów obrazu, to trudno nie uznać wysokich jego zalet, ale zarazem niepodobna przemilczeć o jego wadach i licznych usterkach. Spróbujmy go opisać. Mamy przed sobą gotyckie wnętrze konstancyeńskiej katedry, gdzie się odbywa publiczne posiedzenie soboru. Na środku sceny stoi Jan Hus w czarnej kościelnej sukni z oczyma wzniesionemi do góry z prawicą na sercu. Twarz jego wynędzniała nosi ślady przebytych cierpień. Przed nim, na wzniesieniu, jeden z biskupów czyta „wyrok śmierci“ z gniewem i wstrętem. Kardynał przewodniczący zgromadzeniu siedzi tuż obok pod wspaniałym baldachinem, otoczony mnóstwem biskupów i dygnitarzy. Naprzeciwko Husa, w głębi ku ścianie świątyni, wznosi się tron cesarza Zygmunta, który jest przytomnym na tem uroczystem posiedzeniu. Z prawej strony a właściwie w tyle Husa, zgromadziła się wielka liczba księży, zakonników i ludzi wszelkiego stanu. Nader różnorodne uczucia czytamy na obliczu tych osób: jedni złorzeczą reformatorowi lub cieszą się jego upadkiem, drudzy okazują współczucie dla nieszczęśliwego i rzucają gniewne spojrzenia na jego przeciwników. Pomiędzy przyjaciółmi, którzy prawie wszyscy należą do czeskiej narodowości, odznaczają się wybitnie trzy postacie czeskich panów, którzy z woli cesarza towarzyszyli Husowi na sobór, jako stróże i poręczyciele jego bezpieczeństwa. Jako dowod „wiarołomstwa“ Niemców, widzimy w ich ręku sławny list żelazny, wydany przez cesarza Zygmunta a nieuznany od soboru co do prawnej doniosłości. Stąd wielkie oburzenie magnatów czeskich, tak podobnych do typów polskich ubraniem i charakterem.

Niepodobna nie wyrazić najszczerszego podziwu dla artysty, jeśli weźmiemy na uwagę układ artystycznego materyału, ugrupowanie

osób, szczegóły archytektoniczne, ornaty kapłańskie, kostiumy narodowe i cały zewnętrzny przybór przedstawionego wypadku. A potem jakie to ciepło traktowania, jaka moc kolorytu, jaka przedziwna gra światłocienia, jaka głębokość i dokładność perspektywy! Brożyk dochodzi tutaj do wysokiego stopnia doskonałości. Za to, gdy się zapytamy o życie indywidualne, o znaczenie moralne i dziejowe osób, o prawa serca i sumienia ludzkiego, to się dopiero pokaże, jak malarz wielce przecenił własne siły, podejmując zadanie takiej doniosłości. W ogólności mówiąc, jego osoby mają albo za mało, albo za wiele wyrazu. Do pierwszej kategoryi należy sam Hus. Pomimo widocznych usiłowań, aby „wielkiemu męczennikowi", jak go nazywa cytowana wyżej broszura, nadać wyraz niezłomnego charakteru, moralnej wielkości i umysłowej potęgi, jest on dosyć pospolitym zachodnio-słowiańskim typem, którego ani fizyognomia, ani postawa, jakkolwiek sentymentalna, nie ogrzewa nas, ani podbija. Zdaje nam się, że Brożyk, który przecie musiał się opierać na dokumentach niewątpliwych, odtworzył w rzeczy samej trafny wizerunek słowiańskiego reformatora, który błędy angielskiego nowatora Wiklefa chciał przesadzić na grunt ojczysty. Jeszcze mniej mówiącą i mniej znaczącą jest osoba cesarza Zygmunta a taką samą estetyczną wartość jak on ma ogromna większość umieszczonych na obrazie figur i postaci.

W obec tych osobistości bez żywotnego ciepła, bez ducha i charakteru, pozostajem obojętnymi widzami; ale jakże przykrego doświadczamy uczucia tam, gdzie mistrz, starając się o żywszą grę namiętności, posuwa wyraz, oczywiście mimowoli, do przesady, do karykatury. Takim jest ów biskup, co czyta „wyrok śmierci", spozierając na Husa, jak się wyraża wiedeńska *Neue freie Presse*, „oczyma pałającemi złością i nienawiścią". Potrzebaż przypominać tym panom redaktorom, im, którzy niby wszystko wiedzą, że nigdy sobór, nigdy biskup, nigdy jakabądź kościelna powaga nie wydawała wyroku śmierci, i to jeszcze w świątyni pańskiej; jest to niemożebnem i przeciwnem prawu, zasadom i tradycyi Kościoła katolickiego. Nie sobor spalił Husa w Konstancyi, choć on wedle ówczesnych wyobrażeń na taką karę zasłużył, ale spaliły go władze i sądy cesarskie, i to należy dobrze rozróżniać temu, kto chce piórem, czy pędzlem traktować tego rodzaju materye. A potem owe

oczy biskupa „pałającego złością i nienawiścią“, w obec mającego umrzeć Husa! — prawdziwie trzeba chyba nie mieć uczucia przyzwoitości, żeby wypowiedzieć podobne słowa. Jeżeli serce i doświadczenie nam mówi, że i pospolity człowiek, byle wychowany w wyobrażeniach chrześcijańskiej moralności, zapomina gniewu i zemsty, czuje się rozbrojonym w obec osobistego przeciwnika, mającego umrzeć z ręki sprawiedliwości; to co powiedzieć o biskupie, o książęciu Kościoła, o mężu wyższego posłannictwa, który nie osobiste, lecz społeczne zadanie ma do posłannictwa? Miałżeby o tem wszystkiem nie wiedzieć Brożyk i jego redaktor? Nie wiele korzystniejszy sąd można wydać i o panach czeskich, którzy tu przedstawiają żywioł narodowy, sympatyzujący z Husem. Przesada wyrazu, brak pokoju, który uzacnia historyczne kompozycye, daje się czuć i tutaj bardzo niemile. A gdy takie zdanie wypowiedzieć musimy o postaciach głównych, to jeszcze mniej dobrego wypadałoby wyrzec o podrzędnych. Z wielkim żalem i boleścią wszędzie tutaj napotykamy u malarza takiej zdolności fałszywe zrozumienie husyckiego ruchu, nieświadomość natury katolickiego Kościoła, małą znajomość ludzkiego serca; stąd pochodzi, że cały ton obrazu wydaje nam się chybionym a nastrój moralny niewytrzymującym krytyki.

Nie pochlebiamy sobie, że skromne słowo nasze dojdzie kiedy do wiadomości znakomitego mistrza, ale choćby i doszło, ma on doradzców, których zdanie, przynajmniej jak na teraz, przeważy w jego umyśle. Że te wpływy nie mogą być korzystnemi dla wiary i prawdy, dowodem tego jest obraz, o którym tutaj mowa. Zatem jeśli mielibyśmy spotykać Brożyka po stronie przeciwników Kościoła, to moglibyśmy mu już teraz przepowiedzieć, że w tych usługach na korzyść usiłowań bardzo podejrzanej wartości, w tych nierozumnych zapasach z instytucyą niespożytej siły, która ma za sobą nieśmiertelne obietnice, stargaćby się musiał jego duch, pozbawiony prawdy i swobody, podupadłby jego geniusz, niemający przed sobą wyższego i szlachetniejszego celu, i cała przyszłość jego, jako człowieka i artysty, byłaby zachwianą. Ale miejmy ufność, że się nie sprawdzą tak smutne, tak bolesne przypuszczenia. Człowiek bowiem, który z najniższego położenia potrafił wzbić się o własnych siłach na europejskie stanowisko, musiał oprócz uczucia piękności

otrzymać od Boga jeszcze cenniejszy dar rozumu, który uchroni go od dalszych zboczeń a zaprowadzi na drogę miłości i prawdy, gdzie go czeka istotna wielkość i rzetelna sława.

Fr. Lutrzykowski.

Literatura litewska.

II. Rzut oka na piśmiennictwo litewskie.

Ruch umysłowy wśród ludu litewskiego nieznaczne dotąd zrobił postępy, objawia się on głównie w Litwie pruskiej, której ludność nie przenosi 200.000 dusz. W braku lepszych źródeł podajemy tu tłómaczenie artykułu p. Jonas'a Szlupas'a, umieszczonego w „Letuviszkas Auszros Kalendorius ant metu 1885", który wyszedł w Tylży.

Podobnie jak i inne narody, Litwini uważali za potrzebne mieć także książki w swoim języku. Moglibyśmy przytoczyć tu wiele ksiąg, które przygotowali pobożni kapłani i miłośnicy bliźnich. Tu tylko kilka przykładów podajemy, aby pokazać, że nasza ludność od kilkuset lat poczęła używać książek litewskich. W 1533 roku ogłoszono „Kielone duszios in anan giweniman", (Wędrówka duszy do innego życia). W 1545 r. wydanym został „Katechizm i mała biblia" w staropruskiej mowie, a 1547 r. Mažwidis[1] ogłosił naukę czytania, luterański katechizm i 10 duchownych pieśni. W 1579 r. B. Walentas wydrukował „Ewangelje dla ewangelików". 1591 r. Bretkunas wydał na świat „Postillas". 1599 r. wyszedł „Przekład ewangelii z polskiego" przez M. Daukszę. W 1625 r. znalazło się „Psalmos". 1629 r. pojawiły się „Punkty kazań" ks. Szyrwida. 1638 r. Szrubauskas ogłosił „Litewski katechizm". 1653 r. wyszła „Księga pobożności". 1600 r. S. B. Kilinskas w Londynie przełożył Pismo święte. 1719 r. Lisius wydał „Mały katechizm Dra Marcina Lutra". 1752 r. B. Gajlewiczius wydrukował „Naukę chrześcijańską". 1799 r. M. Alszauskas (Olszewski) wydał na świat „Bramę otwartą do wieczności". 1816 r. Jûzas Arn. Giedrajtis (Gedroić) wydał na świat „Nowy Testament". 1824 r. Resa dał czytelnikom „Całe pismo święte starego i nowego testamentu". 1859 r. ogłoszono „Sposób aby od grzechów wolnym pozostać", a 1862 r. „Prosty ale od złota droższy skarbczyk Bożych dziatek". 1863 r. opuściło prasę „Nawrócenie się grzesznego człowieka ku Bogu". W 1864 r. „Duchowne orzeźwiające godziny", a 1866 r. Rambakas ogłosił „Obmyślanie całej męki Chrystusa". 1871 r. Meszkajtis wydał „Codzienna podręczna księga". 1872 r. C. W. O. Glogawas wydał „Wydarzenia pisma świętego". 1877 r. znalazł się „Kancijona-

[1] Nazwiska są tu tak spisane jak je wymawiają Litwini, czy to litewskie czy inne. Nie mając pod ręką tu pomienionych książek, inaczej nie mogłem.

las", „Kościół na opoce"... „Jaką jest śmierć człowieka bez Chrystusa"... (Kelkis). „Zbawienie człowieka"... (Grosneris). — Chcąc z kolei wyliczyć wszystkie książki religijne, musiałbym długi i bardzo długi regestr napisać. Dostateczne będą, jak mi się zdaje, podane tu wiadomości, aby każden widział, iż Litwini zawsze bardzo gorliwie i troskliwie pragnęli zasłużyć na miłość Bożą. Odrzucając na stronę wszelkie ziemskie niepowodzenia, oni zaspakajali swoją duszę tem, aby obejściem i modlitwą podobać się Bogu.

Gdy Litwini modły i praktyki religijne powypełniali, troszczyli się o wygładzenie swojej mowy, chociaż w dwu wypadkach zazierali i do cudzej. Pod koniec XVI. stulecia ks. Szirwidas ogłosił Słownik w trzech językach (polsko-łacińsko-litewski). W XVIII. stul. Rujikis ogłosił Litewsko-niemiecki słownik. 1832 r. K. Kasakauskas (Kosakowski) wydał „Gramatykę języka żmudzkiego". 1837 r. Simonas Daukantas [1] napisał „Gramatykę łacińskiego języka". 1861 r. J. Juszka (Juszkiewicz) pisał o „Gwarach litewskiego języka i litewskiej pisowni". Około 1863 r. ogłoszono książeczkę pomagającą nauczyć się po polsku. Obecnie wiemy, że niezadługo będą ogłoszone słowniki Juszkiewicza i Mieżutowicza [2]. Tu jeszcze wspominam, że pruscy Litwini już od wielu lat upraszają władzę, aby ona uwzględniła litewski język w szkole. Ztąd widzimy, iż uczeni ludzie razem z ludem mają w szacunku mowę swoich ojców. A jednak dotąd nie możemy tego zaprzeczyć, aby cudzoziemcy, badający nasz język, nie byli prześcignęli nas ważnością swoich badań.

Litwini dotąd mało się troszczyli o przyzwoite wychowanie i nauczanie dzieci. Znajdujemy zaledwo kilka książeczek, z których nie wszystkie warte są wspomnienia. Elementarz kilka razy drukowany; Szym. Dowkonta i A. Juszkiewicza „Abecadło dla małych dzieci" [3]; „Pastuszków książeczka" K. Neisa (Tylża, 1857 r.); pruski „Litewski fibelis", nakoniec R. Jacobi'ego 1880 r. ogłoszona „Litew. szkoła", i 1879 r. M. J. A. Völkel'a „Litew. do początkowego nauczania książeczka" — to już mniej więcej wszystko, co Litwini zdołali zrobić dla swoich dzieci. Czy dziw przeto, że Litwini poczęli chwiać się i iść błędnemi drogami! Bracia, z małych tylko, dobrze wychowanych i nauczanych dzieci, mogą wyrosnąć miłujący Boga, rodziców i ojczyznę!

Poezya nasza ma już ślicznie ułożone pączki. Twórczość naszego ludu, to niewyczerpalna studnia poezyi. Mamy kilku skrzętnych zbieraczy tych pieśni, wspominam tu Staniewicza i Juszkiewicza [4]. Nie brak nam i dzielnych poetów; podobno pierwszym był Dūnelajtis; później wsławił się A. Strazdelis (Drozdowski), D. Poszka (Paszkiewicz) i inni. Z obcych języków przekładają poezye: „Bajki" Kryłowa 1863 r. Józef Zelwowicz a z Kraszewskiego panna Proniewska i J. A. W. Lietuwis [5].

---

[1] P. Akielewicz w liście do „Auszry" objaśnia, że Dowkont po litewsku i tak jak on się pisał jest Daugkientis (Wielecierpiący).

[2] Słownik Juszkiewicza drukuje się obecnie w Petersburgu i prawdopodobnie z tego powodu ks. Mieżutowicza drukowanym nie będzie. Są jeszcze w rękopisie Słowniki: Iwińskiego, Paszkiewicza, Staniewicza, Milewskiego i innych.

[3] Jest elementarz i Olechnowicza.

[4] Ja mam także zebranych do stu pieśni ludowych z okolic Rossień, które przy porównaniu ze zbiorem Juszkiewicza, stanowić mogą materyał ciekawy i ważny. Nesselman, Reza, zbierali także.

[5] Obecnie odznacza się tłómacz z Syrokomli p. Trupinelis i z Mickiewicza p. Wituris.

Mamy kilka ładnych opowiadań; najsłynniejsze są te: Iwińskiego „Genewefa", „Polongowski Józio", „Szawlański staruszek", „Małych dziatek książeczka", „Podrosłych ludzi książeczka", „Jan wymyślny kramnik", „Życiorys Jana Bunijana" (F. Matutajtis, 1878 r.). „Pamiętaj, abyś dzień święty święcił", „O ziemi i odmianach powietrza", „Jerzy Stefenson", „U nas i gdzieindziej", „Jan i Anusia", „Dwa pożyteczne opowiadania" i inne [1]. Tu musimy wspomnieć Dowkonta przekład „Bajki Fedry", Totarés'a „Bajki Ezopa" i „Młodego Robinsona" E. Radziunas'a. Chociaż to niewielki zastęp książeczek, jednak czytelnik gdy je przeczyta ucieszy się, gdy znajdzie opisy zwyczajów, rozumowania i pojęcia ludowe postrzeżone i opisane; te to pisma zasługują na wdzięczne wspomnienie. — Do tego dodać można całą literaturę o pijaństwie i trzeźwości.

Nie trzeba myśleć, aby Litwini dotąd nie próbowali badać społeczeństwa, przyrody i gospodarstwa. Chociaż w tych rzeczach nie możemy się pochwalić wielką ilością prac, ale jednak możemy powiedzieć, że dobrzy ludzie już swoją czynność rozpoczęli. Ziarnko do ziarnka, zbierze się miarka; a gdy wszyscy wezmą się do pracy, to się zrobi gromada.

Dziel historycznych dotąd drukowanych mamy cztery. W 1845 r. Dowkont ogłosił „Zwyczaje starożytnych Litwinów górnych i dolnych". W 1846 r. on sam przełożył „Żywoty wielkich mężów", napisane przez Korneliusza Neposa; w roku 1848 biskup Wołonczewski ogłosił „Opisanie biskupstwa żmudzkiego". Długie lata Litwini oczekiwali na nową pracę. Nakoniec w 1881 r. znalazło się „Spustoszenie Jeruzalem", przekład z greckiego. Słyszymy, że jest wiele rękopisów, które dotąd nie znalazły bogatych nakładców. Pomiędzy innemi oczekuje na ogłoszenie rękopis Dowkonta „Opowiadanie o działalności litewskiego narodu".

O rzeczach społecznych, pisał B. Dębski, miłośnik ludzi w nędzy będących: „Nędza i jej skutki" [2]. Do tego jeszcze warto wiedzieć, iż jeszcze w 1862 roku były po litewsku wyłożone „Prawa o włościanach wyszłych z poddaństwa" [3]. Mamy także Pruskiego prawa kilka przekładów.

Warto wspomnieć, że Litwini mieli mężów badających przyrodę. Pomiędzy innymi wsławił się Wawrzyniec Iwiński, który w swoich kalandarzach pisywał o przyrodzie, medycynie i gospodarce [4]. Franciszek Lipsztas pozostawił nam „Opisanie bogactw ziemi". W rzeczach medycyny wzbogacił nas młody Kurszaitis „Przyjacielem chorych" (1883 roku po raz piąty drukowaną książeczką) [5].

---

[1] Tu jest pominięta jedna z więcej zajmujących „Książeczka dzieci" illustrowana kolorowa. W rękopisie powieść spisana na kilkudziesięciu arkuszach „Dwa wesela" i dramat z życia Kiejstuta na 16 arkuszach, pióra p. Gużutis'a.

[2] Jest i druga książka społecznej treści tegoż autora „Kningos tejsibes" (księgi prawdy).

[3] Dla Litwinów zamieszkałych w Rossyi.

[4] Jego kolekcya grzybów otrzymała nagrodę w Wiedniu na wystawie. Widziałem w Szawlach na wystawie atlas z rycinami tych grzybów kolorowemi.

[5] U mnie znajdują się materyały do medycyny ludowej, z nazwami chorób, roślin leczniczych, sposobem leczenia i t. d. Ważne dla litewskiej nomenklatury medycznej, przyrodniczej a zarazem pouczające.

Nakoniec Litwini nie zapomnieli ani tego, że ich pola będą tem wydajniejszemi, i że prace i pot ludzki tem więcej wyda korzyści, im oni umiejętniej urządzą swoje gospodarstwo. Z tego to powodu uczeni ludzie dbali o pomnożenie potrzebnych wiadomości. Dowkont pisał jak trzeba „zbierać nasiona drzew", „o hodowaniu chmielu", „o pszczołach", „o karmowych roślinach". Nie mniej czynnym był Iwiński, którego kalendarze od 1846—1863 r.[1] napełnione były dobremi wskazówkami gospodarskiemi. W 1863 roku Gamalauskas ogłosił „odwiedziny starca", gdzie autor pomieścił bardzo wiele pożytecznych wskazówek dla gospodarzy. Niedawno p. Radziukinas napisał „o pszczołach książeczkę", 1883 r. opuściła prasę godna pochwały książeczka p. Neris'a: „Trzy wskazówki o gospodarce dla gospodarzy wiejskich".

Otóż z tego co jest wyżej wspomnianem, możemy zauważyć, że Litwini powoli ruszają się i idą naprzód, nie zapominając ani Boga, ani mowy, ani gospodarstwa, ani też swojej przeszłości. Wątpliwości nie podlega, że to co oni dla siebie zrobili, jest bardzo małem, dla nauki datychczas oni nic nie zrobili. I nie dziw, że ponieważ tak mało o nauki się troskali Litwini, cudzoziemcy poczęli ich ośmiewać i mówić, że Litwini nie dość tego, że są zacofanemi ludźmi, ale są i nierozumnemi i nierozsądnemi; o nich muszą się cudzoziemcy zawsze troskać, póki Litwini w obecnym stanie pozostawać zechcą. Z tego to powodu kopiąc nam mogiłę cudzoziemcy i stowarzyszenia pourządzali, których celem jest zbieranie pozostałości naszego języka, starych rękopisów, zabytków i twierdzą, że my giniemy, gdyż upadamy i mówią, że na naszem miejscu wegetować będą! Czyż to nie może gniewać?

Litwini mają nie tylko kilka książek, ale oprócz tego pokaźną ilość czasopism[2]. Prawda, że nie wszystkich chwalebne są cele, jedne po litewsku pisząc, od Litwinów dostając chleb i korzyść, ubrane jednak w cudze pióra, poczęły Litwinów chłostać, poniewierać i mają na celu ich odciągnąć od swoich kochanych rodziców i ich przeszłości; ale są i tacy, którzy się troszczą o podniesienie upadającego języka i usiłują nauczyć lud, przynosząc mu różne wiadomości ze świata. Tylko w Pruskiej Litwie drukują się czasopisma. Tu wyliczam je z kolei. W 1832 r. ukazało się „Nusidawimaj apie ewangelijos prapłatiniman tarp židun ir pagonun" (Wydarzenia o rozszerzaniu ewangelii pomiędzy żydami i poganami), redaktor Kelkis. W 1849 roku począł wychodzić „Kielejwis" (Wędrowiec) Kurszajtis'a; od 1880 roku ogłosił siebie z „Neujasis Kielejwis" (Nowy Wędrowiec), który w r. 1883 znowu przemianował się na „Kielejwis" Ejnara. W 1863 r. w Szyłokarczmie pokazał się „Lietuwninkun pasłas" (Poseł Litwinów). Od 1878 r. w Kłajpedzie (Memlu) M Szernius drukował „Lietuwiszka Cejtunga" (Gazeta litewska). Uprzednio wychodził „Tiesos prietelius" (przyjaciel prawdy), który bodaj w 1881 r. ogłosił się jako „konserwatiwun draugistes lajszkas" (pismo kouserwatywnego towarzystwa), on wychodzi w Prekułu. „Tilžes Kielejwis" (Tylżański wędrowiec), wydawał Kelkis, a obecnie Raudonius. Od 1883 r. wychodzi „Auszra" (Świta-

[1] Ostatni jego kalendarz na rok 1878 drukowany był w Petersburgu.

[2] Mieliśmy o tem sposobność pomówić w poprzednim artykule. Tamemy tylko przez niewiadomość pominęli mówiąc o kalendarzach, że kalendarz p. Szernius'a wychodzi corocznie w Kłajpedzie w Prusach niemieckiemi literami.

nie), a od 1884 r. „Lietuwiszkas politiszkas lajkrasztis“ (Litewskie polityczne czasopismo) pod redakcyą p. Kibelki. Pod koniec 1884 roku począł wychodzić „Niamuno Sargas“ (Stróż Niemna). Dla 200,000 Litwinów zamieszkałych w Prusach taka ilość pism jest nader pokaźną. Szkoda tylko, że pomiędzy temi pismami znajdujemy mało prawdziwych przyjaciół litewskości i ludu, większość ich pragnie tylko wywabić pieniądze z kieszeni czytelników. Z tego to powodu korzyść, jaką otrzymują Litwini czytając pomienione pisma, nie jest taką, jak się można spodziewać.

Zgromadziwszy wszystko w jedno, widzimy, iż chętny człowiek może chociaż niewielkie otrzymać oświecenie, czytając już dziś istniejące książki i pisma. Boleśnie tylko, iż wiele wyż pomienionych książek już się zużyło, wyczerpało tak, że rzadko kto może je dostać. Przypominam znowu, że uczenie dzieci na tych książkach w obecnej chwili jest prawie niepodobieństwem. Z tego powodu nie ma nic nadzwyczajnego, że dzieci w szkołach słysząc tylko wykład religii w litewskim języku (chociaż i w rzeczach wiary w obecnym czasie w wielu szkołach nauczyciele nie chcą zezwolić na język litewski), a wszystkie inne nauki w obcych językach, ich nie rozumieją. Któż więc temu zaprzeczy, że obecne wychowanie dzieci w szkołach jest bardzo mizernem? Czego dzieci nie rozumieją, to ani do ich serca ani do ich umysłu nie ma wstępu; przesiadując znowu długo w szkole, daremnie tylko czas tracą i zdrowie psują, i z tego powodu tracą nawet ochotę do nauki. Jest to fakt, że Litwini w Prusach bardzo często nawet prosili rządu o powrócenie praw dla litewskiego języka. Ale póki Litwini sami nie wezmą się do pracy i troskać się nie będą o naród i jego potrzeby, wątpliwą jest rzeczą, aby rząd, choćby i chciał nawet, mógłby podnieść wyżej litewską mowę. Czego my sami dla siebie nie chcemy zrobić, czyż chcemy, aby drudzy mogli i chcieli to dla nas uczynić! Tylko nasz własny pot i troska może nas uchronić od zguby.

Dziś i Litwini sami zrozumieli tę prawdę. W 1882 roku p. Sanerwein przemówił do Litwinów, że trzeba im urządzić na to stosowne szkoły, jeżeli oni chcą swoje dzieci tak wychowywać, aby się one podobały Bogu, rodzicom, bliźnim i ojczyźnie. Potwierdził to p. Basanowicz mówiąc, że litewski język zamiera z tego powodu, że Litwini nie mają ani naukowych książek, ani prawdziwie litewskich szkół. Znaleźli się i inni Litwini, którzy się na to zgodzili. (Patrz „Lietuwiszka Cejtunga“ 1882 r. Nr. 12, 15, 17, 31, 32 i 33). Wtedy to zacniejsi ludzie poczęli zbierać podpisy od ludności, przyrzekającej zawczasu mniej lub więcej płacić na korzyść założenia „Litewskiego towarzystwa nauki i oświaty“. Już się zebrało nawet kilkudziesięciu rodaków, mających przystać do stowarzyszenia 12 stycznia 1884 r. i w Tylży swoje gniazdo założyć. Ale to się nie udało. Oto co pisze p. Kūdelis w „Tilżes Kielejwis“ Nr. 3, 1884 r.: „Zebranie „Litewskiego towarzystwa nauki i oświaty“, które podług ogłoszenia miało się odbyć 12 stycznia, nie powiodło się. Policya dla tego zebrania dała zezwolenie. Na zebranie się tego towarzystwa, którego życzeniem jest litewski język podnieść i rękopisy litewskie drukować i w taki to sposób dorosłym ludziom pożyteczne czytanie a dzieciom piękną naukę przygotować, było się zjechało bardzo wielu ludzi. Powód nieudania się owego pierwszego zjazdu jest ten, że gospodarz, który swoją gospodę na ten dzień był przyrzekł, z niewiadomej przyczyny, gdy ludzie poczęli schodzić się, wejścia im wzbronił.

W innych krajach podobne towarzystwa przynoszą ludności ogromną

korzyść; nie wątpimy, że i nasze byłoby dobrą podporą Litewskiego narodu. Wiadomą jest rzeczą, że potęga towarzystwa coraz się wzmaga, jeżeli się tam znajdują kapitaliści, pisarze, którzy po przygotowaniu rękopisów przeznaczają je do wydrukowania i rozpowszechnienia towarzystwu. Wszak tylko jedność daje potęgę. Zaczekajmy, aż wszyscy ci, którzy miłują Boga, bliźniego, rodziców i swoje dzieci, a równie i swój język, przyłączą się do owej gromady, która wzięła na siebie założenie towarzystwa i rozszerzać będą wiadomość o towarzystwie pomiędzy swojemi sąsiadami. Za taką czynność wdzięczni będą wnukowie, którzy doczekawszy się lepszych dni z powodu starania ojców, skorzystają z ich pracy, chwalić będą wiecznie ich imiona i wspominać spoczywających w mogile.

Druk ukończony dnia 26 kwietnia 1885.

LE PLAY I JEGO SZKOŁA.

„*Bonum virum facile crederes, magnum libenter*“ (z Tacyta, Cantu: „*L'oeuvre de F. le Play*“ w dwutygodniku *La Réf. Sociale* 1885 1/2.

„*La science* (sociale) *résume dans les trois axiomes l'enseignement donné par la méthode sur les sociétés, les individus et les institutions: La paix sociale est le* criterium *du bonheur. Les „bons“ sont ceux qui apaisent la discorde; les „méchants“ ceux qui la font naître. Le „bien“ c'est le bonheur dans la paix et l'accord des âmes: le „mal“ c'est l'inquiétude dans l'antagonisme et la haine*“. Le Play.

Francya słusznie wielowiekową przodowniczką cywilizacyi europejskiej zwana, wycisnęła swe piętno na stosunkach społecznych całego Zachodu. Dobre i złe miało tam swój początek. Wraz z cywilizacyą przybywał z Francyi społeczny rozkład, który od dwóch wieków ją podkopywał, a w ostatniem stuleciu gwałtownym prądem zrządził taki społeczny i następnie polityczny upadek.

Społeczeństwo nasze od wieków ściśle związane z Zachodem, uległo tak dodatnim jak i ujemnym jego wpływom. Czy sięgniemy w przeszłość, od epoki elekcyjności w życiu publicznem i systematycznego wyrabiania się braku poszanowania wszelkiej władzy, czy zastanowimy się nad rozstrojem społecznym, wraz z obyczajem francuskim jednocześnie importowanym, lub w epoce późniejszej demoralizacyjnym wpływem Zachodu systematycznie krzewionym — czy też dokoła rozglądniemy się w naszych stosunkach obecnych tak ściślejszego rodzinnego jak politycznego zakresu, wszystko uwidocznia nam smutną prawdę, iż społeczeństwo nasze dalekiem jest od zdrowia. Rozstrój najjaskrawiej może uderza w dzielnicy naszego kraju, w najkorzystniejszych warunkach politycznych będącej.

Należy temu zapobiedz, zadanie to należy do klas przewodnich, zwłaszcza do ludzi wybitne i wpływowe zajmujących stanowiska; nie należy ograniczać się jedynie na politycznej akcyi, ale sięgając głębiej, pracować nad ulepszeniem społecznego ustroju. Już próba takiej inicyatywy w kierownictwie ruchem społecznym pojawiła się po 48 r. w zawiązanej wówczas w Berlinie lidze pokoju, — o czem kiedy indziej zamierzamy podać szczegółowe studyum. Dziś autonomia Galicyi pozwala mężom u steru opinii i spraw publicznych stojącym, skuteczniej temi kwestyami się zająć, a innych wstępujących w szranki życia obowiązuje do pilniejszego badania tej nauki i zgłębiania jej mistrzów.

Wśród mnogich pisarzy politycznych wybitne, niepospolite miejsce zajmuje Le Play. Spokojny badacz i obserwator półwiekową niezmordowaną pracę poświęcił na wykrycie praw, jakiemi rządząc się ludzkość, osiąga prawdziwą pomyślność. Do tego celu użył on metody badania, ze sfery nauk przyrodniczych pierwszy raz do bieżących stosunków społecznych zastosowanej, metody obserwacyi i doświadczeń: ta metoda doprowadziła go do wniosku, że głównym warunkiem i podstawą pomyślności czyli doczesnej szczęśliwości narodów, jest ścisłe zastosowanie w życiu „Przykazań Bożych".

Obszar rozległy tego, co nauką społeczną nazywamy, mnogość pism tak samego Le Play'a jak autorów jego szkoły, niejednego z poważnych nawet czytelników odstręcza od zaznajomienia się z kierunkiem pisarzy społecznych tej szkoły. Objęcie całości utrudnione jest odmiennem wystematyzowaniem w różnych dziełach t. z. Biblioteki socyalnej; albowiem każde z tych dzieł stosuje się do potrzeb i celu, jakie w danej chwili autor osiągnąć pragnął, do okoliczności politycznych i społecznych objawów, jakie wyzyskać zamierzał. Stąd celem niniejszego studyum jest ułatwienie zapoznania się z nim i zachęcenie poważnego czytelnika do zaczerpnięcia u źródła tej nauki.

Duch zgody i pokoju, za godło szkoły przyjęty, przenika na lwskróś pisma Le Play'a; szczerość zupełna, wyrozumiałość i bez tronność absolutna, cechują poważne te prace. I w tym więc względzie głęboką są one nauką dla naszych walk stronniczych — nauką, iż udzie dobrej woli i dobrej wiary wspólnemi pracować winni siłami

nad przerodzeniem życia narodowego i uzdolnieniem pracy narodowej do życia politycznego.

Angielscy i niemieccy uczeni wyjść z podziwienia nie mogą, iż Francuz (a takim jest z krwi i ducha Le Play) nie abstrakcyjną teoryę o społeczeństwie, ale owoc, ścisłej naukowej pracy doświadczeniem popartej wydał — owoc, co stara się zgodzić ducha tradycyi z duchem nowości, wykazując zgubność jednostronności obu tych kierunków.

* * *

Około r. 1827 uwaga przełożonych szkoły politechnicznej w Paryżu zwracała się na dwóch wyjątkowych uczniów: jeden z nich Reynaud, o umyśle poetycznym, entuzyasta, saintsimonista zagorzały; drugi Fryderyk Le Play, sceptyk, umysłem trzeźwym i krytycznym obdarzony, *l'homme de la société moderne par excellence*, jak go nazywali współcześni. Młodzieńcy ci, mimo tak różnych usposobień, ścisłą związani byli przyjaźnią. Le Play otrzymał r. 1827 najwyższą nagrodę, okazując niewidziany od założenia szkoły postęp. Urodzony 11 kwietnia 1806 r. w wioseczce normandzkiej *De la Rivière*, niezamożnych miał rodziców. Ojciec jego, oficer straży celnej, szczupłą swą pensyjką zaledwie skromne potrzeby rodziny był w stanie opędzać. Fryderyk lata dziecięce spędzał wśród ludności rybackiej, której nędza, spowodowana ówczesną blokadą angielską, niezatarte w umyśle jego pozostawiła obrazy. Z czasu tego, wspomnienia o niedostatku i kapłańskiem zaparciu miejscowego proboszcza, często wśród pism późniejszych żywo powracają. Ze śmiercią ojca zabrany do Paryża przez ciotkę na wychowanie, w zetknięciu z poważnymi ludźmi dom jej nawiedzającymi, kilkoletni dzieciak, niepospolitą intelligencyą obdarzony, wcześnie przyuczył się myśleć poważnie i po paru latach wróciwszy do matki, zostając pod jej okiem, szkoły świetnie przechodzi; przytem ma czas od obowiązkowej pracy zbywający i umysł dość już dojrzały, by samodzielnie nad Cyceronem, Tacytem i Montaigne'm pracować. Za namową L. Roberta i pod wpływem własnego pociągu do nauk pracuje w St. Lô pod okiem p. Dau de la Vauterie, inżyniera dróg i mostów, i przechodzi liceum św. Ludwika, zkąd przyjaźń ze sławnym O. Gratry datuje. W 19

roku życia zaczyna szkołę politechniczną i przechodzi w 1827 do szkoły min, którą kończy w połowie czasu regulaminem zakreślonego.

Wątłe zapewne wyniósłszy z rodzicielskiego domu przekonania religijne, wśród szkół przesiąkłych sceptycyzmem i wolteryanizmem, Le Play stracił do reszty wiarę. Nie ugrzązł jednak w materyalizmie, ani nie poprzestał na technicznych studyach swego zawodu, ale uderzony rozterką panującą w społeczeństwie, szukał w teoryach wówczas na dobie będących uszczęśliwienia ludzkości. Trzeźwością obdarzony i krytycyzmem, zgłębiwszy owe teorye, przekonał się, iż nie stanowią one najwyższej nauki życia, t. j. osiągnięcia pokoju i trwałości, że owszem rozterka, dążenie do ciągłych zmian i żądza przewrotu cechują w praktyce ich wytwory. Odrzucił je więc bezwarunkowo i przyszedł do przekonania, że w nauce społecznej nic się nie da wymyślić, że trzeba badać. Podróże, jakie do skompletowania wykształcenia fachowego wspólnie z przyjacielem swym Reynaud odbywał, uwidoczniały mu na każdym kroku prawa, których przeczucie zaczynało się budzić w jego umyśle. Pierwsze podróże do Anglii i azyatyckiej Rosyi, głębokie wywarły wrażenie na młodego racyonalistę i ateusza: prawo boże głoszone z katedr uniwersyteckich i stosowane w najdrobniejszych czynnościach czy to rodzinnego czy publicznego życia, przenikające stosunki społeczne w Anglii, obraz szczęścia i pokoju plemion uralskich, o pierwotnym rodzaju życia na temże prawie bożem opartym, odbijały rażąco od tego, z czem zżył się wśród francuskiego społeczeństwa i czem umysł się karmił w jego uczelniach.

Po powrocie do Paryża, w skutek okaleczenia ciężkiego przy wybuchu w laboratoryum, złożony chorobą potężny ten umysł, pracą wewnętrzną refleksyi stara się dać folgę energii ducha, skrępowanej fizyczną bezsilnością. Kilkonastomiesięczna ta szkoła boleści, jak ją nazywa, to epoka genezy metody badania Le Play'a, oraz zwrotu stanowczego w pracy, której pierwszym i głównym celem odtąd obserwacye faktów społecznych się stają, prowadzone równorzędnie ze studyami fachowemi.

Od 1832 do 1840 r. odbywa ośm z rzędu podróży: na południe Hiszpanii, do Biskai i Katalonii, do Anglii i Azyi, do Włoch i wreszcie po północnej i południowej Francyi. Obserwując nie-

zmordowanie stosunki społeczne i wynosząc z tej obserwacyi dojrzałe już przekonanie, że zasada uszczęśliwienia ludzkości, to najstarsza nauka świata, to prawo moralne, prawo boże, dekalog, woła, jak sam o sobie opowiada, z Wolterem: *Si Dieu n'existait pas, il faudrait l'inventer.*

Po ateizmie, z którego Le Play wyszedł, deizm jest pierwszem stadyum w dojrzewaniu jego myślenia i przekonań. Wśród tych i następnych jeszcze podróży [1], Le Play spisywał szczegółowe swe obserwacye o pojedyńczych rodzinach, które obierał jako typy pracującej ludności w zwiedzanych przez się krajach; a owocem tych studyów było dzieło, co uwagę całego świata naukowego na autora zwróciło: *Les ouvriers Européens* (Robotnicy europejscy), wydane w 1855 r., uwieńczone przez akademię r. 1856 w najpochlebniejszych słowach motywujących nagrodę [2]. Dzieło zawiera 31 typowych monografij i przedstawia w całej potędze metodę badania Le Play'a, uwidoczniającą prawdę wymową cyfr.

Od 1840 r., jako profesor metallurgii w szkole min, Le Play pracuje nad specyalnością swego zawodu [3], a równorzędnie wobec chwilowego połączenia ludzi dobrej woli i dobrej wiary z różnych partyj politycznych, z celem naprawy społecznej we Francyi od 1848—1851 [4]

---

[1] Po Danii, Szwecyi i Norwegii, 3-krotnie po Rosyi, 6-krotnie po Włoszech, po Morawii, Węgrzech, Karyntyi, Tyrolu, Turcyi, 5-krotnie po Niemczech.

[2] „La savante compagnie signalait la marche suivie par Mr. Le Play comme un modèle" Ob. A. Delaire: „Sur la méthode d'observation dans les sciences sociales". *Revue des deux mondes* 47. an., 3. péri., t. XXII., p. 187 etc.

[3] W r. 1833 od $^{26}/_{4}$—$^{15}/_{7}$ opracowuje i wydaje: „Observations sur l'histoire naturelle et sur la richesse minérale de l'Espagne" z mnóstwem planów i rysunków. Tegoż roku: „Kartę geologiczną basenu węglowego donieckiego", gdzie powołany przez właściciela kopalni uralskich, ks. Dewidowa, organizuje całą eksplotacyę zajmującą 45.000 rąk. W 1843 r. wydaje „La fabrication de l'acier en Yorkshire". 1853 „La méthode nouvelle employée dans les fôrets de la Carinthie pour la fabrication du fer". Wygotowuje materyały dla Akademii o fabrykacyi stali, przedstawiając w nich genialny swój wynalazek t. z. cementacyi, kitowania (cémentation). 1846 „Sur la fabrication des fers à acier dans le nord de l'Europe". 1854 „Étude sur la coutellerie et les outils en acier à l'exposition universelle de Londres". Zostawił nadto nieoszacowany rękopis, p. t. „L'art mètallique au XIX. scièle"; rodzaj to encyklopedyi z uwzględnieniem najnowszych zdobyczy nauki i praktyki w tej olbrzymiej gałęzi działalności przemysłowej świata.

[4] Ob. „La Constitution essentielle de l'humanité", str. 239, nota 1.

i zachęcany przez nich, wydaje już po rozbiciu tej zgody „Studyum zamachu stanu 1851 r.“ wyniki nauki wykrytej monografiami, w trzytomowem dziele: *La réforme sociale* [1].

W dziele tym myśliciel już dojrzalszy, postąpił z deizmu na zupełnie chrześcijańskie stanowisko; trzecia część dzieła poświęcona kwestyi o znaczeniu religii w społeczeństwie. Autor piętnuje materyalistów, co orzekają o organizmie społecznym na podstawie badań komórki materyalnej, bez żadnych zgoła studyów nad stosunkiem jednostek i całości społecznych. Wspiera ostatnie wysiłki Napoleona III. ku ratunkowi społeczeństwa francuzkiego, którego upadek społeczny z całą dokładnością zna, a polityczny upadek lada chwila nastąpić mający widzi jak na dłoni od 1864 r.; wydaje kolejno *L'Organisation du travail* [2] i *L'Organisation de la famille* [3]. Po katastrofie zaś roku 1870 rąk nie opuszcza, owszem z radością spostrzega reakcyę na drodze prawdy [4] i garnięcie się do pracy w tym kierunku. Niezmordowany i niewątpiący, jak w początku zawodu, wydaje r. 1871 *La paix sociale après le désastre* [5], r. 1875 ośm broszur pod wspólnym tyt.: *La correspondance sociale* — tegoż roku *La constitution de l'Angleterre* — także *La réforme en Europe et le salut en France* — r. 1879 *La question sociale au XIX. siècle* — wreszcie 1881 r. *La constitution essentielle de l'humanité.*

We wszystkich tych dziełach układ różny, zasady pozostają niezmiennemi, wybitnie jednak krystalizuje się trzeci stopień rozwoju ducha Le Play'a, tj. stanowisko jego nietylko chrześcijańskie, jak w dziele *Réforme sociale*, ale już całkiem katolickie [6].

---

[1] Dotąd sześć wydań: r. 1860, 1864, 1867, 1872, 1874, 1878.

[2] Dotąd cztery wydania: 1870, 1870, 1871, 1877.

[3] Dotąd dwa wydania: 1871, 1875.

[4] Ob. „Le Play d'après la correspondance“ p. Ch. de Ribbe. Paris, 1884, str. 435. List z 4/8 1871 r.

[5] II. wydanie 1876 r.

[6] Wystarczy odczytać następujące ustępy: La réforme sociale 5 éd. t. I. str. 214., Tom III., str. 194, oraz tamże §. 10, a także: wstęp §§. 12, 14, 15. — O małżeństwie duchownych, §. 40. — O missyach oo. jezuitów i ich nietolerancyi złego, §. 62. — Odparcie rzekomej dążności katolicyzmu do tłumienia intelligencyi, ib. Tom I., §. 14. — Zgodność katolicyzmu z zasadą wolności, ib. §. 15. — Katolicyzm nie wyklucza tolerancyi, ib. §. 14. — La paix sociale après le désastre (1876), str. 46; wreszcie listy w dziele *Le Play d'après la correspondance p. Ch. de Ribbe*, 1884, Paris, str. 273: „Katolik nie poświęca-

Tak Le Play wyszedłszy z ateizmu, doszedł w końcu do pełnej prawdy, szczerem jej poszukiwaniem i drogą ściśle naukowej metody. Odtąd posiadłszy poznanie prawdy i stwierdzając ją co krok swą metodą obserwacyi, staje się płodniejszym, zdwaja pracowitość nadludzką energią, w wydawaniu popularnych książek, rozwijających poszczególne materye kardynalnego dzieła *La réforme sociale.* Szlachetny prozelityzm prawdy każe mu wyszukiwać uczniów, coby naukę zdobytą półwiekową pracą dalej sprawdzali i krzewili, stwarza szkołę ekonomistów, *Societé d'économie sociale* r. 1869 [1]) i pismo peryodyczne: *La Réforme sociale.*

Niemniej potężną działalność Le Play'a praktyczna, czy to jako radcy stanu od 1855 r. i kierownika ankiet, czy senatora od 1867 stawiającego śmiałe a głębokie wnioski ku naprawie rozstroju społecznego, czy wreszcie w kierownictwie kolosalnych przedsiębiorstw, jakiemi były wystawy powszechne urządzone w Paryżu w 1855 i 1867 r. Cała Europa hołd oddała wówczas potężnemu organizacyjnemu umysłowi kierownika. Ale tu zwrócimy tylko na to uwagę, że zaprowadził w nich oszczędną, bo honorową administracyę, oraz dał inicyatywę osobnych nagród dla przedsiębiorstw odznaczających się polepszeniem stanu moralnego i materyalnego, co ruch w tym kierunku i po za Francyą obudziło [2]. Nagrody pracy swej nigdy nie szukał i nie żądał innej, jak napro-

---

jący się dla bliźniego, to pyszałek na wyższości doktryny tylko oparty, a odmawiający pokornych usług bliźniemu; Ewangelia takich piętnuje wedle istotnej wartości; krytykujmy jak najmniej innych, a starajmy się lepiej od nich praktykować naukę Chrystusa" — albo list na str. 274 lub 355 l. c. — porównać także „La science sociale", par M. Guérin, str. III. b.

Zbytecznemi cytaty niniejsze dla tych, co z ducha całej doktryny i listów Le Play'a poznają czysto katolickie hasła: miłości, pokory i cierpliwości. jakie przenikają na wskróś tę wielką duszę.

[1] Uznana przez rząd francuzki jako instytucya pożyteczna dla ogółu. Stanley Iwons, czł. „Political-Economy club" twierdzi: „nauka ekonomii politycznej stała się chaotyczną, z chaosu tego jeden tylko głos zapanować nad gwarem namiętności i systemów jest w stanie, to głos doświadczenia, experymentu".

[2] Na 5250 współpracowników zajętych przy wystawie 1867 r. tylko 174, najniższe funkcye pełniący, byli płatni. — Grupa X. mieściła: przedmioty „ku polepszeniu stanu materyalnego i moralnego służące" — i nagrody: „osobom, zakładom etc., co rozwinęły harmonię między pracodawcami a pracującymi, zapewniając tym ostatnim dobrobyt materyalny, moralny i intellektualny". Ob. „Correspondant" Tom 91, str. 231 i następne.

wadzenia ziomków na drogę poprawy społecznej. Nabywszy na kilkanaście lat przed śmiercią majątek ziemski Ligoure, przebywał tam często, oddając się pracy naukowej, a jednocześnie kształcąc zamężnego syna, który miał ideał jego rodziny szczepowej urzeczywistnić. Zmarł ten wielki myśliciel i wielki obywatel w Paryżu 5 kwietnia 1882 r.,[1] pochowany w grobie rodzinnym w Vigeu pod Limoges.

Przekonywającą potęgą dzieł Le Play'a, a oraz najbogatszą po nim spuścizną, to zdobyta przezeń nowa metoda ściśle naukowego badania zjawisk społecznych. Dwa są w badaniu naukowem kierunki: dedukcya i indukcya; pierwsza z nich, z postawionych lub przyjętych ogólnych praw i zasad wnioskuje o szczegółowem ich zastosowaniu: to tryb nauki objawienia i teoryj nauk już dojrzałych. Indukcya, to proces myślenia odwrotny: wnioskujemy, iż to, co jest prawdą dla pewnej liczby pojedyńczych wypadków, jest nią również dla wszystkich innych, które pierwszemu z pewnych względów są zupełnie podobne. Dedukcya tylko wtedy do prawdy doprowadzić może, kiedy zasady, z których wychodzi, są absolutnie prawdziwemi, a o takie w naszym wieku trudno. Wiek nasz, zniechęcony mnogiemi a marnemi próbami dedukcyi z dowolnie stawianych zasad, stracił w ogóle do niej wiarę. Za to szczególne ma zaufanie do indukcyi, która w nowożytnych badaniach przyrody tak świetne odniosła korzyści. Metoda więc Le Play'a ma tę pierwszorzędną korzyść, że odpowiada wymaganiom i rozumieniu swego czasu.

---

[1] Wszelakich odcieni ludzie w całej niemal europejskiej prasie, stratę tego niezwykłej miary męża, jednozgodnie odczuć potrafili; dość wyliczyć tytuły dzienników, co ze czcią pośmiertne wspomnienia skreśliły: „Clairon" (H. d'Arthour), „Civilisation" (M. Guérin), „Économiste français" (Leroy-Beaulieu), „Figaro" (St. Geneit), „Français" (F. Besly), „Gaulois", „Monde" (Coquille), „Moniteur universel" (L. D.), „Monde illustré", „Paris Journal" (L. Demolins), „Patrie", „Semaine religieuse", „Union" (D'Artiques), „Univers" (A. Roussel), „La défense", „Gazette du Midi", „Journal de Marseille" (Rostand), „France illustrée", dalej belgijski „Le travailleur", włoski „La voce del paese", „Gazette de Frankfort", wiedeńska „Vaterland", „L'Éclair", „Le messager du midi", „Osservatore Romano", warszawskie „Słowo", oraz większość dzienników angielskich, włoskich, niemieckich, szwajcarskich, hiszpańskich. Ob. „Le Play et son oeuvre de réforme sociale", p. E. Demolins 1884, str. 17—32.

Wszelako indukcya w dwojaki jeszcze sposób może być do zagadnień społecznych stosowaną: albo się zmierza do tego, żeby jak najwięcej faktów w rubryki zaciągnąć, mniej dbając o jakość tych faktów — tak postępuje zwykła statystyka; albo przeciwnie mniej dbając o liczby, w pierwszym rzędzie dąży się do wybrania typowych faktów i do wszechstronnego ich zbadania — i to jest metoda monografii, Le Play'owi właściwa. Naprowadzony na nią został przez skonstatowanie tej zasadniczej prawdy, że społeczność stoi na pojedyńczych rodzinach, że — innemi słowy — właściwa konstytucya danego ludu polega raczej i przeważnie na pojęciach jego, obyczaju i instytucyach życia prywatnego, aniżeli na prawie pisanem, i że życie prywatne wyciska piętno wybitne na życiu publicznem, albowiem: rodzina to zasadnicza podstawa uspołecznienia.

Ztąd też metoda Le Play'a przez niego „Metodą Monografij" nazwana, polega na najściślejszem badaniu zjawisk społecznych rodziny, której najdokładniejsze poznanie w licznych typowych niejako okazach daje obraz charakteru uspołecznienia danej miejscowości, kraju, wykazuje obyczaj i jego działanie, dodatne lub ujemne na stan społeczeństwa. W metodzie Le Play'a podstawą jest spostrzeżenie metodyczne, tj. wybieranie zjawisk typowych, a więc możność uogólniania ich znaczenia na mocy ściśle naukowego pewnika jednostajności i badanie tych zjawisk wnikaniem w nie, z nieznaną dotąd ścisłością [1].

Po tych kilku słowach o mistrzu i o jego metodzie, przechodzimy już do najważniejszej rzeczy, tj. do samej doktryny i rezultatów tą metodą zdobytych. W obec ogromu nauki społecznej obejmującej oba czynniki ludzkości, sfery moralną i materyalną, w obec samej na tem polu działalności Le Play'a w całej „bibliotece" zawartej, a z drugiej strony w obec gorącej chęci podzielenia się z czytelnikiem wynikami półwiekowej pracy ścisłej, naukowej, w formie

---

[1] Ob. Dufan „De la méthode d'observation dans son application aux sciences morales et politiques", Paris 1866, oraz: „Teorya Statystyki", p. prof. Witolda Załęskiego, Warszawa 1884, cz. I.

dostępnej i treściwej, przyjąłem za podstawę przedstawienia doktryny ostatnie z dzieł jego, tj. *La Constitution essentielle de l'humanité*. Jestto bowiem streszczona i usystematyzowana nauka Le Play'a, którą w obszernych pismach różnocześnie traktował. Dla ułatwienia podaję w odsyłaczach przy odnośnych materyach miejsca, gdzie rozwinięcia ich obszerniejszego szukać należy, a przeważnie odsyłam do dzieła *La réforme sociale*, najbardziej wyczerpująco te kwestye traktującego.

Półwiekowa ściśle naukowa obserwacya wykazuje Le Play'owi, że ludzkość przejawia dwojakiego rodzaju czyny charakterystyczne: jedne trwałe, drugie zmienne.

Trwałemi są następujące: 1) Wyjątkowe stanowisko człowieka w obec całego stworzenia, istotnie bowiem żyć może wszędzie, kiedy życie organiczne zwierzęce i roślinne ograniczone do pewnych terytoryów lub epok[1]. Człowiek niszczy w przyrodzie, co mu niepotrzebne a zostawia to co mu służy. 2) Przeciwieństwo to między człowiekiem a resztą stworzenia uwyda-

---

[1] Ob. tom I. „Ouvriers Européens", wydany osobno p. t. „La méthode sociale" 1877 r. Szczupłość miejsca nie dozwala nawet w najszczelniejszem streszczeniu przedstawić monografii z mistrzostwem wypełnionej, zaledwie ogólne wyobrażenie przynajmniej dadzą o niej wyliczone nagłówki rozdziałów; i tak monografia zawiera: „Observations préliminaires definissant la condition des divers membres de la famille. I. *Définition* du lieu, de l'organisation industrielle et de la famille. §. 1. État du sol, de l'industrie et de la population. §. 2. État civil de la famille. §. 3. Religion et habitudes morales. §. 4. Hygiene et service de santé. §. 5. Rang de la famille. II. *Moyens* d'existence de la famille. §. 6. Propriétés. §. 7. Subventions. §. 8. Travaux et industries. III. *Mode* d'existence de la famille. §. 9. Aliments et repas. §. 10. Habitation, mobilier et vêtements. §. 11. Récréations. IV. *Histoire* de la famille: §. 12. Phases principales de l'existene. §. 13. Moeurs et institutions assurant le bien-être physique et moral de la famille: Budget des recettes et des dépenses de l'année, comptes des bénéfices, comptes relatifs aux subventions, comptes divers. *Notes:* Faits importants d'organisation sociale; particularités remarquables; appréciations générales; conclusions". Średnio 20 kart ścisłego druku wielkiego w 8-ce, mieści najdrobiazgowsze szczegóły w misterne ramy włożone, a dające obraz żywy rodziny; poznajemy ją jak własną a bodaj stokroć dokładniej niż własną. Jest to wiwisekcya najdokładniejsza, eksperyment chemiczny najściślejszy w sferze społecznej zastosowany. To też *Taine*, a któż dziś jego powagi naukowej nie uznaje, nie waha się nazwać znakomitego dzieła swego „Les origines de la France contemporaine" *Dodatkiem zakończającym (appendice)* szeregu Le Play'owskich monografii.

tnia się dalej w zdolności wyboru złego lub dobrego, a więc w wolnej woli, przy równoczesnem pozbawieniu tego nieomylnego instynktu, który zwierzęta posiadają: on jeden z całego stworzenia pracuje nieraz nad własną zgubą, pod wpływem błędu. 3) Człowiek z natury jest słabą i niedoskonałą istotą, dziecko długo jest tylko ciężarem, ma skłonności do złego, wychowanie je dopiero poskramia. Mędrcy wszelkich narodów i wieków nazywają ten trzeci rys stały ludzkości skażeniem albo grzechem pierworodnym. Wpływ jego, oraz zdolność zmodyfikowania go przez wychowanie, są rozmaicie ustosunkowane w skłonności ku złemu i dobremu, nawet między dziećmi jednych rodziców. A więc 4) nierówność naturalna jednostek. Dalej ludzkość przejawia 5) dwie kardynalne potrzeby ściśle ze sobą związane: musi zdobywać chleb powszedni, i ulegać zarazem prawu moralnemu — brak zaspokojenia którejkolwiek z nich wywołuje stale rozterkę, cierpienie i rozkład społeczeństwa. Historya i archeologia uczą, a obserwacya wykazuje, 6) że pod nieograniczonym wpływem skażenia pierworodnego nie ma granic zepsucia tak indywiduów, jak społeczeństw (np. zmysłowości, pychy etc.). Przeciwdziałanie i leczenie wpływów grzechu pierworodnego jest zadaniem w społeczeństwie ludzi, co w pracy swej i w ognisku domowem utrzymują pokój, trwałość i wzajemne przywiązanie pana do sług, pracodawcy do pracujących. Le Play znajdował u wszystkich narodów ludzi spełniających to zadanie i nazywa ich władzami społecznemi *(autorités sociales)* [1]. Zatem 7) władze społeczne leczą grzech pierworodny. Niedoskonałość, niekompletność natury ludzkiej nagradza się wpływami, których pierwiastek jest po za człowiekiem, nie zaś w nim samym. 8) Wychowanie w rodzinie zaciera skutki skażenia pierworodnego; uzupełnia je wykształcenie szkolne i fachowe, a szkoła życia dopełnia obu i uzdolnia jednostkę do zaspakajania kardynalnych potrzeb. 9) Rodzina u wszystkich ras i dla egzystencyi każdego indywiduum jest często jedynem a zawsze głównem środowiskiem wychowawczem, przekazuje bowiem dzieciom praktykę prawa moralnego, bez której ani

[1] „Ludzie boscy“ Platona (O prawach XII.), o których Le Play później się dowiedział, nie znał bowiem wcale Platona, kiedy obserwacya „władze społeczne“ wykryć mu samodzielnie dopomogła.

spokoju, ani chleba powszedniego nie zdobędą. Organizacya rodziny różna jest, względnie od miejscowości i ciągłego wpływu urodzin i śmierci; lecz zmiany te, o ile podlegają prawom stałym obyczaju lub nie, sprowadzają pomyślność lub cierpienie tak samej rodziny, jak i całego społeczeństwa. Rodzina więc jest pierwiastkiem organicznym i zachowawczym ras kwitnących. Rodziny trwałe cechują się duchem pracy, wstrzemięźliwości, oszczędności, poszanowaniem tradycyi przodków, przywiązaniem do ogniska i do własności rodzinnej, poświęceniem dla pokolenia następnego. Ze względu na sposób przekazywania temu pokoleniu tychże uczuć wraz z materyalnem przekazaniem ogniska, warsztatu i t. d., 10) dwie są kategorye rodzin trwałych: patryarchalna i szczepowa *(famille souche)*. Rodziny patryarchalne istnieją, gdzie warunki mieszkania i utrzymania dozwalają stadłom kilku pokoleń pozostać skupionymi pod władzą głowy rodziny. Patryarcha ten dobiera sobie wśród potomków pomocnika, przeznaczając go na swego następcę. Rodzina szczepowa, nie wymagająca już takich zasobów i podstawy ograniczoności terrytoryalnej jak pierwsza, składa się z jednego stadła; ojciec takiej rodziny przybiera na pomocnika i następcę jednego z synów, ożenionego, uzdalniając go, przez wychowanie w cnocie, do troszczenia się o rodzeństwo, jak o własne swe dzieci, z poświęceniem na to owocu własnej głównie pracy. 11) W rodzinach istnieje różność wrodzonych skłonności nawet u dzieci jednych rodziców w tendencyi ku złemu lub dobremu. Teorya fatalistycznie przeznaczająca jedną lub drugą skłonność danemu społeczeństwu jest fałszem. Każde społeczeństwo kwitnąć może, byle rządzący rozwijali, za pośrednictwem „władz społecznych“ kiełki dobrego, a wykorzeniali pędy zła. 12) Różność tę skłonności sama rodzina wyzyskuje najlepiej, by w pokoju i trwale istnieć. Rodzice najpierwsi i najdotykalniej odczuwają złe instynkta dzieci; najkorzystniejszą, bo z miłości płynącą repressyą poskramiają, wyzyskują charakter i usposobienie każdego z dzieci, aby harmonię domową zapewnić. Natura sama rodziny trwałej przeświadcza, iż szczęśliwość i pokój polegają na przechowaniu praktyki prawa moralnego. 13) W warunkach tych ludność szybko wzrasta; co pociąga konieczność zmiany: bądź

zajęcia nowego, bądź odmiennego użytku danego terrytoryum i ścierać się poczynają w pracy na chleb powszedni dwa prądy: tradycyi i nowości. Wyłączność jednego z nich cechuje krańcowe systemy w tej pracy, występujące w rodzinie patryarchalnej i w rodzinie nietrwałej; harmonię ich osiąga rodzina szczepowa u wszystkich ras.

Przesada nowości charakteryzuje rodziny niestałe: w obec przewagi ducha nowości rodzina taka nie jest w stanie hamować dążności ku złemu; doświadczenie wykazuje wtedy zawsze, iż najcywilizowańsze nawet społeczeństwa upadają niżej stanu dzikich, gdyż u tych ostatnich rękojmię trwałości stanowi jeszcze władza ojcowska, wykluczona w rodzinie nietrwałej. Typy tej rodziny, tak w rasach myśliwskich, jak i wśród najcywilizowańszych społeczeństw, jednakie cechy mają: jestto związek dwojga dorastających wyzwolonych ludzi, potomstwo zaledwo dorastające opuszcza gniazdo rodzinne i osieraca rodziców, ród rozwiewa się bez śladu. Ostatnim wreszcie stałym rysem ludzkości jest to, że pomyślność ludów lub cierpienie zależy od uznania przez nie, lub zaprzeczania grzechu pierworodnego. W istocie ludy niejednakiemi szlakami dążą do swego uszczęśliwienia. Różność ta, w dalszym ciągu dzieła obszerniej wyłożona, pochodzi głównie z odmiennych opinij, o stałych rysach ludzkości wyżej podanych. Opinie te mają źródło w dwóch przeciwnych doktrynach: pierwsza z nich od 100 lat na Zachodzie panująca, twierdzi, że jednostki rodzą się z jednaką skłonnością ku dobremu, tj. ku osiągnięciu szczęścia; rodziców więc zadaniem nie jest wpajać dzieciom tradycye prawa moralnego, ale tylko uzdalniać je do zdobywania chleba powszedniego; rodzina po osiągnięciu tego celu rozpierzchać się winna, jest bowiem związkiem chwilowym, materyalnym, a społeczeństwo właściwie składa się z jednostek i państwa, większość jednostek stanowi o zasadach zapewnienia szczęścia i pokoju społecznego.

Druga doktryna, stara jak rodzaj ludzki i na całej kuli ziemskiej rozszerzona, twierdzi, że dziecko rodzi się ze skłonnością ku złemu, że rodzina zapomocą wychowania i tradycyi ma je ku dobremu nakłaniać, ćwicząc jednostki w pełnieniu prawa moralnego i ucząc je zdobywać chleb powszedni; rodzina wytwarza społeczeń-

stwo na swój obraz; naczelnicy rodzin zgadzają się na środki rządzenia i zniewalania bodaj przymusem tych, co nie wykonywują ustaw zabezpieczających pokój społeczny; a państwo występuje tylko wtedy, gdy przejawia się bezsilność u naczelników rodzin lub władz społecznych. (Dok. nast.)

Achiles Breza.

DARWINIZM

w obec rozumu i nauki.

II. O pochodzeniu człowieka.

(Ciąg dalszy).

2. Dowody Darwina o podobieństwie jakościowem między człowiekiem a zwierzętami są błędne. — Darwin miesza objawy czuciowe z objawami innych władz umysłowych. — Błędne wywody Darwina o wyrazie uczuć w człowieku i zwierzęciu. — Charakterystyczne znamiona człowieka nie są udziałem zwierząt. — 1. Udoskonalenie się; nie jest prawdą, aby stan dzikości był stanem pierwotnym ludzi: świadectwa filologów i archeologów. — Człowiek zdolny jest do postępu i rzeczywiście rozwija się, choć może uledz i ulega wstecznemu cofnięciu. — Zwierzę jest w zupełnym zastoju; nie rozwija, ani nie może rozwinąć swych władz umysłowych 2. Mowa. Mowa jest wyłącznym udziałem człowieka: świadectwa filologów. — Hypotezy, *bau-wau* i *puh-puh* burzą wszystkie zdobycze naukowe, osiągnięte od pół wieku w językoznawstwie.

2. Dowody Darwina o podobieństwie jakościowem między człowiekiem a zwierzęciem są błędne.

Darwin postawił sobie za cel, w dziele „o pochodzeniu człowieka", wykazać, iż różnice pomiędzy zwierzęciem a człowiekiem są ilościowe tylko, a nie jakościowe, i to pod każdym względem: w pierwszym rozdziale usiłuje tego dowieść pod względem anatomicznym, w drugim i trzecim pod względem fizyologicznym.

Godzą się wszyscy na to, iż pod względem ustroju organicznego wielkie jest podobieństwo między zwierzęciem a człowiekiem, a godzą się na to więcej jeszcze nieuczeni, aniżeli uczeni, sam bowiem Huxley, jakkolwiek darwinista, wyznaje, iż „pomiędzy każdą kością goryla a człowieka, różnica jest ogromna"; chodziłoby tylko o zgodę pojęć co do „jakości" i „ilości", ażeby wykazać, że

pod względem anatomicznym różnice ilościowe tylko istnieją. Darwin tego nie okazał, lecz choćby był i sprostał temu zadaniu, nic jeszcze nie mielibyśmy przeciw temu, i pominęlibyśmy milczeniem cały ten rozdział, gdyby był nie popadł w nim w sprzeczność z główną podstawą swej teoryi. Darwin kładzie w nim mocny nacisk na tak zwane przez siebie „szczątkowe narządy", które dotąd istnieją w człowieku, a mają przekonywać, że protoplaści jego okryci byli dawniej szerścią, posiadali śpiczasto-ruchome uszy i ogon. Otóż na te rozumowania i dowody odpowiadamy: albo poprzednik człowieka posiadał te narządy, albo ich nie posiadał, *tertium non datur*. Jeżeli ich nie posiadał, wówczas próżne są dowody Darwina, cośmy właśnie zamierzali dowieść w naszem twierdzeniu; jeżeli zaś je posiadał, to cała teorya ewolucyjna Darwina oparta na „doborze przyrodzonym", zapomocą „walki o życie", jest błędną: ta tylko druga część potrzebuje wyjaśnień; a podjął to zadanie współpracownik i przyjaciel Darwina, wielkiego używający wzięcia w obozie darwinistowskim. Wallace przyznaje, że „dobór przyrodzony", korzystając ze wszystkich cech użytecznych, które się pojawiły w osobniku, mógł być powodem zmienności gatunku, lecz żadną miarą nie mógł dopomódz do przeobrażenia zwierzęcia w człowieka. Jeżeli człowiek, tak rozumuje Wallace, pochodzi od przodka, który posiadał ogon, kły, pazury, nogi chwytne, szerść i t. p. narządy, to utrata tych warunków nie mogła być spowodowaną działaniem doboru przyrodzonego, bo dobór przyrodzony z istoty swej tylko takie może wprowadzić i ustalić zmiany, które dają przewagę w walce o życie: utrata zaś rzeczonych narządów musiałaby być w tej walce niekorzystną. Nie dobór też przyrodzony był powodem wykształcenia krtani do śpiewu, ręki tak zdatnej do wszelkich wyrobów, albowiem dzicy tak udoskonalonych narządów całkiem nie potrzebują. Wreszcie co do rozwoju umysłowego, jaką korzyść mogą mieć dzicy, iż ich umysł zdolny jest do pojęć oderwanych, do idei czasu, przestrzeni, wieczności, nieskończoności, do poczucia piękna? Ztąd wnioskuje Wallace, iż dobór przyrodzony nie tłómaczy tego rozwoju, lecz należy przypuścić Inteligencyę wyższą, która w przewidywaniu korzystnych następstw wywołała i przygotowała te zmiany dla przyszłych pokoleń. Wallace nie przestał być transformistą, przemianę gatunków przypisuje doborowi przyrodzonemu, wytworzenie

ras doborowi sztucznemu, powstanie i rozwój człowieka doborowi nadprzyrodzonemu. Ten ostatni pogląd zjednał Wallace'owi u darwinistów miano odstępcy. W całej tej sprawie arcycharakterystyczne jest znalezienie się Darwina. Spór, jaki wywołał Wallace, był głośny, zarzuty jego były gruntowne, oburzenie na Wallace'a w szkole darwinistowskiej ogromne, Darwin zaś o całem tem zajściu to tylko pisze[1]: „Nie mogę zrozumieć, dlaczego Wallace powiada, że dobór przyrodzony mógł co najwięcej obdarzyć dzikiego mózgiem nieco większym od mózgu małpy". Widoczną jest rzeczą, że Darwin zbyt rachuje na naiwność swych zwolenników!

Drugi rozdział Darwin tak rozpoczyna: „W poprzednim rozdziale wykazaliśmy, że człowiek pod względem budowy ciała nosi na sobie widoczne ślady pochodzenia od jakiejś niższej ustrojowej formy". Podobieństwo daje pochop Darwinowi do wniosku o pochodzeniu; ta logiczności próbka dała zapewnie p. Reich manowi podstawę do nazwania Darwina „ideałem logiczności!"

Cały drugi i trzeci rozdział, nadto niektóre ustępy następnych poświęca Darwin porównywaniu „władz umysłowych" człowieka i zwierzęcia. W tym celu zbija on w czambuł wszystkie możliwe objawy uczuć, pamięci, ciekawości, wyobraźni, woli, rozumu, i dowodzi ich tożsamości, a przynajmniej ilościowe znajduje tylko różnice. To zaś tem snadniej mu przychodzi, że na mocy swej „idealnej logiczności", skoro mówi o objawach mających wspólne źródło w człowieku i zwierzęciu, wyprowadza wnioski o objawach cechujących jedynie człowieka. Z tego powodu w rozbiorze dowodów Darwina nie będziemy się trzymać jego porządku, lecz zastanowiwszy się nad cechami podobnemi, przejdziemy następnie do tych, które stanowią wyłączną właściwość człowieka.

O ścisłości dowodów Darwina, można już wnosić z tego, że nawet tłómacz polski jego dzieła, nie mógł się powstrzymać od zaprotestowania. Czytamy w jednym z jego dopisków[2]: „Proces rozumowania Darwina, w ustępie dotyczącym wyobraźni, jest bardzo podobny do rozumowania np. tego rodzaju: że, ponieważ pływanie jest nieco podobnem do latania, skoro ryby pływają, więc też

[1] O poch. czl. str. 136. [2] O poch. czl. str. 42.

przyznać trzeba, że i latać muszą". Podobne nielogiczności, a nawet niedorzeczności, wszelką przechodzące granicę, są na porządku dziennym w dziele: „o pochodzeniu człowieka".

Pomiędzy objawami „władz umysłowych", jak je nazwał Darwin, rozróżniamy te, które odnoszą się do c z u c i a, od innych, które do r o z u m u należą. Człowiek obdarzony jest czuciem; wszyscy też przyznają, z wyjątkiem dawnych Stoików i Kartezyanów, że i zwierzę je posiada, ztąd objawy mające w niem swe źródło, tak w człowieku jak i w zwierzęciu, muszą mieć pewne podobieństwo; jak daleko posunięte jest to podobieństwo, innemi słowami, czy różnica między tymi objawami jest ilościową, czy też jakościową, wchodzić w to nie potrzebujemy. Choćby była ilościową, jak chce Darwin, twierdzenie jego dowiedzionemby jeszcze nie było, pozostają bowiem objawy tyczące się rozumu, na których właśnie polega cała istota różnicy, między człowiekiem a zwierzęciem: c z ł o w i e k j e s t z w i e r z ę c i e m, a l e r o z u m n e m. Pominęlibyśmy zatem roztrząsanie dowodów Darwina o objawach tyczących się uczuć, gdyby nie ta okoliczność, iż przyrodnik angielski mocny kładzie na nie nacisk i wydał osobne, spore dzieło, pod tytułem: „O wyrazie uczuć w człowieku i zwierzętach" [1]. Rozbiór tego dzieła, który tu treściwie podajemy, przekonywa, iż mozolne wywody autora ani nie popierają jego mrzonek o zwierzęcem pochodzeniu człowieka, ani też w niczem nie przyczyniają się do postępu samej fizyologii, tak z powodu apriorystycznego naciągania faktów, jakoteż zbyt jednostronnego kierunku pracy.

Ludzie i zwierzęta mają czucie, lecz czucie to nie jest w jednych i drugich jednakowe. Psycholodzy dowodzą, iż czucie w ludziach nie jest tego rzędu co w zwierzętach, albowiem objawy jego odbywają się w duszy obdarzonej rozumem, fizyolodzy przychodzą do tych samych wniosków *a posteriori*. X. Lecomte, b. dyrektor szkoły normalnej w Mons, napisał szeroką i gruntowną ocenę ostatniego dzieła Darwina [2]. Oparty na uczonych spostrzeżeniach Sir Kar. Bell'a, Chevreul'a, Gratiolet'a, Klaud. Bernard'a i innych, ze stanowiska li tylko fizyologicznego rozbiera on punkt za punktem

[1] The expression of the emotions in man and animals London. 1872.
[2] Ob. Revue des questions scientifiques. Bruxelles. a. 1878 i 1879.

wszystkie dowody i rozumowania Darwina. Badacz angielski odnosi wyraz uczuć do trzech prawideł: 1. „Zasada celowych skojarzonych przyzwyczajeń", 2. „Zasada przeciwieństwa", 3. „Zasada ruchów zależnych od budowy układu nerwowego, niezależnych zupełnie od woli, i do pewnego stopnia niezależnych od przyzwyczajenia". Przytaczamy wykład tych zasad słowami samego Darwina [1]. „Wedle pierwszej z nich, mówi on, ruchy użyteczne dla zadowolenia jakiegoś pożądania lub ulżenia pewnemu nieprzyjemnemu wrażeniu, powtarzają się często i stają się tak zwyczajowemi, że wykonywane zostają, jak skoro tylko powstanie toż samo żądanie lub odczutą będzie taż sama dolegliwość, i to bez względu, czy będą wtedy pożytecznemi czy nie. Drugą naszę zasadę stanowi prawo przeciwieństwa. Przyzwyczajenie dowolnego wykonywania przeciwnych ruchów, pod wpływem przeciwnych pobudek, zakorzeniło się w nas silnie w skutek praktyki życia całego. Dlatego jeśli pewne ruchy dokonywane były ciągle, na zasadzie pierwszego naszego prawa, pod wpływem pewnego nastroju umysłu, to rozwija się w nas silna i bezwolna dążność do wykonywania zupełnie przeciwnych ruchów, pod wpływem przeciwnego nastroju, i to bez względu, czy będą one nam pożyteczne czy nie. Trzecia nasza zasada polega na bezpośredniem oddziaływaniu układu nerwowego na ciało, niezależnie od woli, a w znacznej części niezależnie od przyzwyczajenia. Doświadczenie uczy, że siła nerwowa zostaje wytworzoną i wyzwoloną, jak tylko układ mózgordzeniowy podrażnionym zostanie. Kierunek, jaki ta siła nerwowa przybiera, oznaczonym z konieczności zostaje przez sposób łączenia się komórek nerwowych między sobą i z rozmaitemi częściami ciała. Na kierunek ten wpływa w wysokim stopniu i przyzwyczajenie, gdyż siła nerwowa z łatwością szerzy się zwykle używanymi kanałami".

To wyjaśnienie, niewiele rzecz objaśnia, ale wniosek, jaki z tego Darwin snuje, do reszty wszystko zaciemnia. „Widzieliśmy tedy, pisze dalej [2], że badanie teoryi wyrazu potwierdza do pewnego stopnia przypuszczenie, że człowiek pochodzi od jakiejś niższej formy zwierzęcej". Widzieliśmy? Nie, nie widzieliśmy. Ten wniosek nie płynie ani

[1] Wyraz uczuć. Warszawa, 1873, str. 305, 306.
[2] Ibidem, str. 321.

z wyraźnych przesłanek Darwina, bo ich nigdzie nie stawiał, ani też z domyślnych, albowiem podobieństwo uczuć nie pociąga za sobą ich tożsamości, a tem mniej wspólności pochodzenia. Nadto, całe to dzieło Darwina nie ma zalet oderwanej nawet pracy naukowej.

Najprzód sam podział jest dowolny i bezpodstawny, objawy fizyologiczne pomieszane są z psychicznymi, tłómaczenie ich przekracza wszelką dowolność, nierzadko fakt wybitny sam z siebie tak jest przyczepiony, iż maluje tylko luźność logiczną autora. I tak Darwin, chcąc okazać, że wyobraźnia wywiera wpływ na odżywienie tkanek, przytacza następujący przykład [1]: „Kobieta pewna podlegająca temu, co nazywamy migreną nerwową, spostrzega zawsze, na drugi dzień, zaraz po napadzie, że pęczek jej włosów zbielał i jest jakby upudrowany. Zmiana ta dokonywa się w ciągu jednej nocy; w kilka dni potem, włosy odzyskują stopniowo swą barwę brunatną". Odpowiada mu na to X. Lecomte [2]: „Ta uwaga, zapożyczona od Sir J. Paget, jest ciekawą bez wątpienia, lecz jakkolwiek jesteśmy przyzwyczajeni do niebardzo ścisłej logiki Darwina, zdaje się nam, że to zastosowanie, które niczego nie dowodzi, ani nie ma nic wspólnego z tezą, przekracza granicę dozwolonych zboczeń. Można powiedzieć z Horacym: *Non erat his locus*".

W innym znowu przykładzie [3] Darwin usiłuje przekonać, że pies dlatego tarza kawał rzuconego sobie suchara w prochu, żeby mu nadać ponętę padliny, którą się żywią szakale, zkądby płynęło, że pies od szakala pochodzi. „To już jest takie urojenie, mówi X. Lecomte [4], iż przechodzi granicę poważnej nauki". Sam nawet Erdmann, który jest transformistą i przychylnie ocenia pracę angielskiego przyrodnika, nie może się powstrzymać od zdziwienia, iż Darwin daje się powodować takim mrzonkom, które zakrawają na halucynacyę lub dziecinny żart [5].

Wreszcie X. Lecomte takie wywodzi wnioski ze swego rozbioru: Pierwsza zasada Darwina jest prawdziwa, lecz nie przez niego

---

[1] Wyraz uczuć, str. 300. [2] L. c. t. VI., p. 589. [3] Wyraz uczuć, str. 45.
[4] L. c. t. IV., p. 449.

[5] Darwin versetzt sich so in das Innere des Thieres und spricht aus diesem heraus, dass es oft, wenn auch nicht an Wahnsinn, so doch ans Kindische streift. Wenn wir z. B. von einem Hunde hören, der einen Zwieback im Staube und Schmutz der Strasse herumwälzt, und es wird gesagt: das geschehe, damit der Zwieback einem Stück Aas ähnlich werde, auf dem sich

została wynalezioną. „Różny rodzaj wyrazu uczuć, który Darwin zaliczył do swej pierwszej zasady, dawniej już był rozwinięty i wytłómaczony, w sposób daleko gruntowniejszy, przez innych, mianowicie zaś przez Graliolet'a“ [1]. Druga jest całkiem ułudną *(chimérique)*. „Z jakiegokolwiek punktu widzenia zapatrywalibyśmy się na tę sprawę, bądź ogólnie fizyologicznego, bądź też rozbierając szczegółowo fakta przytaczane, nie znajdujemy nigdzie dostatecznego powodu do przyjęcia zasady przeciwieństwa, wynalezionej przez Darwina“ [2]. Trzecia nakoniec zasada wywołuje też same zarzuty. Wyraża ona czczą prawdę fizyologiczną, nie objaśniającą zupełnie wyrazu uczuć. „Jeżeli czasami badanie wpływu bezpośredniego nerwów, na wytworzenie wyrazu uczuć, doprowadza do zadawalniających wypadków, nie Darwinowi należy to przypisać“ [3]. Słowem wszystko co znajduje się poważnego w dziele „o wyrazie uczuć“, zawdzięczyć należy badaniom innych, przykłady zaś, dowody i wnioski samego Darwina są gmatwaniną pojęć nielogicznie powiązanych.

Przystępujemy obecnie do rozbioru niektórych objawów odnoszących się do rozumu, jakiemi są: samowiedza, pojęcia oderwane, udoskonalenie, mowa, moralność, religijność.

Musimy naprzód zauważyć, iż według Darwina, „nie podlega najmniejszej wątpliwości, że pod względem umysłowym różnica między człowiekiem a zwierzętami okaże się nawet wówczas olbrzymią, kiedy porównamy umysł najniższego z dzikich... z najwyżej uorganizowaną małpą“; przyznaje dalej, że „nikt nie przypuszcza, żeby którekolwiek zwierzę dumało nad tem, skąd ono pochodzi, co jest śmiercią a czem jest życie i t. d.“; wreście pewną jest rzeczą, że „świadomość i zdolność abstrahowania pojęć są właściwe jedynie ludziom“. Co się tyczy innych objawów, Darwin wprawdzie nie zaprzecza całkowicie ich istnienia w człowieku, ale zredukowawszy je do możebnego *minimum*, wykazuje, iż coś podobnego istnieje u zwierząt: zastanowimy się poszczegółowo nad każdym z nich.

herumzuwälzen der Schakal und also auch sein Nachkomme, der Hund, sehr liebe, so erinnert uns das an unsere Kinderzeit, wo wir auch ganz gewiss wussten, dass der Hahn auf den über seinen Schnabel gezogenen Kreidestrich staune, weil er ihn für einen Balken halte“. (Prof. Erdmann. Darwin's Erklärung pathognomischer Erscheinungen, p. 5. Halle 1873).

[1] X. Lecomte, l. c. t. IV., p. 486. [2] Ibidem, t. V., p. 449.

[3] Ibidem, t. VI., p. 595.

1. Udoskonalenie się. Ewolucyoniści wychodzą z zasady, że istoty żywotne a nawet nieżywotne dążą ciągle i postępują ku udoskonaleniu; cały transformizm na tej zasadzie jest oparty. W pierwszej części naszej pracy wspomnieliśmy [1], na jakie trudności napotykają, i jak sam Darwin, przyparty do muru zarzutami, zmuszony był do wyznania, że „dobór naturalny nie mieści w sobie koniecznego prawa postępowego rozwoju". To zdanie wywracało z gruntu całą teoryę, Darwin zapobiegł temu jednakże, przyjmując „wzrost wsteczny" [2]. Nie było wprawdzie logicznem stawianie dwu praw wręcz sobie przeciwnych, lecz „ideał logiczności" o to się nie kłopotał; przyjmując je, tłómaczył wszelki objaw, uniemożebniał wszelkie trudności i to wystarczało.

Ten postęp, nie ma, jak zwykle u Darwina, żadnych granic. Żyjątko jakieś, idące ciągle w tym postępie, udoskonalało się tak pod względem fizycznym, jako i umysłowem, przeobrażało się powoli a wreście przedzierżgnęło się w człowieka; jeżeli zaś nie wszystkie istoty uległy temu przeobrażeniu, należy to kłaść na karb „wzrostu wstecznego". Przyczyna zaś, dlaczego jedne istoty szły postępem rosnącym, inne zaś malejącym, polega na przypadku.

To zwierzę przedzierżgnięte w człowieka, czyli ów „pierwotny człowiek" był naturalnie jeszcze bardzo dzikim i z czasem dopiero, po wielu zapewne milionach lat, doszedł do tego stopnia rozwinięcia i cywilizacyi, na jakim go obecnie widzimy. Takby być musiało logicznie i ten fakt chce Darwin historycznie stwierdzić, stąd też następny daje nagłówek jednemu z rozdziałów swej księgi: wszystkie narody cywilizowane były niegdyś w stanie barbarzyństwa.

Darwin sądzi, iż dowodów na to nie potrzeba, „udowodnienie tego, mówi [3], jest poniekąd zbyteczne, mając na względzie znakomite prace i przekonywujące argumenta, zebrane w dziełach Lubbocka,

---

[1] Obacz *Przeg. Pow.* t. IV., str. 198 i nast.

[2] Ten wybieg Darwina tak ocenia de Quatrefages: „C'est ici surtout, qu'il laisse de côté le progrès organique, qu'il se rattache au principe de l'adaptation, et formule relativement aux conséquences de l'élection naturelle, des restrictions bien peu d'accord, il me semble, avec le langage qu'il tient ailleurs..." (Char. Darw. p. 212).

[3] O poch. czł. str. 180.

Tylor'a, M'Lennan'a i innych, napisanych właśnie w tym duchu i z tą dążnością". Jednakże w obec zaczepek księcia d'Argyll'a, nie będzie od rzeczy, jak mówi, coś o tem powiedzieć. Należało się spodziewać, że Darwin przywiedzie wszystkie te „przekonywające argumenty" swych „znakomitych" przyjaciół — przypatrzmy się tym dowodom.

„Że niektóre narody, pisze Darwin [1], mogły się cofnąć w cywilizacyi i pogrążyć się nawet głęboko w barbarzyństwie, jest to bardzo możebnem, jakkolwiek nie zdarzyło mi się nigdzie odszukać na to dowodów". Taka naiwność jest zdumiewającą! Jakto! Darwin nic nie wie o dawnych cywilizacyach babilońskich, asyryjskich i egipskich, nie wie jak wysoko stały i stara Grecya i stara Roma, czyż arcydzieła sztuki, codziennie prawie wydobywane z gruzów starego i nowego świata są mu nieznane? Darwin nie mógł odszukać dowodów! Ależ pomijając pojedyncze zdarzenia o nierzadkich wypadkach zdziczenia Europejczyków, którzy z powodu rozbicia okrętu, dezercyi, lub innych okoliczności, zmuszeni byli zamieszkiwać dłuższy czas pośród dzikich ludów, czyż, lat temu sto, całe plemiona nie powróciły do stanu dzikości w Paragwaju? Czyż Gwaranowie, pod ojcowską ręką Jezuitów, nie byli ludźmi cywilizowanymi? czyż rolnictwo, przemysł i dzieła sztuki nie kwitnęły pomiędzy nimi jeszcze do roku 1768? — gruzy zalegające dawne r e d u k c y e świadczą. Pombal, Choiseul i Aranda postarali się o zaprowadzenie tam swych rządów i cywilizatorowie z Buenos-Ayres polują dziś w Pampasach na Indyan, jako na dzikiego zwierza. I o tem wszystkiem Darwin nic nie wie?

Po odrzuceniu powszechnie znanego i powszechnie przyjętego faktu historycznego, Darwin mógł był na tem poprzestać; jeżeli bowiem ludy nie cofnęły się nigdy wstecz, a niektóre z nich znajdują się w stanie barbarzyńskim, jest tedy prawdopodobne, iż wszystkie niegdyś były w tym stanie. Lecz Darwin chcąc przekonać, iż posiada inne „przekonywające argumenty", w takie popada bałamuctwa, że samych nawet swych zwolenników odstraszyć może. I tak utrzymuje, iż „formy mowy dzikich i ich pogańskie obrządki" są doskonałemi dowodami, które (chociaż zapowiada, że „je pomi-

[1] L. c.

nąć musi"), przytacza w tych słowach: „Zdaniem filologów nowej szkoły, mówi on [1], każdy język nosi na sobie ślady powolnego rozwoju i stopniowych ewolucyi". To jest prawda, a nawet coś więcej trzeba powiedzieć, mianowicie, że języki najdzikszych dziś ludów afrykańskich i amerykańskich dowodzą, iż budowa ich jest dziełem filozofów, a nie dzikich [2]: z tego zaś wynika, że „forma mowy dzikich" jest dowodem, iż dawniej musieli stać na wyższym stopniu cywilizacyi.

Co się tyczy pogańskich obrządków, Darwin utrzymuje: „najwznioślejszych zaś pojęć teologicznych — jak np. idei b o g a [3] brzydzącego się grzechem, a kochającego cnotę — nie znały dzikie protoplasty nasze". Na jakich dokumentach oparł Darwin ten wyrok, niewiadomo — ale oto profesor uniwersytetu oksfordzkiego, nie ateusz wprawdzie, protestant, choć niezupełnie chrześcijańskich przekonań, na mocy badań starych języków, głosi publicznie rzecz całkiem inną. „Tysiące lat upłynęło, mówi Max. Müller [4], od dnia, w którym ludy aryjskie rozdzieliły się, aby pójść ku północy i południowi, na wschód i na zachód: wszędzie wytworzyły one język, pozakładały państwa i filozofie, powznosiły świątynie i nareszcie wszystko to zatraciły: postarzały się wszystkie, stały się może lepsze i roztropniejsze; lecz ilekroć szukają nazwy dla wyrażenia tego, co

---

[1] O poch. czł. str. 182. Naturalnie, że „ideał logiczności" w innem miejscu innego jest zdania. I tak pisze (l. c. str. 57): Lecz jest to niezaprzeczenie błędnem mniemać, iż język wykształcał się z pewnego rodzaju metodą i z dołożeniem niejakich starań ze strony używających go ludzi.

[2] Ob. Duponceau, O językach amerykańskich. Tholuk, Mélanges, t. II., p. 260. O języku Suahili i ogólnie o językach południ. Afryki, ob. Comp. Gram. by Bleek.

Pott (Journ. de la Soc. Orient.) mówi: „Dla wielu uprzedzonych jest rzeczą trudną do uwierzenia, żeby języki Kongu i Kafrów mogły być uważane za najdźwięczniejsze... Co więcej, każdy specyalista z podziwem, po baczniejszem śledzeniu, odnajduje, że i sam nawet układ tej mowy jest naukowo wyrobionym".

Podobnie mówi Schlegel, a przytacza go sam Darwin (L. c. str. 56): „Dostrzegamy często w językach ludów, stojących, jak się zdaje, na najniższym poziomie umysłowej kultury, w wysokim stopniu wydoskonaloną gramatyczną budowę. Szczególnie to się dostrzega w gwarze Basków i Lapończyków, również jak i w wielu amerykańskich językach".

[3] Zachowujemy pisownię tłómacza.

[4] Religia, tłóm. pol., str. 74.

najwznioślejsze, a jednocześnie najdroższe każdemu z nas, ilekroć pragną wyrazić szacunek, i miłość zarazem, nieskończoność i skończoność, czynią to, co czynili nasi praojcowie, którzy unosząc swój wzrok ku wieczystemu niebu, uczuwali obecność Istoty jednocześnie oddalonej i blizkiej. Kombinują te same wyrazy i powtarzają pierwotną modlitwę Arjów, wezwanie do Ojca Nieba, w kolei wieków przyodziane formą Ojcze nasz, któryś jest w Niebiesiech". Tak więc ślady historyczne, jakie odnajdujemy w języku, świadczą przeciw asercyi Darwina; podobne świadectwa dostarcza nam jeszcze i inna umiejętność.

Kilka dziesiątek lat temu powstała nowa gałąź wiedzy ludzkiej, tak zwana Archeologia przedhistoryczna, która ze szczątek kopalnych usiłuje odtworzyć historyę człowieka, niezapisaną na innych pomnikach dziejowych. Kości jednoczesne ludzi i zwierząt, narzędzia i wyroby przemysłu ludzkiego, napotykane w pieczarach, w jeziorach u podnóża pali, na których czasami ludzie budowali swe mieszkanie, a również w najnowszych pokładach geologicznych, stanowią materyał do badań. Archeologia przedhistoryczna tem jest dla antropologii, czem jest paleontologia dla zoologii i botaniki. Materyał archeologii przedhistorycznej, dotąd zebrany, tak jest bogaty, iż przepełnia urządzone na ten cel muzea; tyle już w tym przedmiocie napisano, iż dzieła o archeologii przedhistorycznej mogłyby stanowić pokaźne biblioteki: ztąd nie możemy się nawet kusić o streszczenie tego, co w tym kierunku dokonano, lecz potrącić o ten przedmiot musimy.

Archeolodzy porządkując swe materyały, podzielili je na trzy główne okresy, na okres kamienny, brązowy i żelazny każdy z nich ma swe podrzędne działy. Nie wschodzimy tu, o ile te okresy służą, czy służyć mogą do chronologii, ani też do jakiej formacyi geologicznej zaliczyć należy „człowieka kopalnego", zastanowimy się jedynie nad tem, co odnosi się do naszego przedmiotu; mianowicie o ile badania te popierają twierdzenie Darwina o barbarzyństwie pierwszych ludzi. Otóż stwierdzamy, iż archeologia przedhistoryczna nietylko tych uroszczeń nie popiera, lecz tak w zasadzie jak i w swych wnioskach jest im przeciwna.

Wszelkie szczątki, w których można rozeznać najlżejszy odcień przemysłu, jak n. p. połupane krzemienie, uznaw archeolo-

dzy jako dzieło ręki ludzkiej, ztąd nie przyznają zwierzęciu najmniejszego śladu przedsiębiorczości i postępu. Wypadki też badań nie odpowiadają zupełnie zapatrywaniom Darwina.

Resztki przemysłu ludzkiego uporządkowane, o ile się da chronologicznie, jakkolwiek wskazują postęp, nigdzie jednak nie stwierdzają dzikości. Taki właśnie wniosek, oprócz innych, wysnuł A. Bertrand w świeżo wydanem dziele[1], wniosek oparty jedynie na danych, dostarczonych mu przez umiejętność pozytywną, na materyałach kopalnych.

Bardzo ważne świadectwo przytaczamy z Virchow'a. Profesor berliński tak mówi: „Kilkanaście lat temu, kiedy wydobyto czaszkę z torfu, z mułu jezior niegdyś zamieszkałych, ze starych pieczar, spostrzegano w niej znamiona, cechujące przedhistoryczny stan dzikości. Wahano się nawet, czy nie zaliczyć jej do kształtów małpich, lecz to wszystko już teraz przeszło. Dawni troglodyci, mieszkańcy domów na palach, ludzie torfowi przedstawiają się obecnie jako towarzysze zupełnie przyzwoici. Mieli oni głowy tak wielkie, iż wielu z obecnie żyjących mogłoby im pozazdrościć ... Jednem słowem, winniśmy rzeczywiście twierdzić, że żaden z typów kopalnych nie przedstawia znamion, które miałyby zwiastować niższy rozwój. Co więcej, jeżeli weźmiemy średnią wszystkich znanych dotąd typów kopalnych i średnią z takiejże ilości osób żyjących, wypadnie wówczas, iż dziś znajduje się więcej ludzi posiadających niższe znamiona morfologiczne, aniżeli dawniej. Nie śmiem twierdzić, że wszystkie czaszki, pochodzące z formacyi czwartorzędnej należały do samych geniuszów; nie przypuszczam również, że wszyscy ówcześni ludzie mieli tak wysoko rozwinięte czaszki, ale stwierdzić jestem zmuszony, iż nie wynaleziono dotąd żadnej czaszki małpiej, którąby była zbliżoną do czaszki człowieka. Każdy nabytek rzeczywistej nauki, opartej na poszukiwaniach, odwodził nas od wniosku, do którego dążyliśmy... Jeżeli mamy się opierać na rzeczach dotąd znanych i zbadanych, wyznać musimy, iż stanowcza leży granica między człowiekiem i małpą. Nie możemy nauczać, nie możemy uznawać jako nabytek

[1] La Gaule avant les Gaulois, p. A. Bertrand. Membre de l'Institut. Paris, 1884.

umiejętności, że człowiek pochodzi od małpy lub innego zwierzęcia".

Po tej odprawie, jakie dają Darwinowi umiejętności, na które się powołuje, przystępujemy do rozbioru kwestyi: jakie istotne udoskonalenie się ma miejsce w człowieku i w zwierzętach. Darwin twierdzi, że zwierzęta doskonalą się; na czem polega to doskonalenie się, czy ma jakie granice — nie określa; całą tę kwestyę traktuje bardzo pobieżnie, na kilku zaledwie stronicach; przytacza kilka przykładów i wnioskuje. Z przywiedzionych przez Darwina przykładów, byłoby bardzo trudno wyprowadzić jakikolwiek wniosek: raz bowiem mówi[1] że: „młode zwierzęta daleko łatwiej popadają w zasadzkę, aniżeli stare", a nieco dalej[2] że: „w okolicach, gdzie dużo polują na lisy, młode są już tak przebiegłe w peryodzie, kiedy dopiero poczynają opuszczać nory, że pod tym względem wyrównywają starym". To jednak Darwinowi nie przeszkadza do wnioskowania[3]: „Tych kilka przykładów wykazuje nam, że twierdzić, nie opierając się na bezpośrednich dowodach, iż w przeciągu wieków żadne zwierzę nie postąpiło ani na krok naprzód, pod względem swych władz umysłowych, jestto przeczyć w ogóle wszelkiemu rozwojowi gatunków". Na ten cały frazes odpowiadamy: Nikt nie przeczy, aby jakieś zwierzę, osobnik, nie robiło żadnego postępu w ciągu życia; nie w dobrej zatem wierze Darwin harcuje na tym koniku, ale ponieważ nie daje dowodów, iż zwierzę jako gatunek, postąpiło naprzód w ciągu wieków, tem samem nie udowadnia rozwoju gatunków i ztąd mamy wszelkie prawo do odrzucenia jego asercyi. Postaramy się w krótkich słowach rzecz wyjaśnić.

W pierwszej części naszej pracy wykazaliśmy próżność usiłowań Darwina do obalenia stałości gatunku — dla ścisłej nauki gatunek pozostał niezmiennym: ztąd choćby osobniki zwierzęce podlegały rozwojowi, rozwój ich zamknięty jest granicami gatunku. To jedno starczy do odrzucenia wszelkich zachcianek darwinistów, mających na celu rozwój bezgraniczny istoty, a tem samem i przeobrażenie zwierzęcia w człowieka; lecz ograniczając się na istocie doskonałości, przychodzimy również do tego samego wniosku.

[1] L. c. str. 46.
[2] L. c. str. 47.
[3] L. c. str. 47, 48.

Tak człowiek jako i zwierzę posiadają pewną plastyczność, która sprawia, iż są zdolnymi do postępu, tak rosnącego, jako i malejącego czyli wstecznego; lecz ten postęp, oprócz granic, których nie przekracza, stosownie do swego rodzaju, inny jest u zwierząt, a inny u ludzi.

Postęp może się odnosić do przymiotów organicznych, albo do przymiotów umysłowych. Dobór sztuczny, przez człowieka prowadzony, potęguje przymioty organiczne. Postęp organiczny dokonywa się i ustala przez odziedziczenie i wytwarza r a s y; rozciągłość jego jest ograniczoną, natężenie zaś nie jest większe u człowieka, aniżeli u zwierzęcia. Co się tyczy postępu umysłowego, rzecz ma się całkiem inaczej. Postęp umysłowy dokonywa się głównie przez wychowanie; nadto u człowieka, zdaje się nie mieć żadnych granic, u zwierzęcia zaś spostrzega się tylko słaby jego odcień. Dziecko dzikiego Australczyka wychowane w Oksfordzie, stanie odrazu na najwyższym szczeblu oświaty, do jakiej dziś doszli ludzie; mały Orang dojdzie co najwięcej do tego, iż będzie siadał przy stole, używał serwety i sztućców, będzie pieprzył bifsztyk i popijał dżynem. Pojętność dziecięcia rozwija się z latami, zmyślność małpiątka maleje z postępem lat[1]. „Pojętność zwierzęcia, pisze Brehm[2], nie odpowiada pojętności człowieka; porównywując te dwie istoty, przychodzimy z łatwością do różnicy jakościowej (essentielle). Człowiek rośnie w wiedzy i pojętności z wiekiem; małpa może tylko nauczyć się czegoś za młodu, z wiekiem natura zwierzęca bierze górę i namiętności zupełnie panują nad pojętnością". Jak daleko możemy zasięgnąć wiadomości z historyi, najzmyślniejsze zwierzęta, pies, słoń i małpa, takiemi są dzisiaj, jakiemi były przed kilku tysiącami lat: niema tedy żadnego śladu ich postępu umysłowego.

Ten brak postępu umysłowego okazuje się wybitnie z tego, iż zwierzęta nie używają żadnych narzędzi. Wszystkie zwierzęta posia-

[1] L'intelligence de l'orang-outang, cette intelligence si développée, et développée de si bonne heure, décroit avec l'âge. L'orang-outang, lorsqu'il est jeune, nous étonne par sa pénétration, par sa ruse, par son adresse; l'orang-outang, devenu adulte, n'est plus qu'un animal grossier, brutal, intraitable. Et il en est de tous les singes comme de l'orang-outang. Dans tous, l'intelligence décroit à mesure que les forces s'accroissent. (De l'instinct et de l'intelligence des animaux. P. Flourens. Paris. 1845. p. 45).

[2] Człowiek i zwierzęta: małpy, str. 7.

dają z natury, od urodzenia, stosowną broń i odpowiedne narzędzia, tak do obrony od innych, jak i do swego zachowania i odkarmienia; jeden tylko człowiek rodzi się bezbronnym i długi czas niezdatnym, bez pomocy innych, do utrzymania swego życia. Lecz dzięki władzy duchownej, jaką jest uposażony, panuje nad całą przyrodą: nietylko najlepiej uzbrojone zwierzęta zwalcza i do służby swej ujarzmia, ale nadto, umie przykuć siły natury nieżywotnej do rydwanu swej cywilizacyi. Transformiści nie radzi o tem mówią. Darwin przywodzi kilka przypadków, w których zwierzęta posługiwały się narzędziami. I tak pewna małpa „mająca, mówi, słabe zęby używała zwykle kamienia do tłuczenia orzechów, poczem, jak mnie zapewniali strażnicy, chowała w słomie ów kamień i nie dozwalała, aby żadna inna małpa dotykała go". W innem znów miejscu tak pisze[1]: „Antropomorfne małpy, wiedzione prawdopodobnie instynktem, budują na drzewach czasowe platformy... Wiadomo, że orangutany przykrywają się na noc liśćmi drzew, a Brehm opisuje, iż pawian, chcąc ochronić głowę od promieni słonecznych, przykrywał ją matą słomianą"... Otóż, choćby te przykłady były rzeczywiste, niczegoby jeszcze nie dowodziły, albowiem, że jakaś małpa używała kamienia do rozbicia orzecha, albo kubka do wychylenia napoju, mogło to pochodzić po prostu z wrodzonego przymiotu naśladowni ctwa, małpowania, jak mówimy; to naśladownictwo łączy się w małpie z niezaprzeczoną zmyślnością, lecz sama ta zmyślność, jak zauważył Brehm, wyrabia się w niej w obcowaniu dopiero z ludźmi. „Małpy, mówi on, w swych borach, nie okazują większej zmyślności od innych zwierząt". Wyraźniejsze jeszcze świadectwo daje du Chaillu, który przez wiele lat polował w lasach afrykańskich; oto co mówi[2]: „Z przykrością przychodzi mi rozwiać piękne mrzonki, lecz goryl nie czyni zasadzek na drzewach, by pazurami swemi porywać przechodzącego podróżnego; nie dusi go swemi łapami; nie uderza na słonia i nie zabija go pałką; nie porywa kobiet z ich wiosek; nie stawia budy z gałęzi w lasach, i nie sypia pod dachem, jak to niektórzy tak stanowczo twierdzili; nie chodzi stadami — a tem samem nie jest prawdą, żeby napady wykonywał gromadnie".

---

[1] O poch. czł., str. 49.

[2] Voyages et aventures dans l'Afrique équatoriale, p. 22.

A wszystko to twierdzili i jeszcze dziś bez zarumienienia twierdzą gorliwi darwiniści, byle tylko ustalić pokrewieństwo człowieka z małpą.

Lecz szczególnie twardym orzechem do zgryzienia dla darwinistów, jest sprawa z ogniem. Wiadomo, że nietylko najwięcej zdziczałe, najbardziej upośledzone plemiona ludzkie ognia używają, ale też gdziekolwiek archeologia odkryła najstarsze ślady ludzkie, znalazła też poszlaki ognisk, i odwrotnie ślady ognisk naprowadzają niechybnie na szczątki ludzkie. Z drugiej strony żadne zwierzę, nigdy nie zrobiło i nie użyło ognia; owszem, zwierzęta mają w ogólności wstręt do ognia nieprzezwyciężony. Pies, kot i niektóre inne zwierzęta domowe, chętnie wprawdzie grzeją się przy ogniu, lecz wiadomo, w jakie szaleństwo wpada bydło w czasie pożaru. Chowana małpa grzeje się przy kominku angielskim, lecz pomimo całej swej zmyślności i przymiotu naśladownictwa, pomimo iż widzi, że ludzie dla utrzymania ognia dosypują od czasu do czasu węgla, nigdy się jeszcze nie zdarzyło, aby kiedykolwiek dorzuciła do ogniska węgiel jaki lub polano. Znaną jest ogólnie również ta obawa ognia u drapieżnych zwierząt i korzystają z niej w swych nocnych obozowiskach podróżnicy, dla zabezpieczenia się przed ich napaścią. Otóż w obec tych powszechnych i nieulegającym żadnym wyjątkom objawów, jak nawiązać łańcuch między człowiekiem i zwierzęciem? Sądzono, iż tę przepaść zapełnić można przypuszczeniem, iż pomiędzy człowiekiem a zwierzęciem istniała niegdyś istota, pół zwierzęca i pół ludzka, która poczęła używać ognia i to używanie przekazała swym następcom. Przypuszczenie to, bez żadnych zresztą podstaw, nie rozwiązywało zagadnienie, ani nie rugowało trudności. W całej tej kwestyi Darwin jest bardzo lakonicznym, wspomina o niej jakby od niechcenia i nie daje bezpośredniej odpowiedzi; przywodzi słowa jakiegoś przyrodnika, iż dlatego zwierzęta nie używają ognia, że obawiają się zniszczenia swych lasów, lecz sam nie poczytuje tego argumentu za poważną odpowiedź i woli powołać się na Lubbocka. To powołanie się jest charakterystyczne, przytoczymy tu cały ustęp z Darwina, jako okaz płytkości i złej wiary. Oto słowa Darwina[1]: „Książe

[1] O poch. czł. str., 49.

Argyll powiada, że tylko człowiek umie nadawać narzędziom formę, odpowiednią ich celowi: a własność ta stanowi, według niego, niezmierzony przedział od zwierząt do człowieka. Nie podlega wątpliwości, że to jest bardzo ważna różnica; ale zdaniem mojem, podobniejszą jest uwaga Lubbocka, że kiedy pierwotny człowiek użył po raz pierwszy krzemieni, rozłupał je przypadkiem i dopiero wówczas doświadczył własności ostrych krawędzi; a gdy już wiedział o tem, pozostawał mu tylko krok jeden naprzód, łupać krzemienie i ciosać je z grubsza. Ostatni ten jednak postęp zabrał prawdopodobnie dość dużo czasu, o ile przynajmniej sądzić możemy z olbrzymiej ilości ubiegłych wieków, zanim człowiek neolitycznego peryodu wyuczył się toczyć i szlifować swoje kamienne narzędzia. Przy łupaniu krzemieni sypały się iskry, a przy szlifowaniu rozwijało się ciepło, i ztąd, powiada Lubbock, powstały dwie najzwyklejsze metody otrzymywania ognia, którego własność poznał człowiek w okolicach wulkanicznych, kiedy lawa płynęła przypadkowo przez lasy". Co za związek ma owa „prawdopodobniejsza uwaga Lubbocka" z zarzutem księcia Argyll?; choćby ta „uwaga" była prawdziwą, zarzut księcia Argyll pozostaje w całej swej mocy. Nie o to idzie, zkąd się człowiek dowiedział o użyteczności ognia i ostrych kamieni: ale o to, że człowiek zrozumiał tę użyteczność, i nauczył się wytwarzać i używać ognia i ostrych kamieni, a zwierzę, które równie dawno, albo jeszcze dawniej spotyka się z ogniem i ostremi kamieniami, nie używa ich, bo nie rozumie się na ich użyteczności. Nakoniec nie jest prawdą, że człowiek neolityczny zaczął dopiero używać ognia, albowiem wymyślony przez Mortillet'a „przesłaniec", o którym wyżej wspomnieliśmy, a który używał ognia, miał być współczesnym, nie czwarto-rzędnej, lecz trzecio-rzędnej formacyi geologicznej i dlatego nosi nazwę: *précurseur tertiaire de l'homme.*

Streszczając tę sprawę, widzimy z jednej strony, że fakta przywiedzione przez Darwina są albo zmyślone, albo naciągane, wywody zaś z nich są tendencyjnie nielogiczne; z drugiej strony, tak dawne jak i obecne badania stwierdzają, że rozwój umysłowy zwierząt jest żaden.

2. Mowa. Tak zaczyna Darwin rzecz o mowie[1]: „Wła-

[1] O poch. czł., str. 50.

dzę tę uważają zwykle jako główną różnicę między człowiekiem a zwierzęciem"; lecz on nie podziela tego zdania. Według niego, wszystkie zwierzęta mają mowę; mowy są różne, a ludzie posiadają tylko mowę bardziej wykształconą. W wywodach i przykładach, jakie przytacza, można znaleść wszystko, co kto zechce: i to, co autor zamierza dowieść, i twierdzenie wprost przeciwne, a nawet w jednem i tem samem orzeczeniu znajduje się jedno i drugie — słowem, jest to chaotyczna gadanina bez żadnego związku. I tak n. p. Darwin mówi[1]: „mowa nie jest rzeczą instynktową", kilka zaś wierszy niżej utrzymuje, że „wszystkie osobniki należące do pewnego gatunku wydają instynktowo te same głosy". Na tejże samej stronicy pisze: „Żaden filolog nie uznaje już teraz, żeby język powstał działaniem rozwagi lub namysłu, lecz wszyscy utrzymują, że języki rozwijały się stopniowo i powolnie". Jaki jest związek logiczny między temi zdaniami? — Wnet też autor odwołuje jedno z nich: „mowa jest pewnego rodzaju sztuką, podobną n. p. do pieczenia lub budowania, jak to zauważył Horne Tooke, jeden z fundatorów filologii"[2]. Zaznacza dalej Darwin, że „mowa artykułowana właściwością jest ludzką", poczem zaraz dodaje, że nie jest właściwością ludzką, „gdyż wszystkim wiadomo, że papuga gada". Czy mowa tedy ludzka posiada jaką sobie wyłączną właściwość? Tak, odpowiada Darwin, „właściwością naszą jest to, że umiemy na wielką skalę łączyć pewne określone idee z pewnymi dźwiękami. Właściwość zaś ta zależy naturalnie od wyższego rozwoju władz umysłowych". Według najprostszego znaczenia tych słów możnaby sądzić, iż Darwin chciał powiedzieć, że ludzie tylko posiadają mowę i to dzięki rozumowi — lecz nie taką jest myśl twórcy słynnej teoryi. Nie przeczy on wprawdzie (wielkie to ustępstwo ze strony

[1] O poch. czł., str. 51.

[2] Mowa nie jest tylko sztuką. Oto, co mówi filolog niemiecki: „Jednakże język jest zewnętrzną cechą. Możemy w argumentach naszych odwoływać się do niego, możemy wyzywać, naszych przeciwników, aby z całego zwierzęcego świata przedstawili coś takiego, coby się do języka zbliżało; gdyby to wszystko jednak dążyło do nadania językowi jedynie znaczenia sztuki, stosującej artykułowane dźwięki do odebranych wrażeń, gdyby na tem, mówię, polegała cała wyższość nasza nad światem zwierzęcym, to słusznie przyszłoby się obawiać, aby goryl, lub inne jakie zwierzę nie nadeptało nam na pięty". (Max Müller. Wykł. o Umiejęt. języka, tłóm. pol. t. I., str. 330).

Darwina!), że obecnie mowa ludzka stoi wyżej i zawdzięcza to „rozwojowi władz umysłowych", lecz twierdzi, że różnica między językiem ludzkim a zwierzęcym jest tylko ilościową. Takie jest zdanie Darwina, ale nie jest takiem zdanie filologów; Darwin w swych wywodach powołuje się wprawdzie na nich, ale oprócz gołosłownego przywiedzenia kilku nazwisk, jeżeli przywodzi czasami ich słowa, to tylko takie, co nie mają związku z przedmiotem [1]. I my również powołamy się na filologów, lecz przytoczymy całe z nich ustępy; nie mogąc zaś przytoczyć świadectw wszystkich, wymienimy dwóch tylko, ale takich, którzy na obu półkulach świata pierwszorzędne dziś zajmują stanowisko w swej specyalności, a co się tyczy przekonań, do naszego obozu się nie zaliczają.

Oto, co mówi Amerykanin Whitney [2]: „Język jest wyłącznym przywilejem człowieka. Rzeczą jest prawdziwą, że niższe zwierzęta posiadają również dostateczne sposoby do wyrażenia swych ograniczonych potrzeb we wzajemnych stosunkach. Szczekanie psa, jego wycie, mają różne znaczenia, a nawet stopniowanie; kura domowa innym głosem oznajmia stan swój spokojny, innym wyraża przestrach, innym nawołuje swe pisklęta do pokarmu, innym jeszcze ostrzega je przed grożącem niebezpieczeństwem: lecz język zwierząt nietylko jest niższym od języka ludzkiego, ale tak w istocie swojej jest od niego różnym, iż nie może nosić tej samej nazwy. Język, we właściwem znaczeniu, jest zasadniczą cechą i znamieniem natury ludzkiej, jedną z jej głównych właściwości... Mowa ludzka bezpośrednio wskazuje czynności duszy... jest najwidoczniejszym objawem wzniosłych władz człowieka, które razem wzięte nazywają się

[1] I tak z całego dzieła Max. Müllera, który tak stanowczo i umiejętnie przeciwnym jest zwierzęcemu początkowi mowy, przywodzi Darwin jeden tylko ustęp. w którym Müller mówi o tworzeniu się gwarów. Rzecz sama była wymierzona przeciw Darwinowi, ale ponieważ filolog niemiecki użył w nim wyrażenia walka o byt, pospieszył Darwin z przytoczeniem tego ustępu. Zręczny to wybieg, podsuwa bowiem mniemanie, że Müller zgadza się całkowicie z Darwinem. Oto ten ustęp: „w każdym języku toczy się nieustanna walka o byt, zarówno między wyrazami jak i między formami gramatycznemi; lepsze, krótsze, łatwiejsze formy biorą zawsze górę, zawdzięczają zwycięztwo tkwiącej w nich sile". *Qui vult decipi, decipitur*, lecz *in multitudine stultitiae suae decipietur.*

[2] La vie du langage. W. D. Whitney, prof. à Yale-College. Paris, 1880 p. 2—3, 250.

rozumem... Do psychologa należy zbadanie, czy zwierzęta posiadają władzę, choć w mniejszym stopniu jak ludzie, do wytworzenia mowy. Dotąd rzecz ta nie była dowiedzioną, ale prawdę powiedziawszy, nie potrzebuje być dowodzoną: to, co wiemy o różnicy między władzami ludzkiemi a zwierzęcemi, wystarczy doskonale do wytłómaczenia, dlaczego człowiek zdolnym jest do mowy, a zwierzę do niej jest niezdolne... Zwierzę rozumie znaki, które dla niego utworzył człowiek, ale znaków tworzyć nie umie".

Max. Müller, profesor uniwersytetu oksfordzkiego, Niemiec rodem, w swem znakomitem dziele pisze[1]: „Na czemże zasadza się różnica między człowiekiem a zwierzęciem? Czemże jest to, co może robić człowiek, a czego nie znajdujemy śladu w całym zwierzęcym świecie? Odpowiadam bez wahania się: — jedyną wielką granicą pomiędzy człowiekiem a zwierzęciem jest język. Człowiek mówi, zwierzę zaś nie wydało ze siebie słowa. Język jest naszym Rubikonem i żadne zwierzę nie odważy się go przekroczyć. Jest to nasza stanowcza odpowiedź, którą rzucamy tym, co rozprawiają o ewolucyi, co myślą, iż przynajmniej początki wszystkich władz ludzkich wykryli u małp i chętnieby się zgodzili, aby módz uważać człowieka jako uprzywilejowane zwierzę, tryumfujące zwycięzko w pierwotnej walce o byt. Język jest rzeczą dotykalniejszą, niż zwoje mózgowe, albo formacya czaszki. Nie dopuszcza on żadnych subtelnych wykrętów, a proces przyrodniczego doboru nie zdoła nigdy wydzielić ze śpiewu ptaków, lub krzyku zwierząt wyrazów mających znaczenie.

„W ostatnich czasach kwestya stanowiska człowieka na granicy świata materyalnego a duchowego, zajęła wybitne miejsce pomiędzy zagadnieniami przyrodniczych i psychologicznych umiejętności... Niechże sobie granice państwa zwierzęcego jak najdalej rozszerzone zostaną, niechaj kiedyś linia demarkacyjna pomiędzy człowiekiem a zwierzęciem, zależy od prostej fałdy w mózgu, zawsze pozostanie szranka, której nikt wstrząsnąć nie zdoła — jest nią mowa".

Taką odprawę dają uczeni Darwinowi, co do pierwszej części jego tezy; co się tyczy drugiej, mianowicie, iż język zwierzęcy mógł się przeobrazić w język ludzki, z jednej strony, wywody Darwina

[1] Max. Müller, l. c. t. I., str. 229, 12.

tak są błahe, iż nie zasługują na miano poważnych, z drugiej zaś, ciż sami filologowie, opierając się na danych zaczerpniętych z językoznawstwa, wręcz przeciwne stawiają twierdzenia.

To przejście od języka zwierząt do języka ludzkiego w ten oto sposób mogło się było odbyć, według Darwina. „Ponieważ małpy, pisze on [1], rozumieją wiele z tego, co my do nich mówimy, i ponieważ wydają sygnały ostrzegające całe stado o niebezpieczeństwie, nic więc nie byłoby dziwnego i nieprawdopodobnego, gdyby jakie niezwykle roztropne zwierzę, podobne do małpy, naśladowało ryk drapieżca, chcąc ostrzedz swych towarzyszy o grożącym napadzie, a gdyby tak się stało, mielibyśmy już pierwszy krok do utworzenia mowy". Ten całkiem n o w y pogląd Darwina o powstaniu języka, daje dokładną miarę jego uczoności.

Pytanie o początku języka zadawali sobie mędrcy starożytni; nowożytni filologowie, po nagromadzeniu, olbrzymią pracą, nadzwyczaj bogatych zasobów, nie są ani zgodni, ani jeszcze pewni, jak rozwiązać to wiekowe i zawiłe zagadnienie, a oto Darwin, który zaledwie swój anglo-saksoński posiadał język, w życiu zaś swojem oddawał się hodowli roślin, gołębi i innych zwierząt, jednym zamachem pióra przecina węzeł gordyjski. Takie amatorstwo i lekceważenie nauki, nietylko w tym, ale i w innych przedmiotach odniosły zasłużone upokorzenie. Akademia francuzka, niewybredna pod względem zasad, umiała jednak zachować godność nauki, i po kilkakroć znaczną większością, odrzuciła jego natrętne starania o zaliczenie go do swego grona.

Darwin tłómaczy się przed swymi czytelnikami ze swego zapatrywania. „Co się tyczy powstania mowy artykułowanej, pisze on [2], to przeczytawszy znakomite prace Hensleigh'a, Wedgwood'a, Farrar'a i Schleicher'a, również jak i słynne wykłady prof. Max. Müllera, p r z y s z e d ł e m d o p r z e k o n a n i a, że mowa ludzka powstanie swe zawdzięcza naśladownictwu i modyfikacyi różnych dźwięków przyrody, głosów innych zwierząt i instynktowych wykrzykników, wydawanych przez ludzi". Zastanówmy się nad tym ustępem.

---

[1] O poch. czł., str. 53.

[2] O poch. czł., str. 52.

Darwin po wymienieniu nazwisk kilku filologów, dodaje: „przyszedłem do przekonania". Otóż jeżeli to „przekonanie" zgadza się z wnioskami, do jakich doszli ci filologowie, wówczas nic Darwinowi zarzucić nie można; jeżeli zaś to „przekonanie" jest wprost przeciwnem ich zdaniu, wówczas nic nie może wymówić Darwina od niedorzeczności i obłudy: od niedorzeczności, albowiem przenosi swe niekompetentne zapatrywania nad zdanie uczonych specyalistów; od obłudy, albowiem powołując się rzekomo na powagę filologów świadectwo ich odrzuca. Otóż twierdzimy, że Darwin wypowiedział zdanie wprost przeciwne filologom, na których się powoływał.

Zdanie Schleicher'a przytoczyliśmy już wyżej, obecnie zajrzymy do dzieła Max. Müllera. „Dwie teorye, mówi on[1], zostały postawione, aby rozwiązanie tego zagadnienia uskutecznić, onomatopeiczna i wykrzyknikowa, które ja dla krótkości nazywam teoryami *bau-wau* i *puh-puh*... Pewien Anglik w Chinach, gdy mu podano nieco podejrzaną potrawę, chcąc sprawdzić czyby to była pieczona kaczka, rzekł pytającym głosem: *Kwak-kwak?* Natychmiast otrzymał odpowiedź wyraźną: *Bau-wau!* Był to zapewne dobry i bardzo wymowny rodzaj konwersacyi o jednym przedmiocie między angielskim dżentlemanem i francuskim kelnerem. Inne pytanie jednak zachodzi, czy podobny sposób komunikowania się zasługuje na nazwę języka...

„Ta teorya (naśladownictwa, onomatopei) jest bardzo zadawalniającą, ilekroć chodzi o kury gdakające lub gęgające gęsi, atoli około tego podwórka wznosi się mur i nieomieszkamy okazać, że dopiero po za tym murem zaczyna się istotnie język. Istnieje klasa uczonych, która wyprowadza wyrazy bezpośrednio od wykrzykników i głosów zwierzęcych, a dla swojej etymologii domagają się zupełnie tej samej wolności, jakiej używają krowy, gdy usłyszą ryczenie... taka teorya zburzyłaby to wszystko, co od 50 lat dokonane zostało przez Boppa, Humboldta, Grimma i innych lingwistów; jednym zamachem zniszczyłaby ona fonetyczne prawa ustalone z takiem staraniem i wytrwałością, a rzuciłaby umiejętność etymologii w anarchię i chaos...

---

[1] Umiejęt. języka, tłóm. pol. t. I. str. 333, 335, 321; t. II., str. 81.

„Filozofowie, którzy sobie wyobrażają, iż człowiek, choć sam sobie pozostawiony, stopniowo ze stanu niemoty się podnosił i dla każdego nowego wyobrażenia, które mu w umyśle zabłysnęło, nowy wyraz wynajdował, zapominają, iż człowiek nie mógłby własną mocą osiągnąć zdolności mówienia, będącej charakterystyczną jego cechą, nie osiągniętej i nie dającej się osięgnąć przez wszelkie nieme stworzenie".

Kończymy całą tę rozprawę zdaniem znakomitego filologa: „Człowiek, mówi Humboldt [1], przez mowę jest tylko człowiekiem, lecz aby mowę mógł był wynaleźć, człowiekiem być musiał".

(Dok. nast.)

X. W. Zaborski.

[1] W. v. Humboldt, Säm. Wer., t. III., str. 252.

POJĘCIE O BOGU

w chrześcijaństwie i u filozofów.

(Ciąg dalszy).

Drugi dowód istnienia bożego: pierwsza przyczyna. — Szereg przyczyn bez końca. — Uwaga o wiecznem istnieniu świata. — Nazwa pierwszej przyczyny; panteistyczny rozwój istnienia; rozwój doskonałości; samodzielność. Niezależność. Niezmienność. Wieczność. Najwyższa istota jest jedyna. — Porównanie wszystkich dowodów ze sobą.

Drugi dowód na istnienie Boga czerpie św. Tomasz także, jak pierwszy, ze znajomości świata, a tem różnią się między sobą oba dowody, że pierwszy opiera się na zmianach w świecie, drugi na pojęciu przyczyn sprawczych. „Wiemy, mówi św. Tomasz, że w tym widzialnym świecie jedno jestestwo początkuje drugie, z tego znów powstaje inne i tak dalej“... I odwrotnie: każde jestestwo, co na nowo powstaje, zupełnie przekonuje nas o istnieniu innego, od którego pochodzi; albowiem być nie może, żeby coś sobie samemu byt udzieliło. Niema ptaka, coby się wylągł z jaja, które sam zniósł; niema drzewa, coby wyrosło z nasienia, które samo wydało. Sprzeciwia się to pierwszemu prawu rozumnego myślenia i samej zasadzie sprzeczności, żeby coś było swoją własną przyczyną. Sprawcza przyczyna i jej skutek wzajemnie wykluczają się w każdej rzeczy.

Dlatego istnienie skutku dowodzi istnienia odrębnej od niego przyczyny bezpośredniej; ale i ta znowu przekonuje o istnieniu swojej przyczyny, i tak dalej ciągnie się bez przerwy szereg przyczyn sprawczych, a ustać nie może, aż nie stanie na pierwszej przyczynie, na istności, która sama sprawia byt innych jestestw a do własnego bytu nie potrzebuje sprawcy. Bez tej ostatniej przyczyny sprawczej

istniałyby same skutki bez dostatecznego powodu, znikąd powstałoby wszystko na świecie, toczyłby się od wieków bieg wypadków na świecie, pełny skutków i przyczyn, bez źródła, z któregoby płynął.

Zwolennicy nieskończonego szeregu twierdzą, że istnieją same przyczyny takie, z których każda siły do działania nabywa z zewnątrz, a żadna nie ma w sobie ostatecznie początku wszelkiej działalności; ale z tego wynika, że ani cała nieskończona ilość tych przyczyn nie ma w sobie ostatecznego źródła działalności, więc musi nabywać siły z zewnątrz: zkądże nabędzie? jeżeli nie ma nic po za sobą, jak twierdzi owa nauka, to nie ma źródła, z którego ma płynąć siła wszystkich przyczyn; bez takiego źródła, szereg nieskończony nie składa się z przyczyn sprawczych; i odwrotnie: nic w nim nie może być pierwszym skutkiem, więc ten szereg żadnych skutków, ani żadnej działalności nie ma i ostatecznie nic z siebie nie może wydać. „*Ergo necesse est ponere aliquam causam efficientem primam, quam omnes Deum nominant*[1]". Nie potrzebujemy dodawać, że ten dowód powinienby i materyalistów przekonać: według nich, cała przyroda powstała z rozwoju jednej początkowej istności; zkądże ta istnieje? czy powstała także z czego innego, czy z niczego nie powstała? w drugim razie wynikłyby wszystkie niedorzeczne sprzeczności panteizmu, o jakich mówiliśmy wyżej[2]; a jeżeli powstała z czegoś

[1] W tem miejscu św. Tomasz dowodzi, że świat ma dostateczną przyczynę istnienia, ale ani słowa nie mówi o tem, czy świat istnieje odwiecznie, czy powstał w czasie. Nad tem drugiem pytaniem osobno zastanawia się i dochodzi najpierw do wniosku, że z rozumu nie zdołamy dowieść niemożebności odwiecznego istnienia świata, to znaczy, że świat mógł istnieć zawsze; potem ucieka się do prawd objawionych i według nich rozstrzyga, że rzeczywiście świat powstał w czasie. Słowem, nie z wiary dowiadujemy się, ale z rozumu nabywany przekonania o tej prawdzie, że świat nie jest sam źródłem swojego bytu, ale potrzebuje po za sobą mieć pierwszą przyczynę sprawczą, oprócz całego rzędu przyczyn pośrednich. Potrzebujemy zaś objawienia boskiego oprócz światła rozumu, żeby odpowiedzieć na pytanie, czy powstał świat z czasem, czy istnieje wiecznie. W każdym razie, nawet odwiecznie istniejący świat musiałby mieć przyczynę istnienia, przyczynę, w tym także razie pierwszą, bo choćby trwaniem nie wyprzedzała swego skutku, to jednak istotnie początkowałaby wszystko. Porównaj św. Tomasza: *Summa* 1, pyt. 46; *c. gent.* ks. 2, rozdz. 31 i dalsze; *opuscula* 27; *de potentiis* pyt. 3, a. 14; Suarez: o dziele sześciu dni, cz. 1, ks. 1, r. 20; metafizyka *disp.* 30; Stoekl: Zeitschr. katol. 1861, zeszyt 1, 2.

[2] „Przegląd Powszechny". t. 1 b. r., str. 72 i następne.

ta początkowa istność, to dowodzi bytu przyczyny sprawczej i tak dochodzimy do pierwszej przyczyny.

„Tę pierwszą przyczynę nazywają wszyscy Bogiem", mówi Tomasz. Czy odpowiednia to nazwa? Zupełnie.

W rzędzie przyczyn dochodzimy najpierw do pierwszych przyczyn w każdym rodzaju dzieł przyrody: do pierwszego człowieka, do pierwszego zwierzęcia z każdego rodzaju, do pierwszej rośliny w pojedyńczych rodzinach i t. d.; a potem znajdujemy bezwzględnie pierwszą przyczynę, tę, od której pochodzą wszystkie inne ogniwa, choćby nieograniczonego łańcucha przyczyn. Zatrzymać się na pierwszym człowieku, zwierzęciu, roślinie i zaniechać poszukiwania bezwzględnie pierwszej przyczyny tych jestestw, byłoby działać bezmyślnie; bo zawsze rozumnie nastręczałoby się jedno i to samo pytanie dalsze: a dla tego pierwszego człowieka zkąd wypływa źródło istnienia? czy z jego własnej istoty? to urzeczywistniłoby sprzeczność, jaką jest jestestwo nikłe, mimo twórczej w sobie siły, przez którą istnieje; czy zkądinąd ma ten człowiek początek istnienia? to dowodziłoby istnienia sprawcy bezwzględnie pierwszego. W ten sposób nie możemy rozumnie pozbyć się przekonania, że istnieje bezwzględnie pierwsza istność, najdoskonalsza w swoim bycie, więc niezależna od żadnych wpływów zewnętrznych i sprawczych przyczyn, a sama zdolna wszystko zdziałać; przekonujemy się o istnieniu jednej i jedynej przyczyny pierwszej, która zupełnie posiada byt wszelki i wszelką doskonałość bez żadnego ograniczenia, nigdy niezmienna w sobie samej posiada podstawę swego bytu bez granic, a bez ujmy w swoim bycie nienaruszonym i stałym wydaje istoty różne od siebie i sprawia, że te istnieją.

Gdziekolwiek spostrzegamy rząd sprawczych przyczyn i szukamy pierwszej z nich, wszędzie poznajemy wyraźnie, że pierwsza nie pochodzi już od niczego więcej, nie jest sama skutkiem: istnieje z doskonałości własnej istoty. Jej istnienie nie uiszcza możliwej pierwej istoty; jestestwo z istotą odrębną od istnienia istnieć musi w skutek wpływu zewnętrznego, dlatego potrzebuje sprawczej przyczyny: więc w pierwszej przyczynie istota jest tem samem co istnie-

nie [1]. Stare szkoły wyrażały tę myśl słowami: pierwsza przyczyna jest jestestwem ze siebie, nie w znaczeniu panteistycznem, tylko w katolickiem, to znaczy, że pierwsza przyczyna istnieje swoją istotą, a nie w skutek swojej istoty ma istnienie, innemi słowami: pierwsza przyczyna w swojej istocie nie ma zdolności wytworzenia się, to jest przejścia w rzeczywistość, tylko w sposobie bytu istoty swojej ma własne istnienie, rzeczywistość swoją. Ziścić się w skutek własnej istoty byłoby tem, co myśli większość panteistów, a co stanowi sprzeczność w słowach. Takie ziszczenie się może znaczyć jedno z trojga: albo to, że nicość w samej sobie, pojętna dla rozumu jako możliwość, wewnętrzną siłą rozwija się do rzeczywistego bytu na zewnątrz; albo, że możliwość w sobie samej siłą własną nabywa bytu rzeczywistego; albo, że rzeczywiście nieobecna istota przez wewnętrzny rozwój powstaje w rzeczy samej. Każde z tych znaczeń zawiera wewnętrzną sprzeczność.

Co w sobie nie jest niczem, nie ma tem samem żadnej siły, nie może więc wewnętrzną siłą się rozwinąć: niedorzeczność tego znaczenia polega na łączeniu w pojęciu jednem „nicości“ i „bytu z siłą“.

Drugie znaczenie ziszczania się przez się, może mieć tę zdrową myśl, że rzeczywiście możliwa w sobie istność może własną siłą dojść do prawdziwego istnienia; np. nasienie stanowi rzeczywiście możliwą roślinę i przez się rozwija się w istotę rzeczywistą. Przytem nie ziszcza się nic niemożliwego w sobie: rzeczywiste nasienie stanowi możliwą w sobie roślinę i wyprzedza ją swoim bytem. Ale ziszczanie się pierwszej przyczyny przez się samą pociąga za sobą wynik przeciwny założeniu: pierwsza przyczyna miałaby przed sobą inny rzeczywisty byt, z któregoby powstała, a żadne jestestwo, powstałe przez rozwój drugiego, nie jest pierwszem, bo wynikło z poprzedniego: więc pierwszą nie byłaby przyczyna pierwsza. A nie można przyznać, że pierwszą jest nie ta pozornie pierwsza przyczyna, tylko poprzednia: każda ziściłaby się w taki sposób, że przestałaby być pierwszą.

Zupełnie taki sam zarzut spotkałby ziszczanie się pierwszej

[1] Św. Tomasz *c. gent.* ks. I. r. 22, l. 3; Summa 1, pyt. 3, a. 4.

przyczyny w trzeciem znaczeniu. Bez odrzucania rozwoju wewnętrznego w ogóle, odrzuca jednak logika myśl o rozwoju wewnętrznym pierwszej przyczyny. Tak np. niejedno jestestwo rozwija swoje siły i własności: ale do tego potrzeba przyczyny sprawczej, od której zależy stan istoty w rozwoju. Tak samo trzebaby przyczyny do rozwoju, przez który ziściłaby się pierwsza przyczyna i zależałaby od tej poprzedniej; więc także nie byłaby pierwszą przyczyna pierwsza, co pewnie sprzeciwia się założeniu. Więc panteistyczne iszczenie się przez się, jest niedorzeczne, a pierwsza przyczyna tylko dlatego przez się istnieje, że jej istota jest istnieniem i istnym bytem[1].

Na tej to podstawie opiera się prawda, że przyroda i istota pierwszej przyczyny jest istnym bytem. Ta prawda obala inny jeszcze błąd panteistów: że istota, którą mają za Boga, albo za Absolut, rozwija swoje własności i doskonałości, sama je wydaje z własnej istoty i przyrody, nakoniec uiszcza rzeczywistą działalność swoją przez doskonalenie wrodzonych swoich zdolności. Przez taki rozwój doskonalić się nie może pierwsza przyczyna, tak samo jak przez rozwój nie może powstać. Wiemy np., że dziecko rozwija swoje zdolności, które jakby w zawiązku ma z urodzenia, pomnaża je i doskonali, słowem ziszcza wszystko, do czego było istotnie zdolne. Czy tak rozwijać się może pierwsza przyczyna? Nie! Dziecko może, bo nie stanowi wykończonego człowieka, istnieje jako istota ludzka w pewnej mierze i do pewnego stopnia, nie w zupełności. A w pierwszej przyczynie istota jest istnym bytem; takie istnienie wyklucza ze siebie wszelki brak, wszelki byt możliwy i wszelką zdolność, co dopiero przez rozwój uiszcza się: więc pierwsza przyczyna jest istnym bytem nietylko w pewnej mierze i pewnym stopniu, jest zupełnie szczerym i istnym bytem, nie dopuszcza do siebie żadnego braku i dlatego zupełnie i bez granic istnieje, bo tylko takie zupełne i nieskończone istnienie jest bytem bez żadnego niedostatku, bez ża-

[1] Por. św. Tomasza: Summa cz. 1, pyt. 3, a. 4; *c. gent.* ks. 1, r. 22 i 23; Suarez: O Bogu ks. 1, r. 2.

dnej więcej możliwej doskonałości. Dlatego pierwsza przyczyna nie zdoła przez rozwój nabyć żadnej doskonałości, któraby przed rozwojem byłaby tylko możliwą[1].

Ta sama myśl wyłuszcza wszystko, co można odpowiedzieć na inne jeszcze pytanie: Czy Bóg może rozwijać swoją działalność, to znaczy, czy może w czyn zmieniać swoją zdolność do czynu? czy też Bóg z istoty swojej jest szczerą i niezmienną działalnością, jak jest istnieniem?

Działalność jest, ze względu na siłę, jej stanem rzeczywiście czynnym i wyjawia, co było możliwem w sile przed jej pracą. I siła jest czemś rzeczywistem, ale nie zawsze pracuje w samej rzeczy, choć pracować może zawsze. Więc rzeczywista działalność istnieje doskonalej od samej siły. A żadnej doskonałości nie brak w istnym bycie pierwszej przyczyny; nie ma w niej władzy bezczynnej, ani siły bez skutku: istotę jej stanowi istne działanie, samo zupełne życie bez żadnego braku, jakim jest stan siły bez pracy, albo zawiązek potęgi bez rozwoju.

Z tego wynika, że istotą pierwszej przyczyny jest istny byt bez żadnego niedostatku, sama rzeczywistość bez żadnej możebności. Dawni uczniowie Arystotelesa nazywali taki istny byt słowem: *actus purus*, i mówili o pierwszej przyczynie, że jej istotą jest szczery byt, szczere działanie[2]. Pierwsza przyczyna jest w ten sposób właśnie prawdziwą, najwyższą i jedyną niezależnością, to jest bytem niezależnym, o którym tyle mówią panteiści, chociaż z niego wytwarzają niedorzeczność, zamiast niezależności. Najwyższa i najzupełniejsza niezależność najzupełniej wyklucza jakąkolwiek zawisłość skutku do różnorodnych przyczyn, zawisłość przymiotów istocie właściwych od samoistnego jestestwa albo przypadkowych przymiotów od samoistnego bytu, zawisłość działań od sił jestestwa i wszelką inną zawisłość; pod żadnym z tych względów od niczego nie zależy pierwsza przyczyna. Właśnie dlatego,

---

[1] Por. św. Tomasza: Summa 1, pyt. 3, a. 6; pyt 4. a. 1, *ad* 3; *c. gent.* ks. 1, r. 23; *quest. disp. de potentia* pyt. 7, a. 2., *ad* 9.

[2] Św. Tomasz, tamże; *c. gent.* ks. 1, r. 16.

że to pierwsza przyczyna, nie można w niej pojąć zależności ani od poprzedniego jeszcze sprawcy, ani od niczego zupełnie. Jako sprawcza przyczyna zależeć nie może od materyału, jakiego wymagają inne przyczyny; pierwsza sama tworzy materyał, gdzie tego trzeba; bez takiej niezależności musiałaby zastać gotowy materyał do dzieła, a przez to samo pierwszą przyczyną by nie była, bo dzieło potrzebowałoby oprócz niej innego jeszcze sprawcy. To samo dowodzi, że pierwsza przyczyna sprawcza stanowi także cel i wzór dzieł swoich, to jest dzieła pierwszego sprawcy ani przyczyny celowej, ani pierwowzorowej oprócz niego nie mają; żadne dobro, oprócz samej przyczyny pierwszej, jej działania nie powoduje, bo poprzedziłoby je swojem istnieniem; ani wzoru do dzieła swojego nie dostaje ona z zewnątrz, bo swojem tylko jestestwem poprzedza byt skutku. Ani nie jest pierwsza przyczyna własnością tylko jakiejś samoistnej istoty, sama ma byt przez się; żadnej samodzielnej istocie w udziale nie przypada, jako jej przymiot, jest samoistną istotą; nie jest tylko działaniem właściwej siły, ale samodzielną siłę stanowi. To wszystko przekonuje nas o najwyższej niezależności bytu pierwszej przyczyny, o jej samodzielności i samoistności.

To także rzuca nam światło na nową własność tej istoty: na jej nieskończoną doskonałość bez żadnej zmiany. Jak już gdzie indziej mowiliśmy, niewyczerpanem źródłem wszelkich doskonałości jest istota, która sama przez się istnieje; widzieliśmy także, że wszystkie doskonałości tej istoty są rzeczywiste, nie możliwe tylko. Bytem istnym i niezależnym jest istota boska, bytem, w którym zawiera się wszelki stan i rodzaj jestestw, z którego nie wyłącza się nic, oprócz niedostatków, to jest wszelkich braków i niedoskonałości; z tego bytu wyklucza się wszelka zawisłość, wszelka możliwa ujma wolności; bo zależność nietylko ścieśnia byt, ale sprawia także uszczerbek w jego zupełności. Dlatego istnieje Bóg bez ograniczeczenia, nie doznaje żadnego niedostatku i uszczerbku w doskonałościach, niszcza w sobie wszelki istny byt, i cokolwiek w nim zawierać się może, w sobie rzeczywiście posiada; więc stanowi istotę ze wszech miar wykończoną, niezdolną niczem zwiększyć swojej

doskonałości. Przez to samo, ten wszechstronny byt nie może stać się niczem innem, żadna zmiana w nim niepodobna; wykończona doskonałość pod żadnym względem nie ma nic do zdobycia przez postęp, nie ma zdolności rozwiniętych, nie zastępuje żadnych strat nowemi nabytkami i skupia w sobie wszystkie zalety. Nie mieć granic w doskonałościach swoich, znaczy nie mieć żadnych doskonałości do nabycia a przez to nie być zmiennym pod żadnym względem.

Na tem opiera się także niezbędny przymiot pierwszej przyczyny, że wiecznie istnieje bez początku i bez końca, bez przejść z jednego stanu w drugi, bez następstwa przemian i różnic czasu, z tą niezmienną własnością, że całość życia wszystkich wieków razem posiada w każdej chwili; słowem, pierwsza przyczyna posiada całą istotę wieczności w sobie: nie ma początku, bo sama daje początek wszystkiemu, co powstaje, i nie uiściła się skutkiem żadnego działania sprawczego; nie może stracić istnego bytu, bo istoty rzeczy nie giną, a istny byt, to istota pierwszego sprawcy; zawsze tchnie życiem, które stanowi wszelką razem dobroć, piękność i doskonałość, bo zawsze zupełnie istnieje bez niedostatku pod żadnym względem, przez co nie ma nic do nabycia, ani do udoskonalenia [1]. To wszystko stanowi wieczność pierwszego jestestwa.

Istota bezwzględna musi być także jedyna; oprócz niej istnieją tylko jestestwa od niej pochodne. W dawnych szkołach podawano wiele dowodów tej prawdy: sam św. Tomasz rozwija ich kilkanaście [2]. Załączamy tutaj tylko dwie myśli; te wystarczą do przekonania niezbicie o tej prawdzie. Bezwzględny byt istnieje z istoty własnej, jest to istny byt: więc posiada wszystko to, co musi znamionować byt jako taki. A do niezbędnych znamion bytu należy jedność, przez którą jednem i jedynem jest każde jestestwo, co ma byt; jedną i jedyną jest każda istna istota, czy samoistna, czy współistna; nic istnego nie iści się kilkoma jednościami: więc jedność należy do pierwszego jestestwa, niemniej jak istnienie, to jest, pierwszych jestestw nie może być kilka.

---

[1] Św. Tomasz: 1. p. 10. a. 1; *c. gent.* ks. 1, r. 15.

[2] *C. Gent.* ks. 1, r. 42; Summa 1, p. 11; Św. Anzelm: *Monolog.* r. 4; Arystot: metaf. ks. 12; Toleto: O summie p. 11, a. 3.

Do tego samego wniosku prowadzi inna myśl. Dajmy na to, że niejedna jest pierwsza przyczyna: powstaje pytanie, czy ma władzę każda z nich nad innemi, czy żadna nie ma nad drugą władzy. W pierwszym razie, wzajemnie zależą od siebie te istoty, co jest pewną ujmą dla każdej, więc żadna nie posiada zupełnej doskonałości, żadna nie jest istną doskonałością. Jeżeli żadna z nich nie włada drugą, to każdej wolno sprzeciwiać się innym i może powstać między nimi niezgoda; a taka wojna nie jest zaletą istot, między któremi wybucha, bo ostatecznie świadczy o współzawodnictwie potęg: więc żadna z nich nie jest istną doskonałością.

Tak jedna i jedyna istnieje pierwsza doskonałość, bezwzględnie wieczna istność, pierwsza przyczyna sprawcza wszelkiego jestestwa. Te wszystkie znamiona bezwzględnej doskonałości odpowiadają nazwie „Bóg", odpowiadają pojęciu, w jakiem tego imienia używała ludzkość przez tysiące lat, i zgadzają się z określeniami, które wydała najwyższa powaga watykańskiego soboru.

Tym sposobem pojęcie pierwszej przyczyny zawiera w sobie takie doskonałości, jakim odpowiada tylko pojęcie Boga, i zarówno z wszelką filozoficzną pewnością dowodzi istnienia Boga, jak tego dowodzi pierwej przez nas rozwinięte pojęcie siły. Jak nadmieniliśmy, w obu tych dowodach przeziera ta sama myśl, że nikłe twory nie mogą ze siebie powstawać i wymagają istnienia bezwzględnie trwałej istoty.

Następne dowody św. Tomasza nie wywodzą już w nowy sposób prawdy istnienia Bożego; są to właściwie tylko szczegółowe poglądy z jaśniejszem światłem na dowody, które już rozwinęliśmy według Arystotelesa i dawnej szkoły filozoficznej ze świętym Tomaszem na czele: trzeci dowód wynika z uwagi, że świat nie koniecznie musi istnieć[1]; czwarty prowadzi do poznania bytu boskiego przez stopnie doskonałości w jestestwach; ostatni dowód

[1] Św. Tomasz: „*e contingentia entium, quae possunt esse et non esse*".

w sumie św. Tomasza opiera się na dążeniu przyrody do celu i na właściwem jej urządzeniu, stosownem do tego celu, którym jest dobro wszelkich tworów, a głównie człowieka. Przestajemy w tem miejscu na ogólnej tylko wzmiance o tych dowodach i na zestawieniu wszystkich ze sobą, przez co okazuje się, że całą ich osnowę zawiera już sama treść obu dowodów, które dotąd wyłożyliśmy. (C. d. n.)

X. Antoni Langer.

Z PAMIĘTNIKA DZIENNIKARZA.

I.

Znałem za granicą znakomitego dziennikarza, który żartobliwie zwykł był mawiać: „gdybym wiedział, że wszyscy dziennikarze pójdą za moim przykładem, bez wahaniabym się powiesił, a ludzkość uwolnioną byłaby od wielkiej plagi".

W praktyce dziennikarskiej nieraz ten żart czy paradoks gorzko się przypomina. Częściej dziennikarstwo służy złej niż dobrej sprawie, łatwiej szerzy kłamstwo niż prawdę; często sprawia, że bałamuctwa tryumfują nad głosem sumienia lub zdrowego rozsądku, że charaktery się krzywią i talenta marnieją. Ale z tego założenia chcąc dalsze wyprowadzać konkluzye doszlibyśmy chyba z autorem Mieszaniu Bejły do wytoczenia procesu Guttenbergowi za wynalazek druku. Prasa należy do nowożytnych dźwigni postępu, które uznać należy i uchylić czoła przed wzrastającą jej potęgą.

Dziennikarstwo jest narzędziem, czasem trybuną, katedrą, niekiedy amboną; bywa także bateryą armat lub miną dynamitową, szalonem kołem, co wprowadza w ruch tę machinę postępu pędzącą naprzód siłą pary, lubo bez świadomości kresu i celu.

W innych społeczeństwach znać rękę, która tą machiną kieruje: polityka rządów, silnie zorganizowanych stronnictw, sekciarstwo wolnomularskie, to znów pośredni wpływ powag społecznych lub Kościoła. Stosunek ujemnych i dodatnich wpływów bywa nieproporcyonalny. Z większych dzienników w stolicach europejskich na palcach niemal policzyć można organa niezawisłe; większość jest w rękach franmasoneryi i pokrewnych jej zastępów *Alliance israélite*. Zbyteczna tu przywodzić przykłady na stwierdzenie tego pe-

wnika. Stosunek liczebny organów i ich abonentów przedstawia smutną statystykę; dość przypomnieć, że na 22 codziennych pism w Wiedniu, dwanaście jest w rękach żydowskich, osiem jest indyferentnych a dwa katolickie. W Paryżu na 36 dzienników, 8 jest katolickich. U nas stosunkowo nieco lepiej; dziennikarstwo jest złym materyalnym interesem, więc mniej niż gdziekolwiek rzuca się na to pole nierentowne inteligencya semickiego szczepu. Loże wolnomularskie czy istnieją w naszym kraju? rzecz niestwierdzona i o tyle wątpliwa, że natura kwestyi narodowej tak ściśle złączonej z kwestyą religijną, iż polskość i katolicyzm staje się często synonimem, odwraca od nas stanowczo sympatye, protekcyę i specyalne rzecznictwo sekty, zwłaszcza, że wolnomularstwo dziś oddane całkowicie tym kierunkom i potęgom, które głoszą naszą zagładę. Mimo tego jednak atmosfera pojęć i dążeń wytworzona w prasie europejskiej pod wpływem sekty dostaje się do nas pośrednio tem samem korytem dziennikarstwa, choćby tylko z naśladownictwa. Ktokolwiek ma nieco doświadczenia w tej mierze, ten najłatwiej w tej właśnie sferze publicystyki może rozpoznawać znamiona i prądy rozlewające się z tego źródła na opinię świata. Bywają hasła, *mots d'ordre* rzucane w pewnych chwilach przez główne organa wtajemniczone, że tylko wspomnimy *Indépendance Belge* lub *N. fr. Presse*, które okrążają wszystkie dzienniki w bliższym lub dalszym stojące związku. Te hasła dostają się nieraz i do naszego dziennikarstwa. Wszakże odróżnić należy taktykę dzienników zależnych i ulegających danym wskazówkom, od wybryków rodzimego radykalizmu, który na wszystko się gotów zerwać z własnej fantazyi, ale też i na własny rachunek. Pierwsze lubo konsekwentne w nienawiści Kościoła i wszystkiego, co z ducha chrześcijaństwa wypłynęło, działają systematycznie, atakują na dany znak, to znów zamykają się w taktyce zupełnego ignorowania wszelkich objawów religijnych, zatrzymują się niekiedy na tej biernej bezwyznaniowości, aby przyzwyczajać czytelnika do zupełnego pomijania i wydzielania z kwestyj politycznych, społecznych, cywilizacyjnych i narodowych pierwiastku nadprzyrodzonego, zasad wiary, aż niemal do przekreślania słowa Bóg jak w owej redakcyi rabogasoskiej z pod latającej ropuchy. W dzisiejszem zwłaszcza stadyum walki chrześcijaństwa z neopogaństwem, Kościoła z sektą wolnomularską, kiedy taktyka zaczepna liberalizmu i bez-

wyznaniowości znużyła nieco opinię, ta taktyka milczenia najczęściej cechuje pisma natchnione. Objawy takie i te znamiona i u nas się spotykają, częstszym jest atoli ów rodzimy, rozczochrany, krzykliwy radykalizm, poparty pomięszaniem płytkich pojęć, bałamuctwem zasad a raczej ich zupełnym brakiem. Specyfikując w dalszym ciągu genezę, pierwiastki składowe i różne kombinacye naszego dziennikarstwa, przyjdzie nam bliżej wykazać dziwaczne pod tym względem objawy, pełne sprzeczności i niekonsekwencyi.

Dziennikarstwo u nas w ogóle zachowało więcej niż gdziekolwiek cechę niezawisłości i przeważa w niem charakter właściwy naszemu społeczeństwu wybujałego do zbytku indywidualizmu. Służba to ciężka i niewdzięczna, która u nas zarówno w dodatnim, jak w ujemnym kierunku wymaga pewnej dozy poświęcenia, a lubo nie brakowało nam pięknych przykładów i szlachetnych postaci publicystów, umiejących stać na wyłomie w obronie zasad i dobrej sprawy — trudno zaprzeczyć także wzorowej niekiedy wytrwałości i systematycznej usilności w działaniu destrukcyjnem na polu dziennikarstwa. To zaś pewna, że poczuciem solidarności, instynktem popierania wzajemnego góruje nad obozem konserwatywnym, obóz liberalno-postępowy. Słowa te atoli; „konserwatyzm“, „liberalizm“ lub „postępowość“ nie wystarczają do oznaczenia dwóch szkół, na jakie dzieli się dziennikarstwo polskie, a zwłaszcza galicyjskie. Terminologia to przedawniona i ciasna, niedająca ścisłego pojęcia rozdziału kierunków w teoryi i w metodzie. Jesteśmy w epoce i w położeniu przejściowem, i nie może nikomu chodzić o zachowanie dzisiejszego *status quo*, ale o uratowanie tego, co pozostało z wczoraj, na jutro, o konsolidowanie pierwiastków zdrowych i szukanie punktów stałych, aby proces rozkładowy mógł się przeistoczyć w proces twórczy.

Dlatego lepiej dla scharakteryzowania dwóch szkół dziennikarskich położyć znak + *plus* i znak — *minus*, czyli tezę i antitezę, afirmacyę i negacyę, działanie dodatnie, obronne i działanie zaczepne, opozycyjne.

W przeciwieństwie tem i w tej definicyi niema przesady ani uprzedzenia. Znaki te sprawdzają się owszem w zasadach religijnych, pojęciach społecznych, w programach politycznych, w całym także nastroju dwóch szkół dziennikarskich.

Istnieje teorya o potrzebie równoważenia się opinii zachowa-

wczych i postępowych, jakby dwóch prądów elektryczności, że z ich starcia tryska iskra życia i oczyszcza się prawda. Wielu też idąc za tą teoryą, każdy papier drukowany, jakiejkolwiek byłby barwy i wartości, wita zwykłym komunałem „szczęść Boże“. Jest to eklektyzm, którego nie podzielamy, wszędzie on błędny, u nas zwłaszcza, gdzie doświadczenia wskazują, że większa część dzielności społecznej zużywa się na wewnętrzne spory, nie o to, aby kwestyą wielostronnie zbadać i prawdę zgruntować, lecz aby czemuś przeszkodzić i coś zabałamucić.

Dziennikarstwo zajęło zbyt wiele miejsca w życiu politycznem i umysłowem narodu. Z tego wzrostu dzienników i ich przewagi nad książką, powstaje obok wielu innych, jedno więcej niebezpieczeństwo w naszem położeniu. Poezya i literatura utrzymuje łączność różnych ognisk i dzielnic, dziennikarstwo ją rozprzęga i stwarza, jeśli nie separatyzmy, to różnice i odrębności w pojęciach, treści, formie — od języka, popadającego w prowincyonalizm, aż do zasad odmiennie w różnych punktach się formułujących.

Dziennikarstwo w Galicyi ma już znaczącą historyę, zwłaszcza z ostatnich kilku dziesiątek lat, odkąd stało się czynnikiem politycznej akcyi. Historya ta nigdzie, choćby w głównych zarysach nie została naznaczoną, okrom niektórych reminiscencyi w szermierkach polemicznych. Z długoletniej własnej praktyki, pokusimy się tutaj naszkicować przepływ tego strumienia, jego źródła, główne prądy i poboczne dopływy. Poznamy tutaj nieapriorycznie lub polemicznie, ale przez przypomnienie niektórych faktów i analityczny rozbiór, naturę tych wód; jedne z nich, ujęte w pewne łożyska, służą za motor dla różnych fabryk i warsztatów pracy społecznej; inne spadają z urwiska kaskadą frazesów, poruszając tylko kamień młyński, któremu najczęściej brak ziarna do mlewa.

II.

Chwilą stanowczą, epokową dla rozwoju dziennikarstwa w Galicyi i Krakowie był r. 1848.

Z bibliograficznej tylko ciekawości zaglądać można do dawniejszych czasopism. Kraków miał za czasów wolnego miasta maleńką *Gazetę krakowską*, będącą odbiciem sfer kierowniczych, ale bardzo

szczupłego zakresu, to znów *Pszczółkę* z żądłem opozycyjnem, bo i w tej szklance wody bywały tu burze między uniwersytetem a senatem, sądownictwem a administracyą, a zwłaszcza powstające skutkiem niewygodnej potrójnej opieki i podejrzeń miotanych na ludzi dzierżących jakąkolwiek władzę, za to, że dla tej władzy musieli szukać punktów oparcia w konsulatach trzech gwarantujących mocarstw. Miejscowa zawiść i intryga, emigracyjne zwłaszcza wpływy od r. 1831 do końca bytu wolnego miasta nie oszczędzały nikogo. I smutno wspomnieć, że nikt tu nie uszedł u swoich niepopularności, kto coś robił i dźwigał odpowiedzialność, jak prezes rządu, wojewoda Stanisław Wodzicki, jak kurator uniwersytetu i szkół jenerał Józef Załuski, jak rektor uniwersytetu Brodowicz, uważani byli prawie za zdrajców. Wolności prasy dość zresztą ograniczonej, używano tutaj przeciw swoim, bo oczywiście przeciw obcym opiekunom pisać nie było wolno. W tym ciasnym zakresie wyrobiło się dwóch dziennikarzy: Tessarczyk, kronikarską tylko mający zdolność, a opozycyjnego ducha, miał tę zasługę, że zebrał wiele cennych materyałów do historyi wolnego miasta i wypadków r. 1846 (pierwsze ogłoszone drukiem, drugie nabyte dla biblioteki Ossolińskich, tam spoczywają); zmarł starcem w niedostatku. O wiele zdolniejszym był Hilary Meciszewski, zajmujący się teatrem i różnemi przedsięwzięciami, naukowo wykształcony, ze zmysłem publicysty, łatwo zmieniający kierunek, w r. 1848 stanął po stronie konserwatywnej.

Były w Krakowie przedsięwzięcia naukowo-literackich czasopism, w rodzaju zagranicznych przeglądów; już w r. 1835 powstaje *Powszechny pamiętnik nauk i umiejętności*, wydawany przez Friedleina, a zamieszczający prace profesorów Michała Wiszniewskiego, Dr. Józefa Majera, Ambrożego Grabowskiego, i młodszych literatów i poetów, jak Lucyan Siemieński, Gustaw Ehrenberg, Edmund Wasilewski.

W lat parę później Z. A. Helcel zakłada *Kwartalnik naukowy*, pierwszą próbę organu z barwą konserwatywną, a treści wyłącznie naukowej. Tam się dyskutowały kwestye filozoficzne, prawne i historyczne. Wśród współpracowników spotykamy nazwiska Ambrożego Grabowskiego, Muczkowskiego, Michała Wiszniewskiego, Aleksandra Wielopolskiego, Konstantego Świdzińskiego i Pawła Popiela.

Wcześniej jeszcze, bo bezpośrednio po r. 1831 we Lwowie Chłędowski otwierał pole w *Haliczaninie* dla grona pisarzy młodszej generacyi, a wyższego już polotu, jak August Bielowski, Lucyan Siemieński, Wincenty Pol, Ludwik Nabielak, Seweryn Goszczyński, Wacław z Oleska, Ludwik Jabłonowski i dwaj bracia Borkowscy.

Gdy życzliwy Polakom gubernator ks. Lobkowicz ustąpił, nastały obostrzenia cenzuralne, *Haliczanin* przestał istnieć, rozpoczęła się na nowo epoka germanizacyi. Urzędowa *Gazeta lwowska* pod redakcyą Sardiniego była jedynym dziennikiem na kraj cały, podającym kwintesencyę polityki europejskiej w czasach ogólnej ciszy, przerywanej wojną Karlistów z Izabelistami w Hiszpanii. Dodatek z *Rozmaitościami* przynosił szczupły zapas literacki. I to na epokę ogólnej apatyi wystarczało. Nietylko, że byłyby wielkie trudności organu niezawisłego, ale nikt nie czuł jego potrzeby. Reakcya znosiła się łatwo, bo ją popierał dobrobyt. Wreszcie krawiec Kulczycki otrzymuje konsens na założenie *Dziennika mód*, z tej sposobności korzysta młody naówczas Jan Dobrzański, zrodzony na dziennikarza i agitatora, aby znaleść tam ognisko dla tych pisarzy, którzy od urzędowej *Gazety* i jej *Rozmaitości* stronili.

W Krakowie mimo fermentu emigracyjnego, w nastroju społeczeństwa przeważał patryarchalizm tradycyjny, we Lwowie wszystko przygniatał nacisk germanizacyjny: uniwersytet i szkoły niemieckie; posiadanie książki polskiej wystarczało do wykluczenia ucznia ze szkoły. Mimo tego, owszem w skutek tego ucisku, jak zwykle przez reakcyę był niemały ruch umysłowy, potrącony jeszcze przez szkołę wileńską i ruch patryotyczny, pobudzony poezyą emigracyjną.

Ludność stolicy Galicyi nie posiadała tej etnograficznej jedności jak ludność Warszawy lub Krakowa: ruska, ormiańska, żydowska, wzmocniona napływową biurokracyą. Na ulicach, w kawiarniach i w teatrze przeważał język niemiecki, bo przedstawienia polskie były rzadkim przywilejem teatru niemieckiego ograniczone. A i u góry wielki świat grupował się koło dworu arcyksięcia Ferdynanda d'Este, błyszczał nowemi tytułami, i ciężył ku Wiedniowi, nie mając niemal żadnych z Warszawą i Krakowem stosunków. Nie brakło ludzi poważnych, fachowo zajmujących się sprawami administracyjnemi kraju, o ile ówczesny nastrój i ciasny niemal pozorny tylko zakres sejmów i wydziału stanowego na to dozwalał. Lwów wcześnie wyrobił za-

stęp specyalnych znawców i zasłużonych rzeczników materyalnych interesów kraju, ale życia politycznego, instytucyi z charakterem narodowym tutaj nie było. Nikomu też nie śniło się oddziaływać na opinię kraju za pomocą poważnych dzienników, sfera ta pozostawioną została przez konserwatystów dojrzewającemu w ukryciu radykalizmowi ludzi bez tradycyi, bez wykształcenia, z gorączkowem tylko poczuciem patryotycznem. Dwa są źródła, z którego płynie patryotyzm: tradycya lub terroryzm. Gdy pierwszej źródło wyczerpnięte i nić przerwana, miała przyjść chwila dla drugiego.

Pisarze owej generacyi rozdzielili się na dwa kierunki: jedni w poezyi lub nauce szukali nowych dźwigni, inni z krewkością rwali się, aby prędzej pleśń germanizacyjną, osiadłą na powierzchni społeczeństwa, zedrzeć i obudzić nowe życie.

W pierwszym kierunku, gdy najznakomitszego z pisarzy galicyjskich Aleksandra Fredrę, zniechęciła do pióra krytyka za to, że zamiast elegij patryotycznych, polską stworzył komedyę; najwytrwalszą rozwinął działalność, największe złożył zasługi nietylko literackie, ale narodowe, najszerszy i najsympatyczniejszy wywarł wpływ Wincenty Pol. Były to czasy, kiedy poetów darzono mianem wieszczów, a więc brano jego pieśni, tak jak się bierze dzieło historyka, myśliciela lub pracę publicysty za modłę i podstawę opinii. Pol płodny poeta, a nader towarzyski i ruchliwy, nietylko pismem, ale i obcowaniem stworzył pewien prąd opinii, za co go też tak niemiłosiernie nieraz szarpano. Prąd ten był zdrowy, bo głęboko katolicki, bo łączący miłość ludu z miłością szlacheckiej tradycyi. Ale przeważny wpływ Wincentego Pola w Galicyi przed 1846 r. rozlewał się wyłącznie na obywatelstwo wiejskie.

We Lwowie już w *Dzienniku mód* Jan Dobrzański przygotowywał nową szkołę dziennikarską. Paszkwil zaś zręcznem a zjadliwem skreślony piórem, „Parafiańszczyzna“ hr. Leszka Borkowskiego tej szkoły i tego kierunku stał się inauguracyą, pierwszą pobudką, książką programową, tworzącą epokę w społeczeństwie lwowskiem.

III.

W kilka lat później, gdy nowe nieszczęścia spotęgowały namiętności, a rok 1848 otwarł im szluzy, powstało we Lwowie

prawdziwe *chari-vari* dziennikarskie. Trzydzieści z górą dzienników wyrosło nagle jak grzyby po deszczu, po długiem milczeniu i przygnębieniu zupełna wolność słowa i pisma dała wolny bieg najfantastyczniejszym prądom, pomysłom, praktykom. Świat dawny metternichowski się walił, z chaosu pojęć, nieokreślonych dążeń, z odgłosu wstrząśnień europejskich, nikt nie zdołał jasno określić sobie konturów nowego porządku.

Gdy się zamknie księga dziejowa XIX. stulecia, okaże się, że rok 1848, jak słusznie zauważył już Gerwinus, przeciął ją na dwie niemal równe połowy przygotowujących się i wzbudzających prądów, które w tej dacie znajdują swój punkt kulminacyjny. Pierwsza połowa stulecia pełna ideałów, zapału, obietnic, wiary w tryumf nowych myśli; druga jest ich wcieleniem a więc realizmem nacechowana, przynosi zawody, rozczarowania, zwątpienia, pozytywizm i pesymizm. Przełom ten objawia się w teoryach, w abstrakcyach, w literaturze, jak w życiu politycznem, a więc z dwóch stron odbija się na dziennikarstwie, które właśnie w r. 1848 po raz pierwszy całkowicie z wędzideł cenzury wyzwolone, dochodzi niemal do zupełnej omnipotencyi. Demokracya francuska w rewolucyi lipcowej, niemiecka w sejmie frankfurtskim święci swój tryumf. Konspiracya międzynarodowa pod wodzą Mazziniego obala naraz lub wstrząsa wszystkie niemal trony, z wyjątkiem Anglii i Rosyi a nic nie umie postawić okrom barykad. Doktrynerstwo wszelkich szkół ma rozwiązane usta i wznieca istny chaos idei.

Romantyczna poezya po r. 1848 zamilknie i ustąpi miejsca literaturze realizmu. Panteizm filozoficzny z torów idealizmu Hegl'a, Schelling'a i Fichte'go przejdzie w pozytywizm Comte'a, pesymizm Schoppenhauer'a i Hartmann'a, lub w prosty materyalizm darwinistów. Historya, która we Francyi dogmatyzowała zasady rewolucyi, w Niemczech liberalizm i demokracyę, u nas mistycyzm, wejdzie na tory krytyczne, szukając odtąd przeważnie już nie ideałów, ale objawów siły. Ostatnim marzycielem i idealistą rewolucyjnym był Mazzini, po nim obejmuje ster Bakunin, torując drogę nihilizmowi. Mazzini jeszcze marzy o wolności i braterstwie ludów, Bakunin wierzy już tylko w chaos nie pytając, co z niego się wyloni, bo przywódzca sekt rewolucyjnych przed r. 1848 był deistą, jego następcy ateuszami. Falanster jest mrzonką powszechnej szczęśli-

wości i dobrobytu, komuna już tylko negacyą idei narodu. Proudhon paradoxalne stawia programy, socyalizm dni ostatnich odbywa się bez doktryny naukowej w brutalnych tylko instynktach czwartego stanu szukając przyszłości. Ostatnim w polityce marzycielem i idealistą był jeszcze Napoleon III.; epoka Bismarka zaciężyła strasznym realizmem politycznym nad światem. W Kościele nie ma zmiany. Wszelako olbrzymia indywidualność Piusa IX. występuje właśnie wśród roku 1848, opromieniona najszczytniejszym blaskiem, stojąc jak posąg niewzruszony wśród tego chaosu idei.

Wszystko to odbijało się i o nas. Cała generacya ludzi zatrzymała się na epoce 1848 r., większość nie zdołała wziąć rozbratu z tem, co ten ruch zapowiadał, ani odszukać drogi w labiryncie. Eklektyzm, do którego z natury psychologicznej i z anormalnych stosunków jesteśmy bardzo usposobieni, dozwalał godzić z sobą największe sprzeczności, wytwarzał najdziwniejsze kombinacye.

Co bezpośrednio poprzedziło w rozwoju myśli polskiej ten gorączkowy ruch 1848 r.: oto mesyanizm ostatnich dwóch lat Kursów Mickiewicza, towiańskie biesiady i poemata Słowackiego, które mglistością swoją dziwnie się pomięszały z rozczynem mglistego hegelianizmu, głównie w Wielkopolsce grasującego. Powstała z tego połączenia cała literatura mistyczna, zapowiadająca epokę św. Jana po epoce św. Piotra; po erze chrystyanizmu nową erę Ducha św., której wcieleniem miał być świat słowiański. Jeszcze panslawizm nie doszedł do tego znaczenia, jakie niebawem pod wpływem północnym miał osiągnąć, kiedy w tej właśnie chwili czuliśmy w filozoficznych, społecznych i politycznych pojęciach jakieś niejasne, niedość sformułowane instynkta nowej wspólnej misyi ludów słowiańskich. W instynktach tych była cząstka prawdy i zdrowia, objawiło się ono na zjeździe słowiańskim w Pradze, który lubo wypadkami przerwany, zostawił po sobie zakrój programu w akcie federacyjnym redakcyi Z. A. Helcla. Z wszystkich robót 1848 r. ta jedna miała zasadniczą doniosłość, była pierwszym krokiem zbliżenia i poznania się z współplemieńcami, a nadto stanowiła zwrot monarchiczny wobec prądów republikańskich, i rzecz godna uwagi, zwrot do dynastyi Habsburgów, w dwa lata po rzezi galicyjskiej wyszedł od grona Polaków; tu zanotować trzeba nazwiska Jerzego Lubomirskiego, Z. A. Helcla i Aleksandra Wielopolskiego, który

lubo w zjeździe nie brał bezpośredniego udziału, był obecny w Pradze i żywo tą sprawą się zajmował.

Z idei słowiańskiej atoli, która się w owej epoce po raz pierwszy zarysowała, dzienniki nie brały jej doniosłości politycznej, jako bliższego i naturalnego przymierza plemion, ale brały to, co wziął poprzednio Lelewel w swych poglądach historycznych — demokratyczne gminowładztwo słowiańskie.

A jak u Lelewela, tak i u publicystów ówczesnych prastara gmina słowiańska była tylko formułą demokracyi i socyalizmu wyuczonego w klubach francuskich.

Obok dzienników ważną w roku 1848 odgrywały rolę broszury — na setki je liczono. Fantazya tu nie znała granic, bo znajdowała podnietę w wartkim prądzie wypadków przynoszących same nadzwyczajności. Więc nic się wtedy nie wydawało niemożebnem; ludzie wiary mniemali, że nadchodzi Królestwo Boże na ziemi, ludzie negacyi, że przewrot zupełny będzie początkiem nowego nieznanego porządku, o którego określenie nikt się nie kusił. Panował powszechny optymizm, zapał i poloty idealne lubo w wręcz przeciwnych kierunkach. Wszelako zdarzało się, że w tych stosach broszurowej literatury pełnej wybujałości, spotykały się myśli wyprzedzające chwilę, że z zamętu przebijał się głos rozsądku lub sumienia.

Najwcześniej docierano do dna zasad w Wielkopolsce. Karol Libelt w życiu pobożny i gorliwy katolik, w filozofii niewyleczony hegelianista, a w polityce demokrata na krój niemiecki, na tle gorącej polskiej duszy, w czasopiśmie *Rok*, dziś już niemal zapomnianem, układa w dogmaty ten mistyczno-filozoficzny patryotyzm stawiający się jako synteza i absolut. Długo jeszcze młodzież rozprawę Libelta o Miłości ojczyzny, Mowie polskiej i Odwadze cywilnej brała za ostatnie słowo.

Trentowski o ile bałamutny, w metafizyce, pedagogii, psychologii, o tyle objawia pewien zmysł praktyczny i zdrowy kierunek w polityczno-filozoficznej broszurce *Przedburza*. Z Zygmuntem Krasińskim w ciągłym zostając stosunku, daje on w *Przedburzy* jakby komentarz do *Przedświtu* a raczej jego dopełnienie, gdy się okazało, że zamiast jutrzenki miał powstać huragan. W lat parę dopiero później ścisłe zasady katolickie, wyrabiające się głównie w Wiel-

kopolsce i w Krakowie, znajdą swój organ w *Przeglądzie poznańskim* Jana Koźmiana.

Zatrzymaliśmy się nad tymi objawami ruchu umysłowego w r. 1848, bo one nam wskazują, pod jakiem natchnieniem brali się dziennikarze do pióra, bo one zresztą wytworzyły osobną atmosferę pojęć, marzeń i dążeń, w jakiem żyło całe pokolenie, w jakiej żyje dotąd wielu ludzi, którzy się zatrzymali na r. 1848.

Pod tymi wpływami poruszono we Lwowie myśl o wydawaniu nowych dzienników. Widziano wówczas najdziwniejsze kombinacye i fenomena.

Potomek hetmanów Leon Rzewuski, opuszcza zamek swych przodków Podhorce, gdzie dotąd samotne wiódł życie, aby wstąpić na arenę dziennikarską i w spółce z radykałem Karolem Widmanem w dzienniku *Postęp* występuje przeciw duchowi szlachetczyzny a za spieszniejszem roztrzygnięciem kwestyi socyalnych. Zdolny publicysta krakowski Hilary Meciszewski przenosi się do Lwowa, aby tam w dzienniku *Polska* bronić interesów szlacheckich wespół z przyszłym przywódcą liberalno-opozycyjnego stronnictwa, Ludwikiem Skrzyńskim, który wówczas stoi po stronie hr. Stadjona w radzie ziemiaństwa, czyli jak ją przezwano szyderczo w Bajracie.

Jan Dobrzański, Józef Dzierzkowski, Leszek Borkowski i inni, co dziś wysokie zajmują stanowiska, świeżo uwolnieni przez amnestyę z więzień, podnoszą w dziennikach i w mowach na Radzie narodowej targ z Wiedniem o rozszerzenie granic wolności, o dostarczanie broni dla gwardyi i t. p. Adres skrajny redakcyi Dobrzańskiego wiezie deputacya, na której czele stoją pierwsi magnaci w kraju.

Ciekawe lubo wstrętne możnaby zrobić studyum, do jakiego wyuzdania dochodzi polemika owych trzydziestu dzienników, jak daleko unosi fantazya. W każdym mieście cyrkularnem organizuje się rada narodowa, w niej oczywiście kilka stronnictw, a więc potrzeba niezbita kilku dzienników. Ma takie organa Tarnów, Przemyśl, Stanisławów.

W tej wrzawie rzadko przychodzi do rozpoznania sztandarów i zasad. Otrzymywał pierwszeństwo ten, co miał najsilniejsze płuca, ten, co szedł najdalej, najzuchwalsze rozwijał programy, najgwał-

towniej piętnował paszkwilem lub wprost potwarzą osobistości lub całe stany.

Napływ emigracyi przyniósł z sobą wrzątek skrajnych demokratycznych i socyalnych wyobrażeń, frazesów i utopii, zaczerpniętych w klubach paryskich, nieprzejednalność jaką się odznaczały niektóre odcienia emigracyi, przeszczepiona na grunt lwowski, przyjęła się na nim i dotąd jeszcze dawała znaki życia.

W Krakowie najwcześniej odbyła się próba bombardowania, która miała z kolei przejść wiele miast monarchii. Dwaj najznakomitsi obywatele miasta, Adam Potocki i książe Stanisław Jabłonowski, idą wśród gradu kul na zamek, aby układem z komendantem uratować miasto od zniszczenia, a gdy od nich żądają wydalenia emigracyi, przyjmują ten warunek, z tym dodatkiem, że z wychodźcami podzielą wygnanie.

W Krakowie uśmierzają się chaotyczne objawy dziennikarskie. *Jutrzenka*, założona przez Adama Potockiego, przybiera nieco później barwę demokratyczną, ale większą ma równowagę i miarę, niż pisma lwowskie, bo ma zasób umiejętnego poglądu na sprawy świata, pod kierunkiem Aleksandra Szukiewicza i Leona Ulrycha, dwóch ludzi zrodzonych na dziennikarzy.

Dopiero w parę miesięcy później w parlamencie wiedeńskim i sejmie kromieryskim zaczynają się zarysowywać wyraźniej kierunki, przychodzi do sformułowania programów i rozeznania politycznej drogi wśród labiryntów.

Większość posłów polskich szła naówczas za skrajną lewicą niemiecką, choć już sposób traktowania sprawy polskiej na sejmie frankfurtskim mógł otworzyć oczy, czego z tej strony spodziewać się możemy. Powodem pierwszym do rozdziału stronnictw w parlamencie wiedeńskim było pytanie: czy przypuścić do Izby deputacyę węgierską, która przybywała od sejmu z deklaracyą wojny między królem węgierskim a cesarzem Austryi. Lewica niemiecka podaje rękę Węgrom, większość posłów polskich głosuje za przyjęciem deputacyi. Siedmiu tylko posłów Polaków oddziela się w osobną grupę. Sympatye madziarskie, jak młodzież i starych wojskowych do powstania, tak posłów demokratycznych pociągają do przemawiania w sejmie za Węgrami. Sympatye słowiańskie natomiast, poszanowanie dla dynastyi, instynkt konserwatywny i monarchiczny skłania Zygmunta Helcla,

Jerzego Lubomirskiego, Zdzisława Zamojskiego, Kazimierza Wodzickiego, Dr. Machalskiego i Dr. Kańskiego, aby dać wotum negatywne. Adam Potocki chwilowo się zawahał, ale wotum swe cofnął i stanął wpośród tej frakcyi, której miał się stać naczelnikiem.

Była to chwila stanowcza, chwila przełomu, pierwsza afirmacya zachowawcza, pierwszy krok do szukania dla nas oparcia w legalnej polityce i w związku z rzeszą rakuską. Wnet inne nasuwają się kwestye, lewica nasza wraz z lewicą niemiecką żąda, aby Galicya odrzuciła indemnizacyę pańszczyznianą dla pięknego demokratycznego efektu. Sprzeciwia się temu owych siedmiu posłów i ratuje dla zniszczonego obywatelstwa ów kapitał indemnizacyjny, tyle pożądany.

Rozpoczęta w tym kierunku akcya polityczna wymagała osobnego organu z barwą konserwatywną, którego też potrzeba i w kraju się objawiała.

Lucyan Siemieński, który niedawno powrócił z emigracyi, założył 1 października 1848 dziennik *Czas*. Miano dziennikowi dał Kołosowski, towarzysz wygnania Siemieńskiego. Pierwszy programowy artykuł napisał Paweł Popiel. Wnet przyszło do porozumienia z ową grupą siedmiu posłów, zawiązało się towarzystwo akcyjne, a w pierwotnej redakcyi dziennika brali udział jego współwłaściciele: Adam Potocki, Leon Rzewuski, Kazimierz Wodzicki, przybrawszy do redakcyi Sobolewskiego i Kołosowskiego.

W pół roku dopiero wezwano z Wielkopolski Maurycego Manna, który odtąd przez lat trzydzieści trzymał ster polityczny dziennika. Wszedł także do redakcyi młodzieniec wielkich nadziei, Walery Kalinka.

Taką jest geneza organu krakowskiego, który zgrupował od razu znakomitości polityczne i literackie kraju, a miał przetrzymać wszystkie pisma poczęte w wirwarze 1848 r. (C. d. n.)

N. N

LISTY z JAPONII.

Zawsze przemyślna w zwabianiu sobie za pomocą osobliwych przynęt licznych czytelników *Revue des deux mondes*, w ciągu minionego roku zaiste genialnym ruszyła pomysłem, aby sobie zapewnić niebywałą *great attraction*. Studyum o Chinach przez rodowitego skreślone Chińczyka, szczęściem wybornie piszącego po francuzku, toż zaiste nielada zdobycz dla redakcyi starającego się o poczytność czasopisma!

Wdzięk formy, barwność kolorytu, obok samejże treści i narodowości autora, zapewniły jego pracy ogólne powodzenie. Otóż z nieco podobnym nabytkiem *Przegląd powszechny* dziś przychodzi się z czytelnikami swymi dzielić, zapraszając ich ku dalszym jeszcze kresom azyatyckiego świata. Pod pewnymi względami niniejsze urywki przejdą jeszcze w znaczeniu artykuły, którymi się *Revue* tak dalece chełpiła. Najprzód, Japonia jest ciekawszem polem badania aniżeli bądź co bądź barbarzyńskie Chiny. Gdy te ostatnie dbają przedewszystkiem o ścisłe zamknięcie się w łonie zaskorupiałych obyczajów i tradycyj, odgraniczeniem od obcych wpływów i nowoczesnej oświaty powiewów, Japonia przeciwnie, na oścież otwiera swe wrota cywilizacyi zachodniej, obsyła europejskie wszechnice żądną nauki młodzieżą, a w zamian pozwala z blizka wszystkie tajniki swego wewnętrznego ustroju poznawać i badać. Pokazało się nadto, że pułkownik Czeng-ki-tong, przepędziwszy młodość swą w Paryżu, nauczył się wprawdzie biegle francuskim władać językiem, ale stracił z oczu ojczyznę własną, nie posiadł dokładnie jej historyi, a zresztą pozwolił sobie to zataić, co mu się dla dobrej sławy własnego kraju potrzebnem zdało, to zaś tylko głosić, choćby bezpodstawnie,

co korzystnie za nim świadczyć mogło. Z innego dziś czerpiąc źródła, na pewniejszym staniemy gruncie. Wprawdzie nie zaprosimy rodowitego Japończyka do opisywania nam miejscowych stosunków, ale unikając przez to samo szowinizmu narodowego, tem dokładniej poznamy kraj z tych powodów ciekawy, idąc w ślady bystrego i wytrawnego męża, który dłuższy czas zamieszkawszy w owych odległych stronach, pilnie śledził i sumiennie badał świat nowy, obcy, jaki go otaczał. Może kiedyś zaskarbione wspomnienia i wrażenia urosną w księgę niemniej ciekawą od słynnych podróży barona Hübnera naokoło świata. Dziś korzystamy tylko z łaskawie nam udzielonych listów do rodziny, aby luźne urywki złożyć w całość obrazu zapoznającego nas może lepiej aniżeli niejedna wyczerpująco opracowana książka z Japonią i jej mieszkańcami. Dorywcze, codzienne zapiski zachowują charakter fotografij zdejmowanych z rzeczywistości i życia, zaczem nie wahamy się w tej luźnej formie podawać czytelnikom naszym ułamki cennej korespondencyi, którą mamy przed sobą.

Moglibyśmy z nich zaczerpnąć opis morskiej kilkomiesięcznej żeglugi, zwiedzić po drodze Singapurę, Bangkok, dwór króla Siamu, i t. d. Ramy zakreślone naszej pracy nie pozwalają na podobne przedłużenie wędrówki na wschód, odrazu tedy czytelnika wprowadzamy do japońskiego portu w Yokohama.

„*Yokohama 1 listopada 1883.*

„Bogu dzięki! przybiłem nareszcie do wybrzeży Japonii. Zbudzono mnie dziś o rychłej godzinie, abym mógł się przyjrzeć wjazdowi naszego statku w port Yokohamy. Wiatr odrazu dąć przestał, zatoka przedstawiała widok cichego jeziora. Powietrze było mroźne a biały szczyt góry Fusi-Yama uprzytomniał nam dowodnie zimową porę. Jakoż znalazłem się w Japonii, po trzechmiesięcznej żegludze po morzach zwrotnikowych, pod 35 stopniem szerokości północnej i to na dniu 1 listopada. Miasto Yokohama rozwijało się przedemną w malowniczy sposób. Pasmo gór zamykało krajobraz, bliżej występował zielony pagórek „the Bluff“, jak go Anglicy nazwali, dalej kształtna piramida miejscowego wulkanu, wykwintny charakter domów, mnogość statków w porcie, wszystko to składało się w całość wcale piękną. Wysiadłszy na brzeg, zająłem mieszkanie w bar-

dzo pięknym hotelu, wstąpiłem do ślicznego katolickiego kościoła i wróciłem po rzeczy i służbę na pokład *Tanaisu*, aby się następnie zająć przygotowaniem środków dostania się jak najprędzej do Tokio".

„*Yokohama 8 listopada.*

„Dni moje tak były zajęte od wylądowania w Japonii, że trudno mi dotąd wdawać się w opisy i szczegóły, wystarczy dziś wspomnieć główne wrażenia dni ostatnich.

„Trzynaście pociągów przebiega codziennie po dubeltowych szynach drogą żelazną nawiązującą miasta Yokohama z Tokio. Podróż trwa zaledwie 55 minut, do których dodać należy 20 na przeniesienie się dżirinkiszą, zaprzężoną dwoma ludźmi z hotelu na dworzec w Yokohama. Droga żelazna jest doskonale i wykwintnie zbudowana. Pełno tam zawsze spotkać można znajomych. Morze, pola i wioski miniaturowe, góry zamykające widnokres, forty panujące nad wybrzeżem, eskadra wojenna naprzeciw Tokio na kotwicy stojąca, wszystko to urozmaica krajobraz i skraca drogę, obejmującą do siedmiu stacyj.

„Dnia 2 listopada udałem się do Tokio, stolicy cesarstwa. Cesarz obecnie buduje sobie pałac w pośrodku warowni O'Siro, dopóki jednak tenże nie będzie ukończonym, zadawalnia się zwykłą rezydencyą Daimiosów, o korytarzach utworzonych z malowanych parawanów, oknach wylepionych białym papierem i niskich komnatach, które dadzą się powiększać dowolnie w szerz i w dłuż, rozsuwaniem owych parawanów. Meble takowe, noszą godło monarchy. Cesarz daje posłuchanie stojąc, otoczony zwykle książętami krwi, na przemowę w jakimbądź europejskim języku, odpowiada rodowitą mową. Nazajutrz, były to imieniny cesarskie, o 6 rano cały dwór wyruszył do Tokio, aby stanąć na placu ćwiczeń wojskowych; dyplomacya europejska już się tam znajdowała. Cesarz sam, wysiadłszy z karety zaprzężonej pysznymi rumakami, dosiadł dzielnego ale małego japońskiego wierzchowca. Czas był bardzo zimny, a nawet dżdżysty. Znalazło się tam około 10.000 ludzi pod bronią; znać na nich francuskich instruktorów. Artylerya przele-

leciała w galopie. Po ukończeniu rewii, Mikado łaskawie na śniadanie zaprosił dyplomatów i dygnitarzy. Sam dostojny monarcha zajmował miejsce przy osobnym stoliczku w głębi sali. Czterej książęta krwi zasiedli po dwóch, przy dwóch też pobocznych stołach, reszta zaproszonych usadowiła się w czterech szeregach, wzdłuż obszernej sali: po prawej stronie cesarza siedli przedstawiciele dworów zagranicznych, za nimi Daimiosy, po lewej zaś Rada państwa i dostojnicy dworscy. Dziekan dyplomacyi wniósł toast na cześć Mikady po angielsku, monarcha odpowiedział po japońsku, zaczem podano w małych porcelanowych czarkach rosół z ryby, zupę z canavosu, oraz saki, czyli wódkę ryżową. Każdy z biesiadników miał przed sobą ładne pudełeczko o czterech oddziałach, w których złożone były japońskie przysmaczki, jako to: surowe ryby, jarzyny, ryżowe kluseczki, konfitury i t. p. Jeść trzeba za pomocą dwóch laseczek drewnianych i potrzeba nielada sprytu, aby wprawić się odrazu w ich używanie.

„O godzinie 6 był tego dnia wspaniały obiad u ministra. Sala jadalna przybrana jastrunami *(Chrisanthemum)* tym kwiatem, będącym właściwością Japonii; muzyka wojskowa przygrywała doskonale, a gdy wieczorem małżonka i przybrana córka ministra weszły do salonu w strojach europejskich, aby przyjąć trzy księżniczki krwi i mnóstwo pań, które zachowały krajowe szaty, oraz i wiele cudzoziemek osiedlonych w Tokio i Yokohama, gdy do tysiąca gości rozprószyło się w salach i tańce się rozpoczęły, wtenczas łatwo było zdać sobie sprawę z szybkich postępów, jakie cywilizacya nowoczesna zrobiła w kraju, zaledwie od dwudziestu paru lat dla niej przystępnym. Oświetlenie ogrodu przedstawiało widok prawdziwie czarodziejski.

„Dnia 6 listopada urządzono staraniem klubu wyścigowego *Nippon race Club*, wyścigi konne. Cesarz zaszczycił swą obecnością tę uroczystość, już bardzo w Japonii popularną. Gdyby nie maleńkie kształty koni i brak ożywienia wśród publiczności, możnaby przypuścić, iż się jest w Europie z tą różnicą, iż Japończycy, ci nawet, którzy nasze przyjęli obyczaje, odznaczają się tradycyjną w ich narodzie uprzejmością, tak, iż nawet najniższe klasy ludu nie są mniej ugrzecznione i uczynne od szlachty. Wszyscy zresztą mają

tu oblicze rozjaśnione i na każde twoje słowo odpowiadają śmiechem wesołym: ha ha! ha ha!“

„W listopadzie 1883.

„Niełatwo w Tokio oddawać wizyty; tu jak w Yokohamie numerowanie domów nie obejmuje jednej tylko ulicy, lecz idzie porządkiem spisu nowych budowli, co wytwarza labirynt nieopisany. Szukając tedy na Bluffie cyfr do odnalezienia niepodobnych, odkryłem czarowną dolinę, gdzie się właśnie żniwo ryżu odbywało, wśród wesołych okrzyków dzieci, które w Japonii nadzwyczaj bywają miłe i swobodne. Przeszedłem się wzdłuż rzeki, pomiędzy domkami o rozmiarze zabawek, nad brzegiem plantacyj herbaty. Zatoka Mississipi oprawiała ten obraz idylliczny. W godzinie nieszpornej wstąpiłem do klasztoru sióstr francuzkich, po odbytem błogosławieństwie, przełożona pokazała mi gromadkę wychowujących się u nich dzieci w liczbie 340.

„Dzień 12 listopada naznaczonym był na obchód święta jastrunów czyli chrysantemów. Upał był straszny w głównej sali przepełnionej gośćmi. Mikado przybrany był jak zwykle w mundur fantazyjny, rodzaj czamary obramowanej barankami. Cesarzowa wystąpiła w narodowym czerwonym i żółtym stroju. Podobnie jak i reszta księżniczek i dam dworskich, cesarzowa była pomalowana, co nadawało jej twarzy białość kości słoniowej, nie zacierając uszczerbków, jakie lata jej urodzie przyniosły. Złożywszy uszanowanie parze cesarskiej, goście rozprószyli się w parku, pod cieniem wspaniałych kryptomeryj chwilowej rezydencyi Mikady. Przechadzając się tak wązkiemi ścieżkami jedni za drugimi, unosili się goście nad pięknością jastrunów, niektóre pojedyncze ich okazy pokryte były trzystu i czterystu kwiatami. Pełno pawilonów należało zwiedzić, ostatecznie cała ta zabawa przypominała europejskie wystawy kwiatów. Gdy para cesarska w towarzystwie dworu jaskrawie przybranego, co się wspaniale na zielonej odbijało murawie, stanęła na szczycie pagórka, trzy orkiestry razem, choć nie bardzo w takt, uderzyły w hymn narodowy i podano śniadanie w szałasie z trzcin bambusowych splecionym, a wieńcami zieloności ozdobionym. Dwór zasiadł w głębi przy osobnym stole, panie zajęły półkole, mężczyźni stanęli przy olbrzymim stole, naprzeciw szeregu ustawionej po drugiej stronie

służby. Na nieszczęście w tej chwili wionął wiatr lodowaty, który opatrzył newralgią niejedną głowę odkrytą w obecności dostojnej pary monarszej".

Plagą pobytu w Tokio stają się powtarzające się niemal co kilka dni trzęsienia ziemi i pożary. Już w końcu listopada nasz podróżny doświadcza po raz pierwszy owych przykrych wrażeń. „Zbudziłem się około 3 godz. w nocy, aby zapoznać się z niezwykłym fenomenem trzęsienia ziemi. Wszystkie sprzęty w sypialni poruszały się, łóżko mocno drgało, parawan na zawiasach skrzypiał, a ozdoby komody uderzały niby kastaniety. Z dołu dawało się słyszeć jakoby wycie podziemne. Szczęściem żadnej nie doznaliśmy szkody, a gdy po kilku dniach powtórzyło się owo zjawisko, już dostatecznie byliśmy z niem oswojeni".

Zima srodze się w Japonii uczuć daje, tem bardziej, że wichry szalone nie pozwalają częstokroć ognia na kominku rozniecić. „Nie trzeba wam się dziwić, iż zima bywa tu tak srogą, boć wiadomo, że wschodnia część Europy i cały olbrzymi azyjski kontynent, nierównie zimniejszy posiada klimat, aniżeli kraje zachodnie, choć pod jednakim stopniem szerokości położone. Sąsiedztwo stepów Mongolii i lodowatych równin Kamczatki wpływa głównie na oziębienie japońskiego klimatu. Wiatr dmie nielitościwie od północy i zachodu, a śnieg zwykł w znacznej z końcem grudnia upadać ilości". To też towarzyskie zebrania i zabawy w przykrej porze nie bardzo bywają nęcące. Nasz podróżny niezbyt oczarowanym się być zdaje wielkim światem stolicy. „Co chwila wypada przebiegać niezmierne przestrzenie, aby w licznym gronie zajadać niegodziwe potrawy, zapijać je najgorszem winem, dzwonić naprzemian zębami w przeciągach i znów rozpalać się w pobliżu kominka, aby ostatecznie z tych zebrań nie wynosić nic, okrom reumatyzmu. Za wyjątek policzę śniadanie u pana S., członka rady państwa, byłego komisarza wystawy japońskiej w Wiedniu. Usłyszałem tam narodową muzykę wykonaną przez dwóch niewidomych na instrumentach zwanych *koto* i *kokin*. Pierwszy rodzajem teorbanu naciągniętego trzynastu jedwabnemi nićmi, na których sztucznymi paznogciami brzdąkać trzeba. *Kokin* jest niby coś nakształt naszych skrzypców, z tą różnicą, że cztery cieniutkie struny osadzone bywają na maleńkim bębenku, a smyczek natomiast jest ogromny. Ponieważ wykonana melodya naśladowała

gwar ptasi, spytałem o tytuł owego utworu. Odpowiedziano mi, iż to ma być śpiew żórawiąt w chwili żerowania. Jako taki, temat ów wydał mi się trafnie uharmonizowanyw. W godzinę później ta sama powtórzyła się melodya. Widocznie ptaszęta opiewane przez Homera i Dantego: *Cosi van le gosi cantando lor lai*, niemniejszym od naszego cieszyły się apetytem. Gospodarz nasz, człowiek bardzo uprzejmy, zachował dobre z Wiednia wspomnienia, choć niemałych zażył tam nieprzyjemności z powodu bóstwa, które miało na wystawie wśród japońskich okazów przemysłu wystąpić. Było to podobieństwo z kar tonu urobione olbrzymiego Buddhy, zwanego Kamakura. Już podczas zdejmowania owej podobizny, lud zaniepokojony o los ulubionego bałwana, ledwie co nie wzniecił rewolucyi. Przewiezienie kolosu nie napotkało trudności na morzu, dopiero gdy wylądowano, żaden wagon dość obszernym się nie znalazł, aby go pomieścić. Wypadło tedy kartonowego Buddhę rozebrać na kawałki, a gdy go znów składano w pałacu wystawowym, nagle się zapalił i w szybko ugaszonym pożarze utracił uszy, rozmiaru dobrych łodzi. Japończycy nie chcieli swego bożka w tak upośledzonym stanie światu przedstawić. Darowali go tedy do muzeum w Lipsku, gdzie dotąd, nie doczekawszy się naprawy, spoczywa na składzie; i tak tedy był koniec odyssei japońskiego Buddhy do Europy".

Powtarzające się trzęsienia ziemi mają być powodowane podziemną rzeką ognistą, płynącą od wysp Moluk i Filipinów wzdłuż japońskiego archipelagu, aby dopiero zagasnąć w lodach północy. „Przed pół wiekiem całe Tokio uległo zniszczeniu. Trzęsienia ziemi w zimie 1883—1884 osobną naznaczone być musiały doniosłością. Śliczna, pięciopiętrowa pagoda Shiba, pozwalała oceniać miarę wstrząśnień, dzwoneczki bowiem zdobiące ją w około, wszystkie zabrzmiały, dzwoniąc na trwogę, jak mówi Eschylos. Trzebaby mieć żelazne nerwy, jak je mają Japończycy, aby zachować spokój duszy wśród klęsk ustawicznie nawiedzających stolicę. Jednej nocy trzęsienie ziemi, drugiej pożar, zimno w mieszkaniach takie, iż woda zamarza, pożary zaś tak częste, że każdy rad za powrotem z przechadzki widzieć jeszcze dom swój cały i nietknięty".

„Tokio 22 stycznia 1884.

„Wystrzały armatnie zwiastowały dziś święto urodzin cesarzowej. Pani ta zaślubioną została na dniu 9 lutego 1869 r. panującemu obecnie Mikadzie, który jest 123 swej dynastyi i nazywa się Mutsu-Hito, co znaczy „Przyjaciel ludzkości“. Tytuł jego urzędowy jest *Teuszi* lub *Tenno*. Za wstąpieniem na tron 3 lutego 1867, Mikado nie miał jeszcze skończonych lat piętnaście. Panowanie jego na zawsze pamiętnem zostanie, z powodu rdzennych odmian, jakie zaprowadził w konstytucyi i polityce japońskiej. Przyjąwszy dobrowolnie przez Daimiosów oddane mu i odstąpione księztwa ich udzielne, cesarz zwyciężył wojsko ostatniego z Sziogunów i po trzechwiekowem zamknięciu się w murach rezydencyi (Miako) w Kioto, Mikado ukazał się jawnie swemu ludowi i przeniósł się do Tokio. Zwalczonego Taikuna zwycięzca przebaczeniem udarował i pozwolił mu zamieszkać w nowej stolicy“.

Z powodu ciągle powtarzających się pożarów, znajdujemy w jednym z listów bliższe uwagi nad powodem tylu ogni. Ustęp przywiedziony z miejscowego dziennika szeroko się rozwodzi nad zbrodniczą stroną tych zamachów na bezpieczeństwo publiczne. „Nie ulega bowiem wątpliwości, iż z pośród licznych pożarów, które nawiedziły Tokio w przeciągu jednego roku, 317 ślepym przypadkiem były powodowane, podczas gdy 323 przypisać należy podpalaczom, którzy korzystają z zamięszania, aby dopuszczać się kradzieży. Niegdyś podobne przestępstwa karano spaleniem na stosie, dziś jeszcze udowodniony podpalacz dać musi gardło. Na ogromne przestrzenie rozbudowanej stolicy nie wystarcza zastęp tysiąca żandarmów i trzech tysięcy policyantów. Jedynym praktycznym środkiem bezpieczeństwa byłoby zaprowadzenie reformy w metodzie budowania, zabraniając wznoszenia skupionych w jedną masę domów, które się palą, jak wiązki zapałek. Że zaś Tokio, wedle dość ścisłych obliczeń, co siedm lat z popiołów własnych się odradza, nie trudno przyszłoby w taki sposób nowe rozgraniczyć gmachy, aby zapobiedz choć w części niebezpieczeństwu hurtownych pożarów.

„Tokio 5 lutego 1884.

...Jedna z moich przejażdżek zawiodła mnie do Uyeno, miejsca którego miano znaczy poniekąd wyższy teras. Okrążyłem jezioro

i zapuściłem się w aleje owego uroczego parku, gdzie 4 lipca 1869 wojska cesarskie wydały stanowczą bitwę sprzymierzeńcom ostatniego z Sziogunów. Krwawe zapasy skończyły się pogromieniem buntowników, którzy podpalili najpiękniejsze budowy swych przodków, a porwawszy księcia Kita Szyrakawa, spróbowali z niego zrobić anti-Mikadę. Książe ten odtąd podróżował do Prus, zaciągnął się tam nawet do pułku jazdy i publicznie się zaręczył z pewną Niemką. Atoli, ponieważ cesarz nie ma potomka i książe mógłby być powołanym do następstwa, zamierzony związek najwyższym rozkazem został zerwanym. Wracając zaś do dziejów bratniej wojny, która tu przed piętnastu zaledwie laty wrzała, dodam jeszcze, iż zakończyła się ona na wyspie Jasso poddaniem się admirała Enomoto, który dawniej posłował przy dworze rosyjskim, dziś zaś podobny sprawuje urząd w Chinach. Minister rolnictwa jenerał Saigo, także nosi imię wsławione podczas ostatniego buntu, a brat jego, rodzaj olbrzyma o niedorównanem męztwie był zarazem i bohaterem i jedną z wybitniejszych ofiar ostatniej rewolucyjnej zamieszki. Pojednawcza tedy polityka dziś panującego monarchy, w niczem nie ustępuje tej, którą się obecnie rządzą europejscy monarchowie.

„Radbym wam podać w przybliżeniu plan miasta Tokio. Położona nad brzegiem morza, przecięta spławną rzeką Tumidagawa, stolica Japonii rozwija się na szerokości ośmiu mil angielskich a nieco więcej długości; przestrzeń ta faluje mnogimi pagórkami. Środek miasta zajmuje cytadela zwana O'Siro, czyli wielki zamek. Dawna to rezydencya Sziogunów, otoczona cyklopicznym murem, oraz wodą, sama jednak warownia już nie istnieje od r. 1873, w którym pożar zniszczył cesarską rezydencyę. Odbudowanie pałacu długich jeszcze lat potrzebuje, choć już rozpoczętem zostało. *Yaski* czyli mieszkania dawnych Daimiosów wznoszą się na przestrzeni leżącej pomiędzy dwoma obwodami murów. Wielka wszelako liczba tych dawnych lenników korony przeniosła się w inne części miasta. Tokio rozdzielone jest na 96 cyrkułów, ludność nie przerasta miliona. Garnizon liczy do 10.000 żołnierza rozmaitej broni. Począwszy od r. 1872, w którym szerszy pożar zniszczył stolicę, poczęto wznosić niektóre gmachy z cegły i ciosowego kamienia. Świątyń Buddhy jest w Tokio bez liku; zbudowane wśród cmentarzy na pagórkach drzewami gęsto zarosłych, wychylają z zieleni swe dachy śpiczaste,

granitowe lub piaskowe schody i oddrzwia, nareszcie latarnie zwane *toro* czyli gniazda ptasie. Znaczna ich liczba poświęcona jest bóstwu rolnictwa, lub też cesarzowi Yamats, który podbił na nieprzyjacielu dolinę, w której przed 300 laty miasto Yeddo założonem zostało. Miano to znaczące bramę zatoki poszło w zapomnienie odkąd w r. 1868 dzisiejszy Mikado przeniósł swą rezydencyę do dawnej Taikunów stolicy. Za dni naszych zewnętrzna postać miasta stanowczej uległa przemianie, bądź zaniechaniem narodowego stroju, bądź zastąpieniem dawnych środków lokomocyi europejskimi ekwipażami i wschodnimi dżirinkiszami. Nie zmienił się tylko wiecznie piękny szczyt wulkanu Fusi-Gama, którego kształtny rysunek odnajduje się na tylu okazach japońskiego przemysłu. Mnóstwo drzew urozmaica szarą jednostajność części miasta zamieszkałych przez uboższą ludność, nad bogatszemi zaś częściami górują gmachy cywilnych i wojskowych zakładów.

„Tokio posiada swój narodowy uniwersytet i wiele dobroczynnych instytucyj. Wspomniałem wam już o pięknym kościele katolickim wzniesionym wśród europejskiej komersyi, tudzież o kaplicy sióstr i misyi francuzkiej. Protestanci posiadają tu także swoje zakłady, ponieważ traktaty zawarowały cudzoziemcom wolność wyznań. Darmo spodziewać się podobnej tolerancyi względem chrześcijan japońskich. Edykta przeciwko nim wymierzone do dziśdnia odwołanymi nie zostały. Ukazem sięgającym roku 1682 nauka chrześcijańska została wywołaną, jako niebezpieczeństwem dla państwa grożąca, a późniejsze ustawy nie przestały odtąd potępiać „złej sekty“. Całem szczęściem, że obecne ministeryum ogląda się na opinię Europy, zaczem nietylko nie utrudnia już rodowitym Japończykom przyjęcia wiary chrześcijańskiej, ale nadto żadnej nie stawia zapory działaniu katolickich misyonarzy. Jedynie kwestya pogrzebów wznieca niekiedy nowe trudności władzom, nie umiejącym godzić przywilejów zawarowanych bonzom, z względnością przynależną duchownym francuskim, jako cudzoziemcom. Spodziewać się trzeba, iż wiara chrześcijańska niebawem zostanie objętą w poczet religij uznanych prawami Japonii, których dziś jest już ośm. Dopiero w r. 1865 Europa dowiedziała się z niemałem wzruszeniem, iż ten daleki kraj posiadał jeszcze w swem łonie niemało chrześcijan, którzy mimo trzech wieków ścisłego opuszczenia i osamotnienia, potrafili

zachować prawdy przez św. Franciszka Ksawerego do nich zaniesione. Dzieje prześladowania owych chrześcijan w wielu wyczerpujących księgach zostały spisane. Od r. 1868—1873 chrześcianie z Urakami i innych okolic gwałtownie znów byli prześladowani, wyrywano ich z łona rodzin, aby ich przenosić na grunta potężnych Daimiosów, którzy ich używali do ciężkich robót, innych wywożono na wyspy odludne, gdzie z głodu umierali. Imię chrześcijanina równało się mianu zbrodniarza i rozbójnika, największa liczba tych niewinnych ofiar zginęła na wyłomie, odstępstwa były nader rzadkie, wyjątkowe. Złagodzenie obyczajów zastąpiło krzyż i stos, na których ginęli praojcowie tych męczenników nadmiarem obciążających znojów, nędzą, chłodem i innymi środkami śmiertelnego ucisku“ [1].

Z powodu ponawiających się ustawicznie pożarów, doczytujemy się w tych ciekawych listach co następuje:

„Każdy ogień nierównie donioślejszy przedstawia tu widok, aniżeli w naszych miastach z kamienia i cegły zbudowanych. Drewniane gmachy całe odrazu się zajmują, wszystko w około od samego gorąca już płonie. Przytem nieład nie do opisania panuje na miejscu klęski, nikt rozkazów nie wydaje, każdy się ratuje ucieczką. Sikawki niedostatecznie działają, a gorliwość strażaków miarkowaną bywa wyrachowaniem. Pewnej nocy w styczniu b. r. ogień wybuchnął naraz w trzydziestu przeszło punktach stolicy, a nazajutrz

---

[1] Wiarę katolicką do Japonii wniósł św. Franciszek Ksawery i Jezuici koło 1550 r. W trzydzieści lat potem liczono przeszło 200.000 chrześcijan, między nimi trzech książąt krwi, 250 kościołów, kilka szkół i seminaryów i kolegium jezuickie z nowicyatem dla krajowców. R. 1582 owi trzej książęta japońscy wyprawiają uroczyste poselstwo do Rzymu, do Grzegorza XIII. Ale już w kilka lat potem cesarz Taikosama, za namową kapłanów japońskich, bonzów, rozpoczyna długi szereg prześladowań chrześcijan pod pozorem, że oni czcząc chrześcijańskiego Boga, wykraczają przeciw prawu krajowemu, nakazującemu oddawać cześć boską cesarzowi, jako potomkowi bóstwa Buddhy. Już r. 1596 wbito na krzyż 3 Jezuitów, 6 Franciszkanów, 17 innych chrześcijan. Nowy cesarz Dajfusama wymordował w ciągu lat kilku (1611—1616) wyszukanemi torturami kilkadziesiąt tysięcy chrześcijan, a misyonarzy wszystkich skazał na wygnanie. Pomimo to jeszcze 1616 r. ukrywało się 30 Jezuitów i innych zakonników. Dwaj następni cesarze Xogunsama (1616—1631) i Toxogunsama (1631—1658) prowadzili dalej w najokrótniejszy sposób dzieło zniszczenia chrześcijaństwa. Liczono do półtora miliona pomordowanych w tem półwieku chrześcijan. Oprócz bonzów, Holendrzy i Anglicy zachęcali władzców Japonii do tej srogości, chcąc monopol handlu zatrzymać dla siebie, a wykluczyć Portugal-

pochwycono pięćdziesięciu podpalaczy na gorącym uczynku. Może być, iż te liczby są nieco przesadzone, ale dają one miarę stosunków, w jakich tu żyjemy, pomimo wszelkich reform politycznych, które rząd szybko przeprowadzić usiłuje".

„Tokio 9 kwietnia 1884.

„Dnia 3 kwietnia obchodzono tu doroczną pamiątkę wstąpienia na tron pierwszego cesarza Japonii Zinnu, w 660 r. przed Chrystusem. Dziejopisarze japońscy stawiają na początku swych roczników siedm geniuszów niebieskich, po których nastąpiło pięć ziemskich geniuszów, a pierwszy monarcha historyczny miał być właśnie synem ostatniego mitologicznego władzcy. Zinnu i jego potomkowie podbili kraj cały na plemieniu tubylców zwanych Ainosami. Za panowania drugiego Mikady urodził się w Chinach znany moralista Konfucyusz, którego doktryna licznych posiada w Japonii wyznawców. Pod rządami Koghena, ósmego z kolei Mikady, poselstwo chińskie wniosło do Japonii zarodki cywilizacyi, które się tu nadzwyczajnego rozwoju wnet doczekać miały. Następca Koghena pierwszy wprowadził w zwyczaj ery honorowe na określenie pojedynczych panowań lub ważniejszych nawet wydarzeń. Od r. 201 do 269 zasiadła na tronie cesarzowa Ziugu, która podbiła w lenność sąsiednią Koreę. Za panowania jej syna, uczony Korejczyk wniósł do Japonii chiń-

---

czyków i Hiszpanów, Holendrzy nie wahali się nawet przy wylądowaniu deptać nogami krzyż Chrystusowy, bo tak przepisywały edykta japońskie. Przez całe dwa wieki zdawało się, że już wszelki ślad chrześcijaństwa zaginął w Japonii. Stało się przeciwnie. Bez kapłanów i kościołów, srogimi ukazami nękani, zdołali Japończycy przechować nietylko tradycye obrzędów, ale główne prawdy wiary chrześcijańskiej. Przekonano się o tem, gdy traktat 1859 r. z Francyą zawarty, misyonarzom wolny wstęp do Japonii otworzył. Znaleźli oni na jednej tylko wyspie Jesso, kilkadziesiąt tysięcy chrześcijan. Odrodzenie się wiary katolickiej postępowało tak raźno, że przestraszony tem rząd japoński wznowił w latach 1867—1873 srogie prześladowanie chrześcijan. Bito ich, katowano, zamykano w dołach lub klatkach, deportowano jak zbrodniarzy, a obsadziwszy wojskiem dolinę Urakami i zamieniwszy ją w pustynię, wywieziono z niej 4000 katolików na różne wyspy; r. 1873 po ogłoszeniu łagodniejszych edyktów, wróciło do kraju tylko 1800 tych wygnańców. Obecnie wiara katolicka w Japonii jest tolerowana tylko; wikaryusz ap. rezyduje w Nangasaki, liczba misyonarzy i instytucyj katolickich powiększa się — ale czy to na długo? Wszystkie dawne edykta przeciw chrześcijanom istnieją, zawieszono tylko ich skuteczność. *(Przyp. Red. Przeglądu).*

skie litery. Zuny cesarz ustalił prawidła genealogij szlacheckich i do niego też się odnosi początek nazwisk i przezwisk w Japonii. W r. 552 bonzowie z Korei przybyli, upowszechnili tu Budyzm, a uczeni mężowie przenieśli chińskie księgi naukowe na wyspy japońskie. Następni władzcy regulowali podział państwa, spisywali wsie i miasta. Dopiero w ostatnim roku IX wieku Mikado obleczonym został w godność arcykapłana Budhhy, które dotąd było prześladowanem lub tylko tolerowanem. W XII wieku rozpoczęły się krwawe waśnie między dwoma książęcymi domami, zakończone wytępieniem jednego z nich. Zapasy te natchnęły znaczną ilość dzieł prozą i wierszem. Do tych wypadków nawiązać wypada początek wzrostu potęgi Sziogunów, z których jeden, Yoritomo, objął naczelne dowództwo nad 66 prowincyami i założył dynastyę, w której przez lat wiele Europejczycy upatrywali doczesnych władzców Japonii.

„Przez trzy wieki (jak to wspomnieliśmy wyżej), Mikadowie zamykali się w swojem Miako czyli rezydencyi cesarskiej stolicy Kioto, a rycerska kasta Bu-he czyli Samuraïsów była wszechwładną. W XIII wieku, rozpoczął się szereg wypraw chińskich mających na celu podbicie Japonii. Odtąd wielka niechęć zapanowała między dwoma sąsiedniemi państwami i jeszcze świeżo się zamanifestowała z powodu zajęcia wysp Siu Kiu przez Japończyków. W XIV wieku dwóch naraz widzimy Mikadów. Szioguny coraz zupełniejszą ogarnęli władzę, korzystając z zamieszek. Jeden z nich, Taiko Sama, zreformował prawa krajowe, wypędził Chińczyków z Korei i przybrał najwyższy tytuł namiestnika Mikady. Za jego to rządów spisanymi zostały roczniki missyonarzy z Towarzystwa Jezusowego w Japonii. Owe wydawnictwa musiały mieć niezmierny rozgłos w Europie, gdzie dopiero od r. 1545 wiedziano o istnieniu Japonii, gdy żeglarz portugalski Fernan Piuto po raz pierwszy przybił do wyspy oznaczonej relacyą Marco Pola mianem Zimpangu, św. Franciszek Ksawery w r. 1549 zaczął nawracać mieszkańców Kiu-Siu. A po upływie lat kilkudziesięciu chrześcijaństwo tak się było rozszerzyło, iż wydało się niebezpiecznem rządzącym Sziogunom. Skutkiem niezmiernego prześladowania, zdawało się, że chrześcijanie wytępieni zostali do szczętu. Hollendrzy w nagrodę poparcia, jakiego w tej sprawie udzielili rządowi, otrzymali wyłączny przywilej handlu z Japonią. Faktorya ich w r. 1641 przeniesioną została na wysepkę Desima, położoną

wśród portu miasta Nangazaki i aż do r. 1852 pozostali jedynymi Europejczykami, których na grunt japoński wpuszczano. Opisy kraju tak długo zamkniętego przed Europą zawdzięczamy podróżom hollenderskich przy dworze japońskim rezydentów. Dynastyę Szogunów dzierżącą władzę do r. 1868 znamy raczej pod tytułem Taikunów od chińskiego wyrazu oznaczającego wielkiego pana. Rząd ich zmuszonym został w r. 1852 zawrzeć traktat ze Stanami Zjednoczonymi Ameryki, których przedstawicielem był komendant Perry. Od tej pory przystęp do portów japońskich otworzono poddanym mocarstw, które na wzór Ameryki, podobne zawarły traktaty handlowe i polityczne. Traktaty te zostały zatwierdzone przez najwyższą władzę Mikady po rewolucyi, która Szogunów czyli Taikunów powaliła. Liczne zamachy na cudzoziemców naznaczyły początek nowej ery. A wyprawy morskie, które ciężkimi kosztami indemnizacyi obaczyły Taikunat, stały się najpewniejszem narzędziem onego ruiny. To też cudzoziemcy nie są lubieni w Japonii. Szalone zyski handlowe niegdyś przez Hollendrów zagarnięte, przywileje jakich zażywają przybysze pod względem juryzdykcyi, plemienne sprzeczności i różnice, przejawiające się w każdym stosunku i układzie, bądź politycznym, bądź społecznym, wszystko to tłumaczy i wyjaśnia niechęć, jaką ludzie zachodu wzbudzają w mieszkańcach dalekiego wschodu, co nie przeszkadza tym ostatnim mnogie u nas zapożyczać nowości i reformy".

„Tokio 15 kwietnia 1884.

„Cesarz panujący dziś w Japonii jest urzędowo 123 monarchą swej dynastyi. U księcia Arisagawy można oglądać drzewo genealogiczne rodziny cesarskiej. Dokument ten nie ma wielkiej wartości heraldycznej z powodu częstych adopcyj, któremi utrwalano następstwo w ciągu długiego pasma wieków. Urodzony na dniu 3 listopada r. 1852 Mutsu-Hito (wymawiać należy Mutsu-Szto) nastąpił po ojcu swym, cesarzu Komei, dnia 8 lutego 1867. Data ta oznacza początek ery Meidżi, której siedmnasty rok obecnie liczymy. W grudniu r. 1868 cesarz poślubił starszą o półtora roku od siebie księżniczkę Harukę. Że jednak ten związek bezpotomnym pozostał, na następcę tronu przeznaczono księcia Joszyszyta, urodzonego w 1879 r. z morganatycznej małżonki cesarza. Inni książęta krwi noszą tytuł cesar-

skich wysokości. Cesarz austryacki pierwszym był z pośród monarchów europejskich, którego Mikado własnoręcznym listem r. 1869 pozdrowił mianem brata, dotąd bowiem władzcy Japonii tytuł ten wyłącznie dawali cesarzom chińskim. Obecnie panujący Mikado przejęty jest najżywszemi uczuciami poważania i szacunku dla osoby cesarza Franciszka Józefa, rad słucha opisu rządów i szczegółów życia tego ostatniego, co więcej, usiłuje naśladować dobroczynny kierunek obrany przez panującego w Austryi monarchę i przejąć się na wzór jego podobnem poczuciem obowiązku. Odkąd stary zamek Taikunów zgorzał w r. 1873, cesarz zamieszkuje w pałacu Daimiosów Kusziu, na pagórku Akasaka położonym. Jestto obszerny gmach w stylu japońskim, rozległym otoczony parkiem. Cesarzowa osobne zajmuje skrzydło. Dwa salony po europejsku urządzone, przeznaczone są dla przyjęć urzędowych ciała doplomatycznego. Rząd uchwalił 10.000 dolarów na budowę nowego pałacu, atoli w obec finansowych przesileń, wynikających z ostatnich zamieszek, cesarz odrzucił tę ofiarę, nawet gdy architekci i przedsiębiorcy część kosztów na siebie wziąść chcieli. W ostatnich jeszcze dniach, zwiedzając miejsce na nową przeznaczone budowlę, cesarz osobiście budżet przyszłych wydatków określił i ścieśnił.

„Dwór japoński mianem *Kuhaïszo* oznaczony, nader jest liczny nie zachowawszy wszelako nic z dawnej wspaniałości, o którą niegdyś Japończycy tak bardzo stali. Bogate stroje, których okazy zachowały się w muzeum krajowem, ustąpiły miejsca haftowanym mundurom, nie bardzo licującym z tłem i ramami obrazu. Zwykle dworzanie noszą czarne czamary, bardzo do naszych podobne. Cesarz mało ma potrzeb i zachcianek, niejeden z jego poddanych i dawnych lenników kosztowniejszych od niego samego sobie pozwala fantazyj. Lubi konie i konną jazdę, zajmuje się udoskonaleniem rasy krajowej, posiada liczne stadniny i tabuny. Kucyki południowych prowincyj nader tu są cenione. Natomiast arabskie konie, dar cesarza Napoleona III, wszystkie pod wpływem klimatu wyginęły.

„Mikado jest wzrostu średniego, nie brak mu pewnej wykwintności w obejściu, wstaje z brzaskiem dziennym, ranne ministrom daje posłuchania, pracuje z prezesem ciała prawodawczego, bierze codziennie lekcyę chińskiego języka, ponieważ znajomość onego pisma konieczną mu jest do czytania urzędowych dokumentów i ksiąg

historycznych japońskich. Podróż księcia Arisagawy po wszystkich dworach Europy, wzbudziła w cesarzu chęć zreorganizowania własnego otoczenia na wzór dworu wiedeńskiego. Obecnie Mikado z zajęciem czyta memoryał o cesarzowej Maryi Teresie, spisany przez jednego z członków austryackiego poselstwa. Mowa jest o wysłaniu kilku młodych Japończyków wysokiego rodu do instytutu Theresianum. Dekret z r. 1869 zniósł wszystkie w Japoniii tytuły. Jedni więc tylko członkowie rodziny cesarskiej noszą jeszcze książęcy tytuł i godność. Cesarz, wbrew dotychczasowego obyczaju, siada do stołu wespół z swą małżonką. Potrawy naprzemian bywają przyrządzane na sposób krajowy i zagraniczny, zkąd wynika, że dostojna para co drugi dzień pości. Mikado nie ma wstrętu do podróży koleją żelazną, puszcza się i na morze, bez względu na niepogodę.

„Po dokonaniu rewolucyi z r. 1868 Mikado zobowiązał się nadaniem rodzaju konstytucyi do zwołania zebrania narodowego, któreby czuwało nad wykonaniem praw przyrodzonych, oraz przyrzekł kierunek rządów powierzać li tylko mężom rozumem i nauką wybitnym. Już w roku 1869, zagajony został sejm złożony z 276 posłów, których 200 zaraz w pierwszej uczestniczyło obradzie. Wszyscy z rycerskiego byli stanu, zbrojni w dwie szable, a wybrani przez swoich Daimiosów, a raczej doradzców *(karo)* tychże. Jako przedstawiciele wojskowych interesów swej kasty, wysłańcy ci mogli tylko stwierdzić swe konserwatywne dążności, okazali się wszakże niezdolni do opracowania szerszych kwestyj. Wypadło tedy zmodyfikować prawo wyborcze, a nawet do czasu zawiesić obrady parlamentu. Różne próby ukształcenia formy rządowej na modłę nowoczesną podobnież zawiodły. Najwyższa rada administracyjna oraz podległe jej komitety wykonawcze, krótko tylko funkcyonowały, podzieliwszy kraj cały na ośm departamentów. Umyślono wtedy byłych Daimiosów, którzy na rzecz Mikady abdykowali, postawić na czele swych dawnych prowincyj i to w charakterze gubernatorów. Po niejakim czasie odebrano im ową godność, zcentralizowano władzę, podzielono kraj na 68 prefektur, rozbrojono Samuraisów, co nowe wywołało zaburzenia, które z trudnością tylko poskromiono“.

„W r. 1876 Mikado nowym manifestem obiecał po upływie dziesięciu lat powtórnie zwołać sejm krajowy. Wszyscy oczekują

bliskiego już terminu, jako daty stanowczego odrodzenia się Japonii".

Zbadać ustrój rządowy tego kraju, niełatwem jest zadaniem. Machiną rządową kieruje rada najwyższa, której podlega i rada stanu i senat. W pierwszej zasiada jedenastu członków, a przewodniczą jej mężowie, całkiem oddani dzisiejszemu Mikadzie. Piastują oni teki ministeryalne. Ministerstw jest dziesięć: sprawy zagraniczne, sprawy wewnętrzne, finanse, wojna, marynarka, oświecenie publiczne, roboty publiczne, sprawiedliwość, dom cesarski, rolnictwo. Rada stanu obejmuje cztery wydziały: prawa, statystyki, orderów i historyografii. Pan S... stoi na czele senatu. Liczba senatorów jest nieograniczoną. W tej chwili jest ich 41. Obok ministrów pracują drudzy ministrowie i wice ministrowie. Liczba podrzędnych urzędników jest wielką, mimo hurtownych a częstych urlopów i dymisyj, zwanych *dżi-szin*, czyli trzęsienia ziemi; pensye są bardzo znaczne, a ustawy określające ich wypłatę korzystne, mianowicie dla członków najwyższej rady, którzy się mogą z niej wycofać, zachowując pensyę po dwóch latach uczestnictwa w tem dostojnem gronie. Chociaż go żadna międzynarodowa komplikacya do tego nie zmusza, rząd japoński postanowił bądź co bądź w jak najkrótszym czasie zreorganizować armię i marynarkę krajową. Minister wojny, jenerał Oyama, otoczony świtą z dwudziestu osób złożoną, opatrzony kredytywą na pół miliona franków, objeżdża dziś przeróżne państwa Europy, aby zbadać *de visu*, ich organizacyę wojskową. Na mocy dekretu Mikady, Japonia zostanie podzieloną na sześć okręgów konskrypcyjnych, z którego każdy na dwa rozpadnie się oddziały. Armia składać się ma z linii i landwery. Postanowiono stworzyć 58 pułków piechoty z 24 batalionami rezerwy, 12 pułków jazdy, z 6 szwadronami rezerwy, 12 pułków po 6 kompanij saperów, oraz tren niemniej liczny. Nadto uchwalono założyć gwardyę cesarską, obejmującą cztery pułki piechoty, dywizyę kawaleryi, artyleryi i inżynieryi. Podniesie to armię do 200.000 żołnierzy, wliczając rezerwy. Obecnie armia nie liczy więcej nad 44.110 żołnierza, oraz 58.686 milicyi. Za czasów feudalnego ustroju, Daimiosy mogli postawić na stopie wojennej do 400.000 mężów zbrojnych, pod dowództwem Szioguna, naczelnego wodza. Reformy wyż wskazane, przeprowadzone być mają w 12 latach na ty-

leż lat zakreślając trwanie służby wojskowej dla każdego Japończyka, bez względu na stanowisko i różnice społeczne.

„W r. 1881 cesarstwo posiadało tylko 58 okrętów wojennych, wliczając w to jacht Mikady i inne statki transportowe. Flota posiadała 201 dział i 6689 ludzi zajętych w marynarce państwa. Wyborni żeglarze rekrutowani z pośród nadbrzeżnej ludności, oraz uczniowie szkoły marynarskiej w Tokio pozwolą niebawem zdwoić tę siłę. Podniesienie podatków przyniosło państwu około 40 milionów franków; postanowiono odłożyć ich 15 na wydatki nadzwyczajne armii, $7^1/_2$ dla marynarki zostawić, a 5 na obwarowanie portów, co tem konieczniejszem, że wybrzeża wschodnie niczem nie są ubezpieczone, a forty nadmorskie zatoki Tokio i Yokohama żadnego mieć nie mogą znaczenia.

Współzawodnictwo odwieczne Chin z Japonią, oraz wyprawa na Formozę i zajęcie przez Japończyków wysp Siu Kiu, zmuszają rząd japoński do pomnożenia środków ostrożnej przezorności, w chwili zwłaszcza, gdy Chiny, z powodu konfliktu z Francyą, na wielką skalę przedsiębrały uzbrojenia powszechne i obstalowały w Niemczech cały zastęp pancernych statków. Skończywszy wojnę z Francyą, Chiny prawdopodobnie zwrócą swe siły w tę stronę, bądź odbierając napowrót wyspy Siu Kiu, bądź opanowując Koreę, coby w Japonii srogie rozbudziło gniewy.

„Tokio, 26 kwietnia 1884.

„Tymi dniami nastąpiło otwarcie nowego szpitala przez księcia Take-hita, w obecności pięciuset dostojników państwa i dyplomacyi zagranicznej. Jego Cesarska Wysokość odczytała mowę, której charakterystyczny początek dosłownie przytaczam: „Tokio, ta metropola Japonii, jest rezydencyą Mikady, domy tego miasta stoją rzędami niby łuski rybie, a kurz podnoszący się z jego dróg handlowych samych niebios dosięga. Mieszkania możnych panów rozciągają się od Wschodu i Zachodu, a liczba ich równa się liczbie gwiazd niebieskich. Domy zaś kupców bogatych pokrywają stronę północną i południową, niby pola szachownicy. Ruch ludności przypomina falowanie morza, ramiona przechodniów trącają przychodniów, czynność idzie w parze z powodzeniem. Atoli prawo społeczne chce aby tam, gdzie żyją bogaci, nie brakło i ubogich. Nędzarze zasę-

piają ulice Tokio, niby roje pszczół, a głodni błąkają się tu jak hufce mrówek. Darmo rok urodzajny obfite wydaje żniwa, zawsze krocie dziatek wołają chleba; darmo zima łagodnością nęci, znajdą się zawsze kobiety płaczące od zimna. Trzeba tedy przyznać, iż Tokio, gród najbogatszy państwa, przechodzi wszyztkie inne miasta liczbą swych ubogich“...

Reszta dyskursu w tym rodzaju prowadzonego, kończy się prośbą o udział w dobrym uczynku założenia nowego szpitala. Musieliśmy nadto wysłuchać licznych japońskich mów, wygłoszonych śpiewną deklamacyą, a spisanych na przerażająco długich zwojach papieru. Innego dnia obchodzono święto „wiśniowych kwiatów“ w parku Homa-ki-kiu. Mikado przybył o 4-tej godzinie z małżonką. Raczyli każdego z gości łaskawie powitać podaniem ręki i uprzejmemi słowy, wezwali do pawilionu, gdzie zastawiono chłodzące napoje. O kwiatach wiśniowych nie było jednak mowy, mimo urzędowego uroczystości tytułu. A przecież nie brakło białego kwiecia temu parkowi, malowniczo nad morzem rozłożonemu, o pięknych drzewach, pagórkach, mostach, stawach i drewnianych pawilionach, wśród których uwijały się najróżnorodniejsze postacie zaproszonych gości. Obok wytwornych strojów europejskich dam, uderzały nie mniej bogate szaty pań dworu cesarzowej i małżonek dostojników koronnych. Niestety! mężczyzni przybrani wszyscy byli w kapelusze i fraki zachodniego świata, co im zabawny nadawało pozór“.

Z wiosną nasz podróżny zwiedza okolice stolicy, a pod datą 10 maja opisuje wycieczkę do Muko-żima, miejsca, będącego najczęstszym celem spacerów w tej porze. „Ztamtąd zboczyłem nieco, aby odwiedzić świątynię Axaksa, należącą do sekty Buddhystów, zwanej Monto. Dzisiejszy gmach odnieść wypada do r. 1657. Jeśli dotąd uszedł on pożarom, zawdzięcza to odosobnieniu i siatce żelaznej, która go okrywa. Portyk wstępny uderza olbrzymiemi rozmiarami. Dach mianowicie jest ogromny i przygniata filary, na których spoczywa architraw zdobny w smoki złocone, podczas gdy na kolumnach wiją się piwonie i jastruny pięknie wyrzeźbione, a straszliwe geniusze czuwają u progów świątyni. Na lewo wznosi się lekka, wielopiętrowa pagoda. Dziedziniec wyłożony ciosowym kamieniem, otoczony jest straganami, w których dostać można przedmiotów czci religijnej, zabawek, a nawet i drobnych towarów.

Mnóstwo oswojonych gołębi przypomina plac św. Marka. Świątynia poświęcona jest bogini Kwannon, będącej uosobieniem Litości, i posiadającej tysiąc oczów i tysiąc ramion dla tem czynniejszego spełniania miłosiernych uczynków. Znaleziono niegdyś na wybrzeżach sąsiadujących z Chinami wizerunek tego chińskiego bóstwa. Za dni naszych nikomu go już nie pokazują. Na frontonie błyszczą pięknie urobione z kości chińskie i japońskie litery, nadające świątyni tytuł „kościoła traw z mielizn morskich“ dla tego zapewne, iż morze się z tej doliny wycofało. Wiadomem jest bowiem, iż cała wschodnia strona Japonii stopniowo się podnosi, podczas gdy zachodnia w tym samym stosunku się obniża. Wnętrze świątyni, podobnie jak ogół świątyń buddhystów, uderza mnóstwem powinowactw z urządzeniem naszych kościołów. Wszędzie pełno ołtarzy, posągów, obrazów, skrzynek do ofiar, czarek, zkąd dym kadzidła się unosi. Posąg bóstwa zużyty pocałunkami chorych pielgrzymów; rozmodleni bonzowie budują postawą skupioną i pełną uszanowania. Wzdłuż gmachu przytuliły się zakłady fotograficzne, herbaciarnie, teatrzyki, klatki pełne małp, niedźwiedzi i borsuków, ogrody pełne cudów, zdziałanych dziwaczną kulturą. Zdala widnieją postacie rycerzy, dzieci, pielgrzymów, z misternie ciętych krzewów urobione. Dla dopełnienia złudzenia, ubrano je w szaty i maski. Wrażenie ztąd prędzej zdumiewające aniżeli zachwycające. Podziwiałem jednak zbrojnego geniusza dosiadującego skrzydlatego smoka, a naśladującego bronzowe odlewy.

„Trzęsienia ziemi powtarzają się tu z wiosną. Maj nie posiada tedy w Japonii czaru jaki mu przypisują piosnki niemieckie. Jedyną przyjemnością jakiej ten miesiąc mieszkańcom Tokio dostarcza, jest rybołóstwo w niezliczonych kanałach stolicy. A nie same tylko wody obfitują tu w ryby, pełno ich unosi się nad domami ubłogosławionymi narodzeniem syna. Rzeczywiście wcale ładny widok przedstawiają owe łososie (koï) płócienne, wypełnione powietrzem, które pod wpływem wiosennych powiewów naśladują ruchy żywych wód mieszkańców. Jeżeli w Japonii znajdują się ryby majowe, zabawniejsze od francuskich kwietnionych (poissons d'Avril) to polowanie ściśle w tej samej porze jest zamkniętem, co nie przeszkadza, że zwierzyny do stołu nie braknie. A to tem obficiej, że jak świeżo któryś z dygnitarzy się odzywał: myśliwi nie strzelbą, lecz sidłami i siatkami tu polują.

„Dyrektorem konserwatoryum muzycznego w Tokio jest młody człowiek, który studyował w Ameryce teoryę muzyki, a który w muzyce japońskiej upatruje powinowactwo z muzyką dawnych greków. Podczas obiadu danego przez ministra oświecenia, ów dyrektor konserwatoryum wraz z uczniami swymi wykonał sławną pieśń Tannhaüsera, jakąś polkę, oraz fantazyę na temata z opery Flotowa: Marta. Zaczem nastąpił koncert narodowy złożony z następnych kawałków: Pieśń zwierciadła odśpiewana z towarzyszeniem Koto i Kokin, wspomnianych już narzędzi muzycznych; dalej Romans do księżyca, potem kawałek orkiestrowy pod tytułem: laska pogodnego nieba, i inne utwory japońskiej sztuki. Nie można jednak powiedzieć, aby się było oczarowanym narodową muzą harmonii.

„Zwiedziliśmy też świątynie Szyby, najpiękniejsze okazy budownictwa krajowego, zaczynając od gmachu stanowiącego grób drugiego z kolei Szioguna. Już w dziedzińcu stoją szerokie czary z wodą święconą, spoczywa dzwon, który niegdyś wybijał godziny w lasku świętym, ale skutkiem pożaru w r. 1824 głos swój brzmiący utracił. Kaplica grobowa uchodzi za arcydzieło japońskiej architektury. Dwa złocone filary podtrzymują sklepienie nad ołtarzem, mury i stropy zarówno są pięknie przystrojone mnóstwem ozdób bogatych. Ołtarz z złoconego laku, na pobocznych stołach błyszczą snopy złotych piwonij, kadzielnica nosi datę 1635. Reszta budowy nie może mieć więcej nad półtrzecia wieku istnienia. Kasetony sklepienia także są z złoconego laku. Urna grobowa znajduje się w sali ośmiokątnej, gdzie wszystko jest z tegoż materyału w najlepszym gatunku i stylu japońskim. Ośm kolumn powleczonych kosztownym kruszcem otacza tu wysoki cylinder, podobny do tych, w których Buddhyści składają święte księgi swoje, a który tu przechowuje popioły królewskie“.

Na tych wyrwanych kartkach z korespondencyi ściśle prywatnej i wcale dla szerszej publiczności nie przeznaczonej, ograniczamy dziś odgłosy z dalekiej Japonii. Jeśli jednak czytelnicy nasi z zajęciem je przeczytają, dostarczymy im może wkrótce nie mniej ciekawych szczegółów z wycieczki do Pekingu tem samem skreślonych piórem, i z tego samego przychylnego nam zaczerpniętych źródła.

M.

MARCHIA BRANDENBURSKA ZA ASKAŃCZYKÓW

zarodkiem monarchii pruskiej.

Mirabeau, zwiedzając jako wysłannik polityczny przed przeszło stu laty Berlin, wyrzekł, przypatrzywszy się charakterowi państwa pruskiego: *La guerre est l'industrie nationale de la Prusse.* Wielu uznawszy słuszność tego powiedzenia, chciałoby, mianowicie dzisiaj, dowiedzieć się czegoś bliższego o początkach kreacyi, zwanej państwem pruskiem, aby módz zrozumieć dokładnie jej historyę i jej ducha. Ku temu niechaj choć w części posłuży szkic niniejszy, oparty na źródłach pierwszorzędnych [1]. Zbadamy najprzód początki monarchii brandenburskiej, jej stosunki do cesarstwa niemieckiego i jej zdobycze ziem słowiańskich; przypatrzymy się dalej charakterowi władzy margrafowskiej, ludności marchijskiej, stanom marchijskim, potem administracyi początkowej i przemianie jej w biegu czasów; zestawimy wreszcie w kilku słowach dążność i czyny margrafów brandenburskich dynastyi Askańskiej i dynastyi Hohenzollerów, którzy książętami Prus, a potem królami pruskimi zostali.

I.

Początki Marchii brandenburskiej. — Jej wzrost pod margrafami z domu Askańskiego.

Kiedy Karol W. wojował z Słowianami nad Elbą, wielką mu była pomocą niezgoda plemion słowiańskich, Obotrytów, Wilków

[1] *Riedel.* Mark Brandenburg, 2 t. i Codex diplomat. Brandenburgensis. *Kühns* Gesch. der Gerichtsverfassung der Mark Brand. *Landbuch* der Mark Brand. *Hejnemann.* Albrecht d. Bär. *Sachsenspiegel. Droysen.* Gesch. d. preuss. Politik. *Raumer* Regesta. *Ranke. Lavisse.* Études sur l'histoire de Prusse i Études sur la Marche de Brand. i t. d.

i Serbów nadelbiańskich. Odnosił on zwycięstwa nad jednymi przy pomocy drugich, wszelako nie stało mu czasu na nawrócenie ich do chrześcijaństwa.

Szczupłe wiadomości, jakie mamy o tych plemionach, pochodzą od Niemców. Kronikarze niemieccy wychwalają Słowian gościnność, odwagę, ruchliwość i zamiłowanie swobody, zarzucają im jednak usposobienie anarchiczne, okrucieństwo i wiarołomstwo względem Niemców. Ostatni ten zarzut możnaby prawdziwiej zastosować do ich wrogów. Kroniki bowiem ówczesne, aczkolwiek przez Niemców pisane, przepełnione są opowiadaniami o okrucieństwach, wiarołomstwach i zbrodniach Niemców względem Słowian.

Karol W. ustanowił był od strony Słowian opola wojskowe, zwane marchiami, przedewszystkiem zaś dwie znaczniejsze: turingską przeciw Serbom i saską przeciw Obotrytom; inne trzy mniejsze działać miały przeciw Wilkom. Tymczasem za następców Karola W. marchie te wszystkie słabem bardzo oddychały życiem i dopiero cesarze z dynastyi saskiej podjęli powtórnie na wielkie rozmiary walkę przeciw Słowianom. Margrafowie Gero i Billing, a szczególniej pierwszy, rozciągnęli zdobycze swe aż po Odrę i Wartę. Gero podzielił kraje zdobyte na obwody, pagi, i pozakładał liczne w nich kościoły i klasztory, nad którymi otrzymała zwierzchnictwo metropolia magdeburska. Po śmierci Gerona podzielił cesarz kraj przezeń administrowany na sześć marchij, z których powstały później trzy większe: *łużycka, miśnieńska* i *północna.*

Dzieje owej *Marchii północnej* smutne są i nie widać najmniejszej oznaki, zwiastującej rolę, jaką odegra za dynastyi Askańczyków. Przez lat 170, od 965—1135 r., nie potrafili margrafowie marchii północnej zaszczepić na prawej stronie Elby chrześcijaństwa, ani utwierdzić panowania swego. Wilcy i Obotryci bezustannie zapuszczali zagony swe na lewą stronę Elby, korzystając z kłótni książąt niemieckich. Nie łatwo wprowadzić chrześcijaństwo wśród pogan. Tylko prawdziwi apostołowie umieją uniknąć ciemiężenia i okrucieństw, właściwych gorliwości nieroztropnej. Już w wieku IX. zarzucał słynny Alkuin biskupowi salcburskiemu, który jął się nawracania Słowian styryjskich, że nadużywa władzy i zbyt srogo wybiera dziesięciny. Biskup bamberski, Otto, zdziałał wprawdzie wiele w charakterze misyonarza Słowian nadelbiańskich,

ale mu psuły pracę niemal za każdym razem chciwość i okrucieństwa bez granic książąt niemieckich. *Adam Bremeński* (II, 46) opowiada np., że Bernard, książe saski, zmusił Obotrytów przez straszliwe ciemięstwa do znienawidzenia chrześcijaństwa, a *Helmold* (I, 20) pisze, że nie ma większych chciwców jak Sasi, że dzielą się łupami zdobytymi na Słowianach, ale o chrześcijaństwo im nie chodzi, tylko o zwiększenie haraczu. Dawno, kończy kronikarz, byłaby się przyjęła wiara św. w Słowiańszczyźnie, gdyby nie postępowanie Sasów.

Kiedy Albrecht Niedźwiedź z rodu Askańczyków[1] otrzymał inwestyturę na *Marchię północną*, nie sięgała ona jeszcze na prawy brzeg Elby, na lewym zaś rozciągała się tylko na przestrzeni dzisiejszej starej Marchii. W r. 1136 zawarł Albrecht z księciem słowiańskim ziemi brandenburskiej, Przybysławem, układ tego brzmienia: iż po śmierci tego ostatniego, przypadnie Brandenburgia Albrechtowi. Była to ziemia jeszcze słowiańska, ale już pozyskana dla chrześcijaństwa. Jak tylko umarł Przybysław, wkroczył Albrecht do niej i zajął ją, mimo oporu ludności. Ziemię brandenburską po Przybysławie opasywała zaginająca się kolanem rzeka Hawela, nie stanowiła więc ona ani czwartej części Brandenburgii dzisiejszej, Albrecht Niedźwiedź, złączywszy Marchię północną z nowym nabytkiem, nazwał się odtąd *margrafem brandenburskim* (1157) i obrał stolicę w mieście Przybysława, Brandenburgu. Później wypędził wszystkich Słowian z miasta za karę, iż podczas jego nieobecności poparli prawa słowiańskiego księcia Jaksy do spadku po Przybysławie. Wzniósł powtórnie zniszczone biskupstwa hawelberskie i brandenburskie, sprowadził licznych osadników niemieckich i pozakładał miasta (1170). On pierwszy usadowił się więc na prawej stronie Elby i od niego datuje się nowa era zdobywcza przeciw Słowianom. Zwyczajem ówczesnym, podzielił wprawdzie marchię między synów, ale zastrzegł najstarszemu supremacyę. Tytuł margrafów nosić będą wszyscy bracia, ale Marchię, jako taką, reprezentować będzie zawsze gałęź naj-

[1] Ród ten jest gałęzią rodziny Anhalt, wywodzi swe imię od zamku Askania na Wilczej górze pod Achersleben w okręgu magdeburskim. Po wygaśnięciu tego rodu 1315 r., zamek dostał się biskupom Halberstadtu a pokojem westfalskim przeszedł na własność margrabiów brandenburskich. Dzisiaj sterczą ruiny jego.

starsza, rezydująca w Brandenburgu. Margrafowie brandenburscy byli, począwszy od Albrechta Niedźwiedzia, elektorami, brali więc zarówno z innymi elektorami czynny udział w sprawach cesarstwa, wszelako nie wiązali się stale z żadną stroną a stawali zwykle po tej, która im najwięcej dawała łatwości w urzeczywistnianiu zdobywczych na kraje Słowian zamiarów. Askańczykowie byli ambitni i aż trzech z nich starało się o pozyskanie korony cesarskiej. Zdobycze na Słowianach miały im dać siłę, podstawę do zdobycia coraz większego wpływu w Niemczech. Dopóki cesarze mieli w ręku dość sił, aby zmusić książąt do uznania swego zwierzchnictwa, dopóty i wszelka zdobycz ziem zaelbiańskich była zdobyczą raczej cesarstwa, aniżeli Brandenburgii, ale gdy osłabienie władzy cesarskiej coraz większe przybierało rozmiary, pracował każdy książe niemiecki na swoją rękę i dla siebie. Przedewszystkiem mogli tak czynić margrafowie brandenburscy. Zdobycze nieustanne krajów słowiańskich, nadały Marchii brandenburskiej charakter kreacyi zupełnie nowej, mającej instytucye swe odrębne i zadanie sobie właściwe. Marchia rosła, podczas gdy cesarstwo trapiły klęski i wycieńczała anarchia. Panowanie szczęśliwe takich margrafów, jak Ottona i Jana z domu askańskiego, przypadało właśnie na czasy upadku władzy cesarskiej, na czasy wielkiego bezkrólewia. Upadli byli książęta sascy, którzy wielką stanowili zawadę dla margrafów brandenburskich, dążąc tak samo jak oni do rozszerzenia dzierżaw swych w krajach słowiańskich. Pretensyom Brandenburczyków do księstwa saskiego staną przecież i arcybiskupi magdeburscy na przeszkodzie. Zajmą oni bowiem, między innemi ziemiami i ziemię Introbohską na prawej stronie Elby. Walki Brandenburgii z arcybiskupami, zawieszone w r. 1245, wybuchną powtównie i nie ustaną na dłuższy czas, aż dopiero, gdy jeden z brandenburskich Askańczyków osiągnie godność arcybiskupa magdeburskiego (1283 r.). Potem znów waśnić się zaczną. Arcybiskupstwo magdeburskie obejmowało oba brzegi Elby, i zawadzało od zachodu margrafom brandenburskim. Wchodząc klinem w kąt, jaki stanowią Elba i Hawela, oddzielało ono starą Marchię od ziemi hawelskiej, t. j. posiadłości dawne margrafów od nowych. Zawadę tę usunie dopiero reformacya, a mianowicie usuną ją margrafowie z domu Hohenzollerów w sposób podobny do tego, jakiego chwycili się byli margrafowie z domu askańskiego, t. j. postarają

się o umieszczenie jednego z członków swego rodu na stolicy arcybiskupiej, która niebawem zlutrzeje.

Charakterystyczne też są stosunki marchii brandenburskiej z marchiami łużycką i miśnieńską, które posiadał bogaty ród Wettinów. Marchie te składały się z Łużyc, Miśnii i Osterlandu; w roku 1247 przybył jeszcze Wettinom w spadku palatynat saski i Turyngia. Nie możemy się rozpisywać o kłótniach i walkach Brandenburgii z Wettinami; stanowią one jeden z epizodów niepocieszonej historyi Niemiec po upadku znaczenia cesarskiego, a grają w nim rolę raz chciwość monarchów niemieckich, drugi raz chciwość feodataryuszów niemieckich. Raz widzimy w posiadaniu palatynatu saskiego i margrafstwa landsberskiego margrafów brandenburskich, którym sprzedał te ziemie ojciec, ze szkodą synów; drugi raz w posiadaniu marchii łużyckiej, sprzedanej im, mimo uprzedniej sprzedaży arcybiskupom magdeburskim; nareszcie widzimy ich w posiadaniu i marchii miśnieńskiej, sprzedanej przez króla czeskiego, który ją tylko w zastaw był otrzymał, a więc nie miał prawa rozrządzania nią. Upadek Wettinów był przecież tylko przemijającym objawem; odzyskają oni nietylko swe posiadłości, ale zwiększą je jeszcze spadkiem sasko-wittenberskim w XV. wieku; margrafowie Miśnii i landgrafowie Turyngii staną się książętami Saksonii i elektorami, a w XVI. wieku wielką odegrają rolę.

Mozolniejszemi i powolniejszemi, ale trwalszemi będą losy Brandenburgii. Już w czasach, które dopiero co naszkicowaliśmy, korzystnem nazwać trzeba stanowisko Brandenburgii. Księstwa Wettinów były zlepkiem terytoryalnym, marchia brandenburska odznaczała się jednością zdobywczego pochodzenia. Ma ona przed sobą obszerną widownię działania przeciw małym państwom słowiańskim na wschodzie i na północy, przeciw Pomorzu i Meklemburgii. Księstwo Saskie było zewsząd zamknięte; od północy zamykała je Brandenburgia, od południa Czechy, od wschodu Polska. Ponieważ Serbowie łużyccy z większą zostali podbici łatwością niż Wilcy, nie przedstawiają już marchie łużycka i miśnieńska charakteru pierwotnego marchii, Brandenburgia zatrzymuje natomiast zawsze jeszcze charakter państwa wojskowego. Elektorowie sascy, pierwszorzędnego w Niemczech znaczenia, będą bezustannie czynnymi w sprawach niemieckich, ale bogatych tych panów nie będzie po-

żerała ambicya. Przeciwnie margrafowie brandenburscy; ciągła troska o swe interesa, ciągła żądza wyniesienia się i rozszerzania swych dzierżaw nie dadzą im pokoju. Z wszystkich marchij, jedyna brandenburska przechowa w sobie wojskowego ducha, jaki dał jej początek.

Zdobycze Askańczyków na Słowianach, a mianowicie po prawej stronie Elby, szły żółwim krokiem. Były zrazu mało znaczne i koncentrowały się około ziemi hawelskiej. W roku 1232 należy do margrafów kawał kraju słowiańskiego, który na zachód przylega do Haweli, na północ do marchii ukryjskiej (Ucker-mark), a na wschód do Odry, z wyjątkiem Kistrzyna. Ziemię lubuską, graniczącą z lewym brzegiem Warty poniżej Kistrzyna, zajmują oni w r. 1250; w dziesięć lat potem w r. 1260 pozyskują Kistrzyn. Równocześnie z nabytkami ku wschodowi, posuwają się powoli Brandenburczycy ku północy. Jak po upadku księstwa saskiego, tak i po upadku przewagi Duńczyków obłowiły się margrafy brandenburskie.

W r. 1231 dał im był cesarz Fryderyk II. inwestyturę na Pomorze[1], „które“, jak się wyraził w dokumencie, „już ojciec ich i jego przodkowie posiadali“. Tymczasem przyznane margrafom brandenburskim prawo do Pomorza nie opierało się na żadnym uprzednim dokumencie i tylko przypuścić można, że inwestytura, dana Albrechtowi Niedźwiedziowi na *Marchię północną*, zawierała w sobie zarazem milcząco inwestyturę na wszystkie kraje słowiańskie, jakie się uda zdobyć kiedykolwiek Brandenburczykom. Bądź co bądź, widzimy już w r. 1250 Brandenburgię w posiadaniu ziem pomorskich: Starogrodu, Biesierzycy (Beseritz) i Wustrowa czyli dzisiejszego terytoryum meklembursko-strzelickiego, a dalej i marchii ukryjskiej położonej na wschód od Starogrodu, a zbliżonej już bardzo do morza. Margrafowie brandenburscy rozbili dawną całość Pomorza, a co zaczął oręż, tego dokończy polityka.

Margrafy miały pretensye i do Pomorza polskiego, które był Świętopełk oderwał od Polski w latach 1220—1266, ale pretensyj tych nie opierali na niczem więcej, jak tylko znów na zapewnionych sobie przez cesarza Fryderyka II. prawach do Pomorza, czego do-

[1] *Riedel.* Codex diplomaticus Brandenburgensis, t. II. r. I., §. 2.

wodzi fakt, że występując orężnie w r. 1295, postarali się uprzednio o potwierdzenie nadania fryderykowskiego przez ówczesnego króla Niemiec, Adolfa Nassawskiego.

W przedsięwzięciu swem znaleźli pomocników, ale zarazem i przeciwników, w Krzyżakach, którzy po 50-ciu latach walk, pożóg i okrucieństw, rozpostarli się byli aż po Niemen (1283). Tym sposobem osaczone zostało Pomorze polskie z jednej strony Brandenburgią, z drugiej Zakonem krzyżackim. Niezgody książątek słowiańskich sprowadzały na przemian, raz interwencyę Brandenburgii, drugi raz Krzyżaków. Brandenburczycy, którym książe pomorski Mestwin darował był Gdańsk, uznawszy poprzednio ich nad sobą zwierzchnictwo, zmuszeni zostają przez Polskę do opuszczenia kraju i miasta Gdańska w r. 1272, ale protestują z orężem w ręku, gdy Przemysław, król polski, przybiera tytuł księcia Pomorza. Nim jeszcze przyszło do wojny, zostaje Przemysław z polecenia margrafa brandenburskiego zabity, wszelako następca jego, Łokietek, nie opuszcza sprawy pomorskiej, a ma za sobą książąt tej krainy. Brandeburczycy, korzystając niebawem z położenia trudnego, w jakiem był Łokietek, zajmują powtórnie Gdańsk, a Łokietkowi nie pozostaje nic, jak wezwać pomocy Krzyżaków. Stawili się też oni zaraz, ale wypędziwszy wojsko elektora zajętego intrygami o pozyskanie korony cesarskiej, sami się teraz na Pomorzu polskiem usadowili (1308), rzuciwszy swe załogi do Gdańska, Tczewa i Świéca. Cóż poczną teraz Brandenburczycy? Wytargują choć kilka małych kawałów ziemi pomorskiej, a za zrzeczenie się reszty swych pretensyj otrzymają grubą sumę pieniędzy (1311). W owych zaś kawałach ziemi wystąpią jako zwierzchni panowie; zawrą np. z biskupem poznańskim układ o dziesięciny z ziemi położonej nad Notecią. Wzmiankujemy specyalnie o tym układzie, aby zaznaczyć, że wyzyskają go później królowie pruscy w roku 1772, gdy wystąpią z ekspozycyą praw swych do Pomorza polskiego [1]. Chociaż nie powiodło się margrafom z domu askańskiego zajęcie Pomorza polskiego, chociaż pomyślny skutek nie uwieńczył ich zatargów z księstwem meklemburskiem, to jednak okazali się w obu sprawach wytrwałymi i ambitnymi, dowiedli, że dążą do jasno wytkniętych ce-

[1] *Exposé* ogłoszone w Berlinie r. 1772 przez ministra Herzberga.

lów i nie spuszczają ich nigdy z oczu. Granice Marchii rozprzestrzenili znacznie; zdobyli ziemię hawelską, Przegnicę, Teltów, Barnim, ziemię lubuską, a za Odrą prawy brzeg Noteci; przez marchię ukryjską zbliżyli się do Baltyku i zwierzchniczą nad częścią Pomorza dzierżyli władzę. Od południa zaś zyskali z lewej strony Elby część Miśnii, z prawej część górnych Łużyc.

Tak zastał Brandenburgię w. XIV., na początek którego przypada wygaśnięcie całego rodu Askańczyków. Gdy zaś nikogo nie było, któryby miał niezaprzeczone prawo do całego spadku marchijskiego, poczęły się wojny różnych mniej lub więcej uprawnionych spadkobierców, które groziły ostatecznem rozbiciem Marchii. Wśród tych niesnasek cesarz Ludwik bawarski nadaje synowi swemu lenno Marchii (1323), ale dom bawarski rządzi Marchią tylko lat 50, poczem dostaje się ona w dom luksemburski, bezpośrednio poprzedzający przyjście do rządów marchijskich rodu frankońskiego Hohenzollerów w r. 1415.

II.

Władza margrafa. — Ludność Marchii. — Germanizacya.

Hohenzollery zastali w Marchii inne jeszcze tradycye prócz tradycyj zdobywczych, zastali początki wyjątkowych instytucyj, które rozwijały się powoli, a które dziś jeszcze widne w łonie państwa pruskiego.

Historya dynastyi askańskiej pokazuje, że Marchia stanowiła w łonie cesarstwa niemieckiego ustrój odrębny od reszty Niemiec. Wynikało to z natury rzeczy. Margrafowie sadowiąc się nad Elbą, i przekraczając ją, wchodzili w kraj nieprzyjacielski, będący wielką równiną, musieli przeto powziąść myśl ustroju państwowego, zorganizowanego zaczepnie, ustroju, którego naczelnicy pozostawać winni w mniejszej, niż książęta inni, zależności od cesarza, a dzierżyć zarazem większą nad poddaną sobie ludnością władzę, niż którykolwiek z książąt niemieckich. Zapatrywanie to podzielali cesarze i uznawali lennicy marchijscy, a chociaż ono nigdzie nie jest w pismo ujęte, przegląda zewsząd.

Dokumentów, wyłuszczających zakres urzędu margrafa, braknie, ale istnieją od najdawniejszych czasów ślady, wskazujące na to, że

margrafowie nietylko dzierżyli władzę wojskową, ale i sądową. O margrafie Geronie milczą wprawdzie dokumenta, ale to co mówią o innych marchiach, można przez analogię zastosować i do marchii Gerona. *Helmold*[1] wspomina o Adolfie grafie holsztyńskim, że zarządzał jako graf kilku marchiami słowiańskiemi i sprawiedliwość w nich wymierzał. O charakterze sądownictwa tego nic nie mówi kronikarz, tyle przecież jest pewnem, że naczelnik marchii, chociaż tylko graf, dzierżył jurysdykcyę sądową.. Dzierżył ją więc i Geron w swej Marchii już wtenczas, gdy był tylko grafem. Gdy zaś w r. 941 wyniesiony został na margrafa, zmienić się musiało i stanowisko jego sądownicze wedle wymagań, leżących w naturze rzeczy. Wyniesienie grafa na margrafa miało nietylko znaczenie wojskowe, znaczenie samodzielniejszego dowództwa, ale i znaczenie samodzielniejszej jurysdykcyi. Zadaniem margrafów było nietylko wojować z nieprzyjacielem, ale i organizować kraj, stosownie do danych okoliczności. Graf był delegatem króla, czy cesarza w pewnej ściśle określonej okolicy, kraj margrafa nie miał stałych granic, nie powinien nawet był ich mieć, bo jego celem było rozszerzanie granic. Graf był sędzią wszelkich spraw cywilnych i kryminalnych, ale sądzić musiał osobiście, nie mógł delegacyi swej w inne oddawać ręce, albowiem prawo sądzenia w imieniu króla, nie mogło, wedle ówczesnego prawa[2], przechodzić w czwarte ręce. Król był pierwszą ręką, książę drugą, graf trzecią. Margraf stanowił wyjątek z tego prawa, które miało widocznie na celu zapobieżenie nadużyciom, wynikającym z przekazywania w coraz dalsze ręce władzy sądowniczej. Margraf nie był w stanie sądzić osobiście spraw na obszernem swem terytoryum, wystawionem nadto na bezustanne napady i wojny, zamieszkałem przez dwa nienawidzące się szczepy, przekazywał więc prawo sądzenia, nie wyjmując nawet sądzenia na gardło, swym lennikom, którzy często przekazywali je znów w dalsze ręce. Z tego wnosić należy, że margrafa różniła *a priori* od książąt i grafów, wyjątkowość prawno-polityczna. Dokumenta dotyczące, lubo nieliczne, (z lat 1188 i 1190) stwierdzają to[3], stwierdzają mianowicie, że margrafowie brandenbursey samodzielnie rządy

[1] *Chronicon Slavorum*, II., 593.
[2] *Sachsenspiegel*.
[3] *Riedel* Cod. diplomat. Brandenb. I. V. s. 21 i I. s. 123.

sprawowali. Że i samodzielnie sądzili, pouczają ustępy z prawa ówczesnego, które opiewają (w pierwszej połowie wieku XIII.), że margraf sądzi na mocy hołdu, złożonego sobie, a nie królowi[1]. Badacze stosunków ówczesnych różnie tłumaczą ten przywilej margrafów, my w te różnice wdawać się nie potrzebujemy; to wszakże jest rzeczą pewną, że margrafa uważać nie można za suwerennego pana, mimo że miał tak wielki przywilej. Rządził on li na mocy inwestytury królewskiej[2] i nigdy nie wyłamywał się z pod władzy zwierzchniczej cesarza, któremu hołd składał. Właśnie w czasach, gdy margrafowie brandenburscy najwięcej słowiańskich zdobywali krajów, a więc za Gerona i Albrechta Niedźwiedzia, nie było mowy o żadnem samoistnem prawie margrafów nad zdobytymi krajami. Istnieje aż 15 dokumentów cesarskich, począwszy od cesarza Ottona, aż do Henryka VI., z których się pokazuje, że margrafowie szukali wprawdzie przyzwolenia cesarzy na swoje dyspozycye nad dochodami i terytoryami Marchii, ale że i sami cesarze dowolnie rozrządzali takowemi, pomijając zupełnie margrafów[3]. Istnieją także dokumenta, które stwierdzają, że margrafowie rozporządzali samodzielnie dochodami i terytoryami[4], ale ztąd ten tylko wyprowadzić można wniosek, że i cesarze i margrafowie rozrządzać mogli terytoryami marchijskiemi. Jakże przecież w takim razie wytłumaczyć fakt, że i cesarze i margrafowie występowali w roli suwerenów? Tłumaczono to w ten sposób, że margrafy były na lewej stronie Elby lennikami tylko, na prawej zaś zdobywcami z prawem niezależności; wszelako ponieważ dokumenta, o których istnieniu dopiero co wspomnieliśmy, wykazują, że cesarze w całej Marchii Brandeburskiej czynności suwerenów wykonywali, tłumaczenie owo ostać się może tylko o tyle, że margrafowie sądzili na lewym brzegu Elby w imieniu króla, na prawym zaś w imieniu swojem, a to w skutek

---

[1] *Kühns* Geschichte des Gerichtsverfassung der Mark Brandenburg t. I. s. 43 „Die Marcgreve", sagt der Sachsenspiegel III. 65 §. 1, „dinget di sines selves hulden over ses weken".

[2] *Riedel* Mark Brandenburg t. I. s. 10.

[3] *Riedel* Cod. dipl. Brandenb. I. VIII. s. 90, 91, 92, 99. XIII. s. 312. XI. s. 153, IX. 474, oraz *Regesta Brandenburg:* Rassmera Nr. 382, 405, 1291, 1411, 1455.

[4] *Riedel* Cod. dipl. Brand. I. II. s. 440, 441. VII. s. 468. VIII. s. 106. 115, 116. X. s. 182, 185.

istnienia różnych instytucyj tam i tu. Na lewym brzegu Elby istniały bowiem te same urządzenia, co w reszcie Niemiec, na prawym natomiast urządzenia, charakteryzujące specyalnie Marchię zdobywczą. Nie był margraf suwerenem na prawej stronie Elby, ale wyjątkowe okoliczności, w jakich się tam rozszerzała Marchia, wytworzyły dla władzy margrafowskiej wyjątkowe prawo. Nie potrzebowali margrafowie wyrzekać się węzła, łączącego ich z całością Niemiec, chociaż zamienili się, pod naciskiem okoliczności w najwyższych sędziów krainy po prawej stronie Elby. Dokumenta z XIII-go wieku nie mówią już nic o wykonywaniu czynności suwerennych przez cesarzy. Władza króla niemieckiego znikała w Marchii szybciej i łatwiej, niż w innych terytoryach niemieckich, margrafowie brandenburscy nie potrzebowali domagać się osobnych tytułów prawnych, ani przywłaszczać ich sobie. Oni skutkiem przysługujących sobie, jako zdobywcom, przywilejów, doszli do tego, że wolno im było wykonywać najwyższe prawo jurysdykcyi w własnem imieniu. Margraf mianował delegatów, którym przekazywał władzę swą sądowniczą, odbierał od nich przysięgę, lub odbierać kazał w swem imieniu. Prawo królewskie ustanawiania obwodów jurysdykcyjnych jemu przysługiwało, albowiem zachodziła częsta potrzeba bądź zmiany obwodu, którego stolicę zajęli Słowianie, bądź utworzenia nowego obwodu na świeżo zdobytej ziemi. Margraf musiał ciągle zaprowadzać reformy, a przy ich zaprowadzaniu nie mógł czekać i nie czekał też na przyzwolenie króla. Przez sam fakt ustanowienia urzędu margrafowskiego ustępował cesarz swych praw wykonywania bezpośredniej jurysdykcyi nad marchijskimi lennikami margrafom, ale z tytułu cesarza, reprezentować nie przestawał jurysdykcyi wyższej, aniżeli nią była margrafowska.

Rozpisaliśmy się nieco dłużej nad władzą margrafa, bo w jej charakterze leży właśnie oryginalność Marchii, bo ten charakter właśnie wyrobił jedyną w swoim rodzaju tradycyę, która wpłynęła tak skutecznie na późniejsze losy Brandenburgii i związanych z nią innych krajów, dzierżonych przez Hohenzollerów.

Ponieważ margrafowie, zdobywając kraje słowiańskie, zdobywali je przy pomocy lenników i najemnego żołnierza, przeto były te zdobycze przedsięwzięciem ich osobistem; margrafowie byli z zastrzeżeniem zwierzchnictwa cesarza, jedynymi właścicielami zdoby-

tych ziem. Okoliczności ówczesne pozwalały im rozrządzać dowolnie terytoryami, sadowili więc na nich lenników swych i poddanych. Już za straszliwego Gerona ubyło, nawet po lewej stronie Elby, dużo ludności, historya bowiem przekazała nam w przeciągu lat 27 aż 7 powstań słowiańskich, które Geron mieczem i ogniem przytłumiał, (936—963). Za czasów zaś Albrechta Niedźwiedzia wyludnione już niemal były wiejskie siedziby. Większa część wsi, wymienionych w dokumentach wieku X., znikła w XII. wieku. Bezustannie na prawej stronie Elby trwające wojny ogołociły także kraj z ludności, mianowicie w pobliżu rzeki. Dalej ku wschodowi zaludnioną być musiała gęsto ziemia słowiańska, zważywszy, że Słowianie niepokoili ciągle Niemców, bądź napadając na nich licznemi drużynami, bądź opierając się ich najazdom z niemałą siłą. Istnieje dokument, w którym cesarz potwierdzając kościołowi w Hawelbergu posiadłości jego i przywileje, powiada: „że ponieważ wymienione miasteczka i wsie nietylko wyniszczone, ale i wyludnione zostały napadami pogan, wolno jest biskupowi sprowadzać jakich chce i jakich dostać może osadników“ [1]. Naturalnie, że biskup postarał się o osadników Niemców. W ogóle chodziło o to margrafom, aby wprowadzać jak najwięcej instytucyj niemieckich do kraju, przetwarzać z gruntu urządzenia słowiańskie. Przybywali tedy osadnicy z kraju saskiego, z nad Renu i Holandyi. W ziemi hawelskiej była już za Przybysława ludność mięszana, z chwilą zaś zajęcia kraiku Przybysława, nasprowadzał Albrecht Niedźwiedź całe zastępy niemieckich osadników. W XII. wieku zamieszkiwali już w znaczniejszej części Niemcy ziemię hawelską. Tak samo rzecz się miała z Przegnicą. Do innych części Marchii, do marchii Ukryjskiej (Uckermark) i do ziemi lubuskiej sprowadzono później dopiero większą ilość osadników niemieckich. Albrecht Niedźwiedź podbiwszy plemiona słowiańskie i przetrzebiwszy je znacznie, sprowadził na ich miejsce wielką ilość Holendrów i Flamandczyków i osadził po miasteczkach i grodach[2]. Wkrótce potem, pisze *Helmold*, urosły dziesięciny, należne biskupom Hawelbergu i Brandenburga i nowe wzniosły się kościoły. Rzemieślnicy zamieszkali miasta, rolnicy usadowili się albo po wsiach

[1] *Riedel.* Mark Brandenburg T. II. str. 40.
[2] *Helmold* I. pisze: „deficientibus sensim Slavis“.

opuszczonych i mało zaludnionych, albo nowe zakładali siedziby, karczując puszcze i osuszając bagniste obszary [1].

Jakiż tymczasem los spotkał dawnych mieszkańców ziem, które zajęli i dzielili między siebie Niemcy? Warto się nad tem pytaniem zastanowić; odpowiedzieć na nie, co to za wyborny komentarz świeżego rozporządzenia pruskiego rządu, które skazuje 30000 polskich osadników na pograniczu rosyjskiem na wydalenie, jedynie dlatego, że żywioł niemiecki w tych tam stronach od lat 20 poczyna upadać. *Nil novi sub sole.* Istnieje wprawdzie kilka dokumentów, że niektóre znaczniejsze rody słowiańskie otrzymały lenna od margrafów, że istnieli i chłopi słowiańscy z wolnością osobistą [2], oraz mieszczanin jeden i drugi, piastujący urząd miejski; natomiast wiemy z *Helmolda*, że, jak to zaznaczyliśmy wyżej, wypędził Albrecht Niedźwiedź, po nieudanym zamachu Jaksy na Brandenburg i ziemię hawelską, wszystkich Słowian z miast i wsi, i oddał je Niemcom [3]. Podanie to Helmolda potwierdzają dwa fakta, raz, że w ziemi hawelskiej czasem tylko jeszcze wzmiankują dokumenta o chłopach słowiańskich, powtóre, że *mansi*, tj. łany, daleko większe były w ziemi hawelskiej, aniżeli np. w ziemi teltowskiej i barnimskiej, zamieszkałej jeszcze licznie przez Słowian, których łany tradycyjnie były małe i dlatego zwano je w przeciwstawieniu do niemieckich, *mansi minores* [4].

Mamy przed sobą cztery dokumenta, które mówią o wypędzeniu Słowian. Biskup Henryk wspomina w nadaniu swem o wsi dawnej słowiańskiej Raghosine, której mieszkańców wydalił [5]. Arcyb. magdeburski odstępuje dziesięciny z Klecza jakiemuś księdzu, który nabył tę wieś, wypędziwszy z niej niewiernych Słowian, a usadowiwszy w niej osadników chrześcijańskich. Inny ksiądz, Arnold, oświadcza, że chcąc majątek kościelny ulepszyć, sprzedaje dwie wsie dotąd przez Słowian zamieszkałe, Flamandczykom [6]. Biskup hal-

---

[1] *Riedel* Mark Brand. T. II., str. 53, 54 i 38.

[2] *Riedel.* Mark Brand. T. II str. 16.

[3] Et Slavi protriti atque propulsi sunt (cap. 88).

[4] *Landbuch der Mark Brandenburg*, sporządzony z rozkazu cesarza Karola IV. *Mansus* niem. wynosił 12 morgów większych.

[5] *Gercken* Cod. dipl. Brand. T. II. str. 415.

[6] *Heinemann* Albrecht d. Bär. str. 467 i 468.

bersztadzki, Otto, rozporządzając względem dziesięcin parafii, zamieszkałej przez Słowian i Niemców, przewiduje, że Słowianie opuszczą uprawiane przez siebie ziemie *necessitate quadam cogente* i zastąpieni zostaną Sasami. W czemże ta konieczność leżeć mogła, pytać się godzi? Otóż zapewne w tem, że za przyjściem spodziewanych osadników Niemców, wydalić się będą musieli chłopi słowiańscy. Czy za wynagrodzeniem, czy bez wynagrodzenia wydalano Słowian, o tem nie wspominają dokumenta, trudno wszelako przypuścić, aby proste wypędzanie z siedzib, stanowiło jedyny środek przeciw słowiańskiej ludności. Przeistaczanie wsi, to był zapewne główny środek, a odbywało się ono równocześnie w różnych stronach Marchii. Ponieważ we wszystkich niemal wsiach, nawet w tych, które dokumenta mianują wendyjskiemi lub *slavicales*, tj. słowiańskiemi, znajdujemy sołtysów lennych jako naczelników gmin, a większą część wsi tych przechrzczono już za Karola IV. po niemiecku, przeto wnosić musimy, że wiele bardzo wsi, pierwotnie po słowiańsku urządzonych i przez Słowian zamieszkałych, otrzymało urządzenia niemieckie i nazwę niemiecką, a przynajmniej zniemczoną. Jak gdzieindziej, tak i w Marchii nosiły miasta takie, jak Salzwedel, Werben, a zarazem i mnogie wsie, jeszcze w w. XIII., dwie nazwy, słowiańską i niemiecką [1]. Podwójna zaś ta nazwa zdaje się wskazywać, że Słowianie nie zostali jeszcze w w. XIII. zabsorbowani w tych miastach i wsiach, podczas gdy absorbcya już była nastąpiła w miastach i wsiach, tylko niemieckie noszących miano.

Podług wszelkiego prawdopodobieństwa uskuteczniali margrafowie przemianę wsi słowiańskich, pisze *Riedel*, tym sposobem, że mianowali w nich sołtysami Niemców, że, dalej, mięszali między chłopów słowiańskich, chłopów niemieckich. Jeśli np. we wsi Kocin (Kotzin) były dwojakie łany, niemieckie i słowiańskie [2], to niezawodnie na pierwszych siedzieli Niemcy, a na drugich Słowianie i to w skutek przemiany dawnej organizacyi wiejskiej, przez mianowanie sołtysem Niemca, o którym dokument wyraźnie wspomina. Wiele też zapewne wsi słowiańskich rozdzielono, jak to wska-

[1] *Riedel*. Mark Brand. T. I. powiada, że Salzwedel zwało się po słowiańsku Losdy, Werben Werbno, Marienburg Kobylice, Reinelsdorf Płużyczyn i t. d.

[2] *Landbuch* der M. Brand. s. 126.

zują np.: akt grafa Alberta Altenhausen, który z wsi słowiańskiej, nazwanej przez niego Moeringe, odłącza 12 łanów i na nich pobudować się pozwala osobno słowiańskim mieszkańcom za opłatą czynszu [1], oraz akt biskupa hawelberskiego, który zakłada, nawet jeszcze w XIII. wieku wieś Nowy Gumbow i obsadza Słowianami, odjąwszy staremu Gumbowowi, zamieszkałemu także przez Słowian, 12 łanów [2].

Braknie zupełnie dokumentów, któreby wykazywały sposób przeistaczania wsi słowiańskich na niemieckie w Marchii brandenburskiej. Że przeistaczanie to miało miejsce na całej przestrzeni władztwa margrafowskiego, na to zgadzają się wszyscy badacze. Zważywszy, że środki używane do niemczenia krajów słowiańskich, były takie same na terytoryum arcybiskupstwa magdeburgskiego, co w księstwie saskiem, i co mianowicie na Szląsku, wnioskować śmiało można, że nie były one innymi i w Brandenburgii. Że zaś istnieją liczne dokumenta, dotyczące mianowicie sposobu niemczenia Szląska, więc potrzebujemy tylko do nich zaglądnąć. Otóż na Szląsku biskupi, opaci, proboszcze, rycerze, sprzedawali terytoryum przyległe wsi słowiańskiej, osadnikowi niemieckiemu z warunkiem, że je odprzeda pojedyńczemi częściami Niemcom. Gdy się osadnicy już pobudowali, łączono nową osadę z dawną i poddawano ją zarządowi sołtysa Niemca, wedle prawa magdeburgskiego [3].

Jakie skutki miała, szczególniej w Marchii, ta spółka Słowian z Niemcami, nie trudno się domyślić! Walka była długą i zaciętą. Ile tam ze strony zwycięskiej dopuszczono się krzywd i pogardy, jaką tam strona upośledzona pałać musiała nienawiścią! Zwycięzcy przezywali Słowian psami [4], jak Słowianie przezywali Niemców, o tem nie mamy wprawdzie śladów, ale nie szczędzili im zapewne także podobnych wyzwisk. W mieście Stendal istniała jeszcze w XV. wieku ulica słowiańska, którą uważali Niemcy na równi z żydowską. Majstrowie niemieccy zwykli byli żądać dowodów od czeladników, że nie są Słowianami, Słowianie zaś gardzili mięsem zwierząt, zabitych przez niemieckich rzeźników. Jeszcze w XVI. wieku znaczył

[1] *Riedel* Mark Brand. T. I. str. 147.
[2] *Riedel* M. Brand. T. II. str. 198.
[3] *Wollbrück* Gesch. d. Bisth. Lebus. I. str. 201.
[4] *Regesta* Raumera, s. 61.

w języku urzędowym Słowianin to samo, co nędznik [1]. Jak już nadmieniliśmy wyżej, nosiły jeszcze w XIII. wieku mnogie miasta i wsie dwojaką nazwę, słowiańską i niemiecką. W końcu w. XIV. zaczynają już znikać nazwy słowiańskie, co znaczy, że zwyciężył już żywioł niemiecki [2]. Niemożliwem jest śledzić krok za krokiem, jak znikała stopniowo słowiańska ludność, ale wnioskować można z wszelkiem prawdopodobieństwem, bacząc na ducha przewodniczącego Niemcom, że mieszkańcy rodu słowiańskiego spadali coraz bardziej na stanowisko poślednie, lub też chronili się do nędznych wiosek, które leżały nad brzegami rzek w bliskości miast, jak np. Kolbia pod Tangermünde, gdzie żadnej nie posiadali ziemi i żyli tylko z rybołowstwa [3], z którego dostarczali na stół margrafa dwa razy do roku po 15 ryb z rodzaju minogów. Wioski te zwano *villae slavicales*. Leżały one zwykle na prawej stronie Elby. Nie osiedlili się tam zapewne Słowianie z gustu do ryb i z przyjemności, jakie im sprawiało rybołowstwo, chociaż zkądinąd wiadomo [4], że istniały od dawien dawna rybackie osady słowiańskie pod Brandenburgiem, Szpandawą, Poczdamem, Radzynowem, Kopanicą (Koepnitz), Kistrzynem, Lubuszem i t. d.

Chociażby zresztą i żadne nie istniały dokumenta, przekonywujące o bezwzględnem szerzeniu niemczyzny w Marchii, twierdzić się godzi, że procedura zdobywców strasznie twardą była. Czyż zachowało się bowiem jakiekolwiek w Brandeburgii o dawnej Słowiańszczyźnie wspomnienie? Język słowiański znikł już wcześnie; zwyciężeni musieli sobie przyswoić język zwycięzców. Prawo saskie i prawo holenderskie rozeszło się po całej marchii, prawa zwyczajowego słowiańskiego ani śladu odnaleść nie można. I duchowieństwo bowiem zacierało, jak mogło, zwyczaje i obyczaje Słowian. Napotkasz dziś w Brandenburgii legendy o Wodanie wśród ludu, o Światowidzie nic a nic tam sobie nie opowiadają.

Dwóch więc używali Niemcy bezpośrednich sposobów przeciw Słowianom. Wypędzali ich i mięszali Niemców z nimi. To mięszanie

---

[1] *Droysen.* Geschichte der preussischen Politik, t. I. s. 43, „unehrliche und wendische Leute".

[2] *Riedel* M. Brand, s. 196.

[3] *Landbuch*, s. 250.

[4] *Landbuch*, s. 201.

stanie się i za Fryderyka W. walnym środkiem niemczenia. Nazwie on je *meliren*, a celem jego cywilizowanie polskich „Irokezów".

Trzecią metodą pośrednią, przeistaczającą kraje słowiańskie, było osadzanie Niemców w miejscach niezamieszkałych przez Słowian. Trzymano się tu tej metody. Margraf sprzedawał pewną ilość łanów przedsiębiorcy niemieckiemu, z warunkiem ich częściowej odprzedaży innym Niemcom. Gdy wieś się pobudowała, przedsiębiorca zostawał jej sołtysem, o którego władzy i przywilejach powiem niżej, a margraf uwalniał taką „nowinę" (cultum novale) na lat 16 do 20 od danin i podatków, zwłaszcza gdy nowi osadnicy chcąc zyskać grunt urodzajny, musieli osuszać bagna lub karczować lasy. W podobny sposób powstawały miasta, wywołane przeważnie potrzebą wojenną. Margraf sprzedawał jednemu lub kilku przedsiębiorcom obszar ziemi w pobliżu kilku wsi, wynoszący 150—300 łanów i wyznaczał jednego z przedsiębiorców na naczelnika, sołtysem miejskim nazwanego. Ten starał się o sprowadzenie osadników, otaczał miasto wałem i szerokim rowem, napełnionym wodą. Wznoszono potem ratusz, kościół i inne publiczne budynki, a mieszczanie budowali sobie domy w XII. i XIII. wieku zwykle drewniane, później murowane. Dokument erekcyjny miasta klasyfikował rolę na pastwiska i grunta orne, celem stosownego upodatkowania. Tym sposobem pustkowia i puszcze Marchii porastały we wsie i miasta, ale zapełniały się ludnością wyłącznie niemiecką; żywioł słowiański wypierany z dawnych sadyb, wzbroniony miał wstęp do osad nowych; topniał więc i niknął powoli. (Dok. nast.)

Ludwik Żychliński.

PRZEGLĄD PIŚMIENNICTWA.

Ks. Dr. Pelczar. Prawo małżeńskie katolickie, z uwzględnieniem prawa cywilnego, obowiązującego w Austryi, Prusiech i Królestwie Polskiem. Drugie przejrzane i pomnożone wydanie. — Kraków, 1885, nakładem autora w 8-ce, str. 659 i XCVI. (cena 5 złr.)

Już w zeszycie kwietniowym „Przeglądu“ r. z. była wzmianka o niniejszem dziele, zaznaczająca doniosłą jego wartość. W istocie, każdy uważny i z przedmiotem obeznany czytelnik przyzna, że tak ze względu na zestawienie, jak i obrobienie materyału, na pochwałę ta książka ze wszech miar zasługuje. W innych językach, nie brak dzieł naukowych tej treści; natomiast nikt dotąd nie podjął się był napisania po polsku dzieła o prawie małżeńskiem katolickiem, któreby zawierało wszystkie dla polskiego duchowieństwa konieczne wiadomości. Ztąd dzieło to zapełniło brak dawno oczekiwany, a mamy nadzieję, że znajdzie się ono w ręku każdego polskiego kapłana, we wszystkich trzech zaborach, choćby już dlatego, że zastąpi mu ono w obcym języku redagowane prace cywilne.

Z zadania, jakiego się podjął, ks. Dr. Pelczar wywiązał się niemniej szczęśliwie jak pracowicie. Treść wyczerpnięta zupełnie, opracowanie sumienne, przedstawienie rzeczy jasne, zwięzłe, dokładne; obok tego odpowiednie, mimo wszelkich trudności, jakie przedstawiało, spolszczenie wyrażeń łacińskich, by oddać subtelne tychże różnice i odcienie. O wielkiej pracowitości autora świadczą liczne cytaty odnośnych dokumentów, i często przytaczane zapatrywania i sądy najznakomitszych przedstawicieli teologii moralnej i prawa kanonicznego. Z wykładem rzeczy teoretycznym łączą się jak najściślej praktyczne wnioski i wskazówki, tak, że ogólnie sąd nasz

w tych słowach streścić możemy: literatura teologiczna została wzbogacona dziełem, które w niej, pokąd sięga mowa polska, zajmuje poczesne miejsce.

Przechodząc od całości do poszczególnych części dzieła, musimy zaraz podnieść rozdział pierwszy, który nam daje jasne określenie istoty małżeństwa: bez niej oczywiście ustawy kościelne lub cywilne, nie przestawią się nam w właściwem świetle, a grozi niebezpieczeństwo postawienia ustaw państwowych na równi z kościelnemi. Postawiwszy definicyę małżeństwa chrześcijańskiego, dowodzi autor jej historycznej ścisłości i przymiotów małżeństwa, które z niej wynikają. Od Boga ustanowione, i jako boska instytucya przez żydów wszystkich czasów uważane, traciło małżeństwo coraz bardziej w skutek namiętności ludzkich, na powadze i ścisłości. Chrystus dopiero przywrócił zacność związkowi małżeńskiemu, więcej nawet, gdyż prostą umowę religijną, podniósł do świętości sakramentu, tak, że małżeńska umowa i sakrament małżeństwa, nie są to dwie rzeczy odrębne i rozłączyć się dające, lecz, że umowa małżeńska, aby była ważną, musi być sakramentem, a staje się nieważną, jeżeli jej nie dostaje istoty sakramentu. Przez to zaznaczył autor chrześcijańskie stanowisko swego dzieła.

Skoro zatem małżeństwo jest sakramentem, wypada odpowiedzieć na pytanie ztąd wynikające: kto sakramentu tego jest ministrem, co materyę jego stanowi, jaka jego forma zewnętrzna? (§. 4). Tych pytań Kościół nieomylny dotąd nie rozstrzygnął. Autor przechyla się do zdania, które na pierwszy rzut oka zdaje się mniej zgodne z zajętem przez niego stanowiskiem, które jednak opiera się na św. Tomaszu, na scholastyce, a dzisiaj przeważnie, niemal wyłącznie w teologii jest przyjęte. Ks. Pelczar stanowczo twierdzi, iż w małżeństwie strony, t. j. małżonkowie są b e z w ą t p i e n i a ministrem sakramentu, a zatem umowa małżeńska jest tu materyą i formą: m a t e r y ą, o ile jedna strona władzę nad swem ciałem oddaje stronie przeciwnej, co się uskutecznia słowami lub odpowiedniemi im znakami, — f o r m ę zaś stanowi, tymże sposobem wyrażone, przyjęcie tego oddania. Dowody, które autor przytacza, są zaczerpnięte z najwiarogodniejszych dokumentów kościelnych.

Dlaczego, możnaby zapytać, porusza autor kwestye, wchodzące w zakres dogmatyki? Już wyżej zaznaczywszy powód, jaki

go do tego zniewala, tu własne jego przytoczymy słowa: „Władza stanowienia przeszkód małżeńskich r o z r y w a j ą c y c h (unieważniających), należy wyłącznie do Kościoła. Naprzeciw dążnościom zarówno religii wrogim, jak społeczeństwu szkodliwym, nie przestaje kościół katolicki bronić praw swoich“. Słusznie więc autor kładzie nacisk na stronę praktyczną i wskazuje tak kapłanom jak wiernym w ogóle granicę, której pod groźbą nieposłuszeństwa Kościołowi, przekroczyć w tym względzie nie mogą.

Nie od rządców tego świata, lecz od samego Chrystusa otrzymał Kościół prawo stanowienia o przeszkodach rozrywających małżeństwo, i przez wszystkie wieki, od Grzegorza V. do soboru trydenckiego, korzystał bez ograniczenia z tego prawa i potępiał uroczyście wszystkich, którzyby takowemu zaprzeczać chcieli. Jeżeli zatem Kościół jedynie ma prawo stanowienia o przeszkodach, to jeszcze tu tylko przysługuje prawo dyspensy, jak to udowadnia autor, opierając się na wywodach rzymskich papieży ze wszystkich czasów (§. 8). Z tego prawa stanowienie przeszkód i dyspenzowanie od nich, wynika jako uzasadniony wniosek, (co także *Syllabus* uroczyście zatwierdza), że i o ważności małżeństwa, jedynie Kościół orzekać może. Lecz czy świeckiej władzy odmówimy wszelkiego udziału w zawieraniu związków małżeńskich? Widzieliśmy, w jakich granicach autor zamknął władzę kościelną; ztąd państwu, a przedewszystkiem państwu katolickiemu, pozostaje to prawo, które w jego wchodzi zakres: „Jako podwalina rodziny i społeczeństwa małżeństwo wywiera znaczny wpływ na stosunki rodzinne, społeczne, a nawet państwowe (str. 35). Urządzać te stosunki, czyli określać cywilne skutki małżeństwa, należy do zakresu władzy świeckiej. Tego też prawa Kościół nie przywłaszcza sobie, acz w wiekach średnich, gdy prawodawstwo świeckie było jeszcze w powiciu, chętnie mu ono powierzano“. Dlatego władze świeckie mogą pewne nawet kary nakładać za nieprzestrzeganie przepisów cywilnych; lecz zupełne unieważnienie na drodze ustaw cywilnych małżeństw, które zostały zawarte z pominięciem ustaw państwych, znaczyłoby stanowienie przeszkód rozrywających, i nieprawne rozstrzyganie kwestyi o istocie małżeństwa. Te wszystkie ustawy prawa cywilnego, które nie wychodzą po za swój zakres, nakazuje Kościół swoim sługom zachowywać i wiernym do zachowywania polecać (§. 9).

Z kolei zaznacza autor stanowisko, jakie zająć należy wobec ślubów cywilnych, z których historyą zapoznaje nas pokrótce (§. 10). Gdzie tylko śluby cywilne zostały zaprowadzone, tam były one wynikiem nieprzyjaźni, nienawiści i prześladowania Kościoła katolickiego. Autor odpowiada tu, z uwzględnieniem przepisów soboru trydenckiego, na najważniejsze, ze ślubami cywilnemi wiążące się pytania.

Następne §. §. 11 i 12 budzą mniej praktycznego interesu, chociaż zawierają niezbędnie dla teologa potrzebne wiadomości. Ważniejszym jest, w toku całego dzieła §. 13, który wyszczególnia rozmaite rodzaje małżeństw, o jakich mówi prawo kanoniczne.

Drugi rozdział traktuje: „O zaręczynach". Chociaż takowych Kościół bezwarunkowo nie nakazuje, lecz tylko je poleca, jednak i one należą przed forum kościelne, jak to autor z licznych orzeczeń Piusa VI. i Piusa IX. udowadnia, i popierając przykładami, wykłada. W obec kwestyj nierozstrzygniętych, przychyla się autor do zdania, za którem nietylko powaga znakomitych imion, ale także dostateczne wnętrzne przemawiają dowody. I tu podnieść musimy znakomity zmysł krytyczny, którym autor wiedziony, skłania się zawsze ku stronie najpewniejszej.

Praktyczne znaczenie ma §. 21: „Obowiązki proboszcza pod względem zaręczyn", niemniej i następne, które o ile przejrzeć byliśmy w stanie, zawierają wyczerpujące zestawienie wszystkich odnośnych przepisów prawnych.

Także w rozdziale IV. „O zapowiedziach", znajdujemy obok dat historycznych i przepisów kościelnych, przepisy prawa cywilnego.

W rozdziale V.: przystępuje autor do ważnej kwestyi „O przeszkodach małżeńskich", i — jak z natury rzeczy wynika, najprzód mówi o przeszkodach unieważniających (*impedimenta dirimentia*). Skoro te przeszkody są ustanowione, aby powagę małżeństwa zachować, to podział, jaki przyjął ks. Pelczar, jest bezwarunkowo najodpowiedniejszy. Najprzód mówi o osobistej niezdolności, następnie o braku przyzwolenia, nakoniec o niedokładnościach formy. Niepodobna nam każden rozdział drobiazgowo rozbierać; wystarczy podać ogólny podział części praktycznej, a na zakończenie pozwolimy sobie dołączyć kilka uwag.

Na czele każdej prawie przeszkody, spotykamy zarys histo-

ryczny, jej genezę i koleje dalsze, jakim podlegała. Poczem następuje przedstawienie dzisiejszej praktyki w Kościele zachodnim i w kościele wschodnim, o ile ten nie zgadza się z praktyką zachodniego. Dalej, roztrząsa autor pytanie: z jakiego źródła prawnego przeszkoda wypływa, i czy w miarę tego, dyspensa jest możebną. Przy tej ostatniej kwestyi, uwzględnia autor odpowiednio i prawo cywilne, z którem, gdziekolwiek wypada potrzeba przytaczania odnośnych przepisów, okazuje się doskonale obeznanym, tak, że kapłan znajdzie tu pewnego przewodnika w kwestyach prawnych, częstokroć dlań obcych, a ze względu na sprawy małżeńskie, koniecznych. Trafnie dobrane przykłady z praktyki kongregacyi ułatwiają zrozumienie wszystkich zawilszych kwestyj. Rozkład jest wszędzie ściśle loiczny: liczne podpodziały ułatwiają szybkie zoryentowanie się temu, który zgłębić przedmiot potrzebuje; również temu, który tylko objaśnienia poszczególnej kwestyi w dziele szuka, szybko łatwo wskazują miejsce, gdzie je ma znaleść.

Prócz dzieł głównych na wstępie cytowanych, korzystał autor z całego szeregu prac dawniejszych i nowszych; o ile tekst zachwyca nas jasnością, dokładnością i rozległą znajomością przedmiotu, o tyle przypiski każą znów podziwiać oczytanie autora. Z niemałem zadowoleniem przekonywamy się, że Dr. Pelczar szczęśliwie uniknął błędów innych autorów, jak np. str. 477 błędu Ballerniego (Copula incestuosa. Gury II. p. 837); str. 332, gdzie uchyla pomyłki Perrone'a (Cfr. Ballerini: Gury II. p. 811). Co się tyczy małżeństw mięszanych, przytacza już autor rozporządzenie księcia biskupa wrocławskiego, a z aktów *S. Sedis* tak uważnie korzysta, że nawet te zeszyty przytacza, które w czasie druku wyszły.

Na zakończenie jeszcze kilka uwag o tej ostatniej części. Str. 338 mógł był szan. autor powołać się na *Acta S. Sedis* II., 620, gdzie znajdujemy popartem zdanie o nieważności; tak samo co do ważności, na niektórych dogmatyków, którzy traktują kwestyę ważności, czysto protestanckich małżeństw, nie biorąc względu na dekret *Tametsi*. — Str. 520 nr. 6 zostało uchylone dekretem S. R. C. z d. 21 marca 1874. — Dla Szląska i w. ks. poznańskiego, można było także dekret Inkwizycyi dla nawróconych protestantów (1862) przytoczyć. — Na str. 522 dałoby się może coś o miejscu zawierania małżeństw w ogólności powiedzieć (Cfr. dekret S. R. C.

31 sierpnia 1872), ponieważ rytuał piotrkowski na Szląsku np. nie jest ważny.

W rozdz. VI. porównuje autor prawo cywilne z kościelnem, o ile traktuje o przeszkodach małżeńskich. W rozdz. VII. przechodzi do ważnej kwestyi dyspens. Wyjaśniwszy rozmaite prawa, przysługujące pojedynczym instancyom, omawia autor taksy, sposób podawania próśb i wykonanie. W rozdz. VIII. traktuje o trybie zawierania małżeństw; r. IX. wskazuje, w jaki sposób uprawnić się dadzą małżeństwa nieważne. W rozdz. X. mówi o powtórnych ślubach; w r. XI. o ślubie; w ostatnim o procedurze sądowej. Nakoniec na 78 stronach podane dokumenta i objaśnienia, a obok zwykłego spisu rzeczy, spis alfabetyczny, ułatwiający bardzo poszukiwania w tak obszernem dziele. Jak osądzić można w wyżej podanej treści, trzymał się ks. Dr. Pelczar ściśle prawnej strony małżeństwa.

Kosztem dwunastoletniej niestrudzonej pracy, w połączeniu z praktycznem doświadczeniem tego, co zostało już dokonanem, zdołał autor napisać książkę, co się zowie naukową, gruntowną i użyteczną.

X. A. Arndt.

Słownik synonimów polskich przez *biskupa Adama Stanisława Krasińskiego*, doktora teologii. Wydanie Akademii Umiejętności w Krakowie. T. I. XXIII. 642. T. II. 480. W Krakowie 1885.

Dzieło to bierze się w rękę z uczuciem głębokiego wzruszenia. Owoc to dwudziestoletniego wydalenia z kraju. Dwie mamy warownie: wiarę i język; gdy obrona pierwszej została przerwaną, czcigodny pasterz usypał szaniec w tej drugiej warowni, języka. Mozolna praca zmiejszyła przestrzeń dzielącą od swoich i skróciła czas długiego osamotnienia, zwłaszcza, że autor w oddaleniu otoczył się doborem ksiąg i autorów polskich i tę ciszę, w jakiej żył, zapełnił ich rozmową; wypisywał, porównywał, zestawiał różne sposoby wyrażenia myśli i pojęć pokrewnych albo zbliżonych, badał pierwiastki i rozwój historyczny mowy polskiej.

Nauka synonimów, czyli porównawcze zestawianie słów zbliżonego znaczenia nie jest nową; znali ją już Rzymianie, a systematyczne słowniki synonimów posiadają Francuzi, Niemcy, Włosi i An-

glicy. U nas pojawiały się próby i projekta w tym kierunku. Systematyczne badanie lingwistyki polskiej, zatrzymało się długo na słowniku Lindego, a nowe prace i nowe systemata zaczęły się właśnie rozwijać w epoce, kiedy autor w oddaleniu, bez możności skorzystania z ostatnich rezultatów badań lingwistycznych, podjął to wielkie, pomnikowe zadanie.

W ocenieniu dzieła tego zakroju należy odróżnić stronę ściśle naukową, filologiczną od strony, że tak powiemy, literackiej; należy odróżnić pytanie: czy dzieło to posuwa naprzód umiejętność językoznawstwa, czy obala lub potwierdza ten lub ów system umiejętny, czy wszystko w niem odpowiada dzisiejszym wymaganiom i postępom nauki, od pytania: jaką wartość, jaką praktyczną może mieć dzieło użyteczność? Spróbujmy dać odpowiedź na pytanie pierwsze.

Podobnie jak formalna strona każdego żyjącego języka podległą jest ustawicznym przemianom, tak samo wewnętrzna, czyli materyalna, przez cały przeciąg jego istnienia przechodzi odpowiednie koleje. Stosunek pomiędzy przemianami jednej i drugiej strony językowej może być ścisły, tj. przemiany zachodzące we względzie formalnym mogą oddziaływać na zmianę znaczenia i na odwrót; ale może proces ten odbywać się całkiem niezależnie od natury języka samego a mieć źródło w zupełnie innej sferze, którą to albo świat fizyczny zewnętrzny, lub też psychiczny człowieka stanowi. Podczas gdy źródło, stanowiące przyczynę zmian językowych, czy to formalnych, czy też materyalnych, w nielicznych tylko razach jest jawne, częściej zaś w przypuszczeniu odgadniętem być może, a najczęściej na czas długi pozostanie tajemnicą dla naszego ducha: skutek działającej przyczyny, czyli sam proces przemian językowych w największej liczbie przypadków jest znany, lub z czasem może być poznany. Jednakowoż w tej mierze nasza znajomość przemian językowych nierówną dotychczas postępowała drogą. Przemiany formalnej strony, czy to odnoszące się do głosowych właściwości, czy też wchodzące w zakres tworzenia i odmiany wyrazów, zostały dotychczas lepiej zbadane, aniżeli te, które dotyczą przemian wewnętrznych języka, czyli znaczenia wyrazów. W pierwszym razie działają czynniki przeważnie fizycznej natury, chociaż i psychiczne w całym tym akcie przetwarzania języka mają ważne znaczenie, podczas gdy na wytworzenie pojęć i przyobleczenie ich w szatę wyrazu, na zatracenie jednych i wytworzenie

innych, na zmiany natury, składa się przeważnie duchowy świat człowieka a fizyczne wpływy na drugie zstępują miejsce. Jakim prawom podlega zaś świat ten duchowy człowieka, czy można i dla niego przyjąć pewne prawidła, jak się przyjmuje dla świata fizycznego, w jaki sposób można je poznać, jak się poznaje ten drugi świat — wszystko to jest dla nas dotychczas zagadką niesięgającą poza granice hipotezy. Równie przedstawia się niejasno cała nasza znajomość prawideł, które są czynne przy wytwarzaniu i przemianie wewnętrznej strony mowy ludzkiej. Możemy wprawdzie za pomocą etymologii wyłonić pierwotne znaczenie wyrazu, i idąc za wątkiem, jaki nam podaje historya jego w pojedynczych językach, poznajemy jego przeobrażenia; dorozumiewamy się także wpływu, który oddziaływał na różny ten stosunek wśród jego egzystencyi; ale wiedza nasza tego rodzaju nie jest dostateczna. Dlatego każda praca, podjęta w tym kierunku, mogąca rzucić niejakie światło na wewnętrzną stronę języka i rozjaśniająca głębię pracowni ducha ludzkiego nad mową własną, musi być przyjętą z uznaniem.

Według dotychczasowych naszych wiadomości na polu przemian językowych, dotyczących znaczenia wyrazów, proces ten odbywa się w języku w dwojaki sposób. Uznawszy człowiek pewien przymiot jako charakterystyczne znamię jakiego przedmiotu, jako osnowę swojego pojęcia o naturze jego, odpowiednim oznaczył wyrazem ten przedmiot. Ale zmienił swoje pojęcie o nim niejednokrotnie w miarę, jak poznawał lepiej i wszechstronniej jego naturę. Częstokroć zmiana pojęcia o przedmiocie doszła tak dalece, że mało co albo nic nie pozostało z pierwotnej jego natury, lub wyobrażenia, polegające na znajomości zewnętrznej, materyalnej strony przymiotu danego przedmiotu, ustąpiły zupełnie innego rodzaju wyobrażeniu, które z materyalnego przetworzyło się w pojęcie abstrakcyjne, z fizycznego stało się psychicznem. Jednakowoż wszystkie te zmiany pojęcia a w związku z niem będącego znaczenia wyrazu odbywają się w prostym kierunku, zostając w nierozerwalnym związku z pierwotnem źródłem, tj. przedmiotem, którego przymioty wyrażają.

Ale oprócz tej siły odśrodkowej, działającej przy zmianie pierwotnego znaczenia wyrazu, jest czynną jeszcze inna dośrodkowa, która podobnie jak w świecie fizycznym różne atomy spaja w jedno ciało, tak samo przybliża i łączy różne pierwotne pojęcia ze sobą.

W ten sposób rozmaite znaczenia schodzą się w jedno, które stanowi niejako treść wszystkich, jest jakby ich duszą, żyjącą w nich wszystkich, jak dusza w pojedynczych członkach ciała ludzkiego. Proces ten asymilacyjny różnych pierwotnie pojęć musi polegać na pewnem prawie, asocyacya ta idei musi odbywać się według pewnej normy, którą duch ludzki przy kojarzeniu różnorodnych pojęć się rządzi. Chodzi więc o to, aby poznać sposoby, któremi duch człowieczy posługuje się przy wyszukiwaniu i asymilowaniu pojęć w całym ogromie świata duchowego; momenta, jakie przeważały wśród całej różnorodności świata zewnętrznego, aby mogły przedstawić się jako podobne sobie a wskutek tego być wzięte jedne za drugie. To tylko można osiągnąć na drodze etymologii, za pomocą której analizuje się każde z tych zespolonych znaczeń, sprowadzając je na pierwotne; wśród całego pasma rozmaitych przemian pierwotnego znaczenia wyszukuje się podobnych lub najwięcej zbliżonych do siebie, które stanowią jakby pomost prowadzący ze sfery jednego pojęcia do sfery drugiego, które stawszy się jakby cementem, zbliżającym podobne wrażenia rozmaitych przymiotów, spajają je w jedno pojęcie, tj. nadają jedno znaczenie rozmaitym wyrazom.

Dostojny autor powyżej zacytowanego dzieła podaje nam rezultat tego procesu, zestawia równe znaczenia z całej skarbnicy językowej; nie rozstrzyga zaś tego wcale, w jaki sposób znaczenia pierwotnie różne przemieniły się w podobne sobie, na jakiej drodze doszedł język do tego pomięszania pojęć i czemu z nich te a nie inne uznał za godne zaliczać się do jednej familii. Z wyrazów samych, przedstawiających ostatnią epokę tworzenia się mowy, poznać tego nie można, jak nie można z liścia poznać całej natury drzewa. Trzeba udać się do samego źródła, t. j. do pierwiastku wyrazu, w którym jak w nasieniu drzewa są zawarte wszystkie własności jego natury i z niego wyszedłszy po szczeblach, jakie historya tego wyrazu w jednym lub w pokrewnych językach przedstawia, dochodzi się do ostatecznego przeobrażenia, stanowiącego jego użycie w żyjącym języku. Pierwiastek ma więc swoje znaczenie, podobnie jak źródłosłów czyli temat wyrazu, a różnica pomiędzy niemi jest tylko ta, że źródłosłów jako dalsza przemiana pierwiastku żyje życiem istotnem, jako zakładna część wyrazu pojedynczego języka,

podczas gdy pierwiastek, jako nasienie, życia tego indywidualnego nie przedstawia w całkowitej formie. Autor nie zapuszcza się w różnice formalnej strony języka z wewnętrzną, nie przyznaje znaczenia pierwiastkom (s. VII.). Następstwo tego pominięcia genetycznego związku pomiędzy różnemi przemianami jednego i tego samego znaczenia jest nieuniknione, występuje też na jaw w całem dziele. Objaśnienia bowiem cieniowań pojedyńczego znaczenia różnych wyrazów nie są filologicznie pewne, gdyż nie osnute na przedmiotowej stronie istotnej natury tychże, ale na sposobie ich użycia, które jest ogólnem, czemś zewnętrznem, i tylko skutkiem a nie przyczyną zaszłych przemian znaczenia wyrazów. Nadto same znaczenia często nie są w filologicznym związku podane, lub też bez naturalnego otoczenia występują w charakterze rodowym, do którego umiejętność odmawia im legitymacyi. I tak n. p. jako synonimy przytoczone są tylko *duch* i *dusza*, oznaczające obydwa pojęcia „istoty niemateryalnej“, chociaż mówi się do dziś dnia: idź co *duchu*, lub co *tchu*, zrób to *duchem*, podobnie jak znów: poczciwa *dusza* = poczciwy człowiek, znaleziono go bez *duszy* = bez życia, obraz lub poezya bez *ducha* i t. p. Jaki jest więc związek pomiędzy temi znaczeniami i w jaki sposób granice pierwotnego ich użycia rozszerzone zostały? Czy wszystkie te sposoby mówienia i inne jeszcze nie mają mieć żadnych pretensyj do powinowactwa z odpowiedniemi synonimami, ponieważ łącznik pomiędzy niemi nie przedstawia się w charakterze „nadprzyrodzonej istoty, pierwiastku niemateryalnego“? Komu na to zgodzić się trudno, a kto natomiast uwzględni całą genezę pierwotnego znaczenia wyrazu *duch*, ten powie, że zakres znaczenia wyrazów, podanych przez autora, daleko jest obszerniejszy i powinowactwo, jakie pomiędzy niemi istnieje, opiera się na działaniu siły odśrodkowej, poruszającej jedno pojęcie w rozmaite strony. Na tej samej zasadzie ograniczania znaczenia w dzisiejsze granice, opiera się całe mnóstwo przytoczonych synonimów, które pierwiastkowo sięgają daleko poza sferę obecną. Tak sfera synonimów: *anioł* i *archanioł*, nie ogranicza się tylko na znaczeniu ich jako duchów niebieskich, ale łącząc z pojęciem tem przymioty dobroci i piękności, używamy także wyrazu *anioł*, podobnie jak *anielski* w tem znaczeniu. Tak samo: *byt*, *bytność*, *pobyt* mają w wyrażeniach dobry *byt* — życie, drogi *po-*

byt — życie, utrzymanie, za naszej *bytności* — czas, obecność, odpowiednie znaczenie poza sferą swojej egzystencyi i t. d. i t. d.

Pod tym względem synonimy powyższej kategoryi przedstawiają jednostronnie i w ciasnych granicach wspólne znaczenie, w skutek czego bogactwo ich znacznie uszczuplonem zostało. W innych wyrazach zachodzi przeciwny do tamtych stosunek, polegający na tem, że pojęcia różne, bez pierwotnej wspólności znaczenia, zaliczone zostały do jednego rodu. Tak *tło*, *kanwa*, nie mogą być zaliczone jako synonimy wyrazów: *dno*, *spód*, ponieważ między niemi nie ma zgodności pojęcia, podobnie: *terminologia*, *nomenklatura* nie zawierają w sobie pojęcia tego, jakie mają *mowa*, *język*, *dyalekt*; również *małoletni* wyrażając pojęcie czasu, nie może należeć do synonimów *mały* i t. p. z pojęciem przestrzeni; *gwałtowny*, *natarczywy*, *zapalczywy* zawierają pojęcie siły; zatem nie mogą być zestawione z *nagły*, *niespodziewany*, *raptowny*, w których pojęcie krótkości czasu przeważa; *koryto*, jako łożysko rzeki, nie łączy się z pojęciem wyrazów: *nurt*, *prąd*, *wart*, *wir*, *toń*, które ograniczone są na pewne miejsce w korycie, podczas gdy *koryto* tego pojęcia nie przedstawia i t. d.

Od tych ogólnych uwag, dotyczących zasadniczej pracy, przejdźmy do szczegółów, z których tylko najważniejsze wezmę pod rozwagę, ponieważ dostojny autor nie występując jako lingwista, nie wszystko też uwzględnił, co stało się własnością dzisiejszej nauki językoznawstwa. Dotyczy to w równy sposób uwag jego nad językiem w ogóle, jego „organizmem“ i historyą, „powagą wzorowych pisarzy“, jako też przypuszczeń i twierdzeń, odnoszących się do poszczególnych kwestyj naukowych, na które inaczej się dzisiaj zapatrują pracownicy z zawodu. Nasamprzód nie mogę pominąć milczeniem stosunku starosłowiańskiego języka do innych indoeuropejskich i słowiańskich, o który autor potrąca. Starosłowiański język, według zdań najpoważniejszych jeden z siedmiu lub ośmiu a nie *trzech* patryarchów, jak dawniej wielu mniemało, (autor, str. XII.), indoeuropejskiej rodziny, jako „*ojciec*“ żyjących dyalektów słowiańskich, istnieje tylko w teoryi jako naukowa dedukcya, która przez rekonstrukcyę odbudowuje się, ale tylko w celach czysto naukowych. Historycznego znaczenia, opartego na faktycznym stanie zabytków piśmiennych język ten nie ma. Wszystkie zaś słowiańskie języki, nie wyjmując i tego, który w najstarszych zachował się

dokumentach piśmiennych, zawierających tłómaczenie Pisma św. przez śś. Cyryla i Metodego, stoją w spółczesnym stosunku do siebie. Ponieważ język ten znany nam jest z ksiąg kościelnych, gdyż używany był jako liturgiczny, dlatego nazywać go się zwykło także „cerkiewnym". Jednakowoż nazwa ta nie jest etnograficzną, ponieważ i język ruski, bułgarski, serbsko-horwacki były i są również w Kościele jako liturgiczne używane i dlatego w równy sposób na miano to zasługują. Jakiego zaś był pochodzenia język ten pierwszych apostołów słow., czy bułgarskiego, jak utrzymują jedni, czy też panońskiego, jak twierdzi Miklosich, jest kwestyą jeszcze nierozstrzygniętą. W każdym razie jest on bratem starszym tylko dzisiejszych języków słow., który jako taki może się nazywać także starosłowiański, lingua palaiosloveníca. Zatem słowniki Vostokowa i Miklosicha obejmują język ten „starosłowiański" w powyższem rozumieniu a nie w tem, jakie autor mu nadaje. Jednakowoż wiele, bardzo wiele wyrazów znajduje się w tych słownikach wyjętych z zabytków staroruskich, bułgarskich i serbsko-horwackich, które w języku starosłowiańskim mogły również istnieć, ale w innej formie, zastosowanej do całego jego ustroju. Jaką zaś mogła być ta forma, o tem wiemy z głosowni tego języka, na podstawie której większa część wyrazów przytoczonych przez autora na str. XVII.—XIX., nie są starosłowiańskiemi w rozumieniu językoznawców. Ta sama uwaga dotyczy także wyrazów, przytoczonych w tym samym charakterze wśród tekstu.

Z sprawą tą pokrewnego języka słow. wiąże się druga, odnosząca się do języka czeskiego i rosyjskiego, z których przytacza autor odpowiednie polskim wyrazy. Przytoczenie takie wyrazów z pobratymczych języków jest pożądanem zwłaszcza tam, gdzie przyczynia się w czemkolwiek do rozjaśnienia sprawy naukowej; w cennem dziele szanownego autora ma to miejsce w niejednym wypadku. Wypadałoby też może użyć pisowni dzisiejszej do czeskich wyrazów, a nie używanej przed pięćdziesięciu laty w słowniku Jungmanna.

Za drobne niedokładności uważaćby można następujące: Słowo *wziąć* nie jest słowem dokonanem niedokonanego słowa *brać*, jak twierdzi autor, str. 31, ale słowo *jąć*, które używa się w niezłożeniu w znaczeniu *incipere, anfangen*. Wyraz *miąższy*, zamiast którego w stpol. języku także *miąźki* zachodzi, nie pochodzi od *miazga*

(str. 206), gdyż na to nie pozwalają prawidła głosowe, ale ma osobny temat, który jakby był duplikatem tematu w wyrazie *miękki*, stsł. *mъkъkъ*: *męg-kъ*, zachodzącym także w innych językach słowiańskich. Czy wyraz *izba*, stsł. *istъba*, stoi w jakim związku z tematem *jed* edere, a więc czy oznaczał „miejsce, gdzie się jadło“ (str. 226), może być bardzo wątpliwem; zachodzi on także w germańskim, celtyckim i romańsk. języku i jest, jak się zdaje, germańskiego pochodzenia. Czy w stpol. języku istniał wyraz *chąśba*, w znaczeniu kradzież? Przykłady odnośne w stpol. zabytkach trzeba czytać jako *ciążba* i wyraz ten oznacza to samo, jak *ciąża, ciążać, ciądzać*, które w prawniczym języku były całkiem zwyczajnem wyrażeniem na oznaczenie dzisiejszego *eksekwować, fantować*. Wyraz *sprostać* w znaczeniu *einer Sache gewachsen sein, wydołać, potrafić* nie ma nic wspólnego z stsł. *sąprъ* (str. 366), któremu w stpol. języku odpowiada *sąpierz, sąpierra*, ale pochodzi od tematu *prost, rectus, extensus*, zatem *sprostać* oznacza być tak *długim, prostym*, jak kto inny, czyli wyrównać mu pod względem wielkości a potem i siły. W ludowym języku wyraz *prosto* oznacza tyle co *równie, gleich*. Wyraz *nadzieja* nie pochodzi od stsł. *nadaždа*, dar, gdyż to sprzeciwiałoby się prawidłom głosowym, ale ma swój odrębny temat *dê: dê-ti, ponere, dicere*, stpol. *dziać, dicere*, stpol. *po-dziać, ponere*, stpol. *nadzie-wać się, sperare*. Wyraz *obfitość* nic nie ma wspólnego z stsł. *obьdo* (str. 410), ale pochodzi od *obpływitość, ob-pływać*, z którego wskutek procesów asymilacyjnych się wywinął. Na tej samej formie opiera się także *okwitość*, do której wytworzenia przyczynił się wpływ tak zwanej etymologii ludowej. Wyraz *zapas* nie ma z *pasem* nic do czynienia, lecz pochodzi od *paś-ć*, pasę, *pascere*. Wyraz *piastować* nie pochodzi od tego, jakoby „pięściami do siebie się przyciskało, stąd nosiło się dziecię na ręku“ (str. 480), ale od *pit*. stsł. *pit-ati, alere, educare*, czesk. *pitomý*, oswojony, srb. *napitati, infantem saturare*. W mocnej postaci występuje ten temat w wyrazach takich, jak: *piasta* u koła, co lud miejscami źle wymawia, a z czem w ścisłym związku stoi nazwa *Piasta*, protoplasty domu królewskiego Piastów i połączona z nim legenda o nakarmieniu zebranych na elekcyę książęcia.

Wyrażenie: *od paru dni, od paru lat* nie jest germanizmem z powodu użycia formy *paru*, jak sądzi autor str. 468, ale analo-

giczną formą, utworzoną pod wpływem liczebników i liczebnikowych zaimków kończących się w innych przypadkach na *u*: *tych paru słów* Wacł. Potocki, Poczet Herbów, Krak. 1694, str. 148. Częściej aniżeli *para, paru* zachodzi *siła* w znaczeniu multum z regularnem zakończeniem *u* w wszystkich przypadkach: *siłu*.

W podanym nam zbiorze mamy zebrane tylko synonimy wyrazów t. j. rzeczowników i słów, podczas gdy imiona własne, przymiotniki pochodne od imion własnych i partykuły zostały opuszczone. Również synonimy form, czyli sufiksów możeby zasługiwały na uwzględnienie, które szczególnie w naszym języku obdarzone są podziwu godną subtelnością w cienowaniu różnicy znaczenia wyrazów. Tak się przedstawiają *Synonima polskie* z punktu widzenia filologicznego. Z obowiązku krytyki naukowej wspominamy o tem, nie myśląc z tego robić zarzutu dostojnemu autorowi, który w przedmowie odzywa się do nas słowami Górnickiego: „wiem pewnie, iż dobrze lepiej niż ja wszystko umieją“, a warunki, w jakich pracę swoją układał, nie były zaiste odpowiedne do filologicznych badań.

Właściwą a znakomitą jest wartość literacka *Synonimów*. Ktokolwiek chce pisać i mówić poprawnie po polsku, niebrać jednych słów za drugie, ściśle rzecz i myśl określić, ten niech ma przed sobą na stole swej pracy za miłego towarzysza i pewnego przewodnika *Słownik synonimów polskich*.

Pośpiech, z jakim się dziś piszą dzienniki i powieści, wpłynął niekorzystnie na styl i język. Chwytamy słowa najbardziej utarte, klecimy zdania i okresy na jedną modłę. Dziennikarz z zawodu swego na kolanie, jeśli nie tłómaczy, to przerabia materyał z cudzoziemskich gazet, powieściopisarz naśladuje często obce wzory, i z zagranicznego patronu odbija postacie, opisy, zdania, rozmowy. Skarżymy się przytem często na ciężkość naszego języka, że nie jest dość giętkim, że mu brak łatwych zwrotów i możności cieniowania, a to dla tego, że tracimy dar swobodnego nim władania, że rzadko zaglądamy do wzorowych pisarzy, że często zamiast szukać klucza w duchu mowy polskiej chcemy dostawać się do jej tajemnic wytrychem stylu niemieckich gazet lub francuskich romansów. Co dziennikarze lub powieściopisarze częstokroć psują, tego uczeni nieraz nie naprawiają. Ubożeje w ten sposób nasz język literacki, wychodzą z użycia wyrazy i sposoby mówienia pełne rozmaitości i od-

cieni, tok mowy nie rozwija się z należytą swobodą, styl traci na barwności, pojęcia na dokładności i ścisłem określeniu. Z wyjątkiem kilku pisarzy jak Sienkiewicz, Tarnowski, Popiel wyrabia się w ogóle styl jednostajny, monotonny, lub też tworzy się nowy styl wbrew naturze języka, jak np. styl pisarzy pozytywnej warszawskiej szkoły lub niektórych autorów realizmem nacechowanych nowelli, nawet poezyi.

Aby z tych błędnych zwrócić znów pisarzy na tory szersze, aby otworzyć na nowo skarbnicę bogactw języka, trzeba sięgnąć w przeszłość: jak u Skargi, jak u Krasickiego, jak u Mickiewicza używano tego słowa i jak tę myśl wyrażał Górnicki, Trembecki, Siemieński.

Zamiast wertować autorów, wystarcza mieć pod ręką *Słownik synonimów* i co chwila doń zaglądać Od najdawniejszych pomników języka z XV. wieku są tu przykłady sposobów mówienia i używania wyrazów przez wszystkich wzorowych pisarzy. Chronić on nas może od wszelkich zboczeń, od częstych *qui pro quo*, gdy posługujemy się wyrazem sztucznie świeżo urobionem mając stare, wypróbowane, lub kiedy popełniamy grzech przeciw duchowi języka.

Autor jak ostrzega w przedmowie przeciw naciąganym hipotezom etymologów, tak nie podziela wcale dążności purystów. Szeroko on obejmuje historyczny i cywilizacyjny rozwój mowy polskiej, czuje tętna tego żywego organizmu. Od Reja do Słowackiego przepływa ta wspaniała rzeka mowy polskiej, rozlewając się coraz szerzej; co za olbrzymia przestrzeń, co za bogactwo form, jakaż rozległa skala! Któż we Francyi dziś mógłby pisać językiem Froissarta a jednak Kochanowski do dziś wzorem nieprzedawnionym. Jest to więc jednolitość tego organizmu historycznego mowy polskiej, co się tak świetnie odźwierciedla w *Słowniku Synonimów*.

Dwa grube tomy zapełniają przeważnie wyrazy myślne, imiona bowiem własne, jak wspomnieliśmy, wykluczone, a stosunkowo wszelkie nazwy, mające określony, realny przedmiot, mało zajmują miejsca. Więc w tym świecie myśli, w wyrazach oznaczających uczucia, idee, działanie w pojęciach, taka tu rozmaitość. Francuzi łamać się muszą z jednoznacznikami, my możemy wybierać między synonimami. Tam słowo *aimer* od Boga, aż do ulubionej potrawy lub faworyta pieska całą skalę obejmuje tego, co kochamy, miłujemy, lubimy, w czem

mamy upodobanie. My możemy wybierać, malować i wyrażać każdy rdzeń uczucia, każdą różnicę pojęcia. Ale trzeba nam czuć i myśleć po polsku; gdyśmy chcieli naśladować filozofię niemiecką, musieliśmy kuć wyrazy dla rozróżnienia u c z u ć od rozumu, j a ź n i od bytu i istności. Język jest nietylko wytworem cywilizacyi i historyi: daje go narodom Pan Bóg, jak daje dziecku możność zrozumienia matki. W odcieniach słów pojęciowych leży na dnie filozofia narodu. A zaiste nie możemy się skarżyć, gdy przejrzymy dzieło biskupa Krasińskiego, hojnie nas Bóg uposażył, a co ważniejsza w pojęciach wytknął szeroką a prostą drogę do prawdy. To, na co nie ma polskiego dobrego słowa, do czego wyrażenia sztucznie składać, lub je tłómaczyć musimy, to jest wytworem skrzywionych wyobrażeń, objawem przejściowem, w walce myśli ludzkiej, bez którego obejść się możemy.

Cześć sędziwemu autorowi, który taki dar składa przed narodem. Zasługa wielka, a tem cenniejsza, że ciężką okupiona ofiarą. Z zadziwieniem patrzymy na akademię umiejętności, która dotąd nie pospieszyła wezwać do swego grona dostojnego pasterza, co dla języka i literatury ojczystej pomnikowe złożył dzieło.

Przegląd pism peryodycznych.

4. Biblioteka warszawska r. 1885. Serya VI., zeszyt I, II, III. i IV.

Z początkiem bieżącego roku, upłynęło już lat 42 od założenia *Biblioteki warszawskiej* a okres to nie lada w żywocie pisma peryodycznego, zwłaszcza w kraju naszym, gdzie wydawnictwa tego rodzaju tak długiego istnienia dosięgać nie zwykły. To też ta półwiekowa niemal data najlepszem jest stwierdzeniem zarówno zalet, jako też i żywotności pisma. A jeśli do tego zważymy jednolitość i niezmienny od początku charakter *Biblioteki*, nie zawsze może zarówno ożywiony, ale zawsze uczciwy i poważny, to już do zdobytych wawrzynów tego wydawnictwa nowego listka dodawać prawie nie potrzebujemy. Różne bywały losy i koleje *Biblioteki* w ciągu jej istnienia, zawisłe od długiego szeregu jej kierowników i opiekunów, niemniej od czasów i otaczających ją okoliczności. Do wybi-

tniejszych jej protektorów zaliczyć możemy nieodżałowanej pamięci: hr. Leona Łubieńskiego i Aleksandra Przezdzieckiego, z których zgonem, objął jej kierunek zmarły już także K. Wł. Wojcicki, mniej może uzdolniony, mniej samoistny, do liberalnych a płytkich poglądów i sądów skory, ale zawsze troskliwy o to, żeby jednak tętno uczciwego, obywatelskiego życia ożywiać tego pisma nie przestawało. Trudności nawet, wynikające z twardych miejscowych stosunków, *Biblioteka* nasza znosić i zwycięzko im się opierać umiała, z wytrwałością podziwu godną i sobie tylko właściwą. Ale one to niestety wpłynąć musiały i na tę *sui generis* odrętwiałość, na tę atmosferę jakby lodowatą, która wciąż jeszcze nad tem pismem unosić się zdaje. Ciepłego wieszczego tchnienia, orzeźwiającego prądu, tego co myśl krzepi a słowu ognia i mocy dodaje, braknie jej widocznie, aby jak stary dąb zakwitnąć, zazielenić się potrafiła. . . .

Rozpatrując się w pierwszych czterech zeszytach tegorocznej *Biblioteki*, postrzegamy w nich zawsze tenże wytrwały jej kierunek, zasady zdrowe, pojęte poczciwie, obce przeciskającym się do naszego społeczeństwa błędnym ognikom nowoczesnych teoryj, ale i stare wody i ów brak ożywienia, jeszcze razić w niej nie przestają. Aby sąd nasz usprawiedlić, rzućmy okiem na zawarte w tym kwartale wybitniejsze prace. Z przodowych artykułów, na wyróżnienie zasługują przedewszystkiem dwie ściśle politycznej treści rozprawy: *Sojusz Austryacko-Niemiecki*, p. Eugeniusza Lipnickiego, i *Liberalizm Węgierski* Wł. Gołemberskiego. Materyał nagromadzony tu obficie, streszczony jędrnie a i sam przedmiot ostatniej zwłaszcza rozprawy, szerszemu u nas kołu czytelników blizki i sympatyczny.

Nie tyle powiedziećbyśmy mogli o artykułach ściśle filozoficznych w tym krwartale objętych, które, zdaniem naszem, mniej nadają się dla czasopisma polskiego; zwłaszcza rozprawa krytyczna o etyce Spenzera, p. Kazimierza Kaszewskiego *Etyka rozwojowa*, ściśle naukowa i sumienna, ale trochę przyciężka dla ogółu czytających; właściwsze miejsce znalazłaby w jakim roczniku akademickim. Nie chcemy, aby nas posądzano, jakobyśmy prace z zakresu filozoficznego wręcz odrzucali z działu publicystyki peryodycznej, bynajmniej, badania na tem polu oceniamy owszem, bodaj jako jedyne arkana, oswajające nas z teoryą myślenia; gdy jednak społe-

czeństwo nasze niedość naukowo wyrobione, radzibyśmy przeto, aby prace tej treści podawane nam były w przetworze więcej dla ogółu czytelników przystępnym, na tle więcej swojskiem, katolickiem przedewszystkiem, a tem samem bardziej do ducha i obyczaju narodowego dostrojonem. Za to piszemy się chętnie na artykuł Dra Br. Łozińskiego, *Walka z socyalizmem*, piszemy się zupełnie zwłaszcza na ustęp dowodzący, jak „nowoczesne prądy i systemy polityczne bezwiednie wielką oddały przysługę propagandzie socyalizmu“ (str. 187—193), jak wszelkie kulturkampfy i pognębienie Kościoła jest wodą na młyn socyalistycznych robót wywrotu, a ten Kościół walną tamą przeciw wylewowi namiętności, wynikających z różnicy stanu i majątku; ten zwłaszcza ustęp jest po chrześcijańsku pojęty i obrobiony gruntownie.

Historya, we właściwem znaczeniu, nie jest wykluczoną z programu Biblioteki, w tym jednak kwartale oderwaną tylko jej próbkę widzimy, w ciekawych *Pamiętnikach* L. Dembowskiego o powstaniu 1831 roku, naocznego świadka tego smutnego w dziejach naszych epizodu. Narracya to człowieka czynnie występującego wówczas na arenie publicznej, spisana pod wpływem tylko co zaszłych wypadków, pod wrażeniem krwi niezastygłej, i to właśnie nie godzi nas z niektóremi osobistemi poglądami weterana, w określeniu np. działalności obydwóch dyktatorów, głosem wylękłego narodu obranych, Radziwiłła i Chłopickiego, z których jednego autor podnosi niemal do apoteozy, drugiemu zbyt może brak uzdolnień przypisuje. Bądź co bądź, pamiętniki te nie przestaną być materyałem cennym, na który niejeden zapewne z piszących powoływać się kiedyś będzie.

Najsympatyczniejszym może z artykułów *Biblioteki* w tym kwartale, z krytyczną skreślonym ścisłością, jest szkic biograficzny serbskiego patryoty *Smolera*, przez W. Bogusławskiego, odtwarzający nam dzień po dniu prawie życie i działalność sławnego męża słowiańskiego, związkami krwi i ducha tak blisko nam pokrewnego.

W dziale ściśle literackim, darzy nas *Biblioteka* dwoma wydatniejszemi pracami. Z tych pierwsza *O nieznanych dotąd poezyach Zbigniewa Morsztyna*, p. Dra Jana Rzepeckiego, jest sumiennem studyum biograficznem, obejmującem działalność literacką aż kilku członków tej znakomitej u nas w XVII. wieku rodziny, którą czas i oddalona już nieco epoka zatarły poniekąd w pamięci naszej.

Drugą nareszcie jest wspaniały rozbiór najnowszej powieści Sienkiewicza „Ogniem i Mieczem“, przez znanego estetyka W. Dzieduszyckiego. (A więc najwydatniejszy niezaprzeczenie ze współczesnych utwór literacki, doczekał się nareszcie iście mistrzowskiej oceny, co dla piszącego niemałą zapewne będzie zachętą, bodaj dla p. Sienkiewicza, który na brak uznania i rozgłosu dla pięknego swego utworu oskarżać społeczeństwa swego nie ma prawa.) W rozbiorze tym mamy obraz krytyczny dzisiejszej literatury beletrystycznej, umiejętnie i wytrwale zaznaczający cechy polskiej powieści historycznej i dziejowej, do której zalicza recenzent pierwsze utwory Sienkiewicza. Dla powieści „Ogniem i Mieczem“ zaznacza on wyższe stanowisko, podnosi ją do wyżyn epopei, zasługującej rymowanego słowa. Biegłe oko naszego estetyka porusza i odtwarza nam utwór p. Sienkiewicza z analizą mistrzowską; zalety i usterki utworu zarówno nie uszły jego uwagi, znalazły w nim sędziego i badacza niezrównanej śmiałości.

Dział powieściowy reprezentowany jest utworem *Hessy O'Grady*, pióra pod pseudonymem ukrywającego się. Rzecz barwna, osnuta na tle stosunków obecnych w Irlandyi, o której sąd byłby co najmniej przedwczesnym, gdy zaledwie rozpoczętą została.

Na sam koniec zostawiliśmy jedną z najwybitniejszych rubryk Biblioteki warszawskiej, tak zwany dział bibliograficzny, t. j. *Przegląd piśmiennictwa krajowego, zagranicznego* i *kronikę sztuki*. Dział to bodaj w tem piśmie najbogatszy a prowadzony sumiennie, ciekawie i wyczerpująco, za wzór zaprawdę, zarówno treścią, jak umiejętnie zużytkowanym materyałem, służyćby mógł innym krajowym miesięcznikom. Przedewszystkiem zaleca się tu tak zwana kronika londyńska E. Naganowskiego, jakby w panoramie przedstawiająca nam cały ruch umysłowy i artystyczny tej królowej mórz, W. Brytanii.

Zewnętrzna strona *Biblioteki* pozostawia wiele do życzenia, grzeszy zaniedbaniem; szary papier, czcionki zbite i zużyte, zac drukarski zanadto ściśniony, niedosyć wpadający w oko układ tytułów i nagłówków, w ostatnich zwłaszcza działach — wszystko to utrudnia czytanie. Miejmy nadzieję, że Redakcya, troskliwa o rzetelną wartość *Biblioteki*, postara się o barwniejszą dla niej szatę zewnętrzną.

T. J. Stecki.

ZAPISKI BIBLIOGRAFICZNE.

Z dzieł religijnych.

SPICILEGIUM DOGMATICO-BIBLICUM seu Commentarii, in se lecta s. Scripturae loca, quae ad demonstranda dogmata adhiberi solent. *J. Corluy.* S. J. Lovanii Scripturae Professoris. 2 tomi. Gandavi 1884.

Dwutomowe to dzieło jest, jak to jego tytuł okazuje, dogmatyczno-biblijne; jest biblijne, bo wyjaśnia i tłumaczy rozmaite miejsca z pisma św. S. i N. Zakonu; jest oraz dogmatyczne, bo wyjaśnia tylko te miejsca, które służą i powszechnie we wszystkich dogmatycznych dziełach przytaczane bywają na uzasadnienie pojedynczych dogmatów. Rozkład swojego dzieła zastosował autor do zwykłego rozkładu podręczników dogmatycznych: w I. tomie wyjaśnia rozmaite miejsca pisma św. odnoszące się do nauk o Kościele, Prymacie, Trójcy św., stworzeniu, a na końcu dodaje rozbiór proroctw messyańskich; w II-gim zaś tomie rozbiera teksty odnoszące się do nauki o Wcieleniu, o wierze, o łasce i o Sakramentach św.

Autor przystąpił do opracowania tego dzieła z całym zasobem nauki i wiedzy, których dzisiaj egzegetyka wymaga, teksty Pisma św. przytacza, (prócz tekstu Wulgaty) w języku oryginalnym, hebrajskim lub greckim, tu i owdzie prócz tego cytuje wersye syryjskie i wszędzie przedstawia rozmaite zdania egzegetów, starszych i nowszych: francuskich, niemieckich, angielskich i flamandzkich; na każdym jednakowoż punkcie jasno zaznacza i uzasadnia swoje zapatrywanie. Miłośnicy studyum biblijnego znajdą w tem dziele znakomitą egzegezę (wyższą) hermeneutyczno-krytyczną niektórych miejsc, gdzie nigdzie całych rozdziałów Pisma św. jak np. I. rozdziału Genezy (gdzie autor w interesujący sposób godzi Hexaëmeron Mojżesza z dzisiejszemi rezultatami badań naukowych), psalmu 2, 21, 44 i 109, egzegezę całego I. rozdziału listu *ad Hebraeos;* zwolennicy zaś dogmatyki znajdą najważniejsze dogmaty nie tyle udowodnione co raczej, z całą ścisłością naukową wyprowadzone z Pisma św. Wybornej treści tego dzieła odpowiada forma; papier dobry, druk wyraźny, dobór rozmaitych czcionek, czyni całe dzieło bardzo przejrzystem.

Dr. T.

1. VERWALTUNG DES HOHENPRIESTERLICHEN AMTES, s. 184.
2. Theorie der Seelsorge. str. 172. *Prof. Dr. Probst.* Breslau. Aderholz, 1883.

Ks. profesora Dra Probsta już od kilku lat powołano na katedrę teologii pastoralnej we Wrocławiu dla szerokiej działalności na polu liturgiki. Kto miał szczęście być jego uczniem, ten go nigdy nie zapomni. Pomimo obfitości dzieł pastoralno-teologicznych podnosił on w swoich wykładach brak wielki dzieł tejże treści drukowanych z objaśnieniami historycznemi. Brakowi temu pragnął on zaradzić ogłaszając dwie powyższe rozprawy. Pierwsza z nich podaje zestawienie dawnych pism kościelnych o sprawowaniu urzędu kapłańskiego; zarazem też

wyświeca powstawanie i rozwijanie się odnośnych obrzędów. Dziełko to polecamy uczącym się jako podstawę do dalszych studyów tembardziej, że pomimo treściwości jego nie ma prawie żadnej kwestyi, którejby nie poruszyło, dodane są notatki historyczne, których w innych podobnych dziełach prawie nigdzie znaleść nie można.

I druga także rozprawa jest nadzwyczaj praktyczną. Zatrudniony parafialnymi obowiązkami kapłan nie zawsze ma czas na czytanie długich traktatów, ale łatwiej znajdzie wolną chwilę na przewertowanie broszury. W pierwszej części zastanawia się autor nad człowiekiem pod względem obyczajowym, w drugiej pod względem fizyczno-duchowym, w trzeciej zaś przechodzi poszczególne stany. Po wyjaśnieniu, jak się obchodzić z tymi, którzy ulegają grzechom śmiertelnym (siedm grzechów głównych — każdy z osobna), podaje w części pierwszej sposób obchodzenia się z grzesznikami nałogowymi i niepokutującymi. W następnych rozdziałach wyjaśnia autor kwestyę o pokucie i łasce. W ostatnim podaje małą ascetykę. W części drugiej nie zadawalnia się, jakto często bywa, podaniem sposobu, w jaki się obchodzić powinno ze skrupulatami, lecz zastanawia się nadto nad normalnym i anormalnym stanem fizyczno-duchowym człowieka, przyczem i o umarłych nawet nie zapomina. Trzecia część wreszcie daje pogląd na stany w ogólności: w rodzinie, w państwie i w Kościele.

Prawie wszystkie zdania tej wybornej książki wyjęte są z Ojców świętych. Gruntowność nauki idzie tu w w parze z jasnością wykładu. Dziełko to polecamy jako dopełnienie każdego podręcznika teologii moralnej.

A. A.

Zarys historyi zachodnio-rosyjskiej Cerkwi. *J. Czistowicza.* Część II. Petersburg, 1884.

O pierwszej części, wyszłej w roku 1882-im, była już mowa w jednem z dawniejszych moich sprawozdań. Część II. obejmuje dzieje Cerkwi wschodniej w obrębie rzeczypospolitej polskiej od końca w. XVI. do drugiej połowy XVIII. w. (Od r. 1596 —1760). Autor przebiega w pierwszych rozdziałach najgłówniejsze momenta walki Kościoła wschodniego z zachodnim i rosnącym wpływem Unii; charakteryzuje główniejszych działaczy w tej walce, przedstawia obraz literatury polemicznej obu obozów. Głównem ogniskiem prawosławia był i pozostał do końca przedstawionego okresu Kijów, nietylko dla Ukrainy, ale i dla wszystkich ziem ruskich. To też, gdy w drugiej połowie w. XVIII. prawosławie upada na całej przestrzeni ziem polskich, trzyma się jeszcze uporczywie w powiatach zbliżonych do Kijowa. Tutaj przedewszystkiem okazuje się brak oględności i przezorności dawnych rządów polskich, które zezwoliły na zależność swych współobywateli wyznania wschodniego od stolicy metropolitalnej, znajdującej się po traktacie andruszowskim poza granicami państwa. Gdy następnie rząd rosyjski, od czasów Elżbiety, zwrócił uwagę na stosunki kościelne w sąsiedniej Polsce, ta część kraju stała się punktem oparcia do dalszej propagandy prawosławia. Tam tylko prawie pozostały monastery dyzunickie, będące następnie ogniskami agitacyj religijno-politycznych. Do zwrócenia uwagi rządu rosyjskiego na dyzunitów polskich, najwięcej się przyczynił Ambroży Juszkiewicz (urodzony w Polsce), odkąd stanął na czele Synodu petersburskiego.

W rozdziale 2-gim przechodzi p. Czistowicz z osobna historyę walki prawosławia z katolicyzmem w każdej poszczególnej dyecezyi, jako to: metropolii kijowskiej, archidyecezyi połockiej, dyecezyi smoleńskiej, czernihowskiej, mohilewskiej, włodzimiersko-brzeskiej, łuckiej, chełmskiej, lwowskiej i przemyskiej. Opisuje najdokładniej obszar każdej dyecezyi, wylicza miasta i miasteczka do niej należące, wymienia monastery, cerkwie, bractwa, szkoły; daje biografie metropolitów i władyków, archimandrytów i ihumenów, najwybitniejszych postaci ze stanu duchownego i świeckiego, dobroczyńców szkół i instytucyj humanitarnych, a nawet, o ile tylko znalazły się na to dowody, wykaz szczegółowy rodzin szlacheckich, które z wyznania wschodniego przeszły następnie na katolicyzm.

Autor zastanawia się nad przyczynami wzrostu lub upadku prawosławia w poszczególnych dyecezyach ruskich. W metropolii kijowskiej, oprócz pogranicznego położenia, widzi żywotność onego w poparciu doznawanem od kozaków; w czernihowskiej i smoleńskiej — w rychłem ich odpadnięciu od Polski; w mohilewskiej — w gęstości wyznawców Kościoła wschodniego. W innych zaś dyecezyach prawosławie upadło, pomimo energicznego oporu ze strony bractw kościelnych. Energiczniejszemi, zdaniem autora, okazały się bractwa w takich miejscowościach, gdzie znajdowały poparcie w klasie średniej, w ruskiem stosunkowo liczniejszem mieszczaństwie, jak np. we Lwowie, Przemyślu i Wilnie. Przeciwnie w Łucku, gdzie bractwo istniało poparciem szlachty, prawosławie rychlej ulega wpływowi katolicyzmu.

W rozdziałach następnych jest mowa o monasterach na Rusi, o stanie wewnętrznym kościoła wschodniego, nareszcie w osobnym rozdziale traktuje historyę Unii w dawnych ziemiach polskich, opierając się częścią na pracach Rusinów galicyjskich, częścią na rosyjskich źródłach. Przyczynę słabości obrządku unickiego upatruje najpierw w zapatrywaniu na Unię, jako na pomost do zupełnego zlania się z obrządkiem łacińskim; w nadużywaniu tejże jako środka politycznego, nakoniec w przypisywanych przezeń duchowieństwu łacińskiemu egoistycznych widokach na posiadłości i dziesięciny kościoła rusko-unickiego.

Pracę p. Czistowicza można nazwać względnie gruntowną, bo wyzyskał najzupełniej wszystkie wydawnictwa rosyjskie odnoszące się do tego przedmiotu, jakich w wielkiej obfitości dostarczyły towarzystwa i komisye historyczne rosyjskie, w ciągu ostatnich lat 20. Ocena krytyczna pracy powyższej, opierającej się na mnóstwie nieznanych lub przynajmniej niedostępnych dla nas źródeł, jest nie łatwą; sprostać jej mogłoby tylko pióro fachowego znawcy dziejów kościoła unickiego. Wkrótce ma się jeszcze pojawić część III. i ostatnia tego dzieła, obejmująca historyę kościoła ruskiego od r. 1760 aż do naszych czasów.

A. Sulima.

Z dzieł historycznych.

PAMIĄTKI historyczne, krytyczne i archeologiczne świętych Cyryla i Metodego oraz apostolstwa ich wśród narodów słowiańskich przez kardynała *Dominika Bartoliniego* wiernie z włoskiego na polski z dozwoleniem tegoż kardynała przełożone i znacznemi dodatkami pomnożone. Poznań 1885 str. XVII., 129, XXI. Cena 5 marek.

Proboszcz z Granowa w Poznańskiem, ks. Marcin Chwaliszewski, uświetnił tysiącletni jubileusz św. Metodego wspaniałą publikacyą pracy nieodżałowanej pamięci kardynała Bartolini, prefekta *Congregationis rituum*, serdecznego przyjaciela Słowian. Pracę tę napisał kardynał na życzenie papieża Leona XIII. i puścił ją w świat jako komentarz bulli *Grande munus* o czci śś. Cyryla i Metodego w roku 1880 wydanej. Niepospolita to naukowa postać ten kardynał Bartolini. Skrzętny i krytyczny zarazem badacz archiwów, do których sekretariat kongregacyi obrzędów wstęp mu otwierał, a przytem miłośnik archeologii, wydał spory szereg uczonych rozpraw i dzieł jak: *O starożytnej świątyni Salomona w Jerozolimie. — O starożytnej jaskini żłóbka P. Jezusa w Betleem. — O domku loretańskim. — Akta męczeńskie św. Agnieszki, św. Abdona i Sennena. — O prawdziwości głowy św. Wawrzyńca męczennika. — Akta do kanonizacyi św. Męczenników japońskich i św. Michała de Sanctis. — O cudownym spiżowym posągu św. Piotra w bazylice watyk. — Akta męczeńskie św. Cecylii.*

On też ułożył z polecenia Piusa IX. komentarz do aktów kanonizacyi arcybiskupa połockiego Jozafata, a na kanonizacyę ofiarował z swej szkatuły 4.000 złr. austr. wal. Uczoną rozprawą *o ośmnastowiekowej rocznicy męczeństwa Piotra św.* dowiódł, że ona przypada na r. 1867. Przedostatnią jego pracą olbrzymiej erudycyi wydaną r. 1879 u Pusteta w Ratysbonie były *Komentarze historyczno-krytyczne o św. Zacharyaszu* dedykowane Leonowi XIII.

Już ta okoliczność, że takiej pracy i takiej erudycyi mąż zabrał się do monumentów o Apostołach Słowian jest rękojmią, że ułożone one są umiejętnie, opracowane krytycznie. Włoski język utrudniał rozpowszechnienie tych pamiątek właśnie w krajach, dla których one są najcenniejsze, spolszczenie więc takowych jest rzetelną usługą, za którą wdzięczność winniśmy ks. Chwaliszewskiemu, a dokonał on tego przekładu starannie, wydał go ozdobnie, z przepychem. Pamiątek tych jest 22, dzielą się na 7 legend: włoską, morawską, czeską, pannońską pierwszą i drugą i bułgarską — na 11 listów papieskich, jeden Hadryana papieża do Rościsława, Światopełka i Kocieła, 10 listów papieża Jana VIII. do św. Metodego i różnych książąt słowiańskich; do listów papieskich dodane podwójne świadectwo Anastazego bibliotekarza o św. Cyrylu. Wreszcie trzeci rodzaj pamiątek to archeologia chrześcijańska, trzy obrazy z IX. i XI. wieku tyczące się św. Cyryla i Metodego.

Pomniki te były już kilkakrotnie drukowane w *Acta Sanctorum* Jezuitów, Bollandystów, *Annus ecclesiasticus graeco-slavus* jezuity Martinowa, *Monumenta epistolaria de ss. Cyrillo et Methodio* Ginzla, w „*Starine*“

zeyli w starożytnościach akademii umiejętności w Zagrzebiu i indziej. Nasz autor (Bartolini) wszystkie te edycye legend i listów porównał, krytycznie ocenił, posługując się przytem *Kalendarzem grecko-moskiewskim* Assemani'ego, *Rokiem kościelnym* Martynowa, *Kodeksem legend i Monumentów* Ginzla. „Nie twierdziliśmy zgoła nic, powiada w swej przedmowie, coby niewzruszonemi i niezbitemi nie zostało udowodnione świadectwami . . . Zamiarem naszym było jedynie wyświecić chwalebne czyny tych świętych Braci i apostolstwo ich po wszech narodach słowiańskich". Pracę swoją dedykował kard. Bartolini pobożnym pielgrzymom do Rzymu 1881 r., tłumacz zaś poświęcił swój przekład „czcigodnym cieniom kard. Bartoliniego". Samo *corpus* dzieła rozpada się na 4 rozdziały; streszczać ich niepodobna, bo to szereg cytat i krytycznych omówień. Ciekawe jest zestawienie dawnego państwa Chazarów, w którym najprzód apostołował św. Cyryl. Obejmowało ono 24 gubernij dzisiejszej Rosyi t. j. Astrahan, Saratow, Wielką Rosyę, Białąruś, Podole, Ukrainę, Taurykę, Kaukaz, razem przestrzeń 24.418 mil. kwadr. (str. 2). W rozdz. III. tłumaczy autor jakim sposobem dostał się do bulli *grande munus* anachronizm, który ostrą a niesprawiedliwą wywołał krytykę polskich i rosyjskich dzienników. W bulli tej czytamy, że św. Metody „gdy do Polski przez środek Galicyi dotarł, stolicę biskupią we Lwowie założył". Wiadomo, że Lwów założony został w drugiej połowie XIII. wieku św. Metody zaś żył w IX. wieku; nie mógł więc biskupstwa erygować we Lwowie. Kard. Bartolini tak tę rzecz tłumaczy (str. 90—94). „Najdawniejsza tradycya ludu w Galicyi utrzymuje, że Metody założył biskupstwo halickie, które później przeniesione zostało do Lwowa"; dla tego podziśdzień lwowski metrop. ruski mianuje się *archieppus halicensis*" i dla tego Metody założyciel halickiego biskupstwa nazwany jest w buli założycielem biskupstwa we Lwowie. Rozdz. IV. o grobach św. Cyryla i Metodego i świętych ich relikwiach, radzilibyśmy przeczytać uważnie niektórym uczonym petersburskim jak prof. Müller, który w publicznym odczycie twierdził, że grób ten zaniedbany, dopiero 1880 roku odnalezionym został; stało się to 22 lat pierwej.

W dodatku podany opis najdawniejszych słowiańskich obrazów św. Piotra i Pawła przechowanych w Watykanie „mogących sięgać IX. wieku" umieszczony polski i łaciński tekst bulli *Grande munus* i opis pielgrzymki wszechsłowiańskiej do Ojca św. Leona XIII. r. 1881. Dokumenta te należą do całości „pamiątek", i przyczyniają wartości książce w obec przyszłych zwłaszcza pokoleń. *S. Z.*

STARODAWNE PRAWA POLSKIEGO POMNIKI, tom VIII. wydany staraniem komisyi prawniczej Akademii Umiejętności w Krakowie (Najdawniejsze księgi sądowo-krakowskie, wyd. *Bolesław Ulanowski).* Kraków, 1884.

Z wypalonych, zetlałych, wyblakłych i poszarpanych zwitków i luźnych kartek zachowanych w trzech najstarszych księgach sądowych krakowskich, stworzył p. Ulanowski bardzo poważną i strojną książkę, przedstawiającą działalność roków krakowskich, ksiąskich, proszowickich i włodzisławskich od r. 1374—1390. Praca była bardzo mozolną, mimo to wykonał ją autor wzorowo i uczynił zadość wszystkim wymaganiom metody wydawniczej. Opisał dokładnie rękopisy, z których

korzystał, pokonał zwycięzko niezwykłe trudności paleograficzne, załączył kilka autografowanych tablic z wzorami, z których można sobie dokładne wyrobić wyobrażenie o postaci ksiąg sądowych i wszystkich ich właściwościach i wyłuszczył w obszernym, choć nieco rozwlekłym wstępie zasady, według których w pracy swej postępywał. Z tą częścią pracy p. Ulanowskiego chcemy czytelnika zapoznać, gdyż nie wątpimy, że się znajdzie kompetentniejsze pióro, które wniknie w treść tych zapisek i wykaże wartość ich jako źródeł do prawa polskiego.

Dotychczas posiadaliśmy tylko dwa większe zbiory zapisek sądowych. Jeden wydany został przez Helcla w drugim tomie „Starodawnych prawa polskiego pomników“, drugi, zawierający najstarsze zapiski ziemi czerskiej, opracowany został przez księcia Tadeusza Lubomirskiego. Helcel wygotował ogromny wybór zapisek sądowych krakowskich obejmujący okres stu kilkunastoletni i podający wszystko, co było według wydawcy w księgach krakowskich godniejszego uwagi. Metoda Helcla polega na tem, że uwzględnia wszystkie księgi ziemskie i grodzkie pewnego województwa i podaje w chronologicznym porządku najciekawsze zabytki. Metodzie tej przyznaje p. Ulanowski nietylko pedagogiczną wartość, gdyż obznajamia badaczów początkujących ze stylem kancelaryi ziemskiej i grodzkiej, ale upatruje w niej tę ważną zaletę, że ułatwia zarówno początkującym jak i wytrawnym badaczom poszukiwanie w księgach oryginalnych. Ujemna strona metody Helcla tkwi w tem, że wybór zapisek przedsiębrany przez wydawcę, jest zawsze dziełem indywidualnem, nie przedstawia ciągu spraw a tem samem nie może sam przez się bez zaglądania do materyałów służyć do poważnych specyalnych badań. Mimo te braki autor nie zaprzecza doniosłości pracy tego znakomitego badacza. Na zupełnie innym gruncie stoją wydawcy warszawscy. Dla nich jednostką wydawniczą jest księga jako taka, bez względu na to, czy zapiski w niej zawarte, wciągnięte zostały na rokach wiecowych lub powiatowych, na grodzkich lub ziemskich. Taki sposób wydawania ksiąg sądowych, jeśli z fotograficzną ścisłością uwydatnia najdrobniejsze szczegóły oryginału — ma tę zaletę, że podaje cały zasób zapisek z pewnego okresu i przedstawia należyty obraz księgi sądowej i sposobu jej prowadzenia. Ponieważ porządek chronologiczny nie może przy takiem postępowaniu wydawców być zachowywanym, dlatego nie przyznaje jej pan Ulanowski w zastosowaniu do celów ogólnych takiej praktyczności, jak metodzie Helcla. Ani jedną, ani drugą metodę nie uznaje więc autor jako bezwzględnie najlepszą. Dla niego ani działalność sądu, o ile ona w księgach znajduje wyraz, ani księga jako taka nie może stanowić podstawy wydawniczej, ale sama zapiska stwierdzająca pewną czynność, dokonaną przy współdziałaniu sądu przez osobę prywatną, lub zaznaczająca pewien krok urzędowy przedsięwzięty przez władze sądowe na prośbę lub wezwanie strony. Ponieważ wydawca chce w jak najkrótszym czasie i z jak najmniejszym nakładem jak najwięcej dostarczyć materyału badaczom prawa polskiego, stara się autor znaleść metodę, któraby mieściła w sobie te zalety, jakich braknie w metodach użytych przez Helcla i wydawców warszawskich. Wykazawszy bardzo gruntownie znaczenie zapisek z XIV. i z początku XV. w. zakreśla wydawca stanowczą granicę między księgami, mieszczącemi zapiski z tych czasów a księgami późniejszemi. Za-

piski z w. XIV. powinny być wydane w całości, późniejsze powinny być podzielone na grupy, w którychby zebrane były zapiski odnoszące się do jednej lub kilku instytucyj, do jednej lub kilku spraw. Ale szczupłość funduszów komisyi prawniczej Akademii Umiejęt. nie pozwoliła autorowi myśli te urzeczywistnić, dlatego tylko do r. 1385 wydrukowane zostały zapiski w całości, od r. 1386—1390 zregestrował wydawca wszystkie te zapiski, których umieszczenie w dosłownem brzmieniu wydało mu się zbytecznem. W ten sposób dostarczył nam autor 5493 zapisek w dosłownem brzmieniu, oraz kilka tysięcy regestrów w 217 uwagach. System regestowania tak został umiejętnie przez p. Ulanowskiego przeprowadzony, że nietylko żadna zapiska nie została zatraconą, ale także może czytelnik od razu zoryentować się w czynnościach sądowych każdego dnia.

Dr. Semkowicz.

Historya cesar. moskiewskiego „Towarzystwa dla historyi i starożytności rosyjskich". Przez *Niła Popowa.* Część I. (1804 do 1812). Moskwa, 1884.

Znany uczony rosyjski Nił Popów, postanowił przedstawić obraz rozwoju „Towarzystwa dla historyi i starożytności rosyjskich", istniejącego w Moskwie przeszło od lat 80. Autor nie zadowolnił się bynajmniej, jak to najczęściej w takich razach bywa, wyliczeniem członków Towarzystwa i wykazem jego licznych wydawnictw z czasów późniejszych, ale starał się dać pogląd na rozwój wewnętrzny Towarzystwa, uwzględniając i podnosząc rozmaite prądy i kierunki, pod których wpływem wzmagała się lub słabła jego działalność. Chociaż ono wydało dużo materyału, mającego związek i z naszą przeszłością, to jednak losy Towarzystwa, rozmaite walki, odbywające się w jego łonie częstokroć z pobudek osobistych, nie są w stanie obudzić większego interesu u naszych pisarzy historycznych.

Nie podobna jednak powstrzymać się od przytoczenia kilku charakterystycznych szczegółów ówczesnego stanu wiedzy w ogóle i nauki dziejów w Rosyi. Tak np. Towarzystwo, doznające pomocy pieniężnej od rządu i liczące pośród siebie wielu członków zamożnych, wydało w ciągu pierwszych sześciu lat swego istnienia (od roku 1804—1810) zaledwie 80 stronic druku, co było tak uderzającym dowodem lenistwa, iż Goleniszczew Kutuzów, ówczesny kurator Uniwersytetu moskiewskiego, a tem samem i protektor Towarzystwa, robi temuż zarzut, iż mogłoby co najmniej rok rocznie tyle stronnic wydawać. Niezmiernie ciekawą jest opinia tegoż kuratora wyrażona w raporcie do ministra oświaty Razumowskiego, o znanym historyku rosyjskim Karamzinie, uchodzącym w ostatnich latach panowania Aleksandra I., w t. zw. liberalnych kółkach, za niepomiernego chwalcę samodierżawja. Tymczasem kurator Uniwersytetu moskiewskiego zarzuca mu szerzenie w pismach „zgubnej wolnomyślnej i jakobińskiej trucizny", „jawne propagowanie bezbożności i anarchii". „Nie order dać mu należy — pisze Kutuzów w liście do hr. Razumowskiego — lecz zamknąć go oddawna było potrzeba; nie chwalić jego utwory ale spalićby je raczej należało". W skutek podobnej relacyi, pomimo osobistych wyjaśnień Karamzina w Petersburgu, Towarzystwo zostało rozwiązane; powołano je wprawdzie na nowo do życia, lecz ze zmienionym statutem. Korzystając zaś z wyprawy Napoleona I. na Rosyę, sam pan kurator zabrał z kasy Towarzystwa 20,000 rubli, do których posiadania już nigdy ono nie przyszło. *A. Sulima.*

Rosyjska historyczna bibliografia za 1865—76 włącznie. Ułożył *W. J. Mežow*, tomy III. i IV. Petersburg, 1884.

Od r. 1882-go petersburska Akademia nauk rozpoczęła wydawnictwo o ile możności najdokładniejszej bibliografii historycznej rosyjskiej. Z początku zostawało ono pod kierownictwem dwóch braci P. i B. Łambinych; następnie powierzonem zostało najgruntowniejszemu z bibliografów rosyjskich W. J. Mežowowi. W r. przeszłym 1884-ym wyszedł 3 i 4 tom, a pozostaje jeszcze do wydania piąty, który zamknie to cenne wydawnictwo.

O pierwszych dwóch tomach jużem podawał dokładniejszą wiadomość. W dwóch ostatnich (3-im i 4-ym) wymieniono 18,455 dzieł. W tomie trzecim umieszczono wszystkie dzieła, odnoszące się do historyi wyznań chrześcijańskich w Rosyi, a przedewszystkiem prawosławia; do historyi cywilizacyi i oświaty ludowej w Rosyi, do historyi prawoznawstwa, ekonomii politycznej i nauk socyalnych. Tom czwarty poświęcony wyłącznie historyi języka rosyjskiego i literatury. W osobnych zaś rubrykach wyszczególniono dzieła wydane w językach: cerkiewnym i ruskim (małoruskim), a także i dzieła rosyjskie przeznaczone dla cudzoziemców. *A. Sulima.*

Z dzieł literackich.

Rozprawy i sprawozdania z posiedzeń wydziału filologicznego Akademii umiejętności. Tom X. Kraków, 1884, 8-ce, str. 485.

Badania tu zamieszczone dotyczą filologii germańskiej, łacińskiej, a przedewszystkiem literatury polskiej i czeskiej, języka polskiego i ruskiego. Dr. M. Kawczyński traktuje rzecz o języku zapisków niemieckich z czternastego wieku, ogłoszonych w najstarszych księgach i rachunkach miasta Krakowa. Rozprawa to gruntowna, pragnęlibyśmy tylko widzieć w niej więcej materyału językowego. Dr. Bronisław Kruczkiewicz dowodzi w swej rozprawie, że poemat *de Aetna monte* trzeba przypisać Wirgiliuszowi. Jest to praca sumienna, a napisana tak pięknym językiem łacińskim, jak rzadko.

Ks. Ignacy Polkowski w rozprawie: „Rękopis biblii czeskiej z roku 1476“, podaje ważną dla Czechów wiadomość, że jest posiadaczem biblii czeskiej z XV. w., która jest odpisem jakiegoś dawniejszego rękopisu, dotąd nieznanego. Dr. W. Wisłocki podał *Pieśń bernardyńską o należytem przestrzeganiu dziesięciorga przykazań Bożych*, wiersz polski z początku XVI. w. Kto wie, jak „ubogo dotychczas przedstawia się poezya nasza przed Rejem i Kochanowskim“, ten musi być wdzięcznym szanownemu wydawcy za to ὀλίγον τε φίλον τε. P. J. H. Kallenbacha znajdujemy tu dwie rozprawy: jednę o *Elegiach łacińskich J. Kochanowskiego*, drugą o *Odprawie posłów greckich*, a obydwie są ważnym przyczynkiem do literatury polskiej. Świadczą one o niemałych zdolnościach młodego autora, jak nie mniej o urzeczywistnianiu się myśli prof. Tarnowskiego, który od dawnego czasu dążył do tego, aby zbadać poezyę naszą łacińską i rzucić światło na literaturę XVI. wieku na podstawie znajomości literatur klasycznych. Piękna ta myśl, jak wiemy, znalazła najsilniejsze i najskuteczniejsze poparcie w prof. Morawskim. P.

Edward Jelinek, wydawca *Slovanského Sbornika*, znany dobrze polskiemu światu z wielu prac napisanych po polsku i po czesku, podał *Bibliografię dzieł, rozpraw i artykułów czeskich, dotyczących rzeczy polskich* (część druga 1878—1882). Jest to bardzo skrzętna i sumienna praca.

Reszta rozpraw dotyczy języka ruskiego i polskiego. Mamy tu rozprawę Dr. Emila Ogonowskiego: *O ważniejszych właściwościach języka ruskiego*. Jest to tylko dopełnienie dawniejszej z r. 1880 pracy autora: *Studien auf dem Gebiete der ruthenischen Sprache*. Na podstawie języka ludowego usiłuje autor objaśnić wiele zjawisk języka piśmiennego ruskiego. Metoda to dobra, prof. Miklosicz wyraził się nawet, że studya dyalektyczne posuną naprzód językoznawstwo, przychodzi mi jednak na myśl spostrzeżenie, zdobyte przy badaniu języka ludowego polskiego, że nie wystarczy tu chwytanie powierzchowne zjawisk różnych gwar, potrzeba koniecznie badać je do gruntu, wyjaśniać zjawiska ich na podstawie ich samych, a ztąd dopiero dojdzie się do poznania sił w języku działających, do odkrycia jego zjawisk. Droga to dalsza, trudniejsza, wyłączająca wszelkie dyletanckie, na wzór turystów spisywane pogadanki o języku, wyłączająca kwestyonaryusze językowe, o których słyszeliśmy na zjeździe im. Jana Kochanowskiego, ale droga najpewniej prowadząca do celu. Dwie prace poświęcono językowi ludu zakopańskiego. *Gwarę Zakopańską*[1] napisał p. Kryński, *Przyczynek do Gwary Zakopańskiej* p. Kosiński. *Przyczynek* wcale nie ustępuje co do wartości rozprawie p. Kryńskiego, obfitością materyału nawet ją przewyższa.

P. Hanusz w wiadomości: *O książce do nabożeństwa królowej Maryi Kazimiery i córki jej Teresy Kunegundy*, zastanawia się nad językiem tej pamiątki piśmiennej po rodzinie Sobieskiego, znajdującej się w bibliotece królewskiej w Monachium. Nie podobna nam zgodzić się we wszystkiem na zapatrywania autora. Twierdzi on, że formy *robiemy, czyniemy, podnosiemy* i t. d., które napotykamy już w XV. w. i dziś, tu i owdzie słyszymy powstały z *robimy, czynimy, podnosimy* pod wpływem form takich, jak bierzemy, wiedziemy, mrzemy i t. d., że formy jak *poniżeł, odpuscieł* i t. d. zam. *poniżył, odpuścił* powstały znowu pod wpływem form *robiemy, czyniemy* i t. d. Dzisiejsze znowu *siérota* miało powstać z *sirota* przez „przesuwkę“ (co za świetne tłumaczenie niemieckiego Verschub) *i* w *e*. Dziwić się tylko wypada, dlaczego nie mamy form: *robiesz, robie, robiecie*, kiedy mamy *robiemy*, dlaczego ten wpływ słów ze spójką *e* usadził się tylko na to, aby *i* zamienić na *e* tylko tam, gdzie po tem *i* następuje *m, ł* lub *r*?

Otóż przyczyna przejścia *i* na *e* przed *m* jest inna, aniżeli przyczyna tego samego zjawiska przed *ł* i *r*. Już od XV. w. napotykamy w jęz. polskim zjawisko, że przed *m* i *n* nietylko *i*, ale inne samogłoski doznają zmiany. Zamiast ranić czytamy np. *renić*. W języku ludowym polskim napotykamy to samo zjawisko, że przed *m, n, a* zmienia się na *e*: mamy tu: *renny, penna, senna, tem, memka, semiec, remię* i t. d. = *ranny, panna, sanna, tam, mamka, samiec, ramię*[2]. Nie po-

[1] Daliśmy już o tem sprawę, winniśmy tylko poprawić błędy drukarskie, jakie się tam wkradły. *Przegląd pow. grudzień, 1884* na str. 471 wiersz 16 od dołu ma być *wszytko* nie *wszystko*, na s. 472 w. 9 od dołu, zam. *inr* ma być *in*.

[2] Zob. Gwara lasowska. Rozprawy Akad. Umiej. T. VIII., str. 72 i n.

trzeba zresztą i języka ludowego, boć i w piśmiennym języku polskim mamy: *wędrowiec, wędrować, Jędrzej*, powstałe z *wandrować, wandrowiec* (cf. niem. wandern) *Andrzej* (cf. łać. Andreas). Jakaż przyczyna tego zjawiska? Otóż ta. Od doby najdawniejszej, aż do chwili obecnej widzimy w języku polskim dążenie do zamiany poprzedzającej samogł. z następującą spółgł. *m* i *n* na samogłoski nosowe do tego stopnia, że już w XVI. wieku mamy formy *kołęm, wozęm*, później nawet *panę*, a wieszcie w dyalektach ludowych *człowiekię, wozę, mężę,=kołem, wozem, panem, człowiekiem, mężem*. Tak tedy z grupy *em, en* powstaje *ę*, ale co powstanie z grupy *ym, yn, im, in?* Nic innego, tylko grupy *em, en* a w dalszym ciągu *ę*, jak tego dowodem już język starosłowiański, gdzie wyrazy przyswojone z niemieckiego jak. kuning, phenning, brzmią: kъnęzъ pênęgъ,=kъnenzъ, pênengъ, jak tego dowodem sam język polski, gdzie już od pierwszej połowy XV. w. mamy w zakończeniu szóstego przypadku l. p. u przymiotników zamiast *ym* grupę *em, dobrem, miłościwem* i t. d., potem *dobręm miłościwęm*, wreście w dyalektach ludowych *dobrę, miłościwę*. Ta sama rzecz od tego samego czasu powtarza się w trzecim i szóstym przypadku liczby mnogiej przymiotników. Jak z grupy *ym, im, yn, inn*, powinnoby właściwie powstać *y* i *i* nosowe, tak z *am, an* powinnaby powstać taka samogłoska nosowa, jaką słyszymy w wyrazach francuskich: pendant, penser, mandement, ale dźwięk taki obcym jest naszej mowie i dlatego zastąpiono go przez swojski, wrodzony językowi od wieków. Na tem głębokiem poczuciu swego języka mówi lud w sandomierskiem *Jentek* zam. *Antek, penna* zam. *panna*, dlatego to już w XV. wieku mówiono *renny* zam. *ranny, jeno* zam. *jino;* dlatego to zamiast *dobrym* mamy u ludu *dobrem, dobremi* zam. *dobrymi;* dla tego mamy *nosiemy* zam. *nosimy* a nie mamy *nosiesz, nosie, nosiecie,* zam. *nosisz, nosi, nosicie:* tam działała przyczyna, którąśmy wykazali, a tu działać nie mogła.

Przyczyna zas, która wywołała formy *nosiół, robiół* i t. d. zam. *nosił, robił* jest następująca: Wiadomo, że przed *ł, l, r, rz*, następuje w polskim języku ścieśnienie samogł. *e* na *é*, t. j. na dźwięk zbliżony brzmieniem do *i, y* np. *dziél* (od dzieło), *biél, chmiél, wiérz* (od wierzyć) i t. p. Ale przed temi samemi spółgł. występowało także *i, y* np. *sił* (od siła) *syr, sirota*, a ztąd na mocy praw psychicznych (kojarzenia się wyobrażeń) mogło powstać albo zbliżenie się dźwięku *é* do *i, y* t. j. wyrugowanie samogł. *é* przez *i, y* albo też odwrotnie wyrugowanie samogł. *i, y* przez *é*. Obydwa te zjawiska w istocie pojawiają się oddawna w jęz. pol. tak piśmiennym jak i ludowym: w jednych okolicach mówi lud: *syr, sirota*, ale zarazem *dził, bil, chmil*, w drugich *biél, wiérz* i t. d., ale też i *sér, siérota, siela, piela, nosiél, piél, prosiél* i t. d.

Pozostaje nam jeszcze do omówienia praca prof. Dr. L. Malinowskiego: *Przyczynki do historyi wyrazów polskich.* W wielu miejscach nie godzimy się ze zdaniem uczonego filologa. Weźmy wyraz *treść*. Że wyraz ten znaczył pierwotnie *trzcina*, potem *pióro*, to już wiemy z Knapskiego, Lindego, Miklosicza, ale zkąd wyraz ten przybrał znaczenie *treści pisma, książki*, i t p., powtóre zkąd poszło, że oznaczał on *wino* i *miód?* Na pierwsze pytanie odpowiada autor, że jak wyraz *stylus* oznaczał pierwotnie narzędzie do pisania, a potem sposób wyrażania się, tak samo wyraz *treść* oznaczał pierwotnie *pióro*, a potem przybrał znaczenie esencyi mowy lub pisma. Nam się

ta rzecz inaczej przedstawia. Z wyrazem *styl* co do znaczenia można tylko porównać wyraz *pióro:* obydwa oznaczają pierwotnie narzędzie, a potem przenośnie sposób wyrażenia myśli: ktoś ma gładkie *pióro* znaczy tyle, co: ktoś ma gładki *styl*, ale ani *styl*, ani *pióro* nie oznaczają esencyi tego, co się powie lub napisze. Widać, że wyraz *treść* inną drogą doszedł do znaczenia, które posiada. I w istocie też do dziś dnia lud między Sanem a Wisłą wyróżnia np. wyraz *źdbło* od wyrazu *treść* i to tak, że łodygę żyta lub pszenicy wraz z szypułkami, które ją otaczają nazywa *źdbłem*, a przez *treść*, rozumie golą trzcinkę, z której sobie plecie „ząbki“, a z nich „szyje“ kapelusze. Innego też znaczenia nie ma tu wyraz *treść*. Jeżeli np. pochewka otaczająca trzcinkę przywrze do niej silnie i chłopak nie może jej odjąć, to mówi, że nie może się dobrać do *treści*. Tak też wyraz *treść* oznaczający pierwotnie trzcinę całą z pochewkami, przybrał widocznie później ciaśniejsze znaczenie, t. j. oznaczał trzcinę bez pochewek, jej jądro, jej esencyę. Ztąd nie trudno pojąć, dla czego esencyę, jądro naszej myśli nazywamy *treścią*.

Na drugie pytanie t. j. zkąd wyraz *treść* oznacza *wino*, odpowiada autor, że wyraz czeski *trs*, *tres*, oznaczający wino przyswojono do polskiego, „a że wyraz *tres* był niezrozumiały, miano zaś pod ręką wyraz podobny brzmieniem *treść*, pomięszano tedy oba te wyrazy i zamiast *tres winny* poczęto mówić *treść winna*“. Prócz tego był w staropolskim języku wyraz *stredź*, używany na oznaczenie *miodu* „a ponieważ był na podorędziu wyraz *treść* już używany na oznaczenie *wina*, podsunięto go więc zamiast *stredź*“; i tak wyraz *treść* doszedł do znaczenia *miodu*. Trudno się na taki wywód zgodzić, nie mamy bowiem żadnego śladu, aby wyraz *tres* był kiedykolwiek przyswojony z języka czeskiego, a ponieważ w języku polskim nie istniał, więc i wywierać wpływu na wyraz *treść* nie mógł. Nie mniej ważnem jest i to, że wyraz *tres* w języku czeskim nietylko oznacza *wino*, ale ma to samo podstawowe znaczenie, co polski wyraz *treść:* oznacza on *korzeń* u ziół i roślin, oznacza *pień*, niemal tyle, co *rdzeń*, potem *krzak*, a o winie mówiło się *tres winny* tak, jak w polskim języku *treść winna*, odpowiada więc najzupełniej polskiemu *treść*, po czesku *trst*, *trest*, ze *tres; trs* powstało z *trest* przez odpadnięcie spółgłoski *t* tak samo, jak w polskim z *trestka*, *trestkać* powstało *treska*, *treskać*, a wyraz *treska* istnieje i w języku czeskim. (Zob. Linde pod wyrazem *treść*). Co się zaś tyczy wyrazu *stredź*, to wyraz ten, jak wykazał *Miklosicz*, jest podstawą wyrazu *rdzeń* = *strdzeń* = *drzeń* = *rdzeń*. Jeżeli tedy na podstawie samych źródeł historycznych rozpatrzymy się w znaczeniu wyrazu *treść*, to widzimy, że oznacza on pierwotnie trzcinę w ogóle, potem *trzcinę samą* bez osłonek, czyli jak się nasi w XVI. w. wyrażali *samotreść*. Ztąd poczyna wyraz ten przybierać dalsze znaczenia. Syrenius powiada: „Rdzeń drzewa drudzy *treścią* zowią“, inni powiadają: „Cnota jest *treścią* człowieka“, inni mówią o *treści* wojska, inni wreszcie o *treści* pisma. O wszystkiem tem można się dowiedzieć od naszych słownikarzy, gdyby już ktoś nie chciał się głębiej zapuszczać. A że wyraz *treść* oznacza także *wino* i *miód*, to nic w tem dziwnego. Pierwotnie nie jakiebądź *wino*, ani też nie jakibądź *miód treścią* nazywano, ale sam ekstrakt winny, samą esencyę miodową. Stwierdza to Linde na licznych przykładach z pisarzów, stwierdza Knapski. Syrenius mówi np.: „Przedni miód biały, drudzy treścią zowią“, Knapski zesta-

wia *treść* miodu z patoką. Nikogo też nie zadziwi, że taki przedni miód także *sterdzią* czyli *rdzeniem* nazywano, skoro jak wyżej wspomniano i *rdzeń* także czyli *sterdź* zastępowano wyrazem *treść*.

Inny jeszcze przykład: *na podorędziu, na podoręczu*. Wyraz ten, jak objaśnia prof. Mal., składa się z wyrazu *orędzie* i przyimka *pod, na podorędziu* zaś znaczyć ma *na pogotowiu*, czyli *pod ręką*. Tymczasem już z Lindego można się dowiedzieć, że w wyrażeniu *na podoręczu* samogł. *o* zupełnie da się usprawiedliwić, bo zanim było *na podoręczu*, mieliśmy na *doręczu*, do czego później dodano jeszcze przyimek *po*. W XVI. wieku mówiono nawet *na doręczy* zamiast *na doręczu*. Gdyby wreszcie wyrażenie *na podorędziu* powstało z wyrażenia *podorędzie*, to musiałby taki wyraz istnieć, tymczasem takiego wyrazu nie zna ani język polski, ani żaden słowiański. Polski jęz. zna tylko wyraz *orędzie* i to tylko w znaczeniu *wieść, doniesienie, podorędzie* znaczyłoby tedy *podwieść, na podorędziu* znaczyłoby *na podwieści*, ale nie *na pogotowiu, pod ręką*. W innych także językach mamy tylko wyrazy, które odpowiadają naszemu *naręcze, doręcze, podręcze* w tem samem znaczeniu, ale wyrazu *podorędzie*, powtarzam, nigdzie nie ma. Prof. Mal. nie może wytłumaczyć, zkąd się tu wzięło *dź* zam. *cz;* przykłady z języka ludowego zaraz nas pouczą o tem zjawisku. Zamiast *wielce* mamy tu *wieldze*, zamiast *lżej* lub nawet *ledzej* mamy tu obok tych dwu form także formy: *lèeiéj, lédzéj, ledziéj;* obok *mięcéj* mamy także *międzéj, mięciéj i międziej*, zamiast *rączej*, mamy tu *rąciéj* i *rądziéj*. Formy te słyszy się nawet z ust ludzi wykształconych; zkądże się one biorą? Otóż wszystko tu jest jasne. Obok *wielki* mówiono już od niepamiętnych czasów *wielgi:* od pierwszej formy mamy tedy *wielce*, od drugiej *wieldze*, ta sama kwestya zachodzi i co do form *lżej* i *ledzej*, forma zaś *leciej* powstała ztąd, że mamy i *letki* obok *lekki*, forma zaś *ledziej* powstała z kombinacyi psychologicznej form *leciej* i *ledzej*. Forma *mięcej* opiera się na *mięki, mięciej* na *miętki*, a *międziej* na analogii formy *ledziej*. Forma *rączej* opiera się na *rączy, rąciej* zaś na *rątszy*, a *rądziej* na analogii form *lédziej, międziej*. Tak tedy z wyrażenia *na doręczu* musiało powstać najpierw *na doręciu*, potem *na dorędziu*, drogą wyżej opisaną, zwłaszcza że wszystkie te formy: *na podorecu, na podoręciu, na podorędziu*, napotykamy w języku ludowym. Forma na *dorędziu* pojawia się już w XVI. w.

Weźmy jeszcze jedno objaśnienie prof. Mal. pod rozwagę. Kiedy czytelnik słyszy u ludu wyraz *pąd* np. *tyli pąd* (tantus cursus), to sobie pomyśli, że wyraz ten spokrewniony jest z wyrazem *pędzić*, co znaczy *lecieć pędem*, z wyrazami *zapęd, popęd* i t. d. I słusznie, bo wyraz *pąd* istnieje w naszym języku od wieków, a pochodne od niego wyrazy znajdują się we wszystkich językach słowiańskich. P. Malinowski twierdzi, że w wyrażeniu ludowem: *tyli pąd drogi* wyraz *pąd* odpowiada starosłowiańskiemu *pǫtь* (via), który według jego zdania ma brzmieć po polsku *pąć*.

A jednak wyraz starosłowiański *pǫtь*, musi według kardynalnych praw głosowych języka polskiego brzmieć *pęć* lub *peć* (jeżeli gdzie nosowość samogłosek się zatraciła) i w tych też formach żyje on prawie na całym obszarze ziem polskich u ludu, w wyrażeniu *niepęć* lub *niepeć* (jak mamy wola i niewola), co znaczy nie ma innej drogi, nie ma wyjścia, jest konieczność. Widzę, że *niepęć*, tak dali

(dalej) na niego", powiada lud. W tem znaczeniu napotyka się ten wyraz i w literaturze (Zob. Linde). Wyraz *pąd* i wyraz *pęć* są to dwa zupełnie odrębne wyrazy, których ze sobą mięszać nie wolno. Droga analogii jest dobra, nawet wygodna, bo analogie nasuwają się same przez się, ale z tego też powodu i bardzo niebezpieczna, bo łatwo schodzi się na bezdroża.

S. M.

Prace czwartego zjazdu archeologicznego w Rosyi, który się odbył w Kazaniu od 31 lipca do 18 sierpnia s. v. 1877 roku. Tom I. Kazań, 1884, 670 str.

Chociaż czwarty zjazd archeologiczny miał miejsce przed ośmiu laty, to drukowane sprawozdanie o nim pojawiło się dopiero w drugiej połowie roku przeszłego. Od tego zaś czasu odbyły się dwa zjazdy archeologiczne rosyjskie: piąty w Tyflisie r. 1881-go i szósty w Odessie roku 1884-go.

Tom pierwszy prac zjazdu kazańskiego, wydany pod redakcyą rektora Uniwersytetu kazańskiego, Bulicza, profesora tegoż Uniwersytetu, Korsakowa i filologa Radłowa, obejmuje 80 arkuszy druku. Po pierwszym tomie ma się ukazać wkrótce drugi takichże rozmiarów, a nadto atlas archeologiczny, będący jakby ilustracyą do referatów i prac zawartych w obu tomach sprawozdań IV. zjazdu archeologicznego.

Przedmiotem zajęć uczonych, zgromadzonych przed ośmiu laty w Kazaniu, była archeologia, historya, geografia historyczna i etnografia dawnego carstwa kazańskiego, bułgarskiego nad rzeką Kamą i w ogóle okolic nadwołżańskich.

Samo przez się rozumie się, że żniwo naukowe, zebrane na niwie tak mało znanej i niedostępnej prawie uczonym europejskim, było bardzo obfite. Jakież to obszerne pole dla poszukiwań naukowych w kraju, który przez tyle wieków był widownią krótszego lub dłuższego pobytu, wędrówek i krwawych walk ludów turecko-fińskich, mongolskich i posuwających się od zachodu na wschód kolonistów słowiańskich. Aby mieć miarę obfitości materyału archeologiczno-historycznego, będącego w rozporządzeniu członków zjazdu, dosyć zwrócić uwagę na tę okoliczność, iż uczony S. M. Szpilewskij przedłożył pracę, w objętości 500 stronnic. „O starożytnych miastach i innych rzeczonych zabytkach starożytno-bułgarskiego carstwa" (nad Kamą), z których wyjątki wydrukowano w I. tomie sprawozdań.

Z rzeczy bliżej nas obchodzących, t. I. zawiera referaty profesora Uniwersytetu kijowskiego Włodz. Antonowicza o kurhanach, wałach i jaskiniach kraju południowo-zachodniego (Wołynia, Podola i Ukrainy) i średniego biegu Dniepru, jako też wiadomości o cmentarzysku w Kijowie.

A. Sulima.

SPRAWOZDANIE

z ruchu religijnego, naukowego i społecznego.

Polityka zasad.

W styczniu b. r., pisząc artykuł p. t. „siła i prawo“, zapuściłem się bardzo daleko w możliwych dedukcyach z teoryi wszechwładztwa państwa; wypadki jednak w ciągu tego półroku poszły jeszcze dalej i prędzej, niż myślą zabiegłem. Co parę tygodni straszliwe tej doktryny illustracye oglądamy. W kwietniu roztrząsaliśmy odezwę Hartmanna. Dziś stoi przed nami dokonany fakt — fakt niesłychany w historyi cywilizowanych narodów, jedyny, albo raczej pierwszy w swoim rodzaju: rząd pruski wydał rozkaz wypędzenia ryczałtem z Prus Zachodnich i z Księstwa Poznańskiego wszystkich Polaków, którzy od niepamiętnych czasów z Kongresówki tamże emigrowali, a jest ich, podług obliczenia samego rządu, 30.000!

„Z powiatów toruńskiego, brodnickiego i lubackiego, pisze w pierwszej chwili „Gazeta toruńska“, dochodzą nas wiadomości o tłumnem wydalaniu ludzi z Królestwa Polskiego pochodzących, o rozpaczy wydalanych i o niemniej rozpaczliwem położeniu rolników, którzy często pozostają zupełnie bez ludzi. Są bowiem folwarki i wsie, z których dosłownie wszystkich wydalają, lub grożą wydalić robotników. Ludzie ci, często od 30 lat i dłużej tu mieszkają, pożenili się, mają dzieci w wojsku lub landwerze pruskiej, okupił się z nich niejeden i był użytecznym człowiekiem w kraju. Dzisiaj ma rozkaz opuścić wszystko i wychodzić za granicę, pod zagrożeniem przymusowego transportu. Niejeden nie wie nawet, gdzie się w Królestwie rodził, dzieckiem tu dotąd przybywszy, nie ma nikogo znajomego, stosunki tamtejsze obce mu zupełnie, siły stargane, — rzucony więc chyba będzie nędzy i rozpaczy na pastwę.

Zdarza się, że ludzie przestraszeni uciekają przed ujęciem ich, którego się lękają, i pozostawiają żonę i dzieci w rozpaczy, opuszczeniu i biedzie na ciężar dla gminy. Władze rosyjskie nie chcą ludziom tym dozwolić wstępu do kraju, a więc dzieje się przepędzanie za granicę z jednej, odpędzanie z drugiej strony, jak było tłumnie i zgiełkliwie w Golubiu. Żon i dzieci nie chcą władze rosyjskie przyjmować wcale.

Tymczasem rolnicy w rozpaczliwem położeniu, ludność w poruszeniu, roboty w zawieszeniu wnet będą zupełnie, gdy zaś żniwa nadejdą, trudno sobie wyobrazić, co się będzie działo i na czem się skończy.

Na tę wieść, jęk boleści i zgrozy rozległ się po całym kraju. 4-go maja wniesioną została w sejmie pruskim interpelacya, której szczegóły podane są niżej w naszej korespondencyi z Berlina. Sędzia Spahn dowodził, że takie wydalanie obcych poddanych masami sprzeciwia się prawu narodów i przytaczał pierwsze powagi prawnicze Niemiec. Virchow uważał, że chociaż dziś Rosya nie użyje zapewnie represalii na owych stu tysiącach poddanych niemieckich w jej granicach osiadłych, to niezawodnie upatrzy ona sposobną na to chwilę. Windhorst przypomniał, że kiedy Francuzi z początku wojny z Niemcami wydalili Niemców ze swoich granic, wywołało to powszechne w Niemczech oburzenie i poczytane było za czyn brutalny, prawu narodów przeciwny, rząd zaś niemiecki tak dalece był o tem przekonany, że po zwycięstwie nałożył Francyi osobny haracz, na wynagrodzenie krzywdy tym wydalonym zrządzonej. Jakżeż więc ci, którzy ten postępek Francyi we wojnie za krzywdę uznali i jako taki ukarali, mogą to samo czynić wśród pokoju? Poseł Łyskowski, obywatel Prus Zachodnich, pokazywał, że to nagłe wydalenie masy robotników z prowincyi, z resztą wyludnionej przez emigracyę do Ameryki, rujnuje ekonomiczne prowincyi stosunki. Inni zwracali uwagę, że żaden cudzoziemiec nie będzie mógł nadal bezpiecznie w Niemczech się osiedlać, coby wielką przemysłowi szkodę przyniosło. Inni znów wytykali nieludzkość i barbarzyństwo takiego nagłego wydalania całej ludności, zrywania familijnych, majątkowych i obywatelskich więzów, w ciągu długich lat wytworzonych, skazywania tysięcy ludzi, nawet wiekowych, na tułactwo i chleb żebraczy... Cóż winni ci nieszczęśliwi, że im władze pruskie od kilkudziesięciu lat spokojnie się osiedlać pozwalały? jakim prawem pociągano ich do służby wojskowej pruskiej, jeżeli ich nie uznawano za obywateli? co poczną ci, co się w Prusach ożenili i dzieci mają, jeżeli im z tamtej strony granicy tem samem prawem żonę i dzieci jako poddane pruskie przepędzą? — Na te wszystkie wywody: rozumu, prawa narodów, sprawiedliwości, ludzkości, minister pruski miał tylko jednę odpowiedź: interes państwa tego wymaga, bo żywioł polski wzrasta. Był nawet „zdumiony“ twier-

dzeniem posła Spahna, że rząd nie ma prawa tak postąpić. I taka teorya, powiedział, sprzeciwiałaby się najwyższej niezawisłości państwa! W interesie swego bezpieczeństwa rząd nie może się żadnemi krępować względami.

Niepodobna się jaśniej wyrazić: Cokolwiek podoba się rządzącym uznać za leżące w interesie państwa — *quidquid Caesari placuerit*... to im wykonać wolno, mimo sprawiedliwości, mimo ludzkości, mimo praw nabytych, wbrew wszystkiemu — inaczej dogmat omnipotencyi ginie. Doprawdy teorya dorównuje czynowi, bez przykładu w historyi i bez nazwy w języku ludzkim!

Słusznie i z godnością przewódzca centrum po nad wrzawą tej smutnej walki postawił zasadę wręcz przeciwną doktrynie ministra pruskiego. „Panowie, jest jeszcze wyższy trybunał od pruskiego „ministerstwa, który wglądnie kiedyś w czynności tego ministerstwa; „tą wyższą władzą jest moralność publiczna, duch chrześcijańskiej „cywilizacyi panujący nad światem".

Niejeden z płytko myślących słuchaczów z uśmiechem zapewne przyjął te słowa, jako marne słowa; ale ten co stworzył ten cały system gwałtów i myślał, że siłą wszystkiego dokona, ten wie dobrze, że ów duch, którego Windthorst zaklął, nie jest czczą marą; bojąc się go, chciał go w własnem gnieździe, w Kościele katolickim dosięgnąć i stłumić; ale dziś, kiedy mu się ten zamach nie udał, kiedy widzi jak zewsząd z głębi sumień ludzkości ten duch przeciwko niemu się podnosi, zapewnie już sam rozumie, że jego dzieło nie ma długiej przyszłości — i że nie kto inny, tylko ten duch je rozsadzi.

Tem dziwniejszą jest rzeczą, że nie wszyscy u nas rozumieją potrzeby polityki zasad, potrzeby tem większej, im większy ogrom siły przeciwko nam powstaje.

Koło polskie w parlamencie berlińskim, pod wpływem kilku znakomitych ludzi i także w skutek szczęśliwego zbiegu okoliczności, trzyma się tej polityki zasadniczej: w sprawach religijnych stoi na gruncie katolickim, t. j. Kościoła katolickiego, w sprawie narodowej na stanowisku zrobionym Polakom przez międzynarodowe traktaty porozbiorowe, we wszystkich innych kwestyach na stanowisku ab-

solutnej sprawiedliwości i prawa przyrodzonego. I tak, odrzuca prawo wyjątkowe przeciw socyalistom, nie iżby socyalistom sprzyjało, ale że prawa wyjątkowe uważa jako złe w zasadzie; przemawia w obronie gnębionych Alzatczyków i Duńczyków, nie w skutek umowy o wzajemną pomoc, ale że widzi u nich gwałcenie tych samych praw przyrodzonych i zasad, za któremi samo obstaje. W ten sposób Koło polskie, chociaż niemające żadnej politycznej spójni z frakcyą centrum, prawie zawsze razem z nią głosuje, popiera ją i poparcie u niej znajduje: bo jednakowe zasady prowadzą obie frakcye do jednakowych wniosków. I dziś, kiedy nas wszyscy politycy, nawet francuscy i angielscy, jako już nieużytecznych w świecie, opuszczają, zdarza się to, czemuby przed 20 laty nikt nie uwierzył: ci sami Niemcy katolicy, którzy na frankfurtskim bundestagu tak wrogo przeciwko nam występowali, walczą teraz w obronie naszych interesów, nietylko religijnych, ale i narodowych, bo widzą w naszem Kole zasady i przekonania.

Otóż taka polityka Koła nie podobała się pewnej szkole naszych statystów, w oczach której zasady w polityce są czemś równie zapleśniałem, jak metafizyka w umiejętności. Pojawił się tedy w *Kraju*, (Nr. 10) artykuł następny, p. t. Fałszywa metoda polityczna, krytykujący *ex offo* stanowisko naszego Koła w Berlinie z punktu tej szkoły. Wziąwszy sobie za temat mowę posła ks. Jażdżewskiego, „jako typową i dokładnie malującą stanowisko zasadnicze, zajęte przez reprezentacyę poznańską“, autor trafnie charakteryzuje to stanowisko, „jako opierające się na prawie boskiem, przyrodzonym i traktatowem“. Każde następnie z „tych dział ciężkiego kalibru“, jak je nazywa, poddaje cenzurze. Prawo boskie z uszanowaniem salutuje, ale spycha je do zakrystyi, grzeczną uwagą, „że to rzecz zrozumiała w ustach posła-kapłana“. Czemużby *a pari* nie odprawić do apteki słów posła-doktora, a słów posła-profesora do szkoły? W zawodzie politycznym nie ma różnic stanów i professyi; ale jeżeli w ogóle jaki stan więcej do niego uzdatnia i usposabia, to chyba ten, co głębiej daje poznać społeczeństwo i więcej w nim budzi zaufania. Zresztą nie o to idzie, kto mówi, lub pisze, ale co twierdzi i jak uzasadnia. Kto spycha, co ksiądz powiedział, czy w polityce, czy w nauce, dla tego samego, że ksiądz powiedział, ten niepochlebne daje sobie świadectwo, że powoduje

się w zdaniu więcej powagą autora, niż treścią i dowodami. (To tylko nawiasowa odpowiedź nie do samego *Kraju* skierowana).

Dalej prawo przyrodzone również zbywa autor, „jako zardzewiały oręż, bezsilny w obec Niemców, twardych w polityce realistów". Głównie zaś wojuje przeciwko powoływaniu się na prawo traktatowe, dowodząc, że gdyby traktat wiedeński dziś w całości obowiązywał, to nie byłoby autonomicznych Węgrów, niepodległych Serbów, Rumunów i t. d., tudzież, że o ważności traktatów spierać się mogą tylko strony kontraktujące, myśmy zaś nie byli stroną, tylko objektem układów. W tym całym wywodzie jest wiele sofistyki: bo, że późniejsze traktaty przyznały innym narodom nowe prawa, których dawniejsze nie uznawały, czyż to ma znosić prawa nam przez dawniejsze traktaty przyznane a z tamtemi wcale niekolidujące? Któż kiedy słyszał w prawie publicznem, żeby każdy nowy traktat w Europie miał *ipso facto* wszystkie poprzednie w całości znosić? Nieprawdą jest też, żeby naród mógł być czystym objektem w układach. Choćby się o nim bez niego radziło i stanowiło, zawsze mu się przyznaje lub odmawia pewnych praw, jako do niego należących. W szczególności, w historyi kongresu wiedeńskiego widać, że tam radzono o naszym narodzie *de me sine me*, jak mówi *Kraj*, nie jako o rzeczy, ale jako o osobie moralnej wziętej w kuratelę. Odmówiono mu, po długich naradach, samoistności politycznej, ale za to przyznano mu i zagwarantowano wszelkie prawa do narodowego bytu i rozwoju należące. Twierdzić, że nie możemy się na to uroczyste uznanie naszych praw powoływać, jest to zstępować własnowolnie z godności osoby do rzędu rzeczy.

Wszelako nie tyle sofistyka tych wywodów uderzyła Wielkopolan, ile sam zamiar zepchnięcia ich z „polityki zasadniczej" na manowce oportunizmu. Obie główne gazety poznańskie, *Kuryer* i *Dziennik*, przedstawiając dwa stronnictwa wielkopolskie, jednomyślnie i z prawdziwem oburzeniem odparły te nieproszone rady. Opinia całego księstwa podzieliła to oburzenie i nawet własny korespondent *Kraju* z Wielkopolski wypowiedział mu służbę.

Kraj przecież nie dał za wygraną. Ponieważ dawano mu odprawę jako obcemu miejscowym stosunkom, więc wznowił polemikę w formie korespondencyj z Księstwa Poznańskiego. W 12 Nrze mianowicie

jest zręcznie napisana korespondencya wrzekomego prenumeratora *Kraju*, w której autor — niezawodnie ten sam, co napisał „fałszywą metodę polityczną“ — oczyszcza się z zarzutów prasy wielkopolskiej i dalej swoje prowadzi, wmawiając w Poznańczyków, że ich „zasadnicza polityka“ drażni tylko niepotrzebnie, a do żadnego pozytywnego rezultatu nie doprowadziła i doprowadzić nie może. Tym razem jeden z byłych członków Koła jął za pióro i dał *Krajowi* tak zwycięzką replikę, (w *Kuryerze* z 26 kwietnia), że *Kraj* w następującym numerze, z godnym uznania rozsądkiem, wycofał się zupełnie.

Przenosząc odrazu sprawę na wyższe stanowisko, autor tej repliki przypomina, że pozytywnym rezultatem jest nietylko materyalna i chwilowa korzyść, ale przedewszystkiem zaufanie wyborców, podniesienie ducha narodu, stała przyjaźń ludzi zasad z obcych nawet narodowości. Polityka oportunizmu przyniosłaby nam w najlepszym razie przejściowe i podrzędne ulgi, ale kosztem tych korzyści wyższego rzędu, które tylko polityka zasad zdobyć może i faktycznie nam zdobywa.

„... Sądzimy, pisze autor repliki, że ów mniemany „korespondent“ przemawia w dobrej wierze, z głębokiego przekonania; mimo to jednakże poglądy jego uważamy za najzupełniej błędne i pierwotny nasz sąd o nich w całej utrzymujemy surowości. Autor chciałby niezawodnie wprowadzić posłów naszych na lepszą i skuteczniejszą drogę, aniżeli powoływanie się na traktaty wiedeńskie i inne — chciałby ze swej strony dać podnietę do zaniechania dotychczasowej drogi, i sądzi, że umiejąc doskonale bronić *les causes perdues* — jest do tego zupełnie uprawniony. My jednakże zniewoleni jesteśmy odmówić mu tej kompetencyi, zwłaszcza, że sprawy naszej, nie uważamy za „straconą“, choć jest „zwyciężoną“ i nie przestaniemy domagać się praw naszych i na téj podstawie, którą autor z takim zasobem dyalektyki potępia.

„Prenumerator“ ów, widocznie wierzący w efekt „natchnienia krasomówczego“ i obeznany ze sztuką wpływania i przekonywania słowem z trybuny — nie dziw, że ma niejedno do zarzucenia występom polskich posłów pod względem oratorskim. Nie dziw, że mu się „bagaż“, wywlekany metodycznie w mowach sejmowych, wydaje zbyt ciężkim, niepraktycznym, niedogodnym, a sam sposób przedstawienia go nieraz może i nudnym; — słusznie może przypuszcza, że podobnież działa on nieraz i na słuchaczów Niemców, a ztąd i wrażenia nie wywiera w sejmie, gdzie zwykle wielu posłów niemieckich ze sali wychodzi, skoro tylko o traktatach jest wzmianka. Ale myli się, gdy przypuszcza, że na wyborców wrażenia to nie robi, gdy im się przypomnieniem tem przedstawia, jak dalekim jest rząd względem nas od tego, czego dotrzymać święcie się zobowiązał. My najlepiej zresztą wiemy, czemu to zawdzięczamy powodzenie naszych wieców i rozbudzone bardziej niż w innych dzielnicach byłej Rzeczypo-

spolitej, poczucie narodowe. Dla nas więc powoływanie się na słowa królewskie, na patenty i traktaty nie jest wcale metodą bezużyteczną, którąby należało wyrzucać na strych pomiędzy stare rupiecie, choć sami doskonale wiemy, że obok tej broni innych używać potrzeba dla podniesienia oświaty ludu i obrony potrzeb jego. Ale my wierzymy w siłę zasad, siłę biernego odporu, gdy w obec przemocy innych środków legalnych nie ma, a nielegalnych, podstępu nie chcemy. Zaiste nie nam wierzyć w fałszywość i szkodliwość metody Koła polskiego, skorośmy sami jej pożytku na sobie doznali, a i przeciwnik sam nam to przyznaje, że choć materyalnie słabi, nie upadamy. Ale nowa szkoła polityków petersburskich, którąby nas na nową drogę wyprowadzić chciała, w siłę tę nie wierzy; ona wierzy tylko w skutek taktyki i dlatego nam ją poleca.

„Mamy przestać drażnić rządy i większoście opozycyą zasadniczą, powoływaniem się na nasze stare prawa, przyznawaniem się nawet głośno do tego, że wierzyć nie przestaliśmy w niepodległość narodu naszego w przyszłości; mamy szukać paktów nowych, aby przy ich pomocy wyzyskać obecną chwilę na naszą największą korzyść; możeby i wypadło w dalszej konsekwencyi wyrzec się przyjaciół naszych i zasadniczej i nieustraszonej obrony sprawy, którą wespół z nimi od lat dwunastu z równą zaciętością, jak naszego języka, bronimy. My jednak wiemy z dawniejszego i świeższego doświadczenia, że takie zakusy nam nigdy na dobre nie wychodziły, że przeciwnie tylko nas osłabiały. Przeciwnicy nasi obecnie zresztą nigdy nam dowierzać nie będą i w spółce z nimi my chyba bylibyśmy oszukanymi. Przyjdzie może wnet chwila, gdy sami nas zapotrzebują i kusić nawet będą; ale głupim byłby ten u nas, ktoby się na tem złapał i w intencyi wyzyskania chwili obecnej wyparł się metody, która z takim, jak nasz, przeciwnikiem przystoi, nie powiadamy jedynie, ale w pierwszym rzędzie. Przyznajemy i to, że metoda ta „komunikacyę“ utrudnia, ale te złe trakty i mosty zbutwiałe, jak ją dowcipny „prenumerator“ nazywa, utrudniają także przystęp do nas, do naszego ludu, i to odgraniczenie strzeże go od zniemczenia...

„Upatrujemy w wystąpieniu *Kraju* objaw oportunizmu nie zupełnie nam zrozumiały w naszych stosunkach, który się chyba tamecznemi dałby wytłumaczyć, i mamy nadzieję i pewność, że nie wpłynie na zarzucenie metody uświęconej oddawna w Kole polskiem, choćby ona nie była sympatyczną tym, co potępiają odwołanie się do praw dawnego porządku rzeczy“.

Zatrzymaliśmy się nieco nad tą polemiką, bo jest prawdziwie pouczającą. *Kraj* może nie bez powodu ostrzega, żeby nie krzyczano za głośno. Ale też posłowie i publicyści wielkopolscy są niezawodnie najkompetentniejsi do wyboru drogi w swojej państwowej polityce i niezawodnie wybór ich jest najlepszy. Tylko polityka zasad może znaleść oddźwięk w masie na wskróś katolickiej naszego narodu i zespolić ją duchem i przekonaniami z jej przewódcami. Tylko ta polityka może nam zjednać stałą przychylność i zaufanie jedynych stronnictw, na których przyjaźń my Polacy liczyć możemy, to jest stronnictw zasad katolickich — bo choćbyśmy na głowie stawali,

sekciarzy dla naszej sprawy nie zjednamy. Tylko ta polityka może być skutecznie przeciwstawioną temu ogromowi sił przeciw nam sprzysiężonych. Tylko ona może nam zjednać błogosławieństwo Boże, bez którego inne sprawy — mniej związane z Królestwem Bożem na ziemi — mogą się materyalnie udawać, ale naszej sprawie z pewnością by się nie powiodło.

Życzymy więc Kołu polskiemu w Berlinie wytrwania na stanowisku.

X. M. Morawski.

Sprawy Stolicy św.

Pielgrzymka niemiecka, przemówienie Ojca św. — Zakaz uroczystego przenoszenia Przen. Sakr. do chorych; cyrkularz kard. Wikarego w tym przedmiocie i zdania o tem dzienników liberalnych. — Bulletyn ministerstwa o mianowaniu biskupów. — Zebranie biskupów węgierskich. — List z Beyrutu. — Synod biskupi w Baltimore. — Jubileusz kapłański Ojca św. — Nowa książka.

W dniu 3 maja przyjmował Ojciec św. na solennej audyencyi pielgrzymkę niemiecką. Przed audyencyą, pisze *Moniteur de Rome*, wszyscy pielgrzymi udali się na modlitwę do grobu Apostołów; tam wysłuchali mszy kardynała w. penitencyaryusza Monaco de la Valetta i z jego rąk przyjęli Komunię św. Około południa zebrało się w Watykanie w wielkiej sali książęcej na audyencyę Ojca św. około 400 pielgrzymów złożonych z deputacyj katolików pruskich i różnych części Niemiec, jakoteż z kilku prowincyj austryackich. Przewodniczył im książe Karol Loewenstein jako przełożony kongresów katolickich w Niemczech i baron Bodmann promotor pielgrzymki. Znajdowali się tam także między innymi: bar. Rochów, hr. Pettenberg szambelan cesarza austryackiego, dwóch hrabiów Droste-Vischering, hr. Wallendorf z rodziną, bar. Brenken także z rodziną, hr. Schoenborn z matką, hr. Robiano, hr. Schoenberg, hr. Loehr, p. Lingens , kanonicy, kapłani, zakonnicy, profesorowie, adwokaci, etc.

Do pielgrzymów przyłączyła się wielka liczba osób z państwa niemieckiego i Austryi, zamieszkałych w Rzymie tak, że wielka sala książęca była literalnie nabita, gdyż znajdowało się w niej więcej niż 1200 osób.

Ojciec św. wszedł nieco po 12-ej w otoczeniu prałatów i dworskiej świty, oraz 20 biskupów, pomiędzy którymi biskupi Aichner z Brixen, biskup Fiala nominat bazylejski i szesnastu biskupów irlandzkich obecnie w Rzymie zgromadzonych. W orszaku Ojca św. znajdowało się piętnastu kardynałow, między którymi J. E. kard. Ledóchowski.

Wejście Ojca św. powitano śpiewem *Tu es Petrus*, wykonanym przez uczniów kolegium germanieum; poczem baron Bodmann przedstawiony Ojcu św. przez księcia Loewenstein złożył przed tronem papieskim wyraz uczuć synowskich całego zgromadzenia i odczytał adres po łacinie.

Widocznem było wzruszenie Ojca św. na ten objaw szlachetnych uczuć katolików niemieckich, powstawszy z tronu wypowiedział stojąc mowę, którą podajemy w dosłownem tłumaczeniu:

„Ukochani synowie: Drogocenny powód radości, jaki nam przynosi dzień dzisiejszy, zwiększa jeszcze i podnosi oświadczenie waszej miłości i pobudek, jakie was sprowadziły dla uczczenia tej Stolicy Apostolskiej. Oświadczając wam tedy nasze uczucia ojcowskie, pochwalamy najzupełniej wspólne wasze postanowienia, i pokładając jedynie ufność naszą w Bogu, który jest źródłem i podporą wszelkiego dobrego przedsięwzięcia, mamy nadzieję, że życzenia wasze spełnionemi zostaną i że w tem mieście Rzymie, centrum katolicyzmu, miejscu poświęconem przez męczeństwo Piotra św., dano wam będzie zaczerpnąć, jak tego pożądacie, nowego bodźca w cnotach chrześcijańskich, a mianowicie wytrwałości tyle dzisiaj potrzebnej.

„Co do nas, poświęcamy starania nasze sprawie katolicyzmu w Niemczech i podziwiamy otwarcie czyny szlachetne i znakomite tylu ludzi wsławionych w obronie religii ojców, jakoteż gorliwość w uprawianiu pobożności i okazywaniu przywiązania do papieża rzymskiego i chętnego posłuszeństwa dla biskupów, oraz gorliwości w dziełach miłosierdzia wspaniałomyślnie spełnianych. Nie możemy także pominąć milczeniem tego, co jest najlepszą rękojmią tej waszej sprawy tak zbawiennej, a mianowicie, jedności umysłów i serc. Zatwierdzoną jest ona dorocznymi u was kongresami, gdzie celem waszym wspólnym jest rozszerzenie wiary i załatwienie spraw tyczących się ogólnego dobra Kościoła.

„Dlatego też od początku pontyfikatu naszego, staraliśmy się najtroskliwiej o to, coby mogło przywrócić wolność i pokój katolikom w Niemczech. Na wielki zakrój wzięliśmy inicyatywę w urządzeniu tych spraw, a odtąd nie przestaliśmy poświęcać temu wszelkich zabiegów. W traktowaniu tak ważnej rzeczy postępowaliśmy z jak największą uczciwością, również okazywaliśmy wyrozumiałość, jaka się zgadza z naszem stanowiskiem. Jesteśmy nieustannie gotowi te same okazać uczucia i niech Bóg da w swej łasce, aby ztąd wyniknęły błogie skutki, to jest takie, coby ustaliły silnie pożądane porozumienie i przywróciły pokój tak dawno upragniony przez katolików. Uważamy, że byłoby to dobrodziejstwem nietylko dla Kościoła, ale i dla państwa niemieckiego.

„Gdy myśli nasze i starania poświęcone są tak ważnej sprawie, chcielibyśmy drodzy synowie, abyście wy, tak gorliwi o sprawy wiary, działali wspólnie z nami i w innej rzeczy. Chcemy mówić o wytrwałości, z jaką należy się opierać nieprzyjaciołom religii i porządku, szczególnie stowarzyszeniom złym (masonii), potępionym przez władzę kościelną, a których zamachy i cel, ku jakiemu zmierzają, są już dziś dostatecznie znane; idzie przedewszystkiem o zasłużenie się sprawie publicznej, jakeście dotąd czynili, przez poświęcenie wytrwałe i jednomyślne wszelkich starań i sił waszych w powstrzymywaniu postępu socyalizmu, usiłującego obalić podwaliny społeczności ludzkiej.

„Otóż nie można znaleść pewniejszego lekarstwa przeciw tak wielkiemu złemu, jak religia chrześcijańska i tam to wierni szukać powinni środków, aby zapobiedz tak ważnym i licznym niebezpieczeństwom. W końcu pomni na przepisy miłosierdzia i dobroczynności usiłujcie poprawić los wyrobników i proletaryatu, i bądźcie przekonani, że wszystko, co uczynicie przez wasze stowarzyszenia i waszą pracę ku podniesieniu ich bytu, będzie najzbawienniejszem. Rzeczywiście robotnicy są przedewszystkiem godni poratowania, gdyż życie ich więcej jest narażone na zgubne pokusy i zasadzki złego.

„Praktykując te cnoty okażecie, że obywatele o tyle są lepszymi i użyteczniejszymi sprawie publicznej, im święciej trwają w przepisach wiary katolickiej.

„Więc też prosimy Boga, aby was utwierdził w wykonaniu wszystkich waszych obowiązków i jako zakład tych łask niebieskich

na świadectwo Naszej przychylności ojcowskiej, udzielamy wam miłościwie w Panu błogosławieństwa apostolskiego, wam, waszym rodzinom i wszystkim katolikom w Niemczech".

Po tem przemówieniu i błogosławieństwie przełożeni pojedyńczych grup przypuszczeni byli do ucałowania stopy i ręki Ojca św. i złożenia ofiar.

Pielgrzymka niemiecka wielkie wrażenie uczyniła w Rzymie; pielgrzymi gromadzili się kilkakrotnie w wspólnych ucztach i wspólnych posiedzeniach. Wiele wypowiedziano mów świetnych i gorących, a zawsze cześć i miłość Ojca św. były na pierwszem miejscu.

Serce zastępcy Chrystusa Pana pocieszone bywa objawami tego rodzaju, wśród ciężkich okoliczności obecnych, gdzie co chwila niewiara i przewrotność zapamiętała, nowe zadają mu rany. Do tych należy świeżo wydany przez prefekta miasta Rzymu zakaz przenoszenia w uroczysty sposób Przen. Sakramentu do chorych, czyli tak zwanej procesyi *coi fiocchi*, od niepamiętnych czasów praktykowanej w wiecznem mieście. Z powodu tego zakazu wydał kardynał Wikary cyrkularz do proboszczów rzymskich, w którym pomiędzy innemi mówi: „Do tego więc doszły obietnice zapewniające uszanowanie dla najwyższego pasterza i religii, której on jest głową widzialną na ziemi. Gdzieindziej nie czyniono żadnych gwarancyj, lecz zostawiono duchowieństwu wolność przenoszenia Ciała Pańskiego według form liturgicznych, dla podniesienia cierpiącego człowieka. Tu w Rzymie, w siedlisku zastępcy Chrystusowego, (a może właśnie dlatego) nie jest dozwolony akt, nad którym zasady chrześcijańskie nie zostawiają pola do dyskusyi. Procesye cywilne będące obrazą sumienia i niebezpieczeństwem publicznem są dozwolone, lecz uroczyste przenoszenie Pana nad Pany jest zakazane pod grozą kodeksu karnego... Nawet u Turków widok baldachimu wywołuje uszanowanie, gdy tutaj ceremonie kościelne tylko w obrębie kościołów są wolne, a i tu nowy dekret może je ogłosić lada chwila, jako zdrożne. Cóż nazwać gwałtem wolności i sumieniu zadanym, jeżeli nie taki akt samowoli. Jeżeli gwałt ten w Rzymie popełniony nie będzie uważany solidarnie w całym świecie, jako obraza praw katolików, trzebaby zwątpić o zjednoczeniu z Stolicą Piotrową katolików po całym świecie żyjących".

To też nawet najnieprzychylniejsze sprawie Kościoła dzienniki

napiętnowały to rozporządzenie antyreligijne. Jedna z najliberalniejszych gazet *Messagero* mówi: „Jeżeli stronnicy monarchii ciągną procesyonalnie przez ulice z muzyką i chorągwiami, udając się na grób Wiktora Emanuela, jeżeli republikanie tak samo robią dla uczczenia pamięci Mazziniego i Garibaldego, dla czegóż nie miałoby być wolno księżom i wszystkim wierzącym towarzyszyć uroczyście przenoszeniu Przen. Sakramentu? Co wolno jednym, to powinno być wolno i drugim". Widoczna, konkluduje *Messagero*, że rząd ma: „dwie wagi i dwie miary". *La voce della verita* niemniej liberalny, twierdzi, że zakaz prefekta przenoszenia uroczystego Wiatyku „sprzeciwia się wszelkiej sprawiedliwości, wszelkiej legalności, a staje się szczególnie nienawistnym, mając wyłącznie na celu miasto Rzym".

„Legalność jaką rząd otacza swoje czyny, kiedy idzie o zamach na wolność Kościoła, ma tylko na celu zamydlenie oczu prostaczków. Zawsześmy otwarcie byli tego zdania, dodaje *la Voce*, że wolnomularstwo zrabowało papieża-króla na to, aby utrzymać w niewoli biskupa rzymskiego i głowę Kościoła".

Z dzienników zagranicznych protestancka *Kreuz-Zeutung*, pisze: „Rząd włoski nieszczęśliwą ma rękę we wszystkiem, co rozpoczyna przeciw papieżowi i Kościołowi. Błędy następują po błędach. Ogłaszając to rozporządzenie, zabronił tego, co jest wolnem w kraju akatolickim. Środek ten sprawił wielkie wzruszenie, a najzacieklejsi liberalni przyznają, że rząd przez te niezręczności pracuje na korzyść Watykanu".

Jakim duchem kieruje się rząd włoski w stosunku do Kościoła, niech posłuży tenor i styl bulletynu ministerstwa sprawiedliwości, podający do wiadomości *exequatur* danego nowym biskupom. Pod napisem: N o m i n a c y a b i s k u p ó w czytamy:

„Dekretem królewskim z 5 kwietnia 1885.

„Mgr. Alfons Marya Giordano mianowany jest na swoją prośbę na stolicę biskupią w Calvi, do której dołączona jest *aeque principaliter* stolica w Teano, i udziela się królewskiego *exequatur* papieskiemu *Breve*, mocą którego Mgr. Giordano ma sobie kanonicznie nadane stolice Calvi i Teano, wakujące w skutek śmierci kard. Bartłomieja d'Avanzo, którego był koadjutorem z prawem następstwa, z zastrzeżeniem praw państwa i t. d.

„Daje się *exequatur* królewskie bulli papieskiej z 10 listopada 1884, przez którą Mgr. Prosper Curti, zanominowany został biskupem dyecezyi Guastalla z zastrzeżeniem praw państwa i racyi trzecich osób, a nadewszystko bez uszczerbku praw, jakieby mogły przynależeć się koronie i uprawnić jej patronat nad wzmiankowanem biskupstwem".

Rząd uznając biskupów i dając im dochody biskupie, czyni to po upływie kilku miesięcy tytułem koncesyi zależnej od swej dobrej woli, a tem samem odwołalne. Prócz tego biskupi zniewoleni są przedstawiać bulle dla otrzymania *exequatur*, co jest nietylko nadużyciem, ale nonsensem w kraju, w którym rząd nie posiada *de facto* przywileju nominowania i prezentowania biskupów. To samo powiedzieć można o mniemanem prawie patronatu królewskiego, które rząd chce zatrzymać na wszelki sposób dla korony względem niektórych biskupstw, a które to prawo nigdy nie istniało i nigdy prawem nazywać się nie może, lecz tylko przywilejem nadanym niektórym książętom i panującym przez Stolicę apostolską. Utrzymując te swoje pretensye, mówi *Moniteur de Rome*, sprawdza rząd przysłowie rzymskie, iż chce wejść do nieba na przekór Bogu i świętym.

W Peszcie w pałacu biskupim zebrali się dnia 28 kwietnia biskupi węgierscy pod przewodnictwem kardynała Simor'a prymasa Węgier. Konferencya ta miała na celu ważną sprawę, obchodzącą żywo kraj cały. Chodzi tu o dokładne określenie patronatu królewskiego, o sposób, cel i administracyę majątków duchownych.

Punkt ten ostatni był przedmiotem ważnych rozpraw w Izbie. Biskupi i deputowani katoliccy dopominali się, aby Kościół sam administrował swobodnie swemi dobrami. Rząd był innego zdania; uznał wprawdzie pochodzenie czysto duchowne tych dóbr i przyznał także, że powinny one służyć celom wyłącznie katolickim, lecz obstawał przy tem, że państwu należy się monopol ich administracyi. To też minister wyznań rozesłał w dniu 26 marca cyrkularz do wszystkich biskupów, zapytując ich, jakimby sposobem można polepszyć byt materyalny duchowieństwa przy pomocy *Studien-* i *Religionsfond'u*.

Cyrkularz ten niezmiernej jest wagi; zmierza on poprostu do zastosowania w praktyce założenia rządowego. Biskupi nie odpowie-

dzieli dotąd i zebrali się na konferencyę, o której mówimy, dla naradzenia się. O ile słychać, jeden z arcybiskupów i jeden biskup, otrzymali od całego zebrania zlecenie zredagowania odpowiedzi zbiorowej całego episkopatu. *Magyar Allam*, dzielny organ katolików węgierskich, zwraca uwagę na ważność tej konferencyi, zwłaszcza, że obecność biskupów w Peszcie, zeszła się z obecnością cesarza i otwarciem wystawy narodowej.

Moniteur de Rome z 10 kwietnia zawiera bardzo ważną i zajmującą korespondencyę z Beyrutu, którą podajemy w streszczeniu: Najwyższe niezadowolenie panuje pomiędzy ludnością protestancką w Hain-Zaltu z powodu nawrócenia się 80 rodzin w tej miejscowości. Ojciec Cyryl Adud, mnich bazyliański, przysłany tu dla obsługi katolików obrządku greckiego, zajmuje się z największą gorliwością tymi nawróconymi, chcąc ich zasłonić przed powrotem do herezyi. Jeden z nich umarł, wówczas protestanci chcieli napowrót przyjść do prawa pochowania go, chociaż podczas choroby cały miesiąc trwającej, dwa razy był przyjął Komunię z rąk O. Adud'a. Za pretekst do tego żądania posłużyło protestantom, że chory musiał był konferować z jednym z nich w interesach osobistych. Rzecz poszła tak ostro, że się aż oparła o gubernatora Libanu, który na mocy świadectwa Druzów przyznał rodzinie prawo pochowania nieboszczyka po katolicku. Dowodzi to usposobienia wierności u konwertytów. Z drugiej strony propaganda protestancka obudza gorliwość wszystkich katolików syryjskich a mianowicie episkopatu greckiego obrządku. Staraniem patryarchy Jusefa i duchowieństwa grecko-katolickiego pozakładano szkoły, aby dzieci nie były zmuszone uczęszczać do szkół protestanckich. Patryarcha ten, którego jurysdykcya rozciąga się nietylko na greków-katolików antyochijskich, jerozolimskich i aleksandryjskich, miał tę pociechę, iż otrzymał od Jego Ści. Leona XIII. szczodrą pomoc dla założenia drugiego seminaryum w Palestynie, gdyż jedno istnieje już w Ain-Traz (pod Beyrutem).

Seminaryum św. Anny w Palestynie jest co do dyscypliny wewnętrznej pod zarządem kongregacyi misyonarzy, założonej przez J. E. kard. Lavigerie. Co do obrządku, uczniowie tego seminaryum zależą od kapłanów obrządku greckiego. W ten sposób pracują w jednym kierunku i wspólnemi siłami kard. Lavigerie i patryarcha Jusef,

stosownie do życzeń Ojca św. i wskazówek wychodzących z propagandy. Dla przysporzenia środków utrzymania tego tak ważnego zakładu, założono w Paryżu komitet św. Anny jako sekcyę specyalną stowarzyszenia szkół wschodnich.

Propaganda zadecydowała, aby Grecy przystępujący do Kościoła katolickiego zachowali swój obrządek i że nawet tym, co się dawniej przyłączyli i z braku kapłanów wschodniego obrządku przyjęli ryt łaciński, wolno jest powrócić do obrządku wschodniego. Niedawno przyłączyła się cała wieś Ramlech, 500 mieszkańców licząca. Trudności jednak nie brak; katolicy europejscy powinni pamiętać o tem, a szczególnie Francya starać się powinna o podtrzymanie wpływu swojego na Wschodzie.

Na drugiej półkuli świata niemniej ważne dla Kościoła odbywają się sprawy. Trzeci synod biskupi w Baltimore jest faktem nieobliczonym w swoich skutkach nie dla samej Ameryki, ale i dla całego świata, gdyż jest nietylko prowincyonalnym synodem zebranym dla zaprowadzenia kanonicznego porządku w sprawach kościelnych lub usunięcia sporów rozgałęzionych, ale jest zatwierdzeniem praw Kościoła, niezapewnionych jeszcze dotąd. *Przegląd katolicki nowojorski* podaje w całej rozciągłości debaty i przemówienia biskupów. „Nie można zaprzeczyć, pisze ten dziennik, że nadzieje katolicyzmu zależą od rozmiarów wzrostu Kościoła w Ameryce. Zalicza on już do swych członków daleko więcej katolików irlandzkich, niż sama Irlandya“.

Biskup z Rochester, Dr. Quaio, przytoczył w długiej mowie swojej zajmujące daty. Przed stu laty było 25.000 katolików w całych Stanach Zjednoczonych. Nie było żadnego biskupa, ani szkoły, ani domu sierót, ani szpitala, ani zgromadzenia zakonnego w całej Ameryce. W 1790 r. ks. Carroll konsekrowany był na pierwszego biskupa w Baltimore i od niego rozpoczyna się wzrost Kościoła w Ameryce. Pierwszy synod odbył się w r. 1829; biskupów było wówczas już sześciu. Drugi synod w r. 1834; katolików obliczono już na pół miliona w Ameryce, która miała jednego arcybiskupa, jedenastu biskupów, 250 kapłanów — lecz zaledwie dwanaście szkół na całą przestrzeń kraju. Na soborze trzecim, który odbył się przed kilku miesiącami, znajdował się kardynał arcybiskup nowojorski,

13 innych arcybiskupów i koadjutorów arcybiskupich, 61 biskupów i wikaryuszy apostolskich, 6.835 kapłanów; pod kierownictwem tych następców apostolskich znajduje się 7.763 kościołów i kaplic, 108 seminaryów, kolegiat i wyższych akademij. Sieroty i starcy mieszczą się w 294 domach przytułku a chorzy w 139 szpitalach. Szkół chrześcijańskich istnieje obecnie 2.532 a ludność katolicka obliczoną na 6,623.126. Bardzo pożądany jest Uniwersytet katolicki, na koszta którego wniosła panna Caldwell's 300.000 dolarów. Oto szczegóły, którymi niezawodnie krzepi się serce Ojca chrześcijaństwa.

Leon XIII. za lat dwa będzie już mógł obchodzić pięćdziesięcioletni jubileusz swego kapłaństwa. Stowarzyszenie młodzieży katolickiej włoskiej urządza obchód solenny tego jubileuszu. Program jego taki: Najprzód związek wspólnych modlitw o pomyślność Kościoła i zachowanie życia Ojca św.; następnie wystawa w Watykanie przedmiotów sztuki i przemysłu, odnoszących się do obrządków kościelnych, któreto przedmioty będą ofiarowane Ojcu św.; dalej *missale*, czyli mszał ofiarowany w tym dniu Ojcu św. przez wszystkich katolików całego świata, nakoniec pielgrzymka do grobu apostołów.

Porozumiewać się można tak pod względem wystawy, jak i składek pod adresem: Komandor Jan Acquaderni, via Mazzini Nr. 94 w Bolonii. W Rzymie znajduje się podkomitet dla tej sprawy.

Na zakończenie notuję ukazanie się zajmującej książki, są to: Pamiętniki prefekta policyi (Paryż Rouff et Comp. 1885), znanego z zamykania klasztorów w Paryżu, p. Andrieux. Głównym celem tej książki jest zatrzymanie młodzieży francuskiej od rzucania się w objęcia masoneryi. Co opowiada p. Andrieux jest wiarogodne, gdyż sam był członkiem sekty i należał do najwyższej rady. Tajemnice, jakie odsłania, nie są nowe, a zasady dostatecznie wyjaśnione, lecz szczegóły wielce ciekawe. Magnan, który był mistrzem loży w ostatnich czasach cesarstwa francuskiego, wprowadził idee monarchiczne, przy ucztach spełniano toasty na cześć panujących; pod przewodnictwem Gambetty loże zwróciły się głównie przeciw Kościołowi.

Pan Andrieux nie robi sobie skrupułu z odkryć, jakie czyni: przysięgał „pod mieczem", jak mówi, i dlatego zdradza, narażając

przytem głowę swoją. Drugi tom tej ciekawej publikacyi jest pod prasą; skoro się ukaże, zdamy o niej na innem miejscu obszerną sprawę.

A. D.

Z Petersburga.

(Obchody tysiącznej rocznicy zgonu św. Metodego. — Mikołaj Kostomarow).

Z gazet już zapewne wiecie o uroczystych obchodach tysiącznej rocznicy zgonu św. Metodego we wszystkich głównych miastach państwa rosyjskiego d. 6 (18) kwietnia. Bodaj, że najuroczystszy obchód był w Kijowie. Tysiące ludzi uczęstniczyło w procesyach i nabożeństwach cerkiewnych. Wieczorem odbyło się posiedzenie publiczne, pod przewodnictwem b. metropolity serbskiego Michała, który wypowiedział dwie mowy, jednę po serbsku, drugą po rosyjsku. Nadto przemawiali profesorowie uniwersytetu Daszkiewicz i Floryński, prezes zaś towarzystwa słowiańskiego Riegelmann ofiarował 10.000 rubli sr. na szerzenie znajomości języka rosyjskiego między Słowianami nierosyjskimi. Tak samo w Moskwie uroczystość obchodzoną była procesyą i nabożeństwem w soborze uspeńskim, w uniwersytecie zaś odbyło się posiedzenie towarzystw naukowych: „Dziejów i starożytności“, oraz „Miłośników literatury“. Wieczorem dany był koncert przez Towarzystwo słowiańskie, na którym między innemi odśpiewano hymn słowiański na cześć św. apostołów Cyryla i Metodego, ułożony przez Czajkowskiego ze starożytnych melodyj słowiańskich. Wspaniały był obchód tej uroczystości w Petersburgu. Procesya z soboru kazańskiego do soboru Izaaka, z metropolitą, kilku arcybiskupami i biskupami, przy nader licznem zgromadzeniu publiczności, posiedzenia w Akademii nauk, w Uniwersytecie, w miejskiej Dumie, wieczorem zaś uroczyste posiedzenie Towarzystwa słowiańskiego, w obecności licznego grona dygnitarzy, duchownych, cywilnych i wojskowych, członków akademii, profesorów, uczonych, literatów i kilku tysięcy publiczności. Byli tu obecni goście słowiańscy, przybyli na obchód: Kliment, metropolita bulgarski; Mitrofan, teraz wyświęcony w Petersburgu na biskupa czarnogórskiego;

były minister, prezydent gabinetu serbskiego, Jowan Ristic; oraz przybyli ze Lwowa mianujący się delegatami Rusinów galicyjskich: ks. Naumowicz, redaktorowie: Płoszczański i Marków, a także pięciu włościan. Na tem posiedzeniu pierwszy przemówił minister Ristic w języku serbskim, twierdząc, że obchód uroczystości św. Metodego jest „tryumfem religijnym, narodowym i cywilizacyjnym". Naumowicz mówił „o jedności po krwi i duchu Rusi Halickiej z wielkim narodem rosyjskim". Z liczby wielu innych przemówień zwróciła na siebie szczególną uwagę mowa profesora Łamańskiego, z której przytaczamy tu następujący ciekawy ustęp:

„Prawosławna Rosya czci tysiącletnią pamięć pierwszych nauczycieli słowiańskich. Czczą ją również inni Słowianie współwyznawcy nasi: Słowianie haliccy, serbscy... czczą ją dzielni synowie Czarnej Góry. Czczą i wielbią pamięć apostołów słowiańskich, aczkolwiek nie wspólnie z nami, także i inni pobratymcy nasi, obcy nam wyznaniem. Ale, z tych ostatnich, jedni szczerze się skarżą, że w piśmie słowiańskiem nie używamy liter łacińskich, a w nabożeństwie języka łacińskiego, drudzy znowu także szczerze narzekają na to, że zatracili u siebie liturgię słowiańską i marzą o powrocie do rytuału dawnej, przedhildebrandowskiej służby Bożej w Kościele rzymskim. Wszystko to świadczy, że jakkolwiek poglądy i pożądania są różne, w głębi hołd dla zasług i prac św. Cyryla i Metodego przepełnia wszystkie serca słowiańskie; gdyby podobna było dojść do jedności między nimi, to rzeczywiście stanowiliby oni Europę świętych Cyryla i Metodego".

Podobne uroczyste obchody miały także miejsce w Odessie, Charkowie, Kursku, Kazaniu, Tyflisie, nawet Taszkiencie, a także w Warszawie, Wilnie, Kielcach i innych miastach. Notuję tylko fakta, komentarz do nich, niech sobie czytelnik sam dorobi.

Ta cześć i uwielbienie słowiańskich apostołów, dziś powszechne w całej Rosyi, bodaj najpierwej powstały przed czterdziestu kilku laty w Kijowie, gdzie po r. 1840 utworzyło się bractwo śś. Cyryla i Metodego, a jednocześnie Towarzystwo słowiańskie, którego zadaniem było, oprócz prac naukowych, wspólność, jedność i braterstwo wszechsłowiańskie. Założycielami byli: Kulisz, Biełozierski, Szewczenko poeta, najwięcej zaś do tego przyczynił się Mikołaj Ko-

stomarów, ówczesny profesor historyi rosyjskiej w uniwersytecie kijowskim.

I dziwnym zbiegiem okoliczności, w tym samym czasie, kiedy tak uroczyście obchodzono tysiączną rocznicę zgonu św. Metodego, ten sam Kostomarów, d. 7 kwietnia umiera w Petersburgu.

Imię Kostomarowa, jako historyka, głośne jest nietylko w Rosyi i na całym obszarze Słowiańszczyzny, ale nawet i w Europie, gdyż niektóre z prac jego były tłumaczone na obce języki. Z urodzenia, z wychowania był to Małorusin, kochał nad życie swój kraj rodzinny, pisał dużo po małorusku, chociaż wszystkie ważniejsze jego prace wyszły w języku rosyjskim. Jako historyk, Kostomarow pierwszy bodaj w Rosyi poruszył ogromy źródeł archiwalnych, które dla niego stały otworem, gdy przedtem dla wielu były zupełnie nieprzystępne. Oprócz bogatych zbiorów w bibliotece publicznej, w zbiorach komisyi archeograficznej, Muzeum Rumiancowskiem (w Moskwie), korzystał on z archiwów ministeryum spraw zagranicznych w Petersburgu i Moskwie, wojennotopograficznego *Depôt* przy ministeryum wojny, z metryki litewskiej (przy senacie), z archiwów Sapieżyńskiego w Dereczynie (dziś w Wilnie), z nieświeżskiego archiwum Radziwiłłów, z prywatnego archiwum ks. Suworowa, (w którem przechowują się własnoręczne listy Katarzyny do feldmarszałka Suworowa) i innych. Talent był to wielki. Można było w wielu razach niezgadzać się z Kostomarowym, ale niepodobne było nie uszanować jego przekonań. Prawie zawsze z opowiadań jego tryskała prawda, wiedza głęboka, znać było pracę wytrwałą i ten pogląd orli, który odczuwa, realizuje, uosabia dzieje, ludzi, wypadki. Czytając jego monografie, mimowoli człowiek przenosi się w epokę, którą on opisuje, poznaje ludzi, o których mówi, a tak poznaje, że wyglądają jak dawni i dobrzy jego znajomi. Kostomarów nie ulegał historycznym powagom; owszem, uważał za swoje zadanie, nielitościwą krytyczną loiką, prawdą niezłomną, opartą na źródłach mało lub wcale przed nim nieznanych, zdzierać aureolę z tych, których tradycya, lub historyczne nieporozumienia uwieńczyły nieśmiertelnością. Przez całe wieki wierzono, że Dymitry Doński był wielkim bohaterem i mężnym wodzem, w czasie pamiętnej bitwy z Mongołami na Kulikowem polu (w r. 1380). Kostomarów zaś dowiódł, że był to tchórz i w czasie bitwy krył się gdzieś w krzakach.

Urojono sobie, że był na świecie jakiś Iwan Susanin, który dał się zamordować Polakom, ażeby zmylić ich pogoń za carem Michałem Fiedorowiczem. Znaną jest nawet powszechnie opera narodowa rosyjska: „Życie za cara“, na tem tle osnuta. Kostomarów obalił ten fakt, a nawet podał w wątpliwości istnienie takiego Susanina. Tak samo zrodził on wielką wątpliwość o rzeczywistości zamordowania carewicza Dymitra Iwanowicza, a ztąd i wnioski, że car Dymitr, mąż Maryny Mniszchówny, był samozwańcem, również ulegają wątpliwości. Oddawna istnieje w historyi przekonanie, że założyciele państwa ruskiego Ruryk, Sineus i Truwor zostali wezwani ze Skandynawii i byli Waręgo-Russami. Kostomarow zaś twierdzi, że przyszli oni nie ze Skandynawii, ale ze Żmudzi litewskiej, z nad rzeki Rosi, gdzie jest miasto Rosienie, a przedtem cała kraina nosiła nazwę Rusi. Teorya ta miała wielki rozgłos i obudziła nadzwyczajne zainteresowanie się. Nie zgadzano się z nim, broniono starych mniemań, a jednak i najzawziętsi przeciwnicy musieli przyznać, że teorya ta naprowadza na nowe tory badań i że główna podstawa poprzednich twierdzeń Karamzina, Sołowjewa i wielu innych jest zachwianą. Profesor Iłowajski, znany historyk, nie podziela w zupełności teoryi Kostomarowa; ale nie wierzy już, ażeby Waręgowie ze Skandynawii byli owymi domniemanymi założycielami państwa; sądzi bowiem, że Rusini byli aborygonami tej ziemi. Inny znów historyk, Kwasznin-Samaryn, chętniej się godzi z Kostomarowem i powiada, że „można robić jakie kto chce przypuszczenia, ale z Rosieniami na Żmudzi i rzeczką Rosią nie damy sobie rady“.

Głęboki erudyt i krytyk znakomity Kostomarów odznaczał się zawsze sumiennością i bezstronnością poglądów. Jego zapatrywanie się na dzieje Polski było poważne, beznamiętne, a często nawet bardzo przychylne. Po nieszczęsnym jednak roku 1863 usposobienie historyka względem nas zmieniło się nagle, zupełnie niespodziewanie. Jego publiczne lekcye o unii lubelskiej w r. 1863 i szczególnie obszerna praca p. t.: „Ostatnie dni Rzeczypospolitej (polskiej)“ nacechowane są jakąś niechęcią, nieraz lekceważeniem, wcale nieodpowiedniemi poprzednim jego pracom o Polsce i Polakach. Jako źródło historyczne, praca Kostomarowa jest nader ważną. Kto zna prace Kalinki, Wegnera, Schmidta, a wreszcie Szujskiego i Bobrzyńskiego, ten nieraz zgodzić się musi z niektórymi poglądami Kosto-

marowa, ale nie przebaczy mu nigdy tej złośliwości i przesady, z jakiemi nieraz mówi o ludziach i wypadkach tej epoki.

Był nadzwyczaj pracowitym. Nie było roku, żeby nie wzbogacił piśmiennictwa nowem poważnem dziełem. Do najznakomitszych prac jego zaliczyć należy: „Bohdan Chmielnicki", w 2 tomach; „Bunt Steńki Razina"; historyczne monografie w kilku tomach; „Epoka zamieszek" *(Smutnoje wremia,* epoka Dymitrów, wojny z Zygmuntem III. i t. d.); „*Narodoprawstwa*", tj. rzeczpospolite Nowgorodzka i Pskowska, zarazem mówi dużo i o Wiatce, dokąd Iwan Groźny przesiedlił resztki Nowogrodzian, których wprzód tysiące wyrżnął i potopił w Wołchowie. Dla Iwana Groźnego nie miał ani słowa pochwały, a nie lubił i Piotra Wielkiego, starannie go omijając.

Kostomarów był zarazem głębokim badaczem etnograficznym. Jego „Zarysy życia domowego z wieku XVI. i XVII."; „Cmentarne podania"; „Symbolika pieśni małoruskich", mają wysoką wartość naukową. Pod jego redakcyą wyszło pięć tomów, „Aktów południowej Rosyi" i cztery tomy „Zabytków literatury małoruskiej". On był założycielem w r. 1866 wraz ze Stasiulewiczem najpoważniejszego miesięcznika rosyjskiego *Wiestnik Europy,* w którym i później, opuściwszy redakcyę, drukował niemało prac swoich.

Zawód literacki rozpoczął Kostomarów w pierwszej młodości ukraińskiemi poezyami i nowelami w języku małoruskim, pod przybranem imieniem *Jeremy Hałki.* Pisał od czasu do czasu i później w tym języku, a szczególnie brał gorliwy udział w „Osnowie" czasopismie małoruskiem, wraz z Szewczenką i wielu najlepszymi pisarzami małoruskimi.

Teraz pozwólcie, że chociaż naprędce skreślę wam żywot tego historyka, a zaiste, ciekawe to życie, pouczające nawet.

Mikołaj Kostomarów urodził się w r. 1817 w gubernii Woroneżskiej, w powiecie ostrogoskim, we wsi małoruskiej, własności ojca swojego, na kresach dwóch plemion, wielkoruskiego i małoruskiego. Ojciec jego był to szlachcic-obywatel, przesiąkły wolteryanizmem, cynicznie w nic niewierzący. Matka była z tejże wsi poddanką, którą on okrzesał i ożenił się. Ojca zamordowali chłopi, właśni poddani, za okrutne z nimi obchodzenie się w r. 1828. Matka poświęciła synowi całe życie, mieszkała przy nim w Petersburgu i umarła

w późnej starości w r. 1874. Może dlatego, że ojciec był niedowiarkiem, a pod wpływem bogobojnej matki, syn przesiąkły był najszczytniejszemi ideałami chrześcijanstwa, lubił obrządki słowiańskie i zawsze chętnie na nie uczęszczał, najczęściej jednak bywał w greckiej cerkwi, założonej przez greka Bernardaki, w której nabożeństwo odbywa się w języku greckim. Uniwersytet skończył w Charkowie, krótko był nauczycielem w gimnazyum w Równem, gdy go młodzieńca prawie powołano na profesora uniwersytetu w Kijowie. Tu wkrótce stał się ulubieńcem młodzieży uniwersyteckiej. Tu i pierwsza miłość zaświtała. Miał już narzeczoną ukochaną i kochającą. Była to młodziutka, piękna panna Alina Kragelska. Ślub był naznaczony na d. 29 marca 1847 r. Serdeczny przyjaciel pana młodego, poeta Szewczenko, miał być drużbą na weselu.

Wspomnieliśmy już wyżej o założonem w Kijowie Towarzystwie słowiańskiem, którego zadaniem było objąć, ukochać wszystkie szczepy słowiańskie i działać wspólnie dla dobra Słowian. W towarzystwie tem, w owych niebezpiecznych czasach, dopatrzono się tajnego politycznego stowarzyszenia. I oto, w tym samym dniu, kiedy miał się odbyć ślub Kostomarowa, uwięziono go. Uwięziono i Szewczenkę, w chwili, kiedy już był we fraku i białym krawacie, aby jechać do cerkwi.

Kostomarów osadzony był w petropawłowskiej cytadeli w Petersburgu. Matka jego i narzeczona z matką swoją pospieszyli do stolicy. Ale widzieć się nie mogły. Zacna staruszka Kostomarowa opowiadała nam, jak z narzeczoną na łodzi krążyły po Newie koło cytadeli. W końcu zesłano Kostomarowa do Saratowa, gdzie przebył długie lata. Szewczenkę osądzono w sołdaty do Orenburga, gdzie dzielił losy i zaprzyjaźnił się z Litwinem, a znanym polskim pracownikiem na polu literackiem, niedawno zmarłym, Bronisławem Zaleskim.

Łatwo pojąć stan duszy biednego wygnańca, oderwanego tak nagle od narzeczonej, od prac ulubionych, złamanego w najzacniejszych celach i zadaniach, jakie sobie założył. Tem większą była jego boleść i strapienia, gdy raz wraz otrzymywał smutne wiadomości od narzeczonej, której matka zmieniła usposobienie, przyjazne przedtem Kostomarowi, a widząc los jego zachwianym, bez nadziei na

lepsze, postanowiła wydać swą córkę za kogo innego. W końcu przychodzi list stanowczy, że nie ma już sposobu, że musi uledz woli matki. Wtedy Kostomarow udaje się z tym listem do miejscowego gubernatora i przekłada mu rzecz całą. Gubernator ocenił i zrozumiał nadmiar nieszczęścia młodego człowieka i polecił mu natychmiast napisać list do cesarza Mikołaja z całą otwartością. Kostomarow usłuchał i złożył list gubernatorowi, a ten przesłał go na ręce ministra dla przedstawienia cesarzowi. Telegrafów jeszcze nie było, a jakkolwiek rychło nadeszła odpowiedź, zajęła jednak niemało czasu. Cesarz zezwolił, ażeby Kostomarow udał się do Kijowa do swej narzeczonej. A więc leci dzień i noc, przyjeżdża w końcu, lecz już w chwili, kiedy jego narzeczona wraca z cerkwi po ślubie z p. Kisielem.

Nieszczęśliwa ta niewiasta dała dowody wielkiego męztwa, umiała uledz konieczności, była przykładną małżonką i matką, ale jakie katusze serca przecierpieć musiała — kto to opowie?

Kostomarow musiał wracać do Saratowa, ułaskawiony dopiero za Aleksandra II. w r. 1857. Wtedy udał się za granicę. Zwiedził Kraków, Lwów, Pragę. Zaledwo wrócił, w r. 1859 uniwersytet petersburski powołał go na profesora historyi rosyjskiej. Teraz zaczyna się nowa era dla znakomitego historyka. W bardzo krótkim czasie prelekcye jego rozbudziły tak wielkie zajęcie się, że musiano przeznaczyć mu największą salę, a i ta nie mogła pomieścić wszystkich słuchaczy. Nie sami tylko studenci ze wszystkich fakultetów, ale publiczność z miasta spieszyła na jego prelekcye. Widziałeś tam strojne damy, jenerałów i podoficerów, ludzi zajmujących wysokie stanowiska, profesorów, ludzi nauki i literatury. Pewien głęboki znawca powiada: „wymownym profesor nie był, i głos miał niedonośny, o styl, o zewnętrzną formę dbał niewiele; pociągały ku niemu: niezmierne bogactwo materyału, zdumiewająca erudycya i potężny talent obrazowania, wywołujący niby na zaklęcie z szarego tła przeszłości żyjące i całkiem zrozumiałe postacie. Im zawilsza była kwestya, tem bardziej go nęciła, umiał nią żywo zająć i siebie i innych“.

W tym to czasie ogłosił Kostomarow swoją teoryę o pochodzeniu ze Żmudzi Ruryka, Sineusa i Truwora. Najzawziętszym jego oponentem był znany rosyjski historyk Pogodin, trzymając się dawnej rutyny, t. j., że ci książęta pochodzili ze Skandynawii. Wtedy to niepraktykowym do tego czasu przykładem w Rosyi, zgodzili się oni na

publiczną dysputę i debatowanie tej sprawy. Walna ta utarczka odbyła się (1860 r.) w sali petersburskiego uniwersytetu, przy niezmiernem zgromadzeniu słuchaczy. Pogodina przyjmowano obojętnie, Kostomarowa zaś okryto tysiącznemi oklaskami, i po ukończeniu dysputy uroczyście na fotelu wyniesiono aż na ulicę.

Niesłychane to i nadzwyczajne powodzenie profesora trwało niedługo. W r. 1861 wybuchły nieporządki w uniwersytecie i nastąpiła reorganizacya składu onego. Kostomarow posiadający tak wielki wpływ na młodzież, jak również Włodzimierz Spasowicz, profesor prawa, także nadzwyczaj uwielbiany przez studentów, nie wrócili już do swych katedr. Spasowicz został adwokatem, dziś najznakomitszym w Rosyi, Kostomarowa zaliczono do ministeryum i zostawiono mu pensyę profesorską.

Odtąd to Kostomarow mógł poświęcić się wyłącznie pracy gabinetowej, badaniom archiwalnym, a nie wypuścił pióra aż do ostatnich dni życia.

Lata biegły, już i starość nadeszła, ciężkie koleje życia, jakie przechodził, praca nad miarę, wyczerpała siły, wzrok przytępiony na starych pergaminach i rękopismach odmawiał posług, ale duch był zawsze potężny, i cóż? kochał stale, całe życie byłą swą narzeczoną, choć już dwadzieścia siedem lat ubiegło od chwili, kiedy się rozstali na zawsze, kiedy los oddał ją w ręce innego.

W r. 1874 umiera matka Kostomarowa, a on sam śmiertelnie chory, pasuje się ze śmiercią. W tej właśnie boleśnej chwili staje przed nim wdowa po zmarłym Kisielu, jego piękna Alina, jego ukochana narzeczona, staje przed nim i po 27 latach zawsze kochająca, a już wolna, od nikogo niezależna. Pielęgnuje chorego, otacza go troskliwą i czułą opieką. Kostomarów wyzdrowiał. Cóż tam, że lata młodości minęły, duch zawsze młody, czegóż czekać — pobrali się! Znalazł on w swej małżonce najserdeczniejszą przyjaciółkę, czuwającą nad nim, dzielącą z nim radość i smutek. I skonał na jej ręku.

Pogrzeb Kostomarowa był wspaniały, a w Petersburgu niewiele takich widziano. Właściwie cztery tylko były takie pogrzeby: Puszkina, Nekrasowa, Turgieniewa i obecny Kostomarowa. Wianki z deputacyami zajęły ogromną przestrzeń (przeszło półtory wiorsty); zarząd miasta, wszystkie uniwersytety, instytuty, towarzystwa

naukowe, redakcye pism, zakłady naukowe i t. d., były reprezentowane przez liczne delegacye z wiankami i chorągwiami. Piękna i bogata chorągiew od Ukrainy, niesiona przez Ukraińca w narodowym stroju, tak samo jak i cała gromada Ukraińców przybyłych na pogrzeb. Sześć mów wygłoszono nad zwłokami, z tych trzy po małorusku. Kolega szkolny i przyjaciel zmarłego, Niesłuchowski, przemówił najrzewniej. Zwłoki niesiono na umyślnie przyrządzonych noszach aż na cmentarz. Eksportował przyjaciel zmarłego grecki archimandryta, w cerkwi zaś celebrował jeden z archierejów.

J. S.

Z Berlina.

Praca niedzielna. — Podatek giełdowy. — Taryfa celna. — Wydalenie przybyszów polskich z Prus. — Centrum w Prusiech Zachodnich. — Sprawy kościelno-polityczne i szkolne.

Przez czas dłuższy rozprawiała prasa rządowa w Niemczech prawie wyłącznie o sprawach socyalnych; zdawałoby się, że nastanie wiek złoty dla warstw roboczych, tymczasem zabezpieczywszy jako tako dolę robotników chorych i kalek, dano wszystkiemu spokój. Parlament został zamknięty, a projektu zabezpieczenia robotników niezdolnych do żadnej pracy, nie wniesiono nawet do Izby. Czytelnikom *Przeglądu* wiadomo, że centrum domagało się, aby dzieci usunięto zupełnie z zakładów fabrycznych, aby ograniczono znacznie zatrudnienie niewiast, aby zakazano pracy niedzielnej i aby w przybliżeniu określono długość pory roboczej. Wystąpienie księcia Bismarka przeciw tym żądaniom dowodzi jasno, że on do tego dąży, aby robotnicy wszystko zawdzięczali inicyatywie jego. Pomimo oporu kanclerza obradowała komisya parlamentarna nad tymi wnioskami; centrum i konserwatywni pragnęli przynajmniej uporać się z zakazem pracy niedzielnej, gdyż pod tym względem zapatrywania rozmaitych stronnictw były zgodne, bo nawet socyaliści popierali takowe.

Sprawa pracy niedzielnej zajmuje żywo umysły wszystkich. W braku praw odpowiednich usiłowano praktycznie rozwiązać kwestyę. W Berlinie np. wielkie składy są prawie wszystkie zamykane

przez całą niedzielę lub przynajmniej po obiedzie. Firmy rozmaite porozumiały się z sobą, tak iż konkurencya nie odgrywała już roli; próba zamykania wielkich składów udała się znakomicie. Za przykładem wielkich firm chcą teraz pójść drobniejsi kupcy towarów kolonialnych. Odbyło się w tej sprawie kilka zgromadzeń, na których blisko 2000 kupców oświadczyło się z gotowością zamykania swych handlów w niedzielę, ale przeważyło ostatecznie zdanie, że ustawodawstwo powinno zmusić wszystkich do „odpoczynku niedzielnego“. Używam tego właśnie wyrazu, aby uwydatnić, że nie strona religijna pierwszą tu odgrywa rolę, lecz praktyczne względy, które teraz właśnie przy rozpoczynającej się porze wiosennej są bardzo silne, bo z miasta dusznego pragnie każdy wyjść na świeże powietrze. Komisya parlamentarna wniosła, aby w niedziele i święta subjekci byli zatrudniani tylko przez pięć godzin równocześnie, zresztą składy i sklepy mają być zamknięte. Zakaz pracy niedzielnej miał się także rozciągnąć na robotników po fabrykach, warsztatach i budowlach.

Wprawdzie według obecnej ustawy przemysłowej nie ma nikt prawa przymuszać robotnika do roboty w niedziele i święta, atoli w praktyce pozostaje przepis ten martwą literą. Mianowicie zaś w samym Berlinie nasłuchać się można gorzkich wyrzekań robotników polskich, że w niedziele pracować muszą, że chyba późno po południu wolno im wychodzić z fabryk, gdy już ani do kościoła pójść, ani przejść się po za miasto niepodobna. Kto nie chce pracować w niedzielę, temu wypowiadają przemysłowcy robotę w dni powszednie. Mimo przeciwnej tedy litery prawa, muszą biedacy pracować. Projekt komisyi parlamentarnej żąda pod tym względem wyraźnego zakazu z naznaczeniem kar na tych, którzyby nie stosowali się do ustawy i z wymienieniem tych dni, które w rozmaitych prowincyach uważane są jako święta uroczyste. Wyjęte miały być z pod zakazu reparacye po fabrykach, również takie roboty, które z natury swej bez znacznej szkody nie mogą być przerywane; w fabrykach takich każdy robotnik co dwa tygodnie ma mieć niedzielę wolną od szóstej zrana, aż do szóstej godziny wieczór. Miejscowe władze wyszczególnią zakłady i fabryki, w których robota nie może być przerywaną. Parlament zaś wypowie zdanie swoje o tych wyjątkach. W nagłych wypadkach może policya miejscowa po-

zwolić na robotę niedzielną. W obwodzie regencyi düsseldorfskiej prawie wszystkie te przepisy zostały już przed kilku laty wprowadzone w życie przez władzę rządową, a dotychczas nie podniesiono skarg żadnych. To właśnie było zachętą dla centrum, iż domagało się zakazu pracy niedzielnej dla całych Niemiec. Gdy projekt komisyi przyszedł pod obrady parlamentu, wystąpił przeciwko niemu stanowczo książę Bismark; na jednem posiedzeniu pięć razy przemawiał przeciw centrum, konserwatywnym i socyalistom; rozprawę odroczono, parlament zamknięto i w przyszłej sesyi trzeba *ab ovo* rozpoczynać. Kanclerz w całej tej sprawie pokazał się jako zwolennik szkoły manszesterskiej, to też wyłącznie zwolennicy tej szkoły, za zwyczaj przeciwnicy polityki jego gospodarczej, bili mu brawo.

Charakterystyczną też jest rzeczą, że ks. Bismark w pięciu przemówieniach swoich, poruszając przeróżne argumenta, nie potrącił wcale o to, iż tu chodzi o boskie przykazanie; chociaż Windthorst kładł nacisk na to. To wystąpienie kanclerza mocno mu zaszkodzi w obec wyborców, bo nawet konserwatywni zwrócili się przeciw niemu. Za to uporał się parlament z zaprowadzeniem podatku giełdowego. Giełda opierała się zawzięcie temu, a znalazła pomoc w samym kanclerzu, który nie chcąc zachwiać stanowiska giełd niemieckich, mianowicie berlińskiej na targu międzynarodowym, przeprowadził ulatwienia dla tej gałęzi interesów giełdowych, która zajmuje się ażiotażem, a wolność od podatku dla tych, którzy własne płody ziemskie i własne wyroby pozbywają na giełdzie. Przepisy poszczególne samej ustawy są tak łagodne, że prawie żadnej kontroli nad stronami interesowanemi rozciągnąć nie można. Dochód z nowego podatku nie będzie wielki, podczas kiedy skarb państwa jest próżny. Bardzo ożywione były rozprawy nad podniesieniem ceł od zboża i wyrobów zagranicznych. Nie można zaprzeczyć, że rolnictwo potrzebowało podpory dla wytrzymania konkurencyi z zagranicą; czy samo podniesienie ceł od zboża (od 100 kilogr. pszenicy i żyta z jednej marki na 3 marki, a od owsa i jęczmienia na 1 m. 50 f.), od bydła i drzewa wydźwignie rolnictwo z upadku, przyszłość okaże. Dochody z podwyższonych ceł przeznaczyć chciano do wspólnego skarbu; centrum obawiało się jednakże, że nieokreślone „potrzeby“ państwa pochłoną te miliony bez pożytku dotykalnego i przeprowadziło to przynajmniej, że przewyżki z ceł rolniczych, blisko 20 milionów

marek, wprost będą przekazane powiatom poszczególnym, celem ulżenia gminom.

Ratując rolnictwo, równocześnie zadał rząd pruski niemałą klęskę rolnikom w powiatach graniczących z Królestwem Polskiem, przez niespodziewane wydalenie 30.000 przybyszów z po za kordonu. Krok ten niesłychany nie jest aktem samodzielnym jednego ministra spraw wewnętrznych, lecz cały gabinet pruski uchwalił go i jest za niego odpowiedzialny w obec historyi. To też napróżno udała się, celem złagodzenia postępowania rządowego, deputacya posłów polskich do ministra Puttkamera i napróżno została w Izbie poselskiej wniesioną interpelacya w tej sprawie. Przy rozprawie sejmowej nad tym przedmiotem oświadczył minister Puttkamer, że rząd wybrał wspomniane ostre rozporządzenie w interesie państwa pruskiego, gdyż, zdaniem rządu, bezpieczeństwo polityczne, oraz postęp kultury niemieckiej w prowincyach wschodnich wymagał tego. W ostatnich dwóch dziesiątkach lat przewyższył w Prusiech Zachodnich żywioł polski ludność niemiecką. Od roku 1870 do 1880 normalny przyrost ludności powinien był wynosić około 10%, tymczasem w obwodzie regencyi kwidzyńskiej żywioł niemiecki tylko o 3.4% pomnożył się, a polski o 8%. W poznańskiem pomnożyła się ludność niemiecka o 1.9%, polska o 10.9%; w bydgowskiem niemiecka o 7, polska o 8.4%, w obwodzie regencyi opolskiej polska o 10, niemiecka 9%. Minister nie wahał się dodać, że możnaby chyba rządowi zrobić zarzut, iż wcześniej nie wydał podobnego rozporządzenia. Zdaniem jego, nie było dawniej w Prusach Zachodnich żadnej kwestyi narodowościowej; od roku 1846 miało się to zmienić, a teraz porywa „propaganda“ wyższych warstw polskich niższe warstwy a nawet obojętne żywioły, a to w wyższym nawet stopniu niż w poznańskiem. Pan Puttkamer podnosił przeciwieństwo między dawniejszym biskupem chełmińskim Sedlag'iem (Szlązakiem) a obecnym zarządem duchownym, pod którego wpływami wzmógł się żywioł polski. Minister narzekał, że nawet potrójny kordon Rosyan nad granicą i żandarmerya pruska nie mogą przeszkodzić temu, że tłumy przybyszów przechodzą przez granicę.

Z jaką surowością władze miejscowe wystąpiły przeciwko przybyszom, wykazał mianowicie sędzia Spahn, członek frakcyi katolickiej. Pomiędzy wydalonymi znajdowali się także tacy, którzy

dawniej otrzymali naturalizacyę w Prusiech a dziś liczą po 70 a nawet 80 lat. Wydalały władze takich, którzy służyli w wojsku pruskiem, nikomu nie byli ciężarem i oddawali się spokojnie swemu zawodowi, a pozostawiano im tylko trzy dni czasu do uregulowania swych interesów. Poseł Spahn zwrócił uwagę, że w niektórych miastach panuje przekonanie, że rozporządzenie ministeryalne wymierzone jest specyalnie przeciwko katolikom, których liczba rosła znacznie. Zdaniem mówcy szkody gospodarcze, które z rozporządzenia wyniknąć muszą, są tak znaczne, że wymarzone korzyści polityczne nie mogą wcale wchodzić w rachubę; usuwają siły robocze w tej właśnie chwili, w której najbardziej są potrzebne rolnictwu. Silniej jeszcze jak poseł Spahn napiętnował to rozporządzenie rządu, jako sprzeciwiające się prawu międzynarodowemu, poseł Windthorst. Przypomniał, że po nad ministerstwem pruskiem jest wyższy jeszcze trybunał t. j. moralność publiczna i cywilizacya, do których i rząd ostatecznie zastosować się powinien. Prawo międzynarodowe nie pozwala na wydalanie obcokrajowców masami. Gdy podczas wojny francuskiej zaczęto Niemców wydalać z Francyi, oburzyli się na to Niemcy i to przyczyniło się niemało do powiększenia zaciętości wojny, a tu występuje rząd podczas pokoju, przeciwko spokojnym ludziom w taki sposób, że to tylko brutalnością nazwać można.

Jeden tylko poseł zachodniopruski Wehr, przeciwnik katolików i Polaków na każdem polu, nie miał nic do nadmienienia przeciwko rozporządzeniu ministeryalnemu, gdyż w podobnych razach nie należy rządzić się sercem, lecz rozumem politycznym. Liberalny poseł Virchow, znany profesor uniwersytetu berlińskiego, silnie zganił postępowanie rządu, które zwraca się nietylko przeciwko robotnikom, lecz także przeciwko wyższym klasom, gdyż np. wszystkich akademików rosyjskiego pochodzenia usunięto z Berlina, a to mimo prawidłowych paszportów: policya ciągle ich nagabywała i śledziła. Profesor Virchow wstawił się za takimi osobiście, ale i on to tylko osiągnął, że im przedłużono pobyt na pewien czas; obecnie żadnych akademików z Rosyi tu nie masz. Mówca sądzi, że chwilowo nie potrzeba się może obawiać represaliów ze strony Rosyi, ale niebawem może się obudzić drzemiący panslawizm i nakłonić rząd rosyjski do wypędzenia Niemców. Nie trzeba tak obosiecznej broni używać lekkomyślnie; jej użycie jest w obecnym razie niesprawiedliwością.

W imieniu koła polskiego przemówił przy tej sposobności poseł Łyskowski. Prusko-zachodnie Towarzystwo rolnicze niemieckie, na posiedzeniu nadzwyczajnem w Brodnicy, wniosło petycyę do ministra spraw wewnętrznych bardzo dosadnie umotywowaną, domagając się zawieszenia chwilowego tej „niehumanitarnej“ ordynacyi. Poruszenie tej sprawy ma dla przybyszów polskich jedynie tę korzyść, że ludzie, którzy szczególnymi stosunkami są związani w Prusiech, mają doznać pewnego uwzględnienia; mają oni podać zażalenie do władz wyższych. Przypadki te będą z osobna zbadane i jeśli potrzeba tego wymaga, uwzględnione, przynajmniej w obecnej chwili. Dla tych nieszczęśliwych chyba zwłoka nastąpi, ale i oni będą musieli opuścić Prusy, chlubiące się humanitarnym sposobem myślenia. Nowych przybyszów polskich nie wpuszczają władze pruskie do kraju; kto nie posiada legitymacyi, wcale przez granicę przejść nie może. Filozof Hartmann i ludzie jemu podobni, mają z czego się cieszyć.

Gdy właśnie mowa o Prusiech Zachodnich, wspomnę także o sprawie, która w kołach rządowych wywołała nadzieję, że między tamtejszymi Niemcami katolikami, a ludnością polską nastąpi rozdział zupełny. Chodzi o zawiązanie niemieckiego komitetu wyborczego, stronnictwa centrum w Zachodnich Prusiech. *Norddeutsche Allgemeine Ztg.*, organ przyboczny księcia Bismarka, dowodzi, że nowy ten związek wystąpi przeciw Polakom, a z niezgody prawdopodobnej w łonie ludności katolickiej skorzysta rząd. Po części utwierdziły *Norddeutsche* w tem przekonaniu pewne głosy dziennikarskie z księstwa poznańskiego. Dwie mniejsze gazety narzekają, że w Prusiech rzeczy tak daleko zajść mogły, iż tam zawiązuje się stowarzyszenie Niemców katolików i obawiają się, że Polacy z tymi ludźmi podczas przyszłych wyborów wiele zażyją kłopotu. Nie sądzę, iżby rzeczy tym torem pójść miały. Smutna to rzecz, że w Prusiech germanizacya wielkie zrobiła postępy, ale z tych żywiołów, które utraciły narodowość polską, nie będzie miało centrum żadnej pociechy; one nawet nie wejdą do nowego związku. Większość jego członków rekrutuje się w okręgu waleckim, który od dawnych czasów jest niemiecki, a gdzie nawet nazwisko polskie rzadko spotkasz. Inni są to przybysze z prowincyj niemieckich, mianowicie urzędnicy, jakim jest wspomniany wyżej sędzia Spahn z Malborga, członek

frakcyi centrum, zostający dotychczas na czele całego ruchu. Mąż ten, który na stosunki szkolne w Zachodnich Prusiech w sejmie bardzo jaskrawe rzucił światło, nie zasługuje na to, żeby go miano uważać za karyerowicza, lub narzędzie rządu: jest on z pochodzenia Nassawczykiem. Drugi, który się żywo ruchem zajmuje, mianowicie w Wałeckiem, jest księdzem katolickim; przyjaciel Polaków i przemawia zawsze za zgodą. Tendencyą związku nowego jest zjednoczenie i zgromadzenie Niemców katolików. Nie mieli oni dotychczas żadnej organizacyi wyborczej. Polacy nieraz nie wiedzieli, z kim układać się przy postawieniu kandydatów do sejmu lub parlamentu, bo chociaż czasem Niemcy sami wysłali delegata, to nie miał on nieraz pełnomocnictwa od całego powiatu, lecz od jednej lub kilku miejscowości, a często nie wiedział, jak daleko sięga jego plenipotencya i gdzie się kończy. W skutek tego właśnie powstawały nieraz spory i rozterki, które zniechęciły Polaków i Niemców. Polacy, będąc w znacznej większości, nie bardzo zważali na Niemców, a Niemcy czuli się dotknięci, że poseł Polak do nich wtenczas tylko zwracał się, gdy chodziło o głosowanie, a nie pamiętał o tem, żeby im po niemiecku złożyć sprawozdanie z czynności poselskich. W powiatach, gdzie walka chwiała się między Polakami a rządowemi partyami, mścili się po części Niemcy katolicy za to na Polakach, bo albo wprost przeciwko nim głosowali, albo nie stawili się w dostatecznej liczbie na wybory. Tym sposobem mieliśmy w jesieni znane straty przy wyborach. Niemcy sami nieraz błąkali się jak owce bez pasterza; głosy ich rozstrzeliwały się nietylko w jednym powiecie, ale nawet w jednej wsi: jeden głosował na Polaka, drugi na Niemca, trzeci na księdza miejscowego, czwarty na któregokolwiek urzędnika. I ta właśnie okoliczność była głównym powodem założenia niemieckiego stowarzyszenia wyborczego. Nie przeczę, że się u niejednego Niemca nagromadziła pewna niechęć przeciwko Polakom, ale spodziewam się, że kierownicy ruchu będą umieli przytłumić te żywioły niesforne. Okaże się to niebawem na pierwszem walnem zebraniu stowarzyszenia, które się odbędzie w Chojnicach. *Norddeutsche* tryumfuje zdaniem mojem za wcześnie. Zresztą samo istnienie nowego związku niemieckiego, powinno Polaków pobudzić do energiczniejszej czynności.

W dziedzinie kościelno-politycznej nie zaszła żadna zmiana na

lepsze. Izba poslelska poświęciła dzień jeden tej kwesty: z powodu wniosków Windthorsta, ale rozprawy nie przyniosły żadnego rezultatu dodatniego, ani żadnej nie pozwalają żywić nadziei, że w bliskiej przyszłości będzie lepiej. Przez pewien czas utrzymywała się pogłoska, że po ks. kardynale Ledóchowskim także arcybiskup koloński oświadczył Ojcu św. gotowość do ustąpienia z arcybiskupstwa; papież miał ofiarę tę osobistą przyjąć pod warunkiem, że rząd pruski zgodzi się przypuścić jako zastępców po obecnych arcybiskupach kandydatów przez Stolicę apostolską przedstawionych. Mieli nimi być ks. proboszcz Poniński z Kościelca na Kujawach i ks. Krementz, obecny biskup warmiński, z którym rząd pruski pierwsze miał zatargi kościelno-polityczne jeszcze przed ustawami majowemi. Książe Bismark nie miał nic przeciw osobie biskupa Krementza (Nadreńczyka), ale za to odrzucał stanowczo każdego kandydata na Poznań, przedstawionego przez Stolicę św. Tym sposobem Poznańczycy będą musieli wytrwać w twardych warunkach obecnych a do Kolonii tymczasem ks. biskup Krementz nie odbędzie wjazdu.

Wnioski Windthorsta domagały się dwóch rzeczy. Najprzód miała być uchyloną na drodze prawodawczej ustawa, na mocy której rząd w r. 1875 zatrzymał wszystkim biskupom i księżom prestacye skarbowe. Po drugie miały być uchylone kary za odprawiania mszy św. lub sprawowanie sakramentów. Jak można było przewidzieć, upadł jeden i drugi wniosek, za którymi oprócz centrum i Polaków, głosowała tylko pewna część liberalistów opozycyjnych i kilku posłów z obozu konserwatystów protestanckich.

Kwestya poznańska szerokie zajmowała miejsce w dyskusyi; ze strony rządu usłyszeliśmy tylko dawne zarzuty. Przemawiali ks. dr. Jażdżewski i Kantak. Ale na cóż zdać się mogą oświadczenia najbardziej pojednawcze, kiedy minister Gossler twierdzi, że to tylko osobiste zapatrywania posłów, że ludność poznańska inaczej sądzi. Wiadomo czytelnikom *Przeglądu*, że rząd obecnie wszędzie księżom prestacye skarbowe wypłaca, tylko w Poznańskiem tego nie czyni. Minister Gossler oświadczył, że tam duchowieństwo nie prędzej będzie traktowane na równi z resztą duchowieństwa (po dyecezyach niemieckich), aż w Poznaniu będzie nowy arcybiskup. Na to odrzekł Windthorst, iż rząd upierając się przy jednym kandydacie swoim,

Niemcu, powadze papieskiej gwałt zadaje i niweczy wszelkie prawo kościelne. Windthorst uważa za rzecz pożyteczną i zbawienną, aby kapłan polskiej narodowości został arcybiskupem poznańskim, gdyż stosunki poznańskie tego wymagają. Pan Gossler jest na pozór skromny w wymaganiach względem kandydata poznańskiego. Bo kiedy chce, aby arcybiskup poprzestawał na pracach w dziedzinie kościelnej, czyż wolno cokolwiek zarzucić temu warunkowi? Kiedy żąda, aby arcybiskup zadość czynił obowiązkom poddanego pruskiego, czyż od tych obowiązków uchylili się arcybiskupi poznańscy lub uchylić się może którykolwiek poddany pruski? Kiedy minister mówi, że arcybiskup nie ma rozszerzać działania swojego po za granicę księstwa, czyż np. ks. Poniński byłby pragnął szerszego pola działania? Lecz to wszystko są frazesa. Rząd pruski życzy sobie mieć w Poznaniu biskupa germanizatora, a że z tego nic nie będzie, więc odkłada sprawę. Prasa zaś inspirowana nie omieszkała napaść na Stolicę apostolską, że w interesie szlachty polskiej i propagandy polskiej nie dano także archidyecezyi kolońskiej nowego zwierzchnika. Prasa ta nigdy nie jest w ambarasie gdy chodzi o to, aby zohydzić przeciwnika; nad Renem jednak te potwarze przeciwko Stolicy św. odbiły się jak groch o ścianę.

Drugi wniosek Windhorsta wprawił w niemały kłopot znaczną część parlamentu. Odmówić w XIX. wieku w państwie cywilizowanem swobody sumienia ludności dziewięciomilionowej, to rzecz, którą trudno pogodzić z prawdziwą oświatą; przystać zaś na wniosek, znaczyłoby tyle, co niejako podwaliny usunąć z pod ustaw majowych. Pozostałyby wprawdzie ustawy, lecz niewiele byłoby przypadków, kiedyby je można zastosować. Przeciwnicy sądzili, że złamią opór duchowieństwa, gdy za każdą funkcyę, podjętą bez rządowego zezwolenia, sądy karać będą nieposłusznych; sądy karały niemiłosiernie, ale oporu nie złamały. Mimo to ani rząd, ani stronnictwo przeciwne nam nie chcą zniszczyć własnego dzieła. Liberalna opozycya doszła wreszcie w znacznej części do przekonania, że trzeba każdemu zostawić swobodę sumienia; przystała tedy na wniosek Windthorsta. Zdaniem tegoż stronnictwa, nie powinna władza świecka wcale dbać o czynności duchowne. Gdyby zaś który ksiądz miał pobierać dochody skarbowe, lub otrzymać posadę z ramienia rządu (chociażby np. posadę inspektora szkolnego), wtenczas należałoby

zbadać, czy odpowiada on wymaganiom państwa względem takich urzędników. Opozycya liberalna uwzględniła to, że dziś na polu życia publicznego w Prusiech, kapłan jako taki, miejsca już nie ma żadnego, gdyż nawet metryki urodzenia, śmierci i ślubów spisują się w obec urzędnika stanu cywilnego, a funkcye księdza w obec państwa waloru nie mają, ani też nie są nakazane, jak np. dawniej chrzest dzieci i ślub kościelny. Właśnie na mocy tego położenia rzeczy mógł się słusznie zapytać Schorlemer: „Cóż obchodzi państwo to, czy się spowiadam i przed kim? Czy uczęszczam na mszę św. i gdzie? Czy każę dzieci moje chrzcić i przez kogo? Czy sprowadzę księdza do chorych w moim domu i jakiego księdza? Państwo dzisiejsze powinno nie troszczyć się o te rzeczy". Minister Gossler na te drastyczne zapytania nie umiał ani słowa odpowiedzieć. Zarzucono dalej ministrowi, czy to rzecz właściwa, aby kapłan, powołany np. do chorego, tłumaczył się każdemu żandarmowi lub burmistrzowi, gdzie składał egzamin dojrzałości po ukończeniu gimnazyum, na jaki uniwersytet chodził, czy czasem nie w Insbruku lub w Rzymie, jakich wykładów słuchał, mianowicie czy z pilnością uczęszczał na prelekcye z literatury niemieckiej, jak tego wymagają ustawy majowe. I na ten zarzut nie było odpowiedzi.

Pewną rolę odgrywał w dyskusyi przypadek, zaszły w księstwie poznańskiem, gdzie proboszcza, przed ustawami majowemi już na miejscu ustanowionego, prześladowano i sądownie ukarano za udzielenie chorym ostatnich sakramentów. Mianowicie konserwatywni niecierpliwie przerywali mowcy uwagą, że ksiądz w instancyi wyższej będzie uwolnionym, ponieważ ukaranie jego sprzeciwia się prawu. „Zapewne", odrzekł mowca, dr. Porsch, adwokat wrocławski, a członek centrum, ale czyż nie jest to nadużyciem, że księdza, który nic nie zawinił, kilkakrotnie na termina ściągają, niepokoją, na stratę narażają, na ławie oskarżonych sadzają wraz ze złodziejem? Władza administracyjna byłaby mogła na wygnanie wysłać tego księdza niewinnego, a jeśli nie uczyniła tego, to tylko dlatego, że wie, iż podobnemi karami nikogo nie zmusi do poddania się ustawom majowym.

Konserwatyści protestanccy, którzy przy nadarzonej sposobności lubią przechwalać się swoją religijnością, byliby w normalnych stosunkach głosowali za Windthorstem. Teraz, kiedy ślepo służą

rządowi, nie mają do tego potrzebnej odwagi. Tłumaczą się oni tem, że nie mogą wzmacniać pozycyi stronnictwa centrum i dodawać Rzymowi otuchy do dalszej walki. Z tego powodu nie chcieli wcale dopuścić głosowania nad wnioskiem Windthorsta, ale radzili go odesłać do komisyi, gdzieby w obec bliskiego zamknięcia sesyi sejmowej zagrzązł na wieki.

Z przemówienia ministra Gosslera podnoszę to tylko, że wyraźnie powtórzył grudniowe oświadczenie księcia Bismarka, że wtenczas dopiero rząd coś uczyni, gdy Rzym poprzednio zrobi koncesyę. Jaka to ma być koncesya, tego nie określił; po każdem ustępstwie Rzymu, mógłby ks. Bismark powiedzieć: „za mało". O ile zaś w danym razie sam skłonnym byłby ustąpić, tego nikt nie wie.

W końcu i sprawy szkolne były na porządku dziennym Izby poselskiej, oczywiście, że podług obecnego systemu pruskiego prośby ludności polskiej nie zostały wcale uwzględnione. Tak zwana petycya poznańska, zaopatrzona w 66.000 podpisów, z rozmaitych okolic księstwa, domagała się: 1) przywrócenia duchowieństwu dozoru szkolnego, 2) przeznaczenia większej liczby godzin na wykład religii, 3) zaprowadzenia języka ojczystego jako wykładowego, 4) rozpoczęcia nauki języka niemieckiego u dzieci polskich dopiero wtedy, gdy się poduczą polskiego. Wszystkie te punkta uzasadniał w wyczerpującej, zasadniczej, nacechowanej wzniosłemi pojęciami chrześcijańskiemi mowie poseł Zakrzewski. Minister oświaty odrzucił petycyę, nie zbiwszy wszelako żadnego argumentu polskiego posła. Zdaniem jego możnaby tylko po zniesieniu ustawy o inspekcyi szkolnej dozór powierzyć duchowieństwu, które dlatego w Poznańskiem zostało pozbawionem tego urzędu, ponieważ wielka liczba dzieci niemieckich spolszczoną została, a dzieci polskie w nauce języka niemieckiego nie robiły postępu. Na zarzut ostatni odpowiedział słusznie poseł Zakrzewski, że stan szkół polskich byłby czasu swego wcale inny, gdyby rząd dawniej na pomnożenie szkół, na uposażenie nauczycieli, na dozór szkolny był obracał te ogromne sumy jak dzisiaj, gdy dzieci z powodu błędnego sposobu postępowania, ani polskiego, ani niemieckiego języka nie zdołają sobie w szkole przyswoić. Poseł Windthorst zaś podnosił, że skoro minister bez zmiany ustawy o dozorze szkolnym mógł pastorom protestanckim pozostawić inspekcyę i powierzyć nawet dozór nad kato-

lickiemi szkołami; skoro bez zmiany ustawy powierzył od kilku lat pewnej części katolickiego duchowieństwa dozór szkolny w niemieckich prowincyach: to może tak samo sobie postąpić w polskich dzielnicach, byle wola była po temu, ale dzielnice polskie zostają zawsze w wyjątkowem położeniu. O zmianie systemu względem języka polskiego, minister ani słuchać nie chciał, zwłaszcza, że systematyczne odłączanie się Polaków od Niemców w dwóch ostatnich dziesiątkach latach wielkie zrobiło postępy i widnieje w dziedzinie społecznej, naukowej, nawet przy zabawach. Takiego separatyzmu popierać rząd nie może. Słusznie odparł Windthorst, że przy znanem traktowaniu Polaków nie może się nigdy wytworzyć między obiema narodowościami stosunek przyjazny. Mają być drogą przymusową przerobieni na Niemców, zkąd się tu ma wziąść przychylność? „Obchodźcie się z Polakami tak, jak w Galicyi, a będziecie z nich mieli wiernych poddanych. A dla czegóż przynajmniej w ręce katolików świeckich rząd nie składa dozoru szkolnego? Czy to nie ma oburzać rodziców, że dzieci i nauczyciele zostają pod dozorem innowierców, a nawet pastorów? Doszło już do tego, że my katolicy i Polacy dzielimy twardą dolę Irlandczyków; czyż mamy się nawet powstrzymać od ponawiania słusznych skarg naszych? Tego się nie doczekacie".

Przemawiali jeszcze ks. Stablewski, ks. Jażdżewski i baron Schorlemer, ale przeciwna strona milczała upornie, gotowa przemocą odrzucić prośby ludności polskiej. Konserwatysta Rauchhaupt, był tyle naiwny, że oświadczył, iż nie chodzi wcale o germanizacyę ludności polskiej, lecz o assymilacyę jej z ludnością niemiecką! Naturalnie, że gdy w jesieni z powodu nowych wyborów sejmowych, ta ciągła bezwzględność rządu napiętnowaną być musi w obec wyborców polskich, znowu posypią się ze strony rządu i prasy rządowej krzyki: na „polską agitacyę".

X. X.

Korespondencya Redakcyi.

Otrzymujemy od p. Lisickiego następującą odpowiedź panu Bobrzyńskiemu. Nowe wystąpienie p. Bobrzyńskiego w majowym zeszycie *Przeglądu polskiego*, zdaje się najlepiej dowodzić, jak mało była uzasadnioną cała wyprawa przeciwko tak zwanej Nowej Doktrynie. Spór o Ostroroga p. Bobrzyński urywa oświadczeniem, że szczegółowa polemika ze mną na polu historycznem jest „wręcz niemożliwą“, albowiem tamte czasy są mi „nieznane i obce“. Następnie, unikając nazywania rzeczy po imieniu, poprzestaje na ponownem zaręczeniu, że mniemana doktryna kryje w swem łonie mnóstwo niebezpieczeństw dla naszej polityki konserwatywnej.

Znajomością czasów Ostroroga panu Bobrzyńskiemu w samej rzeczy nie dorównywam, ale spór pierwotnie wszczął się nie o stan wewnętrzny Rzpltej, szczegółowe fakta i potrzebne reformy, tylko o cały program Ostroroga, który nie kontentując się zreformowaniem tego, co poprawy wymagało, dążył do radykalnego przewrotu w stosunkach kościelnych i religijnych narodu. Gdzie i do czego wiodą takie przewroty, wyświeca znajomość głównych rysów dziejów świata, pierwszy lepszy elementarz historyczny. Opierając się też na przykładach, czerpanych z dziejów obcych, p. Bobrzyński postawił hypotezę, że Polska drogą walki władzy królewskiej z hierarchią duchowną i Kościołem miała dojść do ładu wewnętrznego, siły i trwałego bytu, uchronić się od rozbiorów, inne bowiem narody Zachodu tą samą drogą dobiły się potęgi.

Hypoteza pozostanie hypotezą na wieczne wieki. Czy wojna z Kościołem musiała w Polsce doprowadzić do zbudowania silnego państwa, wiedzieć nie możemy; historya pytania ostatecznie nie rozstrzyga. Państwo nowożytne inaczej powstało w Anglii, inaczej we Francyi, inaczej w Hiszpanii, a inaczej w Niemczech, służących p. Bobrzyńskiemu za model. Walka władzy świeckiej z kościelną w każdym kraju inną przybierała postać i rozmiary, niejednakowo przyłożyła się do ufundowania państwa nowożytnego, mającego inne jeszcze początki. Dalej, nie jest dowiedzionem, żeby samo wystawienie państwa nowożytnego było dla narodu pewnym zakładem potęgi i trwałego bytu; zależy to od materyałów, z jakich państwo zbudowane, od mnóstwa okoliczności, od polityki, która jest summą i rezultatem uczynków ludzkich. Znaczenie państwa hiszpańskiego dawno znikło, Francya doczekała się rozbioru i niekoniecznie kwitnie, państwo Fryderyka W. podźwignęła z upadku obca ręka, kiedy zaledwie z nazwiska istniało. Równie dobrze mogła Polska wytworzyć u siebie kościół narodowy, państwo zcentralizowane, z podatkami, stałą armią, biurokracyą, potem mieć królów niedołężnych, skarb pusty, złe wojsko, naród zniewieściały, i w końcu uledz przemocy sąsiadów[1]. Recepta Ostroroga pozostała na papierze, skutek nie uwieńczył dzieła.

[1] Nie wiem, gdzie p. Bobrzyński znalazł, żem powiedział wyraźnie: „Lepiej się stało, że Polska nie poszła za radą Ostroroga, nie dążyła do sil„nego rządu, lepiej, że upadła, bo uchroniła się od omnipotencyi swego pań„stwa“. Tego nigdzie nie powiedziałem, ani wyraźnie, ani niewyraźnie. Powiedziałem tylko, że Polska mogła mieć u siebie despotyzm i kulturkamf, i pomimo tego upaść.

Niemiec protestant, przywiązany do teraźniejszego porządku rzeczy, ma powód wielbić walki religijne; oderwania od jedności wiary nie żałuje, bo stąd wypłynęło jego wyznanie; cierpienia przodków go nie dotykają; widzi swój naród na czele Europy, nauczony jest przypisywać teraźniejszą pomyślność reformacyi i to mu wystarcza. Niemiec katolik może się pocieszać choć do pewnego stopnia wielkością Niemiec. Żałość Polaka, że Polska nie zdobyła się na porządną wojnę z Kościołem, — podjazdowych wypraw nie brakło, — nie ma rzeczywistej podstawy, nie, prócz odległego prawdopodobieństwa, jako kosztem ciężkich ofiar, nieuniknionych, czarno na białem wypisanych w historyi, mógłby żyć teraz w niepodległem państwie.

Przyjęcie powodzenia za *criterium* sądów historycznych, wprowadza niesłychane zamieszanie w sferę elementarnych pojęć moralności i sprawiedliwości; znosi moralność i sprawiedliwość wspólną dla wszystkich, jednakowo wszystkich obowiązującą; stawia tyle moralności i sprawiedliwości partykularnych, wrogich sobie, ile państw na ziemi, ile stronnictw w parlamencie. Co według jednej moralności będzie zbrodnią, to moralność ościenna nazwie cnotą. Cóż dopiero się stanie, gdy miarą sądów historycznych przyjmiemy powodzenie problematyczne, oparte na analogiach, o które w historyi na powierzchni nie trudno?

P. Bobrzyński „przyswoił“ sobie niemieckie teorye o państwie, potem zabrał się do pisania historyi polskiej. Pisząc, nie tyle starał się opowiadać, jak to było, ile rozwiązać zagadkę, nasuwającą się każdemu pisarzowi, dla czego Polska upadła, i pracował pod wrażeniem katastrofy r. 1863. Atmosfera otaczająca i obce teorye naukowe wycisnęły piętno charakterystyczne na jego pracy ówczesnej i na późniejszych. Uderzony bezrządem, trawiącym Rzpltę, wystawił jego obraz, jak nikt pierwej, i tem przyczynił się do utwierdzenia naszego społeczeństwa na drodze rozsądku, na którą weszło już nieco pierwej, zmuszone siłą rzeczy. Jako odpowiedź na zagadkę o upadku Polski, postawił formułkę, że Polska upadła, bo nie zdobyła się na państwo nowożytne, i według tej formułki, jak nieboszczyk Lelewel według swojej, sądzi całe dzieje polskie, oraz pojedyncze okresa; pochwala bezwarunkowo wszystko, co do zbudowania państwa wieść mogło i obiecywało, potępia wszystko, co temu zdawało się przeszkadzać. Ztąd poszło, że tak wielką wagę przykłada do skutku i powodzenia, nawet do skutku przypuszczalnego. Nie pyta, czy rady Ostroroga były godziwe lub zdrożne; zadawalnia się problematycznym rezultatem, który mógł dopisać albo zawieść. Jedyną rękojmią, że recepta Ostroroga doprowadzić mogła do upragnionego celu, formułka wyciągnięta z teoryj naukowych, które gotowe jutro innym miejsca ustąpić; heroicznym argumentem teorya zbawienności walk i zamętów, rodzona siostra, jeśli nie samowtór, teoryi kataklizmów. Przez lat trzydzieści z okładem wzniecaliśmy zamęta, w nadziei, że z nich się coś lepszego wyłoni, i wiemy, czy nam to na pożytek wychodziło. Nie mamy również obowiązku błogosławić sprawców powstania 1863 roku za to, że wywołali zamęt, wśród którego społeczeństwo przyszło do upamiętania.

Pochód dziejowy narodu, czy ludzkości, nie jest biegiem kamienia rzuconego w studnię, lecz przekątnią dążeń i postępków istot, obdarzonych wolną wolą i rozumem, którym Stwórca przepisał obowiązki i reguły. Napróżno nowoczesna nauka ubiega się o odkrycie jakichś praw absolutnych „rozwoju

ludzkości", temu, co dziś stanie jako pewnik, wolna wola ludzka jutro lub pojutrze kłam zadać może. Jeśli historya nie chce zrzec się pretensyi do tytułu mistrzyni życia i zniżyć do znaczenia powiastki o kamieniu, lecącym, dopóki dna nie dosięgnie, musi liczyć się z wolną wolą i rozumem, a za kodeks swoich sądów przyjąć kodeks człowieka obowiązujący.

Z historyi p. Bobrzyński przeniósł swą formułkę do bieżącej polityki. Państwo miało nas zbawić w przeszłości, państwo zbawi nas w teraźniejszości i w przyszłości. Siedmiu liter, składających wyraz państwo, p. Bobrzyński używa w wszelkich możliwych okazyach, nawet jako figurę Polski od morza do morza. Dlatego tak trudno z nim się porozumieć. Przywiązanie do formułki czyni go nad miarę drażliwym i podejrzliwym [1], wszędzie widzi pogardę dla państwa, hasła do borby z państwem, zamachy i niebezpieczeństwa. Tym sposobem nigdy nie dojdziemy do ładu; weźmy punkta nieco bliżej określone.

P. Bobrzyńskiemu słusznie leży na sercu dzisiejsza polityka konserwatywna polska, składająca się z zasad i taktyki. Zgadzając się na to, że jej podstawą są zasady, nie chce „roztrząsać sumień", wszczynać rozterek o zasady, dość mu, że ludzie liberalnych zasad i przekonań przyłączają się do taktyki konserwatywnej. O ostracyzmie w imię zasad nie ma też mowy; kontentujemy się tem, że żywioły przeciwne w postępowaniu zasady zachowawcze *de facto* uznają. Dla czego kto tak czyni, czy z przekonania, czy z potrzeby, to każdego osobista sprawa. Polityka i taktyka konserwatywna przeważyła, dzięki wielu rozmaitym warunkom i okolicznościom, dzięki także większej stałości zasad ze strony konserwatystów, którzy dawniej poświęcali przekonania na rzecz wspólnej taktyki. Unikając zbyt starannie kwestyi zasad, przyznając taktyce pierwszorzędną rolę, możemy doczekać się, że znowu konserwatystom nakazanem zostanie złożyć zasady na ołtarzu jedności i taktyki. Spór o granice władzy państwa, ani konserwatystów między sobą, ani też konserwatystów z liberałami poróżnić nie zdoła, jedni i drudzy jednomyślnie bronią i bronić muszą narodowości i samorządu, w które państwo z natury swej godzi; na tym punkcie teorya zawsze ucichnie w obec konieczności. Inny wpływ mieć może rozpowszechnianie i wynoszenie pod niebiosa mądrości Ostroroga, jego zbawiennej narodowej polityki. Zasady dyktują, że rady Ostroroga te zasady do szczętu obalają; nauka twierdzi, że przyjęcie i spełnienie tych rad było zadatkiem zbawienia dla Polski, a więc człowiek niezupełnie pewny siebie, znajdzie się w bardzo krytycznem położeniu i nie będzie wiedział, czego w końcu się trzymać. Żywioły liberalne nie wyrzekły się swych aspiracyj, tłumią je do czasu, lecz w Ostrorogu znajdą podnietę i sankcyę historyczną. Niech zwolnieje w Prusach ucisk narodowości, co odpowiemy tym, którzy doradzą zaniechania obrony praw Kościoła, powołując się na politykę narodową Ostroroga, którą rząd pruski literalnie naśladuje? Albo polityka Ostroroga była i jest złą, albo też dobrą zawsze, wszędzie i dla każdego. W obec takiego dylematu, konserwatyści stalsi w zasadach usuną się na bok, chwiejni przejdą do liberałów i nasza taktyka przepadnie. Na tym przykładzie okazuje się jasno związek zasad i taktyki.

---

[1] P. Bobrzyński utrzymuje, że nazywając państwo dziełem ludzkiem, miałem na myśli, że jest dziełem „szatańskiem". Metoda odgadywania cudzych myśli tym razem zawiodła, gdyż wcale o szatanie i jego sprawach nie myślałem.

P. Bobrzyński usiłuje zaplątać mnie w sprzeczności, raz powołując się na margrabiego Wielopolskiego, „największego wyznawcę omnipotencyi państwa w Polsce“; drugi raz przypominając, że broniłem obowiązku posłuszeństwa władzy. Wyznawstwo omnipotencyi państwa u margrabiego jest gadką powszechnie powtarzaną, którą i ja powtórzyłem. Margrabia mógł być w swoim czasie zwolennikiem nauki Hegla, lecz w czynie postępował przeciwnie. W stosunku do państwa rosyjskiego warował autonomię Królestwa. W Królestwie przyznawał obszerną autonomię gminie, powiatom i gubernii. Wszędzie wprowadzał żywioł obywatelski, w sprawie włościańskiej popierał dobrowolne umowy. W stosunkach kościelnych zostawiał swobodę władzy duchownej; przywrócił w komisyi wyznań radę duchowną, której żądali biskupi w podaniu złożonem namiestnikowi we wrześniu 1861, i która w skutek protestu arcybiskupa została uchylona. Wzmianka o rządzie w rządzie była wywołaną oglaszaniem z ambon okólnika Towarzystwa rolniczego o zniesieniu pańszczyzny przez panów. Margrabia chciał przymusu szkolnego, ze względu na chłopów i żydów, stroniących od szkoły, i do tego się redukuje jego wyznawstwo omnipotencyi państwa. — Kto mnie czytał, wie, że utrzymywałem, jako nauka Kościoła wkłada na wiernych obowiązek dobrowolnego posłuszeństwa władzy w rzeczach godziwych i z przykazaniem zgodnych; dalej, że wzbrania powstań zbrojnych, przez samozwańców podnoszonych. Św. Tomasz i kazuisci wymieniają wypadki, w których opór czynny przeciw władzy może być legalnym, ale otaczają je takiemi kautelami, że historya prawie nie przedstawia możności zastosowania w praktyce wyjątku od reguły, uznanej za naukę apostolską. Kwestya powstań zbrojnych nie ma zresztą najmniejszego związku z kwestyą oporu legalnego przeciwko rozporządzeniom władzy, tem mniej z niemem poddaniem się omnipotencyi państwa, zwłaszcza gdy państwo przekracza właściwe granice swoje, narusza prawa sumienia, władzę ojcowską, własność. Kościół może zalecać umiarkowanie, nawet zaniechanie oporu, lecz oporu legalnego nigdy nie potępił i nie potępi.

P. Bobrzyński obawia się, żeby hasło walki z omnipotencyą państwa nie wznieciło „zamętu w politycznym naszym obecnym rozwoju i instytucyach“. Za pozwoleniem, a czemżeż jest całe nasze życie publiczne, całe postępowanie kół poselskich w Berlinie i w Wiedniu, jeśli nie walką nieustanną z omnipotencyą państwa? W Prusach odbiera nam państwo wolność sumienia, język i resztę, w Austryi państwo targuje się nawet o interpretacyę statutu Schmerlinga; my się temu opieramy, żądamy rozszerzenia samorządu, jesteśmy zmuszeni upominać się o sankcyę najmniejszej uchwały sejmowej, do tego zdąża taktyka obecna. Walka z omnipotencyą państwa istniała przed odkryciem Nowej doktryny, toczy się ustawicznie, ma źródło w naturze rzeczy i w faktycznych stosunkach, zawiesić jej ani na chwilę nie możemy. Jeżeli ta walka jest zdrożną i dla nas szkodliwą, zaprzestańmy jej, zdajmy się na łaskę państwa, ale wtedy skończy się niebawem możność uchwalania we Lwowie praw o rybkach, ptaszkach, chwastach i innych drobiazgach, na których rozkwit mniemana doktryna ma, według p. Bobrzyńskiego, „szkodliwie oddziałać“.

Henryk Lisicki.

Druk ukończony dnia 28 maja 1885.

SPIS RZECZY.

Artykuły o rzeczach współczesnych.

Stronnica.

HARTMANN I KWESTYA NARODOWOŚCI, przez *ks. M. Morawskiego* . . . . . (Dodatek) I.

LE PLAY I JEGO SZKOŁA, przez *Achillesa Brezę* . . . 308

POLITYKA ZASAD, przez *ks. M. Morawskiego* 437

Artykuły naukowe i literackie.

POJĘCIE O BOGU W CHRZEŚCIJAŃSTWIE I U FILOZOFÓW przez *X. Antoniego Langera* 13, 231, 344

STRONNICTWO „PATRYOTYCZNE“ NA WIELKIM SEJMIE i po upadku konstytucyi, przez *L. hr. Dębickiego* . . 23

MIKOŁAJ TRĄBA PIERWSZY PRYMAS POLSKI (dokończenie), przez *ks. Korytkowskiego* 39, 186

APOSTOŁOWIE SŁOWIAN, szkic historyczny, przez *T. J. Olechnowicza* 162

PRAWDZIWY UCZONY, przez *Dr. I. Skrochowskiego* (Dod.) . XVII

SŁUPI RÓG I JEGO STOSUNEK DO POEZYI LUDOWEJ ŁOTYSZÓW NADDŹWIŃSKICH, przez *br. Gustawa Manteuffla* 200

DARWINIZM W OBEC ROZUMU I NAUKI, przez *ks. Władysława Zaborskiego* 211, 321

Z PAMIĘTNIKÓW DZIENNIKARZA, przez *N. N.* 354

MARCHIA BRANDENBURSKA ZA ASKAŃCZYKÓW, ZAWIĄZKIEM MONARCHII PRUSKIEJ, przez *Ludwika Żychlińskiego* 388

CHRYSTUS UKRZYŻOWANY W SZTUCE WSPÓŁCZESNEJ, przez *Fr. Lutrzykowskiego* 1

Stronnica.

Filozofia założycieli nowożytnej fizyki 64
Listy z Japonii, przez *M.* 367

Przegląd piśmiennictwa.

Monumenta Poloniae historica, t. IV., przez *ks. I. Polkowskiego* 81
Rozprawy i sprawozdania z posiedzeń wydziału historyczno-filozoficznego Akademii Umiejętności, przez *Dr. Semkowicza* 242
Ks. Dr. Pelczar. Prawo małżeńskie katolickie, przez *ks. A. Arndta* 405
Słownik synonimów polskich, księdza biskupa Krasińskiego, przez *D. K.* 410
Wydawnictwa „Macierzy Polskiej“, przez *T. P.* . 263

Przegląd pism peryodycznych:

II. Revue philosophique de la France et de l'Étranger, przez *Dr. I. Skrochowskiego* 87
III. Kronika rodzinna, przez *L.* 263
IV. Biblioteka warszawska, przez *T. J. Steckiego* . 420

Bibliografia. Z dzieł religijnych 95, 424
Z dzieł historycznych 98, 427
Z dzieł literackich 100, 431

Sprawozdanie z ruchu religijnego, naukowego i społecznego.

Kwiecień.

Sprawy Stolicy Świętej. Siedmioletnia rocznica pontyfikatu Leona XIII. — Życzenia kolegium kardynalskiego i przemówienie Papieża w odpowiedzi na nie. — Broszura protestanta. — Charakterystyka Leona XIII. — Nowa fundacya: szkoła paleograficzna i jej program. — Wiadomości z Armenii. — Reformy w misyach tamecznych. — List pasterski Mgr'a Rotelli, przez *A. D.* 104
Z Petersburga. P. Sołowiew. — Kwestya słowiańska. — Spór wielki 115

Z Berlina. Podwyższenie ceł zbożowych. — Podatek giełdowy. — Demonstracya na cześć Bismarka. — Dr. Schweninger. — Rozprawy i stosunki kościelno-polityczne. — Sprawa Kongo, przez *X.* 130
O postępie na Łotwie. Czasopisma łotewskie. — Szkoły, przez *Mieczysława Dowojnę-Sylwestrowicza* 140
Duchowieństwo katolickie w obec naukowej wystawy w Turynie w r. 1884, przez *S. G.* 143
Muzeum narodowe w Krakowie 148
Dwie nowe gazety, Mir i Wielkopolanin, przez *ks. M. Morawskiego* 150
Kilka słów o „nowej doktrynie", przez *ks. M. Morawskiego* . . 152

Maj.

Sprawy Stolicy św. Położenie kamienia węgielnego pod pomnik Wiktora Emanuela i mowa Depretisa. — Artykuł Monitora Rzymskiego: „Kwirynał i Watykan". — *Diritto* o protestacyi Ojca św. — Budżet religijny we Francyi. — Słowa p. Ferrego. — Mowa br. Ravignana. — List kard. Lavigerie. — Protest zbiorowy biskupów algierskich. — Ruchy socyalne we Włoszech: studenci, włościanie, armia. — Prebenda Leona XIII. — Katolicy holenderscy. — List Ojca św. do cesarza chińskiego, przez *A. D.* 276
Z Poznania. Zjazdy obywatelskie. — Kółka włościańskie. — Towarzystwo pomocy naukowej. — Cecha wielkopolskiego społeczeństwa. — Ś. p. Władysław Niegolewski i manifestacye. — Goniec. — Smutna Wielkanoc, przez *K. F.*... . . 285
Jan Hus na soborze konstancyjskim. Najnowszy obraz Wacława Brożyka, przez *Fr. Lutrzykowskiego* 293
Literatura litewska. II. Rzut oka na piśmiennictwo litewskie, przez *Mieczysława Dowojnę Sylwestrowicza*. 301

Czerwiec.

Sprawy Stolicy św. Pielgrzymka niemiecka, przemówienie Ojca św. — Zakaz uroczystego przenoszenia Przen. Sakramentu; cyrkularz kard. Wikarego w tym przedmiocie i zdania o tem dzienników liberalnych. — Bulletyn ministerstwa o mianowaniu biskupów. — Zebranie biskupów węgierskich. — List z Beyrutu. — Synod biskupi w Baltimore. — Jubileusz kapłański Ojca świętego. — Nowa książka, przez *A. D.* . . 444
Z Petersburga. Obchody tysiącznej rocznicy zgonu św. Metodego. — Mikołaj Kostomarow, przez *J. S.* 453
Z Berlina. Praca niedzielna. — Podatek giełdowy. — Taryfa celna. — Wydalenie przybyszów polskich z Prus. — Centrum w Prusiech zachodnich. — Sprawy kościelno-polityczne i szkolne, przez *X. X.* 461
Korespondencya redakcyi. Odpowiedź p. Lisickiego. — Ks. Krukowski o książce ks. Zuzaka. — Odwołanie gazety *Le Nord* 157
Odpowiedź panu Bobrzyńskiemu, przez *H. Lisickiego* . . 473